

**Książka pobrana ze strony**  
**<http://www.ksiazki4u.prv.pl>**

**lub**

**[www.wszystko-co-najlepsze.prv.pl](http://www.wszystko-co-najlepsze.prv.pl)**

**ROBERT**  
**LUDLUM**  
**KLĄTWA**  
**PROMETEUSZA**

Przekład **JAN KRAŚKO**

*Prometeusz spłynął z nieba, żeby podarować ludziom ogień.  
Błąd. Fatalny błąd.*

# Prolog

**Kartagina, Tunezja**  
**Godzina 3.22**

**B**eżlitosny deszcz, zacinający z furją tym większą, że towarzyszył mu gwałtowny, dziko wyjący wiatr, siekł białawe grzywacze, które z każdą chwilą potężniały, by wreszcie zwalić się z łoskotem na plażę i wgnieść ją w kipiel czarnego malstromu. W płytkiej, wzburzonej wodzie tuż przy brzegu podskakiwało na falach kilkunastu ludzi. Jak rozbitkowie z tonącego okrętu trzymali się kurczowo wodoodpornych plecaków i parli w stronę plaży. Gwałtowny sztorm zaskoczył ich, lecz i ucieszył - lepszej osłony nie mogliby sobie wymarzyć.

Na plaży dwukrotnie rozbłysło czerwone światelko latarki, dając im znak, że mogą bezpiecznie lądować. Bezpiecznie? A co to *znaczył* Że teren jest czysty? Że nie ma tam żołnierzy tunezyjskiej Garde Nationale? Sztorm był o wiele groźniejszy od nich.

Miotani i targani wzburzonymi falami dotarli wreszcie do brzegu i tyralierą wyszli na plażę za ruinami starożytnego punickiego portu. Zdjęli obcisłe wodoodporne kombinezony, odsłaniając czarne ubrania i uczernione twarze. Otworzyli plecaki i wyjęli podręczny arsenał: pistolety maszynowe MP-10 Hecklera & Kocha, rosyjskie kałasznikowy i snajperki. Ze wzburzonego morza wychodzili już następni.

Akcja została precyzyjnie zaplanowana i przygotowana przez człowieka, który od kilku miesięcy usilnie szkolił ich i bezlitośnie katował. Byli rodowitymi Tunezyjczykami, członkami Al-Nahda, bojownikami o wolność, którzy przybyli wyzwolić kraj spod ucisku ciemiężców. Jednakże ich przywódcy byli obcokrajowcami, świetnie wyszkolonymi terrorystami:

oni również wierzyli w Allacha i należeli do małej, elitarniej komórki najbardziej radykalnego odłamu Hezbollahu.

Jej dowódcą, jak i dowódcą pięćdziesięciu kilku Tunezyjczyków, którzy właśnie wylądowali na plaży w Kartaginie, był mistrz nad mistrze, człowiek znany jako Abu. Niekiedy, choć rzadko, używano jego pełnego *nom de guetre*: Abu Intiaqub. Ojciec zemsty.

Nieuchwytny, tajemniczy i okrutny Abu szkolił bojowników z Al-Nahda w obozie pod Zuwarą w Libii. Strategię działania wpajał im podczas ćwiczeń w pełnowymiarowej makiecie pałacu prezydenckiego, ucząc ich jednocześnie taktyki gwałtowniejszej, dzikszej, bardziej zwodniczej i barbarzyńskiej od wszystkiego, z czym się dotychczas zetknęli.

Przed trzydziestoma godzinami ludzie ci weszli na pokład rosyjskiego frachtowca, pięcioletniego przewożącego tunezyjskie tekstylia i wyprodukowane w Libii towary między Trypolisem i Bizertą. Stary, potężny okręt, teraz już mocno sfatygowany i pordzewiały, odbił od nabrzeża w Zuwarze, wziął kurs na północny zachód i minąwszy Sfax i Suzę, opłynął przylądek Bon, by tuż za falochronami bazy morskiej w La Goulette wejść do Zatoki Tunezyjskiej. Wiedząc, w jakich godzinach kutry wypływają na patrol, kapitan frachtowca kazał rzucić kotwicę osiem kilometrów od brzegu. Terrorysty błyskawicznie spuścili na wodę sztywnokadłubowe pontony i uruchomili silniki. W ciągu kilku minut znaleźli się na wzburzonych wodach na północny wschód od Kartaginy, starożytnego fenickiego miasta, niegdyś tak potężnego, że w piątym wieku przed naszą erą uważano je za największego rywala Rzymu. Gdyby żołnierze ochrony wybrzeża śledzili okręt na ekranach radarów, stwierdziliby tylko, że się zatrzymał, a po chwili popłynął dalej kursem na Bizertę.

Mężczyzna, który dał bojownikom znak latarką, brodacz w wojskowej parze i w kapturze na arabskiej kufii, rzucał stanowcze rozkazy i cicho kłął. Abu.

- Cicho! - syczał. - Ciszej! Chcecie ściągnąć sobie na łeb całą Gardę Nationale? Szybko.

Szybciej, szybciej! Co za ofierzy. Wy się tu objacie, a wasz przywódca gnije w więzieniu! Ciężarówka czeka!

Stojący obok niego przystojny mężczyzna o gęstych, krzaczastych brwiach, ciemnych, błyszczących oczach i oliwkowej cerze bez słowa lustrował teren noktowizorem. Był członkiem Hezbollahu, wybitnym ekspertem od materiałów wybuchowych. Tunezyjczycy nie znali jego prawdziwego imienia i nazywali go Technikiem. Wiedzano o nim jeszcze mniej niż o Abu. Krążyły pogłoski, że jego rodzicami byli bogaci Syryjczycy, że wychowywał się i kształcił w Damaszku i w Londynie, gdzie poznał tajniki broni palnej i materiałów wybuchowych.

Technik otulił się szczerzej czarną peleryną i w końcu przemówił.

- Bracie - rzekł głosem cichym i spokojnym. - Mówię to z lekkim wahaniem, lecz wydaje mi się, że operacja przebiega sprawnie i gładko. Ciężarówka z *materie!* czekały w umówionym miejscu, a podczas krótkiej jazdy aleją Habiba Burgiby żołnierze nie napotkali najmniejszego oporu. Przed chwilą otrzymaliśmy sygnał radiowy od naszej szpicy: dotarli do pałacu. *Coup d'Etat* już się rozpoczął. - Nie zważając na ulewny deszcz, zerknął na zegarek.

Abu majestatycznie skinął głową. Sukces - nie spodziewał się niczego innego. Odległa seria wybuchów była znakiem, że bitwa trwa. Wiedzieli, że lada moment obrona pałacu padnie, że za kilka godzin islamskie bojówki opanują cały Tunis.

- Nie gratulujmy sobie przedwcześnie - odrzekł cichym, spiętym głosem.

Deszcz słabł i niebawem sztorm ustał równie nagle, jak się zaczął.

Raptem panującą na plaży ciszę rozdarły piskliwe głosy wykrzykujące coś po arabsku. Po mokrym, grząskim piasku biegli jacyś ludzie. Abu i Technik zamarli, po czym sięgnęli po broń, lecz w tym samym momencie spostrzegli, że są to ich bracia z Hezbollahu.

- Zero j eden! Zero jeden!

- Zasadzka!

- Boże! Allachu wszechmocny! Otoczyli ich!

Podbiegło do nich czterech zdyszanych i przerażonych Arabów.

- Wysłał zero jeden - wysapał ten, który dźwigał na plecach połowę krótkofalówkę typu PRC-117. - Zero jeden, sygnał alarmowy. Mieli go wysłać tylko wtedy, gdyby otoczyła ich gwardia pałacowa, gdyby wzięto ich do niewoli. Transmisję przerwano! Zdażyli tylko powiedzieć, że to zdrada!

Zdenerwowany Abu spojrzał na swego doradcę.

- Jak to możliwe?

Za Technika odpowiedział najmłodszy ze stojących przed nimi Arabów.

- *Materiel*, który im zostawiono, granatniki przeciwpancerne, amunicja, C-4: wszystko było wadliwe! Nic nie działało! A w ukryciu czekali na nich gwardziści! Zdradzono nas! Od samego początku byliśmy skazani na porażkę!

Zazwyczaj spokojny i opanowany Abu boleśnie wykrzywił twarz i skinął na głównego doradcę.

- *Ya sahbee*, potrzebuję twojej mądrej rady. Podchodząc do dowódcy, Technik regulował zegarek. Abu objął go i szepnął:

- Jest wśród nas zdrajca, szpieg. Sprzedał nasze plany.

Mówiąc to, wykonał szybki, niemal niedostrzegalny gest dwoma palcami. Na ten znak jego ludzie chwycili Technika za ręce, ramiona i nogi. Doradca szarpnął się, potężnie wierzgnął, jednak tamtych było zbyt wielu. Błysnęła stal i Abu dźgnął go w brzuch długim, zakrzywionym sztyletem o zębatym ostrzu, wbijając je głęboko w ciało i natychmiast wyciągając, żeby zadać ofierze jak największy ból. Złowrogo błysnęła oczami i syknął:

- Tym zdrajcą jesteś ty!

Technik głucho stęknął. Choć bardzo cierpiał, twarz miał jak z kamienia.

- Ty plugawa świnio! - Abu ponownie wziął zamach, tym razem mierząc w pachwinę. - Nikt inny nie znał naszych planów! Nikt! To ty sprawdzałeś *materiel*. Tylko ty mogłeś nas

wydać!

W tym samym momencie plażę zaalało oślepiające światło reflektorów łukowych. Abu odwrócił się i zdał sobie sprawę, że zostali otoczeni przez setki żołnierzy w polowych mundurach koloru khaki. Zza wydm wypadli komandosi z Groupment de Commando tunezyjskiej Gardę Nationale. W ludzi Abu celowały lufy karabinów maszynowych, a dobiegający z góry łoskot był znakiem, że nadlatuje kilkanaście śmigłowców szturmowych.

Wybuchła kanonada i już po chwili ludzie Abu leżeli na piasku, podrygując niczym szmaciane kukły. Ich przeraźliwe krzyki gwałtownie ucichły, ich nienaturalnie poskręcane ciała zastygły bez ruchu na ziemi. Jeszcze jedna seria, jeszcze dwie i strzelanina umilkła. Zapadła upiorna cisza. Ocalili jedynie Abu Intiaqab i Technik, gdyż do nich nie strzelano. Jednakże Abu, który był w stanie myśleć tylko o człowieku, który go zdradził, nie zważał na żołnierzy wroga. Mocniej ścisnął zakrzywiony sztylet i ruszył do ataku. Ciężko ranny Technik próbował się bronić, lecz zamiast unieść ręce, powoli osunął się na piasek. Osłabł, stracił zbyt dużo krwi. Abu wziął potężny zamach i już miał zadać śmiertelny cios, gdy wtem chwyciły go od tyłu czyjeś ręce, czyjeś kolana przygniotły go do ziemi.

Gdy żołnierze brali ich do niewoli, patrzył na nich z lekceważeniem i pogardą. Nie obawiał się tunezyjskiego rządu. Nie obawiał się żadnego rządu. Często mawiał, że w rządach zasiadają sami tchórze, że prędzej czy później uwolnią go pod pretekstem przestrzegania norm „prawa międzynarodowego”, „ekstradycji” i „repatriacji”. Za kulisami sceny politycznej dobiją targu i po cichu go wypuszczą, skrzętnie zatajając wiadomość, że kiedykolwiek przebywał w tym czy innym kraju. Żaden rząd nie chciał ściągnąć na siebie gniewu bojowników Hezbollahu. Żaden rząd nie chciał brać na siebie odpowiedzialności za kampanię terroru, którą by natychmiast rozpętał.

Zamiast stawiać opór, Abu rozluźnił mięśnie, tak że żołnierze musieli go wlec. Gdy mijali Technika, plunął mu w twarz i syknął:

- Wkrótce znikniesz z tego świata, łotrze! Zdradziłeś nas i umrzesz!

Gdy go zabrano, żołnierze przytrzymujący Technika ostrożnie położyli go na noszach. Podszedł do nich dowódca w stopniu kapitana. Rzucił rozkaz i żołnierze odeszli. Tunezyjczyk przyklęknął i zbadał ranę. Technik wykrzywił twarz, lecz ani drgnął.

- Boże, to cud, że nie straciłeś przytomności! - powiedział po angielsku z silnym obcym akcentem. - Jesteś ciężko ranny. Straciłeś mnóstwo krwi.

Mężczyzna zwany Technikiem z trudem podniósł rękę.

- Gdyby wasi ludzie zareagowali na sygnał trochę szybciej, do niczego by nie doszło. - Odruchowo dotknął zegarka, w który wbudowano miniaturowy nadajnik wysokiej częstotliwości.

Kapitan zignorował przytyk i wskazał jeden z krążących nad plażą śmigłowców.

- SA-341 zabierze cię do szpitala rządowego w Maroku. Twoja prawdziwa tożsamość jest tajemnicą, tak samo jak tożsamość twoich chlebodawców, dlatego nie mam prawa o nic cię pytać, ale mam dobry pomysł...

- Padnij! - wychrypiał Technik. Błyskawicznie sięgnął za pazuchę, wydobył automatyczny pistolet i oddał pięć strzałów. W pobliskiej kępie palm rozległ się przeraźliwy krzyk i z wierzchołka jednej z nich runął na ziemię strzelec wyborowy ze snajperką w kurczowo zaciśniętej dłoni. Jeden z żołnierzy Al-Nahda cudem przeżył masakrę.

- Na wszechmocnego Allacha! - wykrzyknął przerażony kapitan. Powoli podniósł głowę i rozejrzał się wokoło. - Myślę, że jesteśmy kwita, ty i ja.

- Posłuchaj - szepnął słabym głosem Arab, który nie był Arabem. - Powiedz prezydentowi, że minister spraw wewnętrznych potajemnie sympatyzuje z Al-Nahda, że należy do spiskowców, którzy chcieli zdobyć pałac. Jest w zмовie z ministrem obrony narodowej, są jeszcze inni...

Nie dokończył. Z upływu krwi stracił przytomność.

# Część I

# Rozdział I

Waszyngton Pięć tygodni później

Wycarterowany pasażerski samolot odrzutowy wylądował na prywatnym lotnisku trzydzieści dwa kilometry na północny zachód od Waszyngtonu. Chociaż pasażer, którego przewoził, był jedynym pasażerem na pokładzie, nikt się do niego nie odzywał, nie licząc stewardesy, która podawała mu posiłki i napoje. Nikt nie znał jego nazwiska. Wiedzano jedynie, że to ktoś niezwykle ważny, nic więcej. Ich numer lotu nie figurował w żadnych rozkładach, ani cywilnych, ani wojskowych.

Bezimienny pasażer wszedł do nieoznakowanej limuzyny, która zawiozła go do centrum stolicy. Koło Dupont Circle pasażer kazał kierowcy stanąć, po czym wysiadł. W nierzucającym się w oczy szarym garniturze i mocno znoszonych skórzanych mokasynach wyglądał jak jeden z tysięcy urzędników średniego szczebla czy mało znaczących lobbystów, dlatego bez trudu wmieszał się w tłum bezbarwnych, anonimowych biurokratów, którzy wypełniali ulice Waszyngtonu. Nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi.

Wyszedł z parkingu i mocno kulejąc, ruszył sztywno w stronę trzypiętrowego budynku na skrzyżowaniu Dwudziestej Pierwszej i 1324 K Street. Budynek - beton i przyćmione szkło - nie wyróżniał się niczym szczególnym i był bardzo podobny do niskich, pudełkowatych i nijakich gmachów, od których roilo się w tej części stolicy; mieściły się w nich głównie biura, siedziby przeróżnych organizacji, instytucji, grup lobby-stycznych i zarządów oraz biura podróży. W ścianę przy frontowych drzwiach wmurowano dwie mosiężne tabliczki z napisami informującymi, że budynek ten należy do Zarządu Amerykańskich Przedsiębiorstw Innowacyjnych oraz do Dyrekcji Amerykańskiej Izby Handlu Międzynarodowego.

Jedynie znakomicie wyszkolony i doświadczony inżynier dostrzegłby kilka odbiegających od normy szczegółów. Ot, choćby to, że na wszystkich okiennych ramach zamontowano piezoelektryczne oscylatory, zapobiegające próbom ewentualnego podsłuchu laserowo-akustycznego, a na dachu cewki generatora białego szumu, które otaczały budynek ekranem fal radiowych, uniemożliwiających jakikolwiek podsłuch elektroniczny.

Pracujący po sąsiedzku urzędnicy - łysiejący prawnicy i posepni księgowi w krawatach i koszulach z krótkimi rękawami zatrudnieni w powoli upadającej firmie konsultingowej - z pewnością tych urządzeń nie zauważyli. W ogóle nie zauważyli nic podejrzanego. Bo niby dlaczego mieli coś zauważyć? Ludzie wchodzili tam rano, wychodzili wieczorem. Śmieci wyrzucano w wyznaczone dni, jak Pan Bóg przykazał, do pojemników w bocznej uliczce. Co mogło ich zaciekawić? Nic. I właśnie o to chodziło szefom Dyrektoriatu. Dlaczego? Dlatego, że pod latarnią jest zawsze najciemniej.

Mężczyzna westchnął i wykrzywił usta w lekkim uśmiechu. Bo kto mógłby podejrzewać, że najtajniejsza ze wszystkich tajnych agencji na świecie ma swoją siedzibę tu, na otwartym widoku, w zwykłym, szarym budynku w połowie zwykłej urzędniczej ulicy, pośród zwykłych szarych domów?

Centralna Agencja Wywiadowcza w Langley w Wirginii i Agencja Bezpieczeństwa Narodowego w Fort Meade w Marylandzie mieściły się w potężnie obwarowanych fortcach, których nie sposób było nie zauważyć. Ba, robiły wszystko, żeby rzucać się w oczy! Oto jesteśmy! - krzyczały. Tutaj! Zwróć na nas uwagę! Prowokowały przeciwników, rzucały im jawne wyzwanie: proszę, spróbujcie nas zinfiltrować - i do infiltracji nieuchronnie dochodziło. W porównaniu z Dyrektoriatem tak zwana tajna biurokracja rządowa była odcięta od rzeczywistości jak Amerykański Urząd Pocztowy.

Mężczyzna stanął przed mosiężną tabliczką, na której zamontowano coś, co na pierwszy rzut oka do złudzenia przypominało zwyczajny domofon, jaki spotyka się w biurach na całym świecie. Podniósł słuchawkę i palcem wskazującym prawej ręki wprowadził odpowiedni kod.

Weisnawszy ostatni guzik, przytrzymał palec do chwili, gdy w słuchawce rozległ się cichutki pisk: znak, że jego linie papilarne zostały elektronicznie zeskanowane, przeanalizowane, porównane z liniami papilarnymi w bazie danych i pozytywnie rozpoznane. Po chwili w słuchawce zabrzmiały trzy krótkie sygnały i bezosobowy, mechanicznie brzmiący kobiecy głos spytał go, w jakiej sprawie przychodzi.

- Jestem umówiony z panem Mackenzi.

W ciągu kilku sekund słowa te zostały rozłożone na bloki bitów, które następnie porównano z wzorcem głosowym z innej bazy danych. Identyfikacja musiała wypaść pomyślnie, ponieważ rozległ się cichy bzyk, który oznaczał, że ciężkie, kulo odporne drzwi są otwarte. Mężczyzna powiesił słuchawkę, pchnął je i wszedł do pomieszczenia przypominającego niewielki przedpokój. Tu ponownie odczekał kilka sekund, dopóki trzy niezależnie działające kamery wysokiej rozdzielczości nie obfotografowały jego twarzy i nie porównały jej z wizerunkiem przechowywanym w komputerach Dyrektoriatu.

Wówczas otworzyła się druga para drzwi i wszedł do małego, nijakiego holu o białych ścianach, wyposażonego w dobrze zamaskowane wykrywacze metalu, zdolne wykryć wszelkiego rodzaju broń. Na marmurowym blacie w kącie holu leżała sterta prospektów reklamowych ze znakiem firmowym Amerykańskiej Izby Handlowej, organizacji, która istniała tylko w sądowych rejestrach i w dokumentach prawniczych. Prospekty zawierały jedynie niestrawne frazesy na temat znaczenia i roli handlu międzynarodowego. Gdy ponury strażnik dał mu znak, mężczyzna otworzył kolejne drzwi i wkroczył do elegancko urządzonego pomieszczenia o wykładanych ciemnoorzechową boazerią ścianach, w którym za biurkami siedziało sześciu urzędników. Przypominało to wnętrze szykownej galerii sztuki przy Pięćdziesiątej Siódmej na Manhattanie lub sekretariat dobrze prosperującej kancelarii prawniczej.

- Nick! - wykrzyknął Chris Edgecomb, zrywając się sprzed monitora. - Mój as! - Urodzony w Gujanie, zwinny, szczupły i wysoki, miał brązową cerę i zielone oczy. W Dyrektoriatcie pracował od czterech lat: jako szef zespołu łącznościowo-koordynacyjnego odpowiadał za kontakty z zagrożonymi agentami operacyjnymi i za przekazywanie im niezbędnych informacji. Serdecznie uściśnął mu rękę.

Nicholas Bryson wiedział, że w oczach ludzi takich jak Edgecomb, a więc tych, którzy pragnęli przejść do wydziału operacyjnego, był kimś w rodzaju bohatera. „Wstąp do Dyrektoriatu i zmień świat” - ilekroć Chris wypowiadał tę żartobliwą maksymę, miał na myśli właśnie Nicka. Urzędnicy i personel pomocniczy rzadko kiedy widywali agentów osobiście, twarzą w twarz. Trafiła mu się wyjątkowa gratka.

- Byłeś ranny? - rzucił ze współczuciem. Miał przed sobą silnego, rosnącego mężczyznę, który niedawno wyszedł ze szpitala. Nie czekając na odpowiedź, spieszenie dodał: - Pomodlę się za ciebie do świętego Krzysztofa. Za dwa dni będziesz jak nowo narodzony.

Naczelną i niepodważalną dewizą Dyrektoriatu była fragmentaryzacja i hermetyczność poszczególnych wydziałów. Każdy agent czy urzędnik

wiedział tylko tyle, ile powinien, więc w żaden sposób nie mógł narazić na niebezpieczeństwo całej organizacji. Jej schematu i struktury nie ujawniano nawet najstarszym wyjadaczom, choćby takim jak Bryson. Owszem, Nick znał kilku urzędników, jednak personel operacyjny pracował niezależnie, w całkowitym odosobnieniu, za pośrednictwem odrębnych, specjalnie wydzielonych sieci komunikacyjnych. Jeśli agenci musieli pracować razem, znali jedynie swoją legendę, tymczasową przykrywkę. Poza tym o partnerze nie wiedzieli nic. To nie była zwyczajna zasada: to był dyktat, święty nakaz.

- Dobry z ciebie człowiek, Chris.

Edgecomb uśmiechnął się skromnie i wskazał palcem sufit. Wiedział, że Bryson jest umówiony z szefem, samym Tedem Wallerem. A może został przez niego wezwany?

Nick klepnął Chrisa w ramię i ruszył do windy.

- Nie wstawaj - rzucił ciepło, wchodząc do mieszczącego się na drugim piętrze gabinetu.

Lecz Waller już wstał. Mierzył metr dziewięćdziesiąt, ważył sto trzydzieści dwa kilogramy - było na co popatrzeć.



- Boże święty, jak ty wyglądasz? - Otaksował go spojrzeniem. - Jakbyś wyszedł z obozu jenieckiego.

- Poleż trzydzieści trzy dni w amerykańskiej klinice rządowej w Maroku i też będziesz tak wyglądał - odparł Bryson. - To nie Ritz.

- Może i ja dorwę jakiegoś obłąkańca, który wypruje ze mnie flaki. - Waller poklepał się po obfitym brzuchu. Fakt, brzuch był jeszcze większy niż poprzednio, choć szykowny, kaszmirowy garnitur dobrze go maskował, tak samo jak kołnierzyk eleganckiej koszuli od Turnbulla & Assera doskonale skrywał jego byczy kark.

- Nick, mam wyrzuty sumienia. Zadręczam się tu prawie od dwóch miesięcy. Powiadają, że załatwił cię bułgarskim nożem, takim ząbkowanym. Dźgnął i przekręcił. Strasznie to prymitywne, acz nader skuteczne. I pomyśleć, że musimy mieć do czynienia z takimi ludźmi. Nigdy nie zapominaj, że zwykle dopada cię to, czego nie widzisz. - Waller usiadł ciężko w miękkim skórzanym fotelu za dębowym biurkiem.

Przez okno wpadały rozmyte promienie popołudniowego słońca. Bryson też usiadł. Czuł się nieswojo. Nie nawykł do oficjalnych rozmów. Poza tym Waller, zwykle krzepki i rumiany, był blade i miał mocno podkrążone oczy.

- Powiadają, że szybko wracasz do zdrowia.

- Za kilka tygodni będę jak nowy. Przynajmniej tak twierdzą lekarze. Powiedzieli, że nie muszę się już martwić o wyrostek robaczkowy. Nie ma to jak drobne korzyści uboczne. - Wypowiadając te słowa, poczuł tępy ból po prawej stronie podbrzusza.

Rozkojarzony Waller skinął głową.

- Wiesz, dlaczego tu jesteś?

- Jeśli uczeń dostaje wezwanie od dyrektora, spodziewa się reprimendy. - Choć powiedział to lekko, żartem, był spięty i przygnębiony.

- Reprimendy... - powtórzył enigmatycznie Waller. Milczał chwilę, spoglądając na oprawione w skórę książki na półce przy drzwiach. Potem przeniósł wzrok na Brysona i łagodnym, zbolalym głosem dodał: - Dyrektoriat nie publikuje swoich schematów organizacyjnych, ale na pewno domyślasz się, jaką ma strukturę. Decyzje, szczególnie te dotyczące kluczowego personelu, nie przechodzą przez moje biurko. Chociaż obaj cenimy sobie lojalność - diabła tam, większość naszych ją sobie ceni - rządzi tu zimny, bezduszny pragmatyzm. Dobrze o tym wiesz.

Bryson miał w życiu tylko jedną poważną pracę: właśnie tę. Mimo braku doświadczenia w rozmowach z przełożonymi wyczuł, że zaraz może ją stracić. Jednakże zwalczył w sobie chęć obrony. Obrona była nie do pomyślenia, stała w sprzeczności z podstawowymi zasadami obowiązującymi w Dyrektoracie. Przypomniała mu się jedna z ulubionych maksym Wallera: „Coś takiego jak pech nie istnieje”. Przyszło mu też do głowy inne powiedzonko:

- Wszystko dobre, co się dobrze kończy. A wszystko się dobrze skończyło.

- Omal cię nie straciliśmy - odparł Waller. - My, a zwłaszcza ja - dodał posepnie jak nauczyciel przemawiający do ucznia, który go zawiódł.

- To nieistotne - odrzekł spokojnie Bryson. - W terenie nie zawsze przestrzega się ustalonych reguł. Sam mnie tego uczyłeś. Trzeba improwizować, iść za głosem instynktu. Teoria teorią, praktyka praktyką.

- Tracąc ciebie, mogliśmy stracić Tunezję. W takich przypadkach działa efekt domina: jeśli już interweniujemy, robimy to z odpowiednim wyprzedzeniem, żeby interwencja odniosła pożądany skutek. Każda akcja jest starannie przemyślana, każda reakcja starannie wyważona, każdy parametr starannie wyliczony i przeanalizowany. Mało brakowało i musielibyśmy odwołać kilka tajnych operacji, i to nie tylko w krajach Maghrebu. Mogło zginąć wielu ludzi, Nick, wielu agentów i cywili. Dobrze wiesz, że życiorys Technika był ściśle sprzężony z innymi stworzonymi przez nas życiorysami. A ty dałeś się zdekonspirować. Zmarnowałeś kilka lat ciężkiej pracy setek ludzi!

- Chwila, moment...

- Dałeś im wadliwą amunicję. I co? Myślałeś, że nie będą cię podejrzewali?

- Cholera jasna, amunicja miała być dobra!

- Ale nie była. Dlaczego?  
- Nie mam zielonego pojęcia!  
- Sprawdzales?  
- Tak! Nie! Nie wiem. Do głowy mi nie przyszło, że coś może nawalić.  
- To poważny błąd, Nicky. Zaprzepaściliście wiele lat przygotowań, wiele lat starannego planowania. Naraziłeś na niebezpieczeństwo naszych najcenniejszych agentów. Mogli przez ciebie zginąć! O czym ty, do diabła, myślałeś?  
Bryson milczał.  
- Wrobili mnie - odrzekł po chwili.  
- Kto? Jakim cudem?  
- Nie wiem.  
- Skoro cię wrobili, musieli cię podejrzewać, prawda?  
- Nie wiem.  
- Tego też nie wiesz? Nie są to słowa wzbudzające zaufanie. Nie takie pragnąłem usłyszeć. Byłeś naszym najlepszym agentem. Co się stało, Nick?  
- Może... Może rzeczywiście coś spieprzyłem. Myślisz, że się nad tym nie zastanawiałem?  
- Unikasz odpowiedzi.  
- Może po prostu jej nie ma, przynajmniej na razie.  
- Nie możemy pozwolić sobie na błędy. Nie możemy tolerować nieostrożności. Ani ty, ani ja, ani żaden z nas. Owszem, istnieje pewien margines błędu, ale nie wolno go przekraczać. Dyrektoriat nie przymknie na to oka. Nigdy. Wiesz o tym, odkąd zacząłeś tu pracować.  
- Uważasz, że mogłem zrobić coś inaczej czy że ktoś inny mógł zrobić to lepiej?  
- Byłeś najlepszym agentem, jakiego kiedykolwiek mieliśmy. Ale, jak już mówiłem, tego rodzaju decyzje zawsze podejmuje góra. Ja je tylko wykonuję.  
Brysona przeszedł zimny dreszcz. Waller zdystansował się już od wszelkich konsekwencji związanych z jego zwolnieniem. On, Ted Waller, mistrz, szef i przyjaciel, człowiek, który przed piętnastu laty był jego nauczycielem. Nadzorował jego pracę, osobiście zapoznawał go ze szczegółami akcji, którymi kierował na początku swojej kariery. Był to nie lada zaszczyt i Bryson doceniał jego starania nawet po tylu latach. Waller należał do najinteligentniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek znał. Rozwiązywał w pamięci równania różniczkowe, miał olbrzymią wiedzę geopolityczną. Jego tusza była bardzo myląca. Kiedyś poszli razem na strzelnicę. Ted stanął dwadzieścia jeden metrów od tarczy i rozprawiając beztrudnie o żalonym upadku angielskiego krawiectwa, wystrzelał osiem dziesiątek. Dwudziestka dwójka dosłownie ginęła w jego wielkiej, pulchnej i miękkiej dłoni - władał nią jak dodatkowym palcem.  
- Użyłeś czasu przeszłego. Czy to *znaczy*, że już nie jestem?  
- Chciałem powiedzieć to, co powiedziałem - odparł cicho Waller. - Nigdy w życiu nie pracowałem z lepszym agentem i wątpię, czy kiedykolwiek będę.  
Nick należał do ludzi spokojnych i opanowanych, a długotrwałe szkolenie i doświadczenie nauczyły go zachowywać kamienną twarz. Mimo to serce waliło mu jak młotem. „Byłeś najlepszym agentem, jakiego kiedykolwiek mieliśmy”. Brzmiało to jak hołd, a hołd jest nieodłącznym elementem rytuału pożegnania. Doskonale pamiętał reakcję Wallera na jego pierwszy spektakularny sukces: zapobieżenie zabójstwu pewnego prezydenta, umiarkowanego reformatora z Ameryki Południowej. Była bardzo wstrzemięźliwa. „Nieźle” - powiedział, ściągając usta, żeby się nie uśmiechnąć. Żadna inna pochwała nie sprawiła mu większej przyjemności. Teraz już wiedział, że kiedy otwarcie powie komuś komplementy, wyrzucają go tym samym z pracy.  
- Nick, nikt inny nie dokonałby tego, czego dokonałeś na Komorach. Gdyby nie ty, kraj wpadłby w łapy tego szaleńca pułkownika Denarda. W Sri Lance ocaliłeś życie tysiącom ludzi po obu stronach barykady, wykrywając kanały przerzutu broni. A to, co zrobiłeś na Białorusi? Ci z GRU wciąż nie mają pojęcia, jak to się stało, i pewnie nigdy nie będą mieli. Niechaj politycy wypełniają puste pola, ponieważ są to pola nakreślone przez nas, zwłaszcza przez ciebie. Historycy? Niech sobie szukają, niech badają. Do niczego nie dojdą i tak jest

chyba lepiej. Ale my swoje wiemy, prawda?

Bryson nie odpowiedział. Pytanie było retoryczne.

- Teraz z innej beczki, Nick. Szefostwo zaczyna mnie wypytywać o Banque du Nord...

Banque du Nord, jeden z tunezyjskich banków. Bryson spenetrował go, żeby wykryć kanały, którymi przesyłano wyprane pieniądze na konta Hezbollahu i samego Abu: pieniądze na sfinansowanie zamachu stanu w Tunisie. Pewnego wieczoru półtora miliarda dolarów po prostu wyparowało, zniknęło w cyberprzestrzeni. A konkretnie gdzie? Nie wykryło tego nawet wielomiesięczne śledztwo. Sprawa była niejasna, a Dyrektoriat nie lubił niejasnych spraw.

- Sugerujesz, że się obłowilem?

- Ależ skąd. Ale rozumiesz chyba, że od podejrzeń się nie uwolnisz. Gdy brakuje odpowiedzi, pytania uparczywie powracają...

- Miałem mnóstwo lepszych okazji. Bardziej lukratywnych i o wiele dyskretniej szych.

- Wiem. Sprawdzaliśmy cię i zdałeś test z wyróżnieniem. Kwestionuję jedynie samą metodę. Wykorzystując podstawionych ludzi, przekazałeś pieniądze na konta kolegów Abu, żeby kupić od nich niezbędne informacje.

- Właśnie na tym polega improwizacja. Za to mi płacicie. Za umiejętność samodzielnego podejmowania decyzji w chwili, gdy decyzję trzeba podjąć. - Bryson zmarszczył brwi. - Chwileczkę. Nigdy mnie o to nie pytałeś.

- Powiedziałeś nam wszystko sam, z własnej woli.

- Bzdura... O Chryste. Naszpikowaliście mnie jakimś świństwem, tak?

Waller się zawahał. Trwało to ledwie ułamek sekundy, jednak wystarczyło: Bryson znał już odpowiedź. Ted Waller umiał kłamać. W razie potrzeby łągał gładko i bez najmniejszego trudu, ale zawsze uważał, że uczniowi i staremu przyjacielowi kłamać nie wypada, że to niesmaczne.

- Źródła naszych informacji są ściśle tajne, Nick. Dobrze o tym wiesz.

Nareszcie zrozumiał, dlaczego tak długo trzymali go w amerykańskiej klinice w Laayoune. Środki chemiczne podawano bez wiedzy pacjenta, najczęściej w kroplówce.

- Cholera jasna, co to wszystko znaczy? Jaki z tego wniosek? Że już mi nie ufacie? Nie mogliście mnie po prostu przesłuchać? Myślisz, że co? Że świadomie bym coś zataił? Że nic, tylko chemikalia? Chryste, musieliście to zrobić bez mojej wiedzy?

- Czasami bywa tak, że najskuteczniejszą metodą śledztwa jest przesłuchanie, podczas którego przesłuchiwany nie jest w stanie ocenić tego, co leży w jego najlepszym interesie.

- Myśleliście, że skłamię, żeby chronić swój tyłek? Waller odpowiedział głosem cichym, spokojnym i mrozącym krew w żyłach.

- Kiedy stwierdzamy, że nie można komuś ufać w stu procentach, wyciągamy odpowiednie wnioski, przynajmniej tymczasowo. Nie znosimy tego, ani ty, ani ja, ani nikt inny, ale ta brutalna zasada obowiązuje we wszystkich agencjach wywiadowczych. Zwłaszcza w agencjach równie tajnych, może nawet paranoidalnie tajnych, jak nasza.

Tajność posunięta do paranoi. Już przed laty Bryson odkrył, że Waller i jego koledzy z szefostwa Dyrektoriatu są święcie przekonani, iż w

Centralnej Agencji Wywiadowczej, Wojskowej Agencji Wywiadowczej, a nawet w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego roi się od wtyczek i szpiegów, że wszystkie te organizacje są skrupowane regulaminami i toczą beznadziejną, niekończącą się wojnę na dezinformację z wrogimi sobie odpowiednikami. Ponieważ były oficjalnymi instytucjami rządowymi, ponieważ Kongres otwarcie zatwierdzał ich budżet, Waller lubił nazywać je papierowymi tygrysami. Kiedyś, w pierwszych dniach pracy, Bryson spytał go niewinnie, czy nie sensowniej by było nawiązać z nimi współpracę. Waller parsknął śmiechem.

- Z papierowymi tygrysami? Mielibyśmy zagrać w otwarte karty? Dać im do zrozumienia, że w ogóle istniejemy? Nie lepiej od razu napisać do „Prawdy”?

Zawsze uważał, że amerykańskie służby wywiadowcze przeżywają głęboki kryzys, że kryzys ten wykracza daleko poza odwieczny problem infiltracji. Prawdziwym tego zwierciadłem był, jego zdaniem, kontrwywiad.

- Skłamał wrogowi - mawiał - potem uważnie go śledź, a kłamstwo do ciebie wróci. Tylko że ostatnio kłamstwo coraz częściej staje się prawdą, ponieważ coraz częściej uznaje się za informację wywiadowczą. To tak jak z szukaniem wielkanocnych jajek. Ilu ludzi zrobiło karierę na mozolnym odgrzebywaniu jajek, które ich koledzy mozolnie zagrzebali? Jajek pięknych, kolorowych, ale nieprawdziwych.

Przegadali wtedy niemal całą noc. Tam, na dole, w podziemnej bibliotece Dyrektoriatu, w zacisznej sali wyłożonej siedemnastowiecznymi kurdyjskimi dywanami i ozdobionej starymi angielskimi obrazami przedstawiającymi wierne, rasowe psy niosące w pysku dzikie ptactwo.

- Dostrzegasz w tym znamię geniuszu? - kontynuował Waller. - Każda operacja przeprowadzona przez CIA, sknocona czy udana, prędzej czy później zostanie wywleczona na światło dzienne i poddana publicznej krytyce. W przeciwieństwie do operacji przeprowadzonych przez nas, bo nas po prostu nie ma. - Bryson wciąż pamiętał cichy grzechot kostek lodu w ciężkiej, kryształowej szklance z bourbonem z beczki, za którym przepadał Ted.

- Tak, ale to, że działamy ukradkiem, nielegalnie, niemal jak bandyci, ma też liczne minusy - zauważył Nick. - Ot, choćby kwestia odpowiednich środków.

- Zgoda, bogatych środków nie mamy, lecz nie mamy też biurokracji, nie krępują nas żadne restrykcje. Biorąc pod uwagę szczególny rodzaj i zakres działalności, jest to dla nas niezwykle korzystne. Dowodzi tego lista naszych osiągnięć. Kiedy możesz improwizować i pracować z doraźnie zorganizowanymi zespołami ludzi na całym świecie, kiedy nie musisz unikać zbyt agresywnych interwencji, wystarczy ci jedynie kilkudziesięciu dobrze wyszkolonych agentów. Wykorzystujesz sytuację. Sterujesz wydarzeniami, koordynujesz pożądane efekty. I wygrywasz. Nie potrzebujesz ani biurokracji, ani związanych z nią kosztów. Wystarczy sama inteligencja.

- I krew - dodał Bryson, który mimo krótkiego wówczas stażu pracy zdążył już sporo zobaczyć. - I krew.

Waller wzruszył ramionami.

- Józef Stalin, największy potwór naszych czasów, ujął to kiedyś bardzo zgrabnie: nie zrobisz omletu, nie tłukąc jajek. - Potem mówił o współczesnej Ameryce, o brzemieniu imperium, które na niej ciąży. O dziewiętnastowiecznym imperium brytyjskim i ówczesnym parlamencie, który przez pół roku debatował nad propozycją wysłania sił ekspedycyjnych na odsiecz generałowi od dwóch lat obleganemu przez wrogą armię. Tak samo jak jego koledzy z Dyrektoriatu był zagorzałym zwolennikiem liberalnej demokracji, lecz wiedział również, że nie da się jej utrzymać, stosując -jak lubił to nazywać - dżentelmeńskie reguły walki markiza Queensbury'ego. Uważał, że jeśli przeciwnik ucieka się do podłego podstępu, zwalczyć go trzeba podłym podstępem.

- Jesteśmy złem koniecznym - mówił. - Ale nie popadaj w zarozumiałość. Zło to tylko rzeczownik. Działamy poza granicami prawa. Nikt nas nie kontroluje, nikt nie narzuca nam reguł. Czasami nawet ja czuję się nieswojo, wiedząc, że istniejemy. - Zagrzechotały kostki lodu i Waller dopił resztkę bourbona.

Nick Bryson znał wielu fanatyków, przyjaciół i wrogów, i w kontrowersyjności poglądów Wallera odnalazł swoiste ukojenie. Zdawał sobie sprawę, że nie dorównuje mu inteligencją, że brakuje mu jego błyskotliwości, cynizmu, a nade wszystko płomiennego, niemal wstydlwego idealizmu, który był niczym promień słońca wpadający do pokoju przez szczelinę między zaciągniętymi kotarami.

- Mój przyjacielu - powiedział na zakończenie Ted. - Istniejemy po to, by stworzyć świat, w którym nie będziemy potrzebni.

Do gabinetu wpadało popielate światło wczesnego popołudnia. Waller położył ręce na biurku, jakby zbierał się w sobie przed czymś nieprzyjemnym.

- Nick, wiemy, że bardzo przeżywasz odejście Eleny...

- Nie chcę o niej rozmawiać - warknął Bryson. Czuł, że na czole pulsuje mu żyła. Przez wiele lat Elena była jego żoną, najlepszą przyjaciółką i kochanką. Przed pół rokiem, gdy korzystając z „czystej” linii

telefonicznej, zadzwonił do niej z Trypolisu, oznajmiła, że odchodzi. Nie skutkowały żadne argumenty. Podjęła decyzję i kropka, nie było o czym rozmawiać. Jej słowa zraniły go bardziej niż zębaty sztylet Abu. Kilka dni później, gdy pod pozorem zakupu broni dla terrorystów przyjechał do kraju na odprawę, już nie zastał jej w domu.

- Posłuchaj. Zrobiłeś dla świata więcej dobrego niż jakikolwiek inny agent. - Waller zamilkł, po czym z rozmysłem dodał: - Jeśli cię teraz nie powstrzymam, stracisz to, co zdobyłeś.

- Zgoda, może i zawałem - odrzekł głucho Bryson. - Ale tylko raz. Do niczego więcej się nie przyznam. - Targi nie miały sensu, lecz nie mógł się powstrzymać.

- I zawałisz ponownie - odparł beznamiętnie Waller. - Istnieje coś, co nazywamy „wydarzeniami uprzedzającymi”. To nasz wewnętrzny system wczesnego ostrzegania. Pracujesz tu od piętnastu lat i przez ten czas byłeś doskonały, najlepszy, nie do pobicia. Piętnaście lat! Nick, wiek agenta operacyjnego liczy się jak wiek psa. Coraz trudniej się koncentrujesz, jesteś wypalony, a najbardziej przerażające jest to, że nawet o tym nie wiesz.

Czy rozpad jego małżeństwa też był „wydarzeniem uprzedzającym”? Waller mówił spokojnie, rozsądnie i logicznie, jak to on, tymczasem jego zalała fala zupełnie innych uczuć, wśród których dominowała wściekłość.

- Moje umiejętności...

- Nie mówię o twoich umiejętnościach. Pod względem sprawności i wyszkolenia technicznego wciąż jesteś asem nad asami. Mówię o wstrzeźliwości, powściągliwości. O zdolności do reakcji pasywnych. Tę zdolność traci się najpierw. I nie sposób jej odzyskać.

- W takim razie może wyślij mnie na krótki urlop. - W głosie Brysona zabrzmiała nutka rozpaczy i desperacji. Czuł do siebie obrzydzenie.

- Dobrze wiesz, że Dyrektoriat nie przyznaje urlopów wypoczynkowych - odrzekł oschle Waller. - Nick, przez półtora dekady tworzyłeś historię. Teraz możesz ją studiować. Zwracam ci normalne życie.

- Życie... - powtórzył głucho Bryson. - A więc jednak wysyłacie mnie na emeryturę. Waller odchylił się w fotelu.

- Słyszałeś o Johnie Wallisie, jednym z najwybitniejszych angielskich szpiegów siedemnastego wieku? W latach czterdziestych siedemnastego stulecia współpracował z „okrągłogłowymi”, stronnikami Parlamentu, i rozszyfrowywał dla nich tajne pisma „kawalerów”, czyli rojalistów. Był jednym z założycieli Czarnej Izby, odpowiednika dzisiejszej Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Ale kiedy wycofał się z działalności wywiadowczej, wykorzystał swój niebywały talent jako profesor geometrii na uniwersytecie w Cambridge. Jako jeden z pierwszych wymyślił i zastosował rachunek różniczkowy i całkowity: przyspieszył czas. Kto był ważniejszy: Wallis szpieg czy Wallis naukowiec? Wycofanie się z interesu nie musi oznaczać przejścia na emeryturę.

Klasyczna replika, jedna z mądrych przypowieści Wallera; sytuacja była tak absurdalna, że Bryson omal nie parsknął śmiechem.

- Co dla mnie przewidziałeś? Pracę stróża nocnego, który z sześciostrażalową spluwą i pałką pilnuje stalowych belek w magazynie?

- *Integer vitae, scelerisque purus noneget Mauris jaculis, neque arcu, nec venenatis gravida saggittis pharetra.* Człowiek prawy i wolny od grzechu nie potrzebuje ani mauretańskiego oszczepu, ani łuku, ani ciężkiego kołczanu myśliwskich strzał. Horacy. Wszystko już załatwione. Rektor college'u w Woodbridge poszukuje wykładowcy historii Bliskiego Wschodu i właśnie znalazł wybitnego fachowca. Znasz od groma języków, masz dyplom, jesteś idealnym kandydatem.

Bryson poczuł, że odpływa, że wrywa się z oków ciała. Podobnego uczucia doznawał podczas akcji: unosił się wówczas i jakby szybował, obserwując wszystko zimnym, wyrachowanym okiem. Często rozmyślał o śmierci, o tym, że kiedyś przyjdzie mu zginąć: był na to przygotowany, zawsze brał to pod uwagę. Ale nigdy nie przypuszczał, że zwolnią go z pracy. A fakt, że zwalniał go Ted, jego ukochany mistrz, tylko pogarszał sprawę - nadawał jej charakter czysto osobisty.

- Nieodłączną częścią planu emerytalnego jest praca - kontynuował Waller. - Nie masz

zajęcia? Diabeł je dla ciebie wynajdzie. Znamy to z doświadczenia. Dać agentowi kupę szmalu i puścić go luzem, a natychmiast wpakuje się w kłopoty. To pewne jak dwa razy dwa. Potrzebny ci plan działania. Coś konkretnego i namacalnego. Jesteś urodzonym nauczycielem, Nick. Między innymi dlatego tak świetnie szło ci w terenie...

Bryson milczał, próbując odpędzić natrętne wspomnienia z akcji w małej południowoamerykańskiej prowincji, obraz twarzy widzianej przez snajperski celownik. Twarz należała do jego „ucznia”, dziewiętnastoletniego Latynosa imieniem Pablo, którego wyszkolił w sztuce minowania i rozbijania ładunków wybuchowych. Był twardym, lecz porządnym chłopcem. Jego rodzice mieszkali w górskiej wsi, którą zajęli maoistowscy rebelianci: gdyby się wydało, że Pablo kolaboruje z wrogiem, partyzanci natychmiast by ich zabili. Co więcej, na pewno zrobiliby to w sposób okrutny i wyrafinowany, gdyż z tego słynęli. Chłopak długo wahał się i miotał, w końcu doszedł do wniosku, że nie ma wyboru: żeby ocalić ojca i matkę, postanowił zdradzić, powiedzieć buntownikom wszystko, co wiedział o ludziach współpracujących z siłami prawa i porządku. Był twardym, porządnym dzieciakiem uwikłanym w sytuację, bez dobrego wyjścia. Bryson spojrzał mu w twarz przez lunetkę celownika - w twarz młodą, zboląłą i przerażoną - i zamknąwszy oczy, pociągnął za spust.

- Od dziś nazywasz się Jonas Barrett - mówił Waller. - Jesteś niezależnym uczonym, autorem sześciu znakomicie ocenionych artykułów prasowych. Cztery z nich opublikowałeś w „Dzienniku Studiów Bizantyjskich”; to zbiorówka: dzięki tobie nasi eksperci od Bliskiego Wschodu nie mieli przestojów. Umieją spłodzić cywilny życiorys, nieźle się na tym znają. - Podał mu kartonową teczkę. Teczka była żółta, co oznaczało, że tkwią w niej magnetyczne paski i że nie wolno wynosić jej poza budynek. Zawierała legendę, fikcyjną biografię. Jego biografię.

Przejrzał gęsto zapisane kartki: szczegóły życia uczonego samotnika, który władał dokładnie tymi samymi językami obcymi co on, Bryson, i którego umiejętności Bryson mógł sobie szybko przyswoić. Równie szybko mógłby się do Barretta upodobnić, choć nie pod każdym względem. Jonas Barrett był kawalerem. Jonas Barrett nie znał Eleny. Jonas Barrett nigdy jej nie kochał. Jonas Barrett za nią nie tęsknił. Jonas Barrett był fikcją - żeby ożył jako postać z krwi i kości, Nick musiałby pogodzić się ze stratą Eleny.

- Podanie zatwierdzono kilka dni temu. Ci z Woodbridge spodziewają się, że we wrześniu zawita do nich nowy adiunkt. Moim zdaniem spotyka ich wielkie szczęście.

- Czy mam w tej kwestii jakiś wybór?

- Och, moglibyśmy załatwić ci posadę w którejś z międzynarodowych firm konsultingowych. Albo w jednej z tych gigantycznych spółek naftowych. Ale nauczanie jest w sam raz dla ciebie. Z abstrakcjami zawsze radziłeś sobie równie dobrze, jak z faktami. Kiedyś myślałem, że przeszkodzi ci to w pracy, ale okazało się, że to twój największy atut.

- A jeśli nie zechcę się wycofać? Jeśli nie zechcę odejść spokojnie w cichą, łagodną noc? - Nie wiedzieć czemu przed oczyma stanął mu obraz zębatego noża. Muskularne ramie ponownie wzięło zamach, ponownie błysnęła stal...

- Nie rób tego, Nick. - Twarz Wallera była jak z kamienia.

- Jezu Chryste... - szepnął Bryson. Nie chciał, żeby zabrzmiało to tak boleśnie; bardzo tego żałował. Znał reguły gry: dobiły go nie tyle słowa, które słyszał, ile ten, który je wypowiedział. Waller nie rozwijał tematu, nie musiał. Nie dawał mu wyboru - Bryson dobrze wiedział, co czeka opornych. Taksówka, która nagle skręca, potraça przechodnia i znika. Bezbolesne ukłucie igłą, którego idący w ulicznym tłumie nawet nie czuje, by chwilę później umrzeć na zawał serca. Zwykły napad - w mieście szczycącym się najwyższym wskaźnikiem przestępczości to przecież codzienność.

- Taką wybraliśmy pracę - powiedział łagodnie Waller. - Towarzysząca jej odpowiedzialność jest ważniejsza od więzów krwi i przyjaźni. Chciałbym, żeby było inaczej. Nawet nie wiesz, jak bardzo. Swego czasu musiałem zatwierdzić... poświęcić trzech ludzi. Dobrych agentów, którzy zeszli na złą drogę. Może nawet nie tyle złą, ile nieprofesjonalną. Żyję z tym do dziś dnia. Ale gdybym musiał, bez chwili wahania zrobiłbym to ponownie. Trzech ludzi. Błagam

cię, Nick, nie bądź czwartym. - Prosił czy groził? A może prosił i groził?

Waller wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze.

- Daję ci życie, Nick. Dobre życie.

Jednakże to, co go czekało, nie było życiem -jeszcze nie. Było czymś w rodzaju odurzenia, amnezji, stanem mrocznej półśmierci. Przez piętnaście lat każdą komórką mózgu i każdym włóknem mięśniowym służył Dyrektoriatowi, wykonując bardzo niebezpieczne i wyczerpujące psychicznie misje. I nagle mu podziękowano. Nie odczuwał nic poza głęboką pustką. Dotarł do domu, pięknego kolonialnego domu w Falls Church, i z trudem go rozpoznał. Patrzył nań jak obcy człowiek. Na dom, na wybrane przez Elenę gustowne francuskie gobeliny, na pastelowe ściany pokoiku na górze, gdzie miało spać dziecko, którego nie mieli. Dom był pusty i pełen duchów. Nalał sobie pełną szklanekę wódki. Od tej chwili miał nie trzeźwieć przez wiele tygodni.

Wszędzie widział Elenę, wszędzie czuł jej zapach i smak. Dom był nią przesycony. Jakże mógł zapomnieć?

Siedzieli na pomoście przed letnim domkiem nad jeziorem w Mary-landzie, obserwując żaglówkę... Nalała mu kieliszek zimnego białego wina, pocałowała go i szepnęła:

- Tęsknię za tobą.

- Przecież tu jestem, kochanie.

- Teraz tak, ale jutro wyjedziesz. Do Pragi, do Sierra Leone, do Dżakarty, do Hongkongu... Bóg wie dokąd. I na jak długo.

Wziął ją za rękę. Wiedział, że czuje się samotna, i nie potrafił temu zaradzić.

- Zawsze wracam. Rozłąka sprzyja miłości. Znasz to powiedzenie?

- *Mai rarut, mai dragut*- powiedziała cicho, zadumana. - Ale wiesz, w moim kraju mówią co innego. *Celor ce duć mai mult dorul, lepare mai dulce odorul*. Rozłąka miłość podsyca, lecz bycie razem ją wzmacnia.

Fajne.

Pogroziła mu palcem.

- Ale powiadają też: *Proin departare dragostea se uita*. Jak to się mówi? Długo nieobecny, szybko zapomniany?

- Co z oczu, to i z serca.

- Właśnie. Szybko o mnie zapomnisz?

- Nigdy. Zawsze będziesz ze mną. - Poklepał się po piersi. - Tutaj.

Wiedział, że ci z Dyrektoriatu podsłuchują go i śledzą; miał to gdzieś. Gdyby doszli do wniosku, że im *zagraża*, już dawno by go zlikwidowali. Kupcie mi cysternę wody, pomyślał zgorzkniały, i zaoszczędzę wam kłopotu. Mijały dni, a on z nikim się nie widywał i z nikim nie rozmawiał. Może Waller popierał jego dymisję, wiedząc, że nie tylko rozłąka była przyczyną tego, że załamał się psychicznie. Bo przede wszystkim było nią odejście Eleny. Eleny, jego opoki, sensu istnienia. Znajomi powiadali, że był przy niej wyciszony i spokojny, lecz on spokojny nie był: spokój przynosiła Ele-na. Jak to nazywał Waller? Namiętna łagodność. Tak, namiętna łagodność.

Nie wiedział, że można kochać kogoś tak mocno, jak mocno ją kochał. W wirze kłamstw, gdzie przyszło mu pracować, była jedyną prawdą, na której mógł się wesprzeć. Jednocześnie ona też była szpiegiem - musiała być szpiegiem, w przeciwnym razie nie mogliby budować wspólnie życia. Ba, zaszła prawie na sam szczyt: pracowała w wydziale kryptografii, a z tymi z kryptografii nigdy nic nie wiadomo. Przechwytywali najróżniejsze wiadomości. Typowa często zawierała skrawki informacji wywiadowczych; ten, kto taki przekaz rozszyfrował, wchodził w posiadanie największych tajemnic rządowych Stanów Zjednoczonych, tajemnic, których nie miała prawa znać większość szefów Dyrektoriatu. Analitycy tacy jak Elena spędzali życie za biurkiem. Za jedyną broń mieli klawiaturę komputera, mimo to ich umysły wędrowały po świecie równie swobodnie, jak agenci operacyjni.

Boże, jak on ją kochał.

W pewnym sensie poznali się dzięki Tedowi Wallerowi, choć do pierwszego spotkania doszło w najmniej sprzyjających okolicznościach: podczas kolejnej misji.

Było to rutynowe zadanie, jedno z tych, które pracownicy Dyrektoriatu nazywali „kontrabandą”, nielegalnym przetrzuceniem ludzi przez granicę. Pod koniec lat osiemdziesiątych, kiedy Bałkany stały w ogniu, polecono mu ewakuować z Bukaresztu niejakiego Andreja Petrescu wraz z żoną i córką. Andreja Petrescu, genialny matematyk, prawdziwy rumuński patriota i uniwersytecki wykładowca, specjalizował się w kryptografii. Securitate, rumuńska służba bezpieczeństwa słynna z okrucieństwa i bezwzględności, zmusiła go do opracowania tajnych szyfrów, które miały być wykorzystane przez najwierniejszych zauszników rządowych Ceausescu. Andrej spełnił ich żądanie, lecz stanowczo odrzucił propozycję współpracy: chciał pozostać na uniwersytecie i nauczać, a poczynania bestialskich agentów Securitate znęcających się nad niewinnymi Rumunami mierzyły go i napawały odrazą. Na rezultaty nie musiał długo czekać. Na całą rodzinę nałożono areszt domowy, zabroniono im podróżować i nieustannie obserwowano. Jego córka Elena, dziewczyna równie błyskotliwa, jak on, ukończyła wydział matematyki i chciała pójść w ślady ojca.

W grudniu 1989 w Rumunii się zagotowało. Wybuchły zamieszki i protesty przeciwko zniechęconemu tyranowi, na co Securitate, gwardia pretoriańska Nicolae Ceausescu, odpowiedziała masowymi aresztowaniami i morderstwami. Na Bulwarze 30 Grudnia w Timisoarze zebrał się olbrzymi tłum demonstrantów. Wdarli się do siedziby rumuńskiej partii komunistycznej i zaczęli wyrzucać przez okna portrety „Geniusza Karpat”. Wojsko i agenci Securitate otworzyli ogień. Strzelano do nich dzień i noc, a stopy zabitych grzebano w masowych grobach.

Ogarnięty odrazą Petrescu postanowił wnieść swój udział do walki z tyranem. Znał najtajniejsze rządowe szyfry i doszedł do wniosku, że najwyższa pora przekazać je wrogom komunizmu: Ceausescu straciłby łączność ze swymi siepaczami, gdyż opozycja znalazłaby jego polecenia i rozkazy.

Petrescu długo się wahał. Czy nie narazi na niebezpieczeństwo ukochanej żony Simony i uwielbianej córki Eleny? Gdyby agenci Securitate odkryli, że zdradził - a odkryliby natychmiast, ponieważ tylko on znał kody źródłowe - on i jego rodzina zostaliby aresztowani i straceni.

Nie, musiał uciec. Za granicę. Ale żeby to zrobić, musiał najpierw nawiązać kontakt z kimś, kto mu pomoże. Z kimś potężnym, wpływowym, dysponującym odpowiednimi środkami, najlepiej z obcą agencją wywiadowczą, z CIA albo KGB, z kimś, kto byłby w stanie wywieźć z kraju i jego, i jego rodzinę.

Przerażony zaczął ostrożnie rozpytywać. Miał dużo znajomych, a znajomi mieli swoich znajomych. Złożył propozycję, postawił warunki. Brytyjczycy i Amerykanie umyli ręce. Rządy Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych nie wtrącały się w sprawy wewnętrzne Rumunii. Ofertę zdecydowanie odrzucono.

I nagle, któregoś ranka, skontaktował się z nim pewien Amerykanin, przedstawiciel agencji wywiadowczej działającej niezależnie od CIA. Tak, byli zainteresowani, chcieli mu pomóc. Mieli odwagę, której innym zabrakło.

Szczegóły operacyjne zostały opracowane przez najlepszych logistów Dyrektoriatu, wyczelowane przez Brysona i skonsultowane z Tedem Wallerem. Bryson miał wywieźć z Rumunii nie tylko matematyka z rodziną, ale i pięcioro innych dysydentów, dwóch mężczyzn i trzy kobiety, których uznano za cenne źródło informacji wywiadowczych. Dotarcie do Rumunii nie stanowiło większego problemu. Poleciał na Węgry, w Nyirabranzy wsiadł do pociągu i z autentycznym rumuńskim paszportem w kieszeni przekroczył granicę w Yalea Lui Mihai. Był w poplamionym kombinezonie, miał zrogowaciałe palce i twarde dłonie, wyglądał jak typowy kierowca - celnicy ledwie na niego spojrzeli. Kilka kilometrów za Yalea Lui Mihai czekała na niego ciężarówka podstawiona przez agenta Dyrektoriatu, stary rumuński ropniak, kompletny rzęch, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Naturalnie wóz został odpowiednio zmodyfikowany i gdyby ktoś otworzył tylną klapę, ujrzałby stertę skrzyń rumuńskiego wina i miejscowej śliwowicy, zwanej *tzuica*. Jednakże skrzyń było w sumie niewiele, ponieważ tuż za ich pierwszym i jedynym rzędem mieściło się duże pomieszczenie



dla przemycanych Rumunów.

Mieli czekać na niego w lesie

Bukaresztu. Bryson znalazł ich bez trudu: siedzieli na rozłożonych kocach niczym wielka rodzina na pikniku. Niby jedli, niby pili, lecz twarze mieli spięte i przerażone. Przywódcą całej grupy był niewątpliwie Andrej Petrescu, drobny mężczyzna w wieku sześćdziesięciu kilku lat, któremu towarzyszyła cicha, potulna kobieta o dużej, okrągłej twarzy, najpewniej żona.

Jednakże uwagę Brysona przykuli nie oni, lecz ich córka. Nigdy dotąd nie widział tak pięknej-dziewczyny. Dwudziestojednoletnia Elcua Pciiesuu - szczupła, zgrabna, o kruczoczarnych włosach i ciemnych, błyszczących oczach

- była w czarnej spódnicy i popielatym swetrze, a na głowie miała zawiązaną chustkę. Milczała i przyglądała mu się podejrzliwie. Bryson powitał ich po rumuńsku.

- *Buna ziua* — powiedział. - *Unde este cea mai apropiata statie Peco?*

- Gdzie jest najbliższa stacja benzynowa?

- *Sinteti pe un drum gresit*. Jedzie pan w złym kierunku - odrzekł matematyk.

Poszli za nim do ciężarówki, którą ukrył w kępie drzew. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami piękna Elena wsiadła do szoferki. Pozostali zajęli miejsce w przedziale za skrzyniami, gdzie Bryson zostawił kanapki i wodę, żeby mogli przetrwać długą podróż do węgierskiej granicy.

Przez kilka pierwszych godzin Elena milczała. Próbował ją zagadywać, lecz odpowiadała monosylabami. Nie wiedział, czy jest małomówna, czy tylko zdenerwowana. Jechali przez Bihor w kierunku przejścia

granicznego w Bors, skąd mieli dolecieć do Biharkeresztes na Węgrzech. Zapadła noc, pokonali kawał drogi, wszystko szło gładko. Bryson uważał, byli na Bałkanach, a na Bałkanach w każdej chwili mogło się zdarzyć coś nieprzewidzianego.

— Dlatego nie zdziwił się zbytnio, gdy osiem kilometrów przed granicą zobaczył migające światła radiowozu i ubranego w niebieski mundur policjanta. Nie zdziwił się również, gdy policjant kazał mu zjechać na pobocze

- Co to, do diabła, jest? - spytał, siląc się na obojętność. Policjant był coraz bliżej.

Rutynowa kontrola drogowa - odrzekła Elena.

Oby - mruknął Bryson, opuszczając szybę. Po rumuńsku mówi biegle, lecz z obcym akcentem; tłumaczył to jego węgierski paszport Postanowił wyklócić się z gliniarzem, gdyż tak postąpiłby na jego miejscu każdy kierowca ciężarówki, któremu się spieszy.

Policjant poprosił go o prawo jazdy i dowód rejestracyjny. Papier były w porządku.

- Coś się stało? - spytał po rumuńsku Bryson.

Tamten wyniośle machnął ręką w stronę reflektorów. Przepaliła się żarówka. Ale nie, nie zamierzał ich jeszcze przepuścić. Spytał, co przewożą

- Wino i śliwovicę.

- Otwórz.

Nie ukrywając poirytowania, Bryson westchnął, wysiadł i poszedł otworzyć klapę. Broń miał ukrytą w kaburze na plecach, pod grubą, szarą kurtką. Użyłby jej tylko w ostateczności, gdyż zabicie policjanta było bardzo ryzykowne. Mógłby go zobaczyć któryś z przejeżdżających szosą kierowców, poza tym gdyby zatrzymując ich, gliniarz zawiadomił przez radio centralę i przekazał im numer rejestracyjny ciężarówki, dyspozytor czekałby na dalsze meldunki. Gdyby nie nadeszły, natychmiast zawiadomiłby służby graniczne. Bryson nie chciał nikogo zabijać, lecz zdawał sobie sprawę, że może nie mieć wyboru.

Gdy otworzył klapę, policjant powiódł łakomym wzrokiem po butelkach wina i *tzuici*. Dobry znak: może udałoby się przekupić go kilkoma flaszkami wódki? Ale nie, Rumun zaczął buszować wśród skrzyń, chciał je zinwentaryzować, i szybko dotarł do fałszywej ściany, wzniesionej ledwie sześćdziesiąt centymetrów za klapą. Podejrzliwie zmrużył oczy, postukał w nią - głucho zadudniła.

- Co to, kurwa, jest? - wykrzyknął.

Bryson sięgnął za pazuchę i wymacał rękojeść pistoletu, lecz w i samej chwili zobaczył, że idzie ku nim Elena z ręką uwodzicielsko wspartą na biodrze. Żuła gumę i była ordynarnie umalowana: musiała to zrobić kiedy rozmawiał z policjantem. Wyglądała jak wamp, jak prostytutka. Podeszła bliżej, nachyliła się ku Rumunowi i wymłaskała

- *Ce curu' meu vrei?* Czego, kurwa, chcesz?

- *Fututi gura!* Spierdalaj - warknął tamten. Zaczął odsuwać skrzynie i macać dłońmi po przepierzeniu: najwyraźniej szukał klamki czy zamka. i gdy musnął paluchem dźwignię otwierającą ukryte pomieszczenie, Bryson zmartwiał. Siedmiu nielegalnych pasażerów - z tego by się nie wyłgał,

musiałby go zabić. W dodatku ta Elena. Co jej, do cholery, odbiło?

- Pozwólcie, że o coś was spytam, towarzyszu powiedziała cichym znaczącym głosem. - Ile warte jest dla was życie?

Policjant odwrócił się na pięcie i łypnął na nią spode łba.

- Co ty pierdolisz, głupia dziwko?

- Pytałam, ile warte jest dla was życie. Bo grzebiąc między tymi skrzyniami, nie tylko przekreślicie sobie karierę, ale i napraszacie się o miejsce w więzieniu psychiatrycznym. Może nawet na cmentarzu. Bryson wpadł w przerażenie. Jeszcze chwila i ta kobieta wszystko zepsuje. Trzeba ją powstrzymać!

Gliniarz otworzył płócienny woreczek, który miał na szyi, wyjął z niego duży przedpotopowy radiotelefon i zaczął wykręcać numer.

- Jeśli koniecznie chcecie zadzwonić - powiedziała Elena - radzę zadzwonić bezpośrednio

do kwatery głównej Securitate i poprosić Dragana.

Bryson wytrzeszczył oczy. Generał major Radu Dragan był zastępcą dowódcy tajnej policji, człowiekiem do cna skorumpowanym i znanym seksualnego rozpasania.

Policjant znieruchomiał, sondując wzrokiem jej twarz.

- Grozisz mi, dziwko? Elena wypluła gumę.

- Rób, co chcesz, mnie to zwisa. Chcesz się wtrącać w najpoufniejsze i najdelikatniejsze sprawy Securitate, proszę bardzo. Ja tylko wykonuję polecenia. Dragan lubi węgierskie prawiczki, a kiedy z nimi skończy, przerzucam je przez granicę, jak mi kazano. Chcesz zostać bohaterem i ujawnić jego małą tajemnicę, śmiało, dzwoń po kumpli. Powiem ci tylko, że nie chciałabym być na twoim miejscu ani na miejscu tych, których w to wciągniesz. Przewróciła oczami. - Dalej, dzwoń do Dragana, na co czekasz? Bez zająknięcia wyrecytowała numer kierunkowy, główny i wewnętrzny.

Oszołomiony Rumun wystukał je powoli, przytknął aparat do ucha, wybałuszył oczy, szybko się rozłączył, mamrocząc przeprosiny, wsiadł do

Nieco później, gdy bez przeszkód przejechali przez granicę, Bryson [ć spojrzął na Elenę i spytał:

- To był naprawdę numer Securitate?

- Oczywiście - odrzekła.

- Skąd...

- Numery to moja specjalność - odparła. - Nie mówili ci?

Jego drużbą był Ted Waller. Rodzicom Eleny подарowano nową tożsamość chronioną przez agentów Dyrektoriatu dom w Rovinj na półwyspie Istria nad Adriatykiem. Ze względów bezpieczeństwa nie mogła się z nimi kontaktować. Przystała na ten warunek niechętnie i z ciężkim sercem, wiedząc, że jest to zło konieczne.

Zaproponowano jej pracę w kwaterze głównej, w wydziale kryptografii. Została analityczką, specjalistką od łamania szyfrów. Była niezwykle uzdolniona, należała do najwybitniejszych ekspertek, jakie kiedykolwiek tam pracowały, i uwielbiała to robić. Kiedyś powiedziała: „Mam ciebie, mam pracę - gdybym tak jeszcze miała w pobliżu rodziców, życie byłoby absolutnie cudowne!”. Kiedy Nick po raz pierwszy wspomniał Wallerowi, że mają się ku sobie, czuł się tak, jakby prosił go o pozwolenie na ślub. Prosił go jak ojca? Czy jak chlebodawcę? Nie wiedział. W Dyrektoriacie nie istniały sztywne granice między życiem osobistym i zawodowym, ale ponieważ poznał Elenę na służbie, uważał, że powinien zawiadomić o tym swego zwierzchnika i przyjaciela. Waller szczerze się ucieszył. „Nareszcie trafiłeś na równą sobie” - powiedział, uśmiechając się szeroko, i jak sztukmistrz, który wyciąga komuś monetę z ucha, nie wiedząc skąd wyjął butelkę zmrożonego szampana Dom Perignon. Miodowy miesiąc spędzili na małej, soczystozielonej i prawie bezludnej wyspie na Karaibach. Na plaży skrzył się różowy piasek, nieco dalej płynął strumyk, a wszędzie rósł kępami tamaryszek. Chodzili na spacer tylko po to, żeby zabłądzić, a przynajmniej udawać, że zabłądzili. Bywało, że błądzili naprawdę, że mylili drogę, gubili się w gąszczu, by wkrótce się odnaleźć i zatracić w sobie. Czas poza czasem, tak to nazywała. Ilekroć o niej myślał, zawsze wspominał, jak wychodzili z chatki, żeby zgubić się po raz kolejny - towarzyszył temu cały rytuał - i jak powtarzali sobie, że dopóki mają siebie, nigdy nie będą sami.

A teraz stracił ją naprawdę i czuł się zagubiony, odcięty od korzeni, pozbawiony kotwicy. W wielkim, pustym domu panowała głucha cisza, mimo to wciąż słyszał jej głos, gdy mówiła, że ud niego odchodzi. Zaskoczony? Dziwne. Nie, nie chodzi o wielomiesięczną rozłąkę, chodzi o sprawy o wiele głębsze, najbardziej podstawowe, fundamentalne. Już cię nie znam. Nie znam cię i przestałam ci ufać.

Cholera jasna, przecież ją kochał! Czy to nie wystarczyło? Prosił, błagał i krzyczał. Za późno. Zło już się stało. Fałsz i zimne wyrachowanie: dzięki tym dwóm cechom mógł przeżyć w terenie, ale w domu? Nie wytrzymałoby tego żadne małżeństwo. Zataił przed nią wiele spraw - szczególnie pewien incydent - i dręczyły go potworne wyrzuty sumienia. I tak odeszła, żeby rozpocząć nowe życie. Życie bez niego. Poprosiła szefa o przeniesienie.

Wciąż pamiętał jej głos, tak bliski, jakby mówiła z sąsiedniego pokoju, jednocześnie dziwnie odległy. A mówiła bardzo spokojnie, beznamietnie, i właśnie tego nie mógł znieść. Najwyraźniej uznała, że nie ma o czym rozmawiać, że wszystko jest oczywiste, jak oczywiste jest to, że dwa razy dwa jest cztery, czy to, że słońce wschodzi na wschodzie i zachodzi na zachodzie.

Doskonale pamiętał, co wtedy czuł.

- Eleno - spytał - czy zdajesz sobie sprawę, ile dla mnie znaczysz? Wciąż pobrzmiewała mu w Uszach jej apatyczna, niemal bezduszna odpowiedź:

- Chyba nawet nie wiesz, kim jestem.

Kiedy wrócił z Tunezji, nie było już ani jej, ani jej rzeczy. Próbował ją wytropić, błagał Wallera o pomoc, prosił, żeby wykorzystał swoje możliwości. Chciał jej powiedzieć tysiące rzeczy, ale jakby zapadła się pod ziemię. Nie chciała, żeby ją odnalazł, i postawiła na swoim. A Waller to uszanował. Ted miał rację: nareszcie trafił na równą sobie.

Odpowiednia ilość alkoholu działa jak narkotyk. Sęk w tym, że kiedy przestaje działać, powraca pulsujący ból głowy, który złagodzić można tylko alkoholem. Dni i tygodnie rwały się i płątały niczym wystrzępione fragmenty nie pasujących do siebie zdjęć. Zdjęć w sepii. Wynosząc śmieci, słyszał pobrzękiwanie pustych butelek. Pijąc, słyszał terkot telefonu, ale nigdy nie podnosił słuchawki. Raz zadzwonił dzwonek u drzwi. W progu stał Chris Edgecomb, który złamał tym samym wszystkie możliwe zakazy i nakazy Dyrektoriatu.

- Martwiłem się o ciebie - powiedział. Rzeczywiście robił wrażenie zmartwionego.

Bryson wolał nie myśleć, jakie wrażenie zrobił na nim on, skacowany - a może pijany? - zarośnięty i rozchełstany.

- Oni cię przysłali?

- Zwariowałaś? Wiesz, co by było, gdyby zwiedzieli się, że tu jestem?

Doszedł do wniosku, że jednak go przysłali, że jest to tak zwana interwencja. Nie pamiętał, co mu powiedział. Pamiętał tylko, że z jego słów była posępna nieuchronność i nieodwołalność. Chris już więcej nie przyszedł.

Budził się co rano skacowany, rozedrgany i zbolaty, jakby ktoś odsłonił mu wszystkie nerwy. Cuchnął wanilią- po bourbonie - i jałowcem po dżinie. Patrząc w lustro, widział popękane i zaognione naczynka krwionośne, sine worki pod oczami i zapadnięte policzki. Raz zrobił sobie jajecznicę. Próbował ją zjeść, ale omal nie zwymiotował.

Kilka oderwanych dźwięków, kilka rozmytych i rozproszonych obrazów. Stracony weekend, stracone trzy miesiące.

Sąsiedzi nie okazywali mu prawie żadnego zainteresowania; może z grzeczności, może z obojętności. No bo kim dla nich był? Głównym księgowym jakiejś firmy zaopatrzeniowej, tak? Wylali faceta i tyle. Albo z tego wyjdzie, albo nie. Straty w szeregach wyższego personelu zarządzającego rzadko kiedy budzą współczucie. Poza tym sąsiedzi wiedzieli, że lepiej o nic nie pytać. Na przedmieściach żyje się na dystans.

I nagle pewnego sierpniowego dnia coś się w nim przełamało. Zakwitły szkarłatne astry, kwiaty, które przed rokiem posadziła Elena. Wyrosły i zakwitły jakby na przekór temu, że nikt o nie nie dbał. Postanowił pójść w ich ślady. W śmieciach przestało pobrzękiwać. Zaczął normalnie jeść, bywało, że nawet trzy razy dziennie. Bardzo osłabł i chodzenie sprawiało mu początkowo trochę kłopotów, ale już dwa tygodnie później przyczesał włosy, starannie się ogolił, włożył garnitur i pojechał do kwatery głównej Dyrektoriatu.

Wallerowi ulżyło. Próbował to zamaskować, lecz Bryson widział to w jego błyszczących oczach.

- Kto powiedział, że w życiu Amerykanina nie ma drugiego aktu? - spytał cicho.

Bryson patrzył na niego chłodno i obojętnie, nareszcie pogodzony z samym sobą.

Waller uśmiechnął się - trzeba było dobrze go znać, żeby wiedzieć, że się uśmiecha - i podał mu żółtą teczkę.

- Nazwijmy to aktem trzecim.

## Rozdział 2

Pięć lat później

College w Woodbridge w zachodniej Pensylwanii był mały, lecz emanował poczuciem spokojnej prosperity i dostojnej ekskluzywności. Widać ją było we wszędobylskiej, starannie wypielegnowanej zieleni

w szmaragdowych trawnikach i doskonale wyprofilowanych klombach świadczących o tym, że jest to instytucja, którą stać na kosztowną, jeśli nie rozrzutną estetykę. Dominowały gmachy z porośniętej dzikim winem czerwonej cegły, a więc styl gotycki, typowy dla uniwersyteckiej architektury lat dwudziestych. Z daleka można je było wziąć za gmachy któregoś ze starych college'ów Oksfordu lub Cambridge, przeniesione z zapyłonego, przemysłowego miasta i ustawione w dziewiczej Arkadii. Było to miejsce dobrze chronione i bezpieczne, szkoła, do której najbogatsze i najpotężniejsze amerykańskie rodziny bez wahania posyłały swoje wrażliwe pociechy. Sklepy w kampusie i liczne jadłodajnie robiły znakomite interesy, serwując *latte ifocaccia*. Nawet w latach sześćdziesiątych Woodbridge College był -jak ujął to żartobliwie jeden z ówczesnych rektorów - „grzędą w sam raz na wyuczasy”.

Ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że „Jonas Barrett” jest nader utalentowanym wykładowcą i że prowadzone przez niego zajęcia cieszą się większą popularnością, niż na to zasługują. Niektórzy studenci byli całkiem zdolni, a niemal wszyscy bardziej pracowici i lepiej wychowani niż on w swoich studenckich czasach. Gdy tam przyjechał, jeden z jego nowych kolegów po fachu, cyniczny fizyk, który wychował się w Brooklynie i wykładał w nowojorskim college'u, zauważył, że w Woodbridge czuje się jak osiemnastowieczny gubernier odpowiedzialny za wykształcenie dzieci angielskiego lorda, że żyje w cudzym luksusie i splendorze.

Mimo to Waller miał rację: to było dobre życie.

Jonas Barrett powiódł wzrokiem po szczelnie wypełnionym audytorium, po dziesiątkach pełnych oczekiwania twarzy. Bardzo się zdziwił, a nawet uśmieł, gdy ledwie po roku pracy miejscowa gazeta studencka, „Tajemnice Kampusu”, nazwała go „lodowato charyzmatycznym wykładowcą o kamiennym, zabarwionym ukrytą ironią obliczu”. Bez względu na przyczyny jego seminarium na temat Bizancjum należało do najbardziej popularnych na wydziale historii.

Zerknął na zegarek. Pora na podsumowanie.

- Imperium rzymskie było najbardziej zdumiewającym osiągnięciem w historii człowieka, dlatego tak wielu myślicieli zastanawiało się i zastanawia, dlaczego upadło - powiedział z profesorską swadą, przyprawioną odrobiną gorzkiej ironii. - Wszyscy znamy tę smutną opowieść. Światelko cywilizacji zamrugalo i przygasło. Barbarzyńcy u wrót. Zgliszcza. Gruzowisko największej nadziei ludzkości. Tak? - Studenci zgodnie pokiwali głowami. - Gówno prawda! - wykrzyknął. Tu i ówdzie zabrzmiał nerwowy chichot i w sali zapadła martwa cisza. - Przepraszam za mój macedoński. - Zmarszczył czoło i popatrzył na nich z wyzywającą miną. - Tak

zwani Rzymianie stracili prawo do stawiania siebie na moralnych wyżynach na długo przedtem, nim stracili prawo do władania imperium. To właśnie oni mścili się za pierwsze porażki z Gotami, biorąc do niewoli ich dzieci, spędzając je na place w dziesiątkach rzymskich miast i zarzynając je w najokrutniejszy z okrutnych sposób, powoli i boleśnie. Pod względem tej wyrachowanej krwiożerczości Goci nie mogli się z nimi równać. Zachodnie imperium było areną krwawych sportów i głównym ośrodkiem niewolnictwa. W przeciwieństwie do imperium wschodniego, w którym obowiązywało prawo o wiele

łagodniejsze i które dzięki temu przetrwało tak zwany upadek Rzymu. „Bizancjum” jest nazwą ukutą przez tych z zachodu. Bizantyjczycy zawsze uważali się za prawdziwych Rzymian, za mieszkańców imperium, i jako tacy pieczołowicie przechowali wiedzę i wartości moralne, które tak bardzo dzisiaj cenimy. Zachód uległ nie wrogowi zewnętrznemu, lecz wewnętrznemu, a wrogiem tym było zło i moralny rozkład. Taka jest prawda. Tak więc światelko cywilizacji wcale nie przygasło. Po prostu przesunęło się na wschód. - Zamilkł. - Możecie państwo odebrać swoje prace. Życzę udanego weekendu. Spędźcie go jak najmilej. Tylko pamiętajcie słowa Petroniusza: We wszystkim trzeba mieć umiar. Z umiarem włącznie.

- Panie profesorze? - Młoda, wpadająca w oko blondynka, jedna z tych, które zawsze siedzą w pierwszym rzędzie i z powagą słuchają.

Spakował notatki, zapiął paski starej, skórzanej teczki. Próbował jej nie słuchać, bo za dobrze to wszystko znał. Natarczywy głos, banalne argumenty: Tak ciężko pracowałam... Dałam z siebie wszystko... Naprawdę się starałam... Ruszył do drzwi, ale poszła za nim. Odprowadziła go aż na parking, do samochodu.

- Lauro, omówimy to jutro, dobrze? - zaproponował łagodnie.

- Ale panie profesorze... Coś tu nie gra.

- Stopień, panie profesorze, stopień. Moim zdaniem zasługuję na lepszy...

Nie zdawał sobie sprawy, że powiedział to na głos. Włączyły się wszystkie radary i anteny. Ale dlaczego? Skąd ta nagła paranoja? Czyżby miał skończyć jak jeden z tych wietnamskich pourazowców, który podskakiwał na każdy wystrzał samochodowego gaźnika?

Nie, to jakiś dźwięk, jakiś nie pasujący do otoczenia odgłos. Odwrócił się w stronę studentki, lecz zamiast spojrzeć na nią, popatrzył ponad jej ramieniem i czujnie omiół wzrokiem najbliższą okolicę. Tak, to jest

to. W ich stronę szedł barczysty mężczyzna w czarnym flanelowym garniturze, białej koszuli i w idealnie zawiązanym rypсовym krawacie. Szedł swobodnie, niespiesznie, jakby napawał się wiosennym słońcem i widokiem soczystej zieleni. Nie ubierał się tak nikt z miejscowych, nawet ci z zarządu, poza tym było za ciepło na flanelę. Nie, to był ktoś z zewnątrz, ktoś obcy, ktoś, kto udawał - a raczej próbował udawać - miejscowego.

Ożyły nabyte w terenie instynkty. Zmysły oszalały. Napięła mu się skóra na czole, oczy strzelały to tu, to tam niczym obiektyw automatycznego aparatu fotograficznego próbujący wyregulować ostrość: powróciły stare odruchy. Powróciły nieproszone, dziwnie uwstecznione i zupełnie niepasujące do miejsca, w którym się znajdował.

Ale dlaczego? Dlaczego tak bardzo zaniepokoił go widok nieznanego? Przecież mężczyzna mógł być rodzicem, biurokratą z Waszyngtonu, ważnym handlowcem. Bryson szybko otaksował go spojrzeniem. Pod rozpiętą marynarką dostrzegł ciemnobrązowe szelki, mimo to mężczyzna nosił też pasek, poza tym miał przydługie spodnie, których mankiety prawie całkowicie zasłaniały czarne buty na gumowej podeszwie. Nadnercza wstrzyknęły do krwi nową porcję adrenaliny: tak samo ubierał się on, Bryson. Kiedyś, w poprzednim życiu. Czasami musiał nosić i szelki, i pasek, ponieważ w jednej lub w obu kieszeniach spodni spoczywał ciężki przedmiot - na przykład rewolwer, duży, masywny rewolwer. Mankiety? Musiały zakrywać buty, ponieważ tuż nad kostką miał przypiętą kaburę z zapasowym pistoletem. „Ruszasz w bój? Wbij się w wieczorowy strój” - radził Ted Waller, wyjaśniając, że w dobrze skrojonym garniturze można ukryć całkiem spory arsenał broni.

Wypadłem z gry! Dajcie mi święty spokój!

Ale spokoju nie było i nigdy nie będzie. Dobrze o tym wiedział. Raz podpisany cyrograf obowiązywał nawet wtedy, gdy przestały napływać czeki i wygasło ubezpieczenie społeczne.

Wrogowie z całego świata kipieli żądzą zemsty. Nieważne, jak dobrze się zabezpieczył, nieważne, jak przemyślnie się zakamuflował. Jeśli naprawdę chcą mnie znaleźć, nic ich nie powstrzyma. Po co się oszukiwać? To pewnik, jeden z niepisanych aksjomatów

znanych wszystkim agentom Dyrektoriatu.

Chwila, moment. Kto powiedział, że facet nie jest właśnie z Dyrektoriatu? Że nie kazali mu przeprowadzić tak zwanej sterylizacji lub - ujmując to bardziej cynicznie - „wyciągnąć drzazgę” czy „pozamiatać”? Nigdy nie spotkał kogoś, kto wycofał się z pracy u Wallera, choć tego rodzaju „emeryci” musieli przecież istnieć. Ale gdyby ktoś na wysokim szczeblu zwątpił w jego lojalność, natychmiast nastaliby na niego tych od sterylizacji. Bryson nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

Ja już nie gram! Dawno z tym skończyłem!

Tylko kto by mu uwierzył?

Nick Bryson - ponownie był Brysonem, gdyż Jonas Barrett poszedł w zapomnienie niczym stara wylinka węża na poboczu drogi - uważnie przyjrzał się obcemu. Krótко przycięte szpakowate włosy, szeroka, rumiana twarz - cały stęzał, gdy mężczyzna odsłonił w uśmiechu małe, białe zęby.

- Pan Barrett?

Był po drugiej stronie zielonego trawnika. Patrzył na niego pewnym siebie wzrokiem i właśnie to ostatecznie go zdradziło. Cywil, który zatrzymuje nieznanego, jest zwykle nieśmiały, lekko zażenowany.

Dyrektoriat?

Nie, agenci Dyrektoriatu biją go na głowę. Robią to znacznie lepiej nie rzucają się tak w oczy.

- Lauro - powiedział cicho do studentki. - Musisz stąd odejść. Za czekaj na mnie w gabinecie.

- Ani słowa! - warknął.

Laura oniemiała. Zaczerwieniła się i pobiegła przez parking. Tego wieczoru miała powiedzieć koleżance z pokoju, że profesor Jonas Barrett przeszedł dziwną metamorfozę, że nagle dostrzegła w nim coś przerażającego, coś, co kazało jej natychmiast go posłuchać. Wtem... Odgłos kroków. Stamtąd, z przeciwnej strony. Odwrócił się gwałtownie, by ujrzeć drugiego mężczyznę, piegowatego rudzielca w granatowym blezerze, beżowych bawełnianych spodniach i skórzanych butach. Jego strój rzucał się w oczy znacznie mniej, może z wyjątkiem guzików, zbyt ciężkich i błyszczących. I marnego kroju blezera, wybrzuszanej w miejscu, gdzie nosi się kaburę z bronią.

Jeśli nie Dyrektoriat, to kto? Ktoś z zagranicy? z CIA? z NSA? '

Dopiero teraz rozpoznał odgłos, który go zaniepokoił: cichy warkot samochodowego silnika pracującego na wolnych obrotach. Lincoln continental o przyciemnionych szybach. Parkował dokładnie naprzeciwko je; wozu, skutecznie blokując mu wyjazd.

- Pan Barrett? - Ten bardziej barczysty i starszy patrzył mu pros w oczy. Szedł swobodnie i miękko, z każdym krokiem zmniejszając dzielącą ich odległość. - Musi pan pojechać z nami. - Akcent? Nijaki, klasyczna amerykańszczyzna ze Środkowego Zachodu. Mężczyzna przystanął niecały metr od niego i wskazał lincolna.

- Tak? Coś takiego - odparł beznamiętnie Bryson. - Czy my się znamy?

Mężczyzna odpowiedział mową ciała: podparł się pod boki i wypiął pierś, żeby zademonstrować zarys kabury pod marynarką. Subtelny gest uzbrojonego zawodowca stojącego przed zawodowcem nieuzbrojonym. I nagle zgął się w pół, boleśnie jęknął i chwycił się za brzuch. Bryson dźgnął go wiecznym piórem w splot słoneczny, a profesjonalista zareagował zupełnie nieprofesjonalnie, by nie rzecz instynktownie. Zapomnij o ranie i najpierw sięgaj po broń: tak brzmiała jedna z rad Wallera i chociaż przezwyciężenie naturalnego odruchu wymagało dużej wprawy i samozaparcia, wskazówka ta wiele razy uratowała Nickowi życie.

Podczas gdy tamten obmacywał sobie poharatany brzuch, on błyskawicznie wyjął mu z kieszeni małą, lecz potężną i śmiertelnie niebezpieczną beretę.

Beretta - ci z Dyrektoriatu berett nie używali. Kto to, u diabła, jest?

Jednym płynnym ruchem grzmotnął rannego w skroń ręką pistoletu. Ohydny chrzęst kości, głuche uderzenie bezwładnego ciała o asfalt - Bryson odwrócił się na pięcie i

wymierzył w rudzielca.

- Mój jest odbezpieczony - krzyknął. - A twój?

Tamten był skonsternowany i spanikowany, co zdradzało brak doświadczenia. Musiał dojść do wniosku, że gdy tylko muśnie skrzydełko bezpiecznika, Nick pociągnie za spust. Marne szansę. Jednakże ci najmniej doświadczeni często bywali najbardziej niebezpieczni, gdyż nie potrafili reagować w sposób logiczny i racjonalny.

Czas amatorów. Chryste. Nie spuszczać go z muszki, powoli, krok po kroku, ruszył w stronę lincolna. Oczywiście drzwi były otwarte, żeby tamci - i on - mogli jak najszybciej wsiąść. Pociągnął za klamkę, wskoczył za kierownicę i zerknął na przednią szybę: kuloodporna, jakżeby inaczej. Przednia i pozostałe. Dźwignia zmiany biegów - przesunął ją do przodu i wcisnął pedał gazu. Zapiszczały opony. Usłyszał suchy trzask i metaliczny klekot - kula uderzyła w tył wozu, najpewniej w tablicę rejestracyjną. Kolejna trafiła w szybę, lekko ją wgniatając. Celowali nisko, w opony.

Kilka sekund później przejechał przez wysoką, ozdobną bramę z kutego *żelaza*, i wypadł na szeroką trzypasmówkę. Jednego napastnika unieszkodliwił, drugi wciąż strzelał, lecz pudłował. Koniec pierwszego seta. I co teraz?

Gdyby naprawdę chcieli mnie zabić, już bym nie żył. Pędził międzystanówką, czujnie omiatając wzrokiem jezdnię i często zerkając w lusterko. Zaskoczyli mnie. Nie miałem broni, niczego się nie

spodziewałem. Skoro tak, knuli coś innego. Ale co? I jak go odnaleźli? Czyżby mieli dostęp do tajnej bazy danych Dyrektoriatu? Zbyt wiele możliwości, zbyt wiele znaków zapytania. Mimo to nie odczuwał strachu. Był spokojny i opanowany, jak na doświadczonego agenta operacyjnego przystało. Nie pojechał na lotnisko, ponieważ tam na pewno już na niego czekali. Nie. Żeby ich zmylić, zawrócił i pojechał na kampus, prosto do domu. Jeśli czekała go kolejna konfrontacja, trudno. Konfrontacja to walka, najczęściej krótka. Ucieczka mogła trwać w nieskończoność, a on nie miał już do tego cierpliwości: Waller nie mylił się przynajmniej co do tego.

Skręcając w Villier Lane, usłyszał jękliwe dudnienie silnika. Śmigłowiec leciał w kierunku małego lądowiska na szczycie strzelistej wieży ufundowanej przez komputerowego miliardera, najwyższego gmachu w kampusie, w którym mieścił się wydział nauk ścisłych. Z lądowiska korzystali dotychczas tylko znaczniejsi darczyńcy, tymczasem sądząc po znakach na ogonie, śmigłowiec był maszyną rządową. Kolejny etap pościgu. Tak, na pewno.

Zajechał przed dom, zaniedbane budyniszcze w stylu królowej Anny o mansardowym dachu i tynkowanych ścianach. W środku nie było nikogo, a ponieważ zainstalowany przez niego system alarmowy wciąż działał, wszystko wskazywało na to, że odkąd wyszedł rano do pracy, nie odwiedził go żaden intruz.

Wszedł do środka, zajrzał do skrzynki z bezpiecznikami i przełącznikami i stwierdził, że nikt w niej nie grzebał. Salon tonął w jaskrawych promieniach słońca. Padały prosto na podłogę z szerokich sosnowych desek, wypełniając dom świeżym, żywicznym zapachem. Głównie dlatego go kupił: zapach ten przypominał mu szczęśliwy rok, który jako siedmiolatek spędził w na wpół drewnianym domu pod Wiesbaden, gdzie stacjonował jego ojciec. Nick nie był typowym wojskowym dzieckiem - miał ojca generała, dlatego zapewniono im komfortowe warunki lokalowe, a nawet służbę. Mimo to dzieciństwo kojarzyło mu się z ciągłymi wyjazdami, podróżami i nieustannymi przeprowadzkami. Znosił je w miarę dobrze dzięki podziwianym przez wszystkich zdolnościom językowym. Języków uczył się łatwo, znacznie łatwiej, niż zawierał nowe przyjaźnie, jednak z czasem doszedł do wprawy i w tym; widział zbyt wielu chłopców, którzy chcąc przyłączyć się do ich towarzystwa, udawali posepnych autsajderów.

Był w domu. Mógł spokojnie czekać. Tym razem do spotkania dojdzie na jego terytorium i na jego warunkach.

Nie musiał czekać długo.

Kilka minut później na podjazd wjechał czarny cadillac z małą amerykańską flagą na



antenie. Obserwując go przez okno, Bryson zdał sobie sprawę, że ta demonstracyjna jawność poczynań anonimowego przeciwnika ma uspić jego czujność. Umundurowany szofer otworzył tylne drzwi i z cadillaca wysiadł niski, chudy mężczyzna. Bryson skądś go znał - przed oczyma mignęło mu zdjęcie z kartoteki Dyrektoriatu. Wyższy urzędnik wywiadu. Na pewno. Nick wyszedł na werandę.

- Dzień dobry. - Niski, chrapliwy głos, akcent z New Jersey, pięćdziesiąt trzy, pięćdziesiąt pięć lat. Gęste, siwe włosy, wąska, zryta zmarszczkami twarz, źle skrojony brązowy garnitur. - Wie pan, kim jestem?

- Kimś, kto przyjechał wyjaśnić mi, co to wszystko znaczy. Mężczyzna kiwnął głową i ze skruchą rozłożył ręce.

- Spieprzyliśmy sprawę, panie Bryson czy panie Barrett, jeśli pan woli. Moja wina. Przyjechałem tu, żeby osobiście pana przeprosić. I wszystko wyjaśnić.

Telewizyjny ekran. Na ekranie gadająca głowa, pod głową podpis. Bryson zmarszczył czoło.

- Harry Dunne, zastępca dyrektora CIA, prawda? - Pamiętał, jak Dunne zeznawał przed podkomisją Kongresu.

- Musimy porozmawiać.

- Nie mam nic do powiedzenia. Chętnie skierowałbym pana do tego... jak mu tam, Breyera, ale go nie znam.

- Nie proszę, żeby pan cokolwiek mówił. Proszę tylko, żeby zechciał pan posłuchać.

- Tam, na parkingu, to byli wasi?

- Tak - przyznał Dunne - niestety. Przekroczyli swoje kompetencje. I nie docenili pana. Myśleli, że po pięcioletnim urlopie wyszedł pan z wprawy. Dostali niezłą nauczkę. Mam nadzieję, że dobrze ją zapamiętają. Zwłaszcza Eldridge, kiedy już go pozszywają. - Zarechotał jak ochrypla żaba. - Proszę pana najmilej, jak umiem, uczciwie i szczerze. - Powoli podszedł bliżej.

Bryson opierał się o drewnianą kolumnę. Ręce trzymał za sobą, na rękonoścy beretty, którą w ułamku sekundy mógł wyszarpnąć zza paska. W publicystycznych programach telewizyjnych Dunne wyglądał władczo i majestatycznie. Teraz jakby się skurczył, zmalął albo założył przyduże ubranie.

- Nie zamierzałem dawać nikomu nauczki. Bronilem się tylko przed ludźmi, którzy zjawili się nie tam, gdzie trzeba, i mieli wobec mnie złe zamiary.

- Muszę przyznać, że ci z Dyrektoriatu dobrze pana wyszkolili.

- Żałuję, ale nie wiem, o czym pan mówi.

- Wie pan aż za dobrze. Powściągliwy i małomówny. Niczego innego nie oczekiwałem.

- To jakieś nieporozumienie - odrzekł spokojnie Bryson. - Pomylił mnie pan z kimś innym. Nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

Dunne wziął głęboki oddech, głośno wypuścił powietrze i zakaszła!

- Niestety, nie wszyscy pańscy przyjaciele są równie dyskretni, a może równie pryncypialni, jak pan. Przysięga na wierność i zobowiązanie dochowania tajemnicy służbowej często tracą moc w obliczu pieniędzy, zwłaszcza dużych pieniędzy. Fakt pozostaje faktem: żaden z pańskich byłych kolegów tanio się nie sprzedał.

- Wybacz pan, ale przestałem cokolwiek rozumieć.

- Nicholas Lorning Bryson, urodzony w Atenach, jedyny syn generała George'a Wyntera Brysona - wyrecytował monotonna Dunne. - Absolwent St. Alban's w Waszyngtonie, Stanfordu i Wyższej Szkoły Służby Zagranicznej w Georgetown. W Stanfordzie zwerbowany do supertajnej agencji wywiadowczej, znanej nielicznym jako Dyrektoriat. Przeszkolony do pracy operacyjnej, odsłużył piętnaście lat, odnosząc spektakularne sukcesy w akcjach, których zasięg...

- Piękny życiorys - przerwał mu Bryson. - Szkoda, że nie mój. My, naukowcy, lubimy sobie pofantazjować, powyobrażać, jak wyglądałoby nasze życie poza klasztornymi, porośniętymi dzikim winem murami uczelni. - Mówił zuchwale. Miał unikać podejrzeń, a nie je odpierać.

- Ani pan, ani ja nie mamy czasu do stracenia - odparł Dunne. - Tak czy inaczej, chyba już pan rozumie, że nie chcemy zrobić panu krzywdy.
- Wprost przeciwnie. Z tego, co czytałem, CIA dysponuje długą listą sposobów uprzykrzania ludziom życia. Ot, choćby kulka w łeb. Albo dwunastogodzinna kroplówka ze skopolaminą. A może porozmawiamy o biednym pułkowniku Nosenko, który popełnił błąd, przechodząc na waszą stronę? Potraktowaliście go panowie jak króla, prawda? Spędził dwadzieścia osiem miesięcy w wykładanej dywanami krypcie. Zrobiliście absolutnie wszystko, żeby go złamać.
- To bardzo stare czasy. Ale rozumiem, skąd biorą się pańskie podejrzenia. Co mogę zrobić, żeby je rozproszyć?
- Czy może być coś bardziej podejrzanego niż chęć rozproszenia, podejrzeń?
- Dobrze pan wie, że gdybyśmy chcieli pana zlikwidować, nie stali-: byśmy tu i nie rozmawiali.
- Jest pan pewien, że tak łatwo dałbym się zabić? - spytał obojętnie Bryson. Uśmiechnął się zimno, żeby tamten zrozumiał ukrytą groźbę. Zrzucił maskę, dalsze udawanie nie miało sensu.
- Znamy sprawność pańskich rąk i nóg. Nie musi pan jej demonstrować. Proszę jedynie o to, żeby zechciał mnie pan wysłuchać.
- Słowa, słowa... - Ile naprawdę o nim wiedzieli? O nim i o jego pracy w Dyrektoriacie? I jakim cudem zdobyli tajne dane?
- Posłuchaj, Bryson, kidnaperzy nie negocjują z porywanymi. Niecodziennie składam takie wizyty, chyba o tym wiesz. Mam ci coś do powiedzenia i zapewniam, że niełatwo przyjdzie ci tego wysłuchać. Blue Ridge. Wiesz, co to jest? Bryson wzruszył ramionami.
- Chcę cię tam zabrać. Wysłuchasz mnie i obejrzysz to, co ci pokażę. Potem, jeśli zechcesz, wrócisz do domu i przestaniemy zawracać ci głowę. - Machnął ręką w stronę samochodu. - Jedziemy?
- Chryste, nie widzi pan, że to jakiś obłąd? W kampusie czeka na mnie dwóch zbirów. Chcą wciągnąć mnie do samochodu i uprowadzić. Zaraz potem przyjeżdża do mnie człowiek, którego znam tylko z telewizji, wysoki urzędnik agencji wywiadowczej o dość wątpliwej reputacji. Przyjeżdża, wchodzi na moją werandę i próbuje namówić mnie do wyjazdu prośbami i groźbami. Niby jak mam na to zareagować? Dunne ani mrugnął.
- Szczerze powiedziawszy, myślę, że i tak ze mną pojedziesz.
- Skąd ta pewność?
- Dunne długo nie odpowiadał.
- Bo inaczej nigdy nie zaspokoisz ciekawości - odrzekł w końcu. -I nie poznasz prawdy.
- Jakiej prawdy? - prychnął szyderczo Bryson.
- Na początek - odparł cicho Dunne - prawdy o samym sobie.

## Rozdział 3

**W** górach Blue Ridge w Wirginii Zachodniej, na pograniczu Tennessee i Karoliny Północnej, CIA posiada około dwustu akrów świerkowo-sosnowego lasu. Jego część, zwana Little Wilson Creek, należy do parku narodowego imienia Jeffersona. Jest to teren bardzo dziki, silnie pofałdowany, usiany jeziorami, poprzecinany strumieniami, potokami, wodospadami i oddalony od głównych szlaków wędrownych. Najbliższe miasta, Troutdale i Yolney, bynajmniej nie leżą blisko. Agenci CIA nadali temu odosobnionemu, otoczonemu zwojami drutu kolczastego pustkowiu nazwę bezbarwną, nieciekawą i nijaką: Strefa.

W skalistych nierównościach Strefy dokonuje się prób ze zminiaturyzowanymi ładunkami wybuchowymi. Zainstalowano tam również szereg nadajników oraz urządzeń naprowadzających, które pracują na częstotliwościach uniemożliwiających ich namierzenie.

Strefa jest tak dzika i porośnięta tak zwartym lasem, że trudno w niej znaleźć niski budynek z betonu i szkła, który pełni funkcję biura, centrum szkoleniowo-konferencyjnego i koszar. Stoi około stu metrów od lądowiska dla śmigłowców, które - ze względu na specyficzne ukształtowanie terenu i na gęstą roślinność wokół polany - jest prawie niewidoczne.

Podczas podróży Harry Dunne prawie się nie odzywał. Pogawędził mogli jedynie w limuzynie, w drodze na lądowisko w kampusie, gdy; później, w trakcie lotu ciemnozielonym rządowym śmigłowcem, wszyscy trzej - towarzyszył im milczący asystent Dunne'a - mieli na uszach dźwiękoszczelne słuchawki. Na lądowisku w Strefie czekał na nich anonimowy, nie rzucający się w oczy mężczyzna.

Minąwszy szary, nijaki hol, całą czwórką zeszli schodami do niskiego, spartańskiego urządzonego pomieszczenia pod ziemią. Na gładkiej, białej ścianie zamontowano dwa wielkie, płaskie monitory plazmowe, które wisiały tam niczym czarne, prostokątne obrazy. Dunne i Bryson usiedli i lśniącym stołem z nierdzewnej stali. Jeden z milczących asystentów zniknął, drugi czuwał tuż za zamkniętymi drzwiami.

Dunne darował sobie grzeczności i wstąpił i od razu przeszedł do rzeczy.

- Powiem ci, co o sobie myślisz i w co wierzysz - zaczął. - Uważali się za kurewskiego bohatera, za nieopiewanego w pieśniach herosa. Jesteś o tym niezachwianie przekonany. Ba, dzięki temu przekonaniu uda ci się przetrwać piętnaście lat brutalnego i stresującego życia, której człowiek mniej odporny psychicznie na pewno by nie przetrwał. Piętnaście lat. Wierzysz, że poświęciłeś je służbie dla kraju, pracując w supertajnej agencji znanej jako Dyrektoriat. O istnieniu tej instytucji nie w dosłownie nikt. Nie słyszeli o niej nawet najwyżsi urzędnicy rządowi może z wyjątkiem przewodniczącego prezydenckiej komisji doradczej spraw wywiadu zagranicznego i paru grubych ryb z Białego Domu, które dopuszczono do tajemnicy. Klasyczna pętla, zamknięta na tyle, na ile można ją zamknąć w tym upadłym świecie.

Bryson starał się oddychać równo i spokojnie, żeby nie pokazać sobie, jak bardzo jest zaszokowany. Bo zaszokowany był: Dunne wie o rzeczach, o których nie powinien wiedzieć, które starannie ukrywani

- Dziesięć lat temu dostałeś nawet prezydencki Medal Honoru wybitne zasługi dla kraju. Ale ze względu na swoją supertajną działalność nie było ani prezydenta, ani uroczystej ceremonii, ani niczego. Założę się, że nie pozwolili ci nawet zatrzymać medalu.

Bryson doskonale pamiętał tę chwilę: Waller otworzył pudełko i pokazał mu ciężki, mosiężny przedmiot. Uroczysta ceremonia w Białym Domu nie wchodziła w rachubę - naraziliby się na dekonspirację - mimo to Bryson pękał z dumy. Waller spytał go, czy nie jest mu przykro, że otrzymawszy najwyższe amerykańskie odznaczenie cywilne, nie może się nim pochwalić. Wzruszony Nick odpowiedział, że nie. Wiedział o tym on, Waller, wiedział o tym prezydent Stanów Zjednoczonych. Dzięki jego pracy świat był odrobinę bezpieczniejszy i to mu w zupełności wystarczyło. Mówił szczerze, prosto z serca. I właśnie na tym polegał etos Dyrektoriatu.

Dunne wcisnął kilka guzików na konsoli wbudowanej w blat stołu. Czarne, płaskie ekrany zamigotały i rozjarzyły się jaskrawymi kolorami. Na jednym z nich widniało zdjęcie Brysona jako studenta Stanfordu - nie było to zdjęcie oficjalne, lecz zrobione z ukrycia, bez jego wiedzy. Inne pokazywało go w polowym mundurze w górach Peru, na jeszcze innym - ciemna cera, czarna, wystrzępiona broda - występował jako Ja-mil Al-Moualem, syryjski ekspert od materiałów wybuchowych.

Zdumienia nie da się ukrywać zbyt długo: szok zaczął ustępować miejsca irytacji, a potem złości. Chodziło o metody pracy Dyrektoriatu. Tak, na pewno. Ci z CIA żarli się z kimś o ich legalność, a on utknął w samym środku kłótni.

- Fascynujące - wycedził, przerywając milczenie. - Niemniej radziłbym przedyskutować te sprawy z kimś innym. Jak pan zapewne wie, ostatnio zajmuję się wyłącznie nauczaniem. Dunne poklepał go przyjacielsko po ramieniu; pewnie dla dodania otuchy.

- Mój drogi, nie chodzi o to, co wie CIA. Chodzi o to, co wiesz ty, a raczej o to, czego nie wiesz. - Przeszył go spojrzeniem. - Wierzysz, że spędziłeś piętnaście lat w służbie dla kraju, prawda?

- Nie muszę wierzyć, ja po prostu wiem - odparł z mocą Bryson.

- Sęk w tym, że się mylisz. A gdybym ci tak powiedział, że Dyrektoriat nie jest wcale agencją rządową Stanów Zjednoczonych, że pracuje przeciwko nam? - Dunne odchylił się w fotelu i przeczesał ręką zmierzwiłone włosy. - Kurwa mać, wiedziałem, że ciężko ci będzie tego wysłuchać. Ale mnie też jest niełatwo. Dwadzieścia lat temu zgarnąłem pewnego faceta. Myślał, że szpieguje dla Izraela, i robił to z wielkim zapałem. Musiałem mu wyjaśnić, że go oszukano, że płaci mu nie Izrael, tylko Libia. Wszystkie kontakty, wszystkie skrytki, wszystkie potajemne spotkania w hotelach w Tel Awiwie były częścią jednej wielkiej podpuchy; nawiasem mówiąc, bardzo marnej podpuchy. Skurwiel nie powinien był działać na dwa fronty, ale nawet ja mu współczułem, widząc jego minę, gdy się dowiedział, kim byli jego prawdziwi chlebodawcy. Nie zapomnę jej do końca życia.

Brysona paliła twarz.

- Co to ma wspólnego ze mną?

- Nazajutrz rano mieliśmy przesłuchać go w sali sądowej Departamentu Sprawiedliwości. Nie zdążyliśmy. Palnął sobie w łeb. - Zamigotał jeden z ekranów. - Zwerbował cię ten człowiek, tak?

Była to fotografia Herberta Woodsa, wybitnego historyka ze Stanfordu i uniwersyteckiego doradcy Brysona. Woods bardzo go lubił i podziwiał za płynną znajomość kilkunastu języków i fenomenalną pamięć. N: i za to, że Nick uprawiał sport. W zdrowym ciele zdrowy duch - Woods miał na tym punkcie świra.

Ekran szerniał i nagle wyświetliło się na nim gruboziarniste zdjęcie młodego Woodsa na ulicy. Bryson momentalnie ją rozpoznał: była to moskiewska ulica Gorkiego, której po zakończeniu zimnej wojny przywrócono starą, przedrewolucyjną nazwę: ulica Twerska.

Nie wytrzymał i parsknął gorzkim, szyderczym śmiechem.

- Czysty obłęd. Chce mnie pan zaskoczyć? „Ujawnić” fakt, że Heit Woods był za młodu komunistą? Bardzo mi przykro, ale wszyscy o tym wiedzą. Właśnie dlatego był takim zatwardziałym antykomunistą: wiedział z doświadczenia, jak bardzo zwodnicze mogą być tego rodzaju utopie.

Dunne westchnął i pokręcił głową. Miał bardzo tajemniczą minę.

- Niepotrzebnie wyprzedzam fakty. Miałeś słuchać, więc słuchaj. Jesteś historykiem, tak? Zrobię ci krótki wykład. Na pewno słyszałeś o Truście.

Trust. Według historyków największy spisek szpiegowski dwudziestego wieku. Siedmioletnia operacja, dzieło i oczko w głowie Feliksa Dzierżyńskiego, prawej ręki Lenina. Wkrótce po rewolucji Czeka, niesławna poprzedniczka sowieckiego KGB, zorganizowała grupę fałszywych dysydentów złożoną z wysokich urzędników państwowych, którzy uważali a przynajmniej takie rozpuszczano pogłoski - że Związek Radziecki prędzej czy później upadnie, że to nieuchronne. Z biegiem czasu zaczęły współpracować z nimi grupy rosyjskich działaczy na uchodźstwie. Współpraca była tak ścisła i owocna, że zachodnie agencje wywiadowcze zostały zalane morzem fałszywych, odpowiednio spreparowanych informacji. Był to nie tylko błyskotliwy podstęp mający na celu zmylenie obcych mocarstw, które pragnęły upadku państwa Lenina, ale i znakomity sposób na spenetrowanie wrogich siatek szpiegowskich za granicą. Trust funkcjonował przez siedem lat, i to tak znakomicie, że jako modelowa operacja szpiegowska stał się przedmiotem badań i studiów agencji wywiadowczych na całym świecie.

Prawda wyszła na jaw dopiero w latach dwudziestych, kiedy było już za późno. Przywódcy rosyjskich antykomunistów na uchodźstwie zostali uprowadzeni i

zamordowani, ich współpracownicy odcięci od centrum dowodzenia, a niedoszli sowieccy dysydenci aresztowani i straceni. Po tych miażdżących ciosach zewnętrznych i wewnętrznych opozycja już nigdy nie doszła do siebie. Według jednego z amerykańskich analityków „była to operacja wywiadowcza, która położyła podwaliny pod państwo radzieckie”.

- Zamierzchnie czasy - mruknął zde gustowany Bryson, kręcąc się niecierpliwie w fotelu.

- Inspiracja nade wszystko - odparł Dunne. - Nie wolno jej lekceważyć. Otóż na początku lat sześćdziesiątych w Głównym Zarządzie Wywiadowczym Sztabu Generalnego, w skrócie GRU, spotkała się grupka mózgowców. Faceci doszli do wniosku, że sowieckie agencje wywiadowcze są całkowicie zneutralizowane i niewydajne, że zasypują się wzajemnie fałszywymi informacjami, które same tworzą, że dławi je rozbuchana i bezsensowna biurokracja. Uznali - a trzeba pamiętać, że byli to ludzie o superwysokim ilorazie inteligencji, bystrzaki, prawdziwi geniusze - że agenci wywiadu przez większość czasu kręcą się za własnym ogonem. Nazwali się Szachmatistami, „Szachistami”. Nie znosili swoich nieudolnych przełożonych, mieli w pogardzie współpracujących z nimi Amerykanów, których uważali za dupków, smutasów i cieniasów. Dlatego usiedli i jeszcze raz dokładnie przeanalizowali działalność tych z Trustu, żeby sprawdzić, czy można się czegoś od nich nauczyć. No i się nauczyli. Postanowili zwerbować najlepszych i najinteligentniejszych agentów w obozie przeciwnika i obmyślili na to sposób. Tak samo jak my. Sposobem tym było życie: życie pełne przygód.

- Nie rozumiem.

- Początkowo my też nic z tego nie rozumieliśmy. O istnieniu Dyrektoriatu dowiedzieliśmy się dopiero przed kilkoma laty. Ale o wiele ważniejsze jest to, że dowiedzieliśmy się również, czym Dyrektoriat naprawdę jest.

- Może pan mówić jaśniej?

- Mamy do czynienia z największym szpiegowskim gambitem dwudziestego wieku. Z gigantycznym przekreśleniem. Z czymś w rodzaju Trustu.

Celem tych z GRU było spenetrowanie przeciwnika na jego własnym terenie - na naszym terenie. Założyli supertajną agencję wywiadowczą, obsadzoną utalentowanymi ludźmi, którzy nie mieli pojęcia, kim są ich prawdziwi szefowie, czyli tak zwane konsorcjum. Ale najpiękniejsze w tym wszystkim jest to, że zabroniono im kontaktować się z przedstawicielami amerykańskiej agencji rządowych. Prawdziwy majstersztyk: nikomu ani słowa, a zwłaszcza rządowi, dla którego pracujesz! Zatrudnili porządnych, dziarskich, energicznych Amerykanów, którzy wstawali co rano, wypijali filiżankę rozpuszczalnej kawy, jedli grzanekę, wsiadali do swoich buicków i chevroletów i jechali w świat, by ryzykować życie, nie wiedząc, dla kogo naprawdę pracują. Wszystko szło jak w zegarku. Jak za Dzierżyńskiego. Bryson nie wytrzymał.

- Niech cię szlag, Dunne! Dość! Wystarczy! To wszystko kłamstwo, j stek kłamstw! Myślałeś, że dam się nabrać? Chyba zwariowałeś. - Gwałtownie wstał. - Wychodzę. Odwieź mnie do domu. Zmęczyło mnie to głupie przedstawienie.

- Wiedziałem, że nie uwierzysz, przynajmniej początkowo - odrzekł spokojnie Dunne, nawet nie mrugnawszy okiem. - Na twoim miejscu ja też bym nie uwierzył. Ale spójrz tylko na to. - Wskazał jeden z ekranów.

- Znasz go?

- Ted - powiedział Bryson. - Edmund Waller... - Patrzył na zdjęcie o wiele młodszego Wallera, krępego, lecz jeszcze nie otyłego. W galowym mundurze wojskowym stał na Placu Czerwonym podczas uroczystej defilady. W tle widać było część Kremla. W ramce po prawej stronie zdjęcia przesuwawały się informacje biograficzne. Nazwisko: Genadij Rosowski. Urodzony w 1939 we Władywostoku. Cudowne dziecko: geniusz szachowy. Od siódmego roku życia uczył się angielskiego, pobierając lekcje u rodowitego Amerykanina. Dyplomy uczelni partyjnych i wojskowych, długa lista odznaczeń.

- Cudowne dziecko - wymamrotał Bryson. - Co to, do diabła, znaczy?

- Powiadają, że gdyby tylko chciał, mógłby wygrać ze Spaskim i Fisherem naraz, że

zrobiłby światową karierę - odrzekł posepnie Dunne. -Ale on postanowił zagrać o wyższą stawkę. Szkoda.

- Zdjęcie można spreparować, podrobić je na komputerze...

- Próbujesz przekonać mnie czy siebie samego? - przerwał mu Dunne.

- Zresztą mamy wiele oryginałów, chętnie ci je udostępnię. Zapewniam, że wszystkie zostały dokładnie zbadane pod mikroskopem. Pewnie nigdy byśmy się o niczym nie dowiedzieli, gdyby nie hit szczęścia. *Mirabile*, kurwa, *dictu*, panie profesorze: zdobyliśmy dostęp do ruskich archiwów. Wystarczyło trochę szmalu i odkopali parę zakurzonych teczek. Kilka

skrawków papieru długo nie dawało nam spokoju. Nigdy byśmy tych informacji nie rozgryźli, gdyby nie fart: zgłosiło się do nas dwóch agentów Dyrektoriatu. Byli pracownikami średniego szczebla i ich zeznania niewiele nam dały. Ale kiedy porównaliśmy je z dokumentami z Kremla, zaczął się wyłaniać pewien obraz. Tym sposobem dowiedzieliśmy się o tobie, Nick. Było tego bardzo niewiele, ponieważ ci z konsorcjum skutecznie zadbali o podział Dyrektoriatu na dziesiątki niezależnych od siebie wydziałów i komórek.

Dlatego zaczęliśmy grzebać, macać i szukać. I tak przez trzy lata. Przede wszystkim chodziło nam o szefów. Chcieliśmy ustalić, kim naprawdę są. Błądziliśmy jak dzieci w mgle. Pewność mieliśmy jedynie co do twego przyjaciela Rosowskiego. Trzeba przyznać, że facet ma poczucie humoru. Wiesz, czyje nazwisko sobie przywłaszczył? Edmund Waller był mało znanym siedemnastowiecznym poetą i obrzydliwym oportunistą. Czy Rosowski rozmawiał z tobą o angielskiej wojnie domowej?

Bryson z trudem przełknął ślinę i kiwnął głową.

- Rozbawi cię to, zobaczysz. Otóż w okresie dyktatury wojskowej Cromwella Edmund Waller pisał hymny pochwalne na cześć Lorda Protektora. Rzecz w tym, że był jednocześnie szpiclem rojalistów i ochoczo donosił na swojego dobroczyńcę. Gdy w tysiąc sześćset sześćdziesiątym na tron powrócili Stuartowie, przyjęto go z honorami na królewskim dworze. Teraz już rozumiesz? Facet przybrał nazwisko najślynniejszego podwójnego agenta w historii angielskiej poezji. Jako wybitny intelektualista na pewno się z tego uśmiejesz.

- Twierdzisz, że w college'u zwerbowano mnie do jakiejś... mętnej organizacji? Że wszystko to, co robiłem potem, było podpuchą i przekrętem? - spytał z gorzkim sceptycyzmem Bryson.

- Tak, tyle tylko że maszynę tego przekrętu puszczono w ruch wcześniej. Dużo wcześniej. Dunne wcisnął guzik i na ekranach pojawiły się kolejne zdjęcia. Na tym po lewej Bryson ujrzał zdjęcie swego ojca, generała George'a Brysona, krzepkiego, przystojnego mężczyzny o kwadratowej szczęce, stojącego obok żony Niny Loring Bryson, cichej, łagodnej kobiety, która uczyła gry na fortepianie, wędrowała za mężem po świecie i nigdy na nic nie narzekała. Na ekranie prawym widniało niewyraźne, gruboziarniste zdjęcie z policyjnych akt, przedstawiające rozbity samochód na ośnieżonej górskiej drodze. Bryson drgnął. Powrócił dawny ból. Nie mógł na to patrzeć nawet teraz, po tylu latach.

- Pozwól, że o coś cię spytam, Nick. Wierzysz, że to był wypadek? Miałeś wtedy piętnaście lat, byłeś wybitnym uczniem, znakomitym sportowcem, chlubą amerykańskiej młodzieży. I nagle twój rodzice; Przechodzisz pod opieką ojca chrzestnego...

- Wujka Pete'a - szepnął głucho Bryson. Tkwił w swoim własnym świecie, w świecie szoku i bólu. - Pete'a Munroe.

- Zgadza się, tak brzmiało jego przybrane nazwisko. Przybrane, nie prawdziwe. Wujek skutecznie zadbał o to, żebyś poszedł do tego, nie innego college'u i żebyś podjął szereg decyzji, które oczywiście podjąłeś, A wszystko po to, żebyś trafił w ich łapy: do Dyrektoriatu.

- Chcesz powiedzieć, że kiedy miałem piętnaście lat, zamordowano mi rodziców - powiedział odrętwiały Bryson. - Że całe moje życie było jednym wielkim... oszustwem.

Dunne drgnął i lekko się zawahał.

- Może pocieszysz cię to, że nie tylko twoje - odrzekł łagodnie. - Było was więcej, znacznie więcej. Ale dzięki tobie odnosili najbardziej spektakularne sukcesy.

Nick chciał wypytać go o szczegóły, chciał z nim polemizować, zarzucić mu brak logiki, wytknąć podstawowe błędy, lecz nie miał siły. Dostał silnych zawrotów głowy, naszyły go straszliwe wyrzuty sumienia. Jeśli Dunne nie kłamał, co w jego życiu było prawdą? Co było prawdą, a co fałszem? Czy w ogóle siebie znał? Czy wiedział, kim jest?

- A Elena? - spytał apatycznie, nie chcąc słyszeć odpowiedzi.

- Tak, Elena Petrescu. Interesujący przypadek. Naszym zdaniem była agentką rumuńskiej Securitate, którą Waller zwerbował, żeby miała na ciebie oko.

Elena... Nie, to niemożliwe, niewyobrażalne! Nie mogła pracować dla Securitate. Jej ojciec, wróg komunizmu i odważny matematyk, zwrócił się przeciwko swojemu rządowi. A ona... Przecież uratował ją i jej rodziców, przecież się kochali...

Pędzili konno bezkresną, piaszczystą plażą. Długo galopowali, potem przeszli w kłus. Była chłodna nos, świecił srebrzysty księżyc.

- Czyżby ta wyspa należała tylko do nas? - spytała radośnie Elena. Czuję się tak, jakbyśmy byli tu zupełnie sami, jakby to wszystko należało wyłącznie do nas!

- Bo tak jest, kochanie - odparł zarażony jej wesołą wylewnością. Nie mówiłem ci? Zdefraudowałem kilka tajnych funduszków i kupiłem na raty.

Roześmiała się dźwięcznie i frywolnie.

- Nicholas, jesteś okropny!

- Nicholas... - powtórzył. - Lubię, jak wypowiadasz moje imię. Gdzie nauczyłaś się tak dobrze jeździć? Nie wiedziałem, że w Rumunii są konie.

- Ależ są, i to dużo. Uczyłam się u babci Nicolety. Miała gospodarstwo u stóp Karpat i kilka kucyków huculskich. To taka szczególna rasa. Wspaniale się na nich jeździ. Są bardzo inteligentne, żwawe, silne i pracowite...

- To tak j akty.

Na plaży łamały się z hukiem fale.

- Nie znasz Rumunii, kochanie, prawda? Komuniści doprowadzili Bukareszt do ruiny, ale wiesz, góry, równiny, Transylwania i Karpaty są dziewiczo piękne. Mieszkający tam ludzie wciąż żyją jak przed laty, w wędrownych wozach. Kiedy zmęczyło nas uniwersyteckie życie, jechaliśmy na kilka dni do babci, do Dragoslavele. Wiesz, co nam robiła? Mamałygę, smażoną papkę z mąki kukurydzianej, i ciorbę, moją ulubioną zupę.

- Tęsknisz za domem.

- Trochę. Ale najbardziej za rodzicami. Bardzo mi ich brakuje. To straszne, że nie możemy się widywać. Dwie rozmowy telefoniczne rocznie to za mało.

- Ale przynajmniej są bezpieczni. Twój ojciec ma wielu wrogów. Zabiliby go, gdyby się dowiedzieli, gdzie jest. To agenci Securitate, zawodowi zabójcy. Obwiniają go o zdradę, o przekazanie tajnych szyfrów, które doprowadziły do upadku rządu Ceausescu. Teraz się ukrywają, w Rumunii i za granicą, ale nie zapomnieli. Zorganizowali się w grupy tak zwanych „czyścicieli”: tropią starych wrogów i z wyrachowaniem ich mordują. I bardzo, ale to bardzo chcieliby dopaść człowieka, którego uważają za największego zdrajcę.

- Mój ojciec był bohaterem!

- Oczywiście, ale dla nich jest zdrajcą, sprzedawczykiem. Pragną zemsty i zrobią wszystko, żeby dopiąć swego.

- Boję się, Nicholas.

- Niepotrzebnie. Chcę ci tylko uświadomić, jak ważne jest to, żeby twoi rodzice pozostali w ukryciu i pod opieką naszych ludzi.

- Boże, mam nadzieję, że są bezpieczni. Będę się o nich modliła. Ściągnął wodze i zatrzymał konia.

- Obiecuję ci, że zrobię co w ludzkiej mocy, żeby nic im nigdy nie groziło.

Zapadła cisza. Milczeli. I on, i Dunne. W końcu Bryson nieprzytomnie zamrugał i odchrząknął.

- Niemożliwe. Nie, to nie ma sensu. Odwaliłem kawał dobrej roboty. Ile razy...  
- ...skopałeś nam tyłek? - Dunne bawił się papierosem, ale go nie przypalał. - Trudno zliczyć. Każdy twój sukces był dla nas ciosem, każdy cios przynosił nieodwracalne straty. Wiedz, że mówię to z szacunkiem. Podziwiam cię jak zawodowca. Spójrzmy. Ten „umiarkowany reformator” z Ameryki Południowej, którego tak dzielnie broniłeś: był na liście płac Sendero Luminoso, terrorystów ze Świetlistego Szlaku. W Sri Lance pomogłeś obalić tajną koalicję, która mogła doprowadzić do zawarcia pokoju między Tamilami i Sinhalesami. A to?  
Ekran ponownie rozjarzył się kolorami. Rozmazane piksele ułożyły się w niewyraźny kształt, kształt w zdjęcie.

Abu.

- Tunezja - wychrypiał Bryson. - Miał... miał zorganizować zamach stanu, on i jego zwolennicy. Przyjechałem, dotarłem do kilku opozycjonistów, zorientowałem się, kto w pałacu gra na dwa fronty... - Nie był to epizod, który mógłby wspominać czule i z rozrzewnieniem. Doskonale pamiętał rzeź przy alei Habiba Borguiga, chwilę, kiedy Abu go zdemaskował i o mało co nie zabił.

- A więc tak... - powiedział Dunne. - Wystawiłeś go i przekazałeś rządowcom, tak?

Tak. Wystawił Abu grupę zaufanych agentów tunezyjskiej służby bezpieczeństwa, którzy uwięzili go wraz z jego bezwzględnyimi siepaczami.

- A potem? - spytał Dunne. Bryson wzruszył ramionami.

- Kilka dni później umarł. Nie powiem, że bym po nim płakał.

- W przeciwieństwie do mnie, Bryson. - Nie wiedzieć czemu, Dunne powiedział to szorstkim, oschłym głosem. - Abu Intiaqab był jednym z naszych, a konkretniej jednym z moich. Bo to ja go wyszkoliłem. To dzięki mnie stał się naszym najcenniejszym agentem w tym regionie. Najcenniejszym agentem w całej północnej Afryce i na Bliskim Wschodzie, rozumiesz?

- Ale... Przecież chciał... Przecież zorganizował... - Bryson oniemiał, Zawirowało mu w głowie. To jakiś obłąd! Czysty obłąd!

- Tylko po to, żeby umocnić swoją pozycję wśród tych furiiatów. Zgadza się, był przywódcą Al-Nahda. Zgadza się co do joty. Pracował pod przykrywką. Pod superprzykrywką. Musiał, inaczej nie przeżyłby tam ani jednego dnia. Myślisz, że łatwo jest spenetrować grupę fanatycznych terrorystów? Zwłaszcza takich jak ci z Hezbollahu? Są kurewsko podejrzliwi. Jeśli cię nie znają, jeśli nie znają twojej rodziny, jeśli nie wiedzą, co robiłeś w życiu, każą ci mordować Żydów, przelewać hektolitry krwi, każą ci udowodniać, że należysz do nich duszą i ciałem. Inaczej nigdy ci nie zaufają. Ale jemu zaufali. Był skurwysynem i twardym graczem, ale naszym graczem. I musiał być twardy. Dlaczego? Dlatego, że jeszcze trochę i nawiązałby kontakt z Kadafim. Kadafi wykonywał sobie, że jeśli Abu przeprowadzi zamach stanu i przejmie władzę w Tunezji, Libia zdobędzie nową prowincję. A Abu zostanie jego kumplem i wasalem. Dotarło? Mogliśmy zyskać dojsście do wszystkich islamistycznych grup terrorystycznych na pomoc od Sahary. Wtedy do akcji wkroczył Dyrektoriat. Podesłaliście mu wadliwą amunicję i zanim się spostrześliśmy, było już za późno. I dupa, panie Bryson. Cofnęliśmy się o dwadzieścia lat. Moje gratulacje, wspinała robota, czapki z głów. Jedna amerykańska

agencja wywiadowcza rozpirza w pył misterną operację innej amerykańskiej agencji. Ci „Szachiści” są rzeczywiście genialni, kurewsko genialni. Mam kontynuować? Mam opowiedzieć ci o tym, co tak naprawdę zrobiłeś w Nepalu? A może opowiem ci o Rumunii, bo pewnie myślisz, że przyczyniłeś się do upadku rządu Ceausescu, tak? Co za farsa. Z dnia na dzień wszyscy starzy reżimowcy przebrali się w nowe szatki i pozakładali „demokratyczne” rządy. Przecież dobrze o tym wiesz! Najbliżsi współpracownicy Ceausescu knuli ten spisek od lat. Chcieli rzucić skurwiela lwom na pożarcie i dorwać się do władzy, bo dokładnie tego pragnęli ci z Kremla. Więc co robią? Organizują zamach stanu. Dyktator i jego żona uciekają



śmigłowcem, lecz śmigłowiec ma „awarię” silnika. Państwo Ceausescu zostają aresztowani, osądzeni przez kapturowy sąd i w Wigilię stanęli przed plutonem egzekucyjnym. Kolejny przekręt. Kto na nim skorzystał? Jedno po drugim, wszystkie państwa satelickie bloku wschodniego wykopują na zbity pysk komunistycznych aparatczyków, przechodzą na demokrację i zrywają z Sowietami. Kolej na Rumunię, ale nie, Moskwa się nie poddaje. Zgoda, niech szlag trafi Ceausescu, od lat założył im za skórę. Ale stracić cały kraj? Nigdy. Trzeba utrzymać Securitate i jedną marionetkę zastąpić drugą. Koniecznie, wszelkim kosztem. Kto odwali brudną robotę? Któż inny jak nie starzy towarzysze z Dyrektoriatu? Chryste, człowieku, mam mówić dalej?

- Kurwa mać! - krzyknął Bryson. - Co to za bzdury? Masz mnie za durnia? GRU, Ruscy: to wszystko przeszłość. A może twoi kowboje z Langley nic jeszcze nie wiedzą? To ci powiem: zimna wojna już się skończyła!

- Właśnie - odrzekł Dunne ledwo słyszalnym głosem. - Tym dziwniejsze jest to, że z jakiegoś powodu Dyrektoriat wciąż istnieje i ma się całkiem dobrze.

Bryson patrzył na niego bez słowa. Odebrało mu mowę. Jego mózg pracował na najwyższych obrotach, lecz myśli krążyły w kółko i w kółko, niczym prąd w przegrzanych obwodach.

- Będę z tobą szczery, Nick. Swego czasu chciałem cię zabić, udusić gołymi rękami. Ale to było kiedyś, dawno temu, zanim odkryliśmy prawdę o Dyrektoracie. Pogadajmy uczciwie. Nie będę wciskał ci kitu: całej prawdy nie znamy, daleko nam do tego. Wiemy tyle co nic, poznaliśmy jedynie kilka fragmentów gigantycznej układanki. Od dziesiątków lat krążyły jedynie pogłoski, niesprawdzalne i nieuchwytnie jak mgła. Z tego, co zdołaliśmy ustalić, po zakończeniu zimnej wojny Dyrektoriat jakby przycichł. To tak jak w tej starej bajce o ślepcu i słoniu. Tu wymacaliśmy trąbę, tam ogon, ale wciąż nie wiemy, z jakim zwierzem mamy do czynienia. Wiemy jednak, bo śledziliśmy cię od kilku lat, że kawał z ciebie skurwysyna i że twoi zwierzchnicy zrobili cię w bambuko. Dlatego siedzę tu, miło z tobą gawędzę i nie rzucam ci się do gardła. - Zarechotał jak żaba i zaniósł się spazmatycznym kaszlem. - Spekulowaliśmy, spekulowaliśmy i wyspekulowaliśmy. Według nas jest tak: po zakończeniu zimnej wojny ci z Dyrektoriatu zerwali ze swoimi chlebodawcami. Władza przeszła w inne ręce.

- W czyje? - spytał ostrożnie Bryson. Dunne wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Pięć lat temu wyraźnie zwolnili. Nie tylko ciebie wylali z roboty, wielu innych też. Może zamierzali zamknąć interes i zwinąć manatki? Trudno powiedzieć. Ale mamy powody sądzić, że chcą się reaktywować.

- Reaktywować? Co to znaczy?

- Cholera ich wie. Dlatego postanowiliśmy wciągnąć w to ciebie Krążą różne słuchy. Wygląda na to, że z jakiegoś powodu twoi dawni mistrzowie gromadzą broń.

- Z jakiegoś powodu... -powtórzył głucho Bryson.

- Może dążą do ogólnoswiatowej destabilizacji, jak ujęliby to nasi wielce edukowani analitycy? Zgoda, tylko po co? Dlaczego? Zadaję sobie te pytania i nie znajduję odpowiedzi. A najbardziej przeraża mnie to, czego nie wiem.

- Interesujące - mruknął ironicznie Bryson. - Bardzo interesujące. Dochodzą was plotki, spekulujecie, urządzasz mi tu multimedialną prezentację, tylko nie masz zielonego pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Świetnie.

- Właśnie dlatego jesteś nam potrzebny. Sowiecki komunizm upadł, ale ichni generałowie nie złożyli broni. Spójrz tylko na generała Buszałowa: jeszcze trochę i będzie jednym z tuzów rosyjskiej sceny politycznej, Powiedzmy, że stanie się u nich coś złego, że winą za to nieszczęście będą

mogli obarczyć Stany Zjednoczone: dają głowę, że Buszałow wskoczy na najwyższy stołek. A gdzie demokracja? Wielu Rosjan powiedziałoby: „Do diabła z demokracją!”. W chińskim kongresie ludowym i w centralnym Komitecie chińskiej partii komunistycznej działa potężna reakcyjna koteria; nie wspomnę już o chińskiej armii, o Ludowej Armii

Wyzwoleńczej, która jest siłą samą w sobie. Jakby na to nie patrzeć, chodzi o miliony dolarów i o władzę, o potężną władzę. Jedna z naszych teorii zakłada, że „Szachiści” związali się ze swoimi pekińskimi braćmi. Ale niewykluczone, że gadam bzdury, bo prawdę znają tylko oni, a oni milczą jak zakłęci. Niestety.

- Jeśli naprawdę w to wierzysz, jeśli uważasz mnie za bohatera największej rozgrywki szpiegowskiej naszego stulecia, to po cholere mnie tu ściągnąłeś?

Długo mierzyli się wzrokiem.

- Na miłość boską, Nick, terminowałeś u samego mistrza, u jednego z założycieli Dyrektoriatu. Powiadają, że w Rosji, za dawnych czasów, Rosowski miał ksywkę Wołszebnik, Czarnoksiężnik. Wiesz, co z tego wynika? - Dunne roześmiał się i ponownie zakaszał. - Że jesteś uczniem czarnoksiężnika.

- Niech cię szlag! - wybuchnął Bryson.

- Znasz Wallera. Byłeś jego najlepszym uczniem i potrafisz go rozgryźć. Domyślasz się, o co cię proszę, prawda?

- Tak - odrzekł ironicznie Bryson. - Chcesz, żebym ich zinfiltrował. Dunne powoli skinął głową.

- Jesteś naszą najlepszą bronią. Mógłbym apelować do twoich uczuć, do twego patriotyzmu. Ale szlag by to, jesteś nam coś winien.

Bryson potarł czoło. Nie wiedział, co to tym myśleć, co mu odpowiedzieć.

- Bez urazy - dodał Dunne - ale skoro chcemy ich zwietrzyć, musimy spuścić ze smyczy najlepszego psa, jakiego mamy. Jak by to powiedzieć... - Bawił się papierosem tak długo, że wykruszył prawie cały tytoń z bibułki. - Tylko ty wiesz, jak oni pachną.

## Rozdział 4

Jaskrawe słońce wybielało wszystkie gmachy, lśniąc i migocząc w szklanych taflach biurowców przy K Street. Bryson uważnie obserwował dom oznaczony numerem 1324, budynek tak dobrze znany, jednocześnie dziwnie obcy. Z twarzy ściekał mu pot; kołnierzyk białej koszuli prawie już nim przemókł. Stał przy oknie w pustym pomieszczeniu biurowym z maleńką lornetką dyskretnie przyciśniętą do oczu. Pośrednik, który dał mu klucze, był trochę zaskoczony. Przychodzi do niego zagraniczny biznesmen, żeby wynająć lokal na biuro, ale przed podpisaniem umowy pragnie spędzić kilka minut sam na sam z krążącymi tam fluidami. Że niby fengshui i tak dalej. Wziął go pewnie za jednego z tych nadwrażliwych, otwartych emocjonalnie ludzi interesu nowej generacji, ale najważniejsze, że go wpuścił.

Bryson przestąpił z nogi na nogę. Serce waliło mu jak młotem, pulsowały mu skronie. W gmachu, który przez tyle lat był siedzibą jego chlebodawcy, który tak długo był jego drugim domem, bazą wypadową, oazą ciszy i spokoju w tym gwałtownym, nieustannie zmieniającym się świecie, nie dostrzegał nic pocieszającego ani przyjaznego. Stał w ciemnym, pustym biurze przez dobry kwadrans, dopóki nie usłyszał pukania do drzwi: zaintrygowany pośrednik chciał poznać jego decyzję.

Zmiany. Tak, zauważył je natychmiast, choć były bardzo subtelne, Stare mosiężne tablice przy frontowych drzwiach zastąpiono innymi, równie banalnymi. Harry Dunne uprzedził go, że Waller zmienił kwaterę, ale Bryson nie uwierzył mu na słowo i postanowił sprawdzić to osobiście. Ci! z Dyrektoriatu byli mistrzami kamuflażu i potrafili ukryć się nawet pod) płonąca latarnia. „Nagość jest najlepszym przebraniem” - mawiał Ted.

A jednak. Czyżby rzeczywiście się wyprowadzili? Zarząd Amerykańskich Producentów Artykułów Tekstylnych i Zarząd Amerykańskich Producentów Zboża - brzmiało równie wiarygodnie, jak Zarząd Amerykańskich Przedsiębiorstw Innowacyjnych czy Dykcja Amerykańskiej Izby Handlu Międzynarodowego. Obie tablice mógł zawiesić któryś z twórczych artystów Dyrektoriatu, tylko po co? Po jaką cholere? Zaszły też inne zmiany. W

trakcie piętnastominutowej obserwacji zauważył, że frontowymi drzwiami wchodzi i wychodzi niezwykle dużo ludzi - o wiele a dużo jak na Dyrektoriat. Czyżby naprawdę mieściły się tam teraz przedstawicielstwa zwykłych spółek handlowych?

Może jednak Dunne miał rację? Ale system wczesnego ostrzegania już działał. Nie bierz niczego za dobrą monetę - kolejna rada Wallera Dotyczyła i jego, i Dunne'a, i wszystkich z tej branży.

Nad sposobem wejścia do gmachu zastanawiał się od paru godzin Podszedł do tej sprawy jak do kolejnego zadania operacyjnego i obmyślił nawet kilka metod, jednak żadna z nich nie gwarantowała sukcesu bez ryzyka. Wówczas ponownie zajrzał do zbioru truizmów Teda Wallera -

szlag by to, Genadiego Rosowskiego. Jeśli masz jakiegokolwiek wątpliwości, wchodzi frontowymi drzwiami. Tak jest, wejść tam bezczelnie, jawnie i otwarcie to najlepsza strategia.

Nieodłączną częścią tej gry była i zawsze będzie dwulicowość. Podziękował pośrednikowi, poprosił o przygotowanie umowy najmu i wręczywszy mu jedną z fałszywych wizytówek, oświadczył, że spieszy się na umówione spotkanie.

Ruszył w stronę budynku. Zmysły miał wyostrzone i czujne jak nigdy dotąd: reagowały na każdy nagły ruch i na każdą zmianę w strukturze i kolorystyce ulicznego tłumu, która mogła sygnalizować niebezpieczeństwo.

A więc gdzie był Ted Waller?

Co jest prawdą, a co obłędem?

Jazgotliwy hałas, wszechogarniająca kakofonia dźwięków.

„Bo inaczej nigdy nie zaspokoisz ciekawości. I nie poznasz prawdy”.

Jakiej prawdy?

„Na początek prawdy o samym sobie”.

Ale co tą prawdą było? Co było prawdą, a co kłamstwem?

„Uważasz się za kurewskiego bohatera, za nieopiewanego w pieśniach herosa... Piętnaście lat. Wierzysz, że poświęciłeś je służbie dla kraju, pracując w supertajnej agencji znanej jako Dyrektoriat”.

Dość! Wystarczy! To szaleństwo!

Elena? Ty też? Elena, moja największa miłość, która zniknęła z mojego życia równie nagle, jak się w nim pojawiła?

„Piętnaście lat. Wierzysz, że poświęciłeś je służbie dla kraju...”.

A krew, którą przelałem, a skręcający wnętrzności strach, a te niezliczone sytuacje, kiedy omal nie zginąłem, a ludzie, których zabiłem?

„Mamy do czynienia z największym szpiegowskim gambitem dwudziestego wieku. Z gigantycznym przekrętem”.

Chcesz powiedzieć, że całe moje życie było... jednym wielkim oszustwem!

„Może pocieszy cię to, że nie tylko twoje. Było was więcej, znacznie więcej. Ale dzięki tobie odnosili najbardziej spektakularne sukcesy”.

Obłęd!

„Tylko ty wiesz, jak oni pachną”.

Ktoś na niego wpadł. Bryson błyskawicznie odskoczył w bok, ugiął nogi i gotowy do ataku usztywnił ręce. Niepotrzebnie. Stał przed nim wysoki, atletycznie zbudowany urzędnik ze sportową torbą i rakietą do squasha. Patrzył na niego ze zmarszczonym czołem i lękiem w oczach. Bryson wymamrotał przeprosiny. Urzędnik łypnął na niego spode łba i odszedł szybkim, nerwowym krokiem.

Spójrz prawdzie w oczy! Prawdzie i przeszłości!

Ted Waller nie jest Tedem Wallerem! Tyle wiedział na pewno. Miał swoje źródła informacji w dawnym KGB i GRU, znał ludzi, którzy po zakończeniu zimnej wojny wycofali się z branży albo zmienili pracę. Popytał, gdzie trzeba, sprawdził dane i je potwierdził. Wykonał kilkanaście telefonów, wielokrotnie używał fałszywego nazwiska, wielokrotnie wypowiadał pozornie bzdurne, lecz jakże znaczące zdania. Skontaktował się

z ludźmi, których znał dawniej, w poprzednim życiu - w życiu, do którego miał już nigdy nie powracać. Z handlarzem brylantami z Antwerpii. Z bogatym adwokatem z Kopenhagi. Z wysoko opłacanym „konsultantem” handlowym i „pośrednikiem”, który miał wielkie chody w Moskwie. Wszyscy byli kiedyś cennymi informatorami, oficerami sowieckiego GRU - po rozpadzie Związku Radzieckiego wyemigrowali i zaprzestali działalności szpiegowskiej. Jednakże wszyscy zatrzymali coś dla siebie, tak na wszelki wypadek. Informacje: przechowywali je w skrytkach bankowych, na zakodowanych taśmach magnetycznych albo po prostu w niezgłębionych archiwach genialnej pamięci. Byli zdziwieni, zaskoczeni, nawet przerażeni, że kontaktuje się z nimi człowiek legenda, agent, który kiedyś płacił im hojnie za pomoc i współpracę. Rozpoznali Wallera. Potwierdzili jego prawdziwą tożsamość. Żaden z nich nie miał najmniejszych wątpliwości.

Genadij Rosowski i Edmund Waller to jedna i ta sama osoba.

Ted -jego drużba, szef, powiernik i chlebobawca - był „śpiochem” GRU. Harry Dunne miał rację. Obłąd. Czysty obłąd.

Mijając drzwi, natychmiast zauważył, że ze ściany zniknął domofon, który służył kiedyś do wprowadzania tajnych, stale zmieniających się kodów dostępu. Wisiała tam teraz przeszklona gablotka ze spisem kancelarii prawniczych i organizacji lobbystycznych, które miały w budynku swoją siedzibę. Pod każdą nazwą widniała krótka lista najważniejszych urzędników wraz z numerem ich biura. Ze zdziwieniem stwierdził, że wewnętrzne drzwi otwierają się całkiem zwyczajnie, że nie ma w nich elektronicznego zamka. Każdy mógł swobodnie wejść i wyjść.

Pchnął je - były szklone zwykłym okiennym szkłem, kuloodporne zniknęło - i *zajrzał* do holu. W holu zmieniło się niewiele. Marmurowa lada w kształcie podkowy, za ladą młody Murzyn, strażnik, a może recepcjonista w błękitnym blezerze. Podniósł głowę i spojrzał na niego bez większego zainteresowania.

- Jestem umówiony z... - Bryson zawahał się, próbując przypomnieć sobie któreś z nazwisk z przeszklonej gablotki. - Z Johnem Oakesem

z zarządu Amerykańskich Producentów Artykułów Tekstylnych. Bili Thatcher z biura kongresmana Yaughana - dodał z teksańskim akcentem. Rudy Yaughan był bardzo wpływowym politykiem, przewodniczącym jednej z komisji Kongresu. Ci od konfekcji musieli się z nim liczyć.

Formalności. Były zwyczajne, jak to formalności. Recepcjonista zadzwonił do biura zarządu; sekretarz Johna Oakesa nic nie wiedział o spotkaniu z głównym doradcą prawnym Rudy’ego Yaughana, niemniej z wielką radością zaanonsował go szefowi. Do holu zszedł młody, energiczny blondyn, który zaprowadził Brysona do windy, przepaszając go bez końca za nieporozumienie.

Wysiedli na drugim piętrze, gdzie czekał na nich inny blondyn o lekko „odświeżonych” włosach. Miał na sobie kosztowny garnitur i tryskał przesadnym entuzjazmem: dyrektor John Oakes. Szeroko rozłożył ręce i niemal do niego podbiegł.

- Tak się cieszę! Tak się cieszę! Jesteśmy wdzięczni, że kongresman Yaughan zechciał nas poprzeć. - Uścisnął mu dłoń obiema rękami i konspiracyjnym szeptem dodał: - Doskonale wiem, że pan Yaughan rozumie wagę problemu. Ameryka powinna być silna i niezależna: zastopowanie taniego eksportu leży w interesie nas wszystkich. Mauretańskie tkaniny! Do czego to doszło? Jestem przekonany, że kongresman Yaughan zrobi, co w jego mocy.

Ruszyli korytarzem.

- Pan Yaughan chciałby poznać szczegóły projektu ustawy o międzynarodowych standardach pracy, który popieracie - odrzekł Bryson, dyskretnie rozglądając się wokoło. Nie, nie dostrzegł żadnej znajomej twarzy. Nie było tam ani Chrisa Edgecomba, ani innych, których znał jedynie z widzenia. Nie było konsolet łącznościowych ani modułów telekomunikacyjnych, ani monitorów globalnego systemu satelitarnego. Zmieniło się absolutnie wszystko, łącznie z meblami i rozkładem wnętrza. Wyglądało na to, że wymienili nawet podłogę. W podręcznym magazynie broni mieściła się teraz sala konferencyjna, w której stał kosztowny mahoniowy stół i krzesła i którą oddzielała od

korytarza ściana z przydymionego szkła.

Weszli do narożnego gabinetu i Oakes wskazał mu fotel.

- Wiemy, że pan Vaughan będzie się starał o reelekcję - powiedział. - Dlatego rzeczą dla nas najistotniejszą jest udzielenie poparcia tym członkom Kongresu, którzy pragną, by amerykańska gospodarka zachowała prężność, niezależność i siłę. Uważamy...

Bryson z roztargnieniem kiwał głową. Siedział w gabinecie, który należał kiedyś do Wallera. Wyzbył się ostatnich wątpliwości. To nie był kamuflaż, to nie była przykrywka. Dyrektoriat zniknął.

Tak samo jak Ted Waller, jedyny człowiek, który mógł potwierdzić -lub zaprzeczyć - że Harry Dunne nie zmyśla.

Który z nich kłamał? Który mówił prawdę?

W jaki sposób mógł nawiązać kontakt z dawnymi kolegami, skoro jakby zapadli się pod ziemię?

Mur. Natrafił na mur.

Dwadzieścia minut później wrócił do garażu, gdzie zostawił wynajęty samochód. Zaczął od dokładnej kontroli, jak kiedyś, kiedy miał to we krwi. Króciutka nitka, którą wetknął między drzwi na wysokości klamki, tkwiła na swoim miejscu, tak samo jak nitka nad klamką u drzwi od strony pasażera; gdyby ktoś próbował otworzyć zamek wytrychem albo dostać się do środka innym sposobem, któraś by wypadła lub przynajmniej zmieniła położenie. Potem szybko zajrzał pod podwozie, żeby sprawdzić, czy nie podłożono tam ładunku wybuchowego lub nie zamontowano jakiegoś urządzenia. Nie zauważył, żeby go śledzono, lecz zwykła obserwacja to stanowczo za mało. Przekręcając kluczyk w stacyjce, poczuł w brzuchu znajomy ucisk, który towarzyszył mu w takich sytuacjach przez piętnaście lat. Już. Chwila prawdy minęła. Silnik warczał cicho i miarowo. Bomby nie było.

Zjechał na najniższy poziom, przystanął przed szlabanem i wsunął do czytnika kartę magnetyczną. Karta wyskoczyła.

- Cholera jasna-wymamrotał.

To niemal zabawne: przedsięwziął tyle środków ostrożności, a tu masz zatrzymał go głupi szlaban. Ponownie wsunął kartę, karta ponownie wyskoczyła. Szlaban ani drgnął.

Z budki wyszedł znudzony parkingowy.

- Niech pan pozwoli - powiedział. Wetknął kartę do czytnika i nic. Mężczyzna obejrzał ją uważnie, z nagłym zrozumieniem kiwnął głową i podszedł do samochodu.

- Czy to na pewno ta sama karta, którą dostał pan przy wjeździe? - spytał.

- Oczywiście - warknął zirytowany Bryson. Co to za dureń? Myśli że co? Że wyjeżdżam cudzym samochodem? Wziął mnie za złodzieja. Zerknął w boczne okno i natychmiast zwrócił uwagę na jego ręce. Ręce, dłonie. Facet miał...

- Nie, nie zrozumiał mnie pan. - Parkingowy nachylił się i Bryson poczuł na skroni zimny ucisk lufy małowadziowego pistoletu. Chryste, co to a paranoja? - Trzymaj łapy na kierownicy. Chyba że chcesz, żebym tego użył

Boże święty!

Ręce! Tak, to było to! Miał starannie wypielęgnowane paznokcie, zadbane dłonie człowieka, który dba o swój wygląd, który obraca się w bogatych, ekskluzywnych kręgach i musi wtapiać się w otoczenie. Parkingowy? Bzdura. Sęk w tym, że za późno to rozumiał.

Mężczyzna gwałtownie otworzył tylne drzwi, wskoczył do samochodu i błyskawicznie przytknął lufę pistoletu do jego głowy.

- Jedź! Szybko! - Otworzył się szlaban. - Pamiętaj, ręce na kierownicy. Nie chciałbym pociągnąć za spust przez przypadek, jasne? Pojedziemy na przejażdżkę zaczerpnąć świeżego powietrza.

Bryson, którego rewolwer spoczywał w schowku na mapy, nie miał wyboru i wyjechał na K Street. Gdy tylko włączył się do ruchu, poczuł, że lufa pistoletu dźga go w lewą skroń.

- Wiedziałaś, że ten dzień nadejdzie, prawda? - rzucił mężczyzna swobodnym, konwersacyjnym tonem głosu. - Taki los, prędzej czy później czeka to nas wszystkich.

Zadasz jedno pytanie za dużo, otworzysz drzwi, zamiast je zamknąć, wetkniesz nos w nie swoje sprawy i już.

- Mógłbyś mi wyjaśnić, o co tu chodzi? - spytał swobodnie Bryson. Serce waliło mu jak młotem, myślał o stu rzeczach naraz. - Włączę radio, dobrze? Zaraz będą wiadomości... - Wyciągnął rękę i w tej samej chwili oberwał w głowę rękojęścią pistoletu.

- Łapy na kierownicę! - ryknął mężczyzna.

- Jezu Chryste! - wykrzyknął Bryson, krzywiąc się z bólu. - Co ty wyczyniasz?

W kaburze na plecach miał glocka. Siedzący za nim porywacz o tym nie wiedział, lecz Bryson nie chciał ryzykować. Przynajmniej na razie.

Glock. Świetnie, tylko jak go stamtąd wydostać? Zabójca - wiedział, że to zawodowiec, pracownik Dyrektoriatu albo wolny strzelec - kazał mu trzymać ręce na kierownicy. Musiał go słuchać. Musiał czekać na odpowiedni moment, odwrócić jego uwagę i zaatakować. Tak, miał do czynienia z profesjonalistą. Wskazywał na to starannie opracowany plan akcji, jego szybkie, pewne ruchy, a nawet swobodny ton głosu.

- Pojedziemy za miasto. Gdzieś, gdzie można spokojnie pogadać... Pogawędka to ostatnia rzecz, na którą masz ochotę, pomyślał Bryson.

- Ty i ja, dwóch facetów z tej samej branży, tyle tylko że ja ma broń, a ty nie. Bez urazy, nic do ciebie nie mam. Ot, zwykły interes. Raz ty bierzesz kogoś na muszkę, innym razem ktoś bierze na muszkę ciebie. Bywa. Fortuna kołem się toczy. Kiedyś byłeś dobry, dlatego wiem, że przyjmiesz to jak mężczyzna.

Bryson milczał. Cały czas intensywnie myślał, rozważał dostępne opcje. Bywał w takiej sytuacji niezliczoną ilość razy, choć nigdy - może tylko podczas szkolenia w Dyrektoriacie - nie siedział tyłem do uzbrojonego w broń palną przeciwnika. Dobrze wiedział, o czym tamten teraz myśli, dobrze to wszystko znał: wariant A pociąga za sobą wariant B, i tak dalej. Potrafił przewidzieć, jak zabójca zareaguje, co zrobi, jeśli nie zważając na jego polecenie, Bryson skreśli nagle w złą stronę. Dopóki jechali ruchliwą ulicą, pewnie by nie strzelił, bojąc się, że samochód wpadnie w poślizg. Znajomość taktyki była jedną z nielicznych kart, którymi dysponował.

Jednocześnie wiedział, że w razie potrzeby tamten nie zawaha się pociągnąć za spust nawet tu i teraz: wystrzeli i po prostu przytrzyma kierownicę. I tak źle, i tak niedobrze.

Mijali Key Bridge.

- W lewo - warknął mężczyzna. Na lotnisko? Chcąc uśpić jego czujność, Bryson posłusznie skreślił w lewo.

- Pierwszy zjazd w prawo. - Tą drogą dojechaliby za lotnisko, gdzie mieściła się większość agencji wynajmu samochodów.

- Mogłeś załatwić mnie w garażu - wymamrotał Bryson. - I powinieneś.

Facet był zbyt doświadczony, żeby dać się zagadać i wybadać, f wyraźniej dużo mu o nim opowiadali. O jego sposobie myślenia, o tym jak zareagowałby w takiej czy innej sytuacji. Zabójca cicho zachichotał.

- Daruj sobie. Widziałeś te wszystkie kamery? Widziałeś tych ludzi? Ty też byś tam tego nie zrobił. Znam cię, dużo o tobie słyszałem.

Błąd, maleńkie potknięcie. Facet był wolnym strzelcem, wynajętym autsajderem, co oznaczało, że najpewniej nie ma wsparcia, że jest sam Czyścicielowi z Dyrektoriatu daliby obstawę. Cenna wiadomość.

Wjechał na opustoszały parking po drugiej stronie wielkiego placu Zgodnie z poleceniem skreślił i zatrzymał samochód. Gdy odwrócił j we, tamten boleśnie dźgnął go lufą w skroń.

- Nie ruszaj się. - Był niezadowolony i bynajmniej tego nie ukrywał, Bryson spojrzął przed siebie i powiedział:

- Zrób to przynajmniej szybko i skutecznie.

- Czujesz się teraz jak ci, których swego czasu sprzątnąłeś, co?- Niezadowolenie ustąpiło miejsca rozbawieniu. - Ogarnia cię strach? Pój? czucie bezradności? Bezsilności? A może rezygnacja?

- Jak dla mnie, za bardzo filozofujesz. Pewnie nawet nie wiesz, kto ci płaci.

- Interesuje mnie tylko to, czy czek ma pokrycie, nie więcej.
- Bez względu na to, kto go wystawia - dodał spokojnie Bryson. -I dla kogo pracuje. Dla rządu czy dla kogoś innego.
- Politykę mam gdzieś.
- Polityka się przydaje.
- Nie w naszej branży.
- W naszej branży też. - Bryson odczekał chwilę i dodał: - Możemy dojść do porozumienia. Mam pieniądze. Dobrze wiesz, że zawsze podbieraliśmy i podbieramy, jak wszyscy. Z funduszu reprezentacyjnego, z rachunków, z zawyżonych kosztów własnych. Wystarczy je wyprać i zaprząć do pracy. Dobrze zainwestować. Chociażby teraz, w tej chwili.
- Chcesz mnie kupić - skonstatował poważnie tamten. - Zapominasz tylko, że jedną transakcją nie zarobiłbym na życie. Ty masz rachunek w banku, a oni cały bank. A ja w banku nie zagram.
- I słusznie, ale wystarczy, że złożysz im odpowiedni meldunek. Byłem lepszy, niż myślałeś, lepiej wyszkolony. Zdołałem zbiec. Jezu, ten facet jest naprawdę dobry, fenomenalny. Myślisz, że ci nie uwierzą? Uwierzą, oni chcą w to wierzyć. Zatrzymasz zaliczkę, a ja podwoję twoją stawkę. Czysty interes, przyjacielu.
- Rachunki są dzisiaj pod ścisłą obserwacją, Bryson. To nie to samo co w twoich czasach. Pieniądze to cyferki w komputerze, a komputerowe transakcje zostawiają za sobą ślady.
- Ale nie gotówka. Zwłaszcza gotówka, o której nikt nie wie.
- Wszystko zostawia ślady i dobrze o tym wiesz. Przykro mi, ale mam robotę do wykonania. W tym przypadku będę musiał upozorować twoje samobójstwo. Wiesz, że od dawna cierpisz na głęboką depresję? Że nie masz życia osobistego? Że spokój i cisza gaju Akademosa jest ci nie w smak, bo ma się nijak do podniecających chwil, które spędziłeś, będąc szpiegiem? Depresja, mój drogi, klasyczna depresja. Badali cię najwybitniejsi psychiatrzy i psychofarmakolodzy...
- U psychiatry byłem tylko raz, wiele lat temu. U wojskowego zresztą.
- Ależ skąd - odparł tamten z nutką wisielczego humoru w głosie. -Według twojej karty chorobowej odwiedziłeś go kilka dni temu. Leczysz się od roku...
- Bzdura.
- W erze komputerów wszystko jest możliwe, drogi przyjacielu. Rejestry farmakologiczne? Cóż prostszego? Przepisywano ci środki antydepresyjne, kupowałeś proszki na uspokojenie i pigułki nasenne. Wszystko tam jest. Powiadają nawet, że napisałeś na komputerze list pożegnalny...
- Listy pożegnalne pisze się ręcznie. Nigdy na komputerze czy na maszynie.
- Zgoda, obaj to przerabialiśmy. Ale wierz mi, nikt nie będzie w tym grzebał. Sekcji zwłok też nie będzie. Nie masz rodziny, nikt tego nie zażąda.
- Słowa starannie dobrane i bolesne. Fakt, nie miał rodziny. Odkąd opuściła go Elena. Odkąd ci z Dyrektoriatu zamordowali mu ojca i matkę.
- Ale powiem ci, że to zadanie jest dla mnie prawdziwym zaszczytem - kontynuował zabójca. - Ostatecznie byłeś ponoć najlepszym z najlepszych.
- Kto ci je zlecił?
- Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Robota to robota.
- Myślisz, że pozwolą ci tak po prostu odejść, żebyś rozpowiadał wokoło, jaki to z ciebie kozak? Kto wie, czego ci mogłem nagadać. Naprawdę sądzisz, że ci odpuszczą?
- Mam to w dupie - oparł tamten bez przekonania.
- Nie przypuszczam - drażył posepnie Bryson. - Tak samo jak nie przypuszczam, żeby twoi chlebodawcy darowali ci życie. Jak mówię: diabli wiedzą, czego ci naopowiadałem. Zabójca milczał. Musiał poczuć się trochę nieswojo.
- Co ty knujesz? - spytał po chwili. Chyba się zawahał, gdyż nacisk lufy pistoletu leciutko zelżał. Po raz drugi okazywał niezdecydowanie.
- Bryson nie potrzebował niczego więcej. Spokojnym ruchem oderwał lewą rękę od

kierownicy, wsunął ją sobie za plecy, wymacał rękojeść glocka,; błyskawicznie wyszarpnął go z kabury, wbił lufę w oparcie fotela i wypalił. Na oślep, raz, drugi i trzeci. Hałas omal go nie ogłuszył. Trzy pociski dużego kalibru przeszły fotel i... Trafiły? Odpowiedź przysłała ułamek sekundy później, gdy wyczuł, że tamten zabrał rękę, że już w niego nie? mierzy. Odwrócił się, wycelował i stwierdził, że nie ma do kogo celować.' Jeden z pocisków odstrzelił facetowi pół głowy.

Tym razem spotkali się na szóstym piętrze głównej kwatery CIA w Langley, w gabinecie Dunne'a. Sprawdzili go, obszukali i bez żadnych fanfar; wprowadzili do środka.

- Twoi kumple z Dyrektoriatu uznali, żeś dla nich stracony. - Dunne roześmiał się chrapliwie i zaniósł kaszlem. - Czy to nie dziwne? Tylko zapomnieli chyba, z kim mają do czynienia.

- To znaczy?

- To znaczy, że jesteś lepszy niż ci, których mogą na ciebie nasłać, Na miłość boską, mogliby wreszcie przejrzeć na oczy...

- ...i zobaczyć, jak wchodzę tu, żeby wszystko wyśpiewać, co?

- Szkoda tylko, że nie znasz melodii, nie mówiąc już o słowach -odparł Dunne. - Trzymali was na odległość, w izolacji. Nie znasz prawdziwych nazwisk ani prawdziwych życiorysów. Znasz tylko legendy, a legendy na nic się nam nie przydadzą. Ci ludzie po prostu nie istnieją. Jak choćby ten twój Prospero.

- Już mówiłem, nic więcej o nim nie wiem. Poza tym od tamtej chwili upłynęło piętnaście lat. Dla agenta operacyjnego to cała era. Moim zdaniem był Holendrem albo przynajmniej pochodził z Holandii. Świetny fachowiec.

- Sporządziliśmy jego portret pamięciowy. Porównujemy go teraz ze zdjęciami, szkicami i opisami słownymi. Koszmar roboty, żmudna i mało wydajna. Niestety, sztuczna inteligencja jest jeszcze w powijakach. Do tej pory mamy tylko jedno „trafienie”, jak mawia nasz spec od twardych dysków. Facet, z którym pracowałeś w Szanghaju podczas operacji...

- Sigma.

- Właśnie. Frank Oglivy z Karoliny Południowej. Mieszka, a raczej mieszkał w Hilton Head.

- Przeprowadził się? Przenieśli go?

- Można tak powiedzieć. Gorący dzień, zatłoczona plaża. Siedem lat temu. Kojfnął na zawał serca. Ponoć. Jeden ze świadków twierdzi, że było niezłe zamieszanie. Tłum ludzi i w ogóle...

Zadumany Bryson wbił wzrok w pozbawioną okien ścianę gabinetu. I nagle powiedział:

- Jeśli szukasz mrówek, jedź na piknik.

- Że co? - Dunne jak zwykle skubał papierosa.

- Waller tak mówił. „Jeśli szukasz mrówek, jedź na piknik”. Zamiast szukać ich tam, gdzie byli, trzeba poszukać ich tam, gdzie mogą być. Pytanie: czego mrówki chcą? Na co mają ochotę?

Dunne odłożył pękniętego papierosa, znieruchomiał i nagle poderwał głowę.

- Broni. Krążą słuchy, że bronie. Że od jakiegoś czasu ją gromadzą. Przypuszczamy, że chcą zdestabilizować sytuację na południowych Bałkanach, ale cholera wie, co tak naprawdę chodzi im po łbie.

- Bronie... - powtórzył Nick, intensywnie myśląc. Dunne wzruszył ramionami.

- I amunicji. Wyrafinowanego sprzętu. Małych cacek, które robią w nocy wielkie bum. Kiedy zaczynają spadać bomby i świstać kule, nasi generałowie wydają się bardziej sympatyczni. Nie mam pojęcia, co tamci knują, ale trzeba ich powstrzymać. Za wszelką cenę.

- Wszelką?

- My wiemy, co to znaczy. My, ale nie Richard Lanchester. Prawy człowiek. Ma dobre intencje, ale co komu po idealizmie? Zauważyłeś, że święci są tylko w niebie? - Richard Lanchester był dyrektorem Rady Bezpieczeństwa Narodowego. - Facet wierzy w zasady,



pryncypia i regulaminy. Ale świat ma pryncypia gdzieś. Bywa, że aby kogoś uratować, trzeba go skatować.

- Nie dla nas dżentelmeńskie reguły walki markiza Queensbury, co

- odrzekł Bryson, cytując Teda Wallera.

- Powiedz, jak zdobywaliście broń. Skąd ją braliście? Z zamówień rządowych? Chyba nie. A więc skąd? Z ulicy?

- Narzędzia. Nazywaliśmy to „narzędziami pracy”. Zawsze przykładaliśmy do nich wielką wagę. Tak, masz rację. Ze względu na restrykcje musieliśmy robić to w głębokiej tajemnicy. Nie mogliśmy tak po prostu pojechać do wojskowego magazynu z zamówieniem w rękę. Weźmy na przykład Komory, rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty drugi. Typowa operacja z użyciem dużej ilości broni palnej. Mieliśmy odeprzeć najemników, którzy chcieli przejąć władzę...

- To byli nasi ludzie - wtrącił ze znużeniem Dunne. - Pojechali tam tylko po to, żeby odbić kilkunastu Amerykanów i Brytyjczyków, których ten kutas pułkownik Patric Denard przetrzymywał dla okupu.

Bryson zdębiał, mimo to parł naprzód.

- Po pierwsze, kilkaset karabinów Kałasznikowa. Są tanie, lekkie i niezawodne. Produkuje się je w kilku krajach, dlatego trudno wytropić, kto i gdzie je kupił. Dalej: kilka sztuk karabinów wyborowych wyposażonych w celowniki optyczne z noktowizorami, najlepiej typu BENS 9304 Jaguar Night Scope. Dalej: wyrzutnie rakiet i granatniki, najchętniej CPAD Tech Przydadzą się również stingery. Grecy produkują je na licencji. Masowo dlatego łatwo je kupić. Partyzanci kurdyjscy gromadzą fundusze, sprzedając stingery Tamilskim Tygrysom...

- Czekaj, zaczynam się w tym gubić. Bryson niecierpliwie westchnął.

- Kiedy handluje się bronią, w dodatku nielegalnie, spore ilości to waru idą na lewo. Z każdego transportu znika kilka skrzynek...

- Ups! Spadają z ciężarówki.

- Coś w tym stylu. Sama broń nie wystarczy, trzeba zdobyć amunicję. Właśnie to pogrąża amatorów: kiedy przychodzi co do czego, okazuje się, że mają więcej broni niż amunicji.

Dunne popatrzył na niego z dziwnym błyskiem w oku.

- Dobry byłś, co? - Nie zabrzmiało to ani jak pytanie, ani jak komplement.

Bryson gwałtownie wstał.

- Wiem, gdzie ich znaleźć. A przynajmniej gdzie zacząć szukać. Mniej więcej o tej porze roku... - Sprawdził datę na zegarku. - Cholera, to już za dziesięć dni. Za dziesięć dni na międzynarodowe wody u wybrzeży Costa da Morte w Hiszpanii wypłynie wielki kram z bronią. Impreza ma ponad dwudziestoletnią tradycję, jest jak doroczna parada w Dzień Dziękczynienia. Ten kram to olbrzymi okręt, kontenerowiec wypełniony po brzegi najnowocześniejszą bronią. Jest kram, będą i kupujący. Same grube ryby, handlarze z pierwszej ligi. Statek jest zarejestrowany pod nazwą „Hiszpańska Armada”.

- Piknik - powiedział Dunne, wykrzywiając usta w chytrym uśmiechu. - Piknik przyciągnie mrówki. Niezły pomysł.

Bryson bez słowa kiwnął głową. Myślał o czymś innym. Perspektywa powrotu do dawnej pracy - zwłaszcza teraz, gdy zdał sobie sprawę, że przez piętnaście lat perfidnie go oszukiwano - napawała go wstrętem. Jednakże oprócz wstrętu odczuwał coś jeszcze: wściekłość. Tak, pragnął zemsty. Towarzyszyło temu uczucie dużo spokojniejsze: potrzeba zrozumienia, zagłębienia się w przeszłość. Potrzeba odkrycia drogi, którą przez labirynt kłamstw i tajemnic mógłby dotrzeć do prawdy. Do prawdy, z którą dałby radę żyć.

- Tak - odparł ze znużeniem w głosie. - Dla wolnych strzelców, dla terrorystów, dla głęboko zakamuflowanych agencji rządowych, dla każdego, kto chce nielegalnie kupić broń, nie ma lepszego pikniku niż „Hiszpańska Armada”.

## Rozdział 5

Ocean Atlantycki

Trzyście mil morskich na południowy zachód od Cabo Finisterre w Hiszpanii

Czarny, głęboko zanurzony statek wyłonił się z mgły niczym monstrualna góra. Był wielki, olbrzymi, długi na przecznice, może nawet na kilka miejskich przecznic. Miał ponad trzysta metrów długości i był wyładowany różnokolorowymi metalowymi kontenerami o pofałdowanych ścianach, z których każdy miał sześć metrów długości i dwa metry czterdzieści centymetrów wysokości. Stały w dziesięciu rzędach, po osiem w każdym,

z tym że na każdym z ośmiu w rzędzie ustawiono jeszcze dwa. Zajmowały prawie cały pokład i kiedy śmigłowiec okrążył okręt, by zawisnąć nad fordekiem, Bryson przeprowadził kilka szybkich obliczeń. Dwieście czterdzieści olbrzymich, blaszanych pudeł - tylko na pokładzie. W ładowniach pod pokładem mogło się zmieścić trzy razy tyle. Potworny ładunek, tym bardziej złowieszczy, że wszystkie były identycznie nijakie, a każde z nich kryło tajemnicę.

Reflektor śmigłowca omiótł płaski pokład. W części rufowej, hen, za rzędami kontenerów, strzelała w niebo biała nadbudówka o czarnych oknach - na wieńczącym ją mostku zamontowano nowoczesny radar i antenę satelitarną. Natomiast pokładówka zupełnie nie pasowała do reszty, wyglądała tak, jakby przeniesiono ją tu z luksusowego jachtu. Nic dziwnego, gdyż nie był to zwykły kontenerowiec. Helikopter delikatnie usiadł na wielkiej literze H wymalowanej na fordeku.

Tak, to była „Hiszpańska Armada”, statek legenda w mrocznym świecie terrorystów, tajnych agentów i handlarzy bronią, zarówno działających półlegalnie, jak i tych, którzy żyli i pracowali poza prawem. „Armada” nie miała nic wspólnego z flotą czy flotyllą: była jedyna w swoim rodzaju, była gigantycznym okrętem wyładowanym wszelkiego rodzaju bronią, zarówno najnowszej generacji, jak i nieco już przestarzałą. Nick nie wiedział, gdzie Calacanis, tajemniczy pan i władca tego pływającego bazaru, ją kupuje, lecz krążyły słuchy, że robi to legalnie w krajach, w których brakuje pieniędzy, ot, choćby w Bułgarii, Albanii, w państwach Europy Wschodniej, w Rosji, Korei i w Chinach. Jego klientami byli handlarze z całego świata, a raczej półświatka: reprezentanci najemników z Kong i fanatyków z Afganistanu, ludzie, którzy robili interesy na wojnach domowych toczących się w najbardziej zapalnych regionach Afryki i Azji przedstawiciele legalnie wybranych rządów - wszyscy przyjeżdżali tutaj, na ten okręt, na to eksterytorialne targowisko. Bo tu, na wodach międzynarodowych, trzyście mil morskich od brzegów Hiszpanii, nie obowiązywało żadne prawo.

Bryson poszedł w ślady pozostałych pasażerów i zdjął słuchawki. Wylądowawszy w Madrycie, przesiadł się na samolot Iberii i poleciał do La Coruny. Tam wsiadł do śmigłowca, który zawiózł go do Muros, portu położonego siedemdziesiąt pięć kilometrów na południowy zachód od La Coruny, a stamtąd na „Armadę”. Lecieli we czwórkę. Rozmawiali niewiele i o niczym. Każdy z nich wiedział, że celem podróży jest broń, interes z Calacanisem - to wystarczyło. Jeden z pasażerów pochodził z Irlandii Drugi chyba z Bliskiego Wschodu. Trzeci z Europy Wschodniej. Ponury milczący pilot był Baskiem. Wnętrze śmigłowca zadziwiała przepychała

Skórzane fotele, wypukłe okna, przeszklone drzwi - Calacanis szastał pieniędzmi.

Bryson miał na sobie modny, włoski garnitur, o wiele elegantszy od tych, które nosił na co dzień. Ci z CIA kupili mu go specjalnie na tę okazję. Podróżował jako John T. Coleridge. Stworzył tę postać sam, w Dyrektoracie, i postanowił wcielić się w nią raz jeszcze.

John T. Coleridge, kanadyjski biznesmen o mętnej przeszłości, prowadził brudne interesy jako pośrednik występujący w imieniu kilku przestępczych syndykatów z Azji i kilku państw z rejonu Zatoki Perskiej; bywało nawet, że organizował skrytobójcze zamachy. Był człowiekiem trudno uchwytnym, lecz - co najważniejsze - w pewnych kręgach dobrze znanym, przynajmniej z nazwiska. To prawda, nie widziano go od siedmiu lat, lecz w tej branży nie należało to do rzadkości.

Harry Dunne nalegał, żeby Bryson pojechał na „Armadę” pod przykrywką stworzoną przez fachmanów z wydziału techniczno-graficznego CIA, przez genialnych fałszerzy z komórki specjalizującej się w czymś, co oficjalnie - i eufemistycznie - nazywano „uwierzytelnieniem i weryfikacją”. Ale Nick odmówił. Nie chciał żadnych przecieków, nie chciał, żeby włókł się za nim biurokratyczny ogon. W dalszym ciągu nie wiedział, czy może zaufać Dunne'owi, wiedział jednak, że nie ufa organizacji, którą Dunne reprezentował. Nie, zbyt dużo o nich słyszał, o ich błędach, potknięciach, wyspach i gafach. Wielkie dzięki, wołał już Johna T. Coleridge'a.

Sęk w tym, że nigdy dotąd nie spotkał Calacanis, nigdy dotąd nie był na pokładzie „Hiszpańskiej Armady”, tymczasem Calacanis słynął z podejrzliwości i ostrożności. Nic dziwnego, w tej branży łatwo się sparzyć. Dlatego Bryson musiał znaleźć kogoś, kto by go zarekomendował.

Zawarł kontrakt na zakup broni. Pieniądze pozostały w banku, gdyż do zapłaty nie doszło, ale zdołał nawiązać kontakt z niemieckim handlarzem, którego niegdyś poznał. Facet mieszkał w luksusowym hotelu w Toronto i ostatnio miał poważne kłopoty: uwikłał się w aferę łapówkarską w niemieckiej chadecji. Groziła mu ekstradycja do ojczyzny, gdzie czekał go proces, poza tym nie miał pieniędzy, dlatego kiedy John T. Coleridge zaproponował mu wspólny interes, przystał na to z wielkim entuzjazmem.

Bryson powiedział mu, że reprezentuje grupę generałów z Zimbabwe, Rwandy i Konga. Generałowie ci chcieli nabyć bardzo kosztowną broń, którą mógł zdobyć i dostarczyć jedynie Calacanis. John T. Coleridge zdawał sobie sprawę, że załatwić to można tylko na „Armadzie”, na słynnym pływającym bazarze. Gdyby Niemiec go polecił - i gdyby interes doszedł do skutku - Coleridge odpaliłby mu sporą działkę, wysoką prowizją praktycznie za nic, ot, za zwykły faks, za list polecający.

Na pokładzie czekał na nich młody, potężnie zbudowany i lekko łysiejący rudzielec, który ze służalczym uśmiechem na ustach ucisnął im dłoń. Przedstawił się jako Ian.

- Bardzo dziękujemy, że zechcieli panowie nas odwiedzić - powiedział wyszukaną angielszczyzną, jakby przyjechali wspomóc w potrzebie starego, schorowanego przyjaciela. - Piękna noc. Spokojne morze, księżyc w pełni - czyż można pragnąć czegoś więcej? I zdążyli panowie na kolację. Proszę, tędy. - Wskazał trzech rostrych ochroniarzy z pistoletami maszynowymi w ręku. - Strasznie mi przykro, że muszą panowie przez to przechodzić, ale cóż, znają panowie sir Basila. - Uśmiechnął się przeprasząco i wzruszył ramionami. - Jest bardzo ostrożny, a w dzisiejszych czasach ostrożności nigdy za wiele.

Smagli ochroniarze obszukali ich szybko i wprawnie. Irlandczyk protestował, od czasu do czasu groźnie powarkiwał, lecz nie próbował ich powstrzymać. Bryson wiedział, co go czeka, dlatego nie zabrał ze sobą broni. Jeden z ochroniarzy obmacał go dokładnie w miejscach mniej i bardziej intymnych i niczego nie znalazłszy, kazał mu otworzyć walizeczkę.

- Dokumenty - powiedział z sycylijskim akcentem i wyraźnie uspokojony, cicho odchrząknął.

Bryson popatrzył w lewo. Na rufie powiewała panamska flaga, na wielu kontenerach widniały naklejki z napisem: UWAGA! MATERIAŁY WYBUCHOWE. Wyjątkowo uprzywilejowani klienci mieli prawo do nich zajrzeć i sprawdzić, czy towar, który kupują, jest rzeczywiście pierwszej jakości. Jednakże kontenery zawsze pozostawały tu, na lub pod pokładem. Jakiś czas później „Armada” zawijała do jednego ze starannie wybranych i bezpiecznych portów, takich jak Guayaquil w Ekwadorze - powiadano, i że mieści się tam kwatera główna Calacanis - czy Santos w Brazylii; bardziej skorumpowanych i rojących

się od piratów miejsc nie było na całej półkuli. Na Morzu Śródziemnym okręt brał kurs na Vlore w Albanii, jeden z największych ośrodków przemytniczych na świecie. Najczęściej odwiedzanymi portami w Afryce było Lagos w Nigerii i Monrowia w Liberi

Przepuścili go.

Mógł wejść do środka.

- Tędy, proszę - powiedział Ian, wskazując nadbudówkę, w której mieściła się zapewne sterownia, pomieszczenia dla załogi oraz apartamenty i biura Calacanis.

Ruszyli. Dyskretnie towarzyszyli im uzbrojeni ochroniarze. Śmigłowiec wystartował i zanim doszli do nadbudówki, na pokładzie zapadła cisza. Bryson usłyszał znajomy szum fal, krzyk mew, poczuł słony zapach morza przesycony ostrą wonią ropy. Nad Atlantykiem świecił jasny księżyc.

Winda, która zawiozła ich na pokład szósty, była tak mała i ciasna, że z trudem się w niej pomieścili.

Gdy rozsunęły się drzwi, Bryson oniemiał. Takiego luksusu nie widział nawet na jachtach najbardziej ekstrawaganckich miliarderów. Niezczędzono kosztów, i to żadnych. Podłogi wyłożono marmurem, ściany ciemnym mahoniem, klamki były z lśniącego mosiądzu. Minęli centrum rozrywki, salę kinową, siłownię z najnowocześniejszym sprzętem do ćwiczeń, saunę i bibliotekę. W końcu weszli do olbrzymiego salonu z oknami wychodzącymi na rufę i lewą burtę. Wysoki na dwa piętra, był wyposażony z przepychem, jakiego nie widuje się w najwspanialszych ze wspaniałych hoteli.

Przy barze stało czterech czy pięciu mężczyzn, których obsługiwał barman w czarnym krawacie. Ubrana na biało hostessa, oszałamiająca blondynka o pięknych, zielonych oczach i nieśmiałym uśmiechu, podała mu kieliszek szampana. Bryson podziękował jej i dyskretnie się rozejrzał. Na marmurowej podłodze leżały wschodnie dywany. Na dywanach stały miękkie pluszowe sofy, a przy ścianach półki z książkami, które po bliższej inspekcji okazały się atrapami. Z sufitu zwisały kryształowe żyrandole. Jedyнным elementem wnoszącym do wystroju coś osobistego były wielkie, wypchane ryby nad półkami: łowieckie trofea Calacanis.

Zerkając ukradkiem na gości, z których kilku po cichu gawędziło, stwierdził, że dwóch z nich zna. Dwóch, a może nawet trzech. Szybko odwrócił głowę i wyteżył pamięć. Zawartość akt powoli dopasowywała się do twarzy. Pakistański pośrednik. Wysoko postawiony oficer IPA, skrajnego skrzydła Irlandzkiej Armii Republikańskiej. Biznesmen i handlarz bronią, człowiek, który bardziej niż ktokolwiek inny przyczynił się do wybuchu wojny iracko-irańskiej. Byli pośrednikami, hurtownikami, tak samo jak pozostali. Przeszedł go zimny dreszcz, zeszywniał z napięcia. Znali go? Jako Coleridge'a? Jako kogoś innego? Swego czasu miał wiele tożsamości i zawsze istniało ryzyko, że wpadnie, przedstawiając się nazwiskiem, które tamci mogli skojarzyć z zupełnie inną twarzą. Ryzyko było nieodłączną częścią tej pracy, ryzyko i niebezpieczeństwo, dlatego musiał mieć się na baczności. Szczególnie teraz.

Jednakże tamci zaszczycili go tylko krótkim, ciekawym spojrzeniem drapieznika, który zerka na swego krewniaka, by sprawdzić, kto zacz

i czego tu szuka. Nie, wyglądało na to, że nikt go nie rozpoznał. Nie odczuł też mrowienia na karku, które ostrzegłoby go, że zna tych ludzi osobiście. Napięcie powoli minęło.

Usłyszał, jak jeden z nich mamrocze coś o „radarze Dopplera”, jak inni rozprawiają o skorpionach i o strzałach, czeskich raketach przeciwlotniczych.

Pochwycił spojrzenie pięknej blond kelnerki i posłał jej uśmiech.

- Gdzie szef? - spytał.

- Szef? - powtórzyła z zakłopotaniem. - Pan Calacanis?

- Czyżby było ich dwóch?

- Za chwilę do panów dołączy. Czy mogę zaproponować coś na przystawkę? Może trochę kawioru?

- Nie, dziękuję. Nie znoszę kawioru. Al-Bika.

- Przepraszam?

- Pani akcent. Lewantyński dialekt z doliny Bekaa, prawda? Kelnerka zaczerwieniła się i spuściła oczy.

- Ciekawa sztuczka.

- Widzę, że pan Calacanis ma tu ludzi z całego świata. Dobry chlebodawca. Wszystkim daje równe szansę.

- Tak. Kapitan jest Włochem, oficerowie pochodzą z Chorwacji, a załoga z Filipin.

- Jak w ONZ. Uśmiechnęła się nieśmiało.

- A klienci? - rzucił. - Też międzynarodowi? Natychmiast przestała się uśmiechać.

- Wybacz pan, ale to nie moja sprawa - odrzekła chłodno. - Przepraszam.

Wiedział, że przesadził. Służba była bardzo przyjacielska, lecz nade wszystko dyskretna. Naturalnie o gospodarza pytać nie wypadało, lecz zarówno Dunne, jak i swego czasu Waller dokładnie zapoznali go z życiorysem właściciela „Hiszpańskiej Armady”. Yasiliou Calacanis był Grekiem, choć urodził się w zamożnej rodzinie w Turcji. Wraz z synami jednej z najpotężniejszych w Anglii rodzin zajmującej się produkcją broni uczęszczał do Eton i wkrótce potem - nikt nie wiedział, jakim sposobem - wszedł w spółkę z ich rodzicami, w których imieniu sprzedawał broń Grekom walczącym z Cypryjczykami. Kilka lat później wspierała go już grupa przekupionych brytyjskich polityków i Yasiliou stał się Basilem, a potem sir Basilem. Należał do najlepszych londyńskich klubów. Jego powiązania z Francuzami były jeszcze silniejsze: na paryskiej alei Focha miał olbrzymi pałac, w którym regularnie przyjmował gości z Quai d'Orsay.

Po obaleniu muru berlińskiego zaczął skupować nadwyżki broni od państw byłego bloku wschodniego, szczególnie od Bułgarii. Zbił gigantyczną fortunę na dostawach wojskowych dla Iraku i Iranu, sprzedając obu stronom setki śmigłowców. Handlował z Libijczykami i z Ugandyjczykami. Między Afganistanem i Kongo szalało kilka wojen domowych, etnicznych i religijnych, które skutecznie podsycił, umożliwiając walczącym łatwy dostęp do karabinów automatycznych, moździerzy, pistoletów, min lądowych i rakiet. Swój olbrzymi ni to okręt, ni to jacht kupił i wyposażył, żerując na krwi setek tysięcy niewinnych ofiar.

Między gośćmi krążył steward. Podchodził do każdego z nich i dyskretnie zawiadamiał, że pora na kolację. Podszedł i do niego.

- Podano do stołu. Zapraszamy do jadalni.

Jadalnia była jeszcze bardziej luksusowa i ekstrawagancka niż salon. Wszystkie ściany pokryto bajecznymi morskimi freskami, tak że zdawało się, iż będą jedli na otwartej przestrzeni, w słońcu i na spokojnym morzu, w otoczeniu pełnych gracji żaglowców. Nad długim stołem wisiał kryształowy żyrandol, a na śnieżnobiałym lnianym obrusie skrzyły się kryształowe kieliszki.

Jeden ze stewardów wskazał mu miejsce u szczytu stołu, tuż obok otyłego, potężnie zbudowanego mężczyzny o krótkiej, szpakowatej brodzie i oliwkowej cerze. Steward nachylił się i szepnął mu coś do ucha.

- Pan Coleridge - zadudnił Calacanis basem rosyjskiego śpiewaka operowego, wyciągając do niego rękę. - Przepraszam, że nie wstaję. Bryson mocno uścisnął mu dłoń i usiadł.

- Nie szkodzi. Miło mi pana poznać. Dużo o panu słyszałem.

- I wzajemnie, i wzajemnie. Dziwię się, że spotykamy się dopiero teraz.

- Zmarnowałem mnóstwo czasu, próbując wyeliminować pośrednika - odrzekł Bryson z krzywym uśmiechem. - Miałem dość płacenia prowizji.

Calacanis wybuchnął gromkim śmiechem.

Siadając do stołu, goście udawali, że nie podsłuchują rozmowy gospodarza z tajemniczym gościem honorowym. Szczególnie jeden, ten o długich do ramion, srebrzystych włosach. Miał na sobie elegancki dwurzędowy garnitur w jodełkę i Bryson zauważył go dopiero teraz, ponieważ w salonie go nie było. Przeszedł go zimny dreszcz: znał go, na pewno skądś go znał. Nie osobiście, ale widział go na zdjęciu czy na filmie w archiwum. Francuz. Człowiek dobrze znany w tych kręgach, przedstawiciel kilku skrajnie prawicowych grup

terrorystycznych. Bryson nie pamiętał jego nazwiska, ale wiedział, że długowłose jest wysłannikiem Jacques'a Arnauda, potężnego francuskiego handlarza bronią. Czy oznaczało to, że Arnaud zaopatruje Calacanis czy odwrotnie?

- Gdybym wiedział, jak przyjemnie jest tu kupować, odwiedziłbym pana znacznie wcześniej. To naprawdę niezwykły okręt.

- Pochlebia mi pan - odrzekł skromnie Calacanis. - Okręt? Raczej kupa złomu. Ledwo utrzymuje się na wodzie. Ale szkoda, że nie widział go pan dziesięć lat temu. Linie oceaniczne Maersk. Słyszał pan o nich? Chcieli wycofać go z eksploatacji i nie mogłem przepuścić takiej okazji. Sęk w tym, że chyba nabili mnie w butelkę. Musiałem tu wszystko ponaprawiać, a przede wszystkim odmalować. A przedtem zeszkrobać z kadłuba tonę rdzy. - Strzelił palcami i jak spod ziemi wyrosła za nimi piękna blond kelnerka z butelką Chassagne-Montrachet w rękę. Nalewając im szampana, ledwo zwróciła na Brysona uwagę. Calacanis wznosił kieliszek jak do toastu, puścił do niego oko i powiedział: - Za wojenne łupy. - Zabrzęczało szkło. - Ta łajba potrafi rozwinąć niezłą prędkość, dwadzieścia pięć, nawet trzydzieści węzłów na godzinę, ale pożera dwieście pięćdziesiąt ton paliwa dziennie. Wy, Amerykanie, nazywacie to kosztami handlowymi, he?

- Jestem Kanadyjczykiem. - Zaniepokojony Bryson wzmógł czujność. Grek nie należał do ludzi, którzy myślą Amerykanów z Kanadyjczykami. - Ale wątpię, czy kupił ją pan z takim wyposażeniem.

- Ba! Było tu jak w lazarecie. - Calacanis powiódł wzrokiem po twarzach gości. - Tak to już jest, o wygody trzeba zadbać samemu. Jak rozumiem, reprezentuje pan kilku afrykańskich klientów, prawda?

Bryson, uosobienie taktu i dyskrecji, uśmiechnął się dwornie i odparł:

- Reprezentuję kilku wielce ustosunkowanych i zdecydowanych kupców, sir Basil.

Calacanis ponownie puścił do niego oko.

- Afrykanie zawsze byli moimi najlepszymi klientami. Kongo, Angola, Erytrea... Nie ma dnia, żeby jakaś frakcja nie walczyła tam z inną frakcją, przy czym obie strony mają mnóstwo pieniędzy. Niech zgadnę: interesują pana karabiny AK-47 z podstawowym wyposażeniem, amunicja, miny lądowe i granaty. Niewykluczone, że granaty z napędem raketowym też. Karabiny wyborowe z noktowizorami. I ręczne wyrzutnie pocisków przeciwpancernych. Trafiłem?

Bryson wzruszył ramionami.

- Pańskie kałasznikowy... Są oryginalne, rosyjskie?

- Zapomnij pan o rosyjskich, to głównie warty szmelc. Moje są bułgarskie.

- Aaaa... Widzę, że rzeczywiście ma pan najlepszy towar.

Calacanis uśmiechnął się z dumą.

- Owszem, nie przeczę. AK-47 z bułgarskiego Arsenalu są nie do pobicia. Uważa tak nawet doktor Kałasznikow, sam Kałasznikow. Więc jak pan poznał Hansa-Friedricha?

- Pomogłem mu zawrzeć kilka dużych kontraktów z Arabią Saudyjską na dostawę czołgów Thyssena A.G. Fuchsa. Przedstawiłem go paru bogatym przyjaciółom z Zatoki, to wszystko. Wracając do tematu. Tak, oczywiście. Jeśli chodzi o AK-47, całkowicie polegam na pańskiej wiedzy i doświadczeniu. A pistolety maszynowe?

- Nie ma lepszych od południowoafrykańskiego wektora CR21 kalibru 5,56. Znakomita broń. Ten, kto użył go raz, nie będzie chciał strzelać z innego. Jest wyposażony w zintegrowany celownik optyczny, który zwiększa prawdopodobieństwo pierwszego trafienia aż o sześćdziesiąt procent. Nawet ślepiec z niego nie spudłuje.

- Pociski z rdzeniem uranowym? Calacanis uniósł brwi.

- Ciekawy wybór. Owszem, mógłbym je zdobyć. Dwa razy cięższe od ołowiu, najlepsze pociski przeciwpancerne, jakie istnieją. Nie oprze im się żaden pancierz. Tną najtwardszą stal jak rozgrzany nóż masło. No i są radioaktywne. Pańscy klienci... Powiada pan, że skąd oni są? Z Rwandy czy z Konga?

- Nie przypominam sobie, żebym o tym mówił.

Ta słowna gimnastyka coraz bardziej go wyczerpywała. Nerwy miał napięte do granic możliwości. To nie były negocjacje, to był gawot, skomplikowany taniec, podczas którego tańczący uważnie się nawzajem obserwują, czyhając na najmniejsze potknięcie partnera. W zachowaniu Calacanis dostrzegł coś, co zdawało się sugerować, że chytry Grek wie znacznie więcej, niż mówi. Uwierzył mu? Ot, tak po prostu? A jeśli sieć jego kontaktów zahaczyła o którąś z agencji wywiadowczych? A jeśli w ciągu pięciu lat, które upłynęły, odkąd przestał pracować w Dyrektoriacie, John T. Coleridge został zdekonspirowany? Jeśli jak zawsze przezorny - i mściwy - Ted Waller ujawnił, że to tylko legenda, przykrywka, jedna z fałszywych tożsamości Brysona?

Zadzwoił małeńki telefon komórkowy leżący przy talerzy Calacanis. Ten podniósł go i warknął:

- Co jest? Tak, Chicky, ale on nie ma u nas kredytu. - Rozłączył się i położył telefon na stole.

- Moich klientów interesują również stingery.

- Jak wszystkich. To bardzo poszukiwany i chodliwy towar. Ostatnio wszyscy terroryści i partyzanci chcą mieć przynajmniej jedną skrzynkę stingerów. Dzięki Stanom Zjednoczonym można je kupić niemal wszędzie. Kiedyś Amerykanie rozdawali je przyjaciółom jak cukierki. Pod koniec lat osiemdziesiątych trafiły na irańskie kutry torpedowe w Zatoce i zestrzeliły kilka śmigłowców amerykańskiej marynarki wojennej. Ci z Waszyngtonu znaleźli się nagle w bardzo głupiej sytuacji, bo muszą je teraz odkupywać. Płacą sto tysięcy dolarów od sztuki, cztery razy więcej, niż kosztowały. Oczywiście ja ich przebijam.

Calacanis zamilkł i Bryson spostrzegł, że po jego prawej stronie stoi blond kelnerka z tacą. Gdy Grek skinął głową, zaczęła nakładać mu na talerz zapierającego dech w piersi tatara z wymieszanego z czarnym kawiolem łososia.

- Rozumiem, że z nimi też robi pan interesy.

- Mają... pokaźne fundusze - odrzekł dyplomatycznie Calacanis. Bryson zniżył głos.

- W pewnych kręgach słyszy się ostatnio, że coraz więcej kupują. Że pewne agencje rządowe, zwłaszcza tajne, te, których praktycznie nikt nie kontroluje, zawierają z panem coraz więcej kontraktów.

Chociaż starał się mówić swobodnie i bez emocji, Calacanis natychmiast go przejrzał. Zerknął na niego i spytał:

- Interesuje pana mój towar czy moi klienci? Bryson zdrętwiał. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że przesadził, że go nie docenił.

Greki położył ręce na stole, jakby miał zamiar wstać.

- Zechce pan wybaczyć. Zaniedbuję pozostałych gości...

- Pytam, bo mam powody - odparł Bryson konspiracyjnym szeptem. - Bo można na tym dużo zarobić.

Greki obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem.

- Na interesach z agencjami rządowymi?

- Mam coś do zaoferowania. Coś, co może zainteresować wpływowego gracza, który nie utrzymując oficjalnych kontaktów z rządem, dysponuje, jak pan to ujął, pokaźnymi funduszami.

- Ma pan coś do zaoferowania mnie? Obawiam się, że nie rozumiem. Jeśli chce pan coś sprzedać, nie jestem panu do tego potrzebny.

- Wprost przeciwnie, bo w tym przypadku inne kanały sanie do przyjęcia

- Kanały? - powtórzył poirytowany Calacanis. - Jakie kanały? O czym, do licha, pan mówi?

Bryson jeszcze bardziej zniżył głos. Mówił niemal szeptem i Grek musiał się ku nie mu nachylić.

- Plany. Kopie oryginalnych planów i specyfikacje, które dla klienta o nieograniczonych funduszach mogą być dużo warte. Rzecz w tym, że

nic nie może mnie z tym łączyć. Absolutnie nic. Za pośrednictwem otrzymałby pan okazałe honorarium.

- Intrygujące - odrzekł Calacanis. - Myślę, że powinniśmy porozmawiać na osobności.

Biblioteka była umeblowana lekkimi francuskimi antykami, które przytwierdzono do podłogi niewidocznymi śrubami. Dwie przeszklone ściany były zasłonięte żaluzjami i kotarami, dwie pozostałe ozdobił starymi morskimi mapami i sztychami. Dokładnie naprzeciwko wejścia znajdowały się dębowe drzwi. Dokąd prowadziły, Bryson nie miał pojęcia.

Powodem tego, że Grek tak szybko opuścił swoich gości, były plany i specyfikacje przygotowane przez specjalistów z wydziału techniczno-graficznego CIA, dokumenty, których autentyczności nie podważyłby nawet wybitny fachowiec czy doświadczony, znający się na rzeczy handlarz.

Calacanis nie ukrywał podekscytowania. Oderwał wzrok od planów i spojrzał na Brysona z zachłannym błyskiem w oczach.

- To javelin - tchnął z podziwem. - Wyrzutnia przeciwpancerna najnowszej generacji. Skąd, u diabła, pan to wytrzasnął? Bryson uśmiechnął się skromnie.

- Pan nie zdradza swoich sekretów, nie zdradzam ich i ja.

- Lekka, przenośna, przystosowana do pocisków typu „wystrzel i zapomnij”. Pociski są takie same, a przynajmniej mają ten sam kaliber, 127 milimetrów, ale w wyrzutni, w systemie sterowania, wprowadzono sporo skomplikowanych zmian. Jest teraz odporna na zakłócenia elektroniczne i z tego, co widzę, jej celność sięga... stu procent!

Bryson kiwnął głową.

- Tak mi powiedziano.

- A kody źródłowe? Ma pan kody?

Chodziło mu o oprogramowanie, bez którego skonstruowanie wyrzutni byłoby niemożliwe.

- Owszem.

- Zainteresowanych znajdę bez kłopotu. Jedyne problemy to fundusze. Cena będzie wysoka, bardzo wysoka...

- Rozumiem, że ma pan na myśli kogoś konkretnego.

- Tak, pewnego dzentelmena. Jest tu, na statku.

- Na kolacji?

- Grzecznie odmówił. To samotnik, unika towarzystwa. Jest w ładowni, ogląda towar. - Calacanis sięgnął po telefon, wystukał numer

i czekając na połączenie, dodał: - Jego chlebodawcy dużo ostatnio kupują. Tak, olbrzymie ilości broni palnej. Ta wyrzutnia na pewno ich zainteresuje, a wygląda na to, że pieniądze nie stanowią dla nich problemu... -Urwał i mocniej przycisnął telefon do ucha. - Czy możesz poprosić pana Jenrette'a do biblioteki?

„Zainteresowany samotnik” - trzydzieści pięć, czterdzieści lat, zmęczona twarz, siwawe, nierówno przycięte włosy - wszedł do biblioteki ; pięć minut później w towarzystwie lana, łysiejącego rudzielca, który jako pierwszy powitał ich na pokładzie „Hiszpańskiej Armady”.

Jenrette - Bryson od razu wiedział, że jest to tylko jedno z kilkunastu nazwisk, którymi ten człowiek się posługuje.

Kowloon.

Bar w hotelu Miramar.

Jenrette był agentem Dyrektoriatu, którego znał pod nazwiskiem Yance Gifford.

Jego chlebodawcy dużo ostatnio kupują. Tak, olbrzymie ilości broni palnej. Ta wyrzutnia na pewno ich zainteresuje, a wygląda na to, że pieniądze nie stanowią dla nich problemu...

Pieniądze nie stanowią problemu... Jego chlebodawcy dużo ostatnio kupują...

Yance Gifford wciąż dla nich pracował, co oznaczało, że Harry Dunne miał rację: Dyrektoriat nie zniknął.

Calacanis spojrzał na niego, odchrząknął i rzekł:



- Przedstawiam panu kogoś, kto ma nową, bardzo interesującą zabawkę. Jestem przekonany, że pańscy przyjaciele chętnie ją kupią.

Jan, ochroniarz i wierny adiutant, stał sztywno przy drzwiach i obserwował ich bez słowa. Yance Gifford był zaszokowany. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że jest, jednak trwało to tylko ułamek sekundy.

- Pan... Coleridge, prawda? - spytał z fałszywym uśmiechem.

- Proszę mówić mi John - odrzekł swobodnie Bryson. Był jak sparaliżowany, myślał o stu rzeczach naraz.

- Mam wrażenie, że skądś się znamy... - rzekł Gifford z udawaną jowialnością.

Bryson zachichotał, próbując się odprężyć. Jowialność? Wylewność? Bzdura. Widział jego oczy, widział ledwo dostrzegalne ruchy mięśni twarzy, które mówiły, że facet kłamie. Yance Gifford był czynnym agentem Dyrektoriatu. Na sto procent.

Był nim już przed ośmiu czy dziewięciu laty, gdy spotykali się służbowo w Kowloonie, w barze hotelu Miramar.

Prawie się nie znaliśmy. Ot, siadaliśmy, gadaliśmy godzinę o interesach, o tajnych funduszach czy skrytkach kontaktowych i mówiliśmy sobie do widzenia. Dyrektoriat składa się z tylu niezależnie działających komórek, że żaden z nas nie wiedział, co tak naprawdę robi drugi.

Tak jest, Gifford wciąż dla nich pracował, w przeciwnym razie Calacanis nie pokazałby mu planów prototypu nowej broni, nie próbowałby go skusić.

- Może z Hongkongu? - spytał. - Z Tajpej? Tak, rzeczywiście, chyba gdzieś się spotkaliśmy. - Mówił obojętnie, znudzonym głosem, udawał nawet rozbawionego, lecz serce omal nie wyskoczyło mu z piersi. Na czoło wystąpił pot. Odruchy go nie zawodziły, zmysły miał wyostrzone jak dawniej, lecz całą odporność psychiczną szlag trafił. I nagle zdał sobie sprawę, że Gifford gra w otwarte karty.

Wie, kim jestem, ale nie wie, co tu robię. Jak na doświadczonego agenta operacyjnego przystało, idzie z prądem, daje się ponieść fali. I dzięki Bogu.

- Tak czy inaczej, cieszę się, że pana widzę.

- Nowe zabawki zawsze mnie interesują - odrzekł obojętnie tamten, przyglądając mu się czujnie, acz ukradkiem.

Wie, że już u nich nie pracuję. Na pewno.

Wieść, że ten czy inny agent został zdekonspirowany lub zwolniony, przekazywano błyskawicznie wszystkim zainteresowanym, żeby zapobiec ewentualnym próbom infiltracji.

Zgoda, tylko czy wie dlaczego? Uważa mnie za wroga? Za neutralnego? Założy, że po zimnej wojnie wzorem wielu innych agentów zacząłem pracować na własny rachunek? Nie, jest bystry: zdaje sobie sprawę, że zaoferowano mu ściśle tajne plany, plany kradzione, a tego rodzaju transakcje przeprowadza się rzadko nawet w dziwnym świecie handlarzy bronią.

Jak zareaguje? Może założyć, że to pułapka, że podałem mu na tacy haczyk z przynętą. Jeśli tak, dojdzie do wniosku, że zmieniłem pracodawcę, że pracuję teraz w innej agencji rządowej, może nawet przeszedłem na stronę wroga. Chryste!

Zawirowało mu w głowie.

Może też pomyśleć, że to jakiś międzyagenturalny przekręt czy porachunki. Albo jeszcze gorzej: weźmie mnie za oszusta, za aferzystę chcącego wykołować Calacanis i jego klientów. Co wtedy?

Oblęd. Prawdziwy oblęd. Nie wiedział, co zrobi Gifford, i w żaden sposób nie mógł tego przewidzieć. Musiał być przygotowany na wszystko.

Grek? Z jego twarzy trudno było cokolwiek wyczytać. Gestem ręki poprosił Jenrette'a do biurka, gdzie leżały plany i specyfikacje najnowszej amerykańskiej wyrzutni raketowej. Jenrette alias Gifford nachylił się i zaczął je uważnie studiować.

Wtem, nie odrywając wzroku od dokumentów, ledwo dostrzegalnie poruszył ustami.

Calacanis kiwnął głową i spojrział na Brysona.

- Zechce nam pan wybaczyć - rzekł łagodnie i przepraszająco. - Chcielibyśmy porozmawiać na osobności. - Otworzył dębowe drzwi i wyszli.

Bryson zamarł na antycznym krześle niczym owad w pułapce z bursztynu. Dla postronnego obserwatora był zwykłym pośrednikiem, chciwym handlarzem, który już przelicza w myśli pieniądze z udanej transakcji. Tymczasem on intensywnie myślał, rozważał dziesiątki możliwości naraz, rozpaczliwie próbował przewidzieć swój następny ruch. Wszystko zależało od tego, jak rozegra to Jenrette. Co szeptnął Grekowi? W jaki sposób dał mu do zrozumienia, że się znają? Co mu powie? Że pracowali razem w Dyrektoriacie? Wykluczone. A może jednak? Był na to przygotowany? Miał aż tak dobrą przykrywkę? Nie wiadomo. Po prostu nie wiadomo. Z drugiej strony nie miał pojęcia, co Bryson tu robi. Równie dobrze mógł założyć, że jego kolega po fachu pracuje teraz na własną rękę, że sprzedaje kradzione plany. Nie dysponował żadnymi dowodami, że jest inaczej.

Otworzyły się dębowe drzwi. Bryson drgnął. Kelnerka. Piękna blond kelnerka z tacą, na której stały kieliszki i butelka czegoś, co wyglądało na porto. Najwyraźniej wezwał ją Calacanis; musiała wejść do gabinetu innymi drzwiami. Nie zwracając na niego uwagi, zaczęła zbierać puste szampanki i kieliszki do wina. Podeszła bliżej, sięgnęła po wielką, szklaną popielniczkę wypełnioną niedopałkami kubańskich cygar i nagle...

- Jest pan bardzo popularny - szeptnęła ledwo dosłyszalnym szeptem, stawiając popielniczkę na tacy. - Pańscy przyjaciele już czekają. Tam, w sąsiednim pokoju. - Dyskretnie spojrzała na dębowe drzwi po drugiej stronie biblioteki. - Tylko niech pan nie zabrudzi krwią dywanika. Pan Calacanis bardzo go lubi. - To powiedziawszy, szybko odeszła.

Bryson zeszytniał. Nie wiedział, czy ma w żyłach więcej krwi, czy adrenaliny. Jednakże ani drgnął, twarz miał jak z kamienia.

Co to znaczy?

Zastawili na niego pułapkę? I co to za dziewczyna? Ich współniczka? Dlaczego go ostrzegła?

Drzwi do gabinetu otworzyły się ponownie i tym razem w progu ujrzał Calacanisa. Tuż za nim stał łan, a w głębi gabinetu Gifford alias Jenrette.

- Zechce pan do nas dołączyć? Serdecznie zapraszamy.

Bryson odpowiedział z sekundowym opóźnieniem, próbując zyskać na czasie i przejrzyć jego zamiary.

- Oczywiście, za chwileczkę. Zostawiłem coś w salonie.

- Panie Coleridge, obawiam się, że nie mamy czasu - odparł szorstko Grek.

- Momencik. - Bryson ruszył do drzwi. Dopiero teraz spostrzegł, że stoi przy nich uzbrojony ochroniarz, jednak zamiast zawrócić, parł naprzód, jakby nic się nie stało. Od rosnącego goryla dzieliło go ledwie kilka kroków.

- Przykro mi, ale naprawdę musimy porozmawiać. - Calacanis lekko skinął głową, dając ochroniarzowi znak, żeby zablokował drzwi.

Teraz!

Rzucił się przed siebie i pchnął zaskoczonego goryla na futrynę. Goryl szarpnął się, chciał sięgnąć po broń, lecz nie zdążył, gdyż Bryson kopnął go w krocze.

Zawyła syrena. Przeraził, ogłuszająco - musiał ją włączyć Calacanis, który wrzeszczał, jakby obdzierano go żywcem ze skóry. Ochroniarz stracił równowagę - Bryson wykorzystał ten moment chwilowej bezbronności, grzmotnął go kolanem w brzuch, jednocześnie prawą ręką chwycił za głowę i pchnął na podłogę.

- Stój! - zagrzmiął Calacanis.

Nick odwrócił się szybko, by stwierdzić, że łan przybrał pozycję strzelecką i celuje w niego z trzydziestki ósemki.

W tej samej chwili krępy goryl, którego Bryson wciąż przytrzymał, wyteżył siły, potężnie wierzgnął i zdołał wstać, jednak Nick zareagował dużo szybciej: jedną ręką błyskawicznie założył mu dźwignię, palce drugiej wbił w oczy i ukrył głowę za jego

głową. Był niemal pewien, że w tej sytuacji łan nie strzeli, bojąc się trafić kolegę. Nagle huknęło i zbrzydzała go krew. Ochroniarz drgnął i z ciemnoczerwoną dziurą pośrodku czoła zwiotczał mu w rękach, łan - zapewne przez przypadek - zabił swego kumpla.

Bryson zrobił szybki obrót, błyskawicznie odchylił się do tyłu i cudem unikając kolejnej kuli, wypadł na korytarz. Wokoło trzaskało rozłupywane pociskami drewno, dzwoniły stalowe grodzie. Syrena zawyła jeszcze głośniejsze, a on biegł przed siebie, nie wiedząc dokąd.

Waszyngton

- Spójrzmy prawdzie w oczy. Nie powstrzymam cię bez względu na to, co powiem.

Roger Fry patrzył wyczekująco na senatora Cassidy'ego. Od czterech lat był jego szefem sztabu, pisał dla niego oświadczenia, noty i przemówienia. Senator zwracał się do niego z każdym palącym problemem. Fry, drobny czterdziestokilkuletni rudzielec, był chyba jedynym człowiekiem, na którym mógł całkowicie polegać. Miał niesamowite wyczucie polityczne. Poprzec krajowych producentów mleka? Gdyby opowiedzieli się po którejś ze stron, druga strona natychmiast zrobiłaby im piekło. Dlatego Fry często mawiał: „Jim, daj sobie spokój. Głosuj tak, jak ci dyktuje sumienie”. I Cassidy tak głosował: zrobił na tym karierę.

Przez szpary w żaluzjach do gabinetu wpadały promienie popołudniowego słońca, oświetlając lśniące, mahoniowe biurko. Senator podniósł wzrok znad papierów i spojrzał na Frya.

- Mam nadzieję, że wiesz, jak bardzo cię cenię, Róg - rzekł z lekkim uśmiechem. - Zwłaszcza za twoją pragmatyczność, za to, że potrafisz się targować, że dzięki tobie od czasu do czasu potrafisz stanąć przed ludźmi z podniesionym czołem i powiedzieć to, co myślę.

Fry zawsze podziwiał go za dystygowany, prawdziwie senatorski wygląd. Cassidy miał przyprószone siwizną faliste włosy, szeroką, wyczelowaną twarz, wystające kości policzkowe i był bardzo fotogeniczny. Ale jego największym atutem były oczy. Ciepłe, serdeczne i mądre, napawały wyborców przekonaniem, że wreszcie znaleźli pokrewną duszę, jednak w razie potrzeby, na przykład podczas przesłuchania świadków stojących przed komisją Kongresu, momentalnie hardziały, stawały się zimne i sondujące.

- Od czasu do czasu? - Fry pokręcił głową. - Moim zdaniem za często. O wiele za często. Któregoś dnia ucierpisz na tym politycznie. Pamiętasz ostatnie wybory? Pamiętasz, z jakim trudem je wygrałeś?

- Za bardzo się martwisz, Róg.

- Ktoś musi.

- Posłuchaj. Wiesz, co interesuje wyborców? To. Pokazywałem ci ten list?

Napisała go mieszkanka północnego wybrzeża Massachusetts. Podając do sądu pewną firmę marketingową, odkryła, że dysponującej dossier, że dossier liczy trzydzieści stron gęsto zapisanego maszynopisu, że zawiera ponad dziewięćset szczegółowych informacji na jej temat i że tamci kompletowali je od piętnastu lat. Wiedzieli o niej niemal wszystko, łącznie z tym, jakie środki stosuje na bezsenność, na nadkwasotę żołądka i na hemoroidy, jakich mydeł i żeli używa. Wiedzieli, kiedy się rozwiodła, na co się leczy, znali stan jej konta, mieli nawet spis jej wykroczeń drogowych. Jednakże nie to było niezwykle; firma założyła podobne dossier

milionom Amerykanów. Niezwykle było to, że mieszkanka Massachusetts się o tym dowiedziała. Jej list - i kilkanaście innych podobnych w treści listów - bardzo Cassidy'ego zaniepokoił.

- Zapominasz - odparł Fry - że osobiście jej odpisałem. Chcą tylko powiedzieć, że tym razem naprawdę nie wiesz, w co się pakujesz. W dzisiejszych czasach nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

- Właśnie dlatego warto o tym pomówić - odrzekł cicho senator.  
- Czasami ważniejsze jest przeżycie kolejnego dnia.  
Nic z tego. Fry dobrze go znał i wiedział, że kiedy senator się uprze, chłodna kalkulacja i polityczna mądrość nie mają szans z moralnym wzburzeniem. Nie, Cassidy nie był świętym: czasami za dużo pił - zwłaszcza dawniej, kiedy miał jeszcze kruczoczarne włosy - za bardzo też lubił kobiety. Jednakże cechowała go wprost niebywała polityczna uczciwość: zawsze próbował robić to, co uważał za słuszne, a przynajmniej starał się tak postępować w przypadkach, w których słuszność sprawy była równie oczywista, jak związane z nią koszty polityczne. Fry często narzekał na ten zakamuflowany idealizm, jednocześnie - niemal wbrew sobie - bardzo go za to podziwiał.  
Senator puścił do niego oko.  
- Pamiętasz, jak Ambrose Bierce zdefiniował męża stanu? Mąż stanu to polityk, który w rezultacie presji ze wszystkich stron potrafi stanąć okoniem.  
Fry uśmiechnął się lekko.  
- Byłem wczoraj w szatni i dowiedziałem się, że nadali ci nowy przydomek. Na pewno ci się spodoba: senator Kasandra. Cassidy zmarszczył czoło.  
- Kasandry nikt nie słuchał, a szkoda. Ale przynajmniej miała czyste sumienie, bo im powiedziała... - Urwał. Już to przerabiali. Fry próbował go chronić, lecz temat był wyczerpany.  
Wiedział, że nic go nie powstrzyma. Że zrobi to, co postanowił.  
Bez względu na cenę, jaką będzie musiał zapłacić.

## Rozdział 6

Niemal tuż za nim po stalowej podłodze dudniły ciężkie kroki, a on pędził w stronę głównych schodów. Dostrzegł windę, zawahał się i pobiegł dalej: winda jechała za wolno i gdyby do niej wsiadł, utknąłby jak w pionowo ustawionej trumnie, stając się łatwym celem dla każdego, kto by ją wyłączył. Nie, zdecydował się na schody, choć metalowe i hałaśliwe. Innego wyjścia z nadbudówki nie było - po prostu nie miał wyboru.  
Do góry czy na dół?  
Gdyby pobiegł do góry, trafiłby na mostek, do sterowni, czym na pewno by ich zaskoczył. Jednak górny pokład był znacznie mniejszy i mogliby go tam osaczyć. Nie, kiepski pomysł. Na dół to jedyna logiczna droga. Na dół, na główny pokład, stamtąd jakoś ucieknie.  
Jakoś - to znaczy jak?  
Na pokład i do wody. Skoczyć? To samobójstwo: wody Atlantyku były lodowate. Trap? Musiałby zwolnić, wyjść na otwartą przestrzeń i ustrzeliliby go jak kaczkę.  
Jezu Chryste, stąd nie ma ucieczki!  
Nie, nie wolno mu tak myśleć. Musi być jakieś wyjście, musi. I na pewno je znajdzie.  
Był niczym szczer w labiryncie; to, że tamci znali rozkład statku, a on go nie znał, dawało im olbrzymią przewagę. Z drugiej strony „Armada” była olbrzymia, gigantyczna: dziesiątki korytarzy w jej trzewiach mogły zapewnić mu schronienie, choćby tymczasową kryjówkę.  
Nie zważając na krzyki i wrzaski ścigających go ludzi, zbiegł na dół, pokonując po dwa, po trzy stopnie naraz. Jeden z ochroniarzy nie żył, lecz nie ulegało wątpliwości, że jest tu ich całe mnóstwo, że zaalarmowani przez kolegów niebawem dołączą do pościgu. Kroki dudniły coraz bliżej, krzyki było coraz głośniejsze: tamci zdążyli już podwoić swoją liczebność i wiedział, że za kilka sekund z zakamarków „Armady” wychynie ich jeszcze więcej.

Wyły alarmowe bucзки, gwizdały okrętowe gwizdki, słyszał ochryple krzyki i pomruk rozwścieczonych głosów. Krótki korytarz: wyglądało na to, że prowadzi na zewnątrz. Bryson szybko otworzył drzwi, cicho je za sobą zamknął, odwrócił się i stwierdził, że stoi na rufowym pokładzie. Czarne niebo, cichy szum fal - podbiegł do relingu z nadzieją, że na burcie znajdzie stalowe klamry albo drabinkę ewakuacyjną. Mógłby zejść nią na niższy pokład, mógłby ich zgubić.

Niestety, nie było ani klamer, ani drabinki. W dole szumiało tylko morze.

Nagle huknął strzał. Kula zrykoszetowała z jękiem od kabestanu. Bryson odskoczył w bok, potem do tyłu i wpadł za wielki bęben cumowniczy z nawiniętą nań stalową liną. Seria pocisków wgniotła metal kilkadziesiąt centymetrów od jego głowy. Tu, na pokładzie, mogli strzelać bez żadnych ograniczeń, jak i gdzie popadło. Za plecami miał pustkę, łagodnie falujące morze, dlatego nie bali się, że kule uszkodzą delikatny sprzęt nawigacyjny.

Pod pokładem byliby dużo ostrożniejsi... Tak, to jest to! Tam się ukryje. Wiedział, że nie zawahają się go zabić, lecz wiedział też, że dwa razy pomyśla, zanim pociągnął za spust: „Armada” wiozła bardzo cenny ładunek.

Tak jest. Musiał zejść z otwartej przestrzeni i zniknąć w trzewiach statku. Znajdzie tam nie tylko dobrą kryjówkę, ale i wykorzysta to, że wezmą na wstrzymanie.

Wszystko pięknie, tylko jak tam się dostać? Utknął za kabestanem jak w pułapce. Dopiero teraz uzmysłowił sobie, że pokład jest najniebezpieczniejszym miejscem na całym okręcie. Wyglądało na to, że osacza go dwóch, może nawet trzech napastników. Przeważali liczebnie, to pewne. Musiał odwrócić ich uwagę, musiał ich jakoś zmylić. Tylko jak? Rozejrzał się rozpaczliwie i za wysokim, metalowym pachołkiem dostrzegł puszkę farby, którą zostawił jakiś marynarz. Podczołgał się w tamtą stronę i szybko ją podniósł; była prawie pusta.

Musieli go zauważyć, gdyż w tym samym momencie ponownie huknęły strzały.

Odskoczył do tyłu, za kabestan, i wzięwszy zamach, cisnął puszkę w stronę relingu. Trafił w kluzę. Zaklekotało. Ostrożnie wyjrzał zza bębna. Mężczyźni odwrócili się i jeden z nich pobiegł do kluzy. Drugi przybrał klasyczną pozycję strzelecką, czujnie rozglądając się po pokładzie. Podczas gdy tamten pędził do prawej burty, stojący bliżej ruszył w stronę lewej burty. I cały czas celował w kabestan. Musiał wyczuć, że coś tu nie gra, że Bryson próbuje ich zwieść, że ukrywa się za bębnem.

Nie przewidział jednak, że może go zaatakować. Gdy znalazł się ledwie o krok od kabestan, stojący przy relingu ochroniarz krzyknął, że za klużą nikogo nie ma. Błąd. Odwrócił jego uwagę i Bryson momentalnie to wykorzystał.

Teraz!

Już!

Przytrzymał mu głowę, grzmotnął go kolanem w brzuch i powalił na pokład. Ochroniarz głucho stęknął, wierzgnął, lecz gdy tylko zdołał nabrać powietrza, Bryson uderzył go łokciem w szyję i założył mu dźwignię. Upiornie zachrząściło. Musiał zmiażdżyć mu tchawicę, mężczyzna ryknął z bólu. Nick sięgnął po jego broń, lecz żołnierz Calacanisa był prawdziwym zawodowcem i nie chciał jej wypuścić. Jego kumpel, który pobiegł do relingu, już wracał i strzelał w biegu. Bryson zacisnął rękę i mocno przekreślił rękojeść automatu. Usłyszał trzask kości i pękających ścięgien, aż wreszcie zdołał skierować lufę broni w pierś leżącego. Wyprostował palec, musnął nim spust, wreszcie go nacisnął.

Ciało ochroniarza wygięło się w łuk, bezwładnie opadło i znieruchomiało. Bryson strzelał celnie nawet podczas szamotaniny: pocisk przeszył tamtemu serce.

Chwycił automat, wstał i posłał serię w kierunku, z którego nabiegał ten drugi. Wiedząc, że w pędzie nie trafi, mężczyzna przystanął, by odpowiedzieć ogniem. Nick nie potrzebował niczego więcej. Wymierzył, zwolnił spust i chwilę go przytrzymał. Jeden z pocisków trafił i martwy ochroniarz runął na pokład z przestrzeloną głową.

Bryson zyskał kilka sekund, przez chwilę nic mu nie groziło. Ale już słyszał tupot nóg, słyszał krzyki, wiedział, że kilka cennych sekund bezpowrotnie minęło.

Dokąd teraz?

Stał przed drzwiami z napisem „Siłownia”. Siłownia, do siłowni! To najbezpieczniejsze miejsce, przynajmniej na razie. Przekręcił dźwignię, szarpnął, otworzył drzwi, zbiegł na dół stromymi, wąskimi, pomalowanymi na zielono schodami i znalazł się w wielkim, przestronnym i ogłuszająco hałaśliwym pomieszczeniu. Silniki okrętu nie pracowały - pracowały jedynie gigantyczne dieslowskie generatory prądu.

Bryson wpadł na biegnący wokół hali pomost i spojrzął za siebie. Tamci już zbiegali na dół. W mdławym świetle lamp widział jedynie ich ciemne sylwetki.

Jeden, drugi, trzeci... Czterech. Biegli dziwnie usztywnieni, poruszali się niezręcznie, nawet niezdarnie, i dopiero po chwili zrozumiał dlaczego. Pierwsi dwaj mieli na głowie hełmy z noktowizorami, natomiast ci z tyłu byli uzbrojeni w snajperki z noktowizyjnymi celownikami optycznymi.

Podniósł pistolet, wymierzył w tego, który szedł na czele i...

Nagle zgasło światło.

Musiał je zgasić ktoś z zewnątrz, najpewniej ktoś ze sterowni. Nic dziwnego, że wzięli taki sprzęt. W ciemności mogli w pełni wykorzystać przewagę, jaką zapewniały im noktowizory. A w tym pływającym arsenale na pewno nie brakowało najlepszych i najczulszych.

Mimo to wypalił. W ciemność, tam, gdzie jeszcze przed sekundą mierzył. Dobiegł go przeraźliwy krzyk, potem głuchy stukot. Trafił, zdobył kolejny punkt. Jednakże strzelanie na oślep i używanie bezcennej amunicji było czystym szaleństwem. Nie wiedział nawet, ile zostało mu jeszcze nabojów i jak zdobyć nowe.

Poza tym właśnie tego pragnęli.

Mieli nadzieję, że zareaguje jak schwyte w potrzask zwierzę. Że spanikuje, że będzie strzelał w ciemność i w głupi sposób zużyje całą amunicję. Że wówczas bez trudu wytopią go i zabiją.

Jak ślepiec wyciągnął przed siebie ręce, zarówno po to, żeby wymacać ewentualną przeszkodę, jak i po to, żeby się za nią ukryć. Wyposażeni w przymocowane do hełmów noktowizory byli niewątpliwie uzbrojeni w pistolety lub rewolwery. Pozostali mieli karabiny z noktowizyjnymi celownikami optycznymi. Oba typy noktowizorów działały na identycznej zasadzie: wykorzystywały różnice we wzorcach termicznych celów żywych i nieżywych. Noktowizorów o krótkim zasięgu używano z powodzeniem na Falklandach podczas wojny w osiemdziesiątym drugim i w Zatoce w dziewięćdziesiątym pierwszym. Jednakże tamci mieli sprzęt dużo lepszy: były to najnowocześniejsze celowniki optyczne dalekiego zasięgu typu raptor, lekkie i nadzwyczaj celne. Snajperzy je uwielbiali.

Dobry Boże. Dlaczego tu tak ciemno?

Zdawało się, że w ciemności generatory łoskoczą jeszcze głośniejsze niż przedtem.

Nagle kątem oka dostrzegł czerwony promień i małą plamkę, roztańczony ogień.

Któryś z tamtych go wymacał. Celował prosto w twarz, dokładnie między oczy!

Szybko! Ustal pozycję snajpera na podstawie kierunku, z którego tamten mierzy. Nie pierwszy raz był celem strzelca wyposażonego w noktowizyjny celownik optyczny i umiał to zrobić.

Jednakże ilekroć zastygał bez ruchu, żeby wycelować, snajper, dla którego był jasnozielonym obiektem na ciemnozielonym lub czarnym tle, mógł wycelować w niego. Musiał polegać na szczęściu i na dawnych, mocno zaniedbanych umiejętnościach. Poza tym jak tu mierzyć w kompletnej ciemności? I w kogo?

Wytrzeszczył oczy, żeby do źrenic wpadło jak najwięcej światła, lecz jak miało wpaść, skoro go nie było? Niech to szlag. Szybkim ruchem podniósł broń i wypalił.

Przeraźliwy wrzask!

Trafił, choć nie wiedział, czy skutecznie.

Sekundę później od obudowy maszynierii po jego lewej stronie z głośnym jękiem zrykoszetowała kula. Noktowizor noktowizorem, a facet i tak chybił. Wyglądało na to, że

mają generatory gdzieś. Były zabezpieczone grubą warstwą stali, solidnie opancerzone. Co z kolei oznaczało, że mogą strzelać, gdzie popadnie.

Ilu ich tam jest?

Jeśli trafił dwóch, pozostało jeszcze dwóch. Sęk w tym, że w ryku generatora nie słyszał zbliżających się kroków, nie wspominając już o chrapliwym oddechu rannego przeciwnika. Pięknie. Był nie tylko ślepy, ale i głuchy.

Potruchtał na wprost, jedną rękę wyciągając przed siebie, żeby nie wpaść na jakąś przeszkodę, w drugiej ściskając automat. Świsnęła kula. Przeleciała tak blisko głowy, że poczuł jej silny podmuch.

Wolna ręka natknęła się na coś twardego i zimnego: grodź. Doszedł do ściany, do końca wielkiej hali. Machnął pistoletem w lewo, machnął w prawo: tu i tam reling.

Po raz kolejny utknął w potrzasku.

Wyczuł, że jeden ze snajperów ponownie go namierzył, że maleńka, czerwona plamka ponownie musnęła mu głowę, która dla tamtego była tylko jasnozielonym owalem.

Wycelował w ciemność i krzyknął:

- Śmiało, strzelaj! Spudłujesz i uszkodzisz generator. Kupa elektroniki, stary, mnóstwo delikatnych mikrochipów. Zniszczysz generator i siądzie prąd. Calacanis się ucieszy.

Strzał nie padł. Zdawało mu się nawet, że czerwona plamka lekko zadrżała, ale pewnie poniosła go wyobraźnia.

Ktoś cicho zachichotał. Czerwony ognik śmignął mu przed oczami, znieruchomiał i...

Rozległo się zduszone cmoknięcie wyposażonego w tłumik pistoletu. Potem drugie, trzecie i czwarte. Ktoś krzyknął, ktoś spadł z łoskotem z metalowego pomostu.

Co jest?

Kto do nich strzelał? Bo ktoś strzelał, a tym kimś na pewno nie był on! Ktoś oddał cztery strzały z pistoletu z tłumikiem...

...i być może wyeliminował z walki jego przeciwników!

- Stój! - krzyknął w ciemność, obliczywszy, że z czterech napastników przy życiu powinien pozostać najwyżej jeden. Wiedział, że to kompletny bezsens - niby dlaczego ktoś tak dobrze uzbrojony i wyposażony miałby zwracać na niego uwagę? -jednak dzięki takiemu nieoczekiwanemu, pozbawionemu wszelkiej logiki okrzykowi mógł zyskać kilka cennych sekund.

- Nie strzelaj! - Generatory łoskotały tak głośno, że chyba mu się zdawało. To była... Kobieta.

Krzyczała kobieta.

Bryson zamarł. Myślał, że do siłowni zeszli sami mężczyźni, ale hełm, obszerny kombinezon i noktowizor mogły skutecznie zakamuflować kobiecą sylwetkę.

„Nie strzelaj!” Co to, do cholery, znaczy?

- Rzuć broń! - krzyknął.

Nagle w hali rozbłysło światło. Jaśniejsze, jaskrawsze niż poprzednio.

Co jest? Co się tu dzieje?

Po upływie kilku sekund, kiedy oczy przywykły do nowego oświetlenia, na metalowym pomoście zobaczył kobietę. Była w białym zakiecie i białych spodniach, w mundurku hostess Calacanis.

Na głowie miała hełm z zasłaniającym połowę twarzy noktowizorem, mimo to bez trudu ją rozpoznał: była to piękna blond kelnerka, z którą rozmawiał przed kolacją, dziewczyna, która tuż przed wybuchem strzelaniny ostrzegła go przed tamtymi.

Przedtem hostessa, a teraz? Lekko pochylona w klasycznej pozycji strzeleckiej ściskała w obu rękach lugera z długim tłumikiem i jednostajnym, miarowym ruchem przesuwała go to w lewo, to w prawo. Na podłodze leżały cztery trupy: dwa tuż przy generatorach, jeden na pomoście, a jeden niepokojąco blisko, niecałe dwa metry od miejsca, w którym stał.

Poza tym kobieta bynajmniej nie mierzyła w niego. Ona go osłaniała, ubezpieczała przed atakiem tamtych! Stała przy małej tablicy rozdzielczej i to właśnie ona zapaliła światło.

- Chodź! - krzyknęła ponad głuchym dudnieniem maszyn. - Tędy! Co się tu, do diabła,

dzieje? Bryson zdębiał.

- Szybciej, idziemy! - dodała ze złością w głosie; tak, na pewno: mówiła z lewentyńskim akcentem.

- Czego chcesz? - Nie oczekiwał odpowiedzi, chciał tylko zyskać na czasie. To mogła być kolejna pułapka, bardzo zmyślna pułapka.

- A jak myślisz? - Nagle przykucnęła i wycelowała prosto w niego. Błyskawicznie wymierzył i już miał pociągnąć za spust, gdy wtem zauważył, że lufa lugera przesuwają się w prawo. Usłyszał stłumione cmoknięcie i...

Z biegnącego tuż nad nim pomostu runął w dół jakiś mężczyzna.

Kolejny snajper z karabinem wyposażonym w noktowizor.

Zabiła go. Po prostu go zabiła.

Zakradł się od tyłu, wymierzył, lecz ona go uprzedziła.

- Szybko! - krzyknęła. - Tamci zaraz tu będą. Chcesz wyjść z tego cało, to rusz tyłek!



- Kim jesteś? - rzucił oszołomiony Bryson.  
- Co za różnica? - Podniosła do góry okular noktowizora, odsłaniając twarz. - Nie mamy czasu! Na miłość boską, ślepy jesteś czy co? Nie potrafisz ocenić sytuacji? Jaki masz wybór?

## Rozdział 7

Bryson ani drgnął. - Szybciej! - powtórzyła z nutką desperacji w głosie. - Gdybym chciała cię zabić, już byś nie żył. Mam przewagę. - Postukała palcem w noktowizor.

- Już nie. - Zacisnął dłoń na rękojeści pistoletu i powoli go opuścił.

- Znam ten okręt na wylot. Chcesz tu zostać, proszę bardzo. Ja zwiewam. Calacanis ma od groma ludzi, pewnie już tu idą. - Wolną ręką wskazała kamerę zamontowaną na szczycie jednej z grodzi. - Może obserwować prawie cały statek, ale są takie miejsca, gdzie ich nie ma. Możesz pójść ze mną i ocalić życie albo zostać tu i poczekać na śmierć. Wybieraj. - Odwróciła się szybko i podbiegła do krótkich metalowych schodów prowadzących do luku w suficie. Otworzyła klapę, zerknęła przez ramię i ruchem głowy dała mu znak, żeby poszedł za nią.

Bryson zawahał się i ruszył w tamtą stronę. Cały czas intensywnie myślał. Pytania! Same pytania! Kto to jest? Co tu robi? Czego chce?

Na pewno nie była zwykłą kelnerką.

Skoro nie kelnerką, to kim?

Nie wypuszczając z ręki pistoletu, wszedł na schody.

- Kim ty, do cholery...?

- Cicho! - syknęła. - To bardzo akustyczne wnętrze. - Zamknęła klapę, trzasnęła wielkim rygłem i łoskot generatorów ucichł. - Ten okręt ma mnóstwo zabezpieczeń na wypadek ataku piratów. Większość korytarzy i przejść można odciąć. Na nasze szczęście.

Popatrzył jej w twarz. Jezu, co za dziewczyna. Piękna. Naprawdę piękna. Rozkojarzony potrzęsnał głową.

- Fakt - odrzekł z mocą- nie mam wyboru, ale powiedz mi, co tu się dzieje. Posłała mu szczere, choć nieco prowokujące spojrzenie i szepnęła:

- Nie teraz, nie ma czasu na wyjaśnienia. Robię tu to samo co ty. Próbuje namierzyć pewnych ludzi, którzy skupują broń, żeby wysłać Izraelczyków do epoki kamienia łupanego. Mosad, pomyślał. Tylko skąd ten akcent? Mówiła jak mieszkanka doliny Bekaa. Coś tu nie grało. Czyżby Mosad wysłał w teren Libanekę? Mało prawdopodobne.

Przekrzywiła głowę, jakby nagle usłyszała coś, czego on nie słyszał.

- Tędy. - Błyskawicznie wbiegła na schody. Stalowy podest, kolejny luk, kłapa i długi, ciemny tunel. Przystanąła, spojrzała w lewo, potem w prawo. Gdy oczy przywykły do mroku, stwierdził, że koniec tunelu ginie w oddali, że jest to coś w rodzaju rzadko używanego korytarza serwisowego przecinającego okręt od dziobu po rufę. - Chodź! - rzuciła, puszczając się pędem przed siebie.

Ruszył za nią, dostosowując krok do jej kroku. Biegła bardzo szybko, lekko i sprężysto, niemal bezszelestnie. Zaczął ją naśladować, bo zdał sobie sprawę, że stawiając nogi tak samo jak ona, zminimalizuje drgania metalowej podłogi. Dzięki temu będą praktycznie niesłyszalni, choć na pewno usłyszą tamtych.

Gdy pokonali kilkadziesiąt metrów, dobiegł go zza pleców stłumiony szcęk. Odwrócił głowę, dostrzegł niewyraźne cienie na końcu korytarza, lecz zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, dziewczyna gwałtownie skręciła w prawo i całym ciałem przywarła do grodzi za stalowym dźwigarem. Poszedł w jej ślady. Zdążył, choć w ostatniej chwili.

Huknęła seria wystrzałów. Kule zadzwoniły o metal i zaklekotały na podłodze.

Bryson spojrział w lewo. Tryskający z lufy płomień, niewyraźna sylwetka człowieka, trzask wystrzałów i nagle cisza - zabójca pędził w ich stronę.

Libanka zmagiała się z klapą luku.

- Cholera jasna! - syknęła. - Farba! Zamalowali na amen! - Zerknęła w głąb korytarza. - Tędy! - Wyskoczyła zza dźwigara i pobiegła przed siebie. Słusznie, w przeciwnym razie tamten wystrzelałby ich jak kaczki.

Bryson spojrział w lewo. Ochroniarz zwolnił, przystanął, przytknął do ramienia metalową kolbę uzi i wymierzył.

Bez chwili wahania Bryson podniósł broń i dwa razy pociągnął za spust. Padł strzał, lecz tylko jeden. Zamek szczęknął, odbił i znieruchomiał. Komora nabojoya była pusta, magazynek też.

Mimo to ostami pocisk dosięgnął celu. Ścigający ich mężczyzna upadł na bok, uzi trzasnęło o podłogę.

Przestraszona dziewczyna odwróciła się i dopiero teraz zdała sobie sprawę, co się stało. Spojrzała na niego tak, jakby chciała mu podziękować, lecz nie powiedziała nic. Szybko do niej dołączył.

Byli bezpieczni - chwilowo. Nagle ponownie skrzyła w prawo i przystanąła przed grodzią podzieloną kilkoma pionowymi dźwigarami. Przytrzymała się sterczącego nad włazem uchwytu, odbiła, zwinnym ruchem wsunęła do środka nogi i... zniknęła. Poszedł w jej ślady, chociaż zrobił to dużo niezdarniej - był wygimnastykowany, lecz nie znał terenu.

Znaleźli się w niskim, pudełkowatym i niemal zupełnie ciemnym pomieszczeniu; gdyby nie wpadające z korytarza serwisowego światło, nie widzieliby dosłownie nic. Gdy oczy przywykły do mroku, stwierdził, że jest to maleńka komora połączona włazem z sąsiednią, sąsiednia łączy się z kolejną i tak dalej. Byli w tak zwanym ciągu konstrukcyjnym podzielonym na części setkami stalowych belek i dźwigarów. Libanka już zaglądała za ścianę: bez ostrzeżenia przytrzymała się uchwytu i nogami naprzód zniknęła w czarnym włazie.

- Ciii... - szepnęła, gdy do niej dołączył. - Słyszysz? Odległy tupot nóg. Dochodził i z góry, i z korytarza serwisowego, którym przed chwilą biegli. Było ich co najmniej sześciu.

- Znaleźli tego, którego zabiłeś. Wiedzą już, że masz broń i że najprawdopodobniej jesteś... zawodowcem. - Mówiła po angielsku bardzo płynnie, choć z silnym obcym akcentem. Nie widział jej twarzy, lecz był niemal pewien, że ostatnia część zdania miała intonację pytającą. - Nie, są tego pewni. Gdybyś był amatorem, już dawno byś nie żył. Wiedzą też, że daleko nie uciekłeś, a raczej... nie uciekliśmy.

- Nie mam pojęcia, kim jesteś, ale ryzykujesz dla mnie życie. Dlaczego? Mogłabyś chociaż...

- Później. Teraz nie ma czasu. Masz jakąś inną broń? Pokręcił głową.

- Nie.

- Kiepsko. Tamtych jest od cholery. Przeczeszą każdy korytarz, każdy zakamarek. Poza tym są dobrze uzbrojeni...

- Broni tu pod dostatkiem - zauważył. - Daleko stąd do kontenerów?

- Do czego?

- Do kontenerów, do ładowni.

Zrozumiała i nawet w półmroku dostrzegł, że się uśmiecha.

- Nie, ale nie wiem, co w nich jest.

- Będziemy musieli sprawdzić. Którędy? Zawracamy do korytarza?

- Nie. W podłodze jednej z tych komór jest właz. Trzeba uważać, bo nie wiem, w której. Można wpaść i...

Trzasnął zapalką i gdy komorę zalał bursztynowy blask, podszedł do włazu. Zapalka zgasła, więc zapalił następną. Dziewczyna zajrzała mu przez ramię.

- Tam, widzisz?

Płomień parzył go w palce. Wyciągnęła rękę po zapalki. Bez wahania podał jej pudełko - miała iść przodem.

Gdy tylko w komorze pociemniało, weszła do wężu, przytrzymała się klamry po drugiej stronie ściany, wysunęła przed siebie prawą nogę i ostrożnie przesunęła stopą po podłodze.

- Dobra. Chodź.

Wsunął się do środka, stanął z boku, tuż przy ścianie, tymczasem ona schodziła już drabiną przy spawanej do krawędzi luku. Zrobił krok do przodu, lecz w tym samym momencie usłyszał głośny tupot i dostrzegł światło silnej latarki tańczące po grodziach korytarza serwisowego. Natychmiast przywarł do podłogi. Zdążył w ostatniej chwili, gdyż sekundę później światło padło na ścianę tuż za nim.

Zamarł. Zastygł bez ruchu. Skamieniał z twarzą przyciśnięta do zimnej stali. Syrena wciąż wyła, lecz teraz była jedynie tłem dla innych, o wiele cichszych odgłosów.

Wstrzymał oddech. Światło latarki przesunęło się w lewo, w prawo i raptem znieruchomiło. Chryste. Mógłby przysiąc, że tamci słyszą łomot jego serca. Wtem zapadła ciemność.

- Pusto! - Kroki się oddaliły.

Odczekał pełną minutę, zanim podniósł głowę. Zdawało mu się, że przeleżał tam sto lat. Ostrożnie wymacał krawędź luku i sunął po niej palcami, dopóki nie natrafił na stalowe bolce drabiny.

Kilka sekund później był już pod podłogą.

Schodzili i schodzili, jakby drabina miała dwieście metrów. Wreszcie się skończyła i stanęli w długim, ciemnym, wilgotnym i cuchnącym tunelu. Zęza? Była tak niska, że nie mogli się wyprostować. Przytłumione kroki ścigających oddaliły się jeszcze bardziej, by po chwili zupełnie ucichnąć.

Libanka ruszyła przed siebie. Mocno pochylona przypominała niezdarnego kraba, tak samo jak on. Kilkadziesiąt metrów dalej, w miejscu, gdzie tunel odbijał w prawo, wymacała na ścianie drabinę i zaczęła się po niej wspinać. Tym razem wspinaczka była krótka i minutę później wychynęli w czymś, co wyglądało na kolejny korytarz. Gdy dziewczyna zapaliła zapalniczkę, okazało się, że otaczają ich wysokie, pofałdowane ściany, i dopiero po chwili Bryson uzmysłowił sobie, że są to ściany ciasno ustawionych kontenerów.

Dziewczyna podeszła do najbliższego i cicho przeczytała napis na przyklejonej doń kartce.

- „Steel Edge” sto pięć, sto siedem, sto jedenaście...

- Noże szturmowe i bagnetki. Dalej.

Podeszła do następnego kontenera.

- „Omega Technologies”...

- Komponenty systemów przeciwdziałania elektronicznego. Jezu, czego oni tu nie mają. Dalej.

- „Mark-Twelve IFF Crypto”...

- Podzespoły do transponderów i radiolokacyjnych urządzeń zapytujących. Dawaj następny, szybko!

W mdławym świetle zapalniczki płonącej kilka kroków dalej z trudem odczytał napis.

- Chyba coś mamy - powiedział. - Granaty ogłuszające XM84. Wielki błysk i dużo huku. Muchy toto nie zabije - wymruczał. - Wolałbym coś skuteczniejszego, ale darowanemu koniowi...

- AN/PSC-11 SCAMP - czytała na głos Libanka.

- Wielokanałowy przenośny zasobnik antyzakłóceń. Szukaj dalej - Zgasila zapalniczkę i zapaliła kolejną.

- ANFATDS?

- Celowniki radioelektroniczne taktycznego systemu operacyjnego artylerii polowej. Nie dla nas.

- AN/PRC-132SOHFRAD?

- Radiostacja wysokiej częstotliwości dla sił specjalnych. Nie.

- Tadiran...

- Izraelska firma telekomunikacyjno-elektroniczna. Twój przyjaciel. Nic nam po tym.

Podszedł do sąsiedniego kontenera. Granaty typu M-76 i M-25 CS używane przez wojsko i policję do tłumienia ulicznych zamieszek.

- Chyba coś mamy - wykrzyknął stłumionym głosem. - W sam raz dla nas. Jak to się otwiera?

- Wystarczą zwykle szczypce. Drzwi nie są zamknięte, tylko zaplombowane.

Z pierwszym kontenerem poradzili sobie szybko i bez trudu. Przecięli plombę, wyciągnęli dwa pręty zabezpieczające i otworzyli drzwi. W środku stały drewniane skrzynie wypełnione granatami, amunicją i bronią: prawdziwy sezam militarysty.

W dziesięć minut zgromadzili to, co było im potrzebne. Zapoznawszy się ze sprzętem, włożyli kevlarowe kamizelki kuloodporne i wypchali kieszenie granatami i amunicją. Do przenoszenia większych przedmiotów posłużyły im plecaki, prowizoryczne uprząże i zwoje liny, a największe musieli po prostu dźwigać na ramionach. Każde z nich miało na głowie kevlarowy hełm z przezroczystą przesłoną na twarz.

Nagle gdzieś w górze rozległ się ogłuszający trzask, zaraz potem następny. Metal zazgrzytał o metal. Bryson wślizgnął się bezszelestnie w wąskie przejście między kontenerami i dał dziewczynie znak, żeby poszła w jego ślady.

Ktoś podniósł klapę w drzwiach ładowni i do środka wpadła smuga jaskrawego światła. Jedna, druga, trzecia: silne latarki w rękach ochroniarzy Calacanisa. Za tymi, którzy świecili, stało wielu innych i nawet z dołu widać było, że są ciężko uzbrojeni.

Bryson zamarł. Nie! Zakładał, że dojdzie do konfrontacji, ale nie tutaj, nie tak prędko. Nie zdążył ustalić strategii działania, omówić jej z bezimienną blondynką, która z jakichś powodów została jego sojuszniczką.

Zacisnął palce na rękojeści bułgarskiego kałasznikowa i powoli kierując lufę do góry, zastanawiał się, co robić. Gdyby wystrzelił, potwierdziłby tym samym, że tu są, czego tamci nie mogli być pewni.

Wtem jego wzrok padł na ciężką broń, którą pozostawili w przejściu między kontenerami. Wszystko było jasne. Żołnierze Calacanisa wiedzieli już, że dobrze trafili, a raczej że dobrze zlokalizowali źródło dochodzących spod pokładu odgłosów. Wiedzieli już, że ścigani przez nich ludzie są tu lub tu byli.

W takim razie dlaczego nie strzelali?

W obliczu przeważających sił wroga przejdź do ofensywy: instynkt kazał mu wyeliminować jak najwięcej przeciwników bez względu na to, czy otwierając ogień, zdradzi swoją pozycję czy nie.

Przytknął kolbę do ramienia, przymknął oko, spojrzął w lunetkę, wyregulował jasność celownika, naprowadził skrzyżowanie nici na głowę jednego ze stojących przy klapie ludzi i łagodnie ściągnął spust.

Padł strzał, buchnął przeraźliwy krzyk i ochroniarz runął do ładowni z dziurą w czole.

Bryson błyskawicznie opuścił broń i całym ciałem przywarł do metalowej ściany kontenera, wiedząc, że lada chwila zasypie ich grad kul.

Tymczasem tamci w ogóle nie zareagowali!

Padł głośny rozkaz i odstąpili od klapy bez jednego wystrzału.

Co jest?

Zaskoczony Nick uniósł broń, starannie wymierzył i wypalił ponownie, dwukrotnie pociągając za spust. Jeden z tamtych padł, drugi osunął się na kolana, wrzeszcząc z bólu.

I nagle Bryson wszystko zrozumiał: po prostu zabroniono im strzelać!

Nie chcieli i nie mogli ryzykować: „Armada” przewoziła zbyt cenny ładunek. Kontenery były wypełnione amunicją i materiałami wybuchowymi.

Naturalnie nie wszystkie, mimo to istniało ogromne niebezpieczeństwo pożaru i eksplozji. Wystarczyło, żeby jeden zbłąkany pocisk przebił cienką blachę, trafił w skrzynkę z plastikiem C-4 i doszłoby do potężnego wybuchu, który mógł zatopić cały okręt.

Dopóki stali między kontenerami, nic im nie groziło, lecz gdyby tylko wychynęli na otwartą przestrzeń, któryś ze snajperów natychmiast by ich zdjął. Sęk w tym, że nie było stamtąd ucieczki, o czym tamci dobrze wiedzieli. Mogli stać przy klapie w

nieskończoność, czekając, aż Bryson popełni jakiś błąd.

Opuścił broń. Libanka, która przycupnęła sześć metrów dalej, nie spuszczała go z oczu. Nick pokazał palcem w lewo, potem w prawo. Którędy?

Odpowiedziała natychmiast, też na migi: z powrotem do wjazdu i do zęzy, innej drogi ucieczki nie było. Cholera jasna! Musieli wyjść na otwartą przestrzeń. Dał jej znak, że pójdzie pierwszy, i zarzuciwszy na ramię kałasznikowa, odbezpieczył ich najpotężniejszą broń taktyczną: południowoafrykański pistolet maszynowy Uzi. Skierował lufę do góry, szorując plecami po metalowej ścianie kontenera, stanął w przejściu, wycelował w tamtych i powolutku ruszył w stronę wjazdu. Blondynka za nim.

Momentalnie oślepiło ich kilka krzyżujących się ze sobą smug światła. Bryson zmrużył oczy i zauważył, że ochroniarze zmieniają pozycję, że próbują wybrać miejsce, z którego mogliby bezpiecznie ich zdjąć. W tych warunkach każdy strzał wymagał wielkiej precyzji, a on nie zamierzał im niczego ułatwić.

Opuścił uzi, ponownie przesunął na pierś kałasznikowa, lecz w chwili, gdy trzasnął skrzydełkiem bezpiecznika, usłyszał za plecami metaliczny hurgot. Odwrócił głowę i zobaczył, że z wjazdu wychodzą uzbrojeni ludzie. Odcięli im jedyną drogę ucieczki! Co gorsze, dzieliła ich teraz znacznie mniejsza odległość, mogli lepiej celować i Bryson wiedział, że jeszcze kilka kroków i bez wahania otworzą ogień. Byli otoczeni!

Huknęła długa seria wystrzałów. Blondynka. Wystrzelała pół magazynka i skoczyła między kontenery. Buchnął krzyk. Ktoś głośno jęczał, ktoś inny kłął, kilku napastników, martwych lub rannych, znieruchomioło na podłodze. Korzystając z zamieszania, Bryson wyjął z kieszeni granat odłamkowy, wyciągnął zawleczkę i rzucił go do góry, prosto w tych przy luku. Rozpierzchli się na wszystkie strony, przeraźliwie wrzeszcząc, lecz na odwrót było już za późno. Granat eksplodował i na stalowy pokład lunął deszcz śmiercionośnych odłamków; kilka z nich zaklekotało nawet na kevlarowej osłonie jego hełmu.

Ci, którzy atakowali od strony wjazdu, doszli już do siebie i ponownie ruszyli tyralierą w ich stronę. Libanka nie próżnowała: wypuściła kolejną serię, a gdy tylko zalegli, on poczęstował ich granatem, który wybuchł znacznie szybciej niż poprzedni i z równie niszczącym skutkiem. Nie czekając, aż się pozbierają, Bryson otworzył ogień z uzi. Dwóch trafił, dwóch innych, tych w kuloodpornych kamizelkach, wciąż parło naprzód, dlatego ponownie zwolnił spust. Pociski kalibru 9 milimetrów mają potworną siłę uderzenia: trafiony w pierś mężczyzna upadł, tracąc przytomność, drugi oberwał w odsłoniętą część szyi i zginał na miejscu.

- Szybko! - krzyknęła blondynka. - Tędy!

Wycofywała się ciemnym przejściem między dwoma kontenerami. Dokąd? Tego nie wiedział, lecz musiał jej zaufać, musiał wierzyć, że wie, co robi i dokąd idzie. Wypuściwszy drugą serię z uzi, wypadł na otwartą przestrzeń i nie przestając się ostrzeliwać, pobiegł za nią. Strzelał na oślep tylko po to, żeby tamci musieli choć na chwilę przywarować, a gdy przy-warowali, błyskawicznie skręcił między kontenery. Dziewczyna utknęła w wąskim przełazie, zmagając się z długą, ciężką rurą. Wiedział, co to jest, natychmiast tę broń rozpoznał. Chryste!

Wyjął z kieszeni granat i cisnął go za siebie.

Szybciej! Szybciej! Dlaczego tak wolno? Po cholere jej stingery?

- Dawaj - szepnął. - A ty włącz.

- Dzięki.

Chwycił przenośną wyrzutnię, zarzucił ją sobie na ramię, zapiął parciane pasy i ruszył za blondynką. Krótkie schody, stalowy pokład i ponownie rzędy kontenerów. Dziewczyna skręciła w lewo, w prawo, potem znowu w lewo. Z góry dobiegał go tupot nóg i przytłumione głosy: ścigający ich ludzie rozdzielili się na małe grupy. Gdzie ona jest? Tam. Dokąd biegnie? Stingery. Po diabła nam stingery? Czysty obłąd.

Libanka kluczyła, robiła dziwne, bezsensowne zwody, nieustannie skręcając i wracając na to samo przejście, by w końcu dotrzeć do kolejnego przełazu i do kolejnych schodów. W

ładowni „Armady” było osiem czy dziewięć poziomów, na każdym poziomie Bóg wie ile stojących rzędami kontenerów, które tworzyły prawdziwy labirynt. Labirynt! Tak, to jest to! Próbowala ich zgubić w labiryncie! Zupełnie stracił orientację. Nie wiedział, dokąd dziewczyna biegnie, lecz biegła szybko, pewnie, jakby znała tu każdy kąt, dlatego pędził za nią, nie zważając na to, że wyrzutnia boleśnie obija mu się o uda.

W końcu dotarli do pionowego szybu ze stalową drabinką. Blondynka wbiegła na nią, pokonując po kilka szczebli naraz. Miała niesamowitą kondycję, tymczasem jemu zaczynało brakować tchu, a czternaste- czy nawet osiemnastokilogramowy ciężar na plecach bynajmniej nie dodawał mu skrzydeł. Dziesięć, piętnaście metrów wyżej szyb łączył się z ciemnym korytarzem wysokim na tyle, że mogli w nim stanąć. Gdy tylko stanęli, Libanka zamknęła i zaryglowała ciężki właz.

- To bardzo długi korytarz - powiedziała - ale jeśli zdołamy dotrzeć do końca, do drugiego pokładu, będziemy wolni.

Puściła się biegiem przed siebie. On krok w krok za nią.

Nagle rozległ się głośny, metaliczny trzask i zapadła aksamitna ciemność.

Nick odruchowo rzucił się na podłogę - piętnaście lat doświadczenia zrobiło swoje - i usłyszał, że dziewczyna poszła w jego ślady.

Hukowi wystrzału towarzyszył przeciągły jęk stalowej grodzi: kula uderzyła tuż-tuż. Facet strzela celnie, zbyt celnie, ani chybi miał noktowizor. Kolejny wystrzał i potężne uderzenie w opancerzoną kevlarem pierś.

Chryste, jakby ktoś grzmotnął go obuchem wielkiego młota. Noktowizory. W kontenerze, który zdążyli przetrząsnąć, ich nie było, ale zaraz, przecież tam, w siłowni...

- Nie mam! - szepnęła chrapliwie dziewczyna, jakby czytając w jego myślach.

Z tyłu dobiegał wyraźny odgłos kroków. Ktoś ku nim szedł. Nie biegł, tylko szedł szybko i zdecydowanie, jak człowiek, który doskonale widzi w ciemności, który podchodzi bliżej, żeby nie zmarnować ani jednego naboju.

Bryson sięgnął do kieszeni kurtki. Zostało mu jeszcze kilka granatów. M651 CS? Nie, bez sensu, to granat z gazem łzawiącym, a oni nie mieli masek. M90? Granat dymny. Też bez sensu, ponieważ dym noktowizorowi nie przeszkodzi.

Lecz w kieszeni tkwił jeszcze jeden granat, amerykańskie cacko, zabawka w sam raz dla nich.

Tak samo jak poprzednio, teraz też nie było czasu na wyjaśnienia, sęk w tym, że musiał ją jakoś uprzedzić. Tylko jak? Po angielsku? Tamten go ubiegnie.

Szybciej!

Poznał granat po jego niezwykłym kształcie i gładkiej skorupie. Wyciągnął zawleczkę, odczekał kilka sekund, po czym rzucił go łukiem, mierząc w miejsce, gdzie powinien się znajdować ścigający ich zabójca.

Krótką, oślepiającą eksplozją, stroboskopowy rozbłysk jaskrawego, niemal białego światła, w którym przez ułamek sekundy czerniała sylwetka człowieka z gotowym do strzału pistoletem maszynowym przy ramieniu. Światło zgasło równie szybko, jak rozbłysło i korytarz wypełniły kłęby gorącego dymu. Wykorzystując zaskoczenie zabójcy, Bryson zerwał się na równe nogi i popędził w kierunku dziewczyny.

- Biegiem! - krzyknął po arabsku. - Prosto przed siebie! On nas nie widzi!

I rzeczywiście. Granat M76 wytwarza gęsty dym przemieszany z drobnymi płatkami rozpalonego mosiądzu, które bardzo długo unoszą się w powietrzu, zakłócając działanie detektora podczerwieni zamontowanego w noktowizorze. Ponieważ są o wiele gorętsze od ludzkiego ciała, to, co widział teraz zabójca, przypominało śnieg, jaskrawy obłok na ciemnozielonym tle.

Bryson biegł przodem, Libanka tuż za nim. Pędzili, ile sił w nogach, i upłynęło dobrych kilkanaście sekund, zanim tamten doszedł do siebie. Gdy zaczął strzelać na oślep, gdzie popadnie, byli już daleko, na końcu korytarza.

Poczuł na plecach dotyk ręki: Libanka kierowała go w stronę drabiny, już go na nią wciągała, już pomagała mu wymacać szczeble. Korytarzem wciąż świstały kule, wtem

kanonada umilkła. Skończyły mu się naboje, pomyślał, musi zmienić magazynek.

Tylko że nie zdąży.

Libanka otworzyła luk i nagle stwierdził, że odzyskał wzrok, że znowu widzi. Jednocześnie poczuł ożywcze tchnienie chłodnego, nocnego powietrza, ujrzał skłębione chmury nad prawą burtą okrętu. Dziewczyna zatrzasnęła i zaryglowała luk. Niebo było ciemne, bezgwiezdne, lecz jemu wydawało się jasne jak za dnia.

Znajdowali się na tak zwanej dwójce, kilka metrów nad głównym pokładem. Syreny już umilkły, alarmowe bucuki również. Zwinnie ominąwszy zwoje grubych, pokrytych smarem stalowych lin, które wiły się niczym oślizgłe węże, dziewczyna podeszła do relingu.

Przyklękła, zdjęła linę z haka i uwolniła bom żurawika, który powoli odchylił się za burtę. Do bomu była przymocowana drewniana kołyska, a na kołysce spoczywała ośmiometrowej długości łódź patrolowa typu magna marina, jedna z najszybszych motorówek na świecie.

Wsiedli. Łódź niepewnie zachybotała, lecz w tym samym momencie Libanka zwolniła hamulec i runęli w dół, z trzaskiem lądując na falach.

Gardłowo zawył silnik, dziób powędrował do góry i motorówka śmignęła przed siebie, nieomal nie dotykając dnem wody. Dziewczyna stała przy sterze, a on zmagał się z dwoma stingerami, które tak długo dźwigał. Przy prawie całkowicie otwartej przepustnicy pędzili z prędkością dziewięćdziesięciu sześciu kilometrów na godzinę. Złowieszczy czarny kadłub gigantycznego okrętu górował nad nimi niczym monstrualny wieżowiec.

Ryk silnika musiał zaalarmować załogę, ponieważ dobiegł ich głośny huk i mroczne niebo nagle rozbłysło, przecięły je smugi oślepiającego światła. Żołnierze Calacanis stali wzdłuż burty i strzelali do nich, z czego popadło, z pistoletów, rewolwerów i z karabinów. Za późno: łódź była za daleko, poza zasięgiem ognia.

Uciekli. Byli bezpieczni.

Wtem Bryson zauważył, że tamci wnoszą na pokład wyrzutnię raketową, że druga stoi już przy relingu, że bierze ich na cel.

Chryste, chcą nas rozpirzyć w drobny mak!

Wtem usłyszał ciche zawroźnienie silnika, które szybko przeszło w głośny warkot, a potem w ryk. Zza rufy okrętu wypłynął kuter patrolowy klasy vigilante z zamontowanym na dziobie karabinem maszynowym. Nie był to kuter hiszpańskiej straży przybrzeżnej, o nie. Ten miał zupełnie jednoznaczne zamiary: pędził wprost na nich, ani na chwilę nie przerywając ognia.

Libanka usłyszała huk wystrzałów, zerknęła w lewo i natychmiast przesunęła manetkę gazu. Nie ulegało wątpliwości, że Calacanis wybrał tę łódź ze względu na jej niezwykłą prędkość, lecz wybrał również ścigający ich kuter.

Pędzili w kierunku brzegu, ale nie było pewności, czy ten wyścig wygrają. Kuter był coraz bliżej, morze kipiało od gradu kul, a wielkie wyrzutnie na pokładzie „Hiszpańskiej Armady” były gotowe do strzału.

- Szybciej! - krzyknęła Libanka. - Teraz!

Bryson poprawił parciane pasy, oparł na ramieniu prowadnicę wyrzutni, zacisnął palce na zamocowanej u spodu rękojeści, położył palec na spuście i zmrużywszy oko, spojrział w lunetkę celownika. Stingery, pociski samonaprowadzające się na podczerwień, są bardzo celne. Minimalna odległość, z jakiej można je odpalać, wynosi dwieście metrów, a oni już dawno ją przekroczyli.

Nick wcisnął kciukiem przycisk wyłączający działanie systemu IFF, który odróżnia cel „przyjazny” od celu „obcego”, po czym uruchomił system samonaprowadzania.

Ciche, jednostajne buczenie było znakiem, że pocisk odnalazł i namierzył cel.

Bryson powoli zwolnił spust.

Rozległ się ogłuszający huk i potężna siła odrzutu omal nie wypchnęła go za burtę. W wodę plusnęły pusty pojemnik.

Napędzany silnikiem raketowym pocisk wystrzelił w czarne niebo i wlokąc za sobą długą

smugę dymu, poszybował łukiem w stronę kutra.  
Sekundę później łódź eksplodowała w olbrzymiej kuli ognia. Zagotowało się morze.  
Chociaż pędzili prawie setką, wkrótce doścignęły ich spienione grzywacze.



Powietrze przeszył przeraźliwy ryk syreny. Kilka razy zawyła krótko, raz długo. Libanka odwróciła głowę. Była przerażona i jednocześnie zafascynowana widokiem. Bryson poczuł na twarzy podmuch gorąca. Odgarnął włosy, wsunął do wyrzutni drugą i ostatnią rakietę, stanął bokiem, przyklnął oko i wycelował w nadbudówkę „Hiszpańskiej Armady”. Pocisk szybko ją namierzył. Nick wstrzymał oddech i z walącym sercem pociągnął za spust. Stinger poszybował w górę, zatoczył wysoki łuk i nieustannie korygując kurs, runął z nieba prosto na okręt. Zdawało się, że pierwsza eksplozja miała miejsce w ładowni, głęboko w trzewiach „Armady”. W powietrze wytrysnął gejzer odłamków i kłęb czarnego dymu, w tym samym momencie rozległ się drugi wybuch, o wiele głośniejszy od poprzedniego. Po nim kolejny, i jeszcze jeden. Kontenery eksplodowały jak podgrzane petardy. Wśród ogłuszającego huku niebo stanęło w płomieniach, na morzu wykwitła gigantyczna kula ognia i dymu. Z rozprutych eksplozją zbiorników zaczęła wyciekać płonąca ropa, siekana odłamkami woda dosłownie wrzała. Olbrzymi, teraz już doszczętnie zniszczony okręt Calacanis przechylił się na burtę i w kłębach gęstego, gryzącego dymu pogrążył się w morskiej otchłani. „Hiszpańska Armada” przestała istnieć.

# Część II

## Rozdział 8

Wylądowali na wąskim, skalistym cyplu, omywanym wzburzonymi falami roztrzaskującymi się o urwisty brzeg. Było to Costa da Morte, Wybrzeże Śmierci, nazwane tak z powodu niezliczonych ilości okrętów, które rozbiły się na tych niebezpiecznych, najeżonych skałami wodach.

Bez słowa wyciągnęli na brzeg motorówkę i żeby ukryć ją przed reflektorami straży ochrony wybrzeża i przed zachłannym wzrokiem przemytników, zataszczyli ją do piaszczystej zatoczki wgryzającej się w ścianę stromego urwiska. Tam była bezpieczna.

Bryson zdjął z ramienia kałasznikowa i uzi, położył je obok łodzi i starannie przysypał piaskiem, żwirem i małymi kamieniami, tak że nie widać ich było nawet z bliska. Nie mogli wyglądać jak objuczeni karabinami najemnicy, poza tym w kieszeniach kamizelek mieli sporo innej, znacznie mniejszej i poręczniejszej broni.

Uginając się pod ciężarem plecaków, weszli między potężne głazy i niezdarnie ruszyli pod górę. Byli kompletnie przemoczeni i dygotali z zimna.

Przed wyprawą Bryson dokładnie przestudiował mapy wybrzeża hiszpańskiej Galicji. Z zamiarów wywiadu satelitarnego wiedział też, w którym miejscu „Armada” rzuciła kotwicę, dlatego domyślił się, że wylądowali w pobliżu wioski o nazwie Finisterre lub Fisterra, jak nazywali ją miejscowi. Najdalej na zachód wysunięty kraniec Hiszpanii, a niegdyś kraniec znanego Hiszpanom świata, miejsce, gdzie między ostrymi skałami znalazły śmierć - ponurą, acz na szczęście szybko- niezliczone rzesze piratów i przemytników.

Libanka odezwała się pierwsza. Przysiadła na krawędzi głazu i zdjęła blond perukę, odsłaniając krótkie, kasztanowe włosy. Potem ostrożnie rozchyliła powieki, wyjęła szkła kontaktowe, jedno po drugim schowała je do hermetycznego plastikowego pudełeczka i jej oszalałymi zielone oczy stały się nagle ciemnobrązowe. Nick patrzył na nią jak zahipnotyzowany, lecz nie powiedział ani słowa. Dziewczyna wyjęła kompas, wodo-odporną mapę i małą latarkę.

- Nie możemy tu zostać. Ci ze straży przeczeszą każdy centymetr wybrzeża. Boże, co za koszmar... - Włączyła latarkę i oświetliła mapę.

- Mam dziwne wrażenie, że to dla ciebie nie pierwszyzna. Spojrzała na niego znad mapy i zmarszczyła brwi.

- Czy naprawdę muszę się przed tobą tłumaczyć?

- Nie, nie musisz. Ale ryzykowałeś dla mnie życie i po prostu chciałem i bym wiedzieć; nawiasem mówiąc, bardziej podobasz mi się jako brunetka. Tam, na statku, wspomniałaś, że próbujesz namierzyć pewnych ludzi, którzy skupują broń, chcąc wystąpić przeciwko Izraelowi. Pracujesz dla Mosadu?

- W pewnym sensie - odrzekła dyplomatycznie. - A ty? Dla CIA?

- Też w pewnym sensie. - Zawsze hołdował zasadzie, że nie należy, zdradzać zbyt wiele, przynajmniej nie od razu.

- Kogo chciałeś rozpracować? - dążyła.

- Powiedzmy - odparł z wahaniem - że organizację większą, liczniejszą i bardziej rozbudowaną niż ta, którą próbowałaś rozpracować ty. Ale pozwól, że cię o coś zapytam. Dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego zrezygnowałaś z dalszej infiltracji i rzuciłaś wszystko na jedną szalę?

- Wierz mi, że nie miałam wyboru.

- Miałaś.

- Nie, nie w tych okolicznościach. Zawaliłam, popełniłam głupi błąd: ostrzegłam cię przed tamtymi, zapominając, że w bibliotece są kamery.

- Skąd wiesz, że cię obserwowali?  
- Bo kiedy tylko zaczęła się strzelanina, oderwano mnie od zajęć i wezwano do Boghosiana. Boghosian to ostatni bandzior. Jest... był szefem ochroniarzy Calacanis. Kiedy dowiedziałam się, że chce mnie zobaczyć, od razu wyczułam, czym to pachnie. Musiałam uciekać, no i uciekłam.

- Tak, ale dlaczego mnie ostrzegłeś? Pokręciła głową.

- Nie widziałam powodu, żebyś miał zginąć. Ani ty, ani ktokolwiek inny, zwłaszcza że głównym celem mojej misji było powstrzymanie dalszego rozlewu krwi, wyeliminowanie z gry terrorystów i fanatyków. Poza tym nie przypuszczałam, że mnie zdekonspirują. Najwyraźniej ich nie doceniłam. - Ośloniwszy latarkę dłonią, wróciła do studiowania mapy.

- Jak ci na imię? - spytał łagodnie, poruszony jej szczerością. Posłała mu lekki uśmiech.

- Layla. A ty na pewno nie nazywasz się Coleridge.

- Nie. Mam na imię Jonas. Jonas Barrett.

Nie zdradził jej, po co go przysłano, pozostawił to pytanie bez odpowiedzi. Niech trochę pogłównkuje, myślał. Kiedy -jeśli w ogóle - pozwoli na to czas, na pewno wymieni się informacjami. Kłamstwa, łgarstwa, fałszywe nazwiska, fikcyjne dane - wszystko to przychodziło mu z niebywałą łatwością, tak jak kiedyś, przed laty. Boże, kim ja właściwie jestem? - dumiał. Melodramatyczne pytanie dorastającego nastolatka, które odżyło w zwichrowanej świadomości byłego i bardzo, ale to bardzo zagubionego agenta.

Na brzegu łamały się z hukiem fale. Z latarni morskiej na skraju odległego urwiska, ze słynnej latarni na Cabo Finisterre, dochodziło żalobne porykiwanie rogu mgłowego.

- Chyba nie - szepnął z uznaniem. - Dobrze wiedziałaś, co robisz. Uśmiechnęła się smutno i zgasiła latarkę.

- Muszę wynająć śmigłowiec, mały samolot, cokolwiek, czym mogłabym... moglibyśmy stąd uciec.

- Najbliżej mamy do Santiago de Compostela, to sześćdziesiąt parę kilometrów na wschód stąd. Duży ośrodek turystyczny, święte miasto, cel licznych pielgrzymek. O ile wiem, jest tam małe lotnisko, które obsługuje kilka międzynarodowych linii lotniczych. Może tam? W każdym razie warto spróbować.

Zmrużyła oczy.

- Znasz teren.

- Tylko z mapy.

Wtem oddalony o kilkanaście metrów brzeg zalało jaskrawe światło. Wiedzeni wyostrzonym w boju instynktem natychmiast padli na ziemię: on zastygł bez ruchu za wielkim głazem, ona pod niską, skalną półką dwa kroki dalej. Przywarłszy policzkiem do mokrego, zimnego piasku, usłyszał jej spokojny, regularny oddech. W swej piętnastoletniej karierze pracował tylko z kilkoma kobietami i był głęboko przekonany - choć rzadko wypowiadał ten pogląd na głos - że te, które pokonały wszystkie przeszkody stawiane im przez zwierzchników, rzecz jasna, mężczyzn, muszą być absolutnie wyjątkowe. O tajemniczej Libance nie wiedział dosłownie nic poza tym, że do nich należy, że jest świetnie wyszkolona i nieprawdopodobnie opanowana.

Smuga światła omiotła brzeg, zatrzymując się na chwilę tuż nad miejscem, gdzie ukryli łódź; czujny i doświadczony obserwator na pewno zauważyłby niewielkie zmiany w naturalnym ułożeniu kamieni, piasku i wodorostów, którymi ją zamaskowali. Bryson ostrożnie wyjrzał zza głazu. Wzdłuż wybrzeża płynął kuter. Dwa potężne szperacze na jego pokładzie nieustannie omiatały wystrzępione podnóże urwiska i łąkę piasku, na której niedawno wylądowali. W użyciu była też bez wątpienia silna lornetka, gdyż przez noktowizor nic by z tej odległości nie zobaczyli. Nocne stwory smyrgają pod kamieniami dopiero wtedy, gdy zapada ciemność - zgaszenie reflektorów często bywa jedynie wstępem do właściwych poszukiwań. Dlatego kiedy szperacze zgasły, odczekał jeszcze cztery, pięć minut, zanim się poruszył. Z uznaniem stwierdził, że Layla zareagowała tak samo, chociaż nie ostrzegł jej nawet najcichszym szeptem.

W końcu wstali, otrzepali się z piasku i omijając karłowate sosny, ruszyli kamienistym zboczem w kierunku wąskiej żwirówki biegnącej skrajem urwiska. Wzdłuż żwirówki, za wysokimi, masywnymi granitowymi murami, stały stare, kamienne domy o porośniętych mchem ścianach. Wyglądały niemal identycznie. Przy każdym wzniesiono spichlerz na wysokich podporach, przy każdym stał wielki stóg siana i porośnięta winogronami altanka, za każdym rósł mały sad z uginającymi się od owoców drzewami o artretycznie powykręcanych gałęziach. Mieszkańcy tych domów żyli tu i uprawiali ziemię od stuleci, pokolenie za pokoleniem, nie uznając żadnych zmian i pilnie strzegąc swego terytorium. Nie lubili niespodziewanych gości. Obcych traktowali bardzo podejrzliwie i gdyby zauważyli dwoje uciekinierów, na pewno donieśliby o nich komu trzeba.

Dwadzieścia, trzydzieści metrów za nimi zachrząścił żwir. Bryson odwrócił się z pistoletem w rękę, lecz zobaczył tylko ciemność i mgłę. Widoczność była minimalna, poza tym odgłosy dochodziły zza zakrętu. Ktoś za nimi szedł, lecz kto? Tego nie wiedział. Zauważył, że Layla też to usłyszała i zastygła bez ruchu w pozycji strzeleckiej, mierząc w mrok z pistoletu zaopatrzonego w długi tłumik. Oboje zamarli, wsłuchując się w noc.

Z piaszczystej łachy u stóp urwiska dobiegł stłumiony krzyk. A więc było ich co najmniej dwóch, niewykluczone, że więcej. Ale skąd przyszli? I czego chcieli?

Wtem... Donośny, chrapliwy głos mówiący w języku, który Bryson rozpoznał dopiero po dłuższej chwili, potem chrząst kroków na żwirze. Galicyjski: mężczyzna mówił starożytnym językiem hiszpańskiej Galicji, łączącym elementy portugalskiego i kastylijskiego. Nick wychwycił tylko kilka zdań.

- *Veña! Axiha Que carallofas ai? Que e o que che leva tanto tempo? Móvete!*

Wymienili znaczące spojrzenia i bez słowa ruszyli wzdłuż muru w tamtą stronę. Przyciszone głosy, głuchy stukot, metaliczny klekot. Wychynawszy zza węgła, zobaczyli dwóch mężczyzn i starą ciężarówkę. Jeden mężczyzna stał w ładowni, drugi podawał mu skrzynie. Nick zerknął na zegarek. Kilka minut po trzeciej nad ranem. Co ci ludzie tu robią? Rybacy? Tak, na pewno. Miejscowi rybacy, morscy zbieracze. W skrzyniach były *percebes*, skorupiaki, które zebrali z przybrzeżnych głazów, albo małże wyhodowane na *mejllonieras*, tratwach kotwiczących kilkaset metrów od brzegu.

Kimkolwiek byli, mieszkali tu, ciężko pracowali i nie stanowili zagrożenia. Bryson schował pistolet i dał znak Libance, żeby schowała swój. Podejść do nich z wycelowaną broni? Nie musieli, popełniliby duży błąd.

Przyjrząwszy się uważniej, Nick stwierdził, że jeden z mężczyzn jest w średnim wieku, drugi zaś ledwie nastolatkiem. Obaj wyglądali na twardych, przywykłych do ciężkiej pracy chłopów, lecz coś mu mówiło, że łączą ich również więzy krwi, że jest to ojciec i syn. Syn stał na skraju ładowni, ojciec podawał mu skrzynki.

- *Vena!* - rzucił ojciec. - *Móvete, non podemos perdelo tempo!* Nick uczestniczył w wielu operacjach w Lizbonie i w kilku w Sao Paulo: znał portugalski i rozumiał, co mówią.

- Szybciej! - poganiał ojciec. - Nie mamy czasu! Zerknął na Laylę i krzyknął:

- *Por favor, nos poderian axudar? Metimo-lo coche na cuneta, e a mina muller e mais eu temos que chegar a Vigo canto antes.* - Moglibyście nam pomóc? Jechałem z żoną do Vigo, ale wpadliśmy samochodem do rowu.

Mężczyźni znieruchomieli i otaksowali ich podejrzliwym spojrzeniem. Dopiero teraz Bryson zobaczył, co naprawdę ładują. Nie były to ani ryby, ani skorupiaki, ale kartony angielskich i amerykańskich papierosów. Mieli przed sobą przemytników, którzy wwozili do kraju kontrabandę.

Ten starszy postawił karton na ziemi i spytał:

- Cudzoziemcy? Skąd jedziecie?

- Z Bilbao, jesteśmy na wakacjach. Chcieliśmy pozwiedzać okolicę i wynajęliśmy samochód. Ale to szmelc, kupa złomu. Poszła przekładnia i wylądowaliśmy w rowie. Gdybyście nas podrzucili, dobrze byśmy wam zapłacili.

- Jasne, czemu nie? - odrzekł ojciec, dając znak synowi. Ten zeskoczył na ziemię i ruszył ku nim z lewej strony. - Jorge?

W rękę syna błysnął rewolwer, stareńki astra cadix special. Nastolatek podszedł bliżej, wycelował w Laylę i wrzasnął:

- *Yaciade os petos! Agora mesmo! Opróżnij kieszenie! Wszystkie! Szybko! I bez żadnych sztuczek!*

Ojciec też wyjął rewolwer i wymierzył w Brysona.

- Ty też, przyjacielu - warknął. - Rzuć portfel na ziemię i kopnij go w moją stronę. Ten drogi zegarek też. Szybko! Albo Jorge załatwi twoją żonę!

Nastolatek chwycił Laylę za ramię, szarpnął i przystawił jej do skroni lufę rewolweru. Nie zauważył, że dziewczyna nie krzyknęła ze strachu, że nawet nie mrugnęła, że w ogóle nie zareagowała. Gdyby dobrze pomyślał, jej dziwne w tych okolicznościach opanowanie na pewno by go zaniepokoiło.

Layla zerknęła na Brysona. Ten leciutko skinął głową.

Jeden szybki, płynny ruch i w jej rękach pojawiły się dwa pistolety, w lewej czterdziestka piątka Hecklera & Kocha, w prawej potężny izraelski desert eagle. W tym samym momencie Bryson wyszarpnął z kieszeni berettę i wymierzył w starszego przemytnika.

- Do tyłu! - krzyknęła po portugalsku Layla. Zaskoczony i wystraszony Jorge cofnął się chwiejnie w kierunku ciężarówki, omal nie upadł.

- Rzuć to albo rozwalę ci łeb! - dodała Libanka.

Jorge odzyskał równowagę, zawahał się, intensywnie myśląc, co robić, gdy wtem Layla pociągnęła za spust desert eagle'a. Huk był ogłuszający i tym bardziej przerażający, że pistolet wypalił tuż przy jego uchu. Nastolatek rzucił broń i szybko podniósł ręce do góry.

- *Non! Non dispare!* - Odbezpieczony rewolwer zaklekotał na ziemi i chyba tylko cudem nie wypalił.

Bryson podszedł z uśmiechem do starszego przemytnika.

- Rzuć to, *meu amigo*, w przeciwnym razie moja żona go zabije. Sam widziałeś: jest bardzo, ale to bardzo impulsywna...

- *Por Cristo bendito, esa muller esta tola!* Boże wszechmogący, toż to wariatka! - warknął tamten. Przykląkł, ostrożnie położył rewolwer na ziemi, wstał i biorąc przykład z syna, podniósł ręce do góry. - *Sepensan que nos van tomalo pelo, estan listos! Temos amigos esperando por nos ófinal da estrada...* Jeśli chcesz nas obrobić, jesteś idiotą. Tam dalej czekają na nas przyjaciele...

- Tak, tak - przerwał mu niecierpliwie Bryson. - Papierosy nas nie interesują. Potrzebna nam tylko ciężarówka.

- *O meu camion? Por Deus, eu necesito este camion!* Boże święty, co ja pocznę bez ciężarówki?

- Masz niefart, przyjacielu. Bywa.

- Na kolana! - krzyknęła Layla.

Nastolatek już klęczał. Drżał jak zastraszone dziecko i zamykał oczy, ilekroć machnęła pistoletem.

- *Polo menos nos deixardn descargo-lo camión? Yostedos non nece-sitan a mercancia!* Pozwólcie nam przynajmniej wyładować towar, wam się nie przyda! - błagał ten starszy.

- Zgoda - odrzekła Layla - byle szybko.

- Nie - wtrącił Bryson. - W środku zawsze wożą broń na wypadek napadu. Idźcie tamtą drogą i nie zatrzymujcie się, dopóki nie usłyszycie warkotu silnika. Jeśli za nami pobiegniecie, jeśli choć raz wystrzelicie albo gdzieś zadzwonicie, wrócimy tu z bronią, jakiej nigdy w życiu nie widzieliście. Wierzcie, nie warto wystawiać nas na próbę.

Ruszył do ciężarówki, dał dziewczynie znak, żeby usiadła na miejscu pasażera, i nie spuszczając tamtych z muszki, warknął:

- Szybciej! Już was nie ma!

Przemytnicy, młody i stary, niepewnie wstali z klęczek i z uniesionymi rękami poszli żwirówką w kierunku morza.

- Nie, zaczekaj - powiedziała Layla. - Nie chcę ryzykować.

- Hm?

Libanka schowała do kieszeni hecklera & kocha i wyjęła dziwaczny pistolet, który Bryson natychmiast rozpoznał. Z uśmiechem skinął głową.

Przemytnicy odwrócili się. Musieli coś wyczuć.

- *Non!* - krzyknął ten młodszy.

- *Non dispare!* - krzyknął błagalnie starszy. - *Estamos facendo o que nos dicen! Virxen Santa, non imos falar, por que iamos?* - Nie strzelaj! Przecież robimy, co nam każecie! Matko święta, nic nikomu nie powiemy, po co mielibyśmy mówić?

Rzucili się do ucieczki, lecz nim zdążyli przebiec dwa kroki, Layla wypaliła. Rozległy się dwa głośne cmoknięcia i sprężony dwutlenek węgla wyrzucił z lufy dwie króciutkie strzykawki wypełnione silnym środkiem uspokajającym, jakim weterynarze obezwładniają groźne zwierzęta. Dorosły człowiek śpi po nim dwadzieścia, trzydzieści minut. Mężczyźni upadli, chwilę wili się na ziemi, wreszcie znieruchomieli, pograżając się w nieświadomości.

Stara ciężarówka perkotała i klekotała, silnik rzęził i krztusił się na krętej, górskiej drodze. Zza wystrzępionych skał wychyliło słońce, malując horyzont rozmytymi pastelami i rzucając dziwny blask na dachy domów w rybackich wioskach, które z rzadka mijali.

Bryson myślał o niezwyklej kobiecie, która spała tuż obok niego z głową na rozedrganej szybie samochodu.

Była twarda, nieugięta i zahartowana, jednocześnie bezbronna i melancholijna. Pociągająca kombinacja, mimo to instynkt wyraźnie go przed nią ostrzegał. Była za bardzo podobna do niego, należała do tych, którzy zawsze wygrywają, którzy odwagą, bitością i przebojowością maskują skomplikowaną, skłóconą ze sobą duszę.

Poza tym była jeszcze Elena. Towarzyszyła mu zawsze i wszędzie, niczym tajemnicze spektrum. Kobieta, której tak naprawdę nie znał. Pragnął ją odnaleźć, a pragnienie to było tak silne, kuszące i niebezpieczne jak nawoływanie mitycznych syren.

Nie, Layla była jego strategiczną współpracowniczką, sojuszniczką z wygody i przymusu, środkiem do osiągnięcia celu, nikim więcej. Wykorzystywali się nawzajem i wzajemnie sobie pomagali - w ich związku było coś wyrafinowane taktycznego. I nic poza tym.

Dopał do zmęczenia. Wjechał między gęste drzewa, momentalnie zasnął i spał, jak mu się zdawało, ledwie dwadzieścia minut. Obudził się raptownie kilka godzin później. Layla wciąż drzemała. Cicho zaklął: niepotrzebnie stracili tak dużo czasu. Z drugiej strony, człowiek konający ze zmęczenia źle ocenia sytuację i podejmuje złe decyzje, więc może jednak warto było odpocząć.

Wjechawszy na drogę, stwierdził, że pełno na niej ludzi zmierzających w kierunku Santiago de Compostela. Przedtem było ich niewielu, ot, ledwie kilku wracających na wieś chłopów, natomiast teraz drogą wędrowały prawdziwe tłumy. Większość szła piechotą, choć wypatrzył też kilku jadących starymi, zdezelowanymi rowerami, a nawet wierzchem konno. Wszyscy mieli spalone słońcem twarze, wielu kuśtykało o sękatej lasce. Ubrani w proste, znoszone, często podarte ubrania, dźwigali na plecach ozdobione muszlami węzłki i plecaki. Bryson przypomniał sobie, że muszle są znakiem rozpoznawczym pielgrzymów wędrujących Camino de Santiago, ponadstukilometrową drogą wiodącą od przełęczy Roncesvalles w Pirenejach do starożytnej świątyni świętego Jakuba w Santiago de Compostela. Pokonanie tej odległości na piechotę trwało zwykle miesiąc. Tu i ówdzie stały wózki i cygańskie stragany z upominkami: z pocztówkami, plastikowymi ptaszkami o ruchomych skrzydłach, z muszelkami i kolorowym ubraniem.

Niebawem zauważył coś jeszcze, coś, czego nie potrafił sobie wytłumaczyć. Na kilka kilometrów przed Santiago ruch zgęstniał jeszcze bardziej.

Samochody i ciężarówki jechały coraz wolniej, niemal zderzak w zderzak. Wypadek? Korek? Roboty drogowe?

Nie.

Odpowiedź poznał już za najbliższym zakrętem: stały tam drewniane szlabany i kilka radiowozów z migającymi kogutami na dachu. Blokada. Policjanci zagłądali do samochodów, uważnie przypatrywali się kierowcom i pasażerom. Samochody osobowe

szybko przepuszczali, natomiast kierowcom ciężarówek kazali zjeżdżać na bok, po czym dokładnie sprawdzali prawo jazdy i dokumenty rejestracyjne wozu. Pielgrzymi obrzucali ich ciekawym spojrzeniem i przez nikogo nie zatrzymywani szli dalej.

- Layla - szepnął. - Obudź się!

Ocknęła się czujna, zwarta i gotowa do działania.

- Co... Co się stało?

- Szukają naszej ciężarówki.

Popatrzyła przed siebie i momentalnie zrozumiała, o co chodzi.

- Boże. A to skurwiele. Obudzili się, pobiegli na policję...

- Nie, to nie oni. Przemytnicy unikają kontaktów z władzami. Ktoś musiał do nich dotrzeć i zaproponować dużą łapówkę. Ktoś, kto ma bezpośrednie dojście do hiszpańskiej policji.

- Guardacostas? Ludzie Calacanisa? Mało prawdopodobne, nawet jeśli któryś przeżył. Nick pokręcił głową.

- Nie. Moim zdaniem to zupełnie ktoś inny. Organizacja, która wiedziała, że jestem na „Armadzie”.

- Wroga agencja wywiadowcza?

- Tak, ale inna, niż myślisz. - „Wroga”? Złe określenie. Raczej diaboliczna. Agencja, której macki sięgają rządów kilku najpotężniejszych państw świata: Dyrektoriat.

Wypatrzył lukę w tłumie wędrowców i nie zważając na wrzaski kramarzy i trąbienie klaksonów, gwałtownie skręcił w lewo. Wysiadł, odkręcił scyzorykiem tablice rejestracyjne i wrócił do szoferki.

- To na wypadek, gdyby tamci byli głupi na tyle, żeby sprawdzać tylko rejestrację. Gorzej z nami. Szukają mężczyzny i kobiety, ludzi odpowiadających naszym rysopisom, może naprędce przebranych. Wynika z tego, że musimy się rozdzielić i pójść dalej piechotą. - Jego wzrok padł na pobliski stragan. - Ale nie tylko... Zaczekaj.

Kilka minut później rozmawiał już z pulchną Cyganką, która sprzedawała szale i miejscowe stroje ludowe. Myślała, że klient - sądząc po płynnej hiszpańszczyźnie i braku obcego akcentu, rodowity Kastyljczyk

- będzie się próbował targować, tymczasem, ku jej wielkiemu zaskoczeniu, bez gadania rzucił na ladę zwitek peset. Szybko obszedł kilka innych stoisk i skompletował spore naręczne ubrań, wrócił do ciężarówki.

Layla wytrzeszczyła oczy.

- Będę pątniczką... - skonstatowała poważnie.

Zamęt, kompletny chaos!

Skrześliwe klaksony samochodów, wrzaski i przekleństwa rozwścieczonych kierowców. Strumień pielgrzymów zmienił się w zwarty tłum różnych i różnie ubranych ludzi, których jedyną cechą wspólną była fanatyczna wiara. Starcy o laskach wyglądający tak, jakby ledwo powłóczyli nogami, kuśtykali ramię w ramię z na czarno ubranymi matronami o twarzach niemal całkowicie przesłoniętych grubymi chustkami. Wielu pątników miało na sobie podkoszulki, inni szli, prowadząc rowery. Byli wśród nich znużeni rodzice z płaczącymi niemowlętami w ramionach i starsze, rozbrykane dzieci, które z wesołym krzykiem bawiły się w tłumie w berka. Wszędzie unosiła się woń potu, cebuli i kadzidła oraz cały zestaw innych ludzkich zapachów.

Bryson szedł, postukując laską o zakrzywionej rączce. Miał na sobie średniowieczny habit. Strój pochodził z dalekiej przeszłości, mimo to mnisi z kilku mniejszych, bardziej konserwatywnych i odosobnionych zakonów nosili go do dziś. W Santiago de Compostela sprzedawano go wyłącznie jako pamiątkę. Habit miał kaptur, co bardzo go ucieszyło, gdyż mógł nim osłonić część twarzy.

Layla, która szła pięćdziesiąt metrów za nim, była w długiej do kostek koszuli z szorstkiego muślinu, w krzykłym swetrze naszywanym cekinami i jaskrawoczerwonej chustce na głowie. Choć wyglądała dość dziwnie, znakomicie wtapiała się w tłum.

Szlabany ustawiono w taki sposób, że wszyscy musieli między nimi przejść. Czuwający obok policjanci przyglądali się ludziom pobieżnie i obojętnie. Tymczasem drugą połową



drogi jechały ciężarówki, furgonetki i samochody, które przepuszczano pojedynczo, jeden po drugim. Bryson z ulgą stwierdził, że kolumna pielgrzymów nie zwalnia, że posuwa się stałym tempem. Obok policjantów przeszedł, mocno wspierając się na lasce, niepewnym krokiem człowieka, który dobiega kresu nieludzko długiej podróży. Ani na nich nie patrzył, ani demonstracyjnie ich nie ignorował. Nie zwrócili na niego najmniejszej uwagi. Kilka sekund później, niesiony ludzką rzeką, znalazł się po drugiej stronie szlabanu.

Wtem silny rozbłysk. Świetlisty refleks, promień jasnego, porannego słońca odbity od gładkiej, szklistej powierzchni. Nick lekko odwrócił głowę. Silna lornetka przy twarzy policjanta na ławce. Tak samo jak jego koledzy przy szlabanach on też przypatrywał się pielgrzymom sunącym do miasta aleją Juana Carlosa I. Wsparcie albo drugi filtr. Na pewno. Stał i metodycznie omiatał wzrokiem tłum. Mimo wczesnej godziny słońce porządnie przygrzewało i miał spocone czoło.

Czoło. Bryson aż drgnął. Czoło i włosy wystające spod daszka policyjnej czapki. Włosy były jasne, a czoło bardzo blade. W tej części Hiszpanii blondynów widywało się rzadko albo wcale, jednak bardziej niż włosy uderzyła go biel jego skóry. W tym klimacie, w tym piekącym słońcu, prędzej czy później musiał się opalić albo przynajmniej lekko przypiec każdy policjant, nawet urzędas, który wychodził z posterunku jedynie na lunch.

Nie, to nie miejscowy. Pewnie nawet nie Hiszpan.

Obficie się pocił. Żeby otrzeć łokciem czoło, na chwilę opuścił lornetkę i wtedy Bryson zobaczył jego twarz.

Szare, leniwe, choć drapieźnie skupione oczy, cienkie usta, kredowo-biała skóra, popielate włosy: skądś go znał.

Sudan. Chartum.

Blondyn przyjechał tam z Rotterdamu jako ekspert techniczny, by wraz z grupą europejskich fachowców doradzać Irakijczykom przy budowie fabryki pocisków balistycznych i zbierać od nich zamówienia na sprzęt niezbędny do konstrukcji scudów. Naprawdę był kimś innym: szpiclem, wtyka Dyrektoriatu. Był również agentem do zadań specjalnych, mistrzem w sztuce szybkiego zabijania. Bryson zakładał w Chartumie siatkę infiltracyjną i zbierał dowody, które później można by wykorzystać przeciwko Irakowi. Spotkał się z blondynem tylko raz - niby przypadkowo minęli się na ulicy - przekazując mu mikrofilm z dossier poszczególnych celów, łącznie z ich adresami, rozkładem dnia i uwagami na temat dziur w ochronie. Nie znał jego nazwiska. Wiedział jedynie, że człowiek ten jest bezwzględny zabójcą- niewykłuczone, że psychopata- i znakomicie wyszkolonym agentem.

Ci z Dyrektoriatu nasłali na niego najlepszego z najlepszych. Teraz nie było żadnych wątpliwości, że uznali go za „bezpowrotnie straconego”.

Tylko jak go znaleźli? Rozwścieczeni kradzieżą ciężarówki, skuszeni dużą łapówką przemytnicy musieli się wygadać. W tej części kraju dróg było niewiele i jeśli ktoś dysponował śmigłowcem, mógł łatwo przeczesać je z powietrza. Bryson żadnego śmigłowca nie widział, lecz przez kilka godzin spali, on i Layla, i niewykłuczone, że właśnie wtedy tamci ich namierzali. Poza tym silnik ciężarówki warczał tak głośno, że nie usłyszeliby nic nawet wówczas, gdyby maszyna przeleciała im tuż nad głową.

Nie. Najlepszą wskazówką musiała być pospiesznie porzucona ciężarówka. Tamci znaleźli ją i zyskali niezbity dowód, że on i Libanka są gdzieś w pobliżu. Mogli teraz albo zawrócić, albo iść dalej, do Santiago de Compostela, innego wyjścia nie było. Nie miał wątpliwości, że zabójcy czekają na nich i tu, i tam, i w mieście, i poza miastem.

Chciał sprawdzić, czy Layla wciąż za nim idzie, czy jest bezpieczna, ale nie mógł ryzykować.

Wtem serce podjechało mu do gardła. Szybko odwrócił wzrok. Za późno. Czuł, po prostu wiedział, że blondyn go rozpoznał.

Wypatrzył mnie, zobaczył, namierzył.

Uciec? Równie dobrze mógłby pomachać mu przed nosem czerwoną flagą. Spokojnie, tylko spokojnie. Dzieliła ich spora odległość i przed podjęciem jakichkolwiek działań

blondyn musiał się ostatecznie upewnić, czy to on. Od spotkania w Chartumie upłynęło wiele lat, poza tym Nick miał na głowie kaptur i tamten nie widział dokładnie jego twarzy. Nie, nie strzeli. Zaczeka.

Czas zwolnił bieg. Bryson intensywnie myślał. Serce waliło mu jak młotem, w żyłach krążyła sama adrenalina, mimo to nie przyspieszył kroku. Po prostu musiał wtopić się w tłum.

Kątem oka dostrzegł, że blondyn sięga do kabury. Tłum pielgrzymów zgęstniał do tego stopnia, że Bryson płynął w nim jak w rzece, z tym że nurt tej rzeki był nieznośnie leniwy. Skąd wiedział, że to ja? Przecież w tym kapturze...

Zrobiło mu się niedobrze. Kaptur. Wszystko przez ten cholerny kaptur. Paliło słońce. Fakt, niektórzy mieli na głowach czapki, ale kaptur przed gorącem nie chronił, wprost przeciwnie. Nie tylko on był w habicie, lecz żaden z pozostałych mnichów, tych prawdziwych i tych przebranych, nie założył kaptura. Po prostu rzucał się w oczy!

Lekko odwróciwszy głowę, dostrzegł nagły ruch, jaskrawy refleks słońca. Już. Zabójca wyjął broń.

W tej samej chwili Nick osunął się na ziemię, udając, że zasłabł, że zemdłał z gorąca. Powstało zamieszanie. Ktoś zaklął, młoda, zatroskana kobieta głośno krzyknęła.

Ułamek sekundy później rozległo się charakterystyczne cmoknięcie tłumika. W tłumie buchnął krzyk, przeraźliwy wrzask. Trysnęła krew i młoda kobieta stojąca krok od niego runęła na ziemię z odstrzelonym czerepem. Wyjąc z przerażenia, ogarnięty paniką tłum rzucił się do ucieczki.

Brysona zasypał grad kamyków wyrwanych z ziemi przez pociski. Tamten wciąż strzelał. Zlokalizowawszy cel, prowadził ogień, nie zważając na przypadkowe ofiary.

Tumult, piekło, pandemonium. Nick z trudem ukląkł, lecz nim zdążył zdjąć kaptur, oszalały z przerażenia tłum ponownie przygniótł go do ziemi. Zewsząd dobiegały jęki rannych i konających, wrzask pędzących na oślep pielgrzymów. Cudem uniknąwszy stratowania, wreszcie wstał i wraz z ogarniętymi szaleństwem ludźmi popędził przed siebie.

Miał broń, lecz w tych warunkach obrona byłaby samobójstwem. Tamtych musiało być dużo więcej i gdyby tylko pociągnął za spust, zdradziłby swoją pozycję. Dlatego pochylił się i z nisko spuszczonej głową wraz z innymi parł naprzód.

Kilka kuł zrykoszetowało od znaku drogowego trzy metry dalej - najwidoczniej zdezorientowany tumultem zabójca stracił go z oczu. Pięć, sześć metrów w prawo buchnął rozdzierający krzyk i na ziemię runął trafiony w plecy rowerzysta. Tak jest, blondyn strzelał teraz na oślep, gdzie popadnie, wzbudzając wśród pielgrzymów jeszcze większy popłoch. Dobrze. Biegający ludzie rozglądali się na wszystkie strony, próbując ustalić, skąd padają strzały. Rozejrzał się i Bryson. Zerknął za siebie i w chwili, gdy odszukał wzrokiem blondyna, ten nagle stracił równowagę, jakby silnie go pchnięto. Zachwiał się, zatoczył, zgiął się wpół i spadł z ławki. Ktoś do niego strzelił! I trafił! Ale kto? Czerwona chustka. Mignęła mu przed oczami i zniknęła w tłumie.

Layla.

Nick odwrócił się z ulgą i niczym kawał drewna we wzburzonym strumieniu dał się ponieść fali. Nie mógł zawrócić, nawet gdyby chciał, nie śmiał też dać jej jakiegokolwiek znaku. Dobrze wiedział, jak ci z Dyrektoriatu organizują zamachy, szczególnie te, na których najbardziej im zależy. Wiedział, że nie oszczędzają, że siły roboczej mają w bród. Blondyn był jak karaluch: jeśli ze szpary wylazł jeden, wkrótce wylezie z niej sto innych. Tylko gdzie ich szukać? Wyglądało na to - przynajmniej pozornie - że zabójca z Chartumu działał w pojedynkę, co oznaczało, że pozostali robią za wsparcie. Sęk w tym, że nigdzie ich nie widział. Nie, bzdura. Za dobrze tych ludzi znał: oprócz blondyna na pewno przysłali tu co najmniej kilku innych.

Tłum już dawno wymknął się spod kontroli i kipiąca, rozedrgana ludzka masa parła naprzód niczym rozjuszone stado. Jedni biegli przed siebie, inni w przeciwną stronę, jeszcze inni próbowali skrócić w lewo lub prawo. To, co jeszcze przed chwilą mogło służyć za doskonały kamuflaż, było teraz śmiertelnie niebezpieczną pułapką. Doszedł do wniosku, że

muszą się stąd wyrwać, zniknąć w mieście i dotrzeć do lotniska w Labacolla, jedenaście kilometrów na wschód od Santiago.

Uniknąwszy zderzenia z rozpedzonym rowerzystą, który omal na niego nie wpadł, przytrzymał się słupa latarni i wyciągnął szyję. Omiatał wzrokiem spanikowany tłum, zaglądał ludziom w twarze, lecz przede wszystkim wypatrywał czerwonej chustki i tego, co rzuciłoby mu się w oczy: błysku stali, policyjnych mundurów, zaciekłego oblicza wynajętego mordercy. Zdawał sobie sprawę, że wygląda dziwnie, że wielu mu się przypatruje. Szczególnie jeden, pielgrzym z Biblią w fałdach brązowego habitu. Stał po drugiej stronie ulicy i Bryson pochwycił jego wzrok w chwili, gdy ten sięgnął ręką, by wyjąć zza pazuchy... To nie była Biblia.

To był pistolet.

Zanim mózg zdążył przetworzyć tę informację, Nick skoczył w prawo, wpadając na kolejnego rowerzystę. Rowerzysta stracił równowagę, zaklął, już miał upaść, gdy wtem...

Cmok! Fontanna krwi zalała Brysonowi twarz. Rowerzysta nie miał skroni: w jej miejscu ziała wielka dziura wypełniona czerwoną masą. Zewsząd buchnął krzyk. Czatuający piętnaście metrów dalej mnich wciąż do niego mierzył, wciąż strzelał.

Szaleństwo! Oblęd!

Nie zważając na tratujących go ludzi, Nick przetoczył się w prawo i wyszarpnął z kabury berette.

- *Unha pistola! Ten unha pistola!* - Ona ma broń! - wrzasnął jakiś mężczyzna. Kilka pocisków uderzyło z brzękiem w słup latarni, kilka innych rozorało asfalt parę kroków dalej. Bryson wstał, wstrzymał oddech, wycelował i pociągnął za spust. Pierwsza kula trafiła mnicha w pierś i wytrąciła mu pistolet z ręki. Druga utkwiła w sercu. Nie opuszczając broni, Nick kątem oka dostrzegł coś, co kazało mu odwrócić głowę. Zdażył w samą porę: z odległości sześciu metrów mierzył do niego inny pielgrzym. Bryson błyskawicznie się cofnął, próbując zejść z linii strzału, gdy wtem poczuł w lewym ramieniu ostry ból promieniujący na całą pierś. Potknął się, nogi ugięły mu się w kolanach, upadł na chodnik. Ból był nie do wytrzymania. Sparaliżowało mu całą rękę, koszula nasiąkła krwią, Ktoś chwycił go za zdrowe ramię. Nick widział jak przez mgłę i zdezorientowany, myśląc, że to tamten, odruchowo wziął zamach.

- To ja! Chodź! Tędy! Layla.

Pomogła mu wstać, podtrzymała go za łokieć.

- Nic ci nie jest! - krzyknął z ulgą i zupełnie bez sensu, bo przecież to on był ranny, nie ona.

- Chodź! Szybciej! - Pociągnęła go na bok, osłaniając się przed pędzącymi na oślep pielgrzymami.

Panika sięgnęła zenitu. Bryson zacisnął zęby i mimo koszmarnego bólu parł za nią. Raptem dostrzegł kolejnego mnicha, który obserwował ich niespokojnie, ściskając coś w ręku. Momentalnie otrzeźwiawszy, wymierzył do niego z beretty, lecz w tej samej chwili mnich podniósł do ust Biblię i ucałował ją, modląc się na głos pośród zgielku i krzyku. Wbiegli do rozległego parku, pełnego starannie utrzymanych klombów i eukaliptusów.

- Musisz gdzieś odpocząć.

- Nie, to powierzchowna rana...

- Krwawisz!

- To tylko draśnięcie. Pękło kilka żyłek, i tyle. Nie możemy tu zostać, musimy iść dalej.

- Ale dokąd?

- Spójrz. Tam, widzisz? Po drugiej stronie ulicy. Katedra i plac. Prażą do Obradoiro, pełno tam ludzi. Musimy wmieszać się w tłum i zniknąć. Nie możemy rzucać się w oczy, otwarta przestrzeń nas zabije. - Wyczuł, że Libanka się waha, więc dodał: - Raną zajmujemy się później, teraz to nieważne.

- Za bardzo krwawisz. Pokaż.

Beznamiętnie, z niemal bezduszną obojętnością rozpięła mu koszulę, delikatnie odchyliła przesiąknięty krwią materiał i ostrożnie ucisnęła brzegi rany. Przeszył go upiorny ból.

- Dobrze - oznajmiła - opatrzymy to później, ale trzeba zatamować krwotok. - Zerwała z głowy chustkę, owinęła mu ramię, a końce chustki związała, tak że powstało coś na kształt temblaka. - Możesz poruszyć ręką?

Mógł, choć z wielkim trudem.

- Boli? Nie udawaj bohatera.

- Nie udaję. Nigdy nie lekceważę bólu. To jeden z najcenniejszych sygnałów, jakie wysyła nam ciało. Tak, boli jak jasna cholera, ale bywało gorzej. Wytrzymam.

- Wierzę. Dobra. Ta katedra...

- Największa katedra w Santiago. Tam, na Prażą do Obradoiro, zwanym czasami Prażą de Espania, kończą się wszystkie pielgrzymki. Jest zawsze zatłoczony, to dobre miejsce. Zgubimy ich i znajdziemy jakiś pojazd. Znikajmy stąd.

Ruszyli wysadzaną eukaliptusami aleją. Wtem tuż obok śmignęło dwóch rowerzystów. Wystraszony Bryson drgnął. Rowerzyści nawet nie zwolnili, pojechali dalej. Dwóch zupełnie niewinnych pielgrzymów zmierzających do centrum miasta - zdenerwowany Nick potarł czoło. Uptyw krwi musiał go oszołomić, otumanić, przytępić mu zmysły. Cóż za diabelska przebiegłość. Nasłani przez Dyrektoriat mordercy byli przebrani za pielgrzymów. Mogli czaić się dosłownie wszędzie, mógł ich zabić dosłownie każdy przechodzień. Dobry specjalista zawsze odróżni minę od kawałka złomu. Na polu walki,

ale nie tutaj. Tutaj złomu nie było, tu były same miny. Zabójców mógł rozpoznać jedynie po...

Twarzach.

Niektórych agentów znał - co prawda nie wszystkich, jedynie tych do zadań specjalnych - ponieważ swego czasu musiał się z nimi kontaktować. Wysłano ich, gdyż łatwiej mogli wypatrzeć go w tłumie. Jednakże każdy miecz ma dwa ostrza: oni mogli rozpoznać jego, a on ich. Wiedział, że jeśli zachowa czujność, spostrzeże ich, zanim oni spostrzegą jego. Dawało mu to niewielką przewagę, wręcz symboliczną, lecz nie dysponując żadną inną, musiał ją maksymalnie wykorzystać.

Gwałtownie przystanął.

- Zaczekaj. Zauważono nas, mnie i ciebie. Ciebie mogą nie znać, ale mnie znają. Poza tym mam krew na twarzy i rękę na temblaku. Nie, aż tak im się nie wystawimy.

Kiwnęła głową.

- Pójdę po ubrania. Czytała w jego myślach.

- Zaczekam tutaj. Wróć, poprawka. - Wskazał starą, porośniętą mchem katedrę, którą otaczały egzotyczne ogrody. - Zaczekam tam.

- Dobrze.

Ona odeszła spieszenie w stronę głównego placu, on w stronę katedry.

Czekał w mrocznej, chłodnej, opustoszałej katedrze. Kilka razy otworzyły się ciężkie, drewniane drzwi, lecz za każdym razem stawał w nich pielgrzym albo turysta, a przynajmniej ludzie, którzy na takich wyglądali. Kobiety z dziećmi, młode pary... Obserwował wszystkich z głębokiej niszy na prawo od narteksu, jednak nic ani nikt nie wzbudził w nim nadmiernych podejrzeń. Dwadzieścia minut później drzwi otworzyły się ponownie i do katedry weszła Layla z owiniętym w papier tobołkiem pod pachą.

Przebrali się oddzielnie, w toalecie. Miała dobre oko, ubranie pasowało jak ulał. Ona w prostej sukience, bluzce i w dużym, ozdobnym kapeluszu na głowie, on w białym, lekkim bezrękawniku z dzianiny i baseballówce - wyglądali jak średniozamożni turyści. Zdobyła nawet dwa szerokie bandaże i jodynę do tymczasowego zdezynfekowania rany. I kamerę. Tanią wideokamerę bez kasety dla niego oraz jeszcze tańszy aparat fotograficzny dla siebie.

Dziesięć minut później wyszli z katedry, nałożyli ciemne okulary i trzymając się za ręce, jak młodzi małżonkowie na miesiącu miodowym, ruszyli w stronę Prażą do Obradoiro. Na placu kłębiły się tysiące pielgrzymów, turystów, studentów i ulicznych sprzedawców z pocztówkami i pamiątkami. Bryson przystanął, udając, że chce sfilmować barokowy fronton katedry, którego centrum zdobiła Portico de la Gloria, zdumiewająca romańska rzeźba z dwunastego wieku, przedstawiająca zwartą grupę aniołów, diabłów, potworów i proroków. Przytknął oko do celownika, nakierował obiektyw na rzeźbę, a potem przesunął go w prawo, żeby - niczym filmowiec amator - spanoramować cały plac i tłoczących się na nim ludzi.

Po chwili opuścił kamerę, spojrzął na Laylę i uśmiechnął się do niej jak dumny turysta. Dotknęła jego ramienia i żeby rozwiać podejrzenia ewentualnych obserwatorów, odegrali czułą scenkę z cyklu „młodzi w podróży poślubnej”. On był przebrany symbolicznie, ale przynajmniej miał na głowie czapkę z daszkiem osłaniającym twarz. Czapka musiała wystarczyć, zdezorientować tamtych, wzbudzić w nich choć odrobinę niepewności.

Nagle wyczuł jakiś ruch, jednoczesną, dobrze zsynchronizowaną zmianę w kilku oddalonych od siebie punktach placu. Tło nieustannie drgało, falowało, tymczasem ten ruch był doskonale skoordynowany i symetryczny. Amator na pewno by go nie wychwycił, lecz on miał piętnastoletnie doświadczenie.

- Layla - rzekł spokojnie. - Roześmiej się.

- Mam się...

- Tak. Właśnie opowiedziałem ci fantastyczny kawał.

Libanka wybuchnęła śmiechem. Odrzuciła do tyłu głowę i śmiała się tak przekonująco, że chociaż sam ją o to poprosił, poczuł się trochę nieswojo. Była znakomitą aktorką.

Natychmiast weszła w rolę zachwyconej, po uszy zakochanej dziewczyny, która uważa, że jej mąż jest najdowcipniejszym człowiekiem na świecie. Bryson uśmiechnął się skromnie, przyjmując należny mu hołd, spojrzął przez wizjer kamery i ponownie spano-ramował plac. Tym razem szukał czegoś konkretnego.

- Widzisz coś? - spytała spiętym głosem wciąż uśmiechnięta Layla. Znalazł. Jest.

Triada. Klasyczna formacja trójkowa. W trzech punktach stały nieruchomo trzy osoby z lornetkami skierowanymi w ich stronę. Każda z osobna nie warta była uwagi i mogła uchodzić za podziwiającego widoki turystę. Ale razem tworzyły złowieszczy symbol. Po jednej stronie placu czuwała młoda kobieta o zaczesanych do góry, jasnych jak len włosach; miała na sobie blezer, stanowczo za ciepły na tak słoneczny dzień, choć skutecznie mogła ukryć pod nim broń. Po stronie przeciwnej, niczym drugi wierzchołek trójkąta równoramiennego, stał krępy brodac z mięsistej twarzy; patrzył przez wielką, silną lornetkę, zupełnie nie pasującą do czarnej sutanny, w którą był ubrany. Na trzecim wierzchołku trójkąta czatował śniady, muskularny mężczyzna w wieku czterdziestu kilku lat i to właśnie on pobudził pamięć Brysona.

Duże zbliżenie, smagła twarz w wizjerze.

Poczuł, że ścina mu się krew w żyłach.

Znał go. Współpracował z nim podczas kilku ważnych misji. Nie kto inny jak on zwerbował go do Dyrektoriatu. Wieśniak imieniem Paolo z niewielkiej osady pod Cividale, zawsze w duecie ze swoim bratem Niccolem. Byli legendarnymi tropicielami i myśliwymi. Dorastali w dzikim, trudno dostępnym rejonie północno-wschodnich Włoch i polowali tam na zwierzynę. Z czasem zaczęli polować na ludzi, zostali wielce utalentowanymi zabójcami, wziętymi najemnikami, łowcami nagród i mordercami. Bryson kilkakrotnie ich wynajmował, między innymi do niebezpiecznej infiltracji rosyjskiej spółki o nazwie Yector, która, wedle pogłosek, zajmowała się produkcją broni bakteriologicznej. Tam gdzie był Paolo, na pewno był i Niccolo. Oznaczało to, że jest ich co najmniej czterech: trzech w klasycznej formacji trójkowej, jeden gdzieś z boku.

Serce omal nie wyskoczyło mu z piersi, zjeżyły mu się włosy na karku.

Ale jak? Jakim cudem tak łatwo ich namierzyli? Prześlizgnął się z Laylą przez wszystkie filtry, przebrał się, zmienił wygląd. Jakim sposobem tak szybko wypatrzyli go w tym wielkim, gęstym tłumie?

Ubranie? Może było za nowe, za czyste, zbyt jaskrawe? Przecież specjalnie „postarzyli” buty, ocierając je o chodnik przed katedrą, specjalnie się ubrudzili.

Więc jak? Jak tamci ich znaleźli?

Odpowiedź przyszła powoli. Najpierw była jedynie przypuszczeniem, mglistym podejrzeniem, lecz już po chwili zmieniła się w straszliwą pewność. Na lewym ramieniu poczuł dziwne ciepło. Spod przesiąkniętego bandaża sączyła się krew. Nie musiał nawet tego sprawdzać, nie musiał patrzeć na rękę ani jej dotykać. Rana wciąż obficie krwawiła i na lekkiej, białej koszuli wykwitła wielka, szkarłatna plama. Była niczym znak, stygmat, niczym czerwona flaga zdradzająca ich pozycję.

Na nic przebranie, na nic środki bezpieczeństwa. Zabójcy zlokalizowali ich i namierzyli. Wiedział, że lada moment przystąpią do ataku.

Waszyngton

Senator James Cassidy ciężko wstał, podszedł do wypolerowanej, drewnianej balustrady, oparł się o nią grubymi, porytymi palcami dłońmi i czując na sobie wzrok kolegów - tych znudzonych i tych wyraźnie zaniepokojonych - głośno odchrząknął.

- W izbach Kongresu - zaczął dźwięcznym barytonem - na posiedzeniach wszelkiego rodzaju komisji i podkomisji, mówimy dużo o topniejących zasobach naturalnych i zagrożonych gatunkach zwierząt. Debatujemy, rozważamy, jak uchronić je przed zagładą w epoce, w której wszystko jest na sprzedaż, w której wszystko ma swoją metkę lub kod cenowy. Ale dzisiaj chciałbym pomówić o innym podstawowym surowcu, niezbędnym do

dalszego rozwoju cywilizacji, a błyskawicznie znikającym z powierzchni ziemi: o poczuciu prywatności. Przeczytałem w gazecie wywiad z ekspertem od Internetu. „Prywatność? - prychnął. Dajcie sobie spokój, już dawno jej nie ma”. Ci z was, którzy mnie znają, dobrze wiedzą, że ja spokoju sobie nie dam. Rozejrzyjcie się tylko. Co widzicie? Wszędzie kamery, skanery i gigantyczne bazy danych, których zawartości nie sposób ogarnąć myślą. Specjaliści od marketingu śledzą nasz każdy krok. Wiedzą, do kogo telefonujemy przy śniadaniu. Domowy system alarmowy mówi im, kiedy wychodzimy do pracy. Kamery zainstalowane przy wjeździe na autostradę i rachunki za lunch mówią im, dokąd jedziemy, kiedy i gdzie jadamy. Internet? Administratorzy sieci momentalnie rejestrują każdy nasz zakup, każdą transakcję. Prywatne spółki handlowe kilkakrotnie zwracały się do FBI z prośbą o sprzedaż bazy danych, zgromadzonych przez nich informacji, jakby informacja była jedynie kolejnym majątkiem rządowym przeznaczonym do sprywatyzowania. Przyjaciele, jesteśmy świadkami czegoś bardzo niepokojącego: narodzin nagiej republiki. Społeczeństwa pod ścisłym nadzorem.

Rozejrzał się i zdał sobie sprawę, że stała się rzecz wprost niezwykła: koledzy naprawdę go słuchali. Niektórzy jak zahipnotyzowani, inni ze sceptycyzmem, lecz nie ulegało wątpliwości, że przykuł uwagę i jednych, i drugich.

- Dlatego pozwólcie, że o coś was spytam: czy chcecie mieszkać w takim kraju? Nie łudzę się. Nie żywię nadziei, że nasza anonimowość i prywatność mają choćby cień szansy z siłami, które się wobec nich sprzysięgły: z krajowymi i międzynarodowymi agencjami policyjnymi, z armią speców od marketingu, z korporacjami, z potężnymi firmami ubezpieczeniowymi, z nowo powstałymi zakładami stałej opieki zdrowotnej, z milionem długich macek każdego akcyjnego czy rządowego koncernu. Z ludźmi, którzy chcą zaprowadzić w kraju wzorowy ład i porządek, którzy chcą wycisnąć z nas każdego centa. Z siłami prawa i handlu. Tak jest, drodzy przyjaciele. Siły prawa i handlu: cóż za straszliwy sojusz! Po jednej stronie oni, po drugiej my i nasza prywatność. Doszło do rozstrzygającej bitwy. Do walnej bitwy, w której jedna ze stron zdecydowanie przeważa. Dlatego szanowni koledzy pozwolą, że zadam im drugie i ostatnie już dzisiaj pytanie: Po czyjej jesteście stronie?

## Rozdział 9

**N**ie patrz - rzucił cicho Bryson, spoglądając przez wizjer kamery. - Nie odwracaj głowy. Triada. Trójkąt. Z tego, co widzę, to klasyczna formacja trójkowa.

- Odległość? - Szeroko uśmiechnięta, głos miała cichy i spięty, co dawało dość dziwny efekt.

- Dwadzieścia jeden, dwadzieścia cztery metry. Trójkąt równoramienny. Na twojej trzeciej stoi blondynka w blezerze i w dużych, okrągłych okularach przeciwsłonecznych. Na szóstej masz wysokiego brodacza w czarnej sutannie. Na dziewiątej szczupłego mężczyznę. Trzydzieści par? lat, śniada twarz, ciemna koszula z krótkimi rękawami, ciemne spodnie, Wszyscy mają lornetki, broń na pewno też.

- Rozumiem.

- Jeden z nich jest dowódcą, czekają na jego sygnał. Za chwilę wskażę coś ręką i dam ci kamerę, żebyś to obejrzała. Namierz ich.

Wyciągnął rękę, otworzył dłoń, niczym zagorzały fotoamator wskazał fasadę katedry, po czym podał jej kamerę.

- Jonas - szepnęła zdenerwowana; pierwszy raz zwróciła się do niego po imieniu, choć nie było to imię prawdziwe. - Boże, krew! Twoja koszula!

- Wiem - odrzekł krótko. - Nic mi nie jest. Niestety, oni też to zauważyli.  
Momentalnie się uśmiechnęła i zachichotała, grając pod tamtych. Spojrzała w wizjer i powoli omiotła kamerą plac.

- Mam blondynkę - powiedziała. - I tego z brodą... Tego młodego w ciemnej koszuli też.

- Dobra. Podejrzewam, że mimo wszystko chcą uniknąć jatki. Nie mają a oporów. Przypadkowe ofiary im nie przeszkadzają, ale wołanie strzelać bez potrzeby, choćby ze względu na skutki polityczne. W przeciwnym razie już dawno by mnie skasowali.

- A może nie są pewni, czy to ty?

- Jeszcze kilka minut temu mogli mieć wątpliwości, ale teraz już nie mają- odrzekł przyciszonym głosem. - Zajęli pozycję.

- Nie rozumiem. Kto to jest? Coś o nich wiesz. I chyba ich znasz.

- Tak. Znam ich metody, wiem, jak pracują.

- Skąd?

- Przeczytałem ich podręcznik operacyjny - odparł tajemniczo, nie chcąc wchodzić w szczegóły.

- Skoro ich znasz, wiesz, jak daleko mogą się posunąć. Skutki polityczne? To agenci rządowi? Amerykanie? Rosjanie?

- Raczej bezpieczeństwa, to najlepsze określenie. Ani Rosjanie, ani Amerykanie, ani Francuzi, ani Hiszpanie. To członkowie głęboko zakonspirowanej organizacji. Działają w ukryciu, w podziemiu, tam, gdzie nie istnieją żadne granice. Współpracują z rządem, lecz dla niego nie pracują. Wygląda na to, że czekają, aż zrobi się wokół mnie trochę luźniej. Biorąc pod uwagę odległość, zachowują standardowy margines bezpieczeństwa. Ale jeśli zrobię gwałtowniejszy ruch, jakbym chciał uciec, natychmiast zaczną strzelać i niech szlag trafi przypadkowe ofiary.

Otaczał ich tak gęsty tłum, że z trudem mogli się poruszyć.

- Zdejmiesz blondynkę. Ostrożnie wyjmuj broń, śledzą każdy twój ruch. Nie wiedzą, kim jesteś, ale widzą, że jesteś ze mną, i to im wystarczy.

- Jak to wystarczy?

- Po prostu. Biorą cię za moją pomocnicę, jeśli nie za współpracownicę.

- Świetnie -jęknęła ze sztucznym uśmiechem.

- Przykro mi. Nie prosiłem, żebyś...

- Wiem, wiem, to była moja decyzja.

- Dopóki stoimy w zwartym tłumie, możesz poruszać rękami, ale tylko od pasa w dół. Musimy założyć, że tego nie zobaczą. Kiwnęła głową.

- Powiedz mi, kiedy wyjmiesz broń. Dyskretnie sięgnęła do dużej, grubo tkanej torby.

- Już.

- Dobra. Chwyć aparat lewą ręką i zrób mi zdjęcie na tle katedry. Trzymaj aparat poziomo, żebyś mogła widzieć tę kobietę. Zrób to bardzo powoli, niezdarnie: jesteś amatorką, nie profesjonalistką.

Podniosła aparat do twarzy i zmrużyła prawe oko.

- Będę się z tobą droczył, udawał, że chcę nakręcić, jak robisz mi zdjęcie. Kiedy podniosę kamerę, wpadnij w złość: psuję ci kadr. Szybko opuść aparat, co powinno ich trochę dezorientować, wyceluj i zdejmij blondynkę.

- Z tej odległości? - spytała z niedowierzaniem.

- Widziałem cię w akcji. Wiem, że nie pudłujesz, i mam do ciebie zaufanie. Ale drugi raz nie próbuj, natychmiast padnij na ziemię, jasne?

- A ty?

- Ja spróbuję zdjąć brodacza.

- Ale ich jest trzech...

- Wszystkich trzech nie pokryjemy, bo niby jak? Dlatego nie znoszą tych cholernych trójkątów.

Z pistoletem na wysokości pasa przytknęła do oczu aparat.

Uśmiechnął się złośliwie, podniósł kamerę, jednocześnie prawie niezauważalnym ruchem



sięgnął za plecy i wyjął zza pasa berettę. Trzęsły mu się ręce, z trudem oddychał. Spojrzał w wizjer.

W tej samej chwili brodac, który stał piętnaście, dwadzieścia cztery metry dalej, szybko opuścił lornetkę. Co to oznaczało? Że skonsternowani tym nieoczekiwanym przedstawieniem postanowili wstrzymać ogień? Że chcieli oszczędzić tłoczących się obok ludzi? Jeśli tak, podarowali im trochę czasu.

Jeśli zaś nie...

Nagle brodac potrząsnął ręką, jakby ścierpły mu palce. Niewinny, demonstracyjny gest dla jednych, ważny znak dla innych. Znak, choć oczekiwany, to o kilka sekund przedwczesny!

Nie! Nie zdążymy!

Teraz!

Błyskawicznie opuścił kamerę i oddał trzy strzały tuż nad ramieniem Layli.

W tym samym momencie Libanka zrobiła lekki zwrot w prawo, podniosła swoją czterdziestkę piątkę i wypaliła ponad głowami ludzi.

Przeraźliwy huk padających jeden po drugim strzałów, czyjś rozdzierający krzyk, czyjś wrzask. Rzucając się na ziemię, Bryson zdążył jeszcze zerknąć na brodacza. Męczyzna chwiał się i zataczał. Punkt dla nich.

Layla upadła na Nicka, podcinając stojących najbliżej ludzi, zbijając z nóg jakąś kobietę. Zbłąkana kula ugodziła kogoś ze stojących w pobliżu turystów, niegroźnie go raniąc.

- Dostała! - wykrztusiła Layla, przetaczając się na bok. - Blondynka. Widziałam, jak upadła.

Strzały raptownie umilkły, lecz wrzawa, zgiełk i panika z każdą sekundą przybierały na sile.

Wyeliminowali dwóch niedoszłych zabójców - niewykluczone, że nie tylko z gry, ale i na zawsze - lecz co najmniej jeden na pewno przeżył: Paolo, łowca z Cividale. Możliwe, że towarzyszyli mu inni, a już na pewno jego brat Niccolo.

Potrącały i tratowały ich dziesiątki nóg. Kiedy popłoch sięgnął zenitu i na placu zapanował chaos, zdołali wstać i zniknąć w oszalałym ze strachu tłumie.

Pędząc, omijając po drodze spanikowanych ludzi, wypatrzył odchodzącą od placu uliczkę, wąską alejkę, którą z trudem przecisnąłby się samochód. Natychmiast w nią skręcił, chcąc jak najszybciej zgubić i Włochów, i pozostałych, kimkolwiek byli. Wiedział, że w uliczkach takich jak ta stoją zwykle małe, stare domy, że pełno tam podwórek, zakamarków i przejść. Labiryntów, w których łatwo się zgubić.

Zdrętwiało mu ramię, z rany, która zaczynała się już goić, ponownie płynęła krew. Ból był nie do wytrzymania, mimo to zmusił się do jeszcze szybszego biegu. Layla bez trudu go dopędziła i biegła tuż obok. Opustoszały zaułek rozbrzmiewał echem ich kroków. Pędząc przed siebie, nieustannie się rozglądał, wypatrując podwórka, sklepu, jakiegokolwiek miejsca, gdzie mogliby się ukryć. Między dwoma wiekowymi, kamiennymi domami stał stary kościółek; tablica na jego drewnianych drzwiach informowała, że jest zamknięty z powodu remontu. W Santiago de Compostela, jak w każdym mieście katedr i kościołów, mniejsze świątynie, a zwłaszcza te, które nie przyciągały turystów, były biedne i zaniedbane.

Bryson gwałtownie przystanął i szarpnął wielką, żelazną klamką.

- Co ty robisz? - wysapała Layla. - Chryste, co za hałas! Zostaw to, biegnijmy dalej! - Miała zaczerwienioną twarz, oddychała szybko i głośno.

W głębi uliczki zadudniły czyjeś kroki.

Nick nie odpowiedział. Szarpnął klamką jeszcze raz, jeszcze silniej niż poprzednio. Kłódka była mała i przerdzewiała, tak samo jak łańcuch - rozległ się suchy trzask i skorodowany metal niechętnie ustąpił. Ludzie rzadko kiedy włamują się do kościołów, dlatego zamknięcie było symboliczne.

W mieście, w którym niepodzielnie królowała wiara, z powodzeniem wystarczyło.

Nick wszedł do ciemnego portalu. Sfrustrowana Layla mruknęła coś pod nosem i

zamknęła za sobą drzwi. W środku było chłodno i wilgotno, pachniało pleśnią. Mroczny narteks rozświetlały jedynie rozmyte promienie słońca wpadające przez małe, brudne okienka pod sufitem. Bryson rozejrzył się wokoło i oparł plecami o zimną, kamienną ścianę. Serce waliło mu z wysiłku, osłabł z bólu i z upływu krwi. Layla ruszyła główną nawą, szukając lepszej kryjówki lub drugiego wyjścia.

Normalny oddech wrócił dopiero po kilku minutach. Nick podszedł do drzwi. Wiedział, że zerwany łańcuch zwróci uwagę każdego, kto zna miasto, że trzeba go albo naprawić, albo zdjąć. Położył rękę na klamce i wyteżył słuch.

Odległy tupot nóg, odgłos szybkich kroków i czyjś okrzyk w osobliwym języku, ani w galicyjskim, ani kastylijskim. Bryson zamarł, patrząc na podłogę, na smużki światła sączącego się wąskimi szczelinami u spodu drzwi. Ukląkł i przytknął do nich ucho.

Język był dziwnie znajomy.

- *Niccoló, o crodevi di velu viodut! Ju par che strade ca. Cumo o controli, tu continue a cjald la „plaza”!*

Rozpoznał go, zrozumiał słowa. „Niccoló, chyba go widziałem! Tam, na końcu ulicy. Sprawdź. Ty uważaj na plac!”.

Był to mało znany, prawie martwy już język furlijski, którego nie słyszał od lat. Niektórzy twierdzili, że jest to pradawny włoski dialekt, inni, że odrębny język. Posługiwała się nim tylko nieliczna, zmniejszająca się z roku na rok grupa wieśniaków mieszkających w północno-wschodnim zakątku Włoch, tuż przy granicy ze Słowenią.

Bryson, któremu znajomość języków obcych wielokrotnie uratowała życie - tak samo jak umiejętność posługiwania się bronią palną - nauczył się furlijskiego przed dziesięciu laty, kiedy to wynajął dwóch młodych mieszkańców Cividale, znakomitych myśliwych i zabójców: braci Paola i Niccola Sangiovannich. Chciał poznać ten zapomniany język głównie po to, żeby trzymać rękę na pulsie i rozumieć, o czym mówią, nie zdradzając się, że rozumie.

Tak. To był Paolo, który uszedłszy z życiem z Prażą do Obradoiro, krzyczał teraz do brata. Obydwaj byli doskonałymi łowcami i nigdy go nie zawiedli. Niełatwo by było im uciec, lecz Nick bynajmniej nie zamierzał uciekać.

Podeszła do niego Layla. Podniósł głowę.

- Znajdź jakiś sznur albo kabel – szepnął

- Sznur?

- Szybko! Poszukaj w prezbiterium, w jakiejś szafie, gdziekolwiek, byle szybko!

Pobiegła nawą w stronę ołtarza.

Bryson szybko wstał, leciutko uchylił drzwi i wypowiedział kilka słów po furlijsku. Ponieważ miał doskonale ucho do języków, wiedział, że mówi jak krajowiec. Co więcej, lekko ścisnął gardło, tak że jego głos przybrał barwę głosu Paola. Miał talent, był w tym naprawdę znakomity i potrafił umiejętnie to wykorzystać. Paolo biegł kilkanaście metrów dalej, mury domów w wąskiej uliczce rozbrzmiewały stłumionym echem. Bryson czuł, że mu się uda.

- *Ou! Paulo, pessee! Lu ai, al eju!* Paulo, chodź tu, szybko! Trafiłem go, leży!

Odpowiedź padła natychmiast:

- *La setu?* - Gdzie jesteś?

- *Ca! Li da vecje glesie. Cu le sieradure rote!* W tym starym kościele! Na drzwiach wisi rozbita kłódka!

Bryson wstał, odwrócił się, przełożył berettę do lewej ręki i przywarł plecami do framugi.

Odgłos szybkich kroków i głos Paola:

- Niccolo?

- *Ca!* - krzyknął Nick, zasłaniając usta przedramieniem. - *Moviti!*

Krótkie wahanie, drzwi otworzyły się na oścież i w smudze jaskrawego światła stanął szczupły, krzepki, dobrze zbudowany mężczyzna o krótkich, kruczoczarnych, kędzierzawych włosach i smagłej twarzy. Drapieźnie zmrużył oczy, rozejrzył się i z bronią w rękę ostrożnie wszedł do środka.

Wystarczył jeden szybki skok. Nick staranował go, przygniótł do ściany, zakrzywionymi palcami prawej dłoni chwycił za grdykę i mocno ją przekręcił. Jednocześnie lewą ręką wziął zamach, starannie wymierzył i rękojeścią beretty grzmotnął Włocha w tył głowy.

Zaskoczony Paolo przeraźliwie krzyknął i osunął się bez czucia na posadzkę. Żył, chrapliwie oddychał i Bryson wiedział, że za kilka minut odzyska przytomność. Odebrał mu pistolet i dokładnie go obszukał. Osobiście ich szkolił i dawał głowę, że Paolo ma ukrytą broń. Gdzie? W małej kaburze na lewej łydce, pod mankietem luźnych spodni. No i nóż. Duży, zębaty nóż do patroszenia ryb w pochwie na pasku.

Oszołomiona Layla dopiero teraz wszystko rozumiała. Znalazła cały zwój kabla. Był trochę za sztywny, za to wytrzymały, zresztą nie mieli wyboru. Szybko związali Włochowi ręce i nogi w taki sposób, że gdyby zaczął się rzucać i szarpać, więzy zacisnęłyby się jeszcze mocniej.

Pomysł Layli, sprytny i skuteczny. Sprawdziwszy wszystkie węzły, zanieśli go do zakrystii za transeptem. Było tam prawie zupełnie ciemno, lecz zdążyli już przywyknąć do panującego w kościele mroku.

- Imponujący okaz - skostatowała obojętnie Layla. - Silny jak zwinięta sprężyna.

- On i jego brat to urodzeni atleci i sportowcy. Ale przede wszystkim myśliwi obdarzeni instynktem pumy. I jak puma bezwzględni.

- Pracowali dla ciebie?

- Dawno temu. Wysłałem ich z kilkoma krótkimi misjami. I zjedną dłuższą, do Rosji... - Libanka spojrzała na niego pytająco i uznał, że nie ma powodu niczego przed nią zatajać. Nie po tym, co dla niego zrobiła. -W Rosji, w Nowosybirsku, jest pewien instytut naukowy. Nazywa się Yector. W połowie lat osiemdziesiątych zaczęły krążyć pogłoski, że nie tylko prowadzą tam badania, ale i produkują broń bakteriologiczną.

Kiwnęła głową.

- Tak, słyszałam. Wykorzystywali zarazki wąglika, czarnej ospy, nawet dżumy.

- Pod koniec lat osiemdziesiątych na Zachód zbiegł były zastępca szefa radzieckiego programu zbrojeniowego. Powiedział nam, że Rosjanie przewidują zastosowanie broni biologicznej podczas pierwszego uderzenia na Stany, że rakiety z głowicami bakteriologicznymi są wymierzone w kilka największych amerykańskich miast. Rozpoznanie techniczne niewiele dało. Ot, patrolowany przez strażników kompleks niskich budynków, otoczony drutami pod napięciem. Tyle. To znaczy tyle wiedziały agencje rządowe, CIA i Narodowa Agencja Bezpieczeństwa. A bez konkretnych dowodów żadne z państw NATO nie chciało interweniować. - Ciężko westchnął. -Bierność. Typowa reakcja biurokratów z wywiadu. Nie chcieli ryzykować, no i wysłali mnie na akcję, której nikt inny nie chciał się podjąć. Skompletowałem ekipę. Zwerbowałem między innymi ich, Paola i Niccola. Szefostwo dało nam szczegółową listę. Mielśmy dostarczyć do kraju dokładne zdjęcia pomieszczeń produkcyjnych i badawczych, zdjęcia śluz powietrznych, zbiorniki do hodowli wirusów i kolby ze szczepionkami. Ale najbardziej zależało im na samych wirusach, na płytkach Petriego.

- Boże święty... Twój szefowie... Mówiłeś, że nikt inny nie chciał się tego podjąć. Czy CIA... Wzruszył ramionami.

- Nieważne. - Po cholere miałbym coś przed nią ukrywać, pomyślał. Zwłaszcza teraz. To bez sensu. - Ci dwaj, Paolo i Niccolo Sangiovanni, mieli obezwładnić strażników szybko i po cichu. - Uśmiechnął się pośepnie. - Dobrzy byli, naprawdę dobrzy...

- Poradzili sobie?

- Jak najbardziej. Zgarnęliśmy cały towar.

Czekając, aż Paolo odzyska przytomność, Layla przybiła do drzwi zerwany skobel i powiesiła na nim kłódkę. Bryson pilnował Włocha. Mniej więcej dwadzieścia minut później Paolo lekko drgnął, nie rozwierając powiek, poruszył oczami, cicho jęknął, otworzył oczy i popatrzył na niego nieprzytomnie.

- *Al e pasat tant timp di quand che jerin insieme a Nowosybirsk.* Sporo czasu upłynęło od Nowosybirsk - powiedział Nick. - Zawsze wiedziałem, że poczucie lojalności jest ci

zupełnie obce. Gdzie brat?

Paolo wytrzeszczył oczy.

- Coleridge, ty sukinsynu. - Chciał podnieść ręce i skrzywił się z bólu, gdy kabel wgrzył mu się w nadgarstki. - Bastard - syknął, obnażając zakrwawione zęby. - *Tu mi fasis pensa a che vecje storie dalpurcit, lo tratin come un sior, a viodin di lui, i dań dut chel che a voe di ve, e dopo lu copin.*

Bryson uśmiechnął się ciepło i przetłumaczył to Layli.

- To stare furlańskie przysłowie o wieprzu. Ludzie traktują wieprza jak skarb. Dbają o niego, spełniają wszystkie jego zachcianki do dnia, kiedy zwierzę idzie pod nóż.

- Niby kto ma być tym wieprzem? - spytała. - Ty czy on? Nick spojrział na Włocha i rzekł:

- Zabawimy się, Paolo, ty i ja. W szczerłość i w konsekwencje nie-szczerłości. Powiesz mi prawdę albo stawisz czoło konsekwencjom. Zaczniemy od prostego pytania: gdzie jest twój brat?

- Nie powiem!

- Właśnie potwierdziłeś, że gdzieś tu jest. Tam, na placu, omal mnie nie zabiliście. To tak okazujecie wdzięczność swemu dawnemu szefowi?

- *No soi ancjmófreat dal dut!* Jeszcze z tobą nie skończyłem! - ryknął Paolo. Szarpnął się i głośno jęknął.

- Ani ja z tobą - odparł Bryson. - Kto was wynajął? Włoch splunął mu w twarz.

- Pierdol się! - wrzasnął. Był to jeden z nielicznych angielskich zwrotów, jakie znał.

Nick otarł rękawem policzek.

- Spytam jeszcze raz i jeśli nie otrzymam szczerzej, podkreślam, szczerzej odpowiedzi, będę zmuszony użyć tego. - Pokazał mu beretę.

- Popilnuję drzwi - szepnęła Layla. - Krzyk może zwabić nieproszonych gości.

- Słusznie.

- Śmiało, zabij mnie - szydził Paolo w ojczystym języku. - Mnie to obojętne. Przyjdą po ciebie inni, wielu innych. Mój brat z przyjemnością zabije cię osobiście. Umierając, dasz mu ostatni podarunek.

- Nie mam zamiaru cię zabijać - odrzekł chłodno Bryson. - Wiem, że jesteś odważny. Widziałem, jak bez cienia strachu stawiasz czoło śmierci. Śmierć cię nie przeraża, między innymi dlatego jesteś taki dobry w tym, co robisz.

Włoch podejrzliwie zmrużył oczy, próbując odgadnąć, do czego Nick zmierza. Lekko poruszył stopami i nadgarstkami: sprawdzał, czy nie zdoła poluznić więzów. Nie zdołał.

- Nie - kontynuował Bryson. - Zamiast życia, odbiorę ci jedyną rzecz, która ma dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie: zdolność do polowania. Czy to na *cinghiale*, twego ukochanego dzika, czy na ludzi, których nieuchwytni kłamcy manipulujący naszym rządem uznali za „nie do odzyskania”. -Przytknął mu do kolana lufę beretty. - Bez jednej rzepki będziesz mógł chodzić, współczesna protetyka czyni cuda, tylko z bieganiem będzie gorzej. Ale jeśli przestrzele ci oba kolana... Hmm. Stracisz źródło utrzymania, nie sądzisz?

Paolo zbladł.

- Ty przeklęty sprzedawczyku - syknął.

- Tak ci powiedzieli? Powiedzieli też, komu się sprzedałem? Włoch patrzył na niego hardo, choć lekko drżała mu dolna warga.

- Zapytam jeszcze raz. Zanim skłamiesz albo odmówisz odpowiedzi, dobrze się zastanów. Kto was wynajął?

- Pierdol się!

Bryson pociągnął za spust. Paolo wrzasnął, na jego spodniach wykwitła czarna plama krwi. Stracił rzepkę. Wiedział, że już nigdy nie zapoluje ani na zwierzyne, ani na człowieka. Wił się z bólu, wył i bluźgał przekleństwami.

Od strony drzwi dobiegł głośny trzask, krzyk jakiegoś mężczyzny i zduszony jęk Layli. Bryson błyskawicznie się odwrócił. Oberwała? Wypadł z zakrystii i ujrzał dwie postacie szamoczące się w ciemności. Jedną z nich musiała być Layla. Kim była druga?

- Nie ruszaj się, bo zabiję!

- Już w porządku. Ostro się stawiał...

Layla. Żył. Z ulgą odetchnął.

Niccolo, brat Paola. Leżał na brzuchu ze związanymi na plecach rękami. Z szyi zwisał mu kabel, garota, której użyła, gdy tylko wbiegł do kościoła; cienka, czerwona pręga na gardle dowodziła, że omal się nie udusił. Libanka zaskoczyła go, zdobyła nad nim przewagę i umiejętnie ją wykorzystała: związała go w taki sposób, że im bardziej się rzucał, tym mocniej zaciskał sobie patię na szyi. Nie zdążyła tylko skrępować mu nóg, dlatego Włoch gwałtownie wierzgał i wił się, próbując wstać.

Bryson skoczył mu na plecy. Przygniół go, pozbawił tchu, jednocześnie przytrzymał mu nogi, żeby Layla mogła zarzucić pętlę na kolana i stopy i mocno je związać. Niccolo ryczał jak zarzynany wół. Jego krzyk zlewał się ze ścinającym krew w żyłach krzykiem brata w oddalonej o piętnaście metrów zakrystii.

- Chryste, dość tego - mruknął z niesmakiem Nick.

Oderwał pasek materiału z jego koszuli, zwinął go w kulkę i wepchnął mu do gardła. Layla chwyciła rolkę taśmy, którą znalazła wraz z kablem w szafie, i zakleiła Włochowi usta, żeby przytrzymać knebel. Bryson oderwał jeszcze jeden pasek materiału i poprosił ją, żeby zakneblowała też Paola.

Kiedy odeszła, zawłókł Niccola do niszy po drugiej stronie nawy i wepchnął go do konfesjonau.

- Twój brat mocno oberwał - rzekł, bawiąc się beretką. - Ale, jak słyszysz, wciąż żyje. Tyle tylko, że już nie będzie mógł chodzić.

Włoch gwałtownie rzucał głową, wył i wierzgał jak rozwścieczone własną bezsilnością zwierzę.

- Sprawa jest bardzo prosta, przyjacielu. Powiesz mi, kto was wynajął. Powiesz mi wszystko: nazwiska, pseudonimy, kontakty i tak dalej. Wszyściutko. Wyjmę ci knebel, a ty zaczniesz mówić, jasne? Tylko nie próbuj niczego zmyślać. Twój braciszek sporo mi powiedział i jeśli coś się nie będzie zgadzało, uznam, że kłamał. I zabiję go. Dlaczego? Bo nie znoszę łgarzy. Rozumiemy się?

Niccolo przestał wierzgać i rozpaczliwie kiwał głową, sondując wzrokiem jego twarz. Groźba podziałała. Każdy przeciwnik ma swój słaby punkt.

Paolo ucichł. Z zakrystii dochodziły tylko ciche jęki i zduszone kneblem skomlenie.

- Jest z nim moja koleżanka - kontynuował Nick. - Wystarczy, że dam jej sygnał, i wpakuje mu kulę w sam środek czoła. Jasne? Coraz bardziej przerażony Niccolo energicznie kiwnął głową.

- No, dobrze. - Jednym szarpnięciem Bryson zerwał mu z twarzy plastikową taśmę i wyjął z ust mokry knebel.

Włoch wziął kilka głębokich, chrapliwych oddechów.

- Jeżeli skłamiesz, co byłoby bardzo poważnym błędem, pozostanie ci tylko jedno: mieć nadzieję, że twój brat skłamał identycznie jak ty.

W przeciwnym razie będzie tak, jakbyś go zabił, jakbyś wymierzył mu w skroń i własnoręcznie pociągnął za spust. Rozumiesz?

- Tak! - tchnął Niccolo.

- Na twoim miejscu powiedziałbym prawdę. Miałbym znacznie większe szansę. I pamiętaj, że wiem, gdzie mieszka wasza rodzina. Jak się miewa *nonna* Maria? A twoja matka Alma? Wciąż prowadzi ten mały pensjonat?

Z oczu Niccola biła wściekłość i uraza.

- Powiem prawdę! - krzyknął.

- Świetnie - odrzekł beznamiętnie Bryson. - Dobrze, że nareszcie to ustaliliśmy.

- Ale nie wiem, kto nas wynajął! Jest tak, jak wtedy, kiedy pracowaliśmy z tobą! Robimy za woły robocze, tamci nic nam nie mówią! Nick w zadumie pokręcił głową.

- Nic nie dzieje się w próżni, stary druhu. Wiesz o tym tak samo jak ja. Nawet jeśli jesteś tylko wykonawcą, zwykłym narzędziem, znasz pseudonim człowieka, który się z tobą kontaktuje. Gromadzisz informacje podświadomie, skrawek tu, skrawek tam... Mogli nie

zdradzić wam, dlaczego macie to zrobić, ale na pewno powiedzieli jak, a to już coś.

- Ale ja nie wiem! Nie wiem, kim oni są!

- Pracowaliście w zespole - warknął Bryson, z trudem powstrzymując gniew. - Ktoś wami dowodził, ktoś wydawał wam rozkazy. Ludzie zawsze gadają. Dobrze wiesz, kto was wynajął! - Odwrócił się w stronę zakrystii, jakby chciał dać znak Layli.

- Nie! - krzyknął Niccolo.

- Twój brat...

- On też nie wie. Nie mam pojęcia, co ci powiedział, ale on nie wie! Te wszystkie komórki, sekcje... Zapomniałeś, jak to działa? My im tylko pomagamy, a oni nam płacą, i to gotówką!

- Język! - warknął Nick.

- *Che...* język?

- Twoi kumple. Jakim językiem mówili? Niccolo wybałuszył oczy.

- Mówili różnymi językami!

- Dowódca!

- Po rosyjsku! - krzyknął zrozpaczony Włoch. - To Rosjanin!

- KGB? GRU?

- Skąd ja mogę wiedzieć?

- Znasz ich twarze! - Zerknął przez ramię. - Layla! Layla wyjrzała z zakrystii.

- Nałożyć tłumik? - spytała krótko, momentalnie orientując się w sytuacji.

- Nie! - wrzasnął Niccolo. - Powiem!

- Dam mu sześćdziesiąt sekund - odrzekł Bryson. - Jeśli w ciągu minuty nie dowiem się czegoś konkretnego, wykończ tamtego. Słusznie, tłumik to dobry pomysł. Niccolo, wynajęli was, bo mnie znacie, bo znacie moją twarz, tak?

Włoch zamknął oczy i kiwnął głową.

- Ale wiedzieli również, że kiedyś dla mnie pracowaliście i bez względu na to, że pojęcie lojalności jest wam zupełnie obce, nie zatrudniliby was bez odpowiednio spreparowanej legendy. Dlatego powiedzieli wam, że jestem zdrajcą, że się sprzedałem, tak?

- Tak.

- Komu się sprzedałem?

- Mówili tylko, że sypiesz za pieniądze, że my i wszyscy ci, z którymi kiedyś pracowałeś, zostaną rozpoznani i zlikwidowani.

- Przez kogo?

- Nie wiem, nie powiedzieli!

- Mimo to uwierzyliście im.

- Dlaczego mielibyśmy nie wierzyć?

- Wyznaczyli za mnie nagrodę czy zaproponowali zwykłą stawkę?

- Wyznaczyli nagrodę.

- Ile?

- Dwa miliony.

- Lirów czy dolarów?

- Dolarów! Dwa miliony dolarów.

- O ho ho, schlebiacie mi. Mógłbyś wrócić z bratem w góry i polować, ile dusza zapagnie, co? Problem w tym, że jeśli oferuje się nagrodę grupie ludzi, trudno nimi dowodzić, bo każdy chce dopaść ściganego sam. Kiepska strategia, wewnętrznie sprzeczna. Dowódcą był ten brodaty?

- Tak.

- Rosjanin?

- Tak.

- Jak się nazywał?

- Słyszałem, jak mówią do niego Miljukow. Ale znam tę twarz. Robił to samo co ja, co my. Brał zlecenia.

- Wolny strzelec?

- Podobno pracował dla jakiegoś... jakiegoś plutokraty, ruskiego barona, szarej eminencji Kremla. Ten Rusek to bogacz, ma kilkadziesiąt przedsiębiorstw czy czegoś tam. Powiadają, że trzęsie całą Rosją...

- Prisznikow.

W oczach Włocha pojawił się przeblysłk rozpoznania. Musiał to nazwisko znać.

- Tak, możliwe.

Prisznikow. Anatolij Prisznikow. Założyciel i prezes gigantycznego, wielce zagadkowego konsorcjum o nazwie Nortek. Człowiek nieprawdopodobnie bogaty i potężny, stojący u stóp kremlowskiego tronu. Dlaczego miałby kogoś na mnie nasyłać? - pomyślał Bryson z mocno bijącym sercem. Dlaczego chce mnie zlikwidować?

Dlaczego?

Jedynym logicznym wytłumaczeniem było to, że przejął władzę nad Dyrektoriatem. Albo sam, albo z kimś. Harry Dunne twierdził, że założycielami i pierwszymi szefami Dyrektoriatu była grupka „Szachistów”, geniuszów z GRU.

„A gdybym ci tak powiedział, że Dyktoriat nie jest wcale agencją rządową Stanów Zjednoczonych, że pracuje przeciwko nam? Że celem tych z GRU było spenetrowanie przeciwnika na jego własnym terenie - na naszym terenie...” Jego słowa.

Mówił też, że po zakończeniu zimnej wojny, kiedy sowieckie służby wywiadowcze szlag trafił, Dyktoriat przeszedł w „inne ręce”. Że zaczęto likwidować agentów...

Wrobili mnie i wyeliminowali.

A Elena? Co oznaczało jej zniknięcie? Że celowo ich rozdzielili? Że musieli? Ale dlaczego? Bo Elena za dużo wiedziała? Bo gdyby zostali razem, mogliby się czegoś domyślić?

„Ale mamy powody, by sądzić, że chcą się reaktywować... Krążą różne słuchy. Wygląda na to, że z jakiegoś powodu twoi dawni mistrzowie gromadzą broń... Przypuszczamy, że chcą zdestabilizować sytuację na południowych Bałkanach, ale cholera ich wie, co tak naprawdę chodzi im po łbie...”

Cholera ich wie, co tak naprawdę chodzi im po łbie...”

Same ogólne, puste oświadczenia, niejasne zapewnienia. Sytuacja była mglista i niepewna. Musiał oprzeć się na faktach, lecz znał ich, niestety, niewiele.

Fakt pierwszy: grupa agentów Dyrektoriatu - nie wiedział, czy byłych, czy aktualnie zatrudnionych - próbowała go zabić.

Tylko dlaczego? Zgoda, ochroniarze Calacanis mogli wziąć go za oszusta albo za wtykę, ale ci stąd, z Santiago de Compostela, byli za dobrze zorganizowani i wyszkoleni, żeby przyjąć, że jest to dalszy ciąg odwetu za jego wtargnięcie na „Hiszpańską Armadę”.

Fakt drugi: braci Sangiovannich wynajęto dużo wcześniej. Szefowie Dyrektoriatu uznali, że im zagraża, zanim jeszcze postawił nogę na pokładzie okrętu Calacanis. Tylko dlaczego?

Fakt trzeci: dowódca najemników był jednocześnie człowiekiem Prisznikowa, wpływowego rosyjskiego przemysłowca. Wniosek? Że Prisznikow jest jednym z szefów Dyrektoriatu. Tylko dlaczego jakiś przemysłowiec, zwykły, choć bajecznie bogaty obywatel, miałby organizować wielką operację wywiadowczą?

Czyżby oznaczało to, że Dyktoriat przeszedł w prywatne ręce? Że Anatolij Prisznikow po prostu go przejął? Że ten potężny i tajemniczy rosyjski inwestor dysponuje teraz prywatną armią agentów?

Wtem przyszło mu coś do głowy.

- Mówiłeś, że tamci mówili różnymi językami. Po francusku też?

- Tak, ale...

- Żadnego ale! Który z nich mówił po francusku?

- Ta blondynka.

- Ta z placu? Ta w blezerze i w dużych, okrągłych okularach?

- Tak.

- I nic mi o niej nie mówisz? Ciekawe dlaczego...

- Jak to? Przecież...

- Ciekawe, bardzo interesujące. Twój brat był rozmowniejszy. - Bryson blefował, ale ponieważ robił to bardzo przekonująco, Niccolo dał się nabrać. - Dużo rozmowniejszy. Chcesz powiedzieć, że to wszystko zmyślił? Naprawdę?

- Nie! Nie wiem, co ci powiedział. Po prostu podsłuchaliśmy to i owo. Jakies nazwiska...

- Nazwiska?

- Słyszałem, jak ta blondynka rozmawiała po francusku z agentem, który był na tym okręcie z bronią, który wyleciał w powietrze, na „Hiszpańskiej Armadzie”. Ten agent to Francuz, załatwiał z Grekiem jakiś interes...

- Jaki interes?

- On był... Ponoć robił na dwa fronty.

Nick przypomniał sobie długowłosego, elegancko ubranego mężczyznę z jadalni Calacanisa, pośrednika działającego w imieniu Jacques'a Arnauda, najbogatszego i najpotężniejszego handlarza bronią we Francji. Czyżby Arnaud też należał do Dyrektoriatu albo z nim współpracował? Arnaud, znany prawicowy ekstremista i handlarz, w zмовie z jego byłymi szefami, a tym samym z najbogatszym obywatelem Rosji?

Co to, na Boga, znaczy?

Jeśli rzeczywiście tak było, jeśli dwaj wpływowi biznesmeni, Rosjanin i Francuz, przejęli Dyrektoriat, żeby szerzyć i podsycać światowy terrorizm, to jaki mieli w tym cel?

Zostawili ich związanych i zakneblowanych.

Layla, która przeszła przeszkolenie pielęgniarstwa, na prośbę Brysona opatrzyła rannego Paolo, mocno przewiązując mu kolano kawałkiem płótna.

- Jak możesz troszczyć się o człowieka, który chciał cię zamordować? - spytała szczerze zdziwiona, gdy wyszli już z kościoła. - Jesteś za bardzo wyrozumiała.

Nick wzruszył ramionami.

- Robił swoje.

- My pracujemy inaczej. Jeśli ktoś próbował cię zabić, nie możesz darować mu życia. To naczelna i niepodważalna reguła.

- Ja żyję według innych.

Noc spędzili w małym, anonimowym *hospedaje* na przedmieściach Santiago. Kiedy tylko weszli do pokoju, Layla zaczęła opatrywać mu ramię, przemywając ranę wodą utlenioną, którą kupiła w *farmacia*, i smarując ją maścią odkażającą. Pracowała szybko i z wprawą profesjonalistki.

Gdy zdjął koszulę, przesunęła palcem wzdłuż długiej, gładkiej blizny. Ranę, którą zadał mu Abu podczas ostatniej misji w Tunezji, zszywali najlepsi chirurdzy na kontrakcie z Dyrektoriatem. Już go nie bolała, bolały tylko wspomnienia.

- Pamiątka od starego przyjaciela - wyjaśnił ponuro. Za oknem lał deszcz. Płaskie, porośnięte mchem kamienie na podwórzu spływały wodą.

- Omal nie zginąłeś.

- Miałem dobrych lekarzy.

- Sporo tego. - Musnęła palcem zagłębienie wielkości dziesięciocentówki w mięśniu prawej ręki. - A to?

- Kolejna pamiątka.

Ponownie naszły go wspomnienia z Nepalu, stanęła mu przed oczami postać straszliwego Ang Wu, dezertera z Chińskiej Armii Ludowej. Zastanawiał się, co się naprawdę stało podczas tamtej strzelaniny. Kogo naprawdę zabił? Po co go tam wysłano i w którym imieniu? Czy był jedynie marionetką w podstępnej intrydze, której zasad wciąż nie potrafił rozgryźć?

Tyle trupów, tyle przelanej krwi. I po co to wszystko? Czym było jego życie? Im więcej wiedział, tym mniej rozumiał. Pomyślał o swoich rodzicach, o dniu, kiedy ostatni raz widział ich żywych. Czy to możliwe, żeby zabili ich „geniusze” z Dyrektoriatu? Pomyślał o Tedzie Wallerze, którego kiedyś podziwiał bardziej niż kogokolwiek innego na świecie, i ogarnęła go niepokohamowana wściekłość.



Co powiedział Niccolo? Jak nazwał siebie i swego brata? Wołami roboczymi? Tak, wynajętymi wołami roboczymi, popychadłami, pionkami w obrzydliwej grze, której reguł nigdy im nie objaśniano. Dopiero teraz przyszło mu do głowy, że między nim i braćmi Sangiovaninami nie ma żadnej różnicy. I on, i oni byli jedynie pionkami, narzędziami w rękach mrocznych sił zła.

Layla siedziała na brzegu łóżka. Po chwili wstała, wyszła do maleńkiej łazienki i wróciła ze szklanką wody.

- Antybiotyk - powiedziała. - Farmaceutka dała mi go bez recepty. Obiecałam, że rano doniosę. - Wyciągnęła rękę. Na dłoni leżało kilka kapsułek.

W głowie odezwał się znajomy szept: uważaj, nie ma na nich żadnego napisu, skąd wiesz, co to jest? Bzdura - odpowiedział głos inny, logiczniejszy i bardziej racjonalny. Gdyby chciała cię zabić, zrobiłaby to dużo wcześniej. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin miała mnóstwo okazji. Co więcej, nie musiała ratować ci życia, ryzykując swoje.

Włożył kapsułki do ust, przełknął i popił wodą.

Layla zaczęła pakować apteczkę.

- Odplynąłeś - powiedziała. - Błądzisz myślami daleko stąd. Coś cię gnębi.

Bryson spojrział na nią i skinął głową. Miał spać w jednym pokoju z piękną kobietą. Co prawda osobno - ona w łóżku, on na sofie - ale zdarzało mu się to pierwszy raz od wielu, wielu lat, od nagłego odejścia Eleny. Mimo licznych okazji uparcie żył w celibacie, jakby chciał odpokutować za to, że ją stracił.

Tylko co takiego zrobił, że odeszła? I czy w ogóle coś zrobił?

Czy ich wspólne życie było ukartowane, wyreżyserowane przez Teda Wallera? Całe czy tylko część?

I ponownie wrócił myślą do dnia, w którym skłamał. A okłamał ją tylko raz, jeden jedyny raz. I tylko po to, żeby ją chronić. Żeby coś przed nią ukryć. Waller lubił cytować Blake'a. „Wpadamy w Kłamstwa toń głęboką- mawiał. - Nie widząc więcej, niż chce Oko”\*.

Lecz Bryson nie chciał, żeby Elena wiedziała, co dla niej zrobił. I jeszcze raz odtworzył w pamięci tamten wieczór w Bukareszcie. Wieczór, o którym nic jej nie wspominał. Co było prawdą? Gdzie była prawda?

Choć paranoiczny, zwyrodniały i śmiertelnie niebezpieczny, półświatek agentów i specjalistów od nielegalnych operacji wywiadowczych jest niewielki i wiadomości rozchodzą się w nim lotem błyskawicy. Z kilku wiarygodnych źródeł wiedział, że ekipa „kominiarzy” z Securitate oferowała duże pieniądze za informację o miejscu pobytu niejakiego Andreja Petrescu, doktora matematyki i kryptologa, który zdradził rewolucję, sprzedając wrogowi najtajniejsze rządowe szyfry. Między byłymi agentami rumuńskiej bezpieki panowało wielkie rozgoryczenie, że w wyniku zamachu stanu Ceaucescu, ich pan i władca, stracił władzę, a wkrótce potem i życie. Wybaczyć i zapomnieć? Nigdy. Przenigdy. Zamierzali ścigać zdrajców ojczyzny i dopaść ich choćby na końcu świata. Nie liczyło się nic, ani koszty, ani czas. Kilku z nich zdążyli już nawet namierzyć, między innymi Andrej Petrescu. Chcieli wyrównać rachunki, chcieli się zemścić.

Poprzez łańcuszek anonimowych pośredników Bryson umówił się na spotkanie z ich szefem, byłym numerem dwa niesławnego Securitate. Ponieważ ci z bezpieki go nie znali, musiał najpierw dowieść swej wiarygodności, dlatego kilka dni przed spotkaniem odrębnymi kanałami dotarła do nich wiadomość, że Nick ma informację, która na pewno ich zainteresuje. Przyjdzie sam, mogą to sprawdzić. Żąda, żeby jego rozmówca też przyszedł sam.

Dla Brysona była to sprawa osobista. Załatwiał ją bez wiedzy i zgody Dyrektoriatu. Takie nieregularne spotkanie nie zostałoby przez nich zatwierdzone ze względu na potencjalne skutki. Nick nie mógł ryzykować: sprawa była zbyt ważna dla Eleny, a tym samym dla niego. Dlatego zaraz po zakończeniu operacji w Madrycie powiadomił zwierzchników, że chciałby wyjechać na krótki, zasłużony urlop: na weekend do Barcelony. Zgodę, rzecz jasna, otrzymał, gdyż urlop od dawna mu się należał. Tak, działał wbrew polityce Dyrektoriatu, ale nie miał wyboru. Po prostu musiał to załatwić. Bilet lotniczy

kupił za gotówkę, na fałszywe nazwisko, które nie figurowało w ich komputerowej bazie danych.

Nie zdradził też swoich zamiarów Elenie. W tym przypadku zachowanie dyskrecji było o wiele ważniejsze, ponieważ Elena za nic nie zgodziłaby się, żeby pojechał na spotkanie z przywódcą ludzi, którzy chcieli zamordować jej ojca. Uznałaby to za zbyt niebezpieczne, poza tym wielokrotnie powtarzała, że pod żadnym pozorem nie wolno mu działać na własną rękę w sprawach dotyczących jej najbliższych. Bała się stracić i męża, i rodziców, bała się poruszyć gniazdo pałających zemstą szerszeni z Securitate i gdyby miała cokolwiek do powiedzenia, na pewno zabroniłaby mu wyjeżdżać. Zawsze szanował jej wolę, ale takiej okazji nie mógł przepuścić.

Spotkał się z nim w ciemnym pubie w suterenie. Zgodnie z obietnicą przyszedł sam, chociaż poczynił przedtem odpowiednie przygotowania. Ten i ów oddał mu przysługę, inni zostali przekupieni.

- Ponoć ma pan informacje o rodzinie Petrescu - zagał generał major Radu Dragan, gdy Nick przysiadł się do niego w mrocznej niszy za przepierzeniem.

Dragan nie wiedział o nim nic, natomiast Nick dzięki sieci informatorów starannie się do tej rozmowy przygotował. Radu Dragan. Pierwszy raz usłyszał to nazwisko od Eleny. Wtedy, podczas ewakuacji z Bukaresztu, kiedy skutecznie odstraszyła policjanta, który za bardzo interesował się ich ciężarówką. Jak się później okazało, znała numer telefonu Dragana, gdyż to właśnie on zmusił jej ojca do współpracy z rządem. Dlatego zdradę Andreja Petrescu traktował bardzo osobiście.

- Tak, mam - odparł Bryson. - Ale najpierw omówimy moje warunki.

Dragan, wyniosły sześćdziesięciolatek o ziemistej cerze, uniósł brwi.

- Warunki? Kiedy dowiem się czegoś konkretniejszego, chętnie je z panem omówię.

- Zgoda - odrzekł z uśmiechem Nick. - A więc konkrety. Informacja, którą chcę panu przekazać, jest bardzo prosta. - Położył na stole kartkę papieru.

Zdumiony Dragan przebiegł ją wzrokiem.

- Co... co to jest? To nazwiska...

- Członków pańskiej rozległej rodziny. Wszystkich krewnych z pana strony i ze strony pańskiej żony, łącznie z ich adresami i numerami telefonu. Pan, człowiek, który przedsięwziął najbardziej wyrafinowane środki ostrożności, żeby chronić najbliższych, na pewno zrozumie, że mógł tę listę zdobyć tylko ktoś, kto dysponuje nieograniczonymi możliwościami i koneksjami. Na pewno zrozumie pan też, że nawet jeśli ukryje pan swoich bliskich w innym miejscu, ja i moi koledzy bez trudu ich odnajdziemy.

- *Nu te mai pis a impras tiat!* Jakim prawem szczasz na mnie jak pies! - warknął Dragan. - Kim ty, do diabła, jesteś? Jak śmiesz tak do mnie mówić?

- Chcę tylko jednego: żeby natychmiast odwołał pan swoich „kominiarzy”.

- Myślisz, że możesz mi grozić tylko dlatego, że któryś z moich ludzi sypie?

- Dobrze pan wie, że żaden z pańskich ludzi nie ma dostępu do tych informacji, że nawet pańscy najbardziej zaufani współpracownicy znają ledwie kilka nazwisk i niedokładnych adresów. Proszę mi wierzyć, te informacje pochodzą ze źródeł znacznie bardziej wiarygodnych. Niech pan zrobi czystkę, niech pan ich wszystkich wystrzela, dla mnie to bez różnicy. A teraz proszę posłuchać. Jeśli pan czy którykolwiek z pańskich ludzi, jakkolwiek z panem związanych, zerwie choćby jeden włos z głowy rodziny Petrescu, moi współpracownicy własnoręcznie okaleczą, a potem wymordują wszystkich członków pańskiej rodziny.

- Precz stąd! Won! Mam gdzieś twoje groźby!

- Daję panu możliwość odwołania rozkazów. - Nick spojrział na zegarek. -1 to już teraz, w tej chwili. Zostało panu dokładnie siedem minut. Jeśli pan tego nie zrobi...

- To co?

- To zabije pan kogoś, na kim bardzo panu zależy. Dragan roześmiał się i dolał sobie piwa.

- Tracisz czas. Obserwuj mnie moi ludzie. Wystarczy, że dam znak, i wyprowadzą cię

stąd, zanim zdążysz zatelefonować.

- Zaszło małe nieporozumienie. To pan traci czas, nie ja. Powinno panu bardzo zależeć, żebym zatelefonował. Widzi pan, jeden z moich przyjaciół jest w tej chwili w pewnym mieszkaniu przy Calea Victoriei i celuje w głowę niejakiej Dumitry.

Błada twarz Dragana pobladła jeszcze bardziej.

- Tak, Dumitra, pańska kochanka, striptizerka z Sexy Club przy Calea 13 Septembrie. Dokładniej mówiąc, jedna z wielu kochanek, ale ponieważ jesteście razem od tylu lat, musi ją pan przynajmniej lubić, prawda? Mój przyjaciel czeka na telefon. Jeśli nie zadzwonię za... - Ponownie spojrzął na zegarek. - Za sześć, nie, za pięć minut, przestrzeli jej głowę. Cóż mogę powiedzieć. Chyba tylko to, żeby nie opuszczała pana wiara w skuteczność działania naszych telefonów.

Dragan szyderczo prychnął, lecz oczy miał niespokojne.

- Może pan uratować jej życie, odwołując rozkaz zlikwidowania rodziny Petrescu. Może pan też siedzieć tu i po prostu czekać, ale wtedy Dumitra zginie i splami pan sobie ręce jej krwią. Proszę, może pan skorzystać z mojego telefonu, jeśli nie zabrał pan swojego. Tylko niech pan oszczędza baterię, bo mogę się do niego nie dodzwonić.

Dragan przybrał obojętną minę i pociągnął długi łyk piwa.

Milczał. Upłynęły cztery minuty.

Kiedy do wyznaczonego czasu pozostało tylko sześćdziesiąt sekund, Bryson zadzwonił na Calea Victoriei.

- Nie - powiedział. - Dragan odmawia, dlatego boję się, że będziesz musiał to zrobić. Ale najpierw daj do telefonu Dumitrę. Może ona ubłaga swego bezdusznego kochanka. - Kiedy w słuchawce zabrzmiał jej zrozpaczony głos, podał telefon Draganowi.

Dragan rzucił szorstkie „Halo”. Dumitra krzyczała tak przeraźliwie, że słyszał ją nawet siedzący po drugiej stronie stolika Bryson. Generał musiał wyczuć, że to nie blef.

- Już pora - rzekł Nick, po raz ostatni spoglądając na zegarek. - No więc?

Dragan pokręcił głową.

- A to suka. Przekupiłeś ją. Nie wiem, ile jej dałeś za odegranie tej małej farsy, ale chyba niedużo.

W słuchawce rozległ się suchy trzask wystrzału i zduszony krzyk. Sekundę później zabrzmiał drugi wystrzał i zapadła cisza. Dumitra umilkła.

- Czyżby była aż tak dobrą aktorką? - Bryson wstał i schował telefon do kieszeni. - Przed chwilą zapłaciła życiem za pański upór i sceptycyzm. Niech pańscy ludzie to sprawdzą. Jeśli czuje się pan na siłach, może pan pojechać tam osobiście. - Był przerażony, czuł do siebie odrazę za to, co zrobił, wiedział jednak, że inaczej by go nie przekonał. - Na liście jest czterdzieści sześć nazwisk. Codziennie zginie jedna osoba i za półtora miesiąca zostanie pan sam jak palec. Jedynym sposobem na powstrzymanie tej rzezi jest odwołanie rozkazu zlikwidowania Andreja Petrescu, jego żony, córki i krewnych. Przypominam jeszcze raz: jeśli spadnie im choćby włos z głowy, pańska rodzina zginie cała, natychmiast i jednocześnie.

Odwrócił się, wyszedł z pubu i już nigdy więcej się nie zobaczyli.

Jednakże przed upływem godziny Dragan wydał rozkaz, żeby zostawić Petrescu w spokoju.

Bryson nie wspominał o tym ani Elenie, ani Tedowi Wallerowi. Kiedy kilka dni później wrócił do domu, Elena spytała go, jak było w Barcelonie. Zazwyczaj nie mieszała życia osobistego z pracą i o nic się wzajemnie nie wypytywali. Ale tym razem musiała coś wyczuć, gdyż zajrzawszy mu w oczy, zasypała go pytaniami. Było ich dużo, o wiele za dużo. Łgał jak z nut, łatwo i przekonująco. Czyżby była zazdrosna? O to chodziło? Podejrzewała, że spotkał się z kochanką? Zareagowała tak pierwszy raz i tym bardziej żałował, że nie może powiedzieć jej prawdy.

Tylko czy tę prawdę znał?

- Nic o tobie nie wiem - powiedział, wstając z łóżka i siadając na sofie. - Poza tym, że w ciągu ostatnich dwunastu godzin kilka razy uratowałeś mi życie.

- Musisz odpocząć. - Miała na sobie szare spodnie od dresu i obszerny męski podkoszulek, który miał ukrywać, jeszcze bardziej podkreślał krągłość jej piersi. Nie musieli nic pakować, nie mieli nic pilnego do roboty, dlatego usiadła na brzegu łóżka, założyła nogę na nogę i skrzyżowała ramiona. - Porozmawiamy rano.

Wyczuł, że unika rozmowy.

- Pracujesz dla Mosadu - drażył - ale pochodzisz z doliny Bekaa i mówisz z arabskim akcentem. Jesteś Izraelką? Libanką? Spuściła oczy.

- I tak, i nie. Mój ojciec był Żydem, matka Libanką.

- Ojciec nie żyje? Kiwnęła głową.

- Był sportowcem, świetnym sportowcem. Zamordowali go palestyńscy terroryści podczas zamachu na olimpiadzie w Monachium.

- W siedemdziesiątym drugim. Musiał być wtedy małym dzieckiem. Wbiła wzrok w podłogę. Miała mocno zaczerwienioną twarz.

- Skończyłam dwa lata.

- Nie pamiętasz go.

Podniosła głowę i przeszła go spojrzeniem brązowych oczu.

- Pamiętam. Wszystko pamiętam. Dzięki mamie. Nie przestawała o nim mówić, pokazywała mi zdjęcia...

- Musisz nienawidzić Palestyńczyków.

- Nie. To dobrzy ludzie. Nie mają swego miejsca na ziemi, ani domu, ani państwa. Nienawidzę fanatyków, którzy dla swoich wzniosłych ideałów mordują niewinnych. Nienawidzę ich bez względu na to, czy należą do Czarnego Września, czy do Frakcji Czerwonej Armii; czy są Żydami, czy Arabami. Będąc nastolatką, wyszłam za mąż za Żyda. Służył w izraelskim wojsku i kochaliśmy się, jak tylko młodzi potrafią się kochać. Kiedy zginął w Libanie, postanowiłam pracować dla Mosadu. I walczyć z fanatyzmem.

- Nie sądzisz, że ci z Mosadu to też fanatycy?

- Tak, ale nie wszyscy. Poza tym jestem wolnym strzelcem i mogę wybierać tylko te zlecenia, które mi odpowiadają. Dlatego zawsze mam pewność, że robię coś, w co głęboko wierzę. Dużo zadań odrzucam.

- I oni na to idą? Muszą cię bardzo cenić. Skromnie pochyliła głowę.

- Wiedzą, że jestem dobra i mam znajomości. I pewnie tylko ja jestem głupia na tyle, żeby przyjmować niektóre zlecenia.

- Dlaczego przyjeżdżałaś to na „Armadzie“?

- Jak to dlaczego? - spytała zdziwiona. - Ponieważ właśnie tam fanatycy kupowali broń, z której potem zabijali niewinnych ludzi. Mosad otrzymał wiarygodne informacje, że Calacanis zaopatruje agentów Dżihadu. Miałam tam zostać dwa miesiące.

- I gdyby nie ja, wciąż byś tam była.

- A ty? Mówiłeś, że jesteś z CIA, ale chyba nie dla nich pracujesz.

- Dlaczego tak myślisz? Dotknęła palcem nosa.

- Coś mi tu nie pachnie - odrzekła ze znaczącym uśmiechem.

- Ja? - odparł rozbawiony Bryson. - Przecież się kapałem.

- Nie chodzi o ciebie, tylko o tych, którzy cię ścigają. CIA? Wątpię. Pogwałciliby wszystkie ogólnie przyjęte zasady. Albo jesteś wolnym strzelcem tak samo jak ja, albo pracujesz dla kogoś innego.

- Fakt - przyznał. - Nie jestem agentem CIA, ale z nimi współpracuję.

- Działasz na własną rękę?

- W pewnym sensie.

- Robisz w tym fachu od wielu lat. Blizny cię zdradzają.

- To prawda. Zajmowałem się tym dość długo, ale już się nie zajmuję. Zmusili mnie do odejścia, a niedawno ponownie zaangażowali. Do tego jednego, ostatniego już zadania.

- A konkretnie?

Zawahał się. Nie wiedział, co może jej powiedzieć.

- Wysłano mnie ze swego rodzaju misją kontrwywiadowczą...

- „W pewnym sensie”, „swego rodzaju misja”... - Zafalowały jej nozdrza. - Jutro rano wsiądziemy do osobnych samolotów i już nigdy więcej się nie zobaczymy. Po powrocie do domu wypełnimy odpowiednie formularze, w których dokładnie spiszymy to, co o sobie wiemy, i na tym się skończy. Zwierzchnicy przesłuchają nas, sporządzą tajny protokół, włożą go do koperty i zapieczętują. W archiwum Mosadu przybędzie kolejna teczka na tych z CIA, w archiwum CIA kolejna teczka na tych z Mosadu. Dwie krople w morzu.

- Layla, jestem ci bardzo wdzięczny, ale...

- Nie! Nie chcę twojej wdzięczności. Nie znasz mnie, źle mnie zrozumiałeś. Mam powody, żeby cię wypytywać. Oboje szliśmy tropem handlarzy bronią. Wyruszyliśmy z różnych miejsc, trafiliśmy w różne miejsca. Rzecz w tym, że nasze ścieżki się krzyżują. Wiem, że ci, którzy chcą cię zabić, nie są bandą amatorów. Mają za duże środki, za dobry dostęp do informacji. Nie, oni pracują dla rządu.

Celna uwaga. Nick kiwnął głową.

- Nie będę cię okłamywała. Tamten kościół był bardzo akustyczny i czekając w zakrystii, chcąc nie chcąc, słyszałam, o czym rozmawiałeś z tym Włochem. Gdybym chciała cię oszukać, nigdy bym się do tego nie przyznała.

To prawda.

- Znasz furlański?

- Nie, ale słyszałam nazwiska. Mówiłeś o Prisznikowie, a to nazwisko zna każdy agent Mosadu i nie tylko Mosadu. Dalej: Jacques Arnauld. Arnauld zaopatruje w broń wrogów Izraela, podsyca płonący na Bliskim Wschodzie ogień i zbija na tym olbrzymią fortunę. Znam go i nienawidzę. I chyba wiem, jak go dopaść.

- O czym ty mówisz?

- Nie mam pojęcia, co teraz zamierzasz, nie wiem, dokąd pojedziesz. Ale powiem ci jedno: na „Armadzie” był jego agent. Sprzedawał broń Calacanisowi.

- Długie włosy, dwurzędowy garnitur?

- Tak. Jean-Marc Bertrand. Często bywa w Chantilly.

- Gdzie?

- W zamku, gdzie Arnauld mieszka i wydaje huczne przyjęcia.

Wstała i na kilka minut zniknęła w łazience. Wróciła, wycierając twarz ręcznikiem. Bez makijażu wyglądała jeszcze piękniej niż przedtem. Miała delikatny nos, pełne usta i duże, szeroko rozstawione brązowe oczy, ciepłe, mądre, badawcze i wesołe.

- Dużo o nim wiesz? - spytał Bryson.

- Sporo. I o nim, i o jego przyjaciołach. Mosad od dawna ma go na oku. Kilkakrotnie bywałam w Chantilly...

- Jako kto?

Zdjęła narzutę z łóżka.

- Jako gość. Jako attache handlowy izraelskiej ambasady w Paryżu. Ktoś, o czyje względy warto zabiegać. Arnauld nie dyskryminuje klientów. Sprzedaje broń i nam, i naszym wrogom.

- Mogłabyś mnie z nim poznać?

Odwróciła się powoli z rozszerzonymi oczyma i pokręciła głową.

- To chyba nie jest najlepszy pomysł.

- Dlaczego?

- Bo nie mogę dłużej narażać się na dekonspirację.

- Przed chwilą mówiłaś, że idziemy tą samą ścieżką.

- Nie. Mówiłam, że nasze ścieżki się przecinają, to duża różnica.

- Twoja prowadzi do Jacques'a Arnauda?

- Może. Nie wiem.

- Tak czy inaczej, warto tam pojechać.

- Pewnie w twoim towarzystwie, zgadłam? - spytała z rozbawieniem w głosie.

- Oczywiście. Jesteś dyplomatką, znasz go, łatwo mnie wprowadzisz.

- Wolę pracować sama.
- Sama? Na przyjęciu? Kobieta tak piękna jak ty? Czyż nie powinien towarzyszyć ci mężczyzna? Byłoby wiarygodniej. Zarumieniła się.
- Pochlebiasz mi.
- Tylko po to, żeby zmusić cię do współpracy - odparł z kamienną twarzą.
- Cel uświęca środki?
- Coś w tym rodzaju. Uśmiechnęła się i pokręciła głową.
- Tel Awiw nigdy nie wyrazi na to zgody.
- To ich nie prosz.
- Musiałby to być... - zaczęła z wahaniem. - Musiałby to być sojusz tymczasowy, który mogłabym w każdej chwili zerwać...
- Jeśli chcesz, możesz zostawić mnie tuż za drzwiami zamku, zgoda? A teraz mów, dlaczego Mosad wziął pod lupę Jacques'a Arnaulda.
- Jak to dlaczego? - powtórzyła z nieukrywanym zdumieniem. - Przecież mniej więcej od roku Amauld dostarcza terrorystom najwięcej broni. Dlatego zainteresowało mnie, że człowiek, któremu Calacanis chciał cię przedstawić -jak on się nazywał? Jenrette? - przyleciał na „Armadę” w towarzystwie Jean-Marca Bertranda, głównego przedstawiciela Jacques'a Arnaulda. Założyłam, że Jenrette kupuje broń dla terrorystów, dlatego zaintrygowało mnie, że się z nim spotykasz. Przyznaję, że niemal przez cały wieczór zastanawiałam się, co tam robisz.
- Nick gorączkowo myślał. Jenrette, agent Dyrektoriatu, którego znał jako Vance'a Gifforda, reprezentował na „Armadzie” Jacques'a Arnaulda. Arnauld kupował broń dla terrorystów. Rozumując logicznie, oznaczało to, że Dyrektoriat popiera... ogólnoswiatowy terroryzm.
- Muszę się do niego dostać - powiedział cicho. - Koniecznie. Uśmiechnęła się smutno.
- Istnieje duże prawdopodobieństwo, że nic przez to nie zyskamy, ani ty, ani ja. Zresztą to najmniejsze zmartwienie. Ci ludzie są bardzo niebezpieczni, nie zawahają się przed niczym.
- Zaryzykuję - odrzekł Bryson. - Nie mam innego wyboru.

Naprowadził ich krzyk.

Mieli posprzątać, przeczesać wąskie, brukowane uliczki odchodzące od Prazo do Obradorio. Ponieważ ustalono już, że cel wymknął się z sieci, musieli teraz odnaleźć pozostałych członków grupy. Martwych załadowano do nieoznakowanych samochodów i zawieziono do miejscowej *mortuorio*. Przekupieni urzędnicy mieli sporządzić i podstemplować fałszywe świadectwa zgonu, a ciała pochować w bezimiennych grobach, natomiast krewni zmarłych - otrzymać pokaźne odszkodowanie i nie zadawać żadnych pytań. Taka była standardowa procedura.

Kiedy przeliczono żywych i martwych, okazało się, że brakuje dwóch członków zespołu: braci Sangiovannich, myśliwych z odległego północno--zachodniego zakątka Włoch. Szybko przeszukano ulice i uliczki. Nic, ani jednego, ani drugiego. Ponieważ bracia nie odpowiadali na wezwania radiowe, uznano, że prawdopodobnie nie żyją, lecz całkowitej pewności nie było. Procedura operacyjna zakładała, że rannych należy ewakuować lub dobić, dlatego tak czy inaczej musiano ich znaleźć i odhaczyć na liście.

W końcu członkowie jednego z zespołów poszukiwawczych usłyszeli stłumiony krzyk dochodzący z opuszczonego kościoła w głębi wąskiej uliczki. Wpadli do środka i znaleźli ich, najpierw jednego, potem drugiego. Obaj byli przemyślnie związani i zakneblowani, na szczęście knebel w ustach Niccolo trochę się poluzował. Gdyby nie to, nikt nie usłyszałby jego nawoływań i mogliby tam przeleżeć miesiąc.

- Chryste, dlaczego tak późno? - spytał po hiszpańsku, gdy wyjęto mu szmatę z ust. - Paolo stracił mnóstwo krwi! Mogliśmy tu umrzeć!

- Nigdy byśmy do tego nie dopuścili - odrzekł jeden z członków zespołu. Wyjął pistolet i dwa razy wypalił mu prosto w głowę. - Pęknięte ogniwa łańcucha należy wycinać.

Paolo leżał zwinięty w kłębek w wielkiej kałuży krwi. Był bardzo błydy i mocno drżał. Wiedział, co go czeka - zabójca poznał to po jego ciemnych, nieruchomych oczach. Kiedy

padły strzały, nawet nie zaskowyczał.

## Rozdział 10

Chantilly, Francja

Wspaniały Chateau de Saint-Meurice, olbrzymi siedemnastowieczny zamek, którego splendor podkreślała artystyczna iluminacja, stał trzydzieści pięć kilometrów od Paryża. Równie artystycznie i wspaniale prezentowały się otaczające go ogrody, oświetlone niczym scena przed występem słynnej gwiazdy. Scena to dobre określenie, ponieważ Chateau de Saint-Meurice był w rzeczy samej sceną, na której paradowali najbogatsi i najbardziej wpływowi. Robili starannie wyreżyserowane *entree*, wymieniali między sobą starannie wyreżyserowane uwagi, po czym -w starannie wyreżyserowany sposób - dostojnie wychodzili. Wszystko odbywało się jak w prawdziwym teatrze, ale nie istniał tu podział na widzów i aktorów: wszyscy byli i aktorami, i jednocześnie widzami. Przyjeżdżali do Chateau de Saint-Meurice, żeby sobie nawzajem zaimponować, żeby włożyć wyrafinowaną maskę i dobrze odegrać wyuczoną rolę.

Tego wieczoru okazją do przyjęcia było co prawda spotkanie europejskich ministrów handlu - w Paryżu miała akurat miejsce doroczna konferencja grupy G-7 -jednak obsada spektaklu była w gruncie rzeczy taka sama jak wielu poprzednich spektakli, które się tu odbywały. Przybyli najznamienitsi Paryżanie, *tout le beau monde*, a przynajmniej ci najważniejsi z najważniejszych. W salach roilo się od mężczyzn w najwykwintniejszych frakach i smokingach, od wytwornych kobiet obwieszonych klejnotami, które zazwyczaj spoczywały w domowych lub bankowych sejfach, a na dziedzińcu od szoferów, rolls-royce'ów i mercedesów. Byli to hrabiowie i hrabiny, baronowie i baronowe, wicehrabiowie i wicehrabiny -monarszy kwiat światowego biznesu, gwiazdy mediów i teatru, najwyżsi przedstawiciele Quai d'Orsay, reprezentanci wysublimowanych kręgów, w których śmietanka towarzyska miesza się ze śmietanką finansową.

Zwodzonym mostem i wiodącą do zamku aleją, oświetloną setkami świec, których płomienie tańczyły na lekkim, wieczornym wietrze, ciągnęli eleganccy mężczyźni o srebrzystych włosach, jak również mężczyźni mniej eleganccy, krępi, brzuchaci i łysiejący, ludzie, których wygląd stał w sprzeczności z potężną władzą, jaką dzierżyli - na ramionach tych ostatnich, choć nie wszystkich, wisiały świeżo nabyte ozdoby, piękne, długonogie metresy, którymi ich właściciele chcieli się pochwalić.

Bryson miał na sobie smoking z Le Cór de Chasse, natomiast Layla efektowną czarną suknię bez ramiączek od Diora. Jej szyję zdobił krótki sznur pereł, skromnych i dyskretnych, aczkolwiek pięknych. Nick bywał na takich przyjęciach wielokrotnie i chociaż powinien wtopić się w tłum i udawać jednego z nich, zawsze czuł się jak postronny obserwator. Pewność siebie i dystygowane maniere miał we krwi, lecz wiedział, że należy do zupełnie innego świata.

Natomiast Layla czuła się jak ryba w wodzie. Lekki, prawie niewidoczny makijaż - błyszcząca szminka, cień tuszu na powiekach - podkreślał jej naturalną urodę, a zwłaszcza oliwkową cerę i duże, czyste, brązowe oczy. Włosy miała upięte w kok, choć kilka niesfornych kosmyków - celowo uwolnionych i artystycznie podkreconych - spływało na jej długą, łabędią szyję, a śmiały, aczkolwiek gustowny dekolt uwydatniał krągłość jej wspaniałych piersi. Z powodzeniem mogła uchodzić zarówno za Żydówkę, jak i za Arabkę. Uśmiechała się swobodnie, wesoło się śmiała, oczy miała ciepłe i zapraszające, jednocześnie trzymające na dystans.

Powitało ją kilkoro gości, którzy zdawali się znać ją jako izraelską dyplomatkę z ministerstwa spraw zagranicznych w Tel Awiwie, kobietą tajemniczą i wysoce ustosunkowaną. Znali ją, lecz w sumie jej nie znali: agent operacyjny nie mógłby

wymarzyć sobie lepszej sytuacji. Poprzedniego dnia zatelefonowała do przygodnego znajomego z Quai d'Orsay, zaufanego Jacques'a Arnaulda i głównego organizatora wystawnych bankietów w Chateau de Saint-Meurice. Był zachwycony, że Layla jest w Paryżu, i absolutnie zdruzgotany wiadomością, że nie została zaproszona na przyjęcie, co było - co po prostu musiało być - zwykłym, acz niewybaczalnym przeoczeniem. Nalegał, żeby mimo to przyszła, tłumaczył, że gdyby odmówiła, monsieur Arnauld byłby zaskoczony, urażony i zatrwożony. Osoba towarzysząca? Ależ naturalnie, ależ oczywiście - doskonale wiedział, że uroczą Laylę rzadko kiedy odwiedza ich sama.

Taktykę działania omawiali do późnej nocy. Przedsięwzięcie było bardzo ryzykowne, zwłaszcza teraz, po katastrofie „Hiszpańskiej Armady”. Wiedzieli, że z wybuchu nie uszedł z życiem nikt, kto mógłby ich rozpoznać, lecz wiedzieli też, że śmierci ludzi takich jak Calacanis czy innych, równie potężnych handlarzy bronią lub ich wysłanników, towarzyszy dyskretnie, aczkolwiek śmiertelnie niebezpieczne popiskiwanie systemów alarmowych, włączających się w rozrzuconych po całym świecie gabinetach i sekretariatach. Ludzie wpływowi i superbogaci, ci, którzy czerpali pełnymi garściami z intratnego handlu bronią, byli teraz w stanie podwyższonej czujności i gotowości bojowej. Jacques Arnauld stracił jedno z najważniejszych źródeł zaopatrzenia, dlatego musiał mieć się na baczności - kto mógł zagwarantować, że eksplozja na okręcie Calacanisa nie jest tylko pierwszym strzałem w ogólnoświatowej wojnie przeciwko nielegalnemu handlowi bronią? Tak, jako jeden z głównych producentów i dostawców uzbrojenia dla francuskiej armii Arnauld musiał zachować wyjątkową ostrożność i przezorność.

Layla była przedtem zielonooką blondynką, dlatego przynajmniej ona radykalnie zmieniła wygląd. Ale Bryson nie mógł ryzykować. Jeśli kamery na „Hiszpańskiej Armadzie” współpracowały z satelitarnym systemem bezpieczeństwa, istniało duże prawdopodobieństwo, że jego podobizna krążyła w tej chwili po komputerowych bazach danych największych agencji ochroniarskich na świecie.

Dlatego poprzedniego dnia dokonał kilku zakupów w sklepie z artykułami charakteryzatorskimi koło opery, dzięki którym jego aparycja uległa dość spektakularnej transformacji. Włosy miał teraz jasne, siwosrebrzyste. Wkładki policzkowe zaokrągliły mu twarz, a lateksowe worki pod oczami i sztuczne zmarszczki wokół ust skutecznie przydały mu lat. Specjaliści z wydziału technicznego Dyrektoriatu dobrze go przeszkolili, dlatego wiedział, że najważniejsze jest umiarkowanie: subtelne zmiany i poprawki dawały najlepszy efekt i nie wzbudzały podejrzeń. Wyglądał co najmniej dwadzieścia lat starzej, jak stateczny, dystygowany dżentelmen i człowiek sukcesu, który ma uznaną pozycję i często bywa w Chateau de Saint-Meurice. James Collier, bankier i inwestor z Santa Fe w Nowym Meksyku, obracał również kapitałem spekulacyjnym, więc unikał rozgłosu i był bardzo małomówny, a co dociekliwsze pytania zbywał grzecznie i z autoironią.

Wynajęli pokój w małym, względnie tanim i anonimowym hotelu przy rue Trousseau, który wyróżniał się jedynie przeciętnością. Ani on, ani ona nigdy tam przedtem nie mieszkali. Przylecieli do Paryża osobnymi samolotami, Bryson via Frankfurt, Layla via Madryt. Oczywiście nie uniknęli pewnych niezręczności w związku z pokojami, z tym, gdzie i jak mieli spać. Podróżowali jako para. Pary zwykle sypiają w jednym łóżku, a przynajmniej w tym samym pokoju, mimo to Bryson poprosił o dwa przylegające do siebie numery. Owszem, było to dość niezwykle, lecz równie dobrze mogło być przejawem staromodnej przyzwoitości i dyskrecji. Tymczasem tak naprawdę zrobił to z zupełnie innego powodu: nie chciał ulec pokusie. Layla była piękną, bardzo pociągającą kobietą, a on za długo żył w celibacie. Ale nie, wmówił sobie, że nie wolno naruszać delikatnej równowagi, która się między nimi wytworzyła. A może bał się, że Layla uspi jego czujność? Może po prostu chciał zachować dystans, dopóki nie skreśli znaku zapytania, jakim była w jego życiu Elena?

Layla prowadziła go przez zatłoczoną komnatę, uśmiechając się, pozdrawiając znajomych i opowiadając mu o zamku.

- Podobno zbudował go jeden z ministrów Ludwika XIV. Gmach był tak okazały, oczekiwał



tak wielkim przepychem, że wzbudził zazdrość samego króla, który kazał aresztować ministra, ukradł mu architekta, ogrodnika i wszystkie meble, po czym w przyływie zawiści poprzysiął sobie, że nie da się nikomu prześcignąć, i rozpoczął budowę Wersalu. Bryson słuchał, uśmiechał się dwornie, jak krezus stosownie zainteresowany otoczeniem, jednocześnie cały czas omiatał wzrokiem tłum, czujnie wypatrując znajomych twarzy i uciekających w bok spojrzeń. Robił to niezliczoną ilość razy, jednak ta akcja była zupełnie inna i wyjątkowo denerwująca. Nie znał terenu, nie miał szczegółowo opracowanego planu i musiał improwizować, polegając na instynkcie.

Dokładnie co -jeśli w ogóle cokolwiek - łączyło Jacques'a Arnaulda z Dyrektoriatem? Nasłani na Nicka zabójcy, bracia Sangiovanni, współpracowali z jego człowiekiem, mężczyzną w dwurzędowym garniturze, który załatwiał na „Armadzie” interesy z Calacanisem. Paolo i Niccolo byli najemnikami Dyrektoriatu, co sugerowałoby, że Arnauld ma z Dyrektoriatem coś wspólnego. Co więcej, Yance Gifford, agent Wallera podający się za niejakiego Jenrette'a, przyleciał na „Hiszpańska Armadę” w towarzystwie wysłannika Jacques'a Arnaulda.

Były to same poszlaki, lecz gdy zebrał je i odpowiednio poukładał, utworzyły bardzo sugestywną mozaikę: Arnauld należał do tajemniczej grupy ludzi, którzy przejęli władzę nad Dyrektoriatem.

Bryson potrzebował jedynie dowodu. Mocnego, niepodważalnego dowodu.

Ten dowód niewątpliwie gdzieś był, pytanie tylko gdzie?

Według Layli Izraelczycy uważali, że firma Arnaulda pierze brudne pieniądze rosyjskiej mafii, kwoty astronomicznej wprost wielkości. Mosad ustalił, że sam Arnauld załatwia służbowe telefony właśnie tu, w swoim zamku, jednak liczne próby ich przechwycenia spaliły na panewce. Jego system łączności był stuprocentowo szczelny i strzeżony przez wyrafinowane systemy kodujące, co z kolei sugerowało, że gdzieś w zamku musi istnieć centrum telekomunikacyjne, wyposażone przynajmniej w tak zwany „czarny telefon”, urządzenie szyfrujące i rozszyfrowujące rozmowy telefoniczne, faksy i przekazy internetowe.

Przechodząc z komnaty do komnaty, krążąc między gośćmi, zauważył obrazy wiszące na ścianach, co podsunęło mu pewien pomysł.

W małym pomieszczeniu na piętrze siedziało dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach. Półmrok rozświetlała jedynie trupioblada, migotliwa poświata sącząca się z kilkunastu rzędów wysokiej rozdzielczości monitorów. Stare, kamienne ściany pokrywał artystyczny kolaż z nierdzewnej stali, wypolerowanego chromu, światłowodów i lamp elektropromieniowych. Każdy z monitorów pokazywał fragment jednej z komnat na parterze. Dziesiątki miniaturowych kamer ukrytych przed wzrokiem gości w ścianach, w futrynach i w armaturze przekazywało dokładny obraz tego, co się tam działo. Kamery były tak czułe, że kiedy obsługujący je ludzie robili zbliżenie czyjeś twarzy, twarz ta zajmowała cały ekran, dzięki czemu mogli porównać jaz cyfrowymi wizerunkami milionów innych twarzy przechowywanymi w komputerowej bazie danych, zwanej Siecią. Każda osoba budząca wątpliwości czy podejrzenia była identyfikowana, po czym, w razie potrzeby, dyskretnie wypraszana z zamku.

Guzik, dźwignia, potencjometr - kamera zrobiła maksymalne zbliżenie i na ekranie ukazała się pomarszczona, lekko zaokrąglona twarz mężczyzny o srebrzystych włosach, który figurował na liście gości jako James Collier z Santa Fe w Nowym Meksyku.

Czuwający na piętrze ochroniarze zwrócili na niego uwagę nie dlatego, że go rozpoznali, lecz dlatego, że go nie znali. James Collier był obcy, a człowiek obcy, taki, o którym praktycznie nic nie wiadomo, jest zawsze źródłem niepokoju.

Gisele, żona Jacques'a Arnaulda, była posagową kobietą o arystokratycznych manierach, orlim nosie i czarnych, przyprószonych siwizną włosach. Jej linia włosów przebiegała nienaturalnie wysoko, a skóra twarzy była nienaturalnie napięta, co sugerowało regularne wizyty w jednej ze szwajcarskich klinik. Bryson wypatrzył ją w bibliotece: stała otoczona wianuszkami wielbicieli, którzy spijali jej z ust każde słowo; poprzedniego dnia spędził

kilka godzin w Bibliotheque National de France, ślęcząc nad rubrykami towarzyskimi „Paris Matcha”, dlatego bez trudu ją rozpoznał.

Słuchacze musieli być oczarowani jej błyskotliwością, urokiem osobistym i poczuciem humoru, gdyż niemal każdą uwagę przyjmowali głośnym wybuchem śmiechu. Bryson wziął dwa kieliszki szampana z tacy krążącego wśród gości kelnera, podał jeden z nich Layli i wskazał obraz wiszący za plecami madame Arnould. Zaintrygowany szybko podszedł bliżej i stając niemal tuż za nią, głośno powiedział:

- Fantastyczny, prawda? Widziałas jego Napoleona? Niezwykłe płótno. Napoleon jako rzymski cesarz. Wygląda jak pomnik, jak żywy symbol.

Zagrywka poskutkowała: dumna właścicielka nie mogła się oprzeć pokusie i odwróciła głowę, żeby przysłuchać się rozmowie dotyczącej jej własnych obrazów.

- Prawda? - rzuciła, posyłając Brysonowi łaskawy uśmiech. - Czy kiedykolwiek widział pan spojrzenie równie hipnotyzujące jak to, którym obdarzył go Ingres?

Bryson uśmiechnął się i rozpromienił, jakby nareszcie znalazł pokrewną duszę. Pochylił głowę i wyciągnął do niej rękę.

- Madame Arnould. Bardzo mi miło. James Collier. Cudowny wieczór.

- Zechcą państwo wybaczyć - powiedziała pani Arnould do swoich wielbicieli, grzecznie ich odprowadzając. Podeszła bliżej i płynną angielszczyzną zagaiła: - Widzę, że jest pan wielbicielem Ingresy.

- Rzekłbym, że pani Ingresy, madame. Pani kolekcja jest odzwierciedleniem wyrafinowanego smaku i wnikliwego oka. Pozwoli pani, że przedstawię jej mój a przyjaciółkę. Layla Sharett z ambasady izraelskiej.

- My już się znamy - odrzekła gospodyni domu. - Bardzo się cieszę, że zechciała pani nas odwiedzić. - Wzięła ją pod rękę, lecz ani na chwilę nie spuszczała wzroku z twarzy Brysona. Przed laty musiała być kobietą niezwyklej urody i nawet teraz, a miała już prawie siedemdziesiątkę, była nie lada kokietką. Potrafiła sprawić, że rozmawiający z nią mężczyzna czuł się najbardziej fascynującym gościem w salonie, że pozostali bledli przy nim i gaśli. - Mój mąż twierdzi, że Ingres jest nudny. Ale cóż, Jacques nie jest koneserem sztuki jak pan.

Bryson miał teraz szansę poznać Arnoulda, lecz tego nie chciał. Wprost przeciwnie, wolał nie zwracać na siebie jego uwagi. W zadumie pokręcił głową i westchnął:

- Gdyby tylko Ingres miał szczęście namalować panią... Madame nachmurzyła czoło, lecz w głębi duszy czuła się mile polecthana.

- Mnie? Mój portret? Ale drogi panie, nigdy w życiu bym się na to nie zgodziła!

- Niektóre malował bardzo długo, prawda? Biedna madame Moitessier pozowała mu przez dwanaście lat...

- A on zrobił z niej Meduzę z mackami zamiast palców!

- Mimo to portret jest niezwykle.

- Moim zdaniem nieco klaustrofobiczny.

- Podobno używał czasami *camery lucidy*. Można by powiedzieć, że szpiegował swoje modelki, dopóki nie wychwycił ich najbardziej intrygujących cech.

- Naprawdę?

- Tak, ale chociaż szczerze podziwiani jego oleje, moim zdaniem nie umywają się nawet do jego rysunków i szkiców, nie sądzi pani? -Wiedział, że Arnouldowie mają w swojej kolekcji kilka rysunków Ingresy; wisiały w pomieszczeniach, do których goście nie mieli prawa wstępu.

- Ależ absolutnie! - wykrzyknęła madame Arnould. - Chociaż sam twierdził, że są kiczowate.

- Tak, tak... Kiedy żył w nędzy w Rzymie, musiał zarabiać na chleb rysowaniem swoich gości i turystów. Wiele najwspanialszych dzieł sztuki powstało tylko dlatego, że głodujący artysta musiał zapewnić sobie byt. Fakt pozostaje faktem: w rysunkach przeszedł sam siebie. To cudowne zastosowanie bieli i kontrastu przestrzennego, sposób, w jaki wychwytuje światło... Prawdziwe arcydzieła.

Madame Arnauld zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu.

- Powiem panu w tajemnicy, że w sali bilardowej mamy kilka jego szkiców...

Podstęp wypalił i pani Arnauld zaprowadziła ich do prywatnych komnat zamku. Chciała pokazać im rysunki osobiście, lecz Bryson grzecznie odmówił. Nie, ależ skąd, przecież nie mogą pozbawiać gości jej towarzystwa, ale gdyby nie miała nic przeciwko temu, chętnie rzucą na nie okiem sami.

Kiedy szli korytarzami, mijając po drodze mniejsze i przytulniej urządzone pokoje i salony, których ściany zdobiły obrazy mniej znanych francuskich malarzy, Bryson odtwarzał w pamięci rozkład pomieszczeń zamku. Do tej części zadania przygotował się znakomicie: w Bibliotheque de France odszukał i dokładnie przestudiował plany Chateau de Saint-Meurice. Było mało prawdopodobne, żeby Arnauldowie dokonali znaczących przeróbek architektonicznych - zmiany mogły dotyczyć jedynie sposobu wykorzystania poszczególnych pomieszczeń, sypialni, toalet i biur, lokalizacji gabinetów, w tym prywatnego gabinetu Jacques'a Arnaulda.

Szli pod rękę, skręcając to w lewo, to w prawo. Wtem zza najbliższego rogu dobiegły ich przytłumione głosy.

Zastygli bez ruchu. Głosy stały się wyraźniejsze, lepiej słyszalne. Dwóch mężczyzn. Rozmawiali po francusku, lecz jeden z nich mówił z obcym akcentem. Nick zmarszczył czoło. Rosjanin? Rosjanin. Prawdopodobnie z Odessy.

- ...wrócić na przyjęcie - rzekł Francuz.

Rosjanin powiedział coś, czego Bryson nie zrozumiał.

- Ale po Lilie - odrzekł Francuz - poruszenie będzie tak wielkie, że droga stanie otworem.

Bryson dał Layli znak, żeby została na miejscu, i przywarłszy plecami do ściany, centymetr po centymetrze zaczął się przesuwać do przodu.

Maksymalnie skupiony wyteżył słuch. Nie, nikt ku nim nie szedł. Wyjął z butonierki coś, co wyglądało jak srebrny długopis, wysunął z czubka cienki, szklisty przewód i szybko go rozciągnął. Światłowód miał czterdzieści pięć centymetrów długości. Nick zagiął go na końcu, końcówką powoli wystawił za róg i spojrzał w maleńki okular u nasady długopisu. Tak, było ich dwóch. Jeden w okularach w grubej, czarnej oprawie, elegancko ubrany, krępy i zupełnie łysy. Jacques Arnauld. Drugi był wysoki i rumiany i Bryson rozpoznał go dopiero po chwili. Anatolij Prisznikow.

Prisznikow. Krezus trzęsący tronem Rosji, człowiek, który wedle powszechnej opinii rozkazywał marionetce zasiadającej w prezydenckim gabinecie na Kremlu.

Nick lekko przesunął światłowód i aż drgnął. Tuż za rogiem dostrzegł trzeciego mężczyznę, uzbrojonego strażnika. Ponownie przesunął światłowód i mniej więcej w połowie korytarza, o kilka kroków od Prisznikowa i Arnaulda, ujrzał drugiego strażnika. Ten siedział przy dużych, stalowych drzwiach.

Przy drzwiach do prywatnego gabinetu Jacques'a Arnaulda.

W tej części zaniku nie było okien, lecz jemu nie chodziło o widoki, tylko o bezpieczeństwo.

Wyglądało na to, że mężczyźni zaraz skończą rozmawiać. I rzeczywiście skończyli, lecz zamiast ruszyć w ich stronę, odeszli w stronę przeciwną. Na szczęście: Bryson i Layla nie musieli uciekać.

Złożywszy światłowód, Nick schował go do butonierki, zerknął na Laylę i skinął głową. Zrozumieli się bez słów: cel namierzony. Sztab, z którego Arnauld kierował swoją działalnością, zlokalizowany.

Bryson zawrócił i po cichu, krok za krokiem, dotarł do otwartych drzwi, które przed chwilą minęły. Prowadziły do ciemnego, skromnie umeblowanego i najwidoczniej rzadko wykorzystywanego salonu. Spojrzał na podświetloną tarczę swego patek phillippe'a i gdy upłynęło sześćdziesiąt sekund, dał Layli znak, po czym wszedł do środka.

Layla ruszyła korytarzem, zataczając się i chwiejąc jak pijana. Nagle roześmiała się do siebie na tyle głośno, że usłyszał ją czuwający za rogiem ochroniarz.

- Niemożliwe - wybełkotała. - Niemożliwe. Tu musi być jakiś kibelek...

Skręciwszy w lewo, natknęła się na strażnika siedzącego w delikatnym, antycznym fotelu. Ten wyprostował się i obrzucił ją groźnym spojrzeniem.

- *Puis-je vous aider?* - spytał sztywno nie znoszącym sprzeciwu głosem. Miał niewiele ponad dwadzieścia lat, czarne, krótko przystrzyżone włosy, krzaczaste brwi, nalaną twarz, cień zarostu na policzkach i wojowniczo zaciśnięte usta.

Layla zachichotała i podeszła bliżej.

- Czym? - odrzekła z prowokacyjnym uśmiechem. - Nie wiem, nie wiem... Naprawdę chciałby mi pan pomóc? Proszę, proszę, *un homme, un vrai*. Nareszcie prawdziwy mężczyzna. Nie to co ci tam, *samepedes*, młode cioty i stare kozły.

Uznawszy, że piękna, acz mocno pijana dziewczyna nie stanowi zagrożenia dla bezpieczeństwa szefa, ochroniarz odprężył się nieco i złagodniał. Poczerwieniały mu policzki. Nie ulegało wątpliwości, że jej pyszne ciało - a zwłaszcza bujne piersi ukryte za śmiałym dekoltem czarnej sukni - zrobiło na nim duże wrażenie.

- Przykro mi, mademoiselle - odrzekł nerwowo - ale nie może pani tędy przejść.

Layla uśmiechnęła się ponętnie, przytrzymując się ręką ściany.

- A po co miałabym gdzieś iść? - spytała matowym głosem. - Wygląda na to, że znalazłam już to, czego szukałam... - Wypiąwszy piersi, zakołysała biodrami i podeszła jeszcze bliżej.

Młody ochroniarz otarł czoło i zerknął na swego kolegę, który siedząc w połowie długiego korytarza i nie zwracał na nich uwagi.

- Mademoiselle, bardzo panią proszę...

- Czy pomógłby mi pan znaleźć tę... toaletę? - przerwała mu Layla wymownym szeptem.

- Musi pani zawrócić - odrzekł, na próżno siląc się na obojętność. - Toaleta jest na końcu korytarza, którym pani przyszła.

- Ciągle się tu gubię - tchnęła, sugestywnie oblizując wargi - więc gdyby zechciał pan...

Ochroniarz ponownie zerknął na kolegę i niepewnie odchrząknął.

- No więc? - dodała Layla, wymownie unosząc brwi. - Może mnie pan... oprowadzić? Zrobimy razem króciutką wycieczkę, hmm? Strażnik wstał.

- Dobrze, mademoiselle. Proszę za mną.

Nie wiedziała, dokąd ją zaprowadzi. Gdyby wszedł do salonu, w którym czekał Bryson, czekałaby go niespodzianka równie przykra jak cios ręki Nicka. Ale nie, wszedł do innego pomieszczenia, do pięknie umeblowanej *chambre defumeur*, i z wilczym uśmiechem zamknął za sobą drzwi.

Nadeszła pora na realizację planu B. Layla odwróciła się do niego z wyczekującym uśmiechem na twarzy.

Tymczasem Bryson skręcił za róg i niespiesznym krokiem ruszył w stronę ochroniarza czuwającego samotnie przed drzwiami gabinetu

Jacques'a Arnaulda. On też udawał pijanego, choć robił to w zupełnie innym celu.

- Monsieur - rzucił ochroniarz ni to w charakterze powitania, ni ostrzeżenia.

Bryson zatoczył się lekko, pokazał mu złotą zapalniczkę i z niesmakiem pokręcił głową.

- Cholera jasna! - zaklął po angielsku. - Nie uwierzysz pan. Pamiętałem o zapalniczce, ale zapomniałem papierosów!

- *Sir?*

- *Vous n'auriez pas une cigarette?* - spytał Bryson, nie przestając wymachiwać zapalniczką. - Jesteś Francuzem, na pewno palisz.

Ochroniarz usłużnie sięgnął do kieszeni i w tym samym momencie Nick pstryknął zapalniczką, z której zamiast płomienia wytrysnął strumień silnego środka obezwładniającego. Zanim strażnik zdążył sięgnąć po broń, oddziałująca na system nerwowy ciecz oślepiła go i sparaliżowała. Kilka sekund później runął na podłogę jak szmaciana kukła.

Bryson szybko posadził go w fotelu i złożył mu ręce na kolanach. Z doświadczenia wiedział, że ludziom porażonym substancją paraliżującą neurony nie wolno otwierać oczu,

więc nawet nie próbował tego robić. Z daleka ochroniarz wyglądał tak, jakby wciąż czuwał, z bliska zaś jakby zasnął na służbie. I dobrze.

Oprócz obezwładniającego sprayu Nick kupił w Paryżu kilka innych poręcznych drobiazgów, łącznie ze skanerem dekodującym i radiową sondą przeszukującą, lecz po szybkich oględzinach pancernych drzwi stwierdził, że przyda mu się tylko jedno urządzenie. Nie ulegało wątpliwości, że wyjeżdżając na dłużej, Arnauld włączał system alarmowy, jednak ponieważ przed chwilą tu był i niewykłuczone, że zamierzał wkrótce wrócić, po prostu zatrzasnął za sobą drzwi. Chociaż zamykały się automatycznie, dostępu do nich bronił zwykły zamek bębnowo-zapadkowy. Nick wyjął z kieszeni mały wytrych rewolwerowy - z powodzeniem używał go od lat, ponieważ narzędzie to było szybsze i skuteczniejsze w działaniu niż wytrych tradycyjny - wsunął go do zamka, kilka razy poruszył stalowym trzpieniem i ciężkie drzwi stanęły otworem.

Wszedł do środka, zapalił latarkę i zdumiony rozejrzał się wokoło. W pomieszczeniu nie było ani półek, ani segregatorów, ani zamykanych na klucz metalowych szafek na akta. Urządzono je i wyposażono z wojskową wprost surowością. Stała tam tylko sofa, dwa krzesła, stolik do kawy, mahoniowy stół w charakterze biurka, a na stole lampa i dwa telefony...

Telefon.

Tak, a jakże! Czarno-szary, stosunkowo niewielki i płaski, wyglądał całkiem zwyczajnie, jak każdy inny biurowy telefon z wieczkiem, jednak Bryson natychmiast go rozpoznał. Widział takich bardzo dużo, choć musiał przyznać, że tamte były znacznie większe, cięższe i mniej zgrabne. Najnowszy model satelitarne telefonu szyfrującego z wbudowaną w wieczko anteną i modulatorem częstotliwości radiowej - jego sercem był studwudziestoośmiobitowy mikroukład, elektroniczny chip z algorytmem wykorzystującym nieliniowy system kodowania, system zwijania stałego oraz skomplikowane programy konwersji aktywnej. Założenie podsłuchu niczego by nie dało, ponieważ urządzenie nigdy nie wysyłało kodu szyfrującego i przechwycona transmisja brzmiałaby jak niezrozumiały bełkot. Ponieważ aparat wyposażono w łącza satelitarne, można go było używać w każdym zakątku świata.

Nick pracował szybko i wprawnie. Drzwi były zamknięte, ochroniarz miał spać co najmniej pół godziny, lecz do gabinetu mógł wrócić Jacques Arnauld. Gdyby stwierdził, że jeden strażnik śpi, a drugi gdzieś zniknął, pewnie przypisałby to - przynajmniej początkowo - wesołej atmosferze przyjęcia, która ogarnęła również jego goryli. Oczywiście mógłby tak pomyśleć tylko wówczas, gdyby Layla zdołała przetrzymać w toalecie napalonego ochroniarza. Nie wiedzieć czemu, ani przez chwilę nie wątpił, że dziewczyna znakomicie sobie poradzi.

Tak więc pozostało mu jedno: szybko załatwić sprawę i jeszcze szybciej zniknąć.

Na mahoniowym biurku leżały elektroniczne wnętrzości telefonu. Wyjąwszy z gniazda chip, Bryson obejrzał go uważnie w silnym świetle lampy.

Dokładnie to spodziewał się znaleźć. Mikroprocesor był dość duży, jak większość procesorów z krótkiej, unikatowej serii, która znalazła zastosowanie wyłącznie w aparaturze szyfrującej najnowszej generacji. Już to, że Arnauld miał podobny sprzęt na swoim biurku, było wystarczającym dowodem, że ściśle współpracuje z międzynarodową organizacją, której członkom zależało na zachowaniu maksymalnych środków bezpieczeństwa. Czyżby organizacją tą był Dyrektoriat?

Nick wyjął z kieszeni przedmiot przypominający wyglądem miniaturowy odbiornik radiowy. Wetknął chip do małego gniazda w jego obudowie, włączył urządzenie i spojrzął na światelko sygnalizacyjne. Z zielonego zmieniło się na czerwone, a dziesięć sekund później ponownie na zielone: transfer danych dobiegł końca. Bryson wyteżył słuch, ale w korytarzu panowała cisza. Ponownie wziął się do pracy. Wyjął chip, wetknął go do gniazda w płycie głównej telefonu i założył obudowę. Koniec. Elektroniczny czytnik wchłonął całą zawartość mikroprocesora, jego „klucz”, nieskończenie długi ciąg liczb binarnych i algorytmicznych instrukcji. Kod szyfrujący uległ zmianie, ilekroć podnoszono

słuchawką telefonu, nigdy się nie powtarzał, był niczym samonakrywający się stół jednokrotnego użytku. Ale teraz wszystkie możliwe kombinacje zostały zarejestrowane. Od wykorzystania tych informacji byli inni, ci, którzy specjalizowali się w tej wysoce specjalistycznej dziedzinie informatyki.

Chwilę później Bryson wracał już na przyjęcie. Ochroniarz wciąż spał. Gdy się ocknie, szybko przypomni sobie, co się stało, lecz istniało duże prawdopodobieństwo, że nie zaalarmuje kolegów, gdyż musiałby im zdradzić, że obezwładnił go jeden, w dodatku starszy od niego mężczyzna, a to z kolei oznaczało natychmiastowe zwolnienie z pracy.

Młody ochroniarz miał opuszczone do kostek spodnie i rozchełstaną koszulę - stał, przygotowując się na przyjęcie końcowej gratyfikacji. Layla głąskała go po obnażonym brzuchu i całowała w szyję, zdecydowana przeciągnąć sprawę dopóty, dopóki się da. Zerknęła na maleńki, złoty zegarek. Według planu to już zaraz, teraz...

Cichy chrobot z korytarza.

Umówiony sygnał. Bryson zdążył w samą porę.

Podniosła z podłogi czarną aksamitną torebkę i poklepała ochroniarza po policzku.

- *Allons* - rzuciła krótko, idąc do drzwi.

Ochroniarz rozdziawił usta. Twarz nabiegła mu krwią, oczy pały żądzą.

- *Les plus grands plaisirs sont ceux qui ne sont pas réalisés*. Największa przyjemność to przyjemność nie zrealizowana - szepnęła Layla, wyslizgując się z pokoju. - Ale nigdy cię nie zapomnę, przyjacielu.

Jej wieczorowa torebka była teraz trochę cięższa niż poprzednio, gdyż spoczywała w niej beretta. Layla wiedziała, że bez względu na to, w jak wielką wpadnie wściekłość, ochroniarz nie powie na nią złego słowa, gdyż musiałby przyznać się tym samym do niewybaczalnego zaniedbania obowiązków. Zerknęła do lusterka, poprawiła szminkę i wróciła na przyjęcie, wchodząc do komnaty przez salę bankietową. Bryson też właśnie wrócił.

W sali bankietowej kwartet smyczkowy grał muzykę kameralną, podczas gdy z sali sąsiedniej dochodził łoskot bębnow i upiorny ryk syntetyzatorów. Dźwięki mieszały się ze sobą, tworząc dziwną kakofonię, w której osiemnastowieczna mozartowska elegancja zdecydowanie przegrywała z jazgotliwym, rozdzierającym uszy dwudziestopiętnastowiecznym rockiem.

Bryson objął Laylę w talii i szepnął:

- Mam nadzieję, że dobrze się bawiłaś.

- Bardzo śmieszne - wymruczała. - Szkoda, że się nie zamieniliśmy. Załatwiłeś?

Nick już miał odpowiedzieć, gdy wtem w przeciwległym rogu komnaty dostrzegł znajomą łysinę. Jacques Arnauld. Rozmawiał z mężczyzną w smokingu, w którego uchu tkwiła mała słuchawka, co oznaczało, że jest to jeden z jego ochroniarzy. Arnauld kiwał głową i rozglądał się po sali. Wtem podbiegł do niego drugi mężczyzna: wyraźnie zdenerwowany, żywo gestykulował. Naradzali się chwilę przyciszonymi głosami i Arnauld zerknął w stronę Brysona. Ostrzeżono go, doniesiono mu o naruszeniu wewnętrznego systemu bezpieczeństwa. Nick nie miał wątpliwości, że Francuz patrzy prosto na niego, i zastanawiał się, czy zdradziły go kamery zamontowane w korytarzu przed gabinetem. Wiedział, że mogły tam być - ich obecność czy nieobecność była wkalkulowanym ryzykiem - ale gdyby nie zrobił nic, ryzykowałby jeszcze bardziej.

Odpowiedź nadeszła kilka sekund później, gdy ochroniarze Arnaulda odwrócili się nagle, rozdzielili i z dwóch stron ruszyli przez tłum w ich kierunku. Byli tak pochłonięci zadaniem, że co krok na kogoś wpadali. Do sali wbiegł trzeci ochroniarz i Nick natychmiast zrozumiał, co knują: obstawiwszy wszystkie trzy wyjścia, chcieli odciąć im drogę ucieczki.

Kamery wewnętrznego systemu bezpieczeństwa rzeczywiście śledziły ich każdy krok, spacer korytarzami i potajemne wejście Brysona do gabinetu Arnaulda, choć biorąc pod uwagę opóźnienie, z jakim zareagowali, niewykluczone, że zarejestrowały jedynie moment jego wyjścia.

A teraz? Teraz byli otoczeni.

Layla ścisnęła go boleśnie za rękę - ona też zauważyła zaciskające się na nich kleszcze. Możliwości mieli niewiele. Ludzie Arnaulda chcieli zatrzymać ich po cichu, nie

wzbudzając niepokoju wśród gości - pozory przede wszystkim - dlatego Bryson założył, że broni użyją jedynie w ostateczności. Z drugiej strony nie wątpił, że zarówno oni, jak i sam gospodarz domu zareagują zdecydowanie i bezwzględnie. Jeśli będą musieli strzelać, na pewno otworzą ogień. Czas na kłamlive wyjaśnienia przyjdzie później, kiedy już ich wykończą.

Gdyby nie tłum gości i rozkaz chcącego zachować dyskrecję Arnaulda, ochroniarze dotarliby do nich znacznie szybciej. Bryson poczuł, że Layla wciska mu coś do ręki. Szybko zerknął w dół. Torebka? Po cholere mu torebka? Widział, że jest wypchana, i domyślił się, że dziewczyna rozbroiła strażnika, tego z toalety, ale przecież musiała wiedzieć, że on też ma broń.

Layla nie ustępowała, więc w końcu wziął torebkę, otworzył ją i natychmiast wszystko zrozumiał. Niewielki cylindryczny pojemnik, pamiątka z „Hiszpańskiej Armady” - ukrył go za plecami, wyszarpnął zawleczkę i rozwarł palce. Granat upadł na kamienną posadzkę, odtoczył się dobrych kilka metrów i z cichym sykiem zaczął wypuszczać gęsty, szary dym. Kilka sekund później podłogę przesłoniła ciemna, skłębiona chmura, która sunęła do góry, wypełniając salę cuchnącym zapachem siarki.

Gdy w tłumie gości buchnął przeraźliwy krzyk - *Aufeul*, „Pożar!”, „Uciekać!” - ochroniarze byli półtora, najwyżej dwa metry od nich. Do pojedynczych okrzyków przerażenia szybko dołączyły inne i już po chwili w całej sali rozbrzmiewał histeryczny wrzask kobiet i mężczyzn. Dystyngowani, elegancko ubrani goście zmienili się w stado ogarniętych paniką lemingów pędzących na oślep do wyjścia. Czujniki wykryły dym i w całym zamku rozdzwoniły się alarmowe dzwonki. Mozart umilkł, umilkł i rock: muzycy rzucili się do ucieczki. Rozpędzony tłum parł przed siebie, tratując się, rozpychając i porywając ze sobą tych, którzy stali w miejscu, między innymi Laylę i Brysona.

Gdy tylko wybiegli na dwór, Nick chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą w kierunku artystycznie przyszyronych krzewów, w których ukrył motocykl, potężną maszynę marki BMW. Wskoczył na siodełko, kopnął pedał rozrusznika i dał Layli znak, żeby usiadła za nim.

Chwilę później przemknęli z rykiem przez dziedziniec, zostawiając za sobą wylewający się z zamku tłum i rząd limuzyn zajeżdżających na podjazd, by ratować swych ogarniętych paniką właścicieli. Nim upłynęły trzy minuty, gnali już autostradą A-1 w kierunku Paryża. Ale nie byli sami.

Wyprzedzając samochód za samochodem, Nick zauważył, że jedzie za nimi mały, czarny sedan, że stale przyspiesza, że coraz bardziej się do nich zbliża. Trzydzieści metrów, piętnaście, sześć... Zerknął w boczne lustro: samochód nie tylko się zbliżał, ale i dziko szarżował, zarzucał to w lewo, to w prawo. Ale nie, nie wpadł w poślizg: te dziwaczne manewry były starannie przemyślane, zaplanowane i w pełni kontrolowane.

Sedan próbował zepchnąć ich z drogi!

Bryson jeszcze mocniej przekręcił rączkę gazu. Zauważywszy zjazd, gwałtownie skręcił, przeciął dwa pasy ruchu i pomknął w tamtym kierunku. Czarny sedan popędził za nimi, nie zważając na klnących kierowców i trąbiące klaksony. Nick poczuł, że Layla zaciska mu ręce na ramionach, i skrzywił się z bólu - rana jeszcze się nie zagoiła.

Gdy wpadł na zjazd, sedan był tuż-tuż, trzy, cztery, najwyżej pięć metrów za nimi.

- Trzymaj się! - krzyknął i głośno jęknął, gdy palce Layli wbiły mu się w ciało.

Przyhamował, wysunął nogę i pochyliwszy się w lewo, wykonał zakręt tak ostry, że omal nie upadli. Cudem odzyskawszy równowagę, ściągnął dźwignię przedniego hamulca, jednocześnie dodając gazu: motocykl wykonał obrót o sto osiemdziesiąt stopni i smyrnęła w dół, podczas gdy sedan wciąż pędził pod górę.

Jechali teraz pod prąd, poboczem, które kilkadziesiąt metrów dalej stało się nieco szersze. Roztrąbiły się klaksony, rozmigotały się światła. Nick spojrzał w lustro. Sedan zniknął: zablokowany przez sznur samochodów nie mógł zawrócić i musiał zjechać z autostrady.

Silnik ryczał na maksymalnych obrotach. Pędzili, niemal unosili się w powietrzu.

Mimo to pościg wciąż trwał: z karkołomną prędkością zbliżało się ku nim pojedyncze

światło reflektora. Motocykl. Jeszcze jeden myśliwy z Chateau de Saint-Meurice. Pisk hamulców, skrzekliwe zawodzenie klaksonów i maszyna mknęła już za nimi. Bryson ponownie zerknął w lusterko: motocykl błyskawicznie ich doganiał. Sądząc po ryku silnika, był potężniejszy, znacznie szybszy od wypożyczonego w Paryżu BMW.

Raptem poczuli silny wstrząs. Tylne koło mocno zarzuciło. Tamten próbował ich staranować! Dobięął go zduszony krzyk przerażonej Layli.

- W porządku? - wrzasnęła przez ramię.

- Tak, ale jedź szybciej!

Próbował, lecz na próżno: silnik pracował na maksymalnych obrotach.

Kolejny wstrząs zepchnął ich z pobocza na długą, płaską łąkę, na której tu i ówdzie stały drewniane pudła na resztki zżętego zboża czy trawy. Ich prześladowca był tuż-tuż. Nie strzelał, gdyż po prostu nie mógł: do skutecznego manewrowania motocyklem potrzebował obu rąk.

Zapoluj na myśliwego.

Jedno z ulubionych powiedzonek Teda Wallera.

Zdecyduj, kto jest drapieżnikiem, a kto ofiarą. Ofiara przetrwa tylko wówczas, gdy stanie się drapieżnikiem.

Nick zrobił rzecz najmniej spodziewaną: ryjąc w ziemi głęboką bruzdę, gwałtownie zawrócił i ruszył prosto na ścigającego ich motocyklistę.

Ten, zaskoczony nagłą zmianą strategii, próbował skrócić, lecz było już za późno. Przednie koło BMW grzmotnęło z impetem w bak maszyny i siła uderzenia wyrzuciła go z siodła.

Bryson zahamował i Layla zeskoczyła na ziemię. Nick zsiadł i przewrócił motocykl w trawę.

Tamten rzucił się do ucieczki. Biegając, sięgnął po broń, lecz Layla go uprzedziła: szybko przyklekła i trzy razy wypaliła z beretty.

Motocyklista krzyknął, zatoczył się i upadł, mimo to zdołał wyszarpnąć z kabury rewolwer, wstać i wystrzelić. Spudłował - pocisk zarył się w ziemię kilka kroków od nich - a wówczas Layla wypaliła ponownie. Wypalił i Bryson, trafiając go w pierś.

Napastnik runął w trawę i już nie wstał.

Nick podbiegł bliżej, przewrócił go na plecy i obszukał.

Znalazł portfel. Nic dziwnego. Pościg zarządzono tak nagle, że motocyklista nie zdążył się go pozbyć.

Na to Bryson był przygotowany, ale zawartość portfela oszołomiła go, zaszokowała i odebrała mu oddech.

Każdy dokument można podrobić, lecz Nick, ekspert od fałszywek, wiedział, że ten, który trzyma w ręku, fałszywką nie jest. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. W jasnym świetle księżycy odszukał wtopione w plastik włókna oraz inne znaki, których podrobić się nie da.

- Co to? - spytała Layla.

Bez słowa podał jej legitymację.

- O Boże... - szepnęła.

Motocyklista nie był przekupionym glińiarzem ani nawet opłacanym przez Arnaulda Francuzem.

Był rodowitym Amerykaninem zatrudnionym w paryskiej rezydenturze CIA.

## Rozdział 11

**P**racowała w Centralnej Agencji Wywiadowczej od siedemnastu lat, X mimo to na palcach jednej ręki mogła policzyć ludzi, którzy próbowali wejść do gabinetu szefa bez jej



pozwolenia. Bywało, że Harry'ego Dunne'a niespodziewanie odwiedzał sam naczelny (zwykle to Harry do niego chodził), ale nawet on musiał chwilę zaczekać, chociażby po to, żeby zdążyła zaanonsować go przez interkom.

Tymczasem ten... ten szalenciec zignorował jej prośby, protesty, ostrzeżenia, groźby, zapewnienia, że dyrektor wyjechał, i zrobił rzecz niesłychaną: ominął ją i wszedł do gabinetu. Po prostu. Marjorie znała regulamin i procedurę postępowania. Wcisnęła ukryty pod biurkiem przycisk, wzywając ochronę, i dopiero wtedy ostrzegła przez interkom Dunne'a, że wtargnął do nich niebezpieczny wariat.

Bryson wiedział, że ma dwa wyjścia: mógł się wycofać lub stawić mu czoło. Zdecydowanie wolał to drugie, gdyż tylko bezpośrednia konfrontacja z Dunne'em gwarantowała uzyskanie spontanicznych i szczerych odpowiedzi. Layla przekonywała go, że wizyta w Agencji nie ma najmniejszego sensu, że w tej chwili ważniejsze jest przetrwanie jako takie. Ale on wiedział, że nie ma wyboru: żeby w końcu poznać prawdę o Elenie, o całym swoim życiu, musiał porozmawiać z zastępcą dyrektora CIA.

Layla została we Francji; próbowała odnowić dawne kontakty i rozpracować Arnaulda. Nie powiedział jej o Dyrektoriacie. Uznał, że tak będzie lepiej. Na lotnisku zaskoczyła go czułością pożegnalnego uścisku i pocałunkiem, który nie był czysto przyjacielski. Pocałowała go, odwróciła się i dziwnie zarumieniona szybko odeszła.

Harry Dunne stał przy oknie, paląc papierosa w długiej cygarniczce z kości słoniowej. Palenie tytoniu w gmachu Agencji było surowo zabronione, lecz ktoś śmiały donieść na zastępcę naczelnego? Gdy do gabinetu wszedł Bryson, a tuż za nim Marjorie, spojrzał na nich i z obojętną miną wydmuchał dym.

- Przepraszam, bardzo pana przepraszam - piszczała roztrzęsiona Marjorie. - Naprawdę próbowałam go zatrzymać. Ochrona jest już w drodze.

Dunne sondował go przez chwilę wzrokiem, marszcząc już i tak pomarszczone czoło i mrużąc błyszczące, nabiegłe krwią oczy; Bryson ponownie się przebrał, żeby zmylić kamery i uniknąć rozpoznania. Wreszcie pokręcił głową, zaciągnął się i głośno zakaszłał.

- Nie, Margie - wychrypiał. - Odwołaj ich. Sam sobie z nim poradzę.

Marjorie oniemiała. Popatrzyła na niego, potem na Brysona, potem znowu na Dunne'a, wyprostowała się, dumnie wymaszerowała z gabinetu i zamknęła za sobą drzwi.

Dunne podszedł bliżej. Był wściekły.

- Ochroniarze zrobiliby tylko jedno - warknął. - Nie pozwoliliby mi udusić cię gołymi rękami, a nie wiem, czy tego chcesz. W co ty grasz, Bryson?

Masz nas za durniów? Myślisz, że nie otrzymujemy meldunków z terenu i przekazów satelitarnych? To prawda, co powiadają: zdrajca zdrajcą pozostanie. - Zgasił papierosa w przelewającej się od niedopałków popielniczce na brzegu biurka. - Nie mam pojęcia, jak tu wszedłeś, ale przejrzy taśmy i na pewno się dowiem.

Zaskoczony tym wybuchem złości Bryson lekko się zawahał. Myślał, że Dunne się przestraszy, że będzie się bronił i odgrażał, ale że wpadnie we wściekłość? Nie, tego się nie spodziewał.

- Nasłałeś na mnie swoich zbirów - wysyczał przez zaciśnięte zęby. - Swoich przydupasów z Paryża.

Dunne pogardliwie prychnął, sięgnął do kieszeni wygniecionej marynarki i wyjął kolejnego papierosa. Wetknął go do cygarniczki, przypalił, zgasił zapałkę i wrzucił ją do popielniczki.

- Stać cię na więcej, profesorku. - Pokręcił głową i spojrzał w okno, z którego roztaczał się widok na zielony krajobraz Wirginii. - Fakty są proste i mówią same za siebie. Chcieliśmy, żebyś zinfiltrował Dyrektariat, a ty co? Kasujesz najbardziej obiecujące kontakty i znikasz jak gangster po zamachu na świadka. - Odwrócił głowę i dmuchając mu dymem w twarz, dodał: - Myśleliśmy, że już dla nich nie pracujesz, i chyba właśnie to było naszym największym błędem, he?

- O czym ty, do diabła, mówisz?

- Chętnie wysłałbym cię na małe *tete-d-tete* z wykrywaczem kłamstw, ale to pierwsza

rzecz, której was nauczyli, co? Jak oszukać to głupie pudło.

Zdegustowany Bryson wyjął z kieszeni sztywną, plastikową kartę i położył ją z trzaskiem na jedynym wolnym fragmencie blatu mahoniowego biurka. Była to służbowa legitymacja, którą znalazł w portfelu martwego motocyklisty.

- Chcesz wiedzieć, jak tu wszedłem?

Dunne wziął legitymację, podniósł ją do światła i lekko pochylił, żeby sprawdzić hologram. Trójwymiarowa pieczęć CIA? Jest. Magnetyczna folia? Też jest. Takie legitymacje widywało się w Agencji codziennie -w Agencji i tylko w Agencji. Były praktycznie nie do podrobienia. Dunne wsunął ją do czytnika.

Na dużym ekranie komputerowego monitora pojawiła się twarz mężczyzny oraz jego personalia. Twarz była bardzo podobna do zmienionej i ucharakteryzowanej twarzy Brysona.

- Nasza rezydentura w Paryżu... - mruknął Dunne. - Skąd ją, u diabła, wytrzasnąłeś?

- Wysłuchasz mnie teraz czy nie?

Dunne zerknął na niego podejrzliwie, wydmuchał nosem dwie strużki dymu, usiadł w fotelu i zgasił ledwie napoczętego papierosa.

- Ściągnę tu przynajmniej Finnerana...

- Jakiego Finnerana?

- Mojego adiutanta, poznałeś go w Blue Ridge.

- Odpada.

- Cholera jasna, Finneran to moja podręczna pamięć...

- Powiedziałem, że odpada! Tylko ty, ja i ci, co nas teraz podsłuchują.

Dunne ciężko westchnął. Wyjął papierosa, lecz zamiast włożyć go do cygarniczki, zaczął się nim bawić żółtymi od nikotyny palcami. Ramiona i przedramiona miał pokryte brązowymi plamami. Widać je było nawet przez jasnoblękitną koszulę.

Bryson zdał mu relację z wydarzeń ostatnich kilku dni. Dunne wyraźnie sposepniał. Kiedy się w końcu odezwał, mówił głosem chrapliwym i przyciszonym.

- Dwa miliony dolarów nagrody... Polowali na ciebie, zanim jeszcze dotarłeś do Calacanis. Musieli się zwidzieć, że wróciłeś do gry.

- Zapominasz, że chcieli mnie zlikwidować już w Waszyngtonie. Wiedzieli, że pójdę do dawnej kwatery Dyrektoriatu. Do przecieku doszło tutaj, w tym gmachu. - Nick wycelował palcem w sufit i zatoczył nim małe kółko.

- Co ty pieprzysz? - Dunne rozerwał papierosa na pół i wściekłym ruchem wrzucił go do popielniczki. - Tej operacji oficjalnie nie było. Nie było, rozumiesz? Jedynym namacalnym śladem jest twoje nazwisko w komputerze. Musiałem je wprowadzić, bo nie dostałbyś przepustki.

- Jeśli ci z Dyrektoriatu mają tu swoją wtyczkę, nazwisko w zupełności wystarczy.

- Sralis mazgalis. Było fałszywe. Wbrew wszystkim możliwym regulaminom figurowałeś u nas jako Jonas Barrett. Większego przestępstwa nie mogłem popełnić. Matce się nie kłamię.

- Rachunki, faktury, sprzęt...

- Wszystko pochowane, zagrzebane i zaszyfrowane. Co ty sobie wyobrażasz? Rzykowałem jak jasna cholera, szło o moją własną dupę! Nie wiem, co oni ci zrobili, czym cię wykończyli. Przejrzałem twoje akta. Kurwa mać, siedziałem nad nimi z mikroskopem w ręku i myślałem, że cię znam. Gówno prawda. No, bo jak to? Posłali cię w odstawkę, dali ci posadę w tym cichym, spokojnym miasteczku...

- Na miłość boską! - ryknął Bryson. - Czy ja się o to prosiłem? To wy do mnie przyszlście! Powoli zaczynałem o wszystkim zapominać, a ty przyjechałeś i rozdrapałeś świeżo zagojone rany! Nie zamierzam się bronić. Wy wiecie swoje, ja swoje. Interesuje mnie tylko jedno: dlaczego ścigał mnie agent z paryskiej rezydentury CIA i dlaczego chciał mnie zabić. Mam nadzieję, że mi to wyjaśnisz albo przynajmniej sprytnie zełgasz. Dunne lypnął na niego spode łba.

- Puszczę tę uwagę mimo uszu - mruknął. - Pomyśl tylko. Mówisz, że rozpoznał cię Yance

Gifford, agent Dyrektoriatu, z którym pracowałeś w Kowloonie...

- Tak, a według braci Sangiovanich na „Hiszpańskiej Armadzie” rozpoznał mnie również człowiek Arnaulda. Nie pytam o to, co wydarzyło się w Santiago de Compostela. Ta sprawa jest prosta i oczywista. Pytam o Chantilly, o Paryż! O waszego durnego agenta, który ścigał mnie z tą pieprzoną legitymacją. Tam, gdzie jest jeden, jest ich co najmniej pięciu, dobrze o tym wiesz. I co mi teraz powiesz? Że przestałeś panować nad swoimi ludźmi? Że agenci CIA zaczęli działać na własną rękę? Wciskasz mi kit, próbujesz zamącić mi we łbie!

- Nie! - krzyknął chrapliwie Dunne i gwałtownie zakaszłał. - Istnieją jeszcze inne wytłumaczenia!

- Jakie? Co ty bredzisz?

Naśladując gest Brysona, Dunne zakreślił kółko wycelowanym w sufit palcem.

- Nie bredzę. Mówię tylko, że muszę coś sprawdzić. Że powinniśmy pogadać kiedy indziej i gdzie indziej.

Pogłębiły mu się zmarszczki na czole, policzki jeszcze bardziej się zapadły, a w jego oczach po raz pierwszy zagościł strach.

Klinika przedłużonej opieki pielęgniarstwiej Rosamundy Cleary w nowojorskim okręgu Dutchess była po prostu domem starców - luksusowym domem starców. Mieściła się w niskim, ceglany budynku otoczonym kilkoma akrami lasu i, bez względu na nazwę, była ostatnią przystanią ludzi finansowo uprzywilejowanych i wymagających opieki, jakiej krewni i ukochani nie potrafili im zapewnić. Od dwunastu lat mieszkała tam Felicja Munroe, kobieta, która wraz ze swoim mężem Peterem zaopiekowała się młodym Nicholasem Brysonem po tragicznej śmierci jego rodziców.

Nick bardzo ją kochał, lecz chociaż zawsze łączyły ich bardzo dobre i czułe stosunki, nigdy nie myślał o niej jak o matce. Gdy doszło do wypadku, był już duży i za dobrze pamiętał prawdziwą matkę. Dlatego Felicja Munroe była dla niego po prostu ciocią, lekko zdziwioną żoną wujka Pete'a, jednego z najlepszych przyjaciół ojca. Zatrzaszczyli się o niego, przyjęli go do swego domu, a nawet zapłacili za jego szkołę i college, za co był im niezmiernie wdzięczny.

Peter Munroe poznał George'a Brysona w klubie oficerskim w Bahrajnie. Pułkownik Bryson - wtedy jeszcze pułkownik - nadzorował budowę nowych koszar, a inżynier Munroe stawał do przetargu z ramienia jednej z międzynarodowych firm budowlanych. Zaprzyjaźnili się przy piwie - w Bahrajnie obowiązywał całkowity zakaz sprzedaży i konsumpcji alkoholu, dlatego w klubie piwo lało się strumieniami - ale kiedy doszło wreszcie do przetargu, pułkownik Bryson zarekomendował zwierzchnikom firmę konkurencyjną; szczerze powiedziawszy, nie miał wyboru, ponieważ firma Munroe'a oferowała znacznie gorsze warunki. Inżynier przyjął tę wiadomość bez urazy. Zaprosił Brysona na kielicha i oświadczył, że ma to gdzieś, ponieważ dzięki temu pieprzonemu krajowi zyskał coś cenniejszego niż pieniądze: prawdziwego przyjaciela. Dopiero później - jak się okazało, o wiele za późno - pułkownik Bryson dowiedział się, że nabitą go w butelkę: firma, która wygrała przetarg, była po prostu nieuczciwa i próbowała naciąć wojsko na kilka milionów dolarów.

Munroe nie przyjął przeprosin.

- W tym fachu - odparł - korupcja to chleb powszedni. Gdybym chciał wygrać, też bym zełgał. To ja byłem naiwny, nie ty.

Wydarzenie to przypieczętowało ich przyjaźń.

Tylko czy aby na pewno? Czy nie kryło się za tym coś jeszcze? Czy Harry Dunne mówił prawdę? Mając niepodważalne dowody, że chciał go zabić agent CIA, Nick zaczynał w to wątpić. Bo jeśli Dunne maczał w tym palce, dlaczego miałby mu zaufać? Żałował, że nie przyjechał tu przed wyprawą na „Hiszpańska Armadę”. Tak, powinien był przyjechać, porozmawiać z ciocią Felicją i dopiero potem rozważyć propozycję Dunne'a. Odwiedził ją dwukrotnie, raz sam, raz z Eleną, lecz od ostatniej wizyty upłynęło sporo lat.

W uszach wciąż pobrzmiwały mu słowa, które Dunne wypowiedział w Blue Ridge

Mountains, słowa, które odmieniły jego życie. Wiedział, że nigdy ich nie zapomni.

„ - Pozwól, że o coś cię spytam, Nick. Wierzysz, że to był wypadek? Miałeś wtedy piętnaście lat, byłeś wybitnym uczniem, znakomitym sportowcem, chlubą amerykańskiej młodzieży. I nagle twoi rodzice giną. Przechodzisz pod opiekę ojca chrzestnego...

- Wujka Pete'a... Pete'a Munroe.

- Zgadza się, tak brzmiało jego przybrane nazwisko. Przybrane, nie prawdziwe. Wujek skutecznie zadbał o to, żebyś poszedł do tego, nie innego college'u, i żebyś podjął szereg decyzji, które oczywiście podjąłeś. A wszystko po to, żebyś trafił w ich łapy: do Dyrektoriatu".

Ciocia Felicja siedziała przed telewizorem w przestronnej świetlicy wyłożonej perskimi dywanami i umeblowanej mahoniowymi antykami. Wraz z nią siedziało tam kilku innych pensjonariuszy. Jedni czytali, inni robili na drutach, jeszcze inni drzemali. Felicja z zapartym tchem oglądała turniej golfowy.

- Ciociu - zaczął czule Nick.

Popatrzyła na niego i przez chwilę zdawało się, że go poznaje. Ale tylko przez chwilę, gdyż zaraz potem wyraźnie zdziwiona zmarszczyła brwi.

- Tak? - spytała oschle.

- Ciociu, nie pamiętasz mnie? To ja, Nick.

Podejrzliwie zmrużyła oczy. Zdał sobie sprawę, że dzieciństwo, któremu uległa przed wielu laty, znacznie się pogłębiło. Przypatrywała mu się nieznośnie długo i w końcu powoli rozciągnęła usta w uśmiechu.

- To ty... - tchnęła.

- Pamiętasz? Mieszkałem z wami...

- Wróciłeś - szepnęła przytomnie i zwilgotniały jej oczy. - Boże święty, jak ja za tobą tęskniłam... Bryson odzyskał otuchę.

- Mój kochany George. Mój najdroższy George. Tak długo cię nie było...

Nick drgnął, potrząsnął głową i wszystko zrozumiał. Miał mniej więcej tyle samo lat co jego ojciec w chwili śmierci. Dla cioci Felicji, która potrafiła dokładnie odtworzyć wydarzenia sprzed pół wieku, choć nie pamiętała własnego imienia, był George'em Brysonem. Rzeczywiście, wraz z wiekiem stawał się do niego coraz bardziej podobny, tak podobny, że czasami wprawiało go to w zdumienie.

I nagle, jakby znudzona niespodziewanym gościem, Felicja przeniosła wzrok na ekran telewizora. Nick przestępował z nogi na nogę, nie wiedząc, co zrobić. Ciocia przypomniała sobie o nim dopiero minutę później. Odwróciła głowę i niepewnym głosem szepnęła:

- Jak się masz? - Raptem, wyraźnie przestraszona, zmarszczyła czoło. - Ale przecież ty... nie żyjesz. Myślałam, że nie żyjesz!

Bryson patrzył na nią obojętnie, nie chcąc wyprowadzać jej z błędu. Ma urojenia. I dobrze. Może się czegoś dowiem...

- Zginąłeś w tym strasznym wypadku - mówiła z coraz większym napięciem. - Tak, zginąłeś. W tej straszej, tej potwornej katastrofie. Ty i Martha. Co za koszmar, osierociliście biednego Nicka. Płakałam chyba przez trzy dni. Ale Pete mi pomógł. Tak, Pete był silny... - Po jej policzku spłynęła łza. - Nie powiedział mi tylu rzeczy - zawodziła - tylu rzeczy nie mógł mi powiedzieć. Cały czas zjadało go poczucie winy, wyrzuty sumienia. Boże, jak on musiał cierpieć. Przez tyle lat nie chciał o tym ze mną rozmawiać. O tej straszej nocy, o tym, co zrobił... Brysona przeszedł zimny dreszcz.

- Twemu Nickowi też nic nie powiedział. Jakiż ciężar on musiał dźwigać. Boże, jaki potworny ciężar! - Pokręciła głową, otarła oczy koronkowym mankietem białej bluzki i ponownie przeniosła wzrok na ekran.

Nick wyłączył telewizor i stanął dokładnie naprzeciwko niej. Biedna Felicja. Starość, dzieciństwo, a może choroba Alzheimera odebrały jej pamięć najświeższych wydarzeń, lecz wyglądało na to, że wydarzenia sprzed lat pamięta dość dobrze.

- Ciociu - szepnęła - porozmawiajmy o Peterze. O Peterze Munroe, twoim mężu.

Patrzył jej prosto w oczy i chyba ją to zdenerwowało, bo wbiła wzrok w dywan.

- Kiedy miałam katar, robił mi koktajl z whisky. - Odpląnąwszy we wspomnienia, uspokoiła się nieco i rozluźniła. - Miód, sok z cytryny i kropelka bourbona. Nie, trochę więcej niż kropelka. Wypijesz i katar od razu przechodzi.

- Ciociu, czy Pete wspominał kiedyś o... Dyrektoriacie? Podniosła głowę. Oczy miała szare i puste.

- Nieleczony katar trwa tydzień, a leczony mija już po siedmiu dniach! - Zachichotała i pogroziła mu palcem. - Pete zawsze mówił, że nieleczony katar...

- Czy mówił coś o moim ojcu?

- Och, on uwielbiał mówić. Opowiadał przekomiczne dykteryjki.

Jednemu z siedzących z tyłu pacjentów przydarzył się mały wypadek i do świetlicy weszło dwóch salowych z mopami. Rozmawiali po rosyjsku. *Ja nie znaju* - powiedział głośno któryś z charakterystycznym moskiewskim akcentem.

Felicja też to usłyszała i wyraźnie się ożywiła.

- *Ja nie znaju, ja nie znaju* - powtórzyła, chichocząc. - Bełkot! Bełkot!

- Niezupełnie - wtrącił Nick.

- Bełkot! Pete też bełkotał przez sen. *Ja nie znaju, ja nie znaju* i tak dalej. Szaleństwo, czyste szaleństwo! Zawsze tak bełkotał, a ilekroć o tym wspominałam, tak dla śmiechu, bardzo się gniewał.

Bryson przytknął rękę do piersi. Serce waliło mu jak młotem.

- Wujek Pete mówił tak przez sen?

- Fatalnie sypiał - odrzekła przytomnie Felicja. - I zawsze, ale to zawsze coś tam do siebie mamrotał.

Wujek Pete mówił po rosyjsku. Tylko przez sen, ponieważ śpiąc, nie był w stanie zapanować nad podświadomością. Czyżby Harry Dunne miał rację? Czyżby Peter Munroe był współnikiem Genadija Rosowskiego alias Teda Wallera? Czy to wszystko prawda? Czy nie istniało inne wytłumaczenie? Bryson oniemiał.

Za to Felicja się rozgadała.

- Zwłaszcza, kiedy umarłeś. Boże, jak on odchorował twoją śmierć. Rzuczał się, przewracał z boku na bok, krzyczał przez sen i tak śmiesznie bełkotał!

Park Rock Creek w północnej części Beach Drive w Waszyngtonie był dobrym miejscem na poranne spotkanie. Wybrał je Nick. Dunne zgodził się na to nie ze względu na jego rozległe doświadczenie operacyjne -jak by na to nie patrzeć, pracował w CIA dwa razy dłużej niż Bryson w Dyrektoriacie - lecz z czystej uprzejmości: był gospodarzem i traktował Nicka jak honorowego gościa.

To, że zastępca dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej prosi o spotkanie poza murami Langley, bardzo Brysona zaniepokoiło. Trudno mu było uwierzyć, że Dunne, człowiek numer dwa najpotężniejszej agencji wywiadowczej na świecie, ma obawy, iż jego własny gabinet jest na podsłuchu. Już to potwierdzało teorię, że Dyrektoriat ich zinfiltrował, że dawni szefowie Nicka zdołali wcisnąć swoje macki do najtajniejszych gabinetów CIA. Bez względu na informacje, które zebrał Dunne, fakt, że nalegał na spotkanie w bezpiecznym, neutralnym miejscu, był denerwującym dowodem, że coś jest nie tak.

Bryson zawsze należał do ludzi sceptycznych i podejrzliwych. „Nie ufaj nikomu” - mawiał, chichocząc, Ted Waller. „Nie ufaj nikomu” - cóż za potworność, cóż za groteska! To właśnie on, to właśnie Waller najbardziej zawiódł jego zaufanie. Nie, Nick nie zamierzał opuszczać gardy. Nigdy, a zwłaszcza teraz.

Przyjechał do parku godzinę przed czasem. Dochodziła czwarta rano. Było ciemno, wilgotno i zimno. Ulicą przemykały nieliczne samochody: ci z nocnej zmiany wracali do domu, ci z dziennej jechali do śródmieścia. Rząd pracował przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Cisza była dziwna, nienaturalna. Idąc przez gęsty las otaczający polanę, którą wybrał na miejsce spotkania, słyszał cichy trzask gałązek pod stopami, odgłosy zwykle zakłóca-

rykiem ulicznego ruchu. Był w butach na gumowej podeszwie. Wkładał je do pracy w terenie, żeby wyciszyć odgłos kroków.

Dokładnie sprawdził okolicę. Na skraju lasu była niewielka łąka, obok niej mały asfaltowy parking, a na skraju parkingu podobny do bunkra betonowy szalet na wpół wpuszczony w ziemię. Właśnie tam mieli się spotkać. Zapowiadano deszcz i chociaż nie padało, uznał, że to dobre miejsce. Grube, betonowe ściany zapewniały skuteczną osłonę na wypadek zasadzki.

Zdecydowany jej uniknąć, obszedł skraj lasu za łąką, wypatrując świeżych śladów stóp, nadłamanych gałązek, lornetek, statywów, mikrofonów czy innych urządzeń, które ewentualni obserwatorzy mogliby tam ukryć. Zawrócił, przeczesał teren jeszcze raz, zwracając uwagę na ścieżki i dróżki prowadzące na łąkę. Chcąc zminimalizować ryzyko, sprawdził okolicę w sumie cztery razy i dopiero wtedy uznał, że żadnej zasadzki tam nie ma. Oczywiście nie mógł wykluczyć, że ktoś nie zastawi jej później, ale przynajmniej znał już teren na tyle, że był w stanie wychwycić zmiany w otoczeniu, które by go przed nią ostrzegły.

Punktualnie o piątej rano na parking wjechała czarna limuzyna, nie oznakowany lincoln Continental z rządowymi tablicami rejestracyjnymi. Obserwując go przez silną lornetkę, ukryty w gęstej kępie drzew Bryson zobaczył szofera, Murzyna w granatowym uniformie, który woził Dunne'a od lat. Harry siedział z tyłu, z kartonową teczką na kolanach. Oprócz nich w samochodzie nie było nikogo.

Lincoln zaparkował przed szaletem. Szofer chciał mu otworzyć drzwi, lecz jak zwykle niecierpliwy i naburmuszony Dunne zdążył już wysiąść. Rozejrzał się szybko na wszystkie strony w trupim świetle jarzeniówek, zszedł schodkami na dół i zniknął w szalecie.

Bryson nie ruszył się z miejsca. Uważnie przypatrywał się kierowcy, czatując na jakikolwiek podejrzany ruch. Ale Murzyn nie zrobił nic, dosłownie nic. Ani nigdzie nie zadzwonił, ani nie dał znaku któremuś z przejeżdżających samochodów, ani nie wyjął broni. Po prostu siedział nieruchomo za kierownicą i czekał, wykazując niewzruszoną cierpliwość, której brakowało jego chlebodawcy.

Upłynęło dobrych dziesięć minut. Domyślając się, że Dunne ma już pewnie wszystkiego dość, Nick zbiegł ze wzgórza, wijącą się między drzewami ścieżką obszedł szalet od tyłu, przystanął na skraju lasu, jeszcze raz się rozejrzał, pokonał pędem krótki odcinek otwartej przestrzeni, wskoczył do płytkiej fosy otaczającej betonowy ustęp i nie zauważony przez nikogo, ruszył w stronę drzwi.

Migotały zepsute jarzeniówki. Wszędzie unosił się silny odór moczu, ekskrementów i chloru. Nick przystanął i wyczuł słuch. Po chwili dobiegł go kaszel Dunne'a. Bryson szybko wszedł do środka, zatrzasnął ciężkie, stalowe drzwi i zamknął je na solidną kłódkę, którą ze sobą przyniósł.

Dunne stał przy pisuarze.

- Miło, że wpadłeś - mruknął, powoli odwracając głowę. - Teraz już rozumiem, dlaczego ci z Dyrektoriatu posłali cię w odstawkę. Punktualny to ty nie jesteś.

Nick puścił tę uwagę mimo uszu. Dunne dobrze wiedział, w czym rzecz. Odchrząknął, zapiął rozporek, spuścił wodę, podszedł do zlewu i odkręcił kran. Spotkali się wzrokiem w lustrze.

- Złe nowiny. Legitymacja jest autentyczna.

- Jaka legitymacja?

- Ta, którą znalazłeś przy zwłokach motocyklisty w Chantilly. Myślałem, że dobrze ją podrobili, ale nie. Facet pracował od roku w paryskiej rezydenturze CIA jako agent do zadań specjalnych. Fachowiec od brudnej roboty.

- Musisz zajrzeć do jego teczki, sprawdzić, jak się nazywa i kto go zwerbował.

Zdegustowany Dunne zakręcił kran.

- Jezu, dlaczego o tym nie pomyślałem? - W szalecie nie było papierowych ręczników, a nie lubił korzystać z suszarek. - Otrzeptał ręce, po czym wytarł je w spodnie. Pomacał się po kieszeniach, ze zmiętej paczki marlboro wyjął zmiętego papierosa, wetknął go sobie do

ust i dodał: -Kazałem przeszukać wszystkie bazy danych, nadałem temu najwyższy priorytet. I nic.

- Jak to nic? Przecież zakładacie grubą teczkę każdemu, kto u was pracuje, od naczelnego poczynając, na babci klozetowej kończąc.

Dunne aż się skrzywił. Nieprzypalony papieros zwisał mu z kącika ust.

- Prześwietlacie wszystkich na wylot, więc nie mów mi, że nic na niego nie macie.

- To nie tak. Ten gość nie miał teczek. On po prostu nie istniał. • - Co ty pieprzysz? A ubezpieczenie zdrowotne, a ubezpieczenie społeczne, a lista płac, a te wszystkie głupie papierki, którymi zarzucacie swoich pracowników? Chcesz powiedzieć, że facet nie dostawał pensji?!

- Kurwa mać, nie słuchasz, co do ciebie mówię! On nie istniał, kapujesz? To już się zdarzało. Tym od naprawdę brudnej roboty niechętnie zakładamy te czki. Nie chcemy zostawiać po sobie śladów, jasne? Akta? Listy płac? Nie ma żadnych list, żadnych papierków, żadnych plików w komputerze. Sęk w tym, że aby taki ktoś na dobre zniknął, trzeba znać system i umiejętnie to wszystko rozegrać. Ten facet był jak duch: istniał, jednocześnie nie istniał. Dotarło?

- Jaki stąd wniosek? - spytał cicho Bryson.

Dunne najpierw chwilę milczał, potem głośno odkaslnął.

- Wniosek jest taki, że ci z Dyrektoriatu wodzą nas za nos. Daliśmy dupy i chyba ich nie rozgryziemy. Zwłaszcza jeśli mają u nas swoje wtyki, a trzeba założyć, że mają.

Bryson się tego spodziewał, jednak posępna nieodwołalność, z jaką Dunne wypowiedział te słowa, podziałała na niego jak grom z jasnego nieba. Kiwnął głową i rzekł:

- Niełatwo ci to przyznać.

Dunne westchnął. Był wstrząśnięty i bezskutecznie próbował to ukryć.

- Ano niełatwo. Posłuchaj, będę z tobą szczery. Nie wierzę, nie chcę wierzyć, że ten przeklęty Dyrektoriat dobrał się do moich ludzi. Ale nie zostałem zastępcą dyrektora CIA dzięki pobożnym życzeniom. Widzisz, ja nie chodziłem do Harvardu, ledwo skończyłem St. John's - i nie znam sześciu języków obcych jak ty. Mówię tylko po angielsku, i to nie za dobrze. Ale zawsze miałem i chyba wciąż mam coś, co w wywiadzie jest rzeczą rzadką i cenną: zdrowy rozsądek czy jak to sobie nazwiesz. Spójrz tylko, co zdarzyło się w tym kraju w ciągu ostatnich czterdziestu lat. Zatoka Świń, Wietnam, Panama i choćby ta najświeższa afera, o której piszą w dzisiejszym „Washington Post”. Komu to zawdzięczamy? Naszym mędrcom, tym najlepszym i najinteligentniejszym, bogaczom, którzy pokończyli ekskluzywne uniwersytety. Ci faceci mają wykształcenie, ale brakuje im zdrowego rozsądku. Tymczasem ja mam nie tylko zdrowy rozsądek, ale i nosa. Kiedy coś jest nie tak, zwykle to wyczuwam. I nigdy nie gwizdzę, przechodząc koło cmentarza. Dlatego nie mogę odrzucić możliwości, podkreślam: możliwości, że macza w tym palce ktoś ode mnie. Nie zamierzam wciskać ci kitu. Nie chcę wyklądać na stół mojej ostatniej karty, ale niewykluczone, że będę musiał.

- To znaczy?

- Jak nazywają go w „Washington Post”? „Ostatni sprawiedliwy z Waszyngtonu”?

- Richard Lanchester. - Lanchester, prezydencki doradca i sekretarz Narodowej Rady Bezpieczeństwa, człowiek cieszący się nieposzlakowaną opinią. - Ma być twoją ostatnią kartą? Dlaczego ostatnią?

- Bo kiedy nią zagram, przestanę mieć jakikolwiek wpływ na to, co się wydarzy. Lanchester jest ponoć uczciwy, zna odpowiednie kanały i może dojdzie prawdy. Sęk w tym, że kiedy go w to wciągnę, sprawa wykroczy poza mury agencji i w Waszyngtonie rozpocznie się wojna na górze. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy nasz rząd wyjdzie z niej cało.

- Jezu Chryste... - szepnął Bryson, - Myślisz, że ci z Dyrektoriatu dotarli aż tak wysoko?

- Na to wygląda.

- Cóż... Dobra. Ponieważ to ja nadstawiam głowę, od tej chwili będę kontaktował się tylko z tobą. Nie chcę żadnych pośredników, żadnych e-maili ani faksów, które można

przechwycić i rozszyfrować. Wrócisz do Langley i załatwisz nam osobną linię telefoniczną. Wydzieloną, absolutnie czystą, zakodowaną i szczelną. Zgoda?

Dunne kiwnął głową.

- I wymyśl jakieś hasło. Cyfrowe hasło. Chcę mieć pewność, że to ty, że nikt się pod ciebie nie podszywa i do niczego nie zmusza. I jeszcze jedno: będę rozmawiał tylko z tobą. Jeśli odbierze Marjorie, odłóż słuchawkę. Jasne?

Dunne wzruszył ramionami.

- Jasne, ale chyba przesadzasz. Powierzyłbym jej swoje życie.

- Przykro mi, ale żadnych wyjątków. Elena powiedziała mi kiedyś, że istnieje coś takiego jak reguła Metcalfa. Porowatość sieci wzrasta wprost proporcjonalnie do kwadratu liczby węzłów. W tym przypadku węzłami są ci, którzy wiedzą o naszej operacji.

- Elena - powtórzył szyderczo Dunne. - Ona też maczała w tym palce, co?

Mimo tego, co się wydarzyło, mimo zgorzknienia, które nie opuszczało go od chwili jej niewyjaśnionego zniknięcia, słowa Dunne'a bardzo go zabolowały.

- Prawdopodobnie - odparł. - Właśnie dlatego musisz pomóc mi ją znaleźć...

- Myślisz, że wysłałem cię w teren, żeby ratować twoje małżeństwo? - przerwał mu Dunne. - Wysłałem cię tam, żeby ratować świat.

- Cholera jasna, ona coś wie, ona musi coś wiedzieć. Może nawet dużo.

- Fakt, jeśli z nimi współpracowała...

- Jeśli współpracowała, to z samą górą. A jeśli nawet oszukali ją tak samo jak mnie...

- Pobożne życzenia, Bryson. Ostrzegalem cię...

- Jeśli nawet ją oszukali - ryknął Nick - to i tak może dostarczyć nam cennych informacji!

- Jasne, oczywiście. Spotkacie się, a ona z radością wyjawci ci wszystkie tajemnice, tak? Z nostalgii? Przez pamięć starych, dobrych czasów?

- Jeśli ją znajdzie... - krzyknął Bryson i nagle umilkł, zaciskając zęby. - Jeśli ją znajdzie... - rzekł cicho. - Cholera jasna, przecież ją znam. Wiem, kiedy kłamie, kiedy próbuje zatuszować prawdę, kiedy chce uniknąć rozmowy.

- Marzyciel - odrzekł beznamyślnie Dunne i zaniósł się mokrym kaszlem. - Myślisz, że ją znasz? Nie. Ty to sobie wmawiasz. Znałeś ją tak dobrze jak Teda Wallera alias Genadija Rosowskiego? Albo jak Piotra Aksjonowa alias wujka Pete'a Munroe? A może oświeciła cię krótka wyprawa do Dutchess?

Bryson zdębiał.

- Niech cię szlag, Dunne!

- Gdzie ty żyjesz, stary? Obserwujemy ten dom, odkąd dowiedziałem się o Dyrektoriacie. Biedna Felicja. Tak zdziecinniała, że moi ludzie nie potrafili nic z niej wyciągnąć, dlatego nie byłem pewny, czy zna prawdę o swoim mężu i co właściwie o nim wie. Ale zawsze istniała szansa, że odwiedzi ją ktoś, kto dobrze go znał.

- Bzdura! - warknął Bryson. - Nie macie środków, żeby obserwować ją przez dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu. Felicja może pożyć jeszcze dziesięć lat.

- Chryste - mruknął niecierpliwie Dunne. - Oczywiście, że nie mamy. Shirley, jedna z tamtejszych kierowniczek, dostaje do kieszeni sporą sumkę od „drogiego kuzyna Harry'ego”, człowieka, który bardzo o ciocię dba. Ilekroć ktoś do niej przyjeżdża albo choćby tylko zapowiada swój przyjazd, Shirley natychmiast do mnie dzwoni. Dobrze wie, jak uchronić biedną staruszkę przed zachłannymi łowcami spadków i nieproszonymi gośćmi, którzy mogliby ją zdenerwować. Jako kuzyn Harry bardzo się o nią troszczy. Shirley zna mój numer telefonu, dlatego zawsze wiem, kto się z ciocią kontaktuje. Nie lubię niespodzianek. Cóż, jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. Pozostali zniknęli bez śladu... Będziemy stali w tym smrodzie cały dzień?

- Fakt, śmierdzi tu jak cholera, ale to dobre miejsce.

- Jezu... Powiesz mi wreszcie, po co pojechałeś do Arnaulda?

- Na „Armadzie” widziałem jego człowieka. Facet pracował i dla Dyrektoriatu, i dla Prisznikowa. Nici prowadziły do Chantilly.



- No i? Chciałeś pogadać z nim w cztery oczy, tete-a-tete?

Bryson spojrział w lustro. Ponownie przypomniały mu się słowa Teda Wallera, a raczej Genadija Rosowskiego: „Nigdy nie mów za dużo. Nawet mnie”. Nie wspomniał Dunne'owi o kodzie skopiowanym z mikroprocesora w telefonie satelitarnym Jacques'a Arnaulda i nie zamierzał tego robić. Przynajmniej na razie.

- Nie - zełgał. - Chciałem sprawdzić, z kim się zadaje.

- I?

- I nic. Kompletna strata czasu. - Nigdy nie rzucaj na stół wszystkich kart.

Dunne wyjął z teczki dużą, żółtą kopertę, a z koperty plik czarno-białych zdjęć.

- Po naszej ostatniej rozmowie przejrzałem wszystkie dostępne bazy danych, łącznie z tymi najtajniejszymi. Nie było to łatwe. Twoi przyjaciele z Dyrektoriatu są cholernie przebiegli i dokładni. Te ciągle zmiany nazwisk, legend i biografii, te zmiany w układzie i budowie siatek, te pieprzone algorytmy... Ogłupiająca robota, ale znaleźliśmy kilku kandydatów.

- Pokazał mu pierwszą fotografię. Bryson pokręcił głową.

- Nie znam.

Dunne zmarszczył czoło i sięgnął po następną.

- Tego też nie.

Dunne westchnął i pokazał mu kolejną fotografię.

- Nie. Masz tu sporo fałszywek, co? Sprawdzasz mnie, podpuszczasz. Chcesz przyłapać mnie na kłamstwie.

Harry odkaszlnął. W kącikach jego ust błąkał się leciutki, ironiczny uśmiech.

- Ostrożności nigdy nie za wiele, prawda? Dunne bez słowa pokazał mu jeszcze jedno zdjęcie.

- Nie. Zaraz, chwila... - Tę twarz skądś znał. - To Prospero, ten Holender.

Harry kiwnął głową, jakby Nick nareszcie zaczął mówić do rzeczy.

- Jan Yansina, wysoki urzędnik w genewskiej siedzibie głównej Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, dyrektor międzynarodowego funduszu zapomogowego. Świetna przykrywka. Nie wzbudzając podejrzeń, może podróżować po całym świecie, bywać nawet tam, gdzie innych nie wpuszczają: w Korei Północnej, w Iraku, Libii i tak dalej. Byłeś z nim w dobrych układach.

- Uratowałem mu życie w Jemenie. Ostrzegłem go przed zasadzką, chociaż, według standardowej procedury, powinienem był milczeć bez względu na to, czy groziła mu śmierć, czy nie.

- Widzę, że ty też nie zawsze słuchasz rozkazów.

- Fakt, głupich nie słucham. Prospero był dobry, naprawdę dobry. Zastawialiśmy razem pułapkę na pewnego natowskiego inżyniera, podwójnego agenta. Co on tu robi? To zdjęcie z kamery wewnętrznego systemu bezpieczeństwa, tak?

- Nasi ludzie namierzyli go w Genewie, w Banque Geneve Privee. Przelewał pięć i pół miliarda dolarów na kilka kont, oddzielnych i łączonych.

- Innymi słowy, prał brudny szmal.

- Ale nie sam. Działał z ramienia bardzo bogatej organizacji.

- To też wyczytaliście ze zdjęć?

- Nie, mamy swoje źródła. W ich systemie bankowym.

- Przynajmniej wiarygodne?

- Nie wszystkie, ale w tym przypadku aż za bardzo. Facet jest grubą rybą w jednym ze szwajcarskich banków i byłym agentem Dyrektoriatu. Przekazał nam te informacje w zamian za anulowanie wieloletniego wyroku, który ciążył na nim w Stanach. - Dunne zerknął na zegarek. - Szantaż zwykle skutkuje.

Bryson kiwnął głową.

- Myślisz, że Yansina wciąż dla niech pracuje?

- To zdjęcie zrobiono dwa dni temu... - Dunne wyjął pager i wcisnął guzik. - Przepraszam,

nie odezwał się do mojego szofera. Umówiliśmy się, że jeśli nie zobaczy, jak wchodzisz do kibla, dam mu znak pagerem. No i oczywiście nie zobaczył, bo zjawiłeś się tu jak Houdini...

- Ale po co? - warknął wściekle Bryson. - Żeby wiedział, że nic ci nie jest? Że nie zrobiłem ci kuku? Ufasz mi jak jasna cholera.

- Solomon lubi mieć mnie na oku.

- Widzę. Ostrożności nigdy nie za wiele, co? Ktoś głośno załomotał w drzwi.

- Zniknąłeś j e? Nick kiwnął głową.

- I kto tu przesadza z ostrożnością? - prychnął Dunne. - Chryste... Zaczekaj, muszę mu powiedzieć, że wszystko gra. Podeszedł do drzwi, pociągnął za kłódkę i krzyknął:

- Żyj! Nikt mnie nie zabił ani nie trzyma mnie na muszce.

- Panie dyrektorze, musi pan na chwilę wyjść - odrzekł stłumiony głos.

- Spokojnie, Solomon, przecież mówię, że nic mi nie jest.

- Nie o to chodzi.

- A o co?

- Dzwoni ten telefon. Ten, który ma zadzwonić tylko wtedy, kiedy Narodowa Agencja Bezpieczeństwa ogłosi alarm.

- Cholera jasna. Bryson, czy mógłbyś...

Nick wyjął broń, cofnął się za wystającą betonową framugę, wetknął klucz do zamka, otworzył kłódkę i przywarł plecami do ściany.

Dunne obserwował go z nieukrywanym zdumieniem. Otworzyły się drzwi i stanął w nich szczupły Murzyn, osobisty szofer zastępcy dyrektora CIA. Był wyraźnie speszony i zażenowany.

- Bardzo przepraszam - powiedział - ale to chyba ważne. - Patrzył na swego szefa. Miał opuszczone ręce i był sam. Zdawało się, że nie widzi ukrytego za framugą Brysona.

Poirytowany Dunne kiwnął głową i ruszył w stronę samochodu. Szofer za nim.

Nagle odwrócił się i z wielkim magnum w ręku błyskawicznie wpadł z powrotem do szaletu.

- Co się, do diabła... - Dunne oniemiał.

Rozległ się ogłuszający huk, tym głośniejszy, że strzał padł w niewielkiej, zamkniętej przestrzeni. Bryson odskoczył w prawo, czując, że odłamki betonu siekają mu dłonie. Kilka kolejnych pocisków świsnęło mu kilka centymetrów nad głową, wybijając wielkie dziury w ścianie. Gwałtowność ataku zaskoczyła go do tego stopnia, że całą energię musiał poświęcić na schodzenie z linii ognia. Na wycelowanie i oddanie strzału nie było po prostu czasu, zwłaszcza że szofer wpadł w furję i z dziko wykrzywioną twarzą strzelał na oślep. Nick zebrał się w sobie i runął na niego w chwili, gdy padł kolejny strzał, o wiele głośniejszy niż te, które padały dotychczas. Trysnęła krew i pośrodku piersi Murzyna wykwitła olbrzymia dziura. Napastnik zachwiał się i upadł na twarz.

Cztery i pół metra dalej stał Harry Dunne, wciąż celując w swego szofera. Z lufy czterdziestki piątki w jego ręku biła strużka szarego dymu. Był oszołomiony, doszczętnie zdruzgotany.

- Jezu Chryste... - wycharczał, zginając się wpół w gwałtownym ataku kaszlu. - Jezu Chryste...

## Rozdział 12

**G**abinet Ovalny tonął w mdławej srebrzystoszarej poświacie, która przydawała pośepności już i tak pośepnym twarzom obradujących w nim osób. Zapadał zmierzch. Kończył się długi, chmurny dzień. Prezydent Malcolm Stephenson Davis siedział na małej

sofie przy kominku, gdzie lubił odbywać najważniejsze spotkania. Na krzesłach po obu stronach sofy siedzieli dyrektorzy CIA, FBI i NAB, natomiast na sofie, po prawicy prezydenta, zasiadał Richard Lanchester, sekretarz Narodowej Rady Bezpieczeństwa i jego doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego. Grupa tak wysokich urzędników państwowych rzadko kiedy widywała się poza pokojem sytuacyjnym, salą narad ministerialnych czy Narodowej Rady Bezpieczeństwa. Miejsce spotkania podkreślało jego wagę.

Prezydent wezwał ich do siebie z aż nazbyt oczywistego powodu. Mniej więcej przed dziewięcioma godzinami na stacji metra Dupont Circle w Waszyngtonie doszło do potężnej eksplozji, w której zginęło dwudziestu trzech ludzi, a trzy razy tylu zostało rannych; lista ofiar stale się wydłużała. Naród, choć nawykły do tragedii, do zamachów terrorystycznych i szkolnych strzelanin, doznał głębokiego szoku. Wybuch nastąpił w samym sercu stolicy, „ledwie tysiąc sześćset dziewięć metrów od Białego Domu”, jak wielokrotnie podkreślali komentatorzy CNN.

Pozostawiona w futerale od laptopa bomba eksplodowała w porannej godzinie szczytu. Jej wyrafinowana budowa - szczegóły konstrukcyjne, których dotąd nie ujawniono - wskazywała na zamach terrorystyczny. W epoce radia i telewizji, przekazujących wiadomości dwadzieścia cztery godziny na dobę, w erze błyskawicznej łączności internetowej wieść o tej straszliwej tragedii rozbrzmiewała z tysiąckrotnie zwielokrotnioną siłą, wywierając na ludziach coraz koszmarniejsze wrażenie.

Telewidzów i radiosłuchaczy jak zwykle fascynowały najpotworniejsze szczegóły: natychmiastowa śmierć ciężarnej kobiety i jej trzyletnich bliźniąt, śmierć starszego małżeństwa z Iowa City, które oszczędzało przez wiele lat, żeby choć raz w życiu odwiedzić stolicę, śmierć grupy dziewięciolatków ze szkoły podstawowej.

- To coś więcej niż koszmar - stwierdził ponuro prezydent. - To hańba.

Jego goście w milczeniu pokiwali głowami.

- Muszę przemówić do narodu, podnieść Amerykanów na duchu; jeśli się uda, to jeszcze dzisiaj, najdalej jutro. Rzecz w tym, że za diabła nie wiem, co im powiedzieć.

- Panie prezydencie - odrzekł Chuck Faber, dyrektor FBI. - Pragnę poinformować, że oddelegowałem do tej sprawy siedemdziesięciu pięciu agentów specjalnych. Przeczesały miasto i koordynują śledztwo, współpracując z miejscową policją i oddziałami antyterrorystycznymi. Nasza jednostka analityczno-chemiczna i jednostki saperskie...

- Nie mam wątpliwości - przerwał mu prezydent - że rzuciliście się na to jak pszczoły na miód. Nie chcę was krytykować, ale wygląda na to, że najskuteczniej działacie nie przed, a po zamachu. Ciekawi mnie, dlaczego nigdy nie zdołaliście żadnemu zapobiec.

Chuck Faber spiekł raka. Zasłynął jako bezwzględny prokurator okręgowy w Filadelfii, potem jako prokurator stanowy. Uważał, że byłby znakomitym prokuratorem generalnym, że nadaje się na to stanowisko o wiele bardziej niż prokurator obecnie urzędujący, i nie ukrywał, że chętnie by go zastąpił. Zręcznością i politycznym wyrafinowaniem przebijał wszystkich zasiadających w Gabinetcie Ovalnym gości. Potrafił krzyknąć i się postawić, lecz w obecności prezydenta był zawsze taktowny i powściągliwy.

- Z całym szacunkiem, panie prezydencie, ale to trochę nie fair - odezwał się spokojnie Richard Lanchester, wysoki, postawny mężczyzna o srebrzystych włosach i arystokratycznej twarzy. Garnitury szyto mu w Londynie. Ponieważ większość korespondentów akredytowanych w Białym Domu uważała, że szczytem mody jest garnitur od Giorgio Armaniego, często pisano, że Lanchester ubiera się „niemodnie” lub wręcz „niechlujnie”.

Jednakże rzadko kiedy zwracał uwagę na przytyki osobiste. Szczerze powiedziawszy, celowo stronił od dziennikarzy, ponieważ jako zagorzały przeciwnik puszczania w obieg informacji tajnych czy nie sprawdzonych uparcie zwalczał „zabawę w przecieki”, ulubiony sport waszyngtońskich kręgów prasowych. Mimo to media go podziwiała. Może właśnie dlatego - bo rzecz to niespotykana - że nie chciał z nimi współpracować. „Time” nazwał go „ostatnim sprawiedliwym z Waszyngtonu”. Określenie to powtarzano tak często we

wszystkich gazetach i porannych talk-show, że nabrało znamion homeryckiego epitetu.

- Chodzi o to - kontynuował - że wysiłki prewencyjne FBI mało kto zauważa. Nie wiemy, co mogłoby się stać, gdyby nie podjęte przez nich działania zapobiegawcze.

Chuck Faber niechętnie kiwnął głową.

- W gazetach piszą, że rząd Stanów Zjednoczonych mógł tej tragedii zapobiec - odrzekł prezydent. - Czy to prawda?

Zapadła niezręczna cisza. W końcu przemówił dyrektor Narodowej Agencji Bezpieczeństwa, generał lotnictwa John Corelli.

- Panie prezydencie, rzecz w tym, że cel był poza naszym zasięgiem. Jak pan wie, CIA i NAB nie mają prawa podejmować żadnych działań na terenie Stanów Zjednoczonych, a to była klasyczna operacja wewnętrzna.

- Poza tym dławia nas przepisy - wtrącił dyrektor FBI. - Na przykład, chcąc otrzymać nakaz założenia podsłuchu, musimy przedstawić sądowi wiarygodny dowód, że podsłuch jest konieczny, a przecież gdybyśmy dysponowali wiarygodnym dowodem, nie potrzebowalibyśmy podsłuchu.

- A ten mit, że NAB nieustannie podsłuchuje rozmowy telefoniczne, przechwytuje e-maile i faksy?

- Otóż to, panie prezydencie - odparł Corelli. - „Mit” to najodpowiedniejsze słowo. Nawet dysponując tak potężną aparaturą, jaką zgromadziliśmy w Fort Meade, nie jesteśmy w stanie podsłuchać wszystkich rozmów w świecie. Poza tym nie wolno nam tego robić na terytorium Stanów Zjednoczonych.

- I dzięki Bogu - wtrącił cicho Dick Lanchester. Dyrektor FBI spojrzał na niego z nieukrywaną pogardą.

- Doprawdy? Rozumiem, że pochwała pan również i to, że nie mamy prawa przechwytywać ani rozmów kodowanych, ani e-maili.

- Zdaje się pan zapominać, że istnieje coś takiego jak Czwarta Poprawka, panie dyrektorze - odparł oschle Lanchester. - Prawa obywateli do nietykalności osobistej i mienia nie wolno naruszać przez nieuzasadnione rewizje i zatrzymania...

- A czy nasi obywatele nie mają prawa pójść rano na stację i nie zginąć przy okazji w jakimś wybuchu? - przerwał mu dyrektor CIA James Exum. - Wątpię, czy autorzy poprawki przewidzieli wynalezienie telefonii cyfrowej.

- Fakt pozostaje faktem - odrzekł Lanchester. - Amerykanie nie chcą, żeby ktoś naruszał ich prywatność.

- Dick - wtrącił prezydent spokojnie, acz stanowczo. - Nie czas na to ani miejsce. Wielokrotnie na ten temat rozmawialiśmy. Międzynarodowa agencja, która powstanie na mocy nowego traktatu, uchroni nas przed kolejnym koszmarem. Senat ma go zatwierdzić lada dzień. Najwyższa pora.

Lanchester ze smutkiem pokręcił głową.

- Dzięki tej agencji władza rządu wzrośnie po tysiąckroć...

- Nieprawda - przerwał mu szef Narodowej Agencji Bezpieczeństwa. - Dzięki tej agencji będziemy mieli wyrównane szansę, to wszystko. Na miłość boską, NAB nie ma prawa podsłuchiwać rozmów bez nakazu sądowego, GCHQ, nasz brytyjski odpowiednik, utknął w plątaninie przepisów prawnych, które też mu tego zakazują. Richard, zdajesz się zapominać, że gdyby alianci nie przechwytywali meldunków nieprzyjaciela, Niemcy wygraliby wojnę.

- Ale teraz żadnej wojny nie prowadzimy.

- Wprost przeciwnie - odparł dyrektor CIA. - Prowadzimy ogólnoswiatową wojnę przeciwko terrorystom i terroryści na razie wygrywają. Dlatego jeśli sugerujesz, że...

Na małym stoliku obok sofy cicho zaterkotał interkom. Zgodnie z osobistym i jednoznacznym poleceniem prezydenta można ich było niepokoić tylko w przypadku sytuacji nadzwyczajnej. Davis podniósł słuchawkę.

- Tak?

Gwałtownie pobladł. Odłożył słuchawkę i powiódł wzrokiem po twarzach zebranych.

- Dzwonili z pokoju sytuacyjnego - powiedział poważnie. - Pięć kilometrów za lotniskiem Kennedy'ego spadł samolot pasażerski.  
- Co takiego? - spytało z niedowierzaniem kilku siedzących naprzeciwko niego mężczyzn.  
- Został zestrzelony - wymamrotał prezydent z zamkniętymi oczami. - Minutę po starcie. Lot do Rzymu. Stu siedemdziesięciu jeden pasażerów i załoga. Nikt nie przeżył. - Potarł powieki i opuścił ręce. Choć oczy miał błyszczące od łez, była z nich zawziętość granicząca z drapieżnością. - Jezu Chryste. Nie zamierzam przejść do historii jako naczelny dowódca, który siedział z założonymi rękami, patrząc, jak terroryści przejmują kontrolę nad światem. Cholera jasna, musimy coś zrobić!

## Rozdział 13

Szklana wieża przy rue de la Corraterie, na południe od Place Bel-Air, w samym sercu genewskiej dzielnicy handlowo-bankowej, lśniła głębokim błękitem oceanu i połyskiwała w jaskrawych w promieniach słońca. Na dwudziestym szóstym piętrze wieży mieściły się biura Banque Geneve Privee. W luksusowo urządzonej poczekalni jednego z nich siedzieli Bryson i Layla. Mahoniowa boazeria, orientalne dywany, delikatne antyczne meble - bank był ostoją dziewiętnastowiecznej elegancji na szczycie jednego z najnowocześniejszych drapaczy chmur w Genewie, symbolem starodawnej uprzejmości harmonizującej z technologią najnowszej generacji. Jego usytuowanie i wygląd nie mogły być stosowniejsze.

Prosto z lotniska Geneva-Cointrin Bryson pojechał do hotelu Le Richemond, a kilka godzin później na Gare Cornavin, gdzie zaczekał na ekspres Paryż - Yentimiglia, którym przyjechała Layla. Przywitali się ciepło, jakby w ogóle się nie rozstawali. Po jej oszczędnych gestach i lekko wibrującym głosie poznał, że jest bardzo podekscytowana. W czasie jego nieobecności harowała jak wół i chociaż zdołała wykopać tylko kilka maleńkich samorodków, były wprost bezcenne. Niestety, nie mieli czasu na dłuższą rozmowę. Wrócili do hotelu - mieszkali w osobnych pokojach I

- gdzie Layla przebrała się w szary żakiet od Chanel i poprawiła włosy. Zaraz potem złapali taksówkę i pojechali na rue de la Corraterie, na umówione spotkanie ze szwajcarskim bankierem.

Nie czekali długo; byli w Genewie, a w Genewie punktualność jest świętością. Już po chwili wyszła do nich kobieta o wyglądzie staromodnej matrony i zaczesanych w kok włosach.

- Pan Mason, prawda? - rzekła wyniośle. Do ulubionych klientów zwracała się znacznie przyjaźniej, jednak wiedząc, że ten reprezentuje amerykański rząd, i przeczuwając, że będzie się im naprzykrzał, postanowiła potraktować go z góry. Spojrzała na Laylę. - A pani?

- Anat Chafetz - przedstawił ją Bryson. - Z izraelskiego Mosadu.

- Monsieur Becot oczekuje i pani, i pana? - spytała wyraźnie zdetonowana matrona. - Powiedziano mi, że będzie tylko pan Mason.

- Zapewniam panią, że monsieur Becot przyjmie nas oboje - odparł Bryson, przebijając ją wyniosłością głosu. Sekretarka krótko skinęła głową.

- Przepraszam państwa. Wróciła chwilę później.

- Proszę za mną.

Jean-Luc Becot, niski, krępy okularnik o precyzyjnych, oszczędnych ruchach pedanta i krótkich, siwych włosach, nosił okulary w złotej oprawce i miał na sobie szyty na miarę szary garnitur. Uścisnął im ręce uprzejmie, acz czujnie i ostrożnie, po czym spytał, czy zechcą napić się kawy.

Kilkanaście sekund później do gabinetu wszedł młody asystent w niebieskim blezerze ze

srebrną tacą, na której stały trzy maleńkie filiżanki. Dwie z nich bez słowa postawił na stoliku przed Laylą i Brysonem, trzecią zaś na szklanym blacie biurka, za którym siedział Jean-Luc Becot.

Gabinet urządzone z takim samym przepychem jak pozostałe wnętrza banku. Na podłodze leżały perskie dywany, przy trzech ścianach stały delikatne antyki, natomiast miejsce czwartej ściany zajmowało olbrzymie okno, z którego rozciągał się zapierający dech w piersi widok.

- A więc tak... - zagaił Becot. - Zapewne wiecie państwo, że jestem człowiekiem niezmiernie zajęтым, dlatego proszę mi wybaczyć, że od razu przejdę do rzeczy. Sugerował pan, że dopuściliśmy się nieprawidłowości w obsłudze jednego z naszych kont. Pragnę pana zapewnić, że w Banque Geneve Privee jakiegokolwiek nieprawidłowości są po prostu niedopuszczalne. Obawiam się, że przyjechaliście państwo na próżno...

Bryson zetknął dłonie czubkami palców i słuchał go z wyrozumiałym uśmiechem na twarzy. Gdy Becot zrobił przerwę dla nabrania oddechu, szybko wtrącił:

- Monsieur, już to, że zechciał pan nas przyjąć, niezłomie dowodzi, że pan lub któryś z pańskich sekretarzy zadzwonił do kwatery głównej CIA w Langley, żeby sprawdzić, czy jestem tym, za kogo się podaję.

Zamilkł, widząc nieme potwierdzenie w jego oczach. Nie miał żadnych wątpliwości, że jego telefon wzbudził w banku prawdziwy popłoch. CIA wysłało do Genewy agenta, który miał przesłuchać dyrektora szwajcarskiego banku: wszyscy pracownicy Banque Geneve Privee natychmiast chwycili za broń, we wszystkich gabinetach natychmiast rozdzwoniły się telefony, natychmiast zwołano sto narad. Był taki czas, kiedy żaden szanujący się szwajcarski bankier nie zechciałby się z nimi spotkać: najbardziej liczył się klient i jego finansowe tajemnice. Czasy się jednak zmieniły i chociaż w dalszym ciągu prano tu miliardy brudnych dolarów, Szwajcarzy ulegli międzynarodowej presji politycznej i ostatnio wykazywali większą skłonność do współpracy, a przynajmniej stwarzali takie pozory.

- Dobrze pan wie - kontynuował - że nie przyjechałbym tu, gdyby nie powaga sytuacji. Sprawa dotyczy bezpośrednio pańskiego banku. Możecie się państwo uwikłać w paskudną aferę, czego na pewno wolelibyście uniknąć.

Becot wykrzywił usta w szpetnym uśmiechu.

- W tym banku pańskie groźby nie poskutkują, panie... Mason. A fakt, że w niezdarnej próbie wywarcia na nas presji przyprowadził pan na spotkanie oficera izraelskiego wywiadu...

- Monsieur - przerwał mu Bryson tonem głosu międzynarodowego stróża prawa, który trzyma w ręku wszystkie karty. - Zgodnie z konwencją z roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego ani pan, ani władze pańskiego banku nie mają prawa tolerować klientów, którzy wykorzystują swoje konto do prania brudnych pieniędzy. Doskonale pan wie, że grożą za to surowe sankcje prawne. Przyjechaliśmy tu jako przedstawiciele dwóch największych w świecie agencji wywiadowczych, które prowadzą śledztwo w sprawie prania brudnych pieniędzy w pańskim banku. Może pan nam pomóc, czego wymaga od pana prawo, albo odesłać nas z kwitkiem, lecz wówczas będziemy musieli zgłosić ten fakt w Lozannie.

Nie tknąwszy kawy, bankier przyglądał mu się beznamiętnie przez kilka długich sekund, po czym spytał:

- Dokładnie czego dotyczy to śledztwo?

Bryson wyczuł jego wahanie i doszedł do wniosku, że najwyższa pora zaatakować.

- Badamy legalność operacji finansowych dokonywanych za pośrednictwem rachunku numer dwa-cztery, sześć-trzy, dwa-dwa. Rachunek należy do niejakiego Jana Yansiny, klienta Banque Geneve Privee.

Becot lekko drgnął. Numer konta lub nazwisko Yansiny na pewno mu coś mówiły.

- Nie ujawniamy danych naszych...

Bryson zerknął na Laylę. Ta natychmiast przejęła pałeczkę.

- Dobrze pan wie, że pewna fikcyjna... Anstalt z Lichtensteinu przelała na to konto olbrzymie pieniądze. Pański bank przelał je następnie na rachunki bankowe kilku firm na Isle of Man i Jersey, na Kajmanach i na Antylach Holenderskich. Stamtąd pieniądze trafiły do banków na Bahamach, w San Marino...

- Transfery pieniężne są całkowicie legalne - warknął Becot.

- Pod warunkiem, że legalne są pieniądze, które się transferuje - syknęła wściekle Layla. Nick był pod wrażeniem. Zdradził jej ledwie kilka szczegółów na temat rachunku Yansiny, resztę po prostu zmyśliła. - A w tym przypadku pieniądze zostały przeznaczone na zakup broni dla znanych organizacji terrorystycznych na całym świecie.

- Moim zdaniem przyjechaliście tu państwo... na rybkę - wycedził Szwajcar.

- Na rybkę? - powtórzyła Layla. - Nie, szanowny panie. Prowadzimy międzynarodowe śledztwo, podjęte przez najwyższe władze w Waszyngtonie i Tel Awiwie, co powinno panu uzmysłwić, że jest to sprawa wielkiej wagi. Ale widzę, że niepotrzebnie zabieramy panu czas. - Wstała. Wstał i Bryson. - Najwyraźniej źle trafiliśmy - dodała Layla, patrząc na Nicka. - Monsieur Becot albo nie ma prawa podejmować decyzji, albo celowo ukrywa rolę, jaką odegrał w tej aferze. Jestem przekonana, że dyrektor banku, monsieur Etienne Broussard, zechce nas w tej kwestii...

- Ale czego naprawdę chcecie? - przerwał jej zdesperowany Becot. Bryson zapiął marynarkę.

- Żeby zatelefonował pan do pana Yansiny i poprosił go o natychmiastowe przybycie do banku.

- Nie mam prawa się z nim kontaktować, taki jest warunek! To on kontaktuje się z nami! Poza tym nie znam jego numeru!

- Bzdura - odparł Nick. - Musi pan mieć jego namiary. Jeśli pracujecie tu, jak powinniście, macie fotokopie jego paszportu czy innego dokumentu, jego adres, numer telefonu domowego, służbowego...

- Nie mogę tego zrobić! - krzyknął Becot.

- Chodźmy - powiedziała Layla. - Tracimy tylko czas. Zwierzchnik monsieur Becot na pewno zrozumie powagę sytuacji. Kiedy załadamy tego kanałami dyplomatycznymi, za pośrednictwem sądów w Waszyngtonie, Tel Awiwie i Lozannie, Banque Geneve Privee zostanie publicznie uznany za pośrednika organizacji finansujących międzynarodowy terrorizm, za pralnię brudnych pieniędzy i...

- Nie, siadajcie! - wykrzyknął Becot, zrzucając bankierską maskę. -Zadzwoń.

Czekając w małym, dusznym pomieszczeniu, zastawionym monitorami podłączonymi do kamer wewnętrznego systemu bezpieczeństwa, spływał potem. Zgodnie z planem miał pozostać w ukryciu do chwili, gdy Layla, wciąż podająca się za oficera Mosadu prowadzącego śledztwo w sprawie prania brudnych pieniędzy, zacznie rozmawiać z Yansiną i wyciągnie z niego - jeśli oczywiście zdoła - choć kilka użytecznych informacji. Wówczas, wykorzystując element zaskoczenia, miał wejść nagle do gabinetu.

Nie powiedział jej o Dyrektoriacie i o swoich z nim związkach. Wiedziała jedynie, że jest agentem, który współdziałając z CIA, próbuje rozpracować siatkę nielegalnych handlarzy bronią. Znała tylko fragment całości i nie musiała wiedzieć nic więcej. Z czasem zamierzał wprowadzić ją w szczegóły, lecz na razie było na to za wcześnie. Początkowo chciał się ukryć w pobliżu gabinetu Becota, w sąsiednim pokoju, w jakiejś pakamerze, gdziekolwiek. Bynajmniej nie liczył na szczęśliwy traf, jakim było odkrycie centrali nadzoru wideo. Mógł stamtąd obserwować to, co działo się w głównym holu na dole, we wszystkich windach, w holu na dwudziestym szóstym piętrze, w bankowej poczekalni i w kilku korytarzach. Ani w gabinecie Becota, ani w pozostałych gabinetach kamer nie zainstalowano, lecz mógł przynajmniej śledzić Yansinę wchodzącego do budynku i jego zachowanie w windzie. Belg był doświadczonym i ostrożnym agentem. Na pewno założy, że w windach są ukryte kamery, lecz założy również - tak samo jak założył Bryson - że przed podłączonymi do nich monitorami siedzą znudzeni, marnie opłacani ochroniarze, których interesują jedynie przypadki jawnej przemocy. Dlatego Yansina mógł

wykorzystać tę chwilę samotności do dyskretnego poprawienia kabury pod pachą lub mikrofonu ukrytego pod klapą marynarki, lecz równie dobrze mógł nie zrobić nic podejrzanego.

Becot zadzwonił do niego w ich obecności, po czym Bryson wyszedł, a Layla została z bankierem, żeby nie ostrzegł klienta przed czekającą go niespodzianką.

Nick wiedział, że Belg zareaguje szybko, i rzeczywiście, już dwadzieścia minut później agent Dyrektoriatu wszedł do głównego holu. Był drobnym mężczyzną o lekko pochylonych ramionach, nosił szpakowatą, krótko przyciętą brodę i przydymione okulary w drucianych oprawkach. Dystyngowany, acz nie rzucający się w oczy wygląd, przykrywka dyrektora międzynarodowego funduszu zapomogowego - nikt by nie podejrzewał, że jest wyjątkowo niebezpiecznym i przebiegłym zabójcą. Pozory mylą, dlatego to, że ludzie go nie doceniali, było jego największym atutem. Postronny obserwator uznałby go za człowieka dobrotliwego i zupełnie nieszkodliwego, jednak Bryson wiedział, że Yansina jest silnym, bezwzględnym, doskonale wyszkolonym mordercą o nieprzeciętnej inteligencji. Wiedział też, że w żadnym wypadku nie wolno go lekceważyć.

Belg wszedł do windy wraz z młodą kobietą, która wysiadła na dwudziestym czwartym piętrze. Po jej wyjściu na kilka sekund został sam, mimo to nie okazał najmniejszego napięcia czy zdenerwowania. Jeśli nagle wezwanie do banku zaskoczyło go czy zirytowało, znakomicie to ukrywał.

Wyszedł z windy i natychmiast zagadnął o coś recepcjonistkę, która poprowadziła go długim korytarzem w stronę gabinetu Becota i wpuściła do środka. W tym momencie zniknął Brysonowi z oczu. Nick się tym nie przejął. Znał scenariusz spotkania, gdyż sam go opracował. Pozostało mu jedynie czekać na znak od Layli, która, uznawszy, że jego obecność jest konieczna, miała zadzwonić do niego na komórkę i rozłączyć się po dwóch sygnałach.

Założył, że przesłuchanie Yansiny potrwa od pięciu do dziesięciu minut, zależnie od tego, jak bardzo Belg Sędzię agresywny i wojowniczy. Bryson czekał ze wzrokiem utkwionym w sekundniku zegarka. Pięć minut wlokło się w nieskończoność. Ustalili dwa sygnały zapasowe, z których Layla dotąd nie skorzystała. Pierwszy polegał na tym, że zadzwoniwszy na komórkę, miała się nie rozłączać, co oznaczałoby, że sytuacja jest poważna. Mogła też otworzyć drzwi do gabinetu, co Bryson zobaczyłby na ekranie monitora.

Mimo to żaden sygnał nie nadszedł.

Choć był maksymalnie skoncentrowany, nie potrafił nie myśleć o agencji, którego znał niegdyś jako Prospera. Co powiedział Dunne? Że działając z ramienia jakiejś organizacji, prawdopodobnie Dyrektoriatu, prał brudny szmal: pięć miliardów dolarów. Agencje wywiadowcze prały pieniądze bardzo często, lecz niemal zawsze były to stosunkowo niewielkie sumy: wynagrodzenie dla działających w podziemiu agentów czy informatorów. Ale pięć miliardów dolarów? Tak wielka kwota na pewno nie poszła na pensje, musiała stanowić podstawę jakiegoś funduszu. Jeśli Dunne nie kłamał - a po tym, gdy w jego obronie zabił własnego ochroniarza i szofera, było coraz mniej prawdopodobne, że CIA celowo wprowadza go w błąd - należało uznać, że Dyrektoriat zajmuje się transferem gigantycznych pieniędzy na konta organizacji terrorystycznych. Tylko których? I po co to robił? Niewykluczone, że odpowiedź na te oraz inne pytania zawierał mikroprocesor, którego zawartość Nick skopiował w zamku Jacques'a Arnaulda, ale komu mógł powierzyć tak cenne informacje?

Poza tym, skoro Jan Yansina osobiście dokonywał przelewu tak olbrzymich pieniędzy, wątpliwe, że jest jedynie zwykłym pośrednikiem. Nie, był za stary, zbyt doświadczony i za dobrze wyszkolony, żeby odgrywać rolę niewinnego gońca. Belg coś wiedział. Musiał coś wiedzieć. Bryson dawał głowę, że Jan Yansina jest już jednym z szefów Dyrektoriatu.

Gwałtownie otworzyły się drzwi i ciasne pomieszczenie zalał strumień jaskrawego światła, oślepiając go i kompletnie zaskakując.



Zmrużył oczy, dojrzał w progu ciemną sylwetkę jakiegoś mężczyzny, a potem zobaczył jego ponurą, wściekle wykrzywioną twarz. Yansina. W prawej ręce trzymał pistolet, w lewej walizeczkę.

- Coleridge - wychrypiał. - Duch z przeszłości.

- Prospero - odrzekł Bryson. Nie przygotowany na tę nagłą wizytę, odruchowo sięgnął za pazuchę i natychmiast zamarł, słysząc metaliczny trzask bezpiecznika.

- Nawet o tym nie myśl - warknął Yansina. - Opuść łapy! Nie zawaham się tego użyć. Znasz mnie, wiesz, że to zrobię.

Nick powoli opuścił ręce. Nie, Yansina by się nie zawahał. Zabiłby go z zimną krwią. Zagadką było to, dlaczego w ogóle zwlekał.

- Dziękuję... Bryson. Chciałeś ze mną pogadać, to pogadamy.

- Gdzie jest...

- Twoja towarzyszka? W bezpiecznym miejscu. Czeka na ciebie w pakamerze, związana i zakneblowana. To bardzo silna i przebiegła kobieta. Niestety, myślała pewnie, że Jan Yansina to... Jak to się mówi? Kaszka z mleczkiem? Mosad. Muszę przyznać, że ma świetnie podrobione papiery.

- Papiery są prawdziwe. Ona jest oficerem Mosadu.

- Intrygujesz mnie, Bryson, coraz bardziej mnie intrygujesz. Nowe czasy, nowe sojusze, co? To dla ciebie. - Rzucił mu walizeczkę i Nick miał ułamek sekundy na podjęcie decyzji: złapać ją czy nie?

- Znakomicie - pochwalił go jowialnie Yansina. - Trzymaj ją przed sobą obiema rękami.

Nick nachmurzył czoło. Belg był jak zawsze czujny i przebiegły.

- Chodź, pogadamy. Idź prosto przed siebie i cały czas trzymaj przed sobą walizeczkę. Zrobisz nagły ruch i strzelę. Upuścisz ją, też strzelę. Znasz mnie, przyjacielu.

Bryson posłuchał go, klnąc w duchu jak szewc. Wpadł w pułapkę, nie docenił szczwanego lisa. Jak Yansina obezwładnił Laylę? Nie słysząc było żadnego wystrzału, ale może użył tłumika. Zabił ją? Ta myśl rozdarła go i napelniła bólem. Layla była jego współniczką. Próbował zniechęcić ją do dalszej współpracy i chociaż nie zdołał, czuł się za nią odpowiedzialny. A może Yansina nie skłamał? Może naprawdę związał ją i zamknął w jakiejś pakamerze?

Belg wskazywał mu drogę lufą pistoletu. Szli korytarzem, najpierw szerokim, potem wąskim, wreszcie weszli do pustej sali konferencyjnej. Światło było zgaszone, lecz przez wielkie okna wpadały do środka promienie popołudniowego słońca, a roztaczający się stamtąd widok zapierał dech w piersi jeszcze bardziej niż widok z gabinetu Becota. W dole rozciągały się słynne Parc Mon Repos i Jet d'eau i choć panował tam duży ruch, w sali panowała idealna cisza.

Z walizeczką w rękach nie mógł sięgnąć po pistolet. Gdyby natomiast ją upuścił, Belg w ułamku sekundy odstrzeliłby mu pół głowy.

- Siadaj.

Nick usiadł u szczytu stołu, nie wypuszczając walizki z rąk.

- Teraz połóż łapy na stole. Najpierw lewą, potem prawą, w tej kolejności. I żadnych gwałtownych ruchów. Dobrze wiesz, jak to się robi.

Bryson położył ręce po obu stronach walizeczki.

Yansina usiadł po drugiej stronie stołu, tyłem do okna. Cały czas trzymał go na muszce.

- Potrzymaj nos i strzelę - uprzedził. - Sięgnij po papierosa, też strzelę. To podstawowe zasady i wiem, że je znasz. A teraz poproszę o odpowiedź na pytanie numer jeden: czy Elena wie?

Nick był tak zaskoczony, że nie zrozumiał pytania. Czy Elena wie?

- O czym ty mówisz? - szepnął.

- Czy ona wie?

- Co? O czym? Gdzie ona jest? Rozmawiałeś z nią?

- Bryson, proszę cię, nie udawaj, że ci na niej zależy...

- Gdzie ona jest? - powtórzył Nick. Belg zawahał się i odparł:  
- To ja zadaję pytania, nie ty. Od kiedy należysz do Prometejan?  
- Do Prometejan? - powtórzył tępo Bryson.  
- Przestań! Dość tych wygłupów! Od kiedy dla nich pracujesz? Grałeś na dwa fronty czy może znudziła cię ciepła posadka w college'u i ruszyłeś na poszukiwanie przygody? Nie dziw się, ja naprawdę próbuję zrozumieć pobudki, które tobą kierowały. Czym cię skusili? Zaapelowali do twego spotworniałego idealizmu? Obiecali ci władzę? Sam widzisz, że mamy o czym rozmawiać.  
- Mimo to cały czas trzymasz mnie na muszce. Zapomniałeś już o Jemenie?  
Yansina z rozbawieniem pokręcił głową.  
- Wciąż jesteś dla nas legendą, Bryson. Wciąż o tobie opowiadają. O tobie, o twoich wyczynach i nieprawdopodobnych talentach językowych. Byłeś znakomitym agentem...  
- Dopóki Ted Waller nie wywalił mnie na zbity pysk. Waller, a może raczej Genadij Rosowski?  
Belg zamilkł, nie potrafiąc ukryć zaskoczenia.  
- Każdy z nas ma wiele nazwisk - odrzekł w końcu - i wiele tożsamości. Cała sztuka polega na tym, żeby umieć je od siebie odróżniać, nie dopuścić do tego, żeby się pomieszały, bo jeśli się pomieszają, człowiek popada w obłąd. Ty tę zdolność zatraciłeś, Nick. Nie wiesz już, gdzie kończy się rzeczywistość, a gdzie zaczyna fikcja. Ted Waller jest wspaniałym człowiekiem. Lepszym niż którykolwiek z nas.  
- Chryste, ty wciąż mu wierzysz! Wierzysz w jego kłamstwa! Jesteśmy zwykłymi marionetkami, nie rozumiesz? Trutniami, zaprogramowanymi przez nich automatami! Byliśmy jak ślepcy! Nie rozumieliśmy, kim oni tak naprawdę są, co knują!  
- Koła w kołach, a w tych kołach jeszcze inne koła - odrzekł poważnie Yansina. - O pewnych rzeczach po prostu nie wiemy. Świat się zmienia, a my wraz z nim: musimy dostosować się do nowej rzeczywistości. Co oni ci powiedzieli, Bryson? Jakimi nakarmili cię kłamstwami?  
- Do nowej rzeczywistości? - powtórzył głucho Nick i oniemiał.  
Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki za wielkim oknem sali konferencyjnej wyrósł olbrzymi kształt. Bryson rozpoznał go na ułamek sekundy przedtem, nim grad kul z pokładowego karabinu maszynowego roztrzaskał szyby, zmieniając je w krystaliczny deszcz. Śmigłowiec.  
Nick rzucił się na podłogę i przetoczył pod długi stół, lecz siedzący bliżej okna Yansina tej możliwości nie miał. Zamachał rękami niczym uczący się latać ptak skrzydłami i nagle zatańczył jak upiorna marionetka. Kule przebiły mu czoło, policzki i pierś, wyrывая w ciele dziesiątki dziur, z których tryskały małe gejzery krwi. Jego czerwona od krwi twarz wykrzywiła się w potwornym krzyku, w gardłowym ryku zarzylanego zwierzęcia, który zginął w ogłuszającym warkocie silnika i rozdzierającym uszy huku wystrzałów. W sali konferencyjnej zawył wiatr. Rozsiekany setkami pocisków, mahoniowy stół pękł na pół, na szarym dywanie wykwitł krzyżujący się wzór wystrzępionych dziur. Yansina niemal uniósł się w powietrze, po czym z nienaturalnie powykręcanymi kończynami bezwładnie runął na podłogę, zalewając ją krwią. Zamiast oczu miał szkarłatne otwory, zamiast brodatej twarzy przerażającą miazgę, zamiast potylicy półpłynną pulpę.  
Śmigłowiec zniknął równie nagle, jak się pojawił. Huk ustał. W sali konferencyjnej słychać było jedynie słabe odgłosy ruchu ulicznego oraz jękliwe zwodzenie wiatru gwizdającego między ostrymi stalaktytami szkła w oknach i hulającego po śmiertelnie cichym, zbryzganym krwią pobojuwisku.

## Rozdział 14

Wypadłszy z sali konferencyjnej, posiekanej kulami, zbryzganej krwią W i zasypanej szkłem, Bryson popędził korytarzem, w którym tłoczyli się przerażeni gapie. Zewsząd rozlegały się krzyki po niemiecku, francusku i po angielsku.

- Jezus Maria!

- Co się stało? Kto strzelał? Snajperzy? Terrorysty?

- Są w budynku?

- Zadzwońcie na policję i na pogotowie. Szybko!

- Boże święty, on nie żyje, on... Chryste, zobaczcie, jak go zmasakrowali!

Biegąc, myślał o Layli. Nie, tylko nie ona. Czyżby śmigłowiec okrążył wieżowiec, namierzając cele przez okna na dwudziestym szóstym piętrze? To Yansina. Celem tego szaleńczego zamachu był Jan Yansina, nie ja. Na pewno.

Odtworzył w myśli przebieg zdarzenia, sortując i układając kalejdoskop obrazów, ustalając kąt padania strzałów. Tak. Obsługa karabinu maszynowego lub karabinów maszynowych na pokładzie śmigłowca celowała w Yansinę. Nie strzelali na oślep, nie próbowali zabić wszystkich obecnych w sali. Mierzyli w Belga, tylko w Belga, i to co najmniej z trzech różnych kątów.

Ale dlaczego?

I kto to był? Dyrektoriat? Chcieli zabić swojego? Niemożliwe. A może wiedzieli, że Belg spotyka się ze starym kumplem? Może się bali, że zdradzi mu jakieś tajemnice?

Nie, to bez sensu, dał się ponieść swojej wyobraźni. Nie znał powodów ataku, nie znał pobudek, które kierowały zamachowcami, ale fakt pozostawał faktem: zlikwidowano człowieka, który miał zostać zlikwidowany.

Myśli te przemknęły mu przez głowę lotem błyskawicy. Znalazł gabinet Becota, otworzył drzwi i...

W gabinecie nie było nikogo.

Ani Layli, ani bankiera. Już miał zawrócić, gdy zauważył porcelanową filiżankę. Leżała na podłodze, pod stolikiem do kawy. A za biurkiem walały się porozrzucane papiery. Ślady pospiesznej ucieczki albo krótkiej walki.

Raptem usłyszał dziwnie stłumione odgłosy, jakiś stukot, zdławiony krzyk. Szybko rozejrzał się i zatrzymał wzrok na wbudowanej w ścianę szafie. Podbiegł do niej i otworzył drzwi. Layla i Jean-Luc Becot, zakneblowani i skrepowani mocnym jak skóra sznurem z poliuretanu. Becot miał rozchełstaną na piersi koszulę i przekrzywiony krawat. Próbował krzyczeć i z wysiłku wybałuszył oczy. Na podłodze leżały zmiażdżone butem okulary. Obok niego siedziała Layla. Yansina związał ją mocniej i dokładniej niż Becota. Była bez buta, miała rozerwany żakiet i posiniaczoną, mocno zakrwawioną twarz. Musiała stawiać zacięty opór, lecz Yansina alias Prospero był od niej silniejszy.

Jan Yansina. Co za bydlę. Bryson kipiał wściekłością. Wyjął im kneble z ust. Oboje głęboko odetchnęli, dławiąc się powietrzem. Becot zacharczał i głośno krzyknął.

- Dziękuję - wydyszała Layla. - Boże!

- Nie zabił was - skonstatował Nick. - Ani ciebie, ani jego.

Węzły nie chciały puścić. Nick rozejrzał się w poszukiwaniu jakiegoś noża, czegokolwiek, czym mógłby przeciąć sznur. Wstał, podbiegł do biurka i wypatrzył srebrny nóż do papieru - nic z tego, nóż był spiczasty, lecz tępy. Szuflada, w szufladzie małe, ostre nożyczki. Chwycił je i po chwili więźniowie byli już wolni.

- Ochrona! - wysapał Becot. - Wezwijcie ochronę! Z oddali dobiegło zawodzenie syren.

- Słyszysz pan? - odrzekł Bryson. - Policja już tu jedzie. - Pomógł wstać Layli i wybiegli z gabinetu na korytarz.

Sala konferencyjna, przed drzwiami tłum ludzi. Layla gwałtownie przystanąła.

- Chodź. Nie mamy czasu! - syknął Bryson. Zajrzała do środka, zobaczyła poszatkowane kulami ciało Yansiny, roztrzaskane okna i zasypaną szkłem podłogę.

- Boże. - Przerażona zadrzała. - O mój Boże!

Zatrzymali się dopiero na zatłoczonym Place Bel-Air.

- Musimy wyjechać - powiedział Nick. - Oddzielnie. Nie mogą nas zobaczyć razem. Nie po tym.

- Wyjechać? Ale dokąd?

- Nie wiem, wiem tylko skąd. Stąd. Z Genewy, ze Szwajcarii.

- Co ty mówisz? Nie możemy tak po prostu... - Urwała, zdawszy sobie sprawę, że Bryson jej nie słucha, że jego uwagę przykuła gazeta, „Tribune de Geneve”, na stojaku w pobliskim kiosku.

- Chryste... - Podszedł bliżej, nie odrywając wzroku od dużego, czarnego nagłówka i zdjęcia z jakiejś potwornej katastrofy.

TERRORYSTYCZNY ZAMACH WE FRANCJI

POCIĄG PASAŻERSKI WYLATUJE W POWIETRZE

POD LILLE

Lilie. Dziś rano wybuch potężnej bomby wykołował i rozerwał na strzępy szybki pociąg pasażerski Eurostar, zabijając setki podróżujących nim Francuzów, Anglików, Amerykanów, Holendrów i Belgów. Do katastrofy doszło czterdzieści osiem kilometrów na południe od Lille. Chociaż specjalistyczne ekipy ratunkowe, którym pomagają dziesiątki ochotników, od rana przeczesują wrak pociągu w poszukiwaniu ocalałych, francuskie władze obawiają się, że w eksplozji zginęło ponad siedmiuset pasażerów. Jeden z obecnych na miejscu tragedii przedstawicielei rządu, który pragnął zachować anonimowość, twierdzi, że jest to dzieło terrorystów.

Według przedstawicieli kolei francuskich pociąg Eurostar 9007-ERS relacji Paryż - Londyn odjechał z Gare du Nord o godzinie 7.16, zabierając siedmiuset siedemdziesięciu pasażerów. Około godziny 8.00, kiedy osiemnastowagonowy skład przejeżdżał przez Pas-de-Calais, z przodu i z tyłu pociągu eksplodowało jednocześnie kilkadziesiąt potężnych ładunków wybuchowych, prawdopodobnie podłożonych pod torami. Chociaż jak dotąd nie wiadomo - przynajmniej oficjalnie - kto jest sprawcą tego potwornego czynu, francuska tajna policja, Surete, sporządziła już listę podejrzanych. Według dobrze poinformowanych, lecz anonimowych źródeł, w ciągu ostatnich kilku dni rządu Francji i Wielkiej Brytanii otrzymały kilka ostrzeżeń przed zamachem na Eurostar. Rzecznik prasowy Eurostar nie chciał ani zaprzeczyć, ani potwierdzić doniesień „La Tribune de Geneve”, że służby wywiadowcze obu krajów wiedziały o planowanym zamachu, lecz nie były w stanie mu zapobiec, ponieważ wedle obowiązującego prawa nie mogły podsłuchiwać rozmów telefonicznych między domniemanymi terrorystami.

„To skandal” - oświadczył członek francuskiego Zgromadzenia Narodowego Francoise Chouet. - Mieliśmy techniczne możliwości, mogliśmy zapobiec tej potwornej zbrodni, ale zabraniało nam tego prawo!”.

Lord Miles Parmore ponowił w Parlamencie apel o parafowanie Międzynarodowego Traktatu o Kontroli i Bezpieczeństwie. „Rządy Francji i Wielkiej Brytanii - powiedział - mogły zapobiec tej straszliwej tragedii, mimo to nie zrobiły absolutnie nic. To jest przestępstwo, to jest zbrodnia. To narodowa, nie, to międzynarodowa hańba”.

Richard Lanchester, prezydencki doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, przebywający na szczycie państw NATO w Brukseli, wydał oświadczenie potępiające „rzeź niewinnych ofiar”. „Okryci żałobą- powiedział - wszyscy zadajemy sobie pytanie, jak ustrzec się przed podobnymi wydarzeniami w przyszłości. Z wielką niechęcią i smutkiem administracja prezydenta Davisa przyłącza się do swoich sojuszników i przyjaciół, Francji i Anglii, apelując o powszechną akceptację i zatwierdzenie Międzynarodowego Traktatu o Kontroli i Bezpieczeństwie”.

Lilie.

Bryson zmartwiał.

Przypomniała mu się rozmowa dwóch mężczyzn przed gabinetem Arnaulda w Chateau de Saint-Meurice, ich konspiracyjnie przyciszone głosy. Jacques Arnauld i Anatolij Prisznikow.

„Ale po Lille - powiedział Francuz - poruszenie będzie tak wielkie, że droga stanie

otworem".

Po Lilie...

Dwaj najbogatsi i najbardziej wpływowi biznesmeni w świecie, handlarz bronią i potentat przemysłowy, który potajemnie kontrolował znaczną część rosyjskiego przemysłu zbrojeniowego - Nick musiał to jeszcze dokładnie sprawdzić - wiedzieli o zamachu pod Lilie. Wiedzieli o zbrodni, która pochłonęła ponad siedemset ofiar.

Prawdopodobnie należeli do tych, którzy tę zbrodnię zaplanowali.

Byli szefami Dyrektoriatu. Za koszmarem w Lilie stał Dyrektoriat - Bryson nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

Ale po co to zrobili? W jakim celu? Bezsensowna przemoc nie leżała w ich stylu. Waller i inni zawsze chlubili się swym strategicznym geniuszem. Wszystko było strategicznie zaplanowane, wszystko służyło określonej celowi. Nawet morderstwo jego rodziców, nawet to wielkie oszustwo, jakim było jego życie. Zabójstwo kilku agentów mogli usprawiedliwiać koniecznością usunięcia niewygodnego balastu, przeszkody czy groźby. Ale masakra siedmiuset niewinnych pasażerów to zupełnie inna kategoria, to przejście od taktyki do strategii. Tylko jakiej?

Poruszenie będzie tak wielkie, że droga stanie otworem...

Poruszenie po katastrofie francuskiego pociągu było rzeczywiście olbrzymie, jak po każdej tragedii, której można było zapobiec.

Której można było zapobiec...

Tak, to jest klucz. Dyrektoriat chciał, żeby wybuchły masowe protesty, żeby ludzie zaczęli się domagać natychmiastowego powstrzymania fali terroryzmu. Profilaktyka. Przeciwdziałanie. Przeciwdziałanie mogło przybrać różne formy. Międzynarodowy traktat? Zapewne doprowadziłby do zwiększenia nakładów na obronę narodową, do zakupu olbrzymiej ilości sprzętu niezbędnego do zapewnienia społeczeństwu bezpieczeństwa.

Arnauld i Prisznikow. Ci dwaj handlarze śmiercią byli zainteresowani wybuchem światowego chaosu, ponieważ chaos to forma marketingu, to reklama ich towarów i gigantyczny zbył. To oni kryli się za tragedią pod Lilie. Za tragedią pod Lilie...

I za czym jeszcze?

Stał na chodniku, nie widząc mijających go przechodniów. Layla czytała artykuł, coś do niego mówiła, lecz jej nie słyszał. Błądził po zakamarkach umysłu, szukając w nich niedawno zasłyszanych wiadomości. Czytał o czymś. Widział coś w telewizji. Dwie relacje z wydarzeń, na które - pochłonięty swoją misją i życiem - nie zwrócił wówczas większej uwagi.

Przed kilkoma dniami na stacji metra w Waszyngtonie doszło do potężnej i tragicznej w skutkach eksplozji. Tego samego wieczoru - doskonale pamiętał tę zbieżność w czasie - w okolicy lotniska Kennedy'ego zestrzelono samolot lecący do Rzymu. Zginęło stu siedemdziesięciu pasażerów i załoga.

Ameryka zareagowała szokiem i powszechnym oburzeniem. Prezydent wezwał do ratyfikowania międzynarodowego traktatu o kontroli i bezpieczeństwie, który utknął w Senacie. Nie ulegało wątpliwości, że po tragedii w Lilie dołączy do niego cała Europa, żądając natychmiastowego przywrócenia ładu i porządku w oszalałym świecie, który wyrwał się spod kontroli.

Spod kontroli...

Kontrola. Władza. Czy właśnie to było ową „przyczyną wyższą”, powodem obłędu, któremu ulegli ci z Dyrektoriatu? Tajna agencja wywiadowcza, niegdyś mała i nikomu nie znana, lecz jakże potężna, próbowała zapanować nad czymś, nad czym nie zdołała zapanować reszta świata?

Szlag by to trafił. Mgliste spekulacje, teoria w teorii, wnioski z przesłanek niejasnych, niewystarczających i niemożliwych do udowodnienia.

Mimo to coraz wyraźniej rysowała się odpowiedź na pytanie, dlaczego CIA przerwała mu emerycki wypoczynek w college'u i zmusiła go do podjęcia tego śledztwa. Nadeszła pora.

Musiał szczerze porozmawiać z Harrym Dunne'em, musiał przedstawić mu cały scenariusz i wszystkie hipotezy. Wyczekiwanie na kolejne Lilie, na mocne, niepodważalne dowody bezpośredniego zaangażowania Dyrektoriatu w te wszystkie zbrodnie, byłoby moralnie odrażające. Czy CIA naprawdę potrzebowało kolejnych siedmiuset ofiar, żeby wreszcie coś zrobić?

Mimo to...

Mimo to największego kawałka układanki wciąż brakowało.

„Czy Elena wie?”. Wniosek? Ci z Dyrektoriatu nie byli pewni, gdzie Elena jest albo po czyjej jest stronie. Tym bardziej musiał ją odnaleźć, gdyż już samo pytanie sugerowało, że wie na pewno, i to coś ważnego. Coś, co wyjaśniłoby, dlaczego tak nagle zniknęła z jego życia, i ujawniło prawdziwe zamiary Dyrektoriatu.

- Ty coś o tym... wiesz. - Głos Layli. Stwierdzenie faktu. Bynajmniej nie pytanie.

Zdał sobie sprawę, że mówi do niego od dłuższego czasu. Spojrzał jej w oczy. Słyszała, jak Amauld i Priszkin rozmawiali o Lilie? Najwyraźniej nie.

- Mam pewną teorię - powiedział.

- Jaka?

- Muszę zadzwonić. - Podał jej gazetę. - Zaraz wracam.

- Zadzwonić? Do kogo?

- Pięć minut i jestem z powrotem.

- Co ty przede mną ukrywasz? - spytała podniesionym głosem. - Co knujesz?

Miała piękne, brązowe oczy, zdezorientowane, jednocześnie urażone i zagniewane. Nic dziwnego. Wykorzystywał ją, nie dając nic w zamian. Miała prawo się wściekać. Układ był bardzo krzywdzący, szczególnie dla agentki tak dobrze wykszcolonej i doświadczonej jak ona.

Zawahał się i odrzekł:

- Najpierw zadzwonię. Kiedy wrócę, wszystko ci opowiem. Ale ostrzegam: wiem znacznie mniej, niż myślisz.

Dotknęła jego ramienia. Był to gest szybki i czuły, gest, który mówił: dziękuję, rozumiem, zawsze będę przy tobie. Wzruszony, delikatnie pocałował ją w policzek. Nie było w tym nic seksualnego. Kierowała nim potrzeba zwykłego, ludzkiego kontaktu, chęć wyrażenia wdzięczności za jej odwagę i wsparcie.

Zostawił ją, skręcił w boczną uliczkę i kilkadziesiąt metrów dalej znalazł mały sklepik, w którym oprócz papierosów i gazet można było kupić karty telefoniczne. Nabył jedną, zawrócił i wszedł do budki telefonicznej. Wykręcił 011, 0, potem pięciocyfrowy numer, a gdy w słuchawce zabrzmiał niski, przeciągły sygnał, wystukał na tarczy siedmio-cyfrowy kod.

Była to tak zwana czysta linia, bezpośrednie połączenie telefoniczne z gabinetem Harry'ego Dunne'a w kwaterze głównej CIA w Langley i w jego domu. Dunne gwarantował, że rozmawiać z nim będzie on. On i tylko on.

Sygnał.

- Bryson?

Nick już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, lecz nagle wstrzymał oddech. Nie znał tego głosu. To nie był głos Dunne'a.

- Kto mówi?

- Graham Finneran. Wie pan... Chyba wie pan, kim jestem.

Finneran. Harry wymienił to nazwisko, kiedy rozmawiali w Langley. Jego adiutant, zaufany doradca, człowiek, który towarzyszył im w drodze do Blue Ridge Mountains.

- Co się dzieje? - spytał ostrożnie Bryson.

- Ja... Harry jest w szpitalu. Źle się poczuł.

- Źle się poczuł?

- Harry ma raka. Nie chce o tym mówić, ale sprawa jest... przesądzona. Wczoraj zasnął i odwieźli go do szpitala.

- Chce pan powiedzieć, że co? Że Dunne nie żyje?

- Nie, na szczęście żyje, ale szczerze mówiąc, nie wiadomo, jak długo pociągnie. Wprowadził mnie w szczegóły pańskiego... projektu. Bardzo się niepokoił, dlatego...
  - Dokąd go zabrali? Do którego szpitala? Finneran milczał o sekundę za długo.
  - Nie jestem pewien, czy mogę...
- Nick odwiesił słuchawkę. Serce waliło mu jak młotem, w uszach pulsowała krew. Instynkt kazał mu natychmiast przerwać połączenie. Coś tu nie grało. Dunne zapewnił go, że nikt inny nie odbierze telefonu, że będzie z nim rozmawiał nawet na łożu śmierci. Znał Brysona, wiedział, jak zareaguje.
- Nie. Graham Finneran -jeśli był to Finneran; Nick nie znał jego głosu - nie odebrałby telefonu: Harry by na to nie pozwolił.
- Stało się coś złego, coś bardzo złego, coś znacznie gorszego niż nagłe załamanie się stanu zdrowia Harry'ego Dunne'a.
- Czyżby Dyrektoriat dopadł w końcu swego głównego przeciwnika, pokonując ostatnią przeszkodę na drodze ku władzy?
- Wrócił pędem na Place Bel-Air. Layla wciąż stała przed kioskiem z gazetami.
- Muszę jechać do Brukseli - powiedział.
  - Co? Dlaczego do Brukseli? O czym ty mówisz?
  - Jest tam ktoś, do kogo muszę dotrzeć. Patrzyła na niego pytająco i błagalnie.
  - No? Znam pewien pensjonat w Morolles. Zapuszczona ruina w niezbyt miłej części miasta, bezpieczna i anonimowa. Nikt nie będzie nas tam szukał.
  - Ale dlaczego akurat Bruksela?
  - To ostatnia szansa. Jest tam ktoś, kto może pomóc. Ktoś bardzo wpływowo, dobrze ustawiony. Ostatni sprawiedliwy z Waszyngtonu.

## Rozdział 15

Siedziba Systematix Corporation składała się z siedmiu wielkich, lśniących gmachów ze stali i szkła, stojących na zalesionym, pięknie ukształtowanym terenie na przedmieściach Seattle. W każdym gmachu były jadalnie i siłownie; pracownicy korporacji, ludzie znani z dyskrecji i z lojalności względem firmy, mieli niewiele powodów, żeby stamtąd wychodzić. Tworzyli zwartą, hermetyczną społeczność, rekrutującą się z najlepszych i najlepiej opłacanych specjalistów. Zdawali też sobie sprawę, że mają tysiące kolegów, których prawdopodobnie nigdy w życiu nie spotkają. Systematix miał przedstawicielstwa na całym świecie, miał udziały w dziesiątkach przedsiębiorstw i spółek akcyjnych, choć wartość tych udziałów pozostawała jedynie w sferze domysłów.

Szczupła, wiotka blondynka prowadziła ich do sali konferencyjnej.

- Mam wrażenie, że to już nie Kansas - rzucił jowialnie Tony Gupta, dyrektor techniczny InfoMedu.

Adam Parker uśmiechnął się słabo. Był głównym inżynierem przedsiębiorstwa wartego dziewięćset milionów dolarów, ale nawet on czuł się trochę nieswojo, przyjeżdżając do siedziby osławionego Systematixu.

- Byłeś tu kiedyś? - spytał. Smukły, szpakowaty i dobrze zbudowany, przez wiele lat uprawiał biegi maratońskie, dopóki kontuzja kolana nie zmusiła go do przerwania treningów. Teraz - nie zważając na doskwierające kolano - wiosłował i pływał, a w tenisa grał tak agresywnie, że partnerzy wytrzymywali z nim ledwie kilka gemów.

Współzawodnictwo miał we krwi i właśnie dzięki temu zdołał stworzyć firmę specjalizującą się w informatyce medycznej i wykorzystywaniu dużych komputerów głównych w tak zwanym przetwarzaniu rozproszonym. Mimo to zawsze potrafił uznać wyższość silniejszego przeciwnika.

- Kiedyś - odrzekł Gupta. - Wiele lat temu. Staralem się tu o pracę, ale wykończyli mnie na testach. I żeby tylko do nich podejść, musiałem podpisać trzy zobowiązania do zachowania tajemnicy. Mieli szmergla na tym punkcie. - Poluźnił za mocno zaciśnięty krawat. Zwykle nie nosił krawata, lecz okazja była wyjątkowa. W przeciwieństwie do wielu innych przedsiębiorstw Nowej Gospodarki Systematix surowo przestrzegał tradycyjnej etykiety.

Parker miał złe przeczucia i nie ukrywał ich przed podwładnym. Gupta należał do jego najbardziej zaufanych współpracowników.

- Zarząd będzie nalegał - powiedział. - Nie dam rady ich powstrzymać. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

Gupta zerknął na towarzyszącą im blondynkę i posłał mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Najpierw posłuchajmy, co nam powie wielki człowiek.

Chwilę później wraz z dwunastoma innymi mężczyznami i kobietami siedzieli w sali konferencyjnej na wierzchołku największego i najwyższego gmachu w kompleksie, skąd roztaczał się zapierający dech w piersi widok na okoliczne wzgórza.

Tu mieściła się baza główna, sztab dowodzenia tego pozornie rozproszonego i zdecentralizowanego przedsiębiorstwa. Dla większości zgromadzonych - szefów InfoMedu - było to pierwsze spotkanie twarzą w twarz z legendarnym założycielem Systematixu, jego prezesem i dyrektorem, słynnym samotnikiem Gregsonem Manningiem. Parker wiedział, że w minionym roku Manning kupił za gotówkę kilkadziesiąt firm takich jak InfoMed.

Gupta nazwał go „wielkim człowiekiem”. Było to określenie bardzo górnolotne, lecz bynajmniej nie ironiczne. Niemal wszyscy zgadzali się co do tego, że Gregson Manning jest naprawdę wielki. Należał do najbogatszych ludzi w świecie, zbudował z niczego gigantyczną korporację, która stworzyła główną infrastrukturę Internetu. Wszyscy znali jego historię, wszyscy słyszeli, jak to w wieku osiemnastu lat wyleciał ze studiów, by wraz z grupą zwariowanych informatyków zamieszkać w komunalnej klitce i założyć w garażu coś, z czego wyrósł słynny Systematix. Dzisiaj trudno było znaleźć firmę, która nie wykorzystywałaby opracowanych przez Manninga technologii. Systematix był, jak napisał kiedyś „Forbes”, przemysłem samym w sobie. Manning był również znanym, choć kontrowersyjnym filantropem. Przeznaczył setki milionów dolarów na skomputeryzowanie szkół w biednych dzielnicach miast i na wykorzystanie informatyki do celów oświatowych. Krążyły plotki, że anonimowo rozdał miliardy dolarów na pomoc ubogim dzieciom, na stypendia, dzięki którym młodzież mogła kształcić się na wyższych uczelniach.

Prasa fachowa go uwielbiała. Potwornie bogaty, mimo to skromny i bezpretensjonalny. Nie tyle samotnik, co człowiek wyjątkowo nieśmiały. „Barron's” określił go kiedyś mianem Daddy'ego Warbucks'a ery informatycznej. Mimo to Parker nie potrafił wyzbyć się uczucia dziwnego niepokoju. Jego źródłem była niewątpliwie niemiła perspektywa utraty kontroli nad InfoMedem. Cholera jasna, dbał o tę firmę jak o własne dziecko, dlatego bolało go, że już wkrótce zostanie zredukowana do niewielkiej części gigantycznego konglomeratu. Ale denerwowało go coś jeszcze, coś, co przypominało zderzenie dwóch różnych kultur. Pod koniec dnia Parker był zwykłym biznesmenem. Biznesmenami byli jego główni inwestorzy i doradcy. Posługiwali się językiem finansów, rozmawiali o zyskach z zainwestowanego kapitału, o rynkowej wartości dodanej, o kosztach produkcji i kosztach sprzedaży. Może nie był to język zbyt wyrafinowany, ale Parker przynajmniej go rozumiał. Natomiast Manning myślał i mówił zupełnie inaczej. Używał szerokich, bardzo ogólnych określeń, z upodobaniem prawił o siłach historycznych i globalnych trendach. Zdawało się, że to, iż Systematix przynosi krociowe i



stale zwiększające się zyski, jest dla niego mało istotnym, niemal ubocznym faktem. „Posłuchaj, Adam - powiedział Gupta po jednej z kilkunastogodzinnych zasiadówek, w trakcie której po raz enty próbowali ustalić strategię działania. - Nigdy nie przepadałeś za wizjonerami”. I pewnie miał rację.

- Tak się cieszę, że mogli państwo przybyć - powiedział Gregson Manning, energicznie ściskając im ręce.

Był wysoki, szczupły, barczysty, dobrze zbudowany i na swój sposób przystojny. Miał ciemne włosy, orli nos i bardzo gładką skórę, której nie pokrywała ani jedna zmarszczka. Emanowało z niego zdrowie, pewność siebie i patrycjuszowska charyzma. Był w brązowych spodniach, białej koszuli z rozpiętym kołnierzykiem i lekkim, kaszmirowym blezerze. Uśmiechał się ciepło, odsłaniając białe, idealnie równe zęby.

- Nie byłoby mnie tu, gdybym nie szanował tego, co do tej pory osiągnęliście. Nie byłoby mnie tu...

- Gdybyśmy nie przyjęli czterdziestoprocentowej superdywidendy, którą oferuje pan za nasze akcje - wtrącił z rubasznym śmiechem Alex Garfield, brzuchaty, rozczochrany prezes zarządu InfoMedu. Garfield, człowiek o bardzo ograniczonej wyobraźni, spekulował kapitałem narażonym na szczególne ryzyko i przed laty, kiedy InfoMed dopiero raczkował, zasilił firmę pokaznym zastrzykiem gotówki. Interesował go tylko zysk, nic więcej. Parker za nim nie przepadał, ale zawsze dobrze wiedział, gdzie jest jego miejsce.

Manningowi zaskrzyły się oczy.

- To tylko odsetki...

- Panie prezesie - przerwał mu Parker. - Mam kilka wątpliwości. W świetle tych olbrzymich kwot może wydają się śmieszne, mimo to chciałbym się nimi podzielić.

Manning przekrzywił głowę.

- Proszę.

- Przejmując InfoMed, przejmuje pan nie tylko olbrzymią bazę danych, lecz również siedmiuset oddanych nam pracowników. Chciałbym wiedzieć, co ich czeka. Systematix to jedna z firm, o których wiadomo wszystko i nic. Jest podmiotem niezwykle hermetycznym i bardzo, ale to bardzo enigmatycznym. Jej tajemniczość, powiedziałbym nawet prywatność, może być trochę niepokojąca, zwłaszcza dla postronnego obserwatora.

- Tajemniczość? - Manning przestał się uśmiechać. - Moim zdaniem jest wprost przeciwnie. Dalekosiężne cele naszego działania są jawne i powszechnie znane. Byłoby mi niezmiernie przykro, gdyby ich pan nie rozumiał.

- Nie chodzi mi o cele działania - odparł gniewnie Parker. - Uważam, że nie wszyscy znają i rozumieją schemat organizacyjny pańskiej korporacji. - Rozglądając się po sali, widząc podziw w oczach wpatrzonych w Manniga kolegów, zdał sobie sprawę, że jego uwagi nie są mile widziane. Wiedział także, że jest to ostatnia okazja do ich wygłoszenia.

Manning popatrzył na niego surowo, lecz bez wrogości.

- Mój przyjacielu - odparł. - Nie wierzę w skuteczność tradycyjnej organizacji, w podziały, bariery i służbowe zależności. Myślę, że wszyscy państwo o tym wiedzą. Kluczem do naszego sukcesu, powiem nieskromnie, znacznego sukcesu, było kategoryczne odrzucenie starych sposobów myślenia i działania.

- Tak, ale każda struktura korporacyjna musi się kierować pewną logiką - drażył Parker. Koledzy i koleżanki obrzucili go wrogim spojrzeniem. Tony Gupta położył mu rękę na ramieniu - on też chciał go ostrzec. Ale nie. Parker zawsze mówił to, co myślał, i teraz też nie zamierzał trzymać języka za zębami. - Bez względu na to, czy podzielimy ją na filie, na przedsiębiorstwa zależne czy niezależne, podzielić ją musimy. Chciałbym się po prostu dowiedzieć, w jaki sposób zamierza pan nas zintegrować.

Manning przemówił głosem dorosłego, który zwraca się do niezbyt rozbudowanego dziecka.

- Kto wymyślił i opracował strukturę nowoczesnej korporacji? Ludzie tacy jak John D. Rockefeller, twórca Standard Oil, i Alfred Sloan z General Motors. W okresie powojennej prosperity Ford miał swego McNamare, ITT Harolda Geneena, a General Electric

Reginalda Jonesa. Był to szczytowy okres rozkwitu skomplikowanych hierarchii kierowniczych, okres, w którym każdy dyrektor miał do dyspozycji sztaby planistów, kontrolerów i strategów. Sztynne struktury były niezbędne do zarządzania zasobami surowca najrzadszego i najcenniejszego: informacją. Pytanie: a gdyby ten surowiec stał się nagle ogólnie dostępny? Gdyby było go tyle, ile wody, którą pijemy, czy powietrza, którym oddychamy? Co wtedy? Struktury straciłyby swoją przydatność. Stare musi ustąpić miejsca nowemu...

Parkerowi przypomniał się wywiad, jakiego Manning udzielił kiedyś „Barron'sowi”. Wspominał w nim, że Systematix „chce zastąpić drzwi oknami”. Musiał przyznać, że media nie przesadzały: facet rzeczywiście umiał mówić i miał w sobie coś hipnotyzującego. Mimo to niespokojnie poruszył się na krześle. „Stare musi ustąpić miejsca nowemu”?

- To znaczy czemu?

- Wzorem doskonałości były kiedyś struktury pionowe. Dzisiaj zakładamy struktury poziome, gigantyczne sieci, dla których ograniczenia organizacyjne po prostu nie istnieją. Budujemy sieć firm nie po to, żeby nimi kierować, tylko po to, żeby z nimi współpracować. Logika funkcjonowania tejże sieci kładzie wielki nacisk na rozwój samonadzorujących się systemów informacyjnych, gdyż dzięki ciągłemu nadzorowi będziemy w stanie wyeliminować najslabsze ogniwa organizacyjne zarówno w sieci, jak i poza nią. - Promienie zachodzącego słońca utworzyły nad głową Manninga świetlistą aureolę, co jeszcze bardziej podkreśliło jego hipnotyzujący wygląd. - Jest pan przedsiębiorcą. Proszę spojrzeć w przyszłość. Co pan tam widzi? Rozczłonkowane rynki kapitałowe. Radykalnie rozproszony rynek pracy. Piramidalne systemy hierarchii organizacyjnej ustępujące miejsca samoorganizującym się systemom płynnym. Wszystko to wymaga współdziałania, kooperacji nie tylko wewnętrznej, ale i zewnętrznej, wspólnych strategii ekonomicznych, rozszerzenia kontroli poza granice własności, powstania rekombinowanych kanałów informacyjnych i przejrzystości działania na wszystkich poziomach. Wiem, że wszyscy mamy podobne przeczucia co do przyszłości kapitalizmu. Ja daję im tylko wyraz.

Jego argumentacja zbiła Parkera z tropu.

- Z tego, co pan mówi, wynikałoby, że Systematix nie jest korporacją.

- Może pan nazywać to, jak pan chce. Kiedy granice są płynne i całkowicie przepuszczalne, trudno jest dostrzec w nich zarys tradycyjnej firmy. Ale wiek dyktatorskiego zarządzania mamy już za sobą. Prawo własności może jedynie ulec rozczłonkowaniu, a ryzyko rozproszaniu. Poeta Robert Frost napisał kiedyś, że im lepszy płot, tym lepsi sąsiedzi. Ja w to nie wierzę. Przezroczyste ściany, ściany, które można dowolnie przestawiać: oto, czego wymaga dzisiejszy świat. Sukces to możliwość przechodzenia przez mury. - Manning zawiesił głos. - Co jest znacznie łatwiejsze, jeśli murów tych nie ma.

Alex Garfield spojrział na Parkera i odchrząknął.

- Adam, nie będę udawał, że za tym wszystkim nadażam, ale wyniki finansowe mówią same za siebie. Pan Manning nie musi się przed nikim tłumaczyć. Próbuje nam tylko wyjaśnić, dlaczego nie wierzy w sukces podmiotów gospodarczych działających niezależnie od siebie. Przedstawia nam sposób ich zintegrowania i tyle.

- Mury muszą runąć - kontynuował Manning, prostując się sztywno na krześle. - Oto, jaka rzeczywistość kryje się za retoryką i filozofią naszych zamierzeń. Można by powiedzieć, że odwracamy bieg rewolucji przemysłowej. Rewolucja wprowadziła podział pracy, natomiast my chcemy przejść od podziału pracy do właściwego jej procesu.

Sfrustrowany Parker konsekwentnie parł naprzód.

- Mimo to wiele technologii, w które inwestujecie, te wszystkie sieci i cała reszta... Po prostu nie rozumiem, jaki kieruje tym zamysł. Z raportu Federalnej Komisji Telekomunikacyjnej wynika, że Systematix zamierza wprowadzić na orbitę kolejną flotyllę satelitów. Pytam po co? Mamy tyle wolnych pasm, po co nowe satelity?

Manning kiwnął głową, jakby pytanie sprawiło mu przyjemność.

- Może nadeszła pora, żebyśmy spojrzeli na świat z wyższej, a więc i szerszej perspektywy?

Ten i ów się roześmiał, ten i ów uroczyście pokiwał głową.

- Mówiłem o interesach - kontynuował Manning. - Pomyślmy teraz o życiu. Na początku naszej rozmowy wspomniał pan o naszej enigmatycznej tajemniczości i prywatności. Wszystkie konwencje podkreślają, że prawo do prywatności jest podstawą wolności osobistej. - Manning sposepniał. - Jednakże dla wielu ludzi prawo to jest prawdziwym przekleństwem nie mającym nic wspólnego z jakąkolwiek wolnością, a już najmniej osobistą. Zgwałcona i obrabowana gospodyni domowa, człowiek napadnięty w domu przez bandę włóczęgów... Spytajcie ich, jaką wartość ma prywatność dla nich. Prawdziwą wolnością, wolnością gwarantującą całkowitą likwidację gwałtu, przemocy i krzywdy, jest informacja, informacja totalna. I jeśli Systematix zdoła przekonać społeczeństwo do słuszności swoich celów, będziemy mogli powiedzieć, że zapewniliśmy światu coś, czego ludzkość nigdy dotąd nie zaznała: całkowite poczucie bezpieczeństwa. Nadzór, kontrola czy inwigilacja, obojętnie, jak to nazwiemy, już teraz odgrywa dużą rolę w naszym życiu. Jestem bardzo dumny, że przyczyniliśmy się do tego naszymi kamerami zamontowanymi w windach, parkach, na stacjach i w wagonach metra, kamerami do nadzoru niemowląt i tak dalej, i tak dalej. Jednakże najbardziej wyrafinowane, a tym samym najdroższe systemy alarmowe wciąż są towarem luksusowym, na który mogą sobie pozwolić jedynie najzamożniejsi. W takim razie zdemokratyzujmy je. Niechaj my widzimy wszystkich, niechaj wszyscy widzą nas. Jane Jacobs pisała o „oczach na ulicy”: my możemy pójść jeszcze dalej. Opowieści o globalnej wiosce były li tylko opowieściami, jednak dzięki współczesnej technologii mogą stać się rzeczywistością.

- I miałyby tego dokonać jedna organizacja? Dałoby to jej olbrzymią władzę.

- Tak, ale władza też przestanie być anonimowa i stanie się siecią usankcjonowanego prawem nadzoru. Tak czy inaczej, myślę, że patrzy pan na to z zawężonej perspektywy. W społeczeństwie prawdziwie bezpiecznym każdy z nas nareszcie odzyska pełnię władzy nad swoim życiem.

Ktoś zapukał do drzwi i w progu stanął zatroskany asystent.

- Tak, Danielu? - spytał zaskoczony Manning.

- Telefon, panie dyrektorze.

- To niezbyt dobry moment.

Młody asystent dyskretnie odchrząknął.

- Z Białego Domu, panie dyrektorze. Dzwoni prezydent. Mówi, że to coś pilnego.

Manning uśmiechnął się do zebranych.

- Państwo wybaczą. Zaraz wracam.

Wszedł do wielkiego, zalanego słońcem, acz chłodnego, ośmiokątne gabinetu, usiadł w fotelu i przełączył rozmowę na głośnik.

- Już jestem, panie prezydencie.

- Posłuchaj, Greg. Wiesz, że nie zwracałbym ci głowy, gdyby nie chodziło o ważną sprawę. Chcę cię prosić o przysługę. Jak wiesz, próbujemy rozbić siatkę tych przeklętych terrorystów. W katastrofie pod Lilie zginęło kilkunastu amerykańskich biznesmenów, a my nie mamy stamtąd żadnych zdjęć, ponieważ nasze satelity nie latają nad tą częścią Europy. Paryż prosił nas o to od lat, twierdząc, że naruszamy prywatność ich obywateli, dlatego nie mamy tam swoich oczu. Cytuję naszych ekspertów, bo dla mnie to prawdziwa chińszczyzna. Ale powiadają, że przelatowały tamteży satelity Systematixu. Jeśli tak, na pewno macie jakieś zdjęcia.

- Panie prezydencie, doskonale pan wie, że nie wolno nam prowadzić rozpoznania fotograficznego. To są satelity telekomunikacyjne, sprzęt stosowany w telefonii cyfrowej...

- Wiem. To samo powiedzieliście Corellemu.

- To pańska administracja wniosła projekt ustawy ograniczającej zasięg pozarządowych form prowadzenia nadzoru elektronicznego. - Wzrok Manninga spoczął na stojącej na

biurku fotografii. Jego córka. Dziewczynka o lnianych włosach i trochę rozmarzonym, trochę figlarnym uśmiechu: na zdjęciu wyglądała tak, jakby rozbawił ją jakiś dowcip.

- Greg, jeśli chcesz, żebym zjadł tę żabę, to ją zjem. Nie jestem zbyt dumny, żeby cię o to prosić. Ale wierz mi, to cholernie poważna sprawa. Potrzebujemy tych zdjęć, i to szybko. Na miłość boską, mógłbyś przymknąć na to oko. Nie zapomniałem, co zrobiłeś dla mnie w przeszłości i tego też nie zapomnę.

Manning milczał. Minęło kilka sekund.

- Proszę powiedzieć technikom z Narodowej Agencji Bezpieczeństwa, żeby zadzwonili do Partoviego. Przekażemy im wszystko, co mamy.

- Dziękuję - odrzekł chrapliwie prezydent.

- Problem terroryzmu martwi mnie tak samo jak pana... - Wzrok Manninga ponownie spoczął na zdjęciu jasnowłosej dziewczynki. Ariel. Tak ją nazwali, on i żona. Dobry duszek, wytwór magii. - Musimy zewrzeć siły i solidarnie stawić mu czoło.

- Oczywiście - odrzekł prezydent; zdawał sobie sprawę, że się naprzykrza, i czuł się trochę niezręcznie. - Oczywiście. Wiedziałem, że mnie nie zawiedzisz.

- To dotyczy nas wszystkich, panie prezydencie. Śmiech Ariel brzmiał jak muzyka z pozytywki. Manning zmarszczył czoło. Zwykle skupiony, odpłynął myślą w przeszłość.

- Do widzenia, Gregson. I dziękuję.

Kończąc rozmowę, uzmysłowił sobie, że prezydent Malcolm Davis nigdy dotąd nie miał tale spiętego głosu. Złe fatum. Złe fatum może człowieka zmienić.

## Rozdział 16

Pensjonat stał w Marolles, w zapuszczonej części miasta, gdzie schronienia szukali biedacy i ludzie wyjęci spod prawa. Wiele z licznych tu siedemnastowiecznych budynków zaczynało popadać w ruinę. Ich lokatorami byli głównie imigranci z basenu Morza Śródziemnego, przede wszystkim z krajów Maghrebu. Właścicielka La Samaritaine, posepna, przysadzista Arabka, siedziała za biurkiem w małej, ciemnej, cuchnącej norze, która służyła za hol. Jej klientami byli włóczędzy, drobni kryminaliści i pozbawieni dachu nad głową przyjezdni, dlatego gdy w środku nocy do pensjonatu wszedł porządnie ubrany mężczyzna, który zupełnie do tego miejsca nie pasował, przyjrzała mu się dokładnie i bardzo podejrzliwie.

Bryson przyjechał do Brukseli pociągiem. Wysiadł na Gare du Nord i po drodze do La Samaritaine zjadł w barze późną kolację, ohydne *moules et frites*, które zapił wodnistym piwem. Gdy przybył na miejsce, spytał ponurą właścicielkę o numer pokoju znajomej, która miała przyjechać kilka godzin wcześniej. Arabka znacząco uniosła brew i z szyderczym uśmiechem powiedziała mu, którą ma iść.

Layla przyleciała Sabeną. Bilet kupiła w ostatniej chwili i prosto z lotniska Zaventem pojechała do Marolles. Było już późno i Bryson myślał, że będzie konała ze zmęczenia tak samo jak on, tymczasem przystanąwszy w korytarzu, dostrzegł światło sączące się spod jej drzwi. Zapukał i wszedł do małego, obskurnego pokoju.

Nalała im whisky z butelki, którą kupiła w Vieux Marche, i spytała:

- No więc? Kto jest tym „ostatnim sprawiedliwym z Waszyngtonu”? Na pewno nikt z CIA

- dodała złośliwie. - W Langley nie ma sprawiedliwych. - Paskudne sińce jeszcze nie zniknęły z jej twarzy.

Nick wypił łyk whisky i usiadł w rozchwierutanym fotelu.

- Nie, on nie pracuje w CIA.

- A gdzie? Pokręcił głową.

- Jeszcze nie.

- Co jeszcze nie?

- Powiem ci w odpowiednim czasie. Nie teraz. Siedziała w zapadającym się fotelu po drugiej stronie stołu. Fotel był nie od pary, a ze stołu płatami odchodził lakier. Odstawiła szklankę.

- Nie chcesz mi nic powiedzieć. Przedtem też nie chciałeś. Zachowujesz się nie fair. Co to za układ?

- Layla, nie było żadnego układu...

- Naprawdę myślisz, że z tobą pójdę? Na oślep? Że świadomie wpakuję się w coś, czego nie rozumiem? - Była zła i to nie alkohol przez nią przemawiał. Ani alkohol, ani zmęczenie.

- Nie, oczywiście, że nie - odparł znużony. - Przeciwnie. Nie tylko nie prosiłem cię o pomoc, ale i próbowałem cię do tego zniechęcić. Jesteś wspaniałą, nieocenioną, znakomicie wyszkoloną agentką, ale nie mam prawa żądać, żebyś narażała dla mnie życie. To moja bitwa, moja misja. Możesz wziąć w niej udział, ale tylko z własnej woli i na własne ryzyko. Jeśli na tym skorzystasz, twoja sprawa.

- Jesteś zimny jak gład.

- Może muszę.

- Ale wiem, że potrafisz być czuły. Nie odpowiedział.

- I chyba byłeś żonaty.

- Hm? Dlaczego tak myślisz?

- Byłeś, prawda?

- Byłem - przyznał. - Skąd wiedziałaś?

- Poznałam to po sposobie, w jaki mnie traktujesz, w jaki traktujesz inne kobiety. Tak, jesteś ostrożny, ostatecznie prawie się nie znamy, ale czujesz się przy mnie swobodnie, prawda?

Nick tylko się uśmiechnął.

- Większość z was nie wie, jak traktować koleżankę po fachu. Albo uważacie nas za nijakie i bezpłciowe, albo za kogoś, kogo można poderwać. Ale ty wiesz, że to nie takie proste, że zależnie od okoliczności kobieta, tak samo jak mężczyzna, może być albo nijaka, albo romantyczna, albo i taka, i taka, albo jeszcze inna.

- Mówisz zagadkami.

- Nie chciałam. Po prostu myślę, że... Cóż, ty jesteś mężczyzną, a ja kobietą. - Uniosła szklankę jak do toastu.

Choć rozumiał, o co jej chodzi, udał, że nie rozumie. Była niezwykłą kobietą. Im dłużej z nią przebywał, tym bardziej pociągala go fizycznie, lecz uważał, że dopóki nie wyjaśni, co zaszło między nim i Eleną, musi nad sobą panować. Gdyby uległ, postąpiłby egoistycznie, wzbudziłby w Layli oczekiwania, którym nie potrafił sprostać. Byłaby to jedynie przyjemność, na pewno wielka, lecz ulotna. Potem przyszłoby zakłopotanie, zmieszanie, które mogłoby odmienić i zakłócić łączące ich stosunki.

- Widzę, że już takich spotkałaś. Mężczyzn, którzy nie rozumieją koleżanek po fachu. A twój mąż? Mówiłaś, że był żołnierzem. On też cię nie rozumiał?

- To zupełnie co innego. Byłam wtedy młodą kobietą, na wpół ukształtowaną dziewczyną.

- To jego śmierć tak cię odmieniła?

- Jego i ojca, chociaż ojca praktycznie nie znałam. - W zadumie wypila łyk whisky.

Nick odstawił szklankę. Layla pochyliła głowę.

- Yaron... Mój mąż miał na imię Yaron... Podczas intifady stacjonował w Kiriat Szmona. Pewnego dnia izraelskie lotnictwo przeprowadziło atak rakietowy na bazę Hezbollahu w Dolinie Bekaa, niedaleko miejsca, gdzie mieszkałam jako dziecko, przypadkowo zabijając pewną kobietę i jej pięcioro dzieci. To... to był koszmar. Ci z Hezbollahu odpowiedzieli ogniem. Wycelowali katjusze w Kiriat Szmona i zaczęli strzelać. Yaron odprowadzał ludzi do schronu. Jedna z rakiet wybuchła tuż przy nim. Zginął. Z trudem rozpoznano jego zwłoki. - Podniosła głowę. W oczach miała łzy. - Powiedz mi teraz, czyja to była wina? Terrorystów z Hezbollahu, których jedynym celem jest zabijanie Żydów, czy Żydów, których nie obchodziło, że niszcząc bazę Hezbollahu, zabijają niewinnych ludzi?

- Znałaś tę kobietę, prawda? - spytał cicho Bryson. - I jej dzieci. Layla zagryzła wargi. Policzki miała mokre od łez.

- To była moja siostra. Starsza... siostra. Moje siostrzenice i siostrzeńcy. - Zamilkła. Przez chwilę nie mogła mówić. - Widzisz, to jest tak. Winni nie zawsze są ci, którzy strzelają z katusz. Równie winni są ci, którzy dostarczają im amunicji. Ci, którzy siedzą w bunkrach, planując kolejny atak. Ludzie tacy jak Jacques Arnauld, który ma w kieszeni połowę francuskiego parlamentu i zbija fortunę, sprzedając broń terrorystom, fanatykom i szaleńcom. Kiedy mi w końcu zaufasz, kiedy powiesz, dlaczego ryzykujesz życie i co masz nadzieję znaleźć, kiedy się wreszcie zdecydujesz... Po prostu chcę, żebyś wiedział, komu to wszystko mówisz. - Wstała i pocałowała go w policzek. - A teraz idę spać.

Wrócił do pokoju, gorączkowo myśląc. Musiał jak najszybciej dotrzeć do Richarda Lanchestera. Postanowił, że spróbuje skontaktować się z nim z samego rana. Sęk w tym, że za mało wiedział i miał za mało czasu. Harry Dunne zniknął i jedynym człowiekiem, jedynym wpływowym i niezależnym politykiem, który mógł powstrzymać tych z Dyrektoriatu, był Lanchester. Nick go nie znał, lecz dobrze znał jego biografię. Lanchester dorobił się milionów na Wall Street, ale w wieku czterdziestu kilku lat zrezygnował z prowadzenia interesów, by poświęcić się służbie publicznej.

Był głównym organizatorem kampanii prezydenckiej Malcolma Davisa i po wygranych wyborach został jego doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego. Jako polityk szybko zyskał sobie powszechne uznanie. W Waszyngtonie, w tym do cna skorumpowanym mieście, gdzie wszystko jest na pokaz, jego inteligencja i uczciwość rzucały się w oczy. Był przy tym bardzo skromny, sprawiedliwy i przyjaźnie nastawiony do ludzi.

Według gazet, które rozpisywały się o tragedii pod Lilie, Richard Lanchester przybył właśnie do Brukseli, by złożyć uroczystą wizytę w SHAPE, siedzibie Naczelnego Dowództwa Połączonych Sił Zbrojnych w Europie, i odbyć naradę z sekretarzem generalnym NATO.

Bryson wiedział, że trudno będzie go dopaść, zwłaszcza w Mons.

Ale niewykluczone, że istniał sposób, żeby go stamtąd wyciągnąć.

Obudził się o piątej, po krótkiej, źle przespanej nocy, którą urozmaicał mu warkot przejeżdżających ulicą samochodów i krzyki pijaków. Wziął zimny prysznic - ciepłej wody po prostu nie było - i opracował plan działania.

Szybko się ubrał, wyszedł z pensjonatu i znalazł dobrze zaopatrzony kiosk z międzynarodową prasą. Przeważały gazety europejskie i jak się tego spodziewał, niemal wszystkie, od „International Herald Tribune” i „Timesa” poczynając, na „Le Monde”, „Le Figaro” i „Die Welt” kończąc, rozpisywały się o zamachu pod Lilie. Wiele zamieszczało krótkie cytaty z wypowiedzi Richarda Lanchestera, w innych znalazł obszernie z nim wywiady. Kupił kilkanaście czasopism, poszedł do kawiarni, zamówił dużo kawy i z długopisem w ręku zaczął studiować interesujące go artykuły.

Kilka gazet wspomniało, że wraz z Lanchesterem do Brukseli przyjechał jego rzecznik prasowy, niejaki Howard Lewin, który był jednocześnie rzecznikiem prasowym Narodowej Rady Bezpieczeństwa.

Rzecznik prasowy... Rzecznik prasowy musi być pod telefonem dwadzieścia cztery godziny na dobę, żeby odpowiadać na pilne pytania dziennikarzy. Wróciwszy do hotelu, Nick zadzwonił i - o dziwo - zdołał połączyć się z nim już za pierwszym razem.

- Pan Lewin? Dzień dobry - zaczął spiętym, lekko zdenerwowanym, lecz hardym głosem. - Chyba się nie znamy. Nazywam się Jim Goddard i jestem redaktorem naczelnym europejskiego wydania „Washington Post”. Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie, ale mamy tu prawdziwą bombę i potrzebuję pańskiej pomocy.

Natychmiast przykuł jego uwagę.

- Oczywiście... Jim, tak? Co się stało?

- Chcę pana o czymś uprzedzić. Puszczamy do druku artykuł o Lanchesterze. Pójdzie na pierwszej stronie, ze wszystkimi bajerami: pełny kolor, nagłówek na trzy czwarte i tak dalej. Ale chyba się z tego nie ucieszycie. Powiem prosto z mostu: według mnie to będzie

koniec jego kariery. Mówiłem, to prawdziwa bomba, finał trzymiesięcznego śledztwa.

- Jezus Maria, jaka bomba? O czym pan mówi?

- Przyznam się panu, że naciskają na mnie z góry. Chcą, żebym puścił to cholerstwo jak leci, bez żadnych przecieków, ale według mnie sprawa może mieć druzgocące znaczenie nie tylko dla Lanchestera, ale i dla naszego bezpieczeństwa narodowego. - Odczekał chwilę, żeby Lewin to sobie przetrawił, po czym rzucił mu koło ratunkowe, które tamten po prostu musiał chwycić. - Dlatego chcę dać pańskiemu szefowi szansę. Niech przynajmniej spróbuje odparować zarzuty, nie wiem, może niech zagrana czas. Zawsze go podziwiałem, mam dla niego cholernie dużo sympatii, ale jako bezstronny dziennikarz nie powinienem do was dzwonić. Mimo to dzwonię, bo jeśli Lanchester do mnie przekreśli i odpowie na kilka pytań, może będę mógł jakoś mu...

- Czy pan wie, która godzina jest w Brukseli? - wykrztusił Lewin. -Uprzedza nas pan w ostatniej chwili. To nie fair, to nieodpowiedzialne! Próbujecie nas zrobić w jakiś...

- Tak, tak, wiem, ma pan prawo do własnego zdania. Chcę tylko, żeby wszystko było absolutnie jasne: dałem wam szansę, a wyście z niej nie skorzystali... Chwileczkę. - Odwrócił głowę i krzyknął: - Nie, nie to zdjęcie, idioto! Miała być twarz Lanchestera, sama twarz! - Przepraszam, to do kolegi. Dobra, zrobmy tak. Niech pan powie szefowi, że jeśli za dziesięć minut nie zadzwoni do mnie na komórkę, puszcze wszystko jak leci, łącznie z adnotacją: „Richard Lanchester odmówił wszelkich komentarzy”. Czy wyrażam się jasno? Proszę mu powtórzyć, najlepiej niech mnie pan zacytuje, że największą sensacją jest wiadomość o jego powiązaniach z Rosjaninem Genadijem Rosowskim. Zapamięta pan?

- Genadij... jak?

- Rosowski. Niech pan zapisze mój numer. - Nie chcąc, żeby tamci wiedzieli, skąd dzwoni, podał mu numer swojej komórki. - Dziesięć minut!

Telefon zapiszczał już po dziewięćdziesięciu sekundach.

Dźwięczny baryton, charakterystyczny amerykańsko-brytyjski akcent. Bryson natychmiast rozpoznał jego głos.

- Mówi Richard Lanchester. Co się, do cholery, dzieje?

- Rozumiem, że pański rzecznik wprowadził pana w sytuację.

- Wymienił tylko jakieś rosyjskie nazwisko, Genadij ktoś tam. O co tu chodzi, redaktorze?

- To prawdziwe nazwisko Teda Wallera i dobrze pan o tym wie.

- Ted Waller? Kto to taki? Goddard, o czym pan, do diabła, mówi?

- Musimy porozmawiać, i to natychmiast.

- Słucham, przecież rozmawiamy. Niech pan mówi! Co wy tam knujecie? Nie znam pana, ale na pewno pan wie, że doskonale znam waszą naczelną. Często widzimy się towarzysko i nie zawaham się do niej zadzwonić...

- Musimy porozmawiać osobiście, nie przez telefon. Jestem w Brukseli, za godzinę mogę być w Mons, w kwaterze głównej SHAPE. Niech pan uprzedzi wartowników. Usiądziemy i pogadamy. Tak od serca i tylko we dwóch.

- Jest pan w Brukseli? Myślałem, że w Waszyngtonie! Cholera jasna, co tu...

- Za godzinę. I jeszcze jedno. Do czasu mojego przyjazdu proszę do nikogo nie dzwonić. Dobrze panu radzę.

Cicho zapukał do drzwi. Otworzyła natychmiast. Była już ubrana. Świeżo po kąpieli, pachniała szamponem i mydłem.

- Parę minut temu przechodziłam koło twojego pokoju - powiedziała, gdy wszedł do środka. - Rozmawiałeś przez telefon. Nie, nie, nic nie mów. O nic nie zapytam. Wiem: „w odpowiednim czasie”.

Usiadł w tym samym fotelu, w którym siedział poprzedniej nocy.

- Ten czas chyba właśnie nadszedł. - Wypowiadając te słowa, poczuł, że spada mu z ramion olbrzymi ciężar, że w końcu, po długim okresie ciągłych duszności, może normalnie oddychać. - Muszę ci to powiedzieć, ponieważ będę potrzebował twojej pomocy. Ponieważ jestem pewien, że będą próbowali mnie... zdjąć.

Dotknęła jego ramienia.

- Oni? To znaczy kto? I dlaczego?

Starannie dobierając słów, opowiedział jej o rzeczach, o których nie wspominał nikomu z wyjątkiem zastępcy dyrektora CIA Harry'ego Dunne'a. O misji, której celem było zinfiltrowanie i zniszczenie tajnej organizacji znanej nielicznym jako Dyrektoriat, o rozpaczliwym planie wciągnięcia do pomocy Richarda Lanchestera, „ostatniego sprawiedliwego z Waszyngtonu”.

Słuchała go z rozszerzonymi oczami, a wysłuchawszy, wstała i zaczęła nerwowo krążyć po pokoju.

- Czegoś tu nie rozumiem. To nie jest amerykańska agencja. W takim razie jaka? Międzynarodowa? Multilateralna?

- Można tak powiedzieć. Kiedy w niej pracowałem, mieli swoją bazę w Waszyngtonie, ale wygląda na to, że się przenieśli. Dokąd? Nie wiem.

- Tak po prostu... zniknęli?

- Coś w tym rodzaju.

- Niemożliwe. Agencja wywiadowcza jest jak każda inna machina biurokratyczna. Ma telefony, faksy, komputery, nie wspominając już o pracownikach. To tak, jakby... Jak to się mówi po angielsku? Jakby ktoś próbował ukryć słonia na środku pokoju!

- Za moich czasów Dyrektoriat działał bardzo sprawnie. Biurokracja była ograniczona do minimum, liczyły się tylko biegłość i fachowość. Potrafili się znakomicie kamuflować. Tak samo jak CIA, która ukrywa swoje agendy pod fasadą niewinnych, prywatnych przedsiębiorstw. Albo jak Sowieci, którzy budowli potiomkinowskie wioski, ukrywając fabryki broni biologicznej w wytwórniach mydła, a nawet w szkołach.

Zamyślona, z niedowierzaniem pokręciła głową.

- Chcesz powiedzieć, że Dyrektoriat rywalizuje z CIA, z MI-6, z Mosadem i Surete? Z ich olbrzymimi zasobami i wiedzą?

- To nie tak. Pracownikom daje się do zrozumienia, że wykonują zadania, których ze względów politycznych lub organizacyjnych nie może wykonać żadna z oficjalnie działających agencji.

Layla zmarszczyła brwi.

- Mimo to udaje im się zachować pełną anonimowość. Jak to możliwe? Ludzie plotkują, sekretarki mają przyjaciół i przyjaciółki, w Kongresie działają wszelkiego rodzaju komisje i podkomisje nadzorcze... - Wyraźnie poruszona, podeszła do toaletki, otworzyła swoją czarną, skórzaną torebkę, poszperała w niej, wyjęła szminek, poprawiła usta i delikatnie musnęła je chusteczką higieniczną.

- I właśnie to jest w tym najgenialniejsze, nie rozumiesz? Najważniejsze to struktura organizacyjna, podział na niezależne wydziały i komórki. Struktura i rekrutacja. Pracownicy pochodzą z całego świata. Werbuje się ich z nadzwyczajną starannością. Dokładnie się ich prześwietla, sprawdza nie tylko umiejętności, ale i to, czy potrafią dochować tajemnicy. Dzięki rozczłonkowanej strukturze organizacyjnej agencji operacyjni praktycznie się nie znają, a jeśli już, to najwyżej przelotnie. Każdy z nich ma tylko jednego prowadzącego. Moim był Ted Waller. Żywa legenda, jeden z założycieli Dyrektoriatu. Mój idol - dodał ze smutkiem.

- A prezydent? Prezydent chyba musi o nich wiedzieć.

- Szczerze mówiąc, nie mam zielonego pojęcia. Moim zdaniem istnienie Dyrektoriatu ukrywa się skrzętnie przed wszystkimi lokatorami Białego Domu. Częściowo po to, żeby ich chronić, żeby nie wiedzieli za dużo o mokrej robocie i o innych brudnych sprawkach i w razie czego mogli wszystkiemu wiarygodnie zaprzeczyć; tak postępuje większość tajnych agencji na całym świecie. Innym powodem jest to, że ludzie związani z wywiadem uważają prezydenta za lokatora tymczasowego, za kogoś, kto mieszka w Białym Domu tylko chwilowo. Kto wprowadza się tam na cztery, przy odrobinie szczęścia na osiem lat, kto kupuje nową porcelanę, zmienia wystrój wnętrza, zatrudnia nowych i wyrzuca starych pracowników, wygłasza kilkadziesiąt przemówień i wreszcie się wyprowadza. Natomiast



szpiedzy pozostają, szpiedzy trwają. To oni są prawdziwymi spadkobiercami kolejnych prezydentów.

- I uważasz, że jedynym politykiem, który może wiedzieć o istnieniu i działalności Dyrektoriatu, jest przewodniczący prezydenckiej Komisji Doradczej do spraw Wywiadu Zagranicznego? Tajnej komisji nadzorującej pracę Narodowej Agencji Bezpieczeństwa, CIA i pozostałych amerykańskich agencji szpiegowskich, tak?

- Tak.

- A przewodniczącym tej komisji jest Richard Lanchester.

- Otóż to.

- I dlatego chcesz się z nim spotkać.

- Właśnie.

- Ale po co? - wykrzyknęła. - Co mu powiesz?

- To, co wiem o Dyrektoriacie i czego się domyślam. Właśnie dlatego odwołano mnie z emerytury. Miałem sprawdzić, kto za tym stoi, co knuje.

- No i? - spytała zaczepnie, niemal wojowniczo. - Myślisz, że sprawdziłeś? Że ci się udało?

- Nie. Oczywiście, że nie. Ale mam pewne teorie i dowody.

- Jakie dowody? Nie masz absolutnie nic! Nic!

- Layla, po czyjej ty jesteś stronie?

- Po twojej! - krzyknęła. - Chcę cię chronić i myślę, że popełniasz błąd!

- Błąd?

- Idziesz do tego Lanchestera z... z niczym. Z pustymi rękami, ze zwariowanymi oskarżeniami. Od razu cię splewi. Weźmie cię za szaleńca!

- Możliwe, ale spróbuję przekonać go, że mówię do rzeczy. Powinno się udać.

- Skąd wiesz, że można mu zaufać?

- A jaki mam wybór? \*\*

- A jeśli jest jednym z nich? Jeśli on też kłamie? Skąd pewność, że...

- Nie ma żadnej pewności. Layla, nie widzisz, że błędzę? Że kluczę jak w labiryncie? Że się zgubiłem? Że nie wiem już, gdzie jestem ani nawet kim jestem?

- A ten Dunne? Skąd wiesz, że mówił prawdę? Skąd wiesz, że z nimi nie trzyma?

- Chryste, nie wiem! Przecież mówiłem ci, że nie wiem. Nikt tego nie wie. To kwestia kalkulacji, założeń i szans...

- Ale w to, że twoich rodziców zamordowano, uwierzyłeś natychmiast, tak?

- Częściowo potwierdziła to moja macocha, kobieta, która opiekowała się mną po ich śmierci. Jest chora. Ma Alzheimera i niewiele już pamięta. Jedynymi ludźmi, którzy znają całą prawdę, są Ted Waller i Elena. Dlatego tak bardzo chcę ich odnaleźć.

- Elena to twoja była żona.

- Była i obecna. Nie rozwiedliśmy się. Po prostu zniknęła. Można powiedzieć, że jesteśmy w separacji.

- Zostawiła cię. Bryson westchnął.

- Nie mam pojęcia, co się stało. Bardzo chciałbym wiedzieć. Bardzo.

- Zniknęła? Ot, tak, z dnia na dzień?

- Z dnia na dzień.

- Ty wciąż ją kochasz. Kiwnął głową.

- Nie wiem, co o niej myśleć. Co myśleć o tym wszystkim. Kochała mnie czy mi ją podstawiono? Uciekła ode mnie z rozpaczy, ze strachu, czy kazano jej odejść? Co jest prawdą?

Czyżby był to skutek jego potajemnej wyprawy do Bukaresztu? Czyżby Elena uciekła przed „kominiarzami” z Securitate? Jeśli tak, dlaczego nic mu nie powiedziała? Dlaczego nic nie wyjaśniła? Inna możliwość: czyżby jakimś sposobem odkryła, że ją okłamał? Czyżby się dowiedziała, że nie był wtedy w Barcelonie? Mogła się poczuć urażona, zdradzona, ale czy odeszłaby bez choćby krótkiej rozmowy, o nic go nie spytawszy? Nagle i bez uprzedzenia?

- I ubzdurałeś sobie, że dowiesz się tego, uganiając się po całym świecie za agentami Dyrektoriatu? Przecież to szaleństwo!

- Layla, oni są jak szerszenie. Kiedy trafię do ich gniazda, będą bez szans. Mam na nich haka. Pracowałem tam piętnaście lat, znam szczegóły dziesiątek operacji, które przeprowadzili z naruszeniem prawa nie tylko krajowego, ale i międzynarodowego.

- I opowiesz to wszystko Lanchasterowi z nadzieją, że zdemaskuje ich i powstrzyma, tak?

- Tak. Jeżeli rzeczywiście jest taki, jak mówią, na pewno mi pomoże.

- A jeśli nie jest? Nick nie odpowiedział.

- Bierzesz broń?

- Oczywiście.

- Gdzie jest? Przy sobie jej nie masz.

Zaskoczony podniósł głowę. Przypatrywała mu się czujnym, trochę niespokojnym wzrokiem.

- W torbie - odrzekł. - Nie zdążyłem jej złożyć.

- Cóż, w takim razie... - Wyjęła z torebki czterdziestkę piątkę Hecklera & Kocha.

- Nie, dzięki. Wolę swoją beretkę. - Uśmiechnął się lekko. - Ale jeśli masz tego desert eagle'a...

- Nie, Nick, bardzo mi przykro.

- Nick? - Serce zadudniło mu w piersi. Znała jego prawdziwe imię. Tylko skąd? Jakim cudem? Boże, co jeszcze wiedziała?

Celowwała w niego z drugiego końca pokoju. Dopiero po chwili zrozumiał, co się dzieje. Zamarł w fotelu. Oszołomiony, kompletnie stracił refleks.

Miała smutne oczy.

- Nie mogę dopuścić do tego spotkania. Przykro mi, Nick, ale naprawdę nie mogę.

- Co ty, do diabła, robisz?

- To, co do mnie należy. Nie dałeś mi wyboru. Nie przypuszczałam, że do tego dojdzie, ale doszło.

Poczuł się tak, jakby z pokoju wyszło całe powietrze. Zrobiło mu się zimno, stężyły mu mięśnie i trzewia. Fotel, w którym siedział, zaczął powoli wirować i maleć.

- Nie - wychrypiął. - Tylko nie ty. Ciebie też dopadli? Kiedy...

Nagle zerwał się na nogi z siłą ciasno zwiniętej sprężyny i niczym taran runął prosto na nią. Zdekoncentrowana, zaskoczona gwałtownością ataku, odruchowo cofnęła się pół kroku, straciła równowagę, pociągnęła za spust i w pokoju zabrzmiał ogłuszający huk wystrzału. Ściany zadrżały, mocno zawibrowały. Pocisk świsnął mu tuż koło lewego policzka, w twarz i skroń buchnął gejzer spalonego prochu. Nim na podłodze zabrzęczała mosiężna łuska, zrobił potężny wyskok, spadł z góry niczym jastrząb i przygniótł Laylę do podłogi, wytrącając jej broń z ręki.

Jednakże Libanka nie była już kobietą, która dotąd znał: zmieniła się w tygrysięcę, w oszalałego z żądzы krwi drapieżnika. Wierzgnęła, zakrzywionymi niczym szpony palcami dźgnęła go w szyję, jednocześnie łokciem drugiej ręki grzmotnęła w splot słoneczny, pozbawiając go tchu.

Błyskawicznie wstała i gdy wziął zamach, zrobiła zwinny unik, przemknęła dołem, wyprostowała się, prawą rękę wbiła mu pod pachę, owinęła nią szyję, przytrzymała lewą i głucho stęknawszy, mocno zacisnęła.

Bryson walczył wręcz z wieloma groźnymi, zaciekłymi i świetnie wyszkolonymi zabójcami, lecz ona była klasą samą w sobie. Brutalnie silna i nie ulegająca zmęczeniu, walczyła jak maszyna, z zjadłością, jakiej nigdy dotąd u nikogo nie widział. Cudem przełamawszy dźwignię, ponownie wziął zamach, lecz Layla odskoczyła do tyłu, odparowała cios lewym przedramieniem, raptownie przyklęła i kryjąc się za pojedynczą gardą, uderzyła go pięścią w brzuch.

Bryson głośno sapnął, chwycił ją za gardło, lecz była dla niego za szybka: kopnęła go mocno w zgięcie prawego kolana i gdy pochylił się do przodu, przyłożyła mu w głowę łokciem, omal nie zwalając go z nóg.

Nie zważając na oślepiający ból, Bryson zebrał siły. Wszystko to, czego nauczył się przed laty, powróciło do niego niczym wspomnienie z zamierzchłej przeszłości. Zrobił szybki zwód w prawo, po czym runął na nią całym ciężarem ciała, jednocześnie zadając jej silny cios w nerki. Przerazliwie krzyknęła, lecz nie z bólu, tylko z wściekłości. Odbiła się, wykonała w powietrzu błyskawiczny obrót i ze zdumiewającą siłą uderzyła go nogą w brzuch. Nick jęknął. Ładując, zdzieliła go pięścią w twarz, przytrzymała za ramiona, pchnęła w dół i wbiła mu kolano w krocze. Gdy oszołomiony bólem zgiął się wpół, prawym łokciem huknęła go w kręgosłup, po czym chwyciła za uszy, szarpnęła, przekreśliła mu głowę w prawo i powaliła go na podłogę.

Ostatnim rozpaczliwym wysiłkiem wyciągnął przed siebie rękę, kantem dłoni uderzył ją w splot nerwów tuż nad kolanem, natychmiast zacisnął na nim palce, wbijając kciuk w ciało, a gdy zatoczyła się do tyłu, mocno szarpnął i pociągnął ją na podłogę. Upadła, a wówczas grzmotnął ją kolanem w brzuch i łokciem wolnej ręki poprawił w szyję. Chrapliwie krzyknęła i zaczęła macać na oślepek wokół siebie. Zerknął w lewo: heckler & koch leżał ledwie kilkadziesiąt centymetrów dalej. Nie mógł dopuścić do tego, żeby ponownie zdobyła nad nim przewagę! Lekko pochylił się w prawo i wbił jej łokieć w grdykę. Zacharczała, odruchowo zasłoniła się ręką, a wówczas on chwycił pistolet, obrócił go w dłoni i starannie wyważywszy cios - nie chciał jej zabić ani trwale okaleczyć - uderzył ją ręką w tył głowy.

Zwiotczała i z na wpół otwartymi oczami osunęła się bezwładnie na brudną wykładzinę. Zbadał jej puls. Żyła, choć wiedział, że obudzi się dopiero za kilka godzin. Kimkolwiek była, miała okazję zabić go już kilka minut temu. Trzymała go na muszce, jednak się zawahała. Albo nie mogła tego zrobić, albo nie mogła znieść myśli, że zrobić to musi. Tak samo jak on była pewnie małym pionkiem, okłamywaną i sprytnie manipulowaną marionetką, której nie wyjaśniono nawet, dlaczego ma usunąć go z drogi. W pewnym sensie ona też była ofiarą.

Ofiarą Dyrektoriatu?

Możliwe. Całkiem prawdopodobne.

Musiał ją przesłuchać, musiał z niej wszystko wyciągnąć. Ale nie teraz. Teraz nie miał czasu.

Zajrzał do małej szafy, w której powiesiła ubranie i postawiła dwie pary butów. Szukał liny, sznura, czegokolwiek, czym mógłby ją związać. Ukląkł, przesunął ręką po podłodze i zacisnął na czymś palce. But. Obcas buta? Tak, musiał odpaść od... Szare szpilki. Nosiła je, kiedy byli razem w tym genewskim banku. Coś ukłuło go w rękę. Syknął z bólu, spojrzał w dół i stwierdził, że z obcasa wystaje krótkie, ostre jak brzytwa ostrze, które spełniało rolę trzpienia mocującego obcas do podeszwy. Było wężutkie, obosieczne i bez trudu mieściło się w wydrażonym obcasie.

Zerknął na Laylę. Oczy w słup, szeroko otwarte usta - była wciąż nieprzytomna.

Przeniósł wzrok z powrotem na but i nagle wszystko zrozumiał. Piękna sztuczka. Wystarczyło przekreślić obcas i miało się w rękę nóż. Zbadał drugą szpilkę. Drugi but - drugi nóż. Bomba.

I raptem coś do niego dotarło.

Genewa, bank, szafa w gabinecie Becota. Layla była zakneblowana i związana: Jan Yansina skrępował ją mocnym, poliuretanowym sznurem, który... mogła łatwo przeciąć jednym z ukrytych w szpilkach noży.

Wrobili go, podpuścili.

Layla była w zмовie z Yansiną. Yansina cały czas grał. Upozorował atak i zamknął ją w szafie, z której mogła się w każdej chwili uwolnić. Nie uwolniła się, ponieważ ona też grała: oboje pracowali dla Dyrektoriatu.

Na miłość boską, co to wszystko znaczy?

Na końcu ciemnego korytarza była ciasna winda z harmonijkowymi drzwiami. Do sąsiednich pokoi nikt nie wchodził ani nikt z nich nie wychodził. Chyba na tym piętrze mieszkają tylko oni. Na szczęście.

Dźwignął ją z podłogi - była drobna, lecz nieprzytomna, dlatego ciężka - chwycił poniżej pośladków, przerzucił sobie przez ramię i niczym pijaną połowicę poniósł ją do windy. Na wszelki wypadek ułożył sobie smutny żart o żonie alkoholizce, lecz okazało się, że nie musi go nikomu opowiadać. Tym lepiej.

Zjechał na sam dół, do piwnicy, w której cuchnęło ściekami, i położył ją na brudnej betonowej podłodze. Rozejrzał się, po krótkich poszukiwaniach znalazł małą, zagraconą pakamerę i wyjąwszy z niej wiadra i szczotki, ukrył tam Layłę. Sznur. Na półce leżał sznur do bielizny. Starannie związał jej ręce i nogi. Zacisnął kilka węzłów, dokładnie owinał sznurem kolana, uda, brzuch i piersi, mocno związał końcówki i sprawdził, czy więzy dobrze trzymają. Trzymały. Wiedział, że nie puszcza do jego powrotu. Poza tym była boso: szpilki i ukryte w nich noże zostały w pokoju.

Ostatnie zabezpieczenie, tak na wszelki wypadek. Mogła się ocknąć i zacząć krzyczeć, dlatego wepchnął jej do ust kawałek szmaty i przewiązał go sznurem. Oddychała? Tak, przez nos.

Zamknął drzwi i przekreślił klucz. Wiedział, że Layla się nie uwolni, że na pewno stamtąd nie wyjdzie - zrobił to tylko dlatego, żeby nikt jej tam przypadkiem nie zobaczył.

Potem wrócił do pokoju, żeby przygotować się do spotkania z Richardem Lanchesterem.

W mrocznym pomieszczeniu kilka tysięcy kilometrów dalej czuwało trzech mężczyzn. Ich spięte twarze omywała zielonkawa poświata bijąca z konsol i monitorów.

- Mam przekaz cyfrowy z Mentora - zameldował jeden z nich. - To jeden z satelitów Intelsatu...

- A wzorzec głosowy? - przerwał mu niecierpliwie drugi. Siedzieli tam już wiele godzin, byli zmęczeni i zestresowani. - Jaka wiarygodność?

- Dziewięćdziesiąt dziewięć, dziewięćdziesiąt dziewięć, przecinek siedem procent. Bardzo wysoka.

- Identyfikacja potwierdzona - odezwał się trzeci. - Źródło: naziemny telefon komórkowy GSM. Współrzędne: Bruksela. Odbiorca: Mons. -Mężczyzna dostroił odbiór i z głośników na konsolecie popłynął zadziwiająco wyraźny głos.

- Musimy porozmawiać, i to natychmiast.

- Słucham, przecież rozmawiamy. Niech pan mówi! Co wy tam knujecie, co? Nie znam pana, ale na pewno pan wie, że doskonale znam waszą naczelną. Często widzimy się towarzysko i nie zawaham się do niej zadzwonić...

- Musimy porozmawiać osobiście, nie przez telefon. Jestem w Brukseli, za godzinę mogę być w Mons, w kwaterze głównej SHAPE. Niech pan uprzedzi wartowników. Usiądziemy i pogadamy. Tak od serca, i tylko we dwóch.

- Jest pan w Brukseli? Myślałem, że w Waszyngtonie! Cholera jasna, co tu...

- Za godzinę. I jeszcze jedno. Do czasu mojego przyjazdu proszę do nikogo nie dzwonić. Dobrze panu radzę.

- Niech go przechwyca- rzucił jeden ze stojących za mężczyznami obserwatorów.

- Nie. Decyzja musi zapaść na wyższym szczeblu - odrzekł drugi, najwyraźniej jego przełożony. - Niewykluczone, że Prometeusz będzie chciał zebrać informacje na temat celu i jego poczyną...

- A jeśli spotkają się w „bąblu”? Nie damy rady ich namierzyć.

- Chryste, McCabe! Namierzymy ich nawet w piekle. Połącz się z centralą i prześlij im plik dźwiękowy. Niech sami zdecydują.

Część 3

## Rozdział 17

Prezydencki doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego siedział za wypolerowanym mahoniowym stołem, z napięcia marszcząc wysokie czoło. Od ponad dwudziestu minut z wyczerpaną uwagą wysłuchiwał sprawozdania Nicka Brysona. Kiwał głową, robił notatki, przerywał mu bardzo rzadko i tylko po to, żeby zażądać dodatkowych wyjaśnień. Każde pytanie, które zadawał, było nie tylko celne i treściwe, ale i niezmiernie dociekliwe, każde rozpraszało wątpliwości i uwypuklało sedno rzeczy. Jego inteligencja i błyskotliwość wywarły na Brysonie duże wrażenie. Tak, Lanchester umiał słuchać w skupieniu i ze szczerym zainteresowaniem. Natomiast Nick mówił tak, jakby przedstawiał prowadzącemu sprawozdanie z kolejnej misji, jakby składał Wallerowi chłodny, rzeczowy meldunek z kolejnej operacji: chłodno oceniał fakty, nie snuł bezpodstawnych domysłów. Próbował stworzyć znaczący kontekst dla swoich rewelacji, co było dość trudne.

Siedzieli w specjalnym pomieszczeniu w kwaterze dowódczej sekretarza generalnego NATO, w akustycznie izolowanej komorze bez okien, potocznie zwanej „bąblem”. Jej ściany, podłoga i sufit tworzyły jeden moduł, zwartą całość oddzieloną od ścian zewnętrznych grubymi na trzydzieści centymetrów gumowymi blokami, dzięki czemu z „bąbla” nie przedostawały się na zewnątrz żadne wibracje, natomiast ewentualny podsłuch wewnętrzny miały wykryć codzienne inspekcje techniczne samego pomieszczenia, jak i pomieszczeń bezpośrednio z nim sąsiadujących. Ponieważ w „bąblu” nie było okien, nie istniało też ryzyko zastosowania elektronicznego podsłuchu zewnętrznego, urządzeń laserowych czy

mikrofalowych, które mogły przechwytywać i odczytywać drgania powietrza wywołane głosem rozmawiających w komorze osób. Zamontowano tu również wyrafinowany system urządzeń zabezpieczających, jak choćby korelator spektralny do wykrywania podsłuchu wykorzystującego analizę krzywej rozkładu widmowego czy korelator akustyczny o pasywnych wzorcach falowych do automatycznego wykrywania i klasyfikowania urządzeń podsłuchowych. Poza tym nieustannie pracował generator akustyczny, który wytwarzał elektroniczny szum, neutralizujący ukryte w ścianach mikrofony, mikrofony kontaktowe oraz wszelakiego rodzaju przekaźniki elektroniczne. To, że Lanchester nalegał na spotkanie właśnie tu, w „bąblu”, świadczyło o powadze, z jaką potraktował rewelacje Brysona.

Wyraźnie wstrząśnięty podniósł wzrok.

- To, co pan opowiada, jest niedorzeczne i absurdalne, to czysty obłąd, ale jest w tym odrobina prawdy. Twierdzą tak dlatego, że niektóre informacje, choć bardzo skąpe i mgliste, zdają się potwierdzać to, co wiem.

- Przecież jako przewodniczący prezydenckiej Komisji Doradczej do spraw Wywiadu Zagranicznego musiał pan wiedzieć o istnieniu Dyrektoriatu.

Lanchester zdjął okulary i w zamyśleniu przetarł je chustką.

- Dyrektoriat to jedna z najpilniej strzeżonych tajemnic rządowych. Wkrótce potem, gdy zostałem przewodniczącym KDZ, powiadomiono mnie, że coś takiego istnieje, i muszę przyznać, że w pierwszej chwili byłem zszokowany. Myślałem, że zwariowałem. Albo ja, albo człowiek, który mi o tym powiedział, jeden z tych bezimiennych, anonimowych, nie rzucających się w oczy oficerów wywiadu; wygląda na to, że ludzie ci zadomowili się u nas na dobre. Była to najbardziej fantastyczna, najbardziej bezsensowna rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem. Tajna agencja działająca w całkowitym ukryciu, bez żadnej kontroli czy choćby pobieżnego dozoru. Agencja, której szefowie nikomu nie składają sprawozdań i przed nikim nie odpowiadają - niesłychane! Gdybym śmiał wspomnieć o tym prezydentowi, wysłałby mnie natychmiast do szpitala dla umysłowo chorych i wcale bym mu się nie dziwił.

- Ale co jest w tym aż tak niewiarygodne? Ich prawdziwe cele i styl działania? To podwójne oszukaństwo? Oszukaństwo w oszukaństwie?

- Nie. Harry Dunne musiał wpaść na ich trop już kilka miesięcy temu. Powiedział mi wtedy, że jego zdaniem założycielami i szefami Dyrektoriatu są funkcjonariusze

sowieckiego GRU, że Ted Waller to Genadij Rosowski. Te informacje były niepokojące, głęboko zatrważające, dlatego musieliśmy strzec ich jak oka w głowie: gdyby rzecz wyszła na jaw, w Białym Domu i w sferach rządowych zapanowałby kompletny chaos, narazilibyśmy na szwank bezpieczeństwo narodowe. Dlatego przyznaję, że gdy wymienił pan nazwisko Rosowskiego, przeszedł mnie zimny dreszcz.

- Pewnie podszedł pan do tego bardzo sceptycznie.

- Do rewelacji Dunne'a? Tak, owszem. Nie tyle mu nie uwierzyłem, bo ma zbyt dobrą reputację, żeby go zlekceważyć, lecz myśl, że ktoś mógłby przeprowadzić tak gigantyczną operację, że to w ogóle możliwe, była po prostu niedorzeczna. Ale teraz... Najbardziej niepokoi mnie jednak pańska ocena ich bieżącej działalności.

- Dunne musiał pana o tym informować. Lanchester leciutko pokręcił głową.

- Nie rozmawiałem z nim od wielu tygodni. Jeśli w ogóle dysponował jakimiś informacjami, powinien był mi je przekazać. Może chciał zebrać kompletne dossier? Konkretne, niepodważalne dowody? Nie wiem.

- I co? Nie może pan go odnaleźć? Nie wierzę. Przecież musi istnieć jakiś sposób...

- Nie jestem magikiem, nie znam żadnych tajemnych sztuczek. Po-dzwonię, zobaczę, co da się zrobić. Harry jest zastępcą dyrektora naczelnego CIA, a tacy ludzie nie rozplývają się w powietrzu. Jeśli go uprowadzono albo zamordowano, na pewno się tego dowiem. Jestem przekonany, że go odnajdę.

- Kiedy rozmawialiśmy ostatnim razem, bardzo martwił się o Agencję. Twierdził, że ci z Dyrektoriatu mają tam swoje wtyczki, że CIA została przez nich dogłębnie zinfiltrowana. Lanchester westchnął.

- Najlepszym tego dowodem jest legitymacja pańskiego niedoszłego zabójcy z Chantilly. Tak, mogli ją komuś ukraść, mogli tego człowieka przekupić, ale przypuszczam, że Harry ma rację. W każdym razie na pewno nie można tego wykluczyć. Za kilka godzin wracam do Waszyngtonu. Po drodze wpadnę do Langley i osobiście porozmawiam z naczelnym. Ale będę z panem brutalnie szczery, Nick. Niech pan spojrzy na to obiektywnie, z dystansu. Rozmowa podsłuchana w zamku francuskiego handlarza bronią, mgliste domniemania, że Arnauld i Prisznikow mieli coś wspólnego z katastrofą pod Lilie: oto nasze fakty, oto dowody. Nie wątpię, że to wszystko prawda, ale czym tę teorię poprzemy?

- Słowem agenta wywiadu o prawie dwudziestoletnim stażu pracy - odrzekł cicho Bryson.

- Słowem pracownika tej samej wrogiej agencji, która działa na terytorium Stanów Zjednoczonych wbrew naszym najżywniejszym interesom? Przepraszam, Nick, ale właśnie tak to wygląda. Z oficjalnego punktu widzenia jest pan zdrajcą, sprzedawczykiem. Nie wątpię w pańską uczciwość, ale dobrze pan wie, jak nasz rząd traktował i traktuje zdrajców. Na miłość boską, pamięta pan, co zrobiliśmy temu biednemu Nosenko z KGB? Uciekł, żeby ostrzec nas, że za zamachem na Kennedy'ego stali Rosjanie, że KGB ma swego szpiega wśród najwyższego kierownictwa CIA. A my co? Zamknęliśmy go w więziennej celi i w nieskończoność przesłuchiwaliliśmy. James Jesus Angleton, ówczesny szef kontrwywiadu, był przekonany, że to podstęp, że Sowieci chcą nas zmylić, że próbują nami manipulować. Nosenko zaliczył sto testów na wykrywaczu kłamstw, a on nie tylko mu nie uwierzył, ale i złamał go psychicznie. I niech pan pamięta, że Nosenko uciekł do Stanów z długą listą agentów i prowadzących, z planami tajnych operacji, tymczasem pan dysponuje jedynie niesprawdzonymi plotkami i sugestiami.

- To, co panu powiedziałem, w zupełności wystarczy do podjęcia natychmiastowych działań zaradczych - warknął Bryson.

- Nick, niech pan posłucha i spróbuje mnie zrozumieć. Założmy, że pójdę do prezydenta i powiem mu, że działa u nas coś w rodzaju tajemniczej... ośmiornicy, bezimiennej, bezpostaciowej organizacji, której istnienia nie potrafię udowodnić i której zamierzeń mogę się tylko domyślać. Co zrobiłby prezydent? Wyśmiałby mnie albo wyrzucił z Białego Domu.

- Nie z pańską reputacją.

- Tę reputację, jak pan to ujął, zdobyłem dzięki temu, że nie jestem panikarzem, że

najpierw zbieram niepodważalne fakty, a dopiero potem przystępuję do działania. Boże, gdyby z podobnymi kompletnie bezpodstawnymi zarzutami wystąpił ktoś na posiedzeniu Narodowej Rady Bezpieczeństwa albo w Gabinetcie Ovalnym, wyszedłbym z siebie.

- Przecież pan wie, że...

- Rzecz w tym, że nic nie wiem. Podejrzenia, domysły, spekulacje, teorie to nie jest wiedza. Prawnik powiedziałby, że brak nam konkretnego materiału dowodowego, a brak materiału dowodowego...

- Więc co? Proponuje pan, żeby nic nie robić?

- Tego nie powiedziałem. Niech pan posłucha, Nick. Mam swoje zasady. Nazywają mnie twardogłowym konserwatystą, czepialskim, małostkowym pedantem, co wcale nie znaczy, że będę siedział z założonymi rękami i patrzył, jak ci fanatycy przejmują kontrolę nad światem. Chcę tylko powiedzieć, że potrzebuję czegoś więcej. Że potrzebuję dowodu. Poruszę niebo i ziemię, ale musi pan dać mi oręż do walki.

- Nie ma na to czasu!

Lanchester boleśnie wykrzywił twarz.

- Posłuchaj mnie, Bryson! Muszę mieć coś więcej. Muszę znać szczegóły. Muszę wiedzieć, co oni knują! Liczę na pana. Wszyscy na pana liczymy.

- Liczę na pana. Wszyscy na pana liczymy. - Z głośników na konsolecie w ciemnym pokoju kilka tysięcy kilometrów dalej rozbrzmiewał głos prezydenckiego doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego. - Jak mogę panu pomóc? Jakich środków pan potrzebuje?

Jeden z mężczyzn podniósł słuchawkę telefonu, wcisnął guzik i przyciszonym głosem powiedział:

- Nawiązał kontakt. Tak jak się tego spodziewaliśmy.

- Absolutnie - odrzekł mężczyzna na drugim końcu linii. - Zaczął od samej góry, zgodnie z przewidywaniami. Dziwne tylko, że nie próbował go zaszantażować czy zastraszyć.

- Chcę wiedzieć dokładnie, z kim i dla kogo pracuje.

- Tak jest. Niestety, nie wiemy, gdzie teraz pojedzie.

- Spokojnie, nie ucieknie nam. Nie ma dokąd. Świat jest taki mały...

Zaparkował wynajęty samochód kilka ulic dalej i ruszył do pensjonatu piechotą, czujnie wypatrując wszelkich zmian w tle i osób, które by do tła nie pasowały. Nie zauważył niczego niezwykłego, co bynajmniej go nie uspokoiło. Zbyt często nim manipulowano, zbyt często go oszukiwano. Lanchester ani go nie zlekceważył, ani nie przystąpił do natychmiastowego działania. Czy oznaczało to, że on też jest podejrzany? Paranoja żeruje na paranoi - krok dalej czał się tylko obłąd. Nie, postanowił mu zaufać. Lanchester robił wrażenie szczerze zaniepokojonego. Potrzebował dowodów, twardych faktów, bez których nie mógł nic przedsięwziąć. Z jednej strony wizyta w Mons zakończyła się niepowodzeniem, z drugiej była krokiem naprzód, ponieważ zyskał potężnego sojusznika. A jeśli nawet nie sojusznika, to przynajmniej przychylnego słuchacza.

Minął posępną Arabkę w holu i zszedł do piwnicy. Pakamera była zamknięta, co odnotował z prawdziwą ulgą, jednak z ostatnich - i bardzo bolesnych - doświadczeń wiedział, że lekceważąc Laylę, popełniłby wielki błąd. Dlatego wyjął zza paska pistolet, ukrył go pod marynarką, stanął z boku, cicho przekręcił klucz, po czym gwałtownie otworzył drzwi.

Nikt go nie zaatakował. W piwnicy panowała martwa cisza.

Pakamera była pusta. Na podłodze walał się pocięty na kawałki sznur. Layla zniknęła.

Nie mogła uciec bez pomocy z zewnątrz. Sama nie dałaby rady rozwiązać czy przeciąć sznura - nie miała przy sobie ani noża, ani żadnego innego narzędzia, dokładnie to sprawdził.

Ktoś jej pomógł.

Ten ktoś był w pobliżu, wiedział, gdzie Nick mieszka, i w przeciwieństwie do Layli na pewno nie zawahałby się pociągnąć za spust. Dlatego powrót do pokoju nie wchodził w rachubę. Łączył się ze zbyt dużym ryzykiem.

Walizka. Co miał w walizce? Podróżował od prawie dwudziestu lat i zakładając, że w każdej chwili ktoś może przeszukać jego hotelowy pokój, zabierał w podróż tylko niezbędne rzeczy, które odruchowo układał w taki sposób, by wiedzieć, czy w nich nie szperano. Nigdy nie zostawiał w pokoju przedmiotów najcenniejszych, takich, bez których nie mógłby się później obejść. Nauczył się również dzielić je na dwie kategorie: na te, które miały wartość pieniężną, i na te o wartości strategicznej. Przypadkowi złodzieje, nieuczciwe pokojówki, sprzątaczk i tak dalej, łakomili się zazwyczaj na przedmioty z kategorii pierwszej: na gotówkę, biżuterię, drogie elektroniczne cacka i temu podobne. Przedmiotów z kategorii drugiej - oryginalnych i podrobionych paszportów, legitymacji, prawa jazdy, zdjęć, kaset filmowych czy dyskietek - z reguły nie tykali, choć mogli je bezpowrotnie zniszczyć czy uszkodzić.

Dlatego zawsze wolał zostawiać w walizce pieniądze i zabierać paszporty. Miał je przy sobie i teraz, tak samo jak broń i maleńki elektroniczny chip załadowany kryptograficznymi kodami z telefonicznego procesora Jacques'a Arnoulda. Nawet gdyby musiał nagle wyjść i już nigdy tu nie wrócić, dałby sobie radę. Tak, potrzebowałby pieniędzy, lecz pieniądze nie stanowiły większego problemu. Najważniejsze, że byłby w stanie kontynuować misję.

Tylko jaką i czy aby na pewno? Bezpośrednia infiltracja Dyrektoriatu nie wchodziła w rachubę. Tamci znali już jego zamiary. Pozostawała mu jedynie strategia uderzenia frontального: musiał ich zwabić, próbując odnaleźć Elenę; cóż, ostatecznie był jej mężem.

Tak jest. Oni nie wiedzą, co wiem. Czego mogłem się od niej dowiedzieć.

Bez względu na to, czy wyszła za niego z miłości, czy z polecenia Dyrektoriatu - żeby mieć go stale na oku, żeby sterować nim i manipulować

- chcący lub niechcący mogła się przed nim wygadać. Nawet jeśli ich małżeństwo było kompletną fikcją, nie brakowało w nim momentów bardzo intymnych, chwil, kiedy miał ją tylko dla siebie.

Kto mieczem wojuje... Na oszukaństwo musiał odpowiedzieć takim samym oszukaństwem. Dlaczego nie? A gdyby tak dał im do zrozumienia, że dowiedział się od Eleny czegoś, o czym nie powinien wiedzieć? Że wszedł w posiadanie tajnych informacji, że zdeponował u adwokata dokumenty, które w przypadku jego śmierci zostaną natychmiast ujawnione?

Brzmiało to całkiem prawdopodobnie. Teoretycznie rzecz biorąc, mąż i żona znają się na wylot, dlatego ci z Dyrektoriatu nie wiedzieli - po prostu nie mogli wiedzieć - czy Elena czegoś mu nie zdradziła. Skoro tak, musiał wykorzystać tę niepewność przeciwko nim. Musiał skusić ich nią jak przynętą, jak smakowitym kąskiem, na który - dawał za to głowę - na pewno się połakomią.

Nie był jeszcze pewien, jak tę przynętę zarzucić, lecz szczegóły techniczne to tylko szczegóły techniczne. Znał - choć przelotnie - bardzo wielu agentów z Amsterdamu, Kopenhagi, Berlina, Londynu, Sierra Leone i Phenianu. Powoli i mozolnie zaczął nawiązywać z nimi kontakt, wykorzystując ich jako pośredników, którzy prędzej czy później zawiadomią o tym Teda Wallera.

Wiedział, że będzie potrzebował pieniędzy, lecz pieniądze mógł łatwo zdobyć. Miał konta w Luksemburgu i na Kajmanach, konta dotąd nietknięte; konieczność chomikowania i utajniania funduszy była wśród agentów Dyrektoriatu prawem natury, kwestią przetrwania. Nie mogąc dłużej ufać przedstawicielom CIA, musiał tylko dokonać przelewu, następnie pobrać gotówkę i już: świat stanie przed nim otworem.

A wówczas za pośrednictwem dawnych kolegów zaczął przekazywać groźby. I żądanie spotkania z Eleną. A jeśli go nie spełnią? Ujawni informacje, które traktował dotąd jako zabezpieczenie na przyszłość. Szantaż. Klasyczny szantaż. Ted Waller na pewno wszystko zrozumie. Zrozumienie wyszał z mlekiem matki.

Zamknął pakamerę i nie chcąc ponownie przechodzić przez hol, rozejrzał się za innym wyjściem z pensjonatu. Obszedł mroczną piwnicę i znalazł mało używane, na wskroś przerdzewiałe stalowe drzwi. Rozruszał klamkę, napał na nie ramieniem i już po chwili



znalazł się w wąskim, brukowanym zaułku, zasypnym śmieciami i najwyraźniej mało uczęszczanym.

Zaułek, boczna uliczka zastawiona samochodami okolicznych mieszkańców, wreszcie ulica główna - szybko wmieszał się w tłum przechodniów.

Najpierw wstąpił do małego, dość obskurnego domu towarowego, gdzie kupił kilka kompletów nowych ubrań, plecak i tanią torbę podróżną. Przebrał się w przymierzalni i, ku zdumieniu sprzedawcy, wyszedł ze sklepu, zostawiwszy za parawanem starą marynarkę, spodnie, koszulę, a nawet podkoszulek.

Szukając filii dużego międzynarodowego banku, mijał sklep ze sprzętem elektronicznym, w którym na wystawie stał rząd telewizorów nastawionych na ten sam program. Na ekranach znajomy widok: Genewa. Początkowo myślał, że to film reklamowy jakiegoś biura podróży, i dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że ogląda dziennik. Podszedł bliżej i ugięły się pod nim nogi.

Hôpital Cantonal w Genewie. Kamera pokazywała izbę przyjęć i korytarze: wszędzie ludzie na noszach, wszędzie zwłoki w czarnych, plastikowych torbach. Cięcie i scena jak z przedśmionków piekła: sterta przygotowanych do wywiezienia ciał. Pod spodem napis: „Genewa wczoraj”.

Wczoraj? Do jakiej katastrofy mogło tam dojść?

Odwrócił się, zobaczył kiosk i wielkie nagłówki gazet: GENEWA. WĄGLIK. EPIDEMIA. ATAK.

Podbiegł bliżej i chwycił „International Herald Tribune”. Nagłówek zajmował połowę pierwszej strony: SZPITALA PRZEPEŁNIONE. WŁADZE SZUKAJĄ PRZYCZYN WYBUCHU EPIDEMII. TYSIĄC OFIAR?

Nick poczuł, że jeżą mu się włosy na karku.

Genewa. Liczba zarażonych wąglikiem błyskawicznie rośnie, kliniki i szpitale zapełniają się chorymi - to prawdziwa epidemia.

Wąglik - ocenia się, że tą śmiertelną chorobą zaraziło się około trzech tysięcy osób, że sześciuset pięćdziesięciu zainfekowanych zmarło. Obawiając się, że w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin epidemia rozszerzy się jeszcze bardziej, administracja szpitalna przedsięwzięła nadzwyczajne środki, które mają przygotować placówki medyczne do przyjęcia tysięcy chorych. Władze miejskie zamknęły wszystkie urzędy, instytucje i szkoły - turystom oraz podróżującym służbowo odradza się przyjazd do Genewy do czasu zlokalizowania źródła zarazy. Wstrząśnięty burmistrz Alain Prisetto prosił mieszkańców o zachowanie spokoju, łącząc się z nimi w bólu po stracie najbliższych.

Chorzy zaczęli zjawiać się masowo w genewskich szpitalach wczoraj przed świtem, uskarżając się na grypopodobne dolegliwości. O godzinie piątej w Hôpital Cantonal zdiagnozowano dwanaście przypadków wąglik. O godzinie dwunastej w Genewie było ich już kilka tysięcy.

Władze miejskie i służba zdrowia pracują dwadzieścia cztery godziny na dobę, żeby ustalić przyczynę wybuchu epidemii. Krążą pogłoski, że ten śmiertelnie niebezpieczny *zarazek* został zawleczony do Genewy w cysternie, która jadąc przez miasto, rozpylała za sobą chmurę aerozolu, jednak policja nie chce tego komentować.

Wąglik jest chorobą o śmiertelności sięgającej dziewięćdziesięciu procent. *Zarażony* nim człowiek wykazuje objawy ostrego wyczerpania oddechowego, po czym następuje gwałtowna zapaść. Do zgonu dochodzi trzydzieści sześć godzin od chwili zainfekowania.

Chociaż przypadki wąglik można leczyć penicyliną, przedstawiciele służby zdrowia wskazują, że na największe ryzyko narażeni są lekarze i pielęgniarki, gdyż *zarazek* wąglik jest niesłychanie żywotny i może przetrwać w uspianiu nawet kilkadziesiąt lat.

Podczas gdy szwajcarski rząd nie ustaje w próbach ustalenia źródła infekcji, przedstawiciele ministerstwa zdrowia oceniają, że do końca tygodnia liczba ofiar sięgnie kilkudziesięciu tysięcy.

Wszyscy tutejsi mieszkańcy zadają sobie to samo pytanie: dlaczego? Dlaczego akurat Genewa? Może dlatego, że znajdują się tu siedziby wielu międzynarodowych organizacji,

w tym Światowej Organizacji Zdrowia. Burmistrz nie chce komentować spekulacji, że wybuch epidemii jest wynikiem zamachu z zastosowaniem broni biologicznej, dokonanego przez nieznaną organizację terrorystyczną, która przygotowywała się do ataku od wielu tygodni, jeśli nie miesięcy.

Bryson podniósł wzrok i krew odpłynęła mu z twarzy. Jeżeli relacja była wiarygodna, a nie miał powodu sądzić, że nie jest, atak biologiczny miał miejsce w Genewie, gdy jeszcze tam był albo wkrótce potem.

Amerykański samolot pasażerski zestrzelony w Nowym Jorku... Pociąg Eurostaru wysadzony pod Lilie... Wybuch bomby na stacji waszyngtońskiego metra w godzinie szczytu...

Zamachy układały się w wyraźny wzór, dochodziło do nich coraz częściej. Cechy wspólne? Były oczywiste. Każdy z nich miał wzniecać chaos, zbierać jak najkrwawsze żniwo, wywoływać jak największy strach. Wszystkie nosiły znamię klasycznych zamachów terrorystycznych, z wyjątkiem tego, że...

Nikt się do nich nie przyznał.

Terrorystyci zazwyczaj - choć nie zawsze - brali odpowiedzialność za swe czyny, chcąc je w jakiś sposób usprawiedliwić czy usankcjonować. W przeciwnym razie jedynym celem zamachu byłoby sianie demoralizacji-

Ponieważ za katastrofą pod Lilie stał Dyrektoriat, było całkiem możliwe, a nawet bardzo prawdopodobne, że ta sama organizacja przeprowadziła zamach w Genewie.

Ale dlaczego?

Jaki mieli w tym cel? Co chcieli przez to osiągnąć? Grupa bogatych i wpływowych obywateli zawiązała międzynarodowy spisek, żeby wzniecić w świecie potężną falę terroru? Po co?

Bryson natychmiast odrzucił teorię, że jest to dzieło legalnych i nielegalnych handlarzy bronią, którzy próbują stworzyć sztuczne zapotrzebowanie na swój towar. Z pistoletu maszynowego marki uzi węglika nie ustrzelisz. Nie, musiało kryć się za tym coś innego. Inna logika, inna strategia. Tylko jaka?

Właśnie wrócił z Genewy, a kilka dni przedtem był niedaleko Lilie. Był i tam, i tam. To prawda, do Genewy pojechał, żeby dopaść Jana Vansinę, agenta Dyrektoriatu, natomiast do Chantilly - bardzo blisko Lilie - żeby rozgryźć Jacques'a Arnaulda, ale...

Czy to możliwe, żeby ktoś celowo go wrabiał? Zamachy terrorystyczne w miejscach, które właśnie odwiedził - czyżby ktoś próbował mu je przypisać tylko dlatego, że tam był?

Harry Dunne. To Dunne wysłał go na spotkanie z Yansiną i mógł maczać palce w tym, co stało się później w Genewie. Ale Chantilly? O wyprawie do Chantilly dowiedział się dopiero po fakcie, w przeciwieństwie do...

Layli. To ona powiedziała mu o zamku Arnaulda. Początkowo nie chciała go tam zabrać - a może tylko udawała, że nie chce -jednak gdyby nie ona, prawdopodobnie nigdy by tam nie pojechał. Zwabiła go, skusiła, pomachała mu przed nosem smakowitą marchewką.

Dunne wypchnął go do Genewy, Layla delikatnie zwabiła go do Chantilly. Zaraz po jego wyjeździe w obu tych miejscach doszło do terrorystycznego zamachu. Czy to możliwe, żeby Harry i Layla byli w zмовie? Żeby pracując dla Dyrektoriatu, próbowali obarczyć go odpowiedzialnością za serię tych potwornych tragedii?

Chryste, co w tym wszystkim jest prawdą, a co fałszem i kłamstwem?

Złożył gazetę i już miał odejść, gdy wtem jego wzrok padł na nagłówek króciutkiej notatki i na małe zdjęcie, którym tę notatkę zilustrowano.

Ta twarz - natychmiast ją rozpoznał. Rumiana twarz mężczyzny, którego widział w korytarzu przed gabinetem Jacques'a Arnaulda w Chantilly. Anatolij Prisznikow, prezes i dyrektor Norteku, rosyjskiego giganta przemysłowego.

JOINT VENTURE ARNAULDA - tak głosił tytuł. Przemysłowo-handlowe imperium Jacques'a Arnaulda zawiązało spółkę z korporacją Prisznikowa, holdingiem skupiającym kilkadziesiąt przedsiębiorstw, które w przeszłości stanowiły podstawę radzieckiego przemysłu zbrojeniowego.

Charakteru przedsięwzięcia nie sprecyzowano, jednak autor notatki podkreślił rosnące znaczenie Norteku na rynku europejskim oraz jego rolę w fuzji licznych przedsiębiorstw branży elektronicznej. Bryson zmarszczył czoło. O co tu chodziło? O światową koalicję wielkich korporacji, z których każda była - lub mogła być - dostawcą broni i sprzętu wojskowego.

O koalicję, której - wszystko na to wskazywało - przewodził Dyrektoriat. Czy oznaczało to, że Dyrektoriat usiłuje przejąć kontrolę nad systemem obronnym i przemysłem zbrojeniowym światowych mocarstw? Czy właśnie tego obawiał się Harry Dunne?

Czy Dunne próbował go wymanewrować, wystrychnąć na dudka? Czy chciał zrobić z niego kozła ofiarnego? A może sam był kozłem ofiarnym i dudkiem - jeśli w ogóle żył.

Bryson odetchnął. Pytań było bez liku, ale przynajmniej wiedział już, gdzie szukać na nie odpowiedzi.

Poszedł do sklepu z artykułami charakteryzatorskimi przy rue d'Ar-gent, dwie ulice na północ od Theatre de la Monnaie, i zrobił tam zakupy. Potem odwiedził bank, wypełnił zlecenie pobrania i przelewu z konta w Luksemburgu i już kilka godzin później dysponował prawie stoma tysiącami dolarów, zarówno w walucie amerykańskiej, jak i w kilku walutach europejskich.

Po krótkiej wizycie w biurze podróży - interesowały go grupowe wycieczki last minute - wpadł do sklepu ze sprzętem sportowym, żeby kupić jeszcze kilka rzeczy.

Nazajutrz rano z lotniska Zaventem odlatywał wysłużony samolot Aerofłotu. Na pokładzie miał barwną grupę hałaśliwych obieżyświatów, którzy wykupili najtańszą wycieczkę do Rosji. „Moskiewskie noce”: trzy noce i cztery dni w Moskwie, następnie przejazd pociągiem do Petersburga, gdzie mieli spędzić dwie noce i trzy dni. Cena wycieczki zawierała opłatę za tani - czytaj: nędzny - hotel oraz - o zgrozo! - za trzy posiłki dziennie.

Jednym z obieżyświatów był czterdziestokilkuletni brodac w wojskowym kombinezonie i w czapce baseballowej. Podróżował samotnie, lecz szybko zjednał sobie przychylność wesołych współpasażerów. Nowym przyjaciółm przedstawił się jako Mitch Borowsky, księgarz z Quebecu i zagorzały globtroter: właśnie był w Brukseli, gdy niespodziewanie naszła go chętka na krótki wypad do Moskwy. Miał bardzo dużo szczęścia, ponieważ wykupił ostatnie wolne miejsce. Co chwila powtarzał, że mało brakowało, żeby się spóźnił, że na takiej wycieczce last minute dotąd nie był. Ale cóż, Mitch Borowsky lubił zdążyć na ostatnią chwilę.

## Rozdział 18

Na godzinę dziesiątą rano w Pokoju Map na parterze Białego Domu zwołano „impromptu”, naprędce zaimprovizowane spotkanie szefów agencji bezpieczeństwa oraz ich zastępców. To właśnie na takich nieplanowanych i sporadycznie odbywanych naradach rozwiązywano najpilniejsze i najbardziej palące kwestie, gaszono pożary lub - w razie potrzeby - skutecznie je wzniecano. To właśnie na takich naradach podejmowano decyzje, na których podstawie budowano doktryny państwowe i polityczne.

Nagle i niespodziewane wydarzenia wymagały szybkich i jednoznacznych reakcji: konsensus można było osiągnąć jedynie w sprzyjających warunkach, bez pracującej w ślimaczym tempie biurokracji, bez politykierstwa i nie kończącego się krytykanctwa.

Sukces zależał od ścisłego przestrzegania jednej zasady: naczelnemu dowódcy sił zbrojnych nie przedstawiało się problemów, tylko ich rozwiązania. I właśnie podczas „impromptu” - organizowanego w Białym Domu lub w sąsiadującym z nim starym budynku administracyjnym - rozwiązań tych szukano.

Wokół długiego mahoniowego stołu stało osiem krzeseł, a na stole przed każdym krzesłem leżał biały notatnik. Przy ścianie, niczym symbol osieroconej elegancji, stała obita różowym adamaszkiem sofa, a nad nią wisiała ostatnia mapa sytuacyjna prezydenta Roosevelta, który z tego właśnie pokoju dowodził amerykańską armią podczas drugiej wojny światowej. Widniał na niej odręczny napis: „3 kwietnia 1945”. Roosevelt umarł niecałe dwa tygodnie później. Po jego śmierci tajne centrum dowodzenia przekształcono w magazyn i dopiero za obecnej administracji przywrócono mu dawną świetność. Historia tego pozbawionego okien pomieszczenia przydawała powagi obradom. Richard Lanchester usiadł na końcu stołu i popatrzył ciekawie na kolegów.

- Wciąż nie wiem, po co się zebraliśmy. Przekazano mi tylko, że to pilne.

Jako pierwszy przemówił John Corelli, dyrektor Narodowej Agencji Bezpieczeństwa.

- To właśnie ty powinieneś najlepiej rozumieć znaczenie tego, co się stało - zagaił, patrząc Lanchesterowi prosto w oczy. - Bo to z tobą się skontaktowałem.

Lanchester uniósł brew. Miał znużoną twarz. Niedawno przyleciał z Brukseli, ledwo zdążył wziąć prysznic i się ogolić.

- Przepraszam, ale chyba nie rozumiem.

Morton Culler, członek ścisłego kierownictwa NAB, urzędnik o ponaddwudziestoletnim stażu pracy, zerknął na swego szefa. Miał rzadkie, wysmarowane żelem włosy, nieruchome, wąskie oczy i nosił duże, grube okulary.

- Nicholas Bryson - powiedział. - Mówimy o wizycie, którą złożył panu w Brukseli.

- Bryson... - powtórzył beznamiętnie Lanchester. - Wiecie, kim on jest?

- Naturalnie - odparł Culler. - Niczego innego się po nim nie spodziewaliśmy. Zaczął od samej góry, to do niego pasuje. Groził panu? Próbował pana zaszantażować?

- Ależ skąd - zaprotestował Lanchester.

- Mimo to zgodził się pan go przyjąć.

- Każda osoba publiczna chodzi w zbroi, pod osłoną gwardii pretoriańskiej złożonej z sekretarzy, rzeczników prasowych i ochroniarzy, a on zdołał wyprowadzić ich wszystkich w pole. Zaintrygował mnie tym, że wiedział o czymś, o czym niewielu z nas wie.

- To znaczy? Lanchester potarł czoło.

- O Dyrektoriacie...

- A jednak - wtrącił James Exum, dyrektor CIA. - Przyznał, że z nimi trzyma.

- Wprost przeciwnie. Twierdził, że Dyrektoriat jest zagrożeniem nie tylko dla nas, ale i dla całego świata. Dziwił się, że nic w tej sprawie nie robimy. Jego zdaniem Dyrektoriat stoi na czele gigantycznej, międzynarodowej

organizacji o mętnych, podejrzanym celach. Brzmiało to jak bredzenie chorego na umyśle, mimo to... - Lanchester pokręcił głową.

- Mimo to? - powtórzył Exum.

- Szczerze powiedziawszy, w rym, co mówił, było trochę sensu. Bardzo mnie to przeraziło.

- Bryson jest w tym nie do pobicia - odrzekł Culler. - To mistrz iluzji, genialny manipulator...

- Zdaje się, że dużo o nim wiecie - uciał szorstko Lanchester. - Może któryś z was zechce mnie oświecić?

- Oczywiście, właśnie taki mieliśmy zamiar. - Corelli wskazał dwóch obcych, milczących dotąd mężczyzn. - Terence Martin i Gordon Wollenstein z grupy do zadań specjalnych. Zaprosiłem ich, żeby zapoznali nas z faktami.

Terence Martin, wysoki, oschły trzydziestokilkulatek, mówił z lekkim, acz słyszalnym akcentem mieszkańca stanu Maine.

- Nicholas Bryson. Syn nieżyjącego już George'a Brysona, generała armii amerykańskiej.

George Bryson służył w czterdziestym drugim batalionie wojsk zmechanizowanych w Korei Północnej i w Wietnamie, w pierwszej fazie konfliktu. Mnóstwo medali, jeszcze więcej pochwał, nienaganny przebieg służby. Nicholas, jego syn, urodził się czterdzieści dwa lata temu. Odkomenderowany przez dowództwo George Bryson podróżował w tym czasie po całym świecie, przenosząc się z bazy do bazy. Towarzyszyła mu żona Nina, kobieta cicha i spokojna, utalentowana pianistka i nauczycielka muzyki. Nicholas spędził dzieciństwo w kilkunastu krajach Azji i Europy. Zdarzyło się, że w ciągu czterech lat zaliczył ich aż osiem. Był w Wiesbaden, w Bangkoku, Marrakeszu, Madrycie, Rijadzie, Tajpej, ponownie w Madrycie i na Okinawie.

Lanchester pokiwał głową.

- Znakomita recepta na izolację i samotność. W kulturowym kalejdoskopie łatwo się zagubić. Człowiek zamyka się w sobie jak w skorupie, unika ludzi...

- I właśnie to jest w nim najciekawsze - wtrącił grzecznie Gordon Wollenstein, rumiany rudzielec o pomarszczonej twarzy i zmierzwionych włosach. Spokojny, czujny i uważny, był wybitnym psychologiem, a jego praca doktorska na temat nowych technik sporządzania portretów psychologicznych, napisana w Berkeley, zwróciła uwagę ekspertów amerykańskiego wywiadu. - Mamy tu do czynienia z dzieckiem, które jest w nieustannym ruchu. Ledwo zdąży osiąść na nowym miejscu, a już musi się przeprowadzać. Nagle i prawie bez ostrzeżenia. Mimo to w każdym nowym kraju błyskawicznie poznaje miejscowe zwyczaje, język i kulturę.

I to nie w bazie, nie od Amerykanów, tylko od tubylców, od ludzi z ulicy, od służących ojca i matki. Cztery miesiące po przylocie do Bangkoku mówił po tajsku płynnie i bez śladu obcego akcentu. Miał wtedy osiem lat. Wkrótce po przyjeździe do Hanoweru żaden z jego niemieckich kolegów nie odgadłby, że rozmawia z Amerykaninem. To samo było z językiem włoskim, chińskim, arabskim, a nawet baskijskim. Nie tylko z językami oficjalnymi, ale i z przeróżnymi dialektami: posługiwał się płynnie i językiem z piaskownicy, i językiem oficjalnym, jakby spędził w tym kraju całe życie. Był jak gąbka, jak kameleon o wprost nieprawdopodobnych zdolnościach adaptacyjnych.

- Stopnie też miał znakomite - wtrącił Terence Martin, rozdając obecnym kserokopie arkuszy ocen. - Niezwykła inteligencja, wyjątkowe uzdolnienia sportowe. Nie był wybrykiem natury, choć niewiele brakowało. Jednakże nie ulega wątpliwości, że w okresie dorastania w jego życiu zaszło coś ważnego. - Spojrzał na swego kolegę, przekazując mu pałeczkę.

- Umiejętność przystosowywania się to zabawna rzecz - kontynuował Wollenstein. - Kiedy ktoś dorasta w środowisku wielojęzycznym, kiedy bez wysiłku myśli i wysławia się w kilku językach, mówimy, że potrafi zmieniać kod językowy. Bardziej kłopotliwa jest umiejętność przyswajania i odrzucania różnych systemów wartości. Zastępowania jednego kodeksu moralnego czy honorowego innym. Czy można odróżnić nadzwyczajne zdolności adaptacyjne od kompletnego braku poczucia przynależności? Chyba nie. Uważamy, że po śmierci rodziców Bryson bardzo się zmienił. Miał wtedy piętnaście lat i kiedy nagle ich stracił, kiedy w jego życiu zabrakło wartości, które przekazywali mu od dzieciństwa ojciec i matka, zaczął ulegać wpływowi innych ludzi. Typowa dla wieku dorastania buntowniczość, umiejętnie podsycana i sterowana przez naszych wrogów, uczyniła zeń bardzo niebezpiecznego człowieka. Człowieka o tysiącu twarzy. Człowieka mającego żal i pretensje do autorytetów, które niegdyś nim kierowały. Jego ojciec poświęcił życie służbie krajowi. Niewykluczone, że Nicholas Bryson podświadomie obwinia nasz rząd o jego śmierć. W kimś takim jak on lepiej mieć przyjaciela niż wroga.

Martin odchrząknął.

- Niestety, nie stać nas na luksus dobierania sobie wrogów.

- Wygląda na to, że jego stać - odparł Wollenstein. - I dobrał sobie wrogów wśród nas. - W zamyśleniu potarł czoło. - Człowiek, którego nieprawdopodobne zdolności adaptacyjne graniczą z psychopatią, z wielorakimi zaburzeniami osobowości... To czysta spekulacja, ale ja i mój zespół doszliśmy do przekonania, że właśnie ta wielorakość, ta

heterogeniczność jest kluczem do jego psychiki. W tym przypadku nie mamy do czynienia z kimś o ustalonych cechach i zwyczajach. Ten człowiek jest jak... jak jednoosobowe konsorcjum.

- Ważne jest, żebyście panowie dobrze to zrozumieli - powiedział Martin. - Dowody, którymi dysponujemy, zdają się potwierdzać, że Nicholas Bryson jest naprawdę bardzo niebezpieczny. Wiemy, że pracował dla tajnej organizacji o nazwie Dyrektoriat. Wiemy, że Coleridge jest jednym z fałszywych nazwisk, których używa w pracy operacyjnej. Wiemy, że jest świetnie wyszkolonym...

- Już mówiłem - przerwał mu Lanchester. - Bryson twierdzi, że chce Dyrektoriat zniszczyć.

- Klasyczna sztuczka dezinformacyjna - wyjaśnił Corelli. - On dla nich pracuje.

Terence Martin otworzył dużą, żółtą kopertę, wyjął z niej plik zdjęć i rozdał je zebranym.

- Niektóre są bardziej ziarniste, inne mniej, jak to zdjęcia satelitarne; na pewno często je panowie oglądają. Pragnę zwrócić uwagę na zdjęcie numer trzydzieści cztery-dwanaście A. - Przedstawiało Nicholasa Brysona na pokładzie olbrzymiego kontenerowca. - Analiza spektrograficzna wykazała, że Bryson trzyma na nim kwarcowy pojemnik z tak zwaną „czerwoną rtęcią”, niezwykle silnym i wydajnym materiałem wybuchowym. Wynalazek Ruskich. Parszywa rzecz.

- Chętnie potwierdzą to mieszkańcy Barcelony - wtrącił Corelli. - Zrobiono z tego bombę, która ostatnio tam wybuchła.

- Zdjęcie numer trzydzieści cztery-dwanaście B jest trochę niewyraźne, ale chyba czytelne - kontynuował Martin. - Zrobiła je kamera systemu bezpieczeństwa na dworcu w Lilie. To znowu Bryson. - Pokazał zebranym kolejną fotografię, lotnicze zdjęcie krajobrazu szesnaście kilometrów na wschód od Lilie: poskręcane szyny, wykolejone wagony - wyglądały jak porozrzucane zabawki znużonego dziecka. - Nasi eksperci potwierdzili, że i w tym przypadku użyto czerwonej rtęci. Prawdopodobnie wystarczyło dziesięć centymetrów sześciennych.

Pokazał zebranym kolejne zdjęcie: Bryson w Genewie.

- Tempie de la Fusterie. Widać go w tłumie ludzi, o tu.

- Domyślaliśmy się, że trzyma pieniądze w którymś z tamtejszych banków - powiedział Morton Culler - ale tym razem przyjechał tam po coś innego. Po co? Dowiedzieliśmy się dopiero kilka godzin temu...

- Kiedy w Genewie rozpylono zarazki wąglika - dokończył za niego Martin. - Gdzie? Dokładnie tam, gdzie go sfotografowano: na Starówce.

Niewykluczone, że miał współników, lecz naszym zdaniem zupełnie nieświadomych. To on to wszystko obmyślił i opracował.

Lanchester odchylił się na krześle. Miał zamyśloną, mocno ściągniętą twarz.

- Co chcecie przez to powiedzieć?

- Nazywaj go, jak chcesz - odparł Corelli - ale moim zdaniem ten facet to nosiciel światowego terroru.

- Roznosi go sam z siebie czy z czyjś polecenia? - Lanchester patrzył w dal, lecz mówił wyraźnie i dobitnie.

- Pytanie za miliard dolców, co? - rzucił Exum ze zwodniczą ospałością w głosie. - Poglądy Johna i moje trochę się w tej kwestii różnią. John Corelli zerknął na Martina.

- Pan generał zaprosił mnie tutaj jako swego doradcę - powiedział Martin - i dobrze wie, co, moim zdaniem, należałoby zrobić. Bryson jest bardzo groźnym przeciwnikiem, ale na pewno nie działa sam. Dlatego powinniśmy go śledzić, sprawdzić, dokąd nas zaprowadzi. Słowem, iść za szerszeniem do gniazda. - Uśmiechnął się, odsłaniając małe, pożółkłe zęby.

- I wówczas to gniazdo spalić.

- Doradcy Johna uważają, że powinniśmy dowiedzieć się czegoś więcej - odrzekł z kurtuazją Exum. Nachylił się i wziął ze stołu zdjęcie z katastrofy pod Lilie. - Oto moja odpowiedź. - Cała kurtuazja zniknęła bez śladu. Exum mówił głosem twardym i gniewnym. - Dalsza zwłoka jest zbyt niebezpieczna. Bardzo panów przepraszam, ale, do

jasnej cholery, to nie jest konferencja naukowa! Mamy czekać na kolejną masakrę, żeby chłopcy z Narodowej Agencji Bezpieczeństwa mogli spokojnie rozwiązać tę krzyżówkę? Nie. Jestem przekonany, że prezydent podzieli moje zdanie.

- A jeśli Bryson jest naszym jedynym łącznikiem? - rzucił Corelli. - Jeśli dzięki niemu natrafimy na ślad większego spisku? Exum głośno prychnął.

- Jeżeli odgadniemy siedem w poprzek, odgadniemy i dziesięć w dół.

- Posepnie pokręcił głową. - John, Terence, mam wielki szacunek dla waszej wiedzy, umiejętności i talentów strategicznych, ale zapominacie o pewnej drobnostce: nie mamy czasu.

Lanchester spojrział na Mortona Cullera.

- Co pan na to?

- Exum ma rację - odparł ponuro Culler. - Wyrażę się jaśniej. Brysona należy natychmiast zatrzymać. Jeśli będzie stawiał opór, trzeba go zlikwidować. Musimy nasłać na niego oddział Alfa. I wydać im wyraźne rozkazy. Tu nie chodzi o człowieka, który przetrzymuje książki z biblioteki i zalega ze spłatą kar. Tu chodzi o groźnego zabójcę, odpowiedzialnego za masowe morderstwo, o kogoś, kto knuje jeszcze bardziej wyrafinowaną zbrodnię. Dopóki żyje i jest na wolności, żaden z nas nie może opuścić gardy. Lanchester poruszył się niespokojnie na krześle.

- Oddział Alfa - powtórzył cicho. - Przecież miało go nie być.

- I nie ma - odparł Culler. - Przynajmniej oficjalnie. Lanchester oparł ręce na wypolerowanym blacie stołu.

- Posłuchajcie, chcę wiedzieć, czy jesteście tego absolutnie pewni. Tylko ja spotkałem się z nim osobiście, tylko ja z nim rozmawiałem i wybaczone, ale muszę to powiedzieć, zrobił na mnie bardzo pozytywne wrażenie. Uważam, że to człowiek honoru. - Zamilkł i przez chwilę w pokoju panowała głucha cisza. - Z drugiej strony, cóż, może dałem się nabrać...

- Wnoszę, że Alfa ma przystąpić do natychmiastowego działania - podsumował Culler.

Jego koledzy pokiwali głowami. Różnice poglądów zniknęły, podjęto zgodną decyzję. Wszyscy rozumieli jej znaczenie. W skład oddziału Alfa wchodził doskonale wyszkoleni zabójcy, wyśmienici snajperzy i specjaliści od walki wręcz. Ten, na kogo polowali, miał w kieszeni wyrok śmierci.

- Boże święty - mruknął Lanchester. - Poszukiwany żywy lub martwy. Jak na Dzikim Zachodzie...

- Panie sekretarzu, wszyscy wiemy, że jest pan bardzo wrażliwym człowiekiem. - W głosie Cullera pobrzmiwała nutka sarkazmu. - Ale to jedyny sposób. W tej grze stawką jest życie zbyt wielu ludzi. Proszę mi wierzyć, że gdyby tylko było mu to do czegoś potrzebne, Bryson zabiłby pana bez chwili namysłu. Niewykluczone, że jeszcze spróbuje.

Lanchester popadł w zadumę.

- To niełatwa decyzja i podejmuję ją z ciężkim sercem, ale cóż, może źle go oceniłem. Muszę teraz...

- Bardzo słusznie - przerwał mu szybko Culler. - Miejmy tylko nadzieję, że nie jest za późno.

## Rozdział 19

**K**lub mieścił się w maleńkim zaułku za Twerskim Prospektem, tuż koło moskiewskiej obwodnicy. Był dobrze ukryty, niczym nielegalna knajpa w Ameryce lat dwudziestych. Jednakże w przeciwieństwie do amerykańskich spelunek, które w okresie prohibicji sprzedawały wódkę, Czarny Ptak krył się nie przed wzrokiem policji i władz, tylko przed motłochem, tłumem, przed zwykłymi, szarymi ludźmi. Dlaczego? Dlatego, że był oazą bogactwa i występku dla wybranych, dla elity elit:

dla zamożnych, pięknych i ciężko uzbrojonych.

Zorganizowano go w zdewastowanym ceglany gmazysku, które przypominało starą, opuszczoną fabrykę. I kiedyś, przed rewolucją siedemnastego roku, mieściła się tam fabryka maszyn do szycia Singera. Okna były zaślepione, a na pomalowanych na czarno, choć wzmocnionych stałą drzwiami widniały wyblakły, ledwo już czytelny napis cyrylicą: „Szwiejnyje maszyny”. Jedynym znakiem, że w środku tej ruiny wciąż tętni życie, było to, że w zaułku stał długi rząd czarnych mercedesów, które zupełnie do tego miejsca nie pasowały.

Żeby nie wzbudzać podejrzeń, zaraz po przylocie na Szeremietiewo 2 Bryson zameldował się wraz z nowymi przyjaciółmi w hotelu Inturistu, po czym zadzwonił do starego znajomego. Pół godziny później przed hotel zajęchała granatowa limuzyna i umundurowany szofer usłużnie otworzył mu drzwi. Na tylnym siedzeniu leżała biała koperta.

Już zmierzchało, mimo to na Twerskim panował duży ruch. Kierowcy szaleli: nie zważając na przepisy, gwałtownie i bez uprzedzenia zmieniali pasy, bywało nawet, że wjeżdżali na chodnik, żeby ominąć wolniej sunące samochody. Od jego ostatniej wizyty Rosję ogarnął szal, furia i chaos. Chociaż większość starych budynków wciąż stała - stalinowskie drapacze chmur, które strzelały w niebo niczym wielkie, spiczaste torty, gigantyczny gmach poczty, olbrzymie delikatesy Jelisejewskiego czy Aragwi, niegdyś jedyna porządna restauracja w Moskwie - w mieście zaszły wprost niezwykle zmiany. Na ulicy Gorkiego, która przed upadkiem komunizmu była zwykłą szarą, posępną, choć szeroką ulicą, powstało mnóstwo luksusowych sklepów. Jednakże wśród wyraźnych znamion plutokratycznego bogactwa - Yersace, Van Cleef & Arpels, Yacheron Constantin, Tiffany - widać było znamiona głębokiego ubóstwa, oznaki całkowitego załamania się systemu społecznego: na ulicach otwarcie zebrali żołnierze, wszechobecne babuszki za kilka rubli wróżyły z ręki lub sprzedawały samogon, owoce i warzywa, wszędzie krążyły chmary upiornie tlenionych prostytutek.

Wyjął z koperty magnetyczną kartę, wysiadł i wsunął ją do czytnika zamontowanego na starych, splekanych drzwiach. Zabzyczało, drzwi ustąpiły i wszedł do kompletnie ciemnego pomieszczenia. Mówiący ledwo zrozumiałą angielszczyzną szofer uprzedził go, że za pierwszymi będą drugie drzwi, i rzeczywiście były. Pociągnął za zimną, stalową klamkę i wkroczył do dziwnego, krzykliwego świata.

Mrok rozdzierały promienie jaskrawego światła, migotliwe, roztańczone, załamujące się w chmurach białej mgły, odbijające się od alabastrowych greckich kolumn, rzymskich gipsowych posągów, czarnych marmurowych kontuarów i wysokich barowych stołków z chromowanej stali. Pod sufitem dawnej fabrycznej hali wirowały reflektory, zewsząd ryczała muzyka, jakiej nigdy dotąd nie słyszał, rock, a raczej rosyjska wersja amerykańskiego technopopu. Smród marihuany mieszał się z silnym zapachem kosztownych francuskich perfum i ordynarnym zapachem rosyjskiego płynu po goleniu.

Zapłacił za wstęp - odpowiednik dwustu pięćdziesięciu dolarów - i wszedł w gęsty tłum gości: obwieszonych złotem mafiosów z wielkimi roleksami na rękach, którzy mimo ogłuszającego jazgotu muzyki rozmawiali przez telefony komórkowe, ich przyjaciółek, kumpli, prostytutek albo kobiet, które w krótkich, mocno wydekoltowanych, niepozostawiających niczego wyobraźni sukienkach na prostytutki wyglądały. Łypali na niego spode łba krępi goryle z wygolonymi głowami, tu i ówdzie przemykali ubrani na czarno klubowi ochroniarze z kijami baseballowymi. Wysoko nad rozedrganym tłumem biegła szeroka galeria, z której przez podłogę ze stali i szkła goście mogli obserwować to, co działo się na dole, w tym osobliwym ludzkim terrarium.

Pokonał spiralne stalowe schody i znalazł się w zupełnie innym świecie. Jego główną atrakcją były striptizerki, w większości platynowe blondynki, choć zauważył też kilka ciemnoskórych. Wszystkie miały olbrzymie silikonowe biusty, wszystkie tańczyły w jaskrawym świetle reflektorów rozmieszczonych wzdłuż galerii.

Wyrosła przed nim hostessa w kusej, przezroczystej sukience i w słuchawkach z



mikrofonem na głowie. Spytała o coś po rosyjsku, a gdy bez słowa wsunął jej do ręki kilka dwudziestodolarowych banknotów, wskazała mu stolik i czarną skórzaną ławę o stalowych nóżkach.

Gdy tylko usiadł, kelner postawił przed nim tacę z zakąskami: peklowanymi ozorkami z chrzanem, blinami z czarnym i czerwonym kawiolem, grzybkami w galarecie, marynowanymi warzywami i ze śledziami. Chociaż był głodny, żadna z przystawek nie wyglądała zbyt apetycznie. Na stole pojawiła się też butelka Dom Perignon - „Z pozdrowieniami od pańskiego przyjaciela”, usłużnie wyjaśnił kelner. Bryson siedział samotnie przez kilka minut, obserwując kłębiący się na dole tłum, gdy wtem dostrzegł szczupłą sylwetkę Juriego Tarnopolskiego, który zmierzał ku niemu z szeroko rozłożonymi ramionami. Pojawił się nie wiadomo skąd i dopiero po chwili Nick zdał sobie sprawę, że przebiegły agent, a raczej były agent byłego KGB, wszedł na galerię z kuchni.

- Coleridge, stary przyjacielu! Witaj w Rosji!

Objęli się i wyściskali.

Chociaż Tarnopolski wybrał na spotkanie miejsce dość dziwaczne i kiczowate, należał do ludzi o wybrednych, nader kosztownych gustach i jak na eleganta przystało, był w nienagannie skrojonym angielskim garniturze i fularowym krawacie. Minęło siedem lat, odkąd razem pracowali, i choć już dawno przekroczył pięćdziesiątkę, twarz miał opaloną i gładką jak dwudziestoletni młodzieniec. Zawsze bardzo o sobie dbał, lecz wyglądało na to, że tym razem skorzystał z usług chirurga plastycznego.

- Czas upływa, a ty młodziejiesz.

- Za pieniądze kupisz wszystko, nawet młodość - odparł z ironią rozbawiony Tarnopolski. Dał znak kelnerowi, a ten rozlał do kieliszków szampana i gruzińskie wino, białe Tsinandali i czerwoną Kwankarę. Jurij chciał wznieść toast, lecz w tym samym momencie podeszła do nich striptizerka - Rosjanin wsunął jej za majteczki kilka banknotów i grzecznie odesłał do sąsiedniego stolika, przy którym siedziało czterech biznesmenów w ciemnych garniturach.

Tarnopolski pomagał Brysonowi podczas kilku bardzo delikatnych, niebezpiecznych i niezwykle lukratywnych misji, ostatnio podczas operacji „Wektor”. Inspektorzy międzynarodowej komisji do spraw rozbrojenia nie mogli zdobyć dowodów na potwierdzenie pogłosek, że Moskwa zajmuje się nielegalną produkcją broni biologicznej. Ilekroć robili „niespodziewany” nalot na laboratoria „Wektora”, wychodzili stamtąd z pustymi rękami. Dlaczego? Dlatego, że ich „niespodziewane” wizyty nie były bynajmniej niespodziewane. Wkrótce szefowie Dyrektoriatu zlecili Nickowi kolejne zadanie: miał pojechać do Nowosybirsk, włamać się do głównego laboratorium fabryki i wykraść jednoznaczne dowody, materiały, które potwierdziłyby ostatecznie, że Rosjanie nie zrezygnowali z produkcji tej zakazanej, śmiertelnie niebezpiecznej broni. Misja była potwornie ryzykowna, dlatego Bryson uznał, że przyda mu się pomoc. Poszukał, poszperał i tak poznał Tarnopolskiego, który po odejściu z KGB pracował w sektorze prywatnym, co oznaczało, że chętnie sprzeda swoje usługi temu, kto da najwięcej.

Zażądał astronomicznej stawki, lecz szybko okazało się, że jest jej warty. Nie tylko zdobył dla Nicka plany nowosybirskiego laboratorium, ale i upozorował włamanie do domu przewodniczącego miejskiej rady narodowej, żeby odwrócić uwagę czuwających przed fabryką strażników. Potem, wykorzystując legitymację KGB, zastraszył strażników w budynku i zaprowadził Brysona do wielopoziomowej chłodni, w której ten znalazł tak długo poszukiwane dowody: ampułki z zarazkami. I to właśnie Tarnopolski przesznuł je na okręt, który płynął na Kubę z ładunkiem mrożonej baraniny. Tym sposobem Bryson i Dyrektoriat zdołali udowodnić to, czego nie udowodniły liczne międzynarodowe kontrole: mieli w ręku siedem ampułek wąglika nadzwyczaj rzadkiego szczepu.

Swego czasu Nick cieszył się z sukcesu, z dobrze zaplanowanej i zmyślnie przeprowadzonej operacji - chwalił go za to sam Ted Waller. Jednakże tragiczna wieść o genewskiej epidemii - epidemii wąglika dokładnie tego samego, bardzo rzadkiego szczepu

- dosłownie ścięła go z nóg. Ci z Dyrektoriatu wykorzystali go i obrzydliwie wymanewrowali. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że podczas zamachu w Genewie użyto zarazków, które wykradł przed laty z Nowosybirsk.

Tarnopolski wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Podziwiasz nasze kameruńskie piękności?

- Jurij - odparł Nick, z trudem przekrzykując ryk muzyki - mnie tu nie ma i nigdy nie było, jasne?

Tarnopolski wzruszył ramionami, jakby sprawa była najzupełniej oczywista.

- Mój przyjacielu - odrzekł. - Wszyscy mamy swoje tajemnice. Ja mam ich kilka, ty na pewno też. Ale skoro już tu jesteś, zakładam, że w przeciwieństwie do reszty podróżnych z Inturistu nie przyjechałeś do Moskwy, żeby podziwiać widoki. Prawda?

Nick wyjaśnił mu delikatny charakter misji. Gdy tylko wymienił nazwisko Prisznikowa, spokojne oblicze Tarnopolskiego wyraźnie spochmurniało. Rosjanin był spięty, nawet zaszokowany.

- Coleridge, mój drogi przyjacielu - odparł. - Dobrze wiesz, że nigdy nie zaglądam darowanemu koniowi w zęby i chętnie piszę się na wspólne przedsięwzięcia, zwłaszcza z tobą. Ale Prisznikow? Mniej bałbym się szefa naszego rządu. Widzisz, krążą o nim różne plotki. Musisz zrozumieć, że nie jest to biznesmen w amerykańskim stylu. Kiedy przeprowadza redukcję zatrudnienia, ci, których „zredukuje”, nie pobierają zapomogi dla bezrobotnych. Nie, bardziej prawdopodobne jest to, że skończą jako składnik cementu wytwarzanego przez jego cementownię. Albo jako składnik pigmentu do szminek produkowanych przez jego zakłady kosmetyczne. - Uśmiechnął się słabo i spytał: - Wiesz, jak nazywa się gangster, który przekupstwem i szantażem opanował wielką część krajowego przemysłu? Ważnym dyrektorem.

Bryson kiwnął głową.

- Trudne zadanie, stosowne do zadania wynagrodzenie.

Tarnopolski przysunął się bliżej.

- Coleridge, mój druhu. Anatolij Prisznikow jest człowiekiem niebezpiecznym i bezwzględny. Jestem przekonany, że ma wspólników nawet tu, w tym klubie, jeśli nie jest jego właścicielem.

- Doskonale cię rozumiem, Jurij, ale o ile pamiętam, nigdy nie stroniłeś od trudnych wyzwań. Może uda nam się wypracować wzajemnie korzystne warunki...

W Czarnym Ptaku spędzili kilka godzin. Potem pojechali do jego olbrzymiego mieszkania, żeby kontynuować dyskusję na tematy finansowe i omówić szczegóły wielce skomplikowanego zadania. Uznali, że przyda im się dwóch pomocników; Tarnopolski zapewnił, że ich znajdzie.

- Na pewno poleje się krew - ostrzegł - a skąd można wiedzieć, że nie nasza, hę?

O świecie plan przybrał konkretny kształt.

Zrezygnowali z bezpośredniego ataku na Prisznikowa: przemysłowiec był celem za dobrze strzeżonym i zbyt niebezpiecznym. Po kilku dyskretnych telefonach do kolegów z KGB Tarnopolski doszedł do przekonania, że najsłabszym punktem obrony jest jego zastępca, wieloletni współpracownik i adiutant, niski, drobny chudzielec Dmitrij Labow, uchodzący *za człowieka, który chronił sekrety*, za człowieka, który potrafi dochować tajemnicy.

Ale nawet on był trudnym celem. Tarnopolski ustalił, że Labow mieszka w dobrze ufortyfikowanym domu i że codziennie wożą go samochodem na Prospekt Mira, do jeszcze lepiej ufortyfikowanego biura Norteku przy starej wystawie osiągnięć Związku Radzieckiego na przedmieściach Moskwy.

Jeździł niemal dwutonowym opancerzonym bentleyem, odpornym na wybuch bomby i ostrzał z broni maszynowej. Choć Bryson wiedział, że nie ma samochodów niezniszczalnych, bentley Labowa, wóz o najwyższej klasie bezpieczeństwa, był niemal jak czołg: jego karoserii nie przebijały nawet wzmocnione pociski specjalnego przeznaczenia, w tym natowskie pociski kalibru 7,62.

Podczas kilku misji w Mexico City i w Ameryce Południowej Bryson miał okazję poznać

budowę opancerzonych pojazdów. Karoserię robiono zwykle z aluminium 2024-T3, z niezwykle wytrzymałego syntetycznego kompozytu, na przykład z aramidu, oraz z polietylenu o bardzo wysokiej masie cząsteczkowej. W stalowych drzwiach tkwił arkusz plastiku wzmocnionego włóknem szklanym. Miał dwanaście i pół milimetra grubości i mógł powstrzymać karabinowy pocisk kalibru 7,62 wystrzelony z odległości półtora metra. Szyby robiono z poliwęglanowego laminatu. Samo-uszczelniający się zbiornik paliwa nie wybuchał nawet przy bezpośrednim trafieniu. Podczas ewentualnego ataku silnik napędzały specjalne suche ogniwa, a przestrelone opony umożliwiały jazdę z prędkością do osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

Bentley Labowa był na pewno odpowiednio zmodyfikowany i uodporniony na ostrzał z karabinów szturmowych AK-47, gdyż tego rodzaju broń cieszyła się największą popularnością wśród moskiewskich gangów. Najprawdopodobniej wytrzymał również wybuch granatu, małej bomby rurowej oraz ostrzał pociskami przeciwpancernymi o stalowych koszulkach i dużej prędkości wylotowej.

Jednakże każdy, nawet najlepiej opancerzony samochód miał swoje słabe punkty.

Jednym z nich był szofer amator. Nie wiedzieć czemu, zamiast zatrudnić profesjonalistów, rosyjscy plutokraci woleli sadzać za kierownicą swoich osobistych asystentów czy sekretarzy. Kierując się czymś, co w ich mniemaniu uchodziło za zdrowy rozsądek, zawodowcom nie ufali, nie zawracali też sobie głowy ewentualnym szkoleniem biurowych amatorów.

Był jeszcze jeden słaby punkt i właśnie na nim zasadzał się plan Brysona.

Codziennie o siódmej rano Dmitrij Labow wyjeżdżał ze swego dziewiętnastowiecznego domu przy jednej z bocznych uliczek za Arbatem. Dom był bardzo ekskluzywny, niedawno odnowiony i zajmowali go kiedyś wysocy urzędnicy Komitetu Centralnego i Biura Politycznego. Wraz z sąsiednimi dziewiętnastowiecznymi domami tworzył ogrodzony, silnie strzeżony kompleks, w którym mieszkali rosyjscy nuworysze i co znaczejni mafiosi.

To, że Labow dokładnie przestrzegał ustalonego porządku dnia, było przykładem fatalnie zorganizowanego systemu bezpieczeństwa połączonego z demonstracyjnymi i mało skutecznymi metodami ochroniarskimi. Prawdziwi zawodowcy wiedzieli, że dużo istotniejsza jest nieprzewidywalność zachowań chronionego obiektu, nieustanne i niespodziewane zmiany godzin wyjazdów czy przyjazdów.

Zgodnie z informacjami zdobytymi przez Tarnopolskiego bentley Labowa wyjechał z nowo wybudowanego podziemnego garażu i kilkadziesiąt metrów dalej włączył się do ruchu na Prospekcie Kalinina. Bryson i Tarnopolski śledzili go nierzucającą się w oczy wołgą aż do Prospektu Mira. Minąwszy pokryty tytanem obelisk Sputnika, który strzelał w niebo długim, majestatycznym łukiem, bentley skręcił w ulicę Eisensteina, a trzy ulice dalej wjechał do garażu pod świeżo odnowionym pałacem, w którym mieścił się zarząd Norteku.

Miał tam pozostać cały dzień.

Jedynym trudnym do przewidzenia elementem harmonogramu dnia była godzina powrotu Labowa do domu. Miał żonę i troje dzieci i jak na dobrego ojca i męża przystało, zawsze jadał z nimi kolację, chyba że niespodziewanie wezwał go Prisznikow. Pomijając te wyjątkowe i nieliczne przypadki, jego limuzyna wyjeżdżała z Norteku o godzinie siódmej, siódmej piętnaście wieczorem.

Wyglądało na to, że tego dnia Labow postanowił wrócić do domu na czas, gdyż jego bentley wychynął z garażu już pięć po siódmej. Tarnopolski, który czekał z Brysonem w białej, brudnej furgonetce po drugiej stronie ulicy, natychmiast skontaktował się przez radio ze współnikiem. Musieli dobrze się zgrać - było to dość trudne, lecz wykonalne. Najważniejsze, że w Moskwie wciąż trwała wieczorna godzina szczytu.

Tarnopolski, który wczesne lata kariery zawodowej spędził na ściganiu dysydentów i drobnych kryminalistów po wszystkich zaułkach miasta, znał Moskwę na pamięć. Jechał za bentleyem w dyskretnej odległości, zbliżając się do niego tylko wtedy, gdy furgonetka

mogła przycupnąć za innymi pojazdami.

Na Prospekcie Kalinina utknęli w olbrzymim korku. W poprzek jezdni stała wielka ciężarówka, uniemożliwiająca ruch w którąkolwiek stronę. Ryczały klaksony wozów dostawczych, zawodziły klaksony samochodów, sfrustrowani kierowcy wystawiali głowy przez okno i klęli na czym świat stoi. Wszystko na nic: ruch zamarł.

Brudna, biała furgonetka stała tuż przed bentleyem, zablokowana ze wszystkich stron przez inne samochody. Wspólnik Tarnopolskiego wysiadł z szoferki i krzyknawszy, że idzie sprowadzić pomoc, z kluczykami w ręku zniknął w tłumie przechodniów. Zanosilo się na dłuższy postój.

Bryson - był w czarnych dzinsach, czarnym golfie i w czarnych, skórzanych rękawiczkach - przykleknął, otworzył klapę w podłodze, wsunął się do otworu, legł na ziemi i zaczął się czołgać w stronę bentleya. Gdyby samochody nagle ruszyły - co było mało prawdopodobne - zablokowana furgonetką limuzyna Labowa i tak nie drgnęłyby z miejsca.

Pełzając szybko i z walącym jak młot sercem, wczuł się pod samochód i już po chwili odnalazł wzrokiem to, czego szukał. Chociaż podwozie bentleya zbudowano z litej stali, aluminium i polietylenu, w podłodze tkwił mały filtr powietrza. Był to trzeci słaby punkt ochrony podróżujących limuzyną pasażerów: ostatecznie musieli czymś oddychać. Nick wyjął z kieszeni zdalnie sterowane urządzenie, które Tarnopolski zdobył dzięki kontaktom w moskiewskich firmach ochroniarskich, przytknął je do obudowy filtra, docisnął i sprawdzivszy, czy dobrze przywarło do metalu, wyczołgał się spod bentleya i przez wciąż otwartą klapę wszedł do furgonetki.

- *Nu i kok? Choroszo?* - spytał Tarnopolski.

- *Ładno* - odparł krótko Bryson.

Jurij skontaktował się przez radio z kierowcą ciężarówki i kazał mu wracać do wozu. Z oddali dobiegało zawodzenie policyjnych syren.

Kilka minut później samochody ruszyły. Umilkły klaksony, kierowcy przestali kłać. Bentley ominął furgonetkę, pomknął z rykiem Prospektem Kalinina, po czym jak zwykle skręcił w lewo, w cichą, spokojną boczną uliczkę.

I właśnie wtedy Nick wcisnął przycisk nadajnika. Tarnopolski skręcił za bentleyem, tak że mogli obserwować reakcję Labowa i jego szofera. Limuzyna, którą błyskawicznie wypełnił gęsty, biały obłok gazu łzawiącego, gwałtownie zarzuciła w prawo, potem w lewo, wreszcie stanęła. Otworzyły się przednie i tylne drzwi i wysiedli z niej Labow i szofer. Obaj przyciskali ręce do oczu, obaj kaszleli i przeraźliwie charczeli. W dłoni szofera błyszczał pistolet.

Jurij zjechał na chodnik, zahamował i wyskoczyli na ulicę. Bryson wymierzył w szofera i wypalił. Wiedział, że silny środek obeszładniająco-odurzający, którym wypełniony był bolec, pozbawi go przytomności co najmniej na kilka godzin i że kiedy szofer ją odzyska, nie będzie pamiętał, co się stało. Nick podbiegł do oślepionego Labowa, który głośno kaszłąc, upadł na chodnik, tymczasem Tarnopolski dźwignął z ziemi szofera i usadził go za kierownicą bentleya. Następnie wyjął z kieszeni butelkę taniej wódki, wlał mu do ust kilka dużych łyków, polał alkoholem ubranie i na wpół opróżnioną flaszkę rzucił na siedzenie pasażera.

Nick rozejrzał się, sprawdził, czy nikt ich nie widzi, po czym zawlókł Labowa do furgonetki. Ponieważ była podobna do setek innych furgonetek krążących po Moskwie, mieli niemal stuprocentową pewność, że nikt jej nie rozpozna, zwłaszcza że obie tablice rejestracyjne były ochlapane błotem i kompletnie nieczytelne.

O ósmej wieczorem Dmitrij Labow siedział przywiązany do twardego, metalowego krzesła w wielkim, opuszczonym magazynie niedaleko targu owocowo-warzywnego na Czeremuszkach; władze miasta skonfiskowały go klanowi moskiewskich Tatarów, ponieważ sprzedawali czarnorynkowe produkty właścicielom restauracji, nie płacąc haraczu miejskim notablom.

Labow, mały, drobny, łysiejący już okularnik o rzadkich, płowych włosach, miał okrągłą,

nalaną twarz. Bryson stanął przed nim i powiedział:

- Kolacja stygnie. Chętnie odwieziemy pana do domu, zanim żona się zdenerwuje, i jeśli dobrze pan to rozegra, nikt nie dowie się nawet, że pana uprowadzono. - Dzięki kursom, które przeszedł w Dyrektoriacie, mówił po rosyjsku bardzo płynnie, z lekkim petersburskim akcentem.

- Co? - warknął Labow. - Nie oszukujcie się. Wszyscy już wiedzą. Mój szofer...

- Pański szofer siedzi w bentleyu. Urwał mu się film. Każdy przechodzący obok milicjant uzna, że śpi, pijaniutki jak połowa mieszkańców Moskwy.

- Chcecie naszpikować mnie prochami? - spytał lekko przestraszony Labow. - Śmiało, proszę bardzo. Chcecie mnie torturować? Albo zabić? Na co czekacie? Zabijcie mnie, jeśli starczy wam odwagi. Czy wy w ogóle wiecie, kim jestem?

- Oczywiście - odparł Bryson. - Dlatego tu pana sprowadziliśmy.

- Czy macie pojęcie, na jakie narażacie się konsekwencje? Na czyj gniew?

Nick powoli kiwnął głową.

- Nie uciekniecie przed nim, dopadnie was wszędzie! Gniew Prisznikowa nie zna granic!

- Nie rozumiemy się, drogi przyjacielu. Ani przez myśl mi nie przeszło, żeby zrobić panu krzywdę. Ani panu, ani pańskiej żonie Maszy, ani małej Iruszce. Widzi pan, ja po prostu nie muszę. Zajmie się wami sam Prisznikow.

Labow spurpurowiał.

- O czym ty mówisz, do kurwy nędzy?

- Już wyjaśniam - tłumaczył cierpliwie Nick. - Jutro rano osobiście odwiozę pana do Norteku. Podam panu środki uspokajające i na pewno będzie pan lekko osłabiony, ale zapewniam, że odprowadzę pana aż pod same drzwi. Potem odejdę. Sęk w tym, że zobaczą nas i nagrają wasze kamery, a pański szef natychmiast się mną zainteresuje. Spyta, kim jestem, dlaczego byliśmy razem... A pan? Co mu pan powie? Że cały czas trzymał pan język za zębami? Oczywiście, tylko czy on w to uwierzy?

- Służę mu wiernie od dwudziestu lat! - wrzasnął rozwścieczony Labow. - Najwierniej, jak umiem!

- Nie wątpię, tylko czy Prisznikow może sobie pozwolić na to, żeby panu uwierzyć? Zna go pan lepiej niż ktokolwiek inny. Dobrze pan wie, jakim jest człowiekiem, jak bardzo podejrzliwym...

Labow zadrżał.

- Jeśli dojdzie do wniosku - kontynuował Bryson - że istnieje choćby cień szansy na to, że pan zdradził... Jak pan myśli, jak długo pan pożyje? Przerażony Labow wytrzeszczył oczy i pokręcił głową.

- Odpowiem za pana. Pożyje pan na tyle długo, żeby przed śmiercią się dowiedzieć, że mała Iruszka i Masza zginęły w straszliwych męczarniach. Na tyle długo, żeby i pan, i wszyscy pracownicy firmy uświadomili sobie, jaką cenę płaci się za zdradę, za słabość.

Tarnopolski, który obserwował ich z boku, potarł podbródek.

- Pamiętasz biednego Maksimowa? - wtrącił.

- Maksimów był zdrajcą!

- On twierdził, że nie - odparł łagodnie Jurij, polerując lufę rewolweru miękką, białą chustką do nosa. - Wiesz, że miał z Olgą synka? Małego, niewinnego chłopczyka. Ale Prisznikow go nie oszczędził...

Labow gwałtownie zbladł.

- Nie! Przestańcie! - Oddychał głośno i z trudem. - Wiem... Wiem o wiele mniej, niż myślicie.

- Na pańskim miejscu darowałbym sobie wykrety - ostrzegł go Nick. - To nic nie da. Po prostu będziemy musieli zatrzymać pana na dłużej, a jeśli zniknie pan na dłużej, jak się pan z tego wytłumaczy? Pytanie: co łączy Prisznikowa z Jacques'em Arnauldem?

- Prisznikow zawiera z nim tyle umów, tyle kontraktów. Ostatnio jest ich coraz więcej, więcej i więcej...

- Dlaczego?

- Chyba coś szykują.  
- Co?  
- Raz słyszałem, jak rozmawiali przez telefon. Prisznikow wspominał o Prometejanach... Bryson zmarszczył brwi. Gdzieś tę nazwę słyszał, tylko gdzie? Tak! Jan Yansina pytał go w Genewie, czy do nich należy.  
- O jakich Prometejanach? Kto to jest?  
- Prometejanie? Boże, nawet nie masz pojęcia... Nikt nie ma pojęcia. Są potężni, wszechpotężni. Nie wiem, czy Prisznikow wykonuje ich rozkazy, czy im je wydaje.  
- Ale kim oni są?  
- Potężnymi, wpływowymi ludźmi.  
- To już słyszałem.  
- Są wszędzie i nigdzie. Ich nazwisk nie znajdziecie ani w gazetach, ani w nagłówkach papieru firmowego, ani w dokumentach korporacyjnych. Ale Prisznikow do nich należy, tego jestem pewien.  
- I Arnauld - wtrącił Bryson.  
- Tak, on też.  
- Kto jeszcze? Labow pokręcił głową.  
- Jeśli mnie zabijesz, Prisznikow zostawi moich w spokoju - stwierdził rozsądnie. - Zabij mnie, tak będzie lepiej.  
Tarnopolski zerknął na niego z krzywym uśmiechem na twarzy.  
- Labow, wiesz, jak Prisznikow znalazł synka Maksimowa? - Podszedł bliżej, złowieszczo polerując rewolwer chusteczką.  
Labow odwrócił głowę jak dziecko, które nie chce słuchać matki. Gdyby nie był skrzepowany, na pewno zatkałby sobie uszy.  
- Kolekcjoner! - wybełkotał. - Kolekcjoner! Prisznikow dogadał się z... Kolekcjonerem.  
Tarnopolski drgnął i zerknął na Brysona. Obaj wiedzieli, o kim Labow mówi. Kolekcjoner, zwany niekiedy Władcą Nefrytu, był generałem Ludowej Armii Wyzwoleńczej. Nazywał się Tsai, stacjonował w Szen-zen, słynął z korupcji i z tego, że w zamian za gigantyczne pieniądze umożliwił kilku międzynarodowym konsorcjom wejście na olbrzymi chiński rynek. Słynął również ze swojej pasji: kolekcjonował chiński nefryt, tak zwany nefryt cesarski, i często przyjmował go w formie łapówki.  
Labow pochwycił ich spojrzenie i pogardliwie wykrzywił usta.  
- Nie wiem, co chcecie osiągnąć - powiedział. - Niedługo wszystko się zmieni, nie zdołacie temu zapobiec. Bryson zmarszczył brwi.  
- Co się zmieni? - spytał.  
- Pozostały już tylko dni - odrzekł tajemniczo Labow. - Dano mi ledwie kilka dni na zakończenie przygotowań...  
- Do czego?  
- Osprzet już jest, machina ruszyła. Teraz kolej na przekazanie władzy! Wszystko wyjdzie na jaw.  
Tarnopolski schował chustkę do kieszeni i z odległości kilku centymetrów wycelował mu w twarz z rewolweru.  
- O czym ty gadasz? O jakimś przewrocie? O zamachu stanu?  
- Po cholere Prisznikowowi przewrót? - wtrącił Bryson. - Przecież ma już władzę. Trzęsie całą Rosją.  
Labow roześmiał się pogardliwie.  
- Zamach stanu! Jak mało wiecie! Z jak wąskiej patrzycie perspektywy! My, Rosjanie, zawsze ceniliśmy sobie spokój i poczucie bezpieczeństwa i żeby je mieć, wielokrotnie rezygnowaliśmy z wolności. Wy też zrezygnujecie. Wszyscy razem i każdy z osobna. Bo stoi za nami zbyt wielka siła, bo machina już ruszyła. Jeszcze tylko kilka dni i wszystko wyjdzie na jaw!  
- O czym ty, do diabła, mówisz? - ryknął Bryson. - Prisznikowowi i jego kumplom nie wystarczą już korporacje i syndykaty? Pieniądze i wpływy zawróciły im we łbie i chcą

teraz przejąć rządy, sięgnąć po władzę polityczną, tak?

Groźba nie była już konieczna i Tarnopolski opuścił broń.

- Bylibyśmy wdzięczni za garść szczegółów, przyjacielu.

- Rząd? Rząd to przeszłość! Spójrzcie tylko na Rosję: czy rząd ma tu jakąś władzę? Nie ma! Żadnej! Jest bezsilny! Dzisiaj rządzą korporacje, to one dyktują warunki gry. Lenin miał chyba rację: to kapitaliści władają światem!

I nagle, z szybkością atakującego węża, Labow wyciągnął prawą rękę. Był skrupowany, mimo to zdołał wyszarpnąć rewolwer Tarnopolskiemu, który stał tuż obok niego. Jurij błyskawicznie przytrzymał go za nadgarstek i wykręcił mu dłoń, tak że przez chwilę lufa rewolweru była skierowana do góry, prosto w głowę Labowa. Ten spojrzał na nią jak zahipnotyzowany i na jego ustach wykwitł dziwny, błogi uśmiech. I raptem, zanim Tarnopolski zdążył odebrać mu broń, wycelował sobie między oczy i pociągnął za spust.

## Rozdział 20

Tego się nie spodziewali. Samobójstwo wieloletniego, najbardziej zaufanego współpracownika Prisznikowa zaskoczyło ich i poraziło. To prawda, Labow był bezwzględny aparaczką i urzędasem, a faks i telefon zmieniały się w jego rękach w śmiercionośną broń, mimo to nie musiał umierać. Doszło do niepotrzebnego rozlewu krwi. Co gorsza, jego śmierć skomplikowała starannie opracowany plan, do którego musieli teraz wprowadzić niezbędne poprawki.

Wiedzieli, że szofer Labowa wkrótce się ocknie. Bez względu na to, czy przypomni sobie szczegóły ataku na Bentleya, czy nie, w głowie będzie miał chaos, kompletny mętlik. Stwierdzi, że cuchnie tanią wodą, że jego pasażer i szef zniknął, zobaczy butelkę na siedzeniu i wpadnie w panikę. I na pewno zadzwoni do domu Labowa - o to musieli zadbać przede wszystkim.

W jego portfelu Tarnopolski znalazł wizytówkę. Wyjął mu z kieszeni nokię - Bryson już dawno zauważył, że w Moskwie roi się od telefonów komórkowych - i zadzwonił do jego żony Maszy.

- *Gospoża Labowa* - zaczął słuźalczym głosem niższego urzędnika - mówi Sasza z biura. Przepraszam, że przeszkadzam, ale dzwonię w imieniu Dmitrija. Mąż przeprasza za spóźnienie, ale ma pilną rozmowę z Francją i nie może odejść od telefonu. - Zniżywszy głos, konfidencko dodał: - Może to i lepiej, bo jego szofer znowu się schlał. - Ciężko westchnął. - Co znaczy, że będę musiał poszukać kogoś na jego miejsce. Cóż, bywa. Dobranoc.

Przerwał połączenie, zanim Labowa zdążyła o cokolwiek zapytać. To powinno wystarczyć; spóźnienia męża musiały być dla niej czymś najzupełniej normalnym. A szofer? Kiedy do niej zadzwonił, zdenerwowany i zdezorientowany, rozszłoszczona Masza skrzyczyła go i trzaśnie słuchawką.

Początek mieli za sobą, ale teraz musieli załatwić sprawę samego Labowa. Co zrobić z trupem? Na kogo zrzucić podejrzenia? Zadzwonić do Norteku? Tarnopolski kategorycznie odmówił. Twierdził, że tamci nagrywają wszystkie rozmowy, wychodzące i przychodzące, i nie chciał, żeby jego głos zarejestrowano na taśmie. Musieli szybko znaleźć jakieś rozwiązanie, podsunąć milicji coś, co wyjaśniłoby powody samobójstwa i zniechęciło ich do wnikliwszego śledztwa. To Jurij wpadł na pomysł, żeby do kieszeni i do walizeczki Labowa podrzucić kilka podejrzanych przedmiotów: paczkę rosyjskich prezerwatyw marki Wigor, kilka zaplamionych wizytówek z oślimi uszami pochodzących z moskiewskich spelunek znanych z seksualnych orgii na zapleczu - Tarnopolski miał przy sobie małą kolekcję takich *cartes de visite* - oraz dowód koronny, na wpół opróżnioną tubkę maści na

usuwanie zewnętrznych objawów kilku mniej groźnych chorób wenerycznych. Było mało prawdopodobne, żeby kogoś takiego jak Labowa, zaufanego urzędnika całkowicie oddanego pracy i rodzinie, interesowały nocne eskapady do podejrzanych klubów, jednak właśnie ktoś taki jak on, niepozorny, acz wpływowy aparatczyk przyłapany na gorącym uczynku i perfidnie zaszantażowany, mógłby z powodzeniem popełnić samobójstwo. Alkohol i tani seks to normalne, powszechne przywary. Rozpoczął się wyścig z czasem i z Prisznikowem, który mógł w każdej chwili stwierdzić, że Nortek został zinfiltrowany. Nick zdawał sobie sprawę, że czyha na nich mnóstwo niebezpieczeństw. Czujny *milicjonier* mógł rozpoznać bentleya z nieprzytomnym szoferem za kierownicą i zadzwonić do Norteku. Z takiego czy innego powodu mogła tam również zadzwonić żona Labowa. Ryzyko było ogromne, a Prisznikow zawsze reagował błyskawicznie. Wniosek? Bryson musiał natychmiast uciekać z Moskwy i z Rosji.

Audi Tarnopolskiego pędziło w kierunku Wnukowa, trzydzieści kilometrów na południowy zachód od Moskwy, lotniska obsługującego ruch krajowy ze szczególnym uwzględnieniem południowych rejonów Rosji. Jurij zadzwonił do jednej z nowych prywatnych firm przewozowych i załatwił nocny lot do Baku dla swego klienta, bogatego biznesmena, który prowadził rozległe interesy w Azerbejdżanie. Nie wchodząc w szczegóły, wspominał jedynie, że w jednej z jego fabryk doszło do gwałtownych zamieszek i że jej dyrektor znalazł się w rękach robotników jako zakładnik. Ponieważ zamawiał samolot praktycznie bez uprzedzenia, musiał słono za to zapłacić. Ale Bryson pieniądze miał: wyłożył również sporą sumę na przekupienie celników, którzy wystawili mu niezbędne dokumenty ekspedycyjne i listy przewozowe.

- Jurij, co Prisznikow będzie z tego miał?

- Mówisz o jego konszachtach z Kolekcjonerem?

- Tak. Wiem, że jesteś specem od wojskowości, że przez kilka lat pracowałeś w wydziale dalekowschodnim KGB i znasz układy panujące w Ludowej Armii Wyzwoleńczej. Co Prisznikow może zyskać na sojuszu z generałem Tsai?

- Mój przyjacielu, słyszałeś, co powiedział Labow. Rządy są dzisiaj bezsilne. To wielkie korporacje dyktują reguły gry. Jeśli jesteś ambitnym tytanem jak Prisznikow i chcesz kontrolować połowę światowych rynków zbytu, nie ma lepszego współnika niż Kolekcjoner. Jest członkiem sztabu generalnego armii i to między innymi dzięki niemu chińskie wojsko przekształciło się w jedną z największych w świecie korporacji przemysłowych. A Tsai zarządza nią od strony handlowej.

- To znaczy?

- Chińska armia ma olbrzymie wpływy w niezwykle złożonej sieci pionowo zintegrowanych i silnie ze sobą powiązanych przedsiębiorstw, od fabryk samochodów poczynając, na przemyśle farmaceutycznym i telekomunikacyjnym kończąc. Wojskowi posiadają również bardzo dużo nieruchomości. Mają swoje hotele w całej Azji, wykupili nawet perłę Pekinu, słynny Pałace Hotel. Są właścicielami niemal wszystkich chińskich lotnisk.

- Myślałem, że rząd zaczął się im dobierać do skóry. Ich premier wydał dekret, na mocy którego wojsko miało wycofać się ze wszystkich interesów.

- Owszem, próbowali coś zrobić, ale dzin uciekł już z butelki. Jak to mówią Amerykanie? Drzwi otwarte, lodówka pusta? Oni otworzyli nie lodówkę, tylko puszkę Pandory. Tak czy inaczej, było już za późno. Ludowa Armia Wyzwoleńcza stała się najpotężniejszą siłą na Kitaju.

- Ale z tego, co wiem, ostatnimi laty kilka razy obniżali budżet na obronę narodową.

- I co z tego? - prychnął Tarnopolski. - Obniżą budżet, nazajutrz sprzedadzą komuś parę głowic atomowych i wyjdą na swój e. Prosta rzecz: to tak, jakbyś zorganizował u siebie wyprzedaż ciast albo używanych rzeczy. *Drug ty mój*, potencjał gospodarczy Ludowej Armii Wyzwoleńczej jest wprost niewyobrażalny. Niedawno przejrzeni na oczy i zajęli się telekomunikacją. Są właścicielami wszystkich chińskich satelitów, budują nowoczesną sieć telefonii komórkowej, systemy komunikacyjne, współpracują z takimi gigantami jak



Lucent, Motorola, Qualcomm, Systematix i Nortek. Powiadają, że niepodzielnie władają chińskim niebem. A prawdziwym właścicielem i zarządcą tych wszystkich dóbr jest jeden człowiek: generał Tsai, nasz Kolekcjoner.

Kiedy audi wjechało na lotnisko, zdumiony Bryson zobaczył, że na pasie startowym czeka czteromiejscowy jak-112, maszyna nowiutka, ale maleńka jak komar, zapewne najmniejsza ze wszystkich samolotów, którymi dysponowała firma.

- Wierz mi, przyjacielu, że starałem się, jak mogłem - powiedział Tarnopolski, widząc jego zaskoczona minę. - Mają większe i ładniejsze, mówili coś o jaku-40 i AN-26, ale wszystkie są w powietrzu.

- Dam sobie radę. Dzięki, Jurij. Mam u ciebie dług.

- Powiedzmy, że to mały, służbowy upominek...

Nick przekrzywił głowę. Dobiegł go pisk hamulców, a gdy się odwrócił, zobaczył wojskowy wóz transportowy, masywny, czarny i lśniący, który pędził z rykiem w ich stronę.

- Co się, do diabła, dzieje? - wykrzyknął Jurij.

Drzwi otworzyły się na oścież i z samochodu wypadło trzech ubranych na czarno komandosów. Wszyscy byli w czarnych kominiarkach, wszyscy mieli na sobie kevlarowe kamizelki.

- Padnij! - wrzasnął Bryson. - Szlag by to! Nie mamy broni!

Tarnopolski dał nura na podłogę i spod przedniego siedzenia wyciągnął metalową szufladę wypełnioną pistoletami, rewolwerami i amunicją. Podał Nickowi automatycznego makarowa kalibru 9 milimetrów, a sam chwycił kałasznikowa bizona, broń żołnierzy rosyjskiego Specnazu. Huknęła seria wystrzałów i przednia szyba audi zbieła od kilkunastu głębokich, promieniście biegnących pęknięć - była kuloodporna, przynajmniej częściowo.

Bryson przykucnął za deską rozdzielczą.

- A karoseria? - spytał, wskazując szybę.

- Opancerzona, ale bardzo lekko. - Jurij zarzucił kałasznikowa na ramię i wziął głęboki oddech. - Lepiej siedź za drzwiami.

Nick kiwnął głową. Drzwi były wzmocnione albo wytrzymałym włóknem szklanym, albo syntetycznym kompozytem, co oznaczało, że mogły posłużyć im za tarczę.

Huknęła kolejna seria wystrzałów i widoczni za boczną szybą komandosi zajęli pozycję strzelecką.

- Specjalna przesyłka od gospodarza Prisznikowa - wymamrotał Tarnopolski.

- Żona zadzwoniła - odrzekł Bryson.

Tylko skąd Prisznikow wiedział, gdzie ich szukać? Odpowiedź mogła być bardzo prosta: najszybszym środkiem transportu i najlepszym sposobem ucieczki z Rosji był samolot, a każdy zamachowiec głupi na tyle, żeby zlikwidować najwierniejszego i najcenniejszego współpracownika Prisznikowa, musiał rejterować stąd bez chwili zwłoki. W okolicach Moskwy było kilka lotnisk, ale tylko dwa z nich przyjmowały prywatne samoloty: wystarczyło podzwonić i sprawdzić, czy z któregoś z nich nie odlatywała wycarterowana w ostatniej chwili maszyna. Prisznikow zaryzykował i wygrał.

Jurij gwałtownie otworzył drzwi, wyskoczył na pas, przycupnął za samochodem i wypuścił długą serię z kałasznikowa.

- *Job twoju mat!* - warknął.

Jeden z komandosów runął na ziemię.

- Dobry strzał - pochwalił Bryson.

Białą od pęknięć boczną szybę przecięła seria pocisków i twarz zasypał mu deszcz drobniutkich kawałków szkła. Nick otworzył drzwi, ukrył się tuż za nimi i wystrzelił kilka razy w stronę pozostałych przy życiu komandosów. W tej samej chwili ponownie wypalił Tarnopolski i na pasie leżał bez ruchu drugi z napastników.

Pozostał jeszcze jeden, sęk w tym, że nagle zniknął.

Nick i Jurij lustrowali wzrokiem ciemną murawę po obu stronach betonowego pasa. Sam

pas był oświetlony -jak miał włączone światła -jednak już kilka kroków dalej panowała ciemność i właśnie gdzieś tam leżał w ukryciu komandos z bronią gotową do strzału. Tarnopolski wypalił w mrok, lecz odpowiedziała mu tylko cisza. Jurij wstał, odwrócił się i wycelował w przeciwną stronę.

Cholera jasna, gdzie się ten facet podział?

Na pewno był w butach na gumowej podeszwie, dzięki którym mógł poruszać się niemal bezszelestnie. Bryson chwycił makarowa obiema rękami i zaczął się powoli obracać w stronę przeciwną do ruchu wskazówek zegara.

Kiedy dostrzegł malutką, czerwoną kropeczkę tańczącą na potylicy Tarnopolskiego, nie mógł już nic zrobić.

- Padnij krzyknął.

Za późno. Eksplodujący pocisk rozsadził Jurijowi głowę.

- Chryste!

Przeżony Nick wykonał błyskawiczny obrót i w pobliżu samolotu, kilkadziesiąt metrów dalej, dostrzegł jakiś ruch. Snajper. Przycił się za podwoziem. Bryson wymierzył, wziął głęboki oddech, powoli wypuścił powietrze i płynnie zwolnił spust.

Dobiegł go odległy krzyk i metaliczny klekot broni na betonie. Komandos, który zabił Jurija Tarnopolskiego, nie żył.

Rzuciwszy okiem na zwłoki przyjaciela, Nick wyskoczył z audi i popędził do samolotu. Zdawał sobie sprawę, że niebawem nadciągną inni, że jego jedyną szansą jest wsiąść do maszyny i czym prędzej wystartować.

Skrzydło, fotel, plastikowa osłona kabiny - przypiął się pasami i zamknął oczy. Co teraz? Prowadzenie samolotu nie było żadnym problemem; jako agent Dyrektoriatu zaliczył wiele szybkich startów. Nie, problemem była nawigacja w rosyjskiej przestrzeni powietrznej bez pomocy z ziemi. Ale jaki miał wybór? Wrócić do samochodu i wpaść w łapy komandosów Prisznikowa? Wykluczone.

Wstrzymał oddech i przekręcił kluczyk zapłonu. Silnik zaskoczył za pierwszym razem. Nick zerknął na wskaźniki, zwolnił hamulec i pokołował na koniec pasa.

Wiedział, że nie może zignorować tych z wieży. Start bez pozwolenia kontrolerów ruchu powietrznego, sam w sobie nie tylko ryzykowny, ale i niebezpieczny, mógłby zostać poczytany za prowokację. Na pewno podjęto by odpowiednie kroki.

Włączył mikrofon i angielszczyzną używaną przez międzynarodowych kontrolerów ruchu powietrznego powiedział:

- Wnukowo, Jakowlew jeden-jeden-dwa, RossTrans trzy-dziewięć-dziewięć-fokstrot, pierwszy na trójce, prosi o pozwolenie na start do Baku.

Tamci odpowiedzieli trzeźwo i rześko, choć z kilkusekundową zwłoką.

- Szto? Co? Powtórz, nie zrozumiałem.

- RossTrans trzy-dziewięć-dziewięć-fokstrot gotów do startu do Baku przez Wnukowo.

- RossTrans trzy-dziewięć-dziewięć, nie masz planu lotu! Niezrażony tym Bryson konsekwentnie parł dalej:

- Tu RossTrans trzy-dziewięć-dziewięć-fokstrot. Gotów do startu na jedyne. Pułap wyjściowy trzysta, przelotowy siedemdziesiąt pięć, dziesięć minut po starcie...

- RossTrans, czekaj, powtarzam, czekaj! Nie masz pozwolenia na start!

- Wieża, wiozę wysokich urzędników Norteku - odparł Bryson z charakterystyczną arogancją dworaków Prisznikowa. - Lecą z nagłą wizytą do Baku. Plan lotu został do was wysłany. Macie mój numer. Zadzwońcie do Dmitrija Labowa, nich to potwierdzi.

- RossTrans...

- Anatolij Prosznikow będzie bardzo niezadowolony, kiedy się dowie, że przeszkadzacie mu interesach. Poproszę o wasze nazwisko i numer identyfikacyjny, towarzyszu kontrolerze.

W słuchawkach zapadła cisza.

- Startuj - warknął kontroler. - Lecisz na własne ryzyko. Bryson przesunął dźwignię przepustnicy. Samolot pomknął przed siebie i po chwili oderwał się od ziemi.

## Rozdział 21

Monsignor Lorenzo Battaglia, doktor historii sztuki i kustosz Chiara-monti, jednej z wielu wyspecjalizowanych galerii Monumenti Musei e Gallerie Pontifice w Citta del Yaticano, nie widział Gilesa Hesketh-Haywooda od kilku lat i bynajmniej nie był jego widokiem zachwycony. Spotkali się w Galleria Lapidaria, we wspaniałej sali recepcyjnej o pokrytych adamaszkiem ścianach. Monsignor Battaglia, kustosz od ponad dwudziestu lat, był koneserem o światowej renomie. Gilesa Hesketh-Haywooda, swego ekscentrycznego angielskiego gościa, zawsze uważał za człowieka troszkę kuriozalnego, może nawet komicznego. Te przyduże okulary w szylkretowej oprawie, ten jedwabny krawat z ciasnym węzłem, ta kraciasta kamizelka, te złote spinki do mankietów w kształcie końskiej podkowy, ten cybuch starej fajki sterzący z butonierki, ten wyrafinowany akcent, ten zapach tytoniu, ten lepki, oleisty czarny Hesketh-Haywood był typowym przedstawicielem wyższych sfer, trochę zwariowanym, lecz do cna angielskim, jednak zawód, jaki uprawiał, na pewno nie należał do powszechnie szanowanych. Hesketh-Haywood, wytrawny kolekcjoner dzieł sztuki, był po prostu wytrawnym paserem i szmuglerem.

Należał do grupy ludzi o mętnej proveniencji, którzy potrafią zniknąć na kilka lat, by nagle i niespodziewanie pojawić się na pokładzie jachtu jakiegoś bliskowschodniego szejka. Chociaż Giles niechętnie mówił o sobie i swojej przeszłości, krążyły o nim liczne plotki. Powiadano, że pochodził z bogatej szlacheckiej rodziny, która po wojnie, gdy do władzy doszli laburzyści, gwałtownie zubożała. Że kształcił się wraz z synami krejusów współczesnego świata, lecz zanim skończył uniwersytet, rodzina popadła w straszliwe długi. Był draniem, nicponiem, hultajem, pozbawionym skrupułów rozkosznikiem, który rozpoczął karierę od przekupienia członków komisji eksportowo-licencyjnej i od przemytu zabytków z Włoch. Uchodził za spekulanta nad spekulantami, jednak trzeba przyznać, że przez jego ręce przeszło wiele niezwykle cennych okazów. Jeśli nie chciało się wiedzieć, w jaki sposób je zdobył, lepiej było nie pytać. Świat sztuki tolerował ludzi takich jak on tylko dlatego, że czasami - choć rzadko - bardzo się przydawali. Kiedy? Kiedy trzeba było przeprowadzić jedną z tych delikatnych, niezbyt legalnych „transakcji”. Przed kilku laty Hesketh-Haywood przeprowadził taką transakcję na prośbę Lorenza Battaglii, który do dziś modlił się w duchu, żeby świat nigdy o niej nie usłyszał. Mimo wielkiego długu wdzięczności rozmawiał ze swym gościem wyjątkowo mało serdecznie. I nic dziwnego, bowiem sprawa, z którą Anglik do niego przyszedł, była zdumiewająca, jeśli nie odrażająca.

Zamknął oczy, szukając odpowiednich słów, nachylił się ku swemu gościowi i z powagą w głosie odrzekł:

- To wykluczone, Giles. To coś więcej niż zwykły „żart”. To po prostu skandal.

Jak zawsze zadowolony z siebie Hesketh-Haywood nie przestał się uśmiechać.

- Skandal, monsignor? - W jego swoich oczach, powiększonych soczewkami okularów, rozbłysły wesole ogniki. - Możliwe, rzecz w tym, że skandal skandalowi nierówny, prawda? Skandalem jest również i to, że pewien ważny watykański urzędnik, znany koneser, kustosz i ekspert od starożytnych zabytków tudzież dzieł sztuki, ba, wyświęcony kapłan, ma na utrzymaniu kochankę przy Via Sebastiano Yeniero. Cóż, niektórzy nie są w tych sprawach równie oświeceni i tolerancyjni, jak my, prawda? Anglik odchylił się na krześle i żartobliwie pokiwał długim, szczupłym palcem.

- Kobiety kobietami, jednak jeszcze większe zdumienie i konsternację wzbudziłyby wśród ludzi... pieniądze. Ufam, że młodej, słodkiej Alessandrze żyje się dobrze i wygodnie. Niektórzy powiedzieliby nawet luksusowo, zważywszy, że ów watykański urzędnik

pobiera nader skromną pensyjke... - Hesketh-Haywood westchnął i z zadowoleniem pokiwał głową. - Cóż, pragnąłbym wierzyć, że jest w tym i moja zasługa...

Monsignor Battaglia poczerwieniał. Pulsowała mu żyłka na skroni. Długo milczał, wreszcie rzekł:

- Może znajdziemy jakieś wyjście...

Grube okulary zaczęły przyprawiać go o koszmarny ból głowy, ale przynajmniej osiągnął to, po co przyleciał do Rzymu. Był kompletnie wyczerpany. Przekroczywszy granicę Rosji, wylądował na lotnisku pod Kijowem, po czym zwykłym samolotem pasażerskim - z dwiema przesiadkami - bezpiecznie dotarł do stolicy Włoch i zadzwonił do Battaglii. Zgodnie z oczekiwaniami monsignor zareagował natychmiast, gdyż zawsze interesowało go to, co Hesketh-Haywood miał do zaoferowania.

Giles Hesketh-Haywood: jedna z wielu starannie dopracowanych legend i przykrywek, których wielokrotnie używał w przeszłości.

Jako znany koneser i handlarz antykami miał powody odwiedzać miejsca takie jak Sycylia, Egipt, Sudan, Libia i wiele innych. Unikał podejrzeń, celowo je prowokując: to jedna z elementarnych metod odwracania uwagi. Ponieważ celnicy zakładali, że jest przemysłowcem, nigdy nie przeszło im przez myśl, że może być szpiegiem. Poza tym większość z nich ochoczo przyjmowała łapówki, a jeśli nawet jedni odmawiali, tym chętniej przyjmowali je inni.

Nazajutrz rano w „L'Osservatore Romano”, oficjalnej gazecie Watykanu o ponadpięćmilionowym nakładzie, ukazała się króciutka notatka.

**OGGETTO SPARITO DAI MUSEI VATICANI? KRADZIEŻ EKSPONATU Z WATYKAŃSKIEJ KOLEKCJI?**

Według autora notatki podczas dorocznej inwentaryzacji odkryto, że z magazynów muzeum zginął rzadki komplet szachowy z dynastii Sung. Był wykonany z nefrytu i wyjątkowo piękny - na początku czternastego wieku przywiózł go z Chin Marco Polo, który podarował go następnie doży Wenecji. W roku tysiąc pięćsetnym komplet odkupił Cesare Borgia, a po jego śmierci szachy stały się ulubionym bibelotem papieża Leona X; widnieją nawet w tle jednego z jego wspaniałych portretów. W roku tysiąc pięćset czterdziestym dziewiątym papież Paweł III rozegrał nimi mecz z legendarnym szachistą Paulo Boi. Niestety przegrał.

W notatce zamieszczono cytaty z wypowiedzi rzeczownika watykańskiego muzeum, który kategorycznie zaprzeczał, jakoby szachy zaginęły, nie chciał jednak przedstawić konkretnego dowodu na to, że nadal stoją w magazynie. Był tam również krótki cytat z gniewnej wypowiedzi kustosa monsignora Lorenzo Battaglii, który stwierdził, że watykańskie muzeum ma w katalogach setki tysięcy eksponatów i zważywszy pojemność jego magazynów, niewykluczone jest, że kilka z nich omyłkowo trafiło na inne półki - nie ma najmniejszego powodu, by twierdzić, że któryś z nich skradziono.

Pijąc popołudniową kawę w Hasslerze, Nick Bryson czytał notatkę z zawodową satysfakcją. Nie oczekiwał, że monsignor sprawi mu aż tak wielką przyjemność. Jego zaprzeczenia były jak najbardziej prawdziwe. Legendarny komplet szachowy spoczywał bezpiecznie w przepastnym skarbcu watykańskiego muzeum i jak większość tamtejszych eksponatów prawie nigdy nie oglądał światła dziennego; ostatni raz wystawiono go na pokaz przed z górą czterdziestu laty. Nie, nikt go nie ukradł, jednak każdy czytelnik gazety mógłby odnieść wprost przeciwne wrażenie.

I właśnie o to chodziło: Nick był pewien, że to wydanie „L'Osservatore Romano” przeczytają ci, którzy powinni je przeczytać.

Podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił do starego znajomego z Pekinu, obecnie wysokiego urzędnika chińskiego ministerstwa spraw zagranicznych nazwiskiem Jiang Yingchao. Przed dziesięciu laty Giles Hesketh-Haywood i Jiang Yingchao zrobili razem kilka dobrych interesów. Jiang natychmiast rozpoznał go po głosie.

- Mój angielski przyjaciel! - wykrzyknął. - Po tylu latach! To dla mnie prawdziwa przyjemność.

- Wiesz, że nie lubię się narzucać, Jiang, niemniej mam nadzieję, że nasza ostatnia transakcja... pomogła ci w karierze. Nie żebyś potrzebował pomocy: wiem, że chiński korpus dyplomatyczny nie mógłby się bez ciebie obejść.

Giles nie musiał mu nic przypominać. Kiedy się poznali, Jiang Yingchao był urzędnikiem niskiego szczebla w ataszacie kulturalnym ambasady chińskiej w Bonn. Wkrótce po tym, gdy zjedli razem lunch, Giles obiecał dostarczyć mu niezwykle cenny chiński artefakt, miniaturowego glinianego konika z dynastii Hań, po kosztach daleko niższych od obowiązujących na wolnym rynku. Obietnicy dotrzymał. Jiang podarował konika swemu ambasadorowi, co bez wątpienia przyspieszyło jego dyplomatyczną karierę.

W ciągu wieloletniej znajomości Hesketh-Haywood zdobył dla niego kilka bezcennych przedmiotów, między innymi starożytne wyrobu z brązu oraz wazę z dynastii Qing.

- Co porabiałeś przez te wszystkie lata? - spytał Jiang. Bryson smutno westchnął.

- Na pewno widziałeś ten ordynarny artykuł w „L'Osservatore Romano”.

- Nie, a co się stało?

- Och, lepiej dajmy sobie spokój. Zapomnij, że w ogóle o tym wspominałem. Tak czy inaczej, zupełnym przypadkiem wszedłem w posiadanie doprawdy niezwykle cennego przedmiotu i pomyślałem, że człowiek taki jak ty na pewno zna kogoś, kto byłby zainteresowany jego kupnem. Dobrze mnie zrozum, lista chętnych jest straszliwie długa, ale ze względu na stare, dobre czasy uznałem, że najpierw zadzwonię do ciebie. Otóż... - Zaczął opisywać mu starożytny komplet szachowy, lecz Jiang niemal natychmiast mu przerwał.

- Oddzwonię - uciął szorstko. - Daj mi swój numer.

Zadzwonił pół godziny później, korzystając z czystej, zabezpieczonej przed podsłuchem linii. Był wyraźnie podekscytowany - musiał przeczytać notatkę w gazecie i wykonać kilka pilnych telefonów.

- Na pewno rozumiesz, mój drogi przyjacielu - zagał Giles - że tego rodzaju rzecz pojawia się na rynku niezmiernie rzadko. Bez troska ludzi strzegących tak wielkie skarby jest przerażająca. Doprawdy przerażająca.

- Tak, tak - niecierpliwiał się Jiang. - Jestem pewien, że zainteresowanie będzie bardzo duże, pod warunkiem że mówimy o tym samym przedmiocie: o nefrytowym komplecie szachowym z dynastii Sung.

- Mój drogi, na razie rozmawiamy tylko hipotetycznie. Chcę jedynie powiedzieć, że gdyby tak cudowne dzieło sztuki trafiło w moje ręce, na pewno zechciałbyś rozpuścić wici. Oczywiście dyskretnie, bardzo dyskretnie...

Nie musiał nic więcej dodawać. Starożytne szachy podziały na Jianga jak czerwona płachta na byka.

- Tak, tak, znam kogoś. Jest pewien generał, zbiera tego rodzaju rzeczy, a zwłaszcza nefrytowe arcydzieła z dynastii Song. To jego pasja, wielka pasja. Nazywają go Kolekcjonerem, Władcą Nefrytu. Nigdy o nim nie słyszałeś?

- Władca Nefrytu? Hmm... Nie, chyba nie. Myślisz, że byłby zainteresowany?

- Generał Tsai postawił sobie za cel odzyskanie zrabowanych niegdyś dzieł sztuki i sprowadzenie ich do kraju. Jest zagorzałym nacjonalistą.

- Rozumiem. Cóż, skoro tak, będziesz musiał szybko to sprawdzić i potwierdzić, bo właśnie zamierzałem zadzwonić do centrali, żeby wreszcie przestali mnie łączyć. Ostatnio nie mam ani chwili spokoju. Wiesz, jak to jest. Wydzwanianą tu ci namolni szejkwowie z Omanu i Kuwejtu, ci wszyscy...

- Nie! - wybełkotał Jiang. - Zaczekaj! Daj mi dwie godziny czasu! To arcydzieło musi wrócić do Chin!

Bryson musiał czekać znacznie krócej, gdyż Jiang zadzwonił już godzinę później. Tak, generał był bardzo zainteresowany.

- Uwzględniając niezwykłość owego arcydzieła - zaznaczył stanowczo Nick - nalegam na osobiste spotkanie z klientem. - Wiedział, że w tej sytuacji może spokojnie dyktować warunki.

- Ależ... Ależ oczywiście - wykrztusił Jiang. - Generał... Nasz klient nie wyobraża sobie, żeby mogło być inaczej. Przecież musi sprawdzić autentyczność wiadomego przedmiotu.
- Naturalnie. Dostarczę wszystkie niezbędne dokumenty i certyfikaty.
- Tak, oczywiście.
- Do spotkania musi dojść natychmiast. Nie mogę pozwolić sobie na żadną zwłokę.
- Nie ma problemu. Generał przebywa w Shenzhen i niecierpliwie oczekuje spotkania.
- Świetnie. Wsiądę do pierwszego samolotu do Shenzhen i odbędziemy z generałem rozmowę wstępną.
- Jak to wstępną?
- Pogawędzimy sobie, pokażę mu zdjęcia kompletu i jeśli uznam, że pierwsza faza negocjacji przebiegła po mojej myśli, przystąpimy do fazy numer dwa.
- Więc nie przywieziesz tego do Chin?
- Boże drogi, ależ skąd! Przecież generał mógłby mnie zdekonspirować, aresztować, wydać mnie władzom. Ostrożność przede wszystkim, mój drogi, zwłaszcza w dzisiejszych czasach. Nigdy nie załatwiam interesów z nieznanymi. - Bryson cicho zachichotał. - Ale kiedy już sobie pogawędzimy, kiedy się lepiej poznamy, droga stanie otworem, prawda? Jeśli wszystko będzie w porządku, jeśli nie ogarną mnie złe przeczucia, omówimy warunki finansowe, sposób sprowadzenia kompletu do Chin i tak dalej, i tak dalej. Wiesz, te wszystkie nudne, banalne szczegóły.
- Giles, generał na pewno zechce to obejrzeć.
- Naturalnie, ale nie od razu. O, nie. Chiny to dla mnie terra incognita. Nikogo tam nie znam, będę się czuł nieswojo i niepewnie. Bardzo bym nie chciał, żeby twój generał skonfiskował tak cenny przedmiot i wysłał mnie za karę na kapuścianą farmę czy cokolwiek tam macie.
- Generał zawsze dotrzymuje słowa - zaprotestował sztywno Jiang.
- Drogi przyjacielu, mój wewnętrzny radar służy mi wiernie od dwudziestu lat. Nigdy dotąd mnie nie zawiódł. Nie ignorowałem jego wskazówek przedtem, nie zamierzam ignorować ich i teraz. Wy, ludzie Wschodu, jesteście nieodgadnieni. - Ponownie zachichotał. Jiang milczał. - Ale znasz mnie - dodał Nick. - Wystarczy faszka ryżowego wina i jestem twój!

Ubrany w ekstrawagancką kamizelkę z żółtej skóry i kraciasty, jedwabno-kaszmirowy garnitur wylądował na lotnisku Huangtian w Shen-zhen, gdzie czekał na niego specjalny wysłannik generała Tsai, posępny mężczyzna w ciemnozielonym mundurze Ludowej Armii Wyzwoleńczej, z nieodłączną czerwoną gwiazdą na czapce a la Mao. Nie przedstawivszy się, wysłannik przeprowadził go przez odprawę celną i paszportową. Już na pierwszy rzut oka widać było, że wszystko jest przygotowane: personel lotniska nie zwracał na Nicka najmniejszej uwagi. Nie sprawdzano go i o nic go nie pytano.

Zajęli się tym ludzie generała Tsai. Gdy tylko wyszli z głównej sali, wysłannik generała bez słowa skierował go do nieoznakowanych drzwi, za którymi czekało dwóch żołnierzy. Jeden z nich zaczął bezceremonialnie przeszukiwać jego bagaż, podczas gdy drugi metodycznie obmacywał go od głowy po stopy, zaglądając nawet pod wkładkę kosztownych, angielskich butów. Bryson nie był tym zaskoczony, niemniej, żeby nie wypaść z roli kapryśnego dżentelmena i arystokraty, od czasu do czasu z rozdrażnieniem protestował.

Nie przybył do Chin bez broni. Spodziewając się, że przed rozmową z generałem Tsai zostanie dokładnie zrewidowany, nie zabrał ze sobą ani pistoletu, ani rewolweru, gdyż nie pasowało to do postaci Gilesa Hesketha-Haywooda. Nie, ryzyko wpadki było zbyt wielkie. Jednakże w pasku od spodni ukrył broń wartą każdego ryzyka. Zaszyty między dwiema warstwami mięciutkiej włoskiej skóry tkwił mocny, giętki pasek metalu o szerokości dwóch i pół i długości około trzydziestu centymetrów. Zrobiony ze stopu aluminium i wanadu, prawie na całej długości był ostry jak brzytwa. Wyjmowało się go, otwierając ukryty zatrzask i silnie pociągając za końcówkę. Trudno go było używać, nie raniąc sobie dłoni, jednak przy odrobinie wprawy ostrze bez najmniejszego trudu -i niemal bez żadnego

nacisku - przecinało ludzką skórę do samej kości. Poza tym jak zwykle polegał na sztuce improwizacji, na umiejętności wynajdywania broni tam, gdzie inni jej nie widzieli. Mimo to miał nadzieję, że nie będzie musiał się do tego uciekać. Żołnierz kazał mu zdjąć pasek. Przesunął po nim palcami i oczywiście nie zauważył niczego podejrzanego.

Przed halą przylotów czekała czarna limuzyna z włączonym silnikiem. Za kierownicą siedział szofer, żołnierz w zielonym mundurze bez żadnych dystynkcji. Miał nieprzeniknioną twarz i głowę spuszczoną w geście pokory.

Wysłannik generała otworzył tylne drzwi, włożył walizkę do bagażnika, po czym usiadł z przodu. Nie wypowiedział ani słowa, tak samo jak szofer, który wrzuciwszy bieg, włączył się do ruchu. Jechali do miasta.

Bryson odwiedził kiedyś Shenzhen, jednak z trudem rozpoznawał okolicę. To, co przed dwudziestu laty było małą, senną rybacką wioską i graniczącym z nią miastem, rozrosło się chaotycznie do gigantycznych rozmiarów, do molocha o pospiesznie zbudowanych drogach, naprędce skleconych domach mieszkalnych i buchających dymem fabrykach. Na dawnych poletkach ryżowych i dziewiczych terenach w delcie Rzeki Perłowej stały strzeliste wieżowce, elektrownie i elektrociepłownie specjalnej strefy ekonomicznej, a na tle szarego, zaciągniętego smogiem nieba rysowały się sylwetki setek dźwigów. Nad brzegami cuchnącej rzeki Shenzhen mieszkali głównie *mingong*, pochodzący ze wsi robotnicy, których przyciągnęła tu perspektywa pracy i lepszych zarobków.

Shenzhen żyło pospiesznie i dwadzieścia cztery godziny na dobę: było gigantycznym miastem, błyskawicznie rozrastającą się metropolią, wielkim ośrodkiem przemysłowym żyjącym dzięki wysokooktanowemu paliwu, którego nazwa należała do najbardziej bluźnierczych słów w słowniku komunistycznych Chin: dzięki kapitalizmowi. Był to jednak kapitalizm w najgorszym wydaniu, najokrutniejszy i najbardziej rozpasany, niosący ze sobą histerię przygranicznego miasta, występki, zbrodnie i prostytutkę. Jaskrawe szyldy, tablice reklamowe, kuszące billboardy, kolorowe neony, luksusowe sklepy Louisa Yuittona i Diora - to wszystko było jedynie warstwą błyszczącego lukru, pod którą kryło się ubóstwo, nędzna, szara egzystencja robotników, pozbawione kanalizacji blaszane rudery ich rodzin i wychudzone kurczaki biegające po brudnych podwórkach.

Ruch był duży. Na jezdni królowały najnowsze modele samochodów i jaskrawoczerwone taksówki. Niemal wszystkie gmachy były strzeliste i nowoczesne. Ulice skrzyły się od świateł, od neonów i kolorowych szyldów z chińskimi nazwami, chociaż tu i ówdzie zamiast hieroglifów pojawiały się skróty typowo angielskie: charakterystyczne M - to McDonald s, KFC - to Kentucky Fried Chicken. Gdzie okiem sięgnąć, wszędzie bogate kolory, luksusowe restauracje i sklepy ze sprzętem elektronicznym: z kamerami, komputerami, telewizorami i aparaturą DVD. Na chodnikach roilo się od ulicznych kramów z pieczonymi prosiętami, kaczkami i krabami.

I wszędzie aż gęsto od ludzi. Przechodnie szli ramię przy ramieniu i niemal wszyscy mieli przy sobie telefony komórkowe. Jednakże w przeciwieństwie do oddalonego o trzydzieści kilometrów Hongkongu nie widać tu było starców i staruszek ćwiczących w parkach tai chi; wyglądało na to, że w Shenzhen w ogóle ich nie ma. W specjalnej strefie ekonomicznej można było mieszkać tylko przez piętnaście lat: wpuszczano tu jedynie osoby młode i zdolne do ciężkiej pracy.

Wysłannik generała odwrócił się i spytał:

- *M laiguo Shenzhen ma?*

- Słucham? - odrzekł Bryson.

- *Ni budong Zhongguo hua ma?*

- Przykro mi, ale nie mówię po waszemu. - Tamten spytał go, czy rozumie po chińsku i czy kiedykolwiek przedtem tu był. Sprawdzali go? W tak prymitywny sposób?

- Anglik?

- Owszem. Jako Anglik mówię po angielsku.

- Pierwszy raz tutaj?

- Tak. Czarujące miejsce. Szkoda, że nie odkryłem go wcześniej. Chińczyk zrobił wrogą

minę.

- Po co jedzie pan do generała?

- W interesach - odparł krótko Nick. - Generał też się nimi zajmuje, prawda?

- Generał jest oficerem Ludowej Armii Wyzwoleńczej, dowódcą garnizonu w Guandong.

- Tam też można robić niezłe interesy.

Szofer mruknął coś pod nosem. Wysłannik odwrócił głowę i zamilkł.

Limuzyna przebijiała się przez niewyobrażalnie zatłoczone ulice i uliczki miasta. Nieustannie zalewała ich kakofonia dźwięków, zewsząd dobiegały histerycznie piskliwe okrzyki i porykiwanie klaksonów. Przed hotelem Shangri-La utknęli w korku. Szofer włączył syrenę i migające czerwone światła, wjechał na chodnik i wydając szczekliwe rozkazy przez zewnętrzny głośnik, dodał gazu. Przechodnie rozpięzchli się niczym stadko gołębi i korek szybko został za nimi.

W końcu dotarli do wartowni przed wjazdem na teren wielkiej fabryki, którą - na to przynajmniej wyglądało - zarządzało wojsko. Bryson założył, że to właśnie tu mieści się rezydencja generała Tsai, może nawet jego kwatery główna. Przez okno zajrzał do nich żołnierz ze sztywną podkładką w rękę i stanowczym, niegrzecznym gestem kazał wysłannikowi wysiąść. Samochód ruszył. Minęli kilkanaście domów mieszkalnych, skręcili i wjechali między budynki przemysłowe, składy i magazyny.

Bryson natychmiast wzmógł czujność. Szofer nie wiozł go do rezydencji generała. Skoro nie do rezydencji, to gdzie?

- *Neng bu neng gaosong wo, ni song wo qu nar?* - spytał, celowo zniekształcając słowa i myląc składnię, jak kaleczący język obcokrajowiec.

Szofer nie odpowiedział.

- To nie jest rezydencja generała, *sijil* - Tym razem Nick podniósł głos. Mówił płynnie i bez akcentu, jak rodowity Chińczyk.

- Generał nie przyjmuje gości w rezydencji. Nie lubi rzucać się ludziom w oczy. - Szofer przemawiał zuchwale, nawet bezczelnie. Nie używał słowa *shifu*, „pan”, zwracał się do niego z wyższością, nie jak zwykły szofer do ważnego gościa. Zastanawiające. I niepokojące.

- Generał Tsai słynie z wystawnego stylu życia. Radzę natychmiast zawrócić.

- Generał woli stać z boku. Uważa, że najprawdziwszą władzą jest władza sprawowana niedostrzegalnie. - Zajechali przed wielki magazyn, przed którym parkowały wojskowe dżipy i wozy transportowe. Nie wyłączając silnika i nie odwracając się, szofer spytał: - Czy zna pan opowieść o wielkim osiemnastowiecznym cesarzu Qian Xingu? Uważał, że władca powinien nawiązywać bezpośredni kontakt z podwładnymi bez ich wiedzy. Dlatego podróżował po Chinach w przebraniu zwykłego chłopca.

Bryson poderwał głowę, po raz pierwszy spojrzął mu w twarz i cicho zaklął. Szoferem był generał Tsai!

Nagle wokół limuzyny zaroilo się od żołnierzy. Generał wydał kilka rozkazów w *toishanese*, miejscowym dialekcie: otworzyły się drzwi, wartownicy wywlekli Nicka z samochodu, chwycili go i mocno przytrzymali.

- *Zhanzhu!* Stój spokojnie! - krzyknął jeden z żołnierzy, mierząc do niego z pistoletu. - *Shoufangxia! Bie dong!* Ręce w dół! Generał z uśmiechem opuścił boczną szybę.

- Dziękuję za wielce interesującą pogawędkę, panie Bryson. Pańska znajomość naszego języka polepszała się z minuty na minutę. Ciekawe, czym jeszcze chciał nas pan zaskoczyć. A teraz proponuję, żeby pogodnie ruszył pan na spotkanie nieuchronnej śmierci.

Jezu Chryste! Zнали jego prawdziwe nazwisko! Skąd? I od kiedy?

Nick gorączkowo myślał. Kto mógł zdradzić Chińczykom jego prawdziwą tożsamość? Kto wiedział o istnieniu Hesketha-Haywooda? Kto wiedział, że Hesketh-Haywood ma przylecieć do Szenghenu? Na pewno nie Jurij Tarnopolski. W takim razie kto?

Przefaksowano zdjęcia, skojarzono fakty. Nie, to bez sensu! Generał Tsai musiał mieć u siebie kogoś, kto rozpoznał jego twarz, kto pod maską wyrafinowanego arystokraty



dostrzegł Nicka Brysona, kto go po prostu znał: innego wytłumaczenia nie było. Gdy samochód generała odjechał, buchając mu w twarz kłębam spaliny, żołnierze powlekli Brysona w stronę magazynu. Jeden szedł z tyłu i ani na chwilę nie przestawał celować mu z pistoletu w plecy. Nick zważył szansę i szybko stwierdził, że są mniej niż marne. Oswobodzić rękę, płynnym, błyskawicznym ruchem wyciągnąć z paska wanadowe ostrze... Tak, ale żeby to zrobić, musiałby najpierw czymś ich zająć, odwrócić ich uwagę. Dostali wyraźne polecenie: czekała go „nieuchronna śmierć”. Był pewien, że gdyby tylko wykonał gwałtowniejszy ruch, nie zawahaliby się pociągnąć za spust. Nie, nie miał zamiaru sprawdzać, czy i jak szybko wykonaliby rozkaz.

W takim razie po co prowadzili go do magazynu?

Weszli do środka. Rozejrzał się i zobaczył olbrzymią halę przeznaczoną do odbioru i garażowania pojazdów mechanicznych. Na jej końcu dostrzegł olbrzymią winę, którą można by przewieźć transporter opancerzony lub nawet czołg. W powietrzu unosił się ostry zapach oleju silnikowego i napędowego. Niemal całą powierzchnię hali zajmowały stojące ciasnymi rzędami ciężarówki, czołgi, dzipy i transportery. Przypominało to magazyn dobrze prosperującego salonu ze sprzętem wojskowym, chociaż podłoga i betonowe ściany były okopcone spalinami i poplamione olejem.

Co się tu działo? Dlaczego go tu przyprowadzono, skoro równie dobrze mogli rozstrzelać go tam, na zewnątrz, przed magazynem, gdzie jedynymi świadkami egzekucji byłiby żołnierze?

I nagle wszystko zrozumiał.

Wbił wzrok w stojącego przed nim człowieka. Człowieka po zęby uzbrojonego. Człowieka, którego znał.

Człowieka nazwiskiem Ang Wu.

Jednego z nielicznych przeciwników, który wzbudzał w nim fizyczny strach. Ang Wu, renegat, który zdezerterował z chińskiej armii, by przystać do Ludowej Armii Wyzwoleńczej. Skierowany do Bomtecu, jej handlowego ramienia, był przedstawicielem LAW w Sri Lance. Chińczycy dostarczali broń obu stronom konfliktu, siejąc niezgodę i podejrzenia, umiejętnie podsycając nienawiść wśród zwaśnionych przeciwników. Bryson wraz z naprędce zorganizowaną grupą komandosów wyruszył z Colombo z zadaniem zniszczenia transportu śmiercionośnej broni, którym dowodził Ang Wu, i podczas wymiany ognia postrzelił Chińczyka w brzuch. Ang Wu został ewakuowany z pola walki śmigłowcem i według późniejszych doniesień przewieziony do Pekinu.

Czy jednak incydent ten nie miał ukrytego podtekstu? Czy nie był częścią jakiegoś tajemnego planu, elementem rozgrywki, w której Nick uczestniczył jako zwykły pionek? A jeśli tak, kto ów plan opracował i po co?

A teraz Ang Wu stał przed nim z kałasznikowem na ramieniu. W kaburach u pasa miał dwa pistolety, a biodra owinał sobie taśmą z nabojami do karabinu maszynowego. Na jego udzie i łydce lśniły myśliwskie noże.

Żołnierze przytrzymujący Nicka za ramiona chwycili go jeszcze mocniej. Zanim zdążyłby wyswobodzić rękę i wyszarpnąć z paska wanadowe ostrze, Ang Wu albo ten z tyłu na pewno zdążyłby go postrzelić. Boże!

Tymczasem jego nemezys robił wrażenie człowieka w pełni uszczęśliwionego.

- Śmierć ma tyle obliczy - zaczął. - Zawsze wiedziałem, że jeszcze się spotkamy. Czekałem na tę chwilę od lat. - Płynnym ruchem wyjął z kabury chiński półautomat i zważył go w rękę, rozkoszując się jego masywnością i zdolnością do odbierania życia. - To dar od generała Tsai, hojna nagroda za wieloletnią służbę. Dar prosty i zwyczajny: pozwolił mi zabić cię osobiście. Przygotowałem dla ciebie śmierć... Jak to mówią? Zażyłą, intymną i powolną.

Uśmiechnął się lodowato, odsłaniając rząd białych zębów.

- Wiesz, że dziesięć lat temu w Colombo pozbawiłeś mnie śledziony? Dlatego zaczniemy od tego. Od twojej śledziony.

Olbrzymia hala zapadła się, zwięzła do długiego, wąskiego tunelu, na którego jednym

końcu stał Ang Wu, a na drugim on, Bryson. Oprócz nich nie było nikogo ani niczego. Nick wziął głęboki oddech.

- Nie uważasz, że to trochę nie fair? - spytał ze sztucznym spokojem.

Nie przestając się uśmiechać, Chińczyk wyciągnął uzbrojoną rękę i wymierzył w jego podbrzusze. W chwili, gdy musnął kciukiem skrzydełko bezpiecznika, Bryson szarpnął się, rzucił skosem w bok, gdy wtem...

Dobiegło go ciche, stłumione „puf”, odgłos przypominający dyskretne kasznięcie i dokładnie pośrodku szerokiego czoła Ang Wu wykwitła maleńka czerwona łezka. Chińczyk osunął się na podłogę powoli i łagodnie, jak tracący przytomność pijak.

- *Aiyal* - wrzasnął jeden z żołnierzy, odwracając się na pięcie, by skończyć z dziurą w potylicy. Drugi strażnik wydał przeraźliwy okrzyk, sięgnął po broń, lecz zanim zdążył wyjąć jaz kabury, runął na betonową posadzkę z na wpół odstrzeloną głową.

Bryson rzucił się na podłogę, przetoczył w prawo i błyskawicznie się rozejrzał. Zza słupa na betonowej galerijce biegnącej sześć metrów wyżej wyszedł wysoki, tęgawy mężczyzna w granatowym garniturze. W rękę trzymał magnum kalibru 9 milimetrów z długim, perforowanym, lekko dymiącym tłumikiem. Twarz miał skrytą w cieniu, ale... Ten chód. Nick rozpoznałby go na końcu świata.

Mężczyzna rzucił mu magnum i krzyknął:

- Łap!

Oszołomiony Bryson wyciągnął rękę i chwycił broń w locie.

- Cieszę się, że nie wyszedłeś z wprawy - powiedział Ted Waller, stając na szczycie stromych schodów. Lekko zadyszany, obrzucił go rozbawionym spojrzeniem. - Czekaj nas ciężka przeprawa.

## Rozdział 22

Senator James Cassidy zerknął na nagłówek w „Washington Timesie”, stwierdził, że artykuł dotyczy jego żony, jej aresztowania, narkotyków i domniemanego matactwa, i natychmiast odłożył gazetę na biurko. A więc nareszcie. Nareszcie wszystko wyszło na jaw. Źródło głębokiej, osobistej udręki, tajemnica, którą rozpaczliwie pragnął ustrzec przed drapieżnym wzrokiem mediów. Ktoś poznał i wyjawiał światu jego największy sekret. Ale kto? Jakim sposobem?

Przyjechawszy do biura o szóstej rano, wiele godzin wcześniej niż zwykle, zastał na miejscu cały personel. Wszyscy byli bladzi, niewyspani i przygaszeni jak on.

- „Washington Times” poluje na ciebie od lat - zaczął bez wstępów Roger Fry. - Ale tym razem mieliśmy już ponad setkę telefonów z innych gazet, stacji telewizyjnych i radiowych. Próbuje odzyskać twoją żonę. Jim, to jest jak nalot dywanowy. Nie potrafię nad tym zapanować. Chyba nikt nie potrafi.

- To prawda? - spytała Mandy Green, jego rzeczniczka prasowa.

Miała czterdzieści lat, pracowała u niego od lat sześciu, lecz zestresowana i zdenerwowana wyglądała o wiele starszej. Cassidy nie pamiętał, żeby kiedykolwiek puściły jej nerwy, ale tego ranka miała czerwone obwódki wokół oczu.

Spojrzał na swego szefa sztabu. Nie, było oczywiste, że Roger nic im nie powiedział.

- To? - spytał. - To znaczy co?

Mandy podniosła gazetę, po czym cisnęła ją gniewnie na drugi koniec gabinetu.

- To, że cztery lata temu twoją żonę aresztowano za kupno heroiny. Że próbowałaś to zatuszować i zatuszowałaś. Że oskarżenie wycofano, a fakt aresztowania wymazano z komputerów. „Matactwo”, tak tu piszą. Żonglują tym słowem jak wściekli.

Senator bez słowa kiwnął głową. Usiadł w wielkim skórzanym fotelu i spojrzał w okno na

szare, pochmurne niebo. Poprzedniego wieczoru dzwonili do niego z redakcji. Do niego i do Claire. Nie podniósł słuchawki. Miał złe przeczucia, mało spał.

Claire była w Massachusetts, w ich domu w Wayland. Miała swoje problemy; miały je żony wielu polityków. Dobrze pamiętał, jak się zaczęły: niegroźny upadek na nartach, pęknięte żebro, chirurg, operacja, silne środki odurzające na złagodzenie bólu. Niebawem bardziej niż złagodzenia bólu pragnęła narkotyków, ale lekarze nie chcieli odnowić recepty i skierowali ją na grupową terapię przeciwbólową. Narkotyki wprowadzały Claire w słodki niebyt. Dzięki nim odkryła miejsce wolne od stresu i napięcia życia publicznego, miejsce, gdzie mogła zaznać spokoju, którego nie zaznała w życiu osobistym. Wiedział, że to jego wina, że nie stanął u jej boku, kiedy najbardziej go potrzebowała. Zrozumiał, jak wrogi był dla niej jego świat. Świat, który z czasem odrzucił ją za linię boczną boiska, a Claire, ta piękna, urocza i kochająca Claire, nie była stworzona do tego, by przesiedzieć życie na ławce dla rezerwowych. Miał coraz więcej spotkań, narad i konferencji, coraz więcej romansów, coraz więcej kobiet do zdobycia. A Claire była samotna, cierpiała nie tylko fizycznie. Nie wiedział, co sprawiało jej większy ból, odosobnienie czy pęknięte żebro, lecz podejrzewał, że hospitalizacja tylko przyspieszyła pogłębiającą się depresję i uzależnienie, któremu w końcu uległa.

Załamana brakiem narkotyków na receptę, zrozpaczona, że odebrano jej nawet tę ulotną, chwilową ulgę i zapomnienie, poszła do parku na skrzyżowaniu Ósmej i H Street, żeby kupić działkę heroiny. Ułatwił jej to pewien sympatyczny mężczyzna, którego tam poznała. Dał jej dwie torebki proszku, a ona zapłaciła mu nowiutkimi, szeleszczącymi setkami prosto z bankomatu.

Wówczas mężczyzna wyjął z kieszeni błyszczącą odznaką i zaprowadził Claire na posterunek. Kiedy komendant posterunku odkrył, kogo aresztowano, zadzwonił do Henry'ego Kaminera, zastępcy prokuratora okręgowego, a Kaminer natychmiast zatelefonował do Jima Cassidy'ego, starego kumpla ze szkoły prawniczej i przewodniczącego senackiej komisji sądowej. Tak się o tym dowiedział. Doskonale ten telefon pamiętał. To wahanie w głosie Henry'ego, tę niezręczną rozmowę o niczym, tę wstrząsającą wiadomość. Była to jedna z najgorszych chwil w jego życiu.

Stanął mu przed oczyma delikatna, ściągnięta twarz Claire i przypomniały mu się słowa wiersza, który kiedyś czytał. „Ona nie macha, ona tonie.” Jak mógł być aż tak ślepy? Jak mógł nie widzieć, co się dzieje w jego własnym domu, w jego małżeństwie? Czy to możliwe, żeby życie publiczne aż tak odrywało od życia osobistego? Najwidoczniej. Claire nie machała do niego ręką. Claire tonęła.

Spojrzał na swoich pracowników.

- Nie była przestępczynią - powiedział beznamiętnie. - Cholera jasna, ona potrzebowała pomocy, leczenia. I się leczyła. Spędziła pół roku w klinice rehabilitacyjnej. Cicho i dyskretnie. Nikt nie musiał o tym wiedzieć. Nie chciała współczucia. Nie chciała, żeby obrzucano ją ciekawskim spojrzeniem, żeby się za nią odwracano. Chciała być zwykłą żoną, a nie żoną senatora na świeczniku.

- Ale twoja kariera... - zaczęła Mandy. Cassidy nie dał jej dokończyć.

- To właśnie moja przeklęta kariera ją do tego pchnęła! Claire też miała marzenia. Marzyła o prawdziwej rodzinie, o dzieciach, o mężu i kochającym ojcu, który, jak na mężczyznę przystało, na pierwszym miejscu zawsze stawiałby żonę i dom. Marzyła o normalnym życiu - to chyba niezbyt szalone marzenie. Zrezygnowała z tego, żebyś mógł zostać... Jak mnie nazwali ci z „Wall Street Journal”? Poloniuszem Potomacu - prychnął z goryczą.

- Ale jak mogła narazić na szwank wszystko, na co tyle lat pracowałeś? To, nad czym tyle lat pracowaliście oboje? - Mandy nie mogła ukryć gniewu i rozdrażnienia.

Cassidy powoli pokręcił głową.

- Claire bardzo cierpiała. Zdawała sobie sprawę, że będą na nią patrzeć jak na kogoś, kto mógł zniszczyć senatorską karierę. Nigdy nie zrozumiecie, przez jakie piekło musiała przejść. Ale przez nie przeszła. W pewnym sensie oboje przez nie przeszliśmy. Myśleliśmy, że mamy to za sobą. Do dzisiaj. - Spojrzał na tablicę rozdzielczą centrali

telefonicznej. Dwanaście linii, dwanaście nieustannie migających światełek. - Jakim cudem, Roger? Jak na to wpadli?

- Nie mam pojęcia - odrzekł Fry. - Ale z tego, co wiem, znaj ą mnóstwo szczegółów. Mają kopię meldunku o aresztowaniu, chociaż sam

meldunek został oficjalnie usunięty ze wszystkich rejestrów. Mają wyciąg z konta, potwierdzenie, że tamtego wieczoru Claire podjęła z bankomatu dużą sumę pieniędzy. Mają kopię billingu. Wiedzą, że dzwoniłeś do Kaminera, że Kaminer dzwonił do komendanta posterunku, że komendant rozmawiał z tajniakiem, który ją aresztował. Mają nawet kopie rachunków z kliniki rehabilitacyjnej w Silver Lakes. Cassidy wykrzywił twarz w posępnym uśmiechu.

- Jeden człowiek nie jest w stanie zebrać tylu informacji. Nie, to robota wielu ludzi, dobrze zorganizowana, zgrana w czasie. Dobrali się do najbardziej prywatnych, najbardziej osobistych akt. Przed tym chciałem wszystkich ostrzec. Przed społeczeństwem totalnego nadzoru...

- Społeczeństwo zrozumie to inaczej - ucięła oschle Mandy, odzyskując zawodowy spokój i opanowanie. - Pomyśl ą, że prowadziłeś kampanię na rzecz prywatności, żeby ukryć swoje ciemne sprawy. Wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek z nas.

Roger Fry zaczął nerwowo krążyć po gabinecie.

- Jest źle, Jim, bardzo źle. Nie będę tego ukrywał ani bagatelizował. Ale moim zdaniem możemy z tego wyjść. Po burzy zawsze świeci słońce. Mieszkańcy Massachusetts znaj ą cię, wiedzą, że jesteś dobrym człowiekiem, twoi koledzy też. Czas jest najlepszym lekarzem, nie tylko w życiu, ale i w polityce.

- Nie zamierzam tego sprawdzać, Róg - odrzekł Cassidy, spoglądając w okno.

- Wiem, że to kiepsko wygląda, że będą chcieli cię ukrzyżować. Ale ty jesteś silny, jeszcze im pokażesz...

- Nic nie rozumiesz, prawda? - spytał Cassidy surowo, lecz bez gniewu w głosie. - Nie chodzi o mnie. Chodzi o nią, o Claire. Jej imię występuje w pierwszym zdaniu wszystkich artykułów, jakie czytałem. Claire Cassidy, żona senatora Jamesa Cassidy'ego. Będzie tak całymi dniami, tygodniami, miesiącami, diabli wiedzą jak długo. Nie mogę jej na to narażać. Nie mogę kazać jej przez to przechodzić. Ona tego nie wytrzyma. Jest tylko jeden sposób, żeby przestano o tym mówić. Żeby przestano pisać o niej na pierwszych stronach gazet, w działach towarzyskich wszystkich brukowców, żeby przestano gadać o niej we wszystkich talk-show i dziennikach. - Pokręcił głową i dźwięcznym głosem spikera telewizyjnego dodał: - „Senator Cassidy staje przed komisją śledczą. Jim Cassidy walczy o senatorski fotel. Senator Cassidy zaprzecza zarzutom. Senator Cassidy pohańbiony - czy wykorzystując stanowisko, dopuścił się matactwa? Senator mężem ćpunka”. I tak dalej, i tak dalej, tygodniami i miesiącami. Ale to? „W świetle miażdżących zarzutów senator Cassidy rezygnuje z mandatu”. Będą o tym pisać dzień, może dwa, a potem zajmą się czymś innym. Bo czym są przyziemne sprawy prywatnych obywateli, Jima i Claire Cassidy, wobec niepokojących doniesień z Somalii? Pięć lat temu obiecałem żonie, że przetrwamy bez względu na wszystko. Pora spełnić obietnicę.

- Jim - zaczął ostrożnie Fry, z trudem panując nad głosem. - W tej sprawie jest zbyt wiele wątpliwości, żeby podejmować wiążące decyzje. Wstrzymaj się, dopóki nie nabierzemy pewności, czy...

- Pewności? - Senator roześmiał się z goryczą. - Nigdy dotąd nie miałem większej. - Spojrzał na swoją rzeczniczkę prasową. - Mandy, najwyższa pora, żebyś zapracowała na pensję. Siadaj. Napiszemy oświadczenie dla prasy.

## Rozdział 23

Bryson zamarł. Odebrało mu oddech. Był zaszokowany, sparaliżowany, zupełnie oteępiały. Czuł się tak, jakby poraził go grom z jasnego nieba, jakby silny prąd rozdarł mu świadomość i pozbawił zdolności logicznego myślenia. Głośno nabrał powietrza. Obłęd i szaleństwo, omal nie krzyknął ze zdumienia.

Ted Waller!

Genadij Rosowski!

Wielki manipulator, mistrz czarnej magii, który przemienił j ego życie w jedno wielkie oszustwo.

Nick zacisnął palce na rękojeści magnum. Broń ułożyła się w dłoni, stała się jej przedłużeniem, częścią ciała. Wymierzył w człowieka, który przed chwilą mu ją rzucił, zdając sobie sprawę, że jednym celnym strzałem może go zabić, że... niczego by tym nie załatwił!

Śmierć Wallera nie dałaby odpowiedzi na setki dręczących go pytań, nie zaspokoiłaby potrzeby zemsty na łgarzach, łotrach i krętaczach, którzy zamienili jego życie w jedno ohydne kłamstwo. Mimo to nie opuścił broni. Rozwścieczony, udręczony i miotany niepewnością wciąż mierzył w twarz swego starego mistrza. Miał do niego tyle pytań. Tyle pytań!

- Kim ty, do diabła, jesteś? - To przyszło mu do głowy jako pierwsze i wykrztusił je chrapliwym, spiętym głosem.

Trzasnął skrzydełkiem bezpiecznika i lekko pchnął do przodu spust, przełączając broń na ogień ciągły. Wystarczyło tylko zgiąć palec: w głowie Wallera utkwiloby dziesięć pocisków i ten przeklęty blagier, ten obleśny staruch runąłby ze schodów na betonową podłogę sześć metrów niżej. Tymczasem on, nie sięgając po broń, spojrzał na niego z tajemniczym uśmiechem na ustach.

- Zagrajmy w „prawdę i nieprawdę”. - Przez olbrzymią halę przetoczyło się echo jego głosu. - Jak dawniej.

- Takiego wała - odparł zimno Bryson, kipiąc furią. - Nazywasz się Genadij Rosowski.

- Prawda - potwierdził obojętnie Waller.

- Ukończyłeś Moskiewski Instytut Języków Obcych.

- Prawda. - Na jego ustach zagościł leciutki uśmiech. - *Prawilno. Otliczno.*

- Jesteś agentem GRU.

- Niezupełnie. Niepoprawny czas gramatyczny. Byłem.

- I łgałeś! - wrzasnął Bryson. - Cały czas łgałeś! Mydliłeś mi oczy! Pieprzyłeś bzdury o ratowaniu świata i cały czas pracowałeś dla nich!

- Nieprawda - odrzekł Waller głośno i wyraźnie.

- Dość tego, ty sukinsynu! Dość tych kłamstw!

- Otóż to: prawda.

- Idź do diabła. I co ty tu, do cholery, robisz?

- Może zabrzmiało to jak złota myśl generała Tsai, ale zaryzykuję: kiedy uczeń jest gotowy, pojawia się nauczyciel.

- Nie mam czasu na te buddyjskie bzdety! - ryknął Nick.

Dobiegł go tupot nóg i szcęk broni. Do magazynu wbiegło dwóch chińskich żołnierzy z bronią gotową do strzału. Bryson pociągnął za spust i w tej samej chwili usłyszał huk wystrzałów padających z góry, od strony Wallera. Żołnierze nie żyli. Nick rzucił się na podłogę, za martwego Ang Wu. Przewrócił go, zdjął mu z ramienia kałasznikowa, opuścił magnum i wycelował w światło drzwi. Myślał, że za pierwszymi dwoma do magazynu wpadną kolejni wartownicy, ale nie, nie nadbiegł żaden.

Nick wyszarpnął pistolet z bezwładnej ręki Ang Wu i schował go do kieszeni idiotycznej marynarki Hesketha-Haywooda. Teraz noże. Wraz z pochwami zatknął je sobie za pasek spodni. Pasek! Nagle przypomniał sobie o wanadowym ostrzu, lecz teraz miał do dyspozycji znacznie skuteczniejszą broń.

- Tędy! - krzyknął Waller, znikając w mrocznych zakątkach betonowej galerijki. -

Otoczyli magazyn.

- Ale dokąd? - odrzyknął Bryson.

- Zobaczysz. Niektórzy odrabiają pracę domową. Szybciej, Nick! Jaki miał wybór? Bez względu na to, kim naprawdę był Ted Waller, nie ulegało wątpliwości, że wiedział, co mówi: Chińczycy na pewno otoczyli magazyn i gdyby tylko Nick spróbował uciec drzwiami lub innym wyjściem na poziomie parteru, natychmiast wpadłby w ręce wroga wroga bezpośredniego, chwilowego.

Waller wbiegł na górę i zniknął w szerokiej klatce schodowej za długimi rzędami samochodów. Lawirując między dżipami, transporterami i ciężarówkami, Bryson dopadł schodów w chwili, gdy zasapany grubas wbiegał na nie, pokonując po kilka stopni naraz z szybkością i zwinnością, którą zawsze u niego podziwiał. Nick dopędził go kilka sekund później.

- Dach - wymamrotał Waller. - Jedyne wyjście.

- Dach?

- Innej drogi nie ma. Tamci zaraz zaatakują. - Brakowało mu tchu. - Schodami albo windą, ale winda jest straszliwie powolna.

Kiedy dotarli na trzecie piętro, z dołu dobiegły ich krzyki i tupot nóg.

- Cholera jasna - zaklął Waller. - Niepotrzebnie zjadłem tyle makaronu. Wał przodem.

Nick szybko pokonał kilka zakrętów i wreszcie stanął na najwyższym piętrze magazynu. Otaczał go nocny chłód i niekończące się rzędy czołgów i wojskowych ciężarówek. Co teraz? Co ten Waller knuje? Chce zeskoczyć z dachu na ziemię? Przeskoczyć na dach sąsiedniego budynku? Chryste, to co najmniej sześć metrów!

- Spał za sobą mosty - wydyszał Waller.

Zatarasować wyjście. Jasne, tylko jak? Czym? Drzwi? Drzwi nie było. Ani drzwi, ani...

Były za to pojazdy. Setki, może nawet tysiące pojazdów. Podbiegł do najbliższego i pociągnął za klamkę. Nic z tego, nie ustąpiła. Niech to szlag! Podbiegł do następnego, ale ten też był zamknięty. Czas! Brakowało im czasu!

Dopadł rzędu dżipów, wyjął zza pasa myśliwski nóż Ang Wu, przeciął brezentowy dach najbliższego wozu, wsunął do środka rękę i otworzył drzwi od wewnątrz. Kluczyk tkwił w stacyjce. To logiczne: w tym dobrze strzeżonym magazynie parkowały tysiące samochodów i dopasowywanie kluczyków do każdego z nich byłoby logistycznym koszmarem.

Waller rozmawiał przez telefon komórkowy. Nick wszedł, uruchomił silnik, dodał gazu, ruszył, rozpędził dżipa do średniej prędkości i lekko skręcił. Wóz grzmotnął z trzaskiem w betonowe odrzwia, wbił się w nie, a ponieważ był od nich nieco szerszy, zaczopował wejście niczym dobrze dopasowany klin. Przednie koła opadły niżej, na pierwszy, drugi, na trzeci stopień schodów, i dżip wreszcie znieruchomiał. Bryson z trudem otworzył drzwi i wysiadł, przeciskając się między zmiążdżonym bokiem wozu i betonową ścianą.

Wiedział, że ta przeszkoda nie powstrzyma Chińczyków, że tylko opóźni atak, gdyż kilku żołnierzy mogło z łatwością wypchnąć zakleszczony wóz. Dżip to za mało, stanowczo za mało! Przesunął wzrokiem po rzędach pojazdów i wreszcie dostrzegł to, czego tak rozpaczliwie szukał: dwudziestopięciolitrową beczkę z benzyną z grubej stalowej blachy. Przechylił ją ostrożnie, położył na podłodze i poturlał w kierunku dżipa. Zerwał plombę, przekręcił korek i z otworu pociekła benzyna, tworząc kałużę na betonowej posadzce. Podtoczył beczkę jeszcze bliżej i uniósł jej dno, żeby przyspieszyć wypływ paliwa. Lało się teraz strumieniami, na opony, pod koła dżipa, wkrótce dotarło do szczytu schodów i zaczęło spływać po stopniach. Smród benzyny dławił i odurzał. W chwili, gdy z beczki wyciekły ostatnie krople, dobiegł go tupot nóg biegnących na górę żołnierzy.

Zdążyć! Musiał zdążyć!

Zerwał z szyi krawat, zanurzył go w cuchnącej kałuży i wetknął do beczki. Benzyny już w niej nie było, były za to opary, a dokładniej, opary wymieszane z powietrzem. Nie miał pojęcia, w jakich proporcjach, lecz z wieloletniego doświadczenia wiedział, że na pewno w skutecznych. Wyjął z kieszeni mosiężną zapalniczkę Gilesa Hesketha-Haywooda i

podpalił prowizoryczny lont. Płomień ożył, fuknął, ryknął, a wówczas Nick dźwignął beczkę, cisnął ją ponad dżipem na schody, odskoczył do tyłu i puścił się pędem w przeciwnym kierunku.

Eksplozja była potężna, ogłuszająca. W klatce schodowej, którą pochłonęła wielka kula ognia, rozpełtało się żółte, ryczące piekło. Widząc, co się dzieje, Waller pognął za Brysonem. Kilka sekund później ogień dotarł do baku dżipa i nastąpił drugi, równie głośny wybuch. Wszędzie szalały oślepiająco jaskrawe płomienie: lśniły, migotały, przetaczały się wielkimi falami w stronę schodów, by po chwili przygasnąć w kłębach gęstego, czarnego dymu. Nick przystanął w połowie dachu, ociekający potem Waller tuż za nim.

- Dobra robota - rzucił, spoglądając w niebo.

Z klatki schodowej dochodziły rozdzierające krzyki chińskich żołnierzy, lecz wkrótce zagłuszył je inny odgłos, rytmiczny i dudniący: łopot wirnika. Z mroku wychynał opancerzony śmigłowiec w wojskowych barwach ochronnych: zawisł nad dachem magazynu, przesunął się nad wolne od pojazdów miejsce i zaczął powoli opadać.

Nick rozdziawił usta.

- Jasna cholera. Co to jest?

Śmigłowiec, AH-64 Apache, miał na ogonie amerykańskie oznakowania i amerykański numer identyfikacyjny.

Waller ruszył w jego stronę, odruchowo pochylając głowę. Bryson zawahał się i pobiegł za nim. Pilot miał na sobie amerykański mundur polowy. Chryste, jakim cudem? Skoro Dyrektoriat był agendą GRU, skąd tu amerykański śmigłowiec szturmowy?

Już dobiegał do maszyny, gdy wtem spostrzegł, że zatrwożony Waller spogląda ponad jego ramieniem. Coś krzyknął, wyciągnął rękę i odwróciwszy się, Nick dostrzegł chińskich żołnierzy wysypujących się z windy towarowej po drugiej stronie dachu. Dzielili ich odległość trzydziestu metrów. Ledwie trzydziestu metrów! Przytrzymał się drzwi i już miał wskoczyć do kabiny, gdy wtem poczuł potężne uderzenie w plecy i upiorny ból z prawej strony klatki piersiowej. Oberwał, postrzelili go. Ból był straszliwy, nie do wytrzymania. Nick krzyknął, ugięły się pod nim kolana, lecz w tej samej chwili Waller chwycił go za rękę i wciągnął do kabiny. Śmigłowiec momentalnie wystartował, zostawiając w dole stłoczonych żołnierzy, buchające płomienie i chmurę czarnego, tłustego dymu.

Bryson odniósł w walce wiele ran, lecz nigdy dotąd nie cierpiał tak bardzo jak teraz. Zamiast zelzeć, ból stale się wzmacniał; pocisk musiał naruszyć jakiś nerw. Poza tym krew - tracił dużo krwi. Jak zza ściany dobiegał go zniekształcony głos Wallera.

- ...amerykański śmigłowiec szturmowy zestrzelony w Chinach? Międzynarodowy incydent? Tsai nie jest głupi, nie zaryzykuje...

Głos to cichł, to przybierał na sile, jak w szwankującym radiu. Nick mocno drżał. Zalewała go to fala gorąca, to dotkliwego zimna.

- Trzymasz się, Nicky? - usłyszał. A potem:

- Tylko apteczkę, ale na lotnisku w Hongkongu jest szpital... Długi lot, nie chcę opóźnić...

- Wiesz, Nicky? Osiemnastowieczni lekarze mieli chyba trochę racji. Dobrze jest od czasu do czasu pokrwawić...

To tracił przytomność, to ją odzyskiwał. Przed jego oczami przesuwali się kalejdoskop zamazanych obrazów: jakieś lądowisko, nosze, długi korytarz nowoczesnego gmachu, ubrana na biało pielęgniarka, lekarz... Rozbierali go, zszywali ranę... Nagły ból, ostry i oślepiający, a potem gwałtownie zapadająca ciemność narkotycznego snu.

- Szczerze? Chcę tego faceta udupić. - Adam Parker kipiał wściekłością i nie zamierzał tego ukrywać przed Joelem Tannenbaumem, swoim wieloletnim adwokatem.

Jak mniej więcej co miesiąc, jedli lunch w Patroon, eleganckiej restauracji przy Wschodniej Czterdziestej Siódmej, w prywatnej sali o wyłożonej rzeźbioną boazerią ścianach. Mogli tu jeść krwiste steki, pić martini i palić hawańskie cygara. Parker chlubił się swój a kondycją fizyczną, ale ilekroć był na Manhattanie, ciągnęło go do miejsc takich jak to, przestronnych, luksusowych i pachnących dawnym establishmentem.

Tannenbaum wbił widelec w kotlet cielęcy z grilla. Był członkiem stanowej komisji orzecznictwa sądowego, szefem wydziału procesowego w kancelarii Swarthmore'a i Barthelme'a, jednak mimo licznych koneksji i wpływów w duchu pozostał ulicznikiem, zadziornym dzieciakiem, który dorastał w Bronksie i zawsze potrafił postawić na swoim.

- Facetów takich jak on nie udupisz. To oni udupiają innych, zjadają ich żywcem jak pasztecik. Przykro mi, Adam, nie będę cię okłamywał. Znasz ten kawał o myszy, która próbowała wykiwać słonia? Wierz mi, lepiej nie wchodź mu na grzbiet.

- Daj spokój - odrzekł Parker. - Co ty gadasz? Nieraz dawaliśmy ludziom do wiwatu. Proszę cię tylko, żebyś załatwił ten cholerny nakaz.

- Konkretnie jaki?

- Zabraniający im łączenia informacji z banku i danych InfoMedu z informacjami z innych źródeł. Musimy przestrzegać umów, a umowy wyraźnie tego zabraniają. Napisz, że dysponujemy dowodami opartymi na domniemaniu faktycznym, że tamci naruszają postanowienia umowne gwarantujące integralność banku danych, ble, ble, ble, ble, ble, ble.

- Adam, ty chyba zwariowałaś.

- Jasne i chcę tym draniom zaleźć za skórę. Nie zamierzam im niczego ułatwiać. Myślą, że połkną mnie jak ostrygę, ale ja stanę im ością w gardle. Do końca życia tego nie zapomnę.

- Myszko, słoń nawet cię nie zauważy. Ma armię prawników, załatwią to w dwie minuty...

- W sądzie nic nie trwa dwie minuty.

- No to w pięć.

- Zobaczymy. Tak czy inaczej, nie zamierzam odchodzić cicho i spokojnie.

- Jakie to poetyckie. Mam się wzruszyć? Parker roześmiał się smutno.

- Z twoim honorarium? Tak.

- Adam, znamy się od ilu? Od piętnastu lat? Byłeś moim drużbą...

- Wytrzymałście razem tylko osiem miesięcy. Powinienem zażądać zwrotu prezentu.

- Nie uwierzysz, ale niektórzy zażądali. - Tannenbaum wypił mały łyk martini.

- Zacząłeś coś mówić.

- Tak. Adam, jesteś dupkiem, kutasem, aroganckim, kurewsko zadziornym sukinsynem bez odrobiny pokory i poczucia własnych możliwości. Pewnie dlatego tak daleko zaszedłeś. Ale to? Pierwszy raz w życiu mierzysz za wysoko.

- Pieprz się.

- Jestem prawnikiem, od pieprzenia są klienci. - Tannenbaum wzruszył ramionami. - Chcę tylko powiedzieć, żebyś wybrał sobie przeciwnika tej samej kategorii wagowej.

- Tego cię nauczyli na Columbii?

- Optymista. Posłuchaj, nie jestem ci do tego potrzebny. Prosiłeś mnie o radę, więc ci jej udzielam. Niemal każda kancelaria prawnicza w tym kraju ma układy z Systematiksem albo z podległymi Systematikswi firmami. Jasne? Rozejrzyj się. Co widzisz? Przy każdym stoliku siedzą faceci. Co robią? Rachunek wydatków, z których część prędzej czy później trafi do naszego ulubionego klienta: do Systematiksusu.

- Zaszrani królowie informacji. Za kogo się uważają? Za Standard Oil?

- Lepiej odpuść sobie historyczne analogie. Standard Oil to przy nich maleńka cukierenka na jakimś zadupiu. Życie jest niesprawiedliwe, zawsze to powtarzałeś. Bo niby kto im podskoczy? Ci z Departamentu Sprawiedliwości? Systematix traktuje ich jak swoich pracowników. Ta firma zapuściła macki wszędzie, dosłownie wszędzie.

- Chrzanisz.

- Przysięgam na grób matki.

- Twoja matka żyje, mieszka we Flatbush.

- Wszystko jedno. Fakt pozostaje faktem: kupili twoją firmę, przyjąłeś pieniądze. A teraz zachowujesz się jak pies, co to sam nie zje, a drugiemu nie da. Posłuchaj tylko sam siebie...

- Nie, to ty mnie posłuchaj. Jeszcze pożałują, że zadarli z Adamem Parkerem. Nie chcesz załatwić nakazu, dobra. Znajdę kogoś, kto to zrobi. Tak, przyjąłem pieniądze, ale nie



miałem wyboru. Wzięli nas podstępem, i tyle.

- Adam, nie zaczynaj z nimi, dobrze ci radzę. Znasz mnie. Nie jestem strachliwy, ale to... To zupełnie inna gra, w której oni ustanawiają reguły.

Parker dopił martini i gestem ręki zamówił kolejne.

- Może jestem dupkiem i aroganckim sukinsynem, ale na pewno nie tchórzem. Powiem ci coś: te kutasy z Systematixu jeszcze mnie popamiętają.

- Pański apartament już czeka - powiedział *concierge* w St. Moritz; wiedział, że Parker lubi, jak go zauważają i pamiętają o jego upodobaniach.

I rzeczywiście, Adam Parker miał dość swoiste upodobania, a może raczej zachcianki, i w trakcie rzadkich wizyt na Manhattanie lubił je spełniać. Tego ranka zadzwonił do Madame Sevigny, która obiecała mu dwie *jeunesfilles*, najlepsze, jakie tylko ma. Madame nie ogłaszała się w żadnych gazetach; klientów - głównie bardzo zamożnych i wpływowych mężczyzn spoza Nowego Jorku - przyjmowała wyłącznie z polecenia, a ze swojej strony gwarantowała całkowitą dyskrecję. Jej dziewczęta wiedziały, że najmniejsze uchybienie pod tym względem może je kosztować bardzo drogo. Wiedziały również, że jeśli dostosują się do jej surowych reguł, za dwa, trzy lata będą w stanie odłożyć pokaźną sumkę. Madame zatrudniała ginekologa, u którego wszystkie *jeunesfilles* regularnie przechodziły badanie krwi oraz badanie stanu pochwy, dzięki czemu klienci nigdy nie narzekali na ich zdrowie i czystość. Wszystkie były na ścisłej diecie, wszystkie ćwiczyły niczym zawodowe gimnastyczki, a przed każdym spotkaniem z klientem Madame osobiście przeprowadzała końcową inspekcję. Zależnie od jej uznania, dziewczęta musiały wyskubać sobie brwi, oczyścić i nawilżyć skórę, wyszorować pumeksem stopy, przyciemnić rzęsy, wydepilować nogi, przyciąć paznokcie i wyperfumować każde, najintymniejsze nawet zagłębienie ciała. „Tak trudno o naturalne piękno” - wzdychała Madame.

Punktualnie o dziesiątej wieczorem recepcjonista poinformował go, że dziewczęta już przyszły. Parker, który wypoczywał we frotowym szlafroku, poczuł, że ogarnia go miłe ciepło. Ten przeklęty Systematix, ten koszmarne stres - Boże, jak bardzo tego potrzebował. Wobec Madame Sevigny był zawsze szczery i dokładny; pewien stary plutokrata od półprzewodników, który polecił mu jej usługi, wyjaśnił, że nie ma sensu owijać niczego w bawełnę. Jego żona, ta pulchna, ociążała i do cna zdrowa moralnie kobieta, przynigdy nie zrozumiałaby, dlaczego zażyczył sobie dzisiaj tego, czego zażyczył. Ale nie zdziwiłby się, gdyby zrozumiał go -choć po części - ten staruch od półprzewodników.

Kilka minut później ktoś zapukał do drzwi.

- Mam na imię Yvette - powiedziała cichutko posągowa brunetka.

- A ja Eva - powiedziała szczuplutka blondynka. Zamknęła za sobą drzwi. - Podobamy się? Parker uśmiechnął się szeroko.

- Bardzo - odparł - ale Madame Sevigny wspominała o Yvette i Ericie.

- Erica zachorowała - wyjaśniła Eva. - Żałuje, że nie mogła przyjść, i przysłała mnie w zastępstwie. Jesteśmy jak siostry. Myślę, że nie będzie pan rozczarowany.

- Na pewno nie - odrzekł podniecony Parker, zerkając ciekawie na szarą, płaską walizeczkę w ręku Yvette. - Napijcie się czegoś? Dziewczęta wymieniły spojrzenia i pokręciły głową.

- Zaczniemy, *allons-yl*

- Oczywiście.

Godzinę później Parker leżał przywiązany do mosiężnego łóżka jedwabnymi chustami, jęcząc z rozkoszy, podczas gdy dziewczęta biczowały go na zmianę i rozcierały jego zaczerwienione ciało. Były absolutnymi mistrzyniami: ilekroć zbliżał się do orgazmu, natychmiast przerywały pieszczoty i zaczynały masować mu pierś i ramiona palcami tak mięciutkimi, jednocześnie tak twardymi, że omdlewał z podniecenia. Yvette pieściła go teraz sutkami i wilgotnym krocem, tymczasem Eva przygotowywała wosk.

Roztopiony i podgrzany do odpowiedniej temperatury spłynął na jego ciało maleńkimi kroplami, z których każda wywoływała niebiański ból i przyjemność.

- Tak - dyszał Parker, mającąc z rozkoszy. - Tak. - Spływał potem. Wreszcie Yvette usiadła na nim okrakiem, wprowadzając go w siebie i otulając wilgotnym ciepłem. Jedwabne chusty zostały poluzowane, żeby mógł usiąść i żeby Eva mogła objąć go od tyłu. Masowała mu ramiona, kark...

- Pora na finał - szepnęła mu do ucha.

Prawie nie zauważył błysku ostrego jak brzytwa drutu, którym owinęła mu szyję.

- O Boże... - jęknął, zanim drut przeciął chrząstkę, powięź, żyły, tętnice, tchawicę i przelyk. Nie powiedział już nic więcej.

Skoncentrowana na swej własnej przyjemności Yvette kołysała się nad nim z zamkniętymi oczami, gdy wtem stwierdziła, że obrzmiała sztywność, jaką w sobie odczuwała, przestała być sztywnością. Otworzyła oczy. Klient leżał z mocno odchyloną głową, a dziewczyna, która przedstawiła się jej jako Eva, ścisnęła w rękę lśniącą, metalową pętlę. Co to? Jakaś nowa zabawka?

- Teraz twoja kolej - szepnęła Eva, owijając jej szyję drutem.

Dopiero wtedy Yvette zauważyła krwistoczerwony krawat na szyi klienta, lecz już kilka chwil później jej świadomość przestała rejestrować cokolwiek.

## Rozdział 24

Budził się powoli, z pulsującą bólem głową. Przykryty puszystym pledem pólleżał w wygodnym fotelu w kabinie małego, luksusowego odrzutowca. Za oknami panował nieprzenikniony mrok, a monotonny hałas i lekkie wibracje wskazywały, że maszyna jest w powietrzu. Oprócz niego w samolocie było tylko dwóch pasażerów: czterdziestokilkuletni blondyn o krótko przyciętych włosach w granatowym uniformie stewarda, który drzemał w półcieniu z tyłu kabiny, i Waller, który w małym kręgu jaskrawego światła lampki czytał oprawioną w skórę książkę.

- *Nu, wot eti wot, towarzyszc Rosowski* - wybełkotał Nick jak po silnym środku odurzającym. - *Dobryj wieczor. Czto wy czytajecie?* Waller podniósł wzrok i posłał mu lekki uśmiech.

- Nie słyszałem tego barbarzyńskiego języka od kilkadziesiąt lat. Pewnie wszystko zapomniałem. - Zamknął książkę. - Ale odpowiadając na twoje pytanie, po raz kolejny czytam *Braci Karamazow* Dostojewskiego, żeby po raz kolejny utwierdzić się w przekonaniu, że to mamy pisarz. Sensacyjna fabuła, ciężkie moralizatorstwo, proza żywcem wzięta z „Gazety Policyjnej”.

- Gdzie jesteśmy?

- Chyba już nad Francją.

- Wstrzyknęliście mi jakieś świństwo. Mam nadzieję, że się wam opłaciło.

- Och, Nicky... - westchnął Waller. - Wiem, że nie masz podstaw, żeby mi ufać, ale lekarze wstrzyknęli ci tylko środki przeciwbólowe. Na szczęście w Chek Łap Kok jest w miarę porządnym i niezłe wyposażonym szpital dla przyjezdnych. Paskudnie cię postrzelili, drugi raz w ciągu ostatnich kilku tygodni, choć ta pierwsza rana to tylko lekkie draśnięcie. Zawsze goiło się na tobie jak na psie, ale cóż, starość nie radość, chłopie. To gra dla młodych, jak amerykański futbol. Powiedziałem ci to samo pięć lat temu, kiedy się żegnaliśmy.

- Jak mnie znalazłeś?

Waller wzruszył ramionami i usiadł wygodniej.

- Mamy swoje źródła, elektroniczne i nie tylko. Dobrze o tym wiesz.
  - Amerykański śmigłowiec szturmowy w obcej strefie powietrznej? Dość bezczelne posunięcie.
  - Nieszczęśliwie. Chyba że uwierzyłeś w bajeczki Harry'ego Dun-ne'a o tym, że jesteśmy kimś na kształt słonia samotnika.
  - Twierdzisz, że to nieprawda?
  - Niczego nie twierdzę, Nick.
  - Przyznałeś, że jesteś rodowitym Rosjaninem. Genadij Rosowski, urodzony we Władywostoku. Agent GRU, „śpioch”, *pominiatczik*, wyszkolony przez najlepszych agentów Związku Radzieckiego, specjalistów od języka angielskiego, kultury i amerykańskiego stylu życia, tak? I geniusz szachowy. Sprawdził to dla mnie Jurij Tarnopolski. Dałeś się poznać już w młodości. Nazywano cię Czarnoksiężnikiem.
  - Pochlebiasz mi.
- Bryson spojrzął na swego starego mistrza. Ten założył ręce za głowę i leniwie rozprostował nogi. Tak, Wallerowi - pod tym nazwiskiem go znał, a przynajmniej tak mu się kiedyś zdawało - było dobrze i wygodnie.
- Zawsze wiedziałem - kontynuował - zawsze przeczuwałem, że istnieje prawdopodobieństwo, maleńkie, czysto teoretyczne prawdopodobieństwo, że moje akta mogą któregoś dnia wypłynąć z radzieckich sejfów i trafić do rąk chłopców z amerykańskiego wywiadu. Cóż, zakopane przed laty zwłoki też wypływają z grobu w czasie powodzi. Ale kto mógł to przewidzieć? Nikt. Nawet my tego nie przewidzieliśmy. Wszyscy nabijali się z CIA, że rozpad Związku Radzieckiego całkowicie ich zaskoczył. Nigdy ich nie broniłem, ale uważam, że to nie fair. Na miłość boską, przecież zaskoczyło to samego Gorbaczowa!
  - Czyżbyś próbował uniknąć odpowiedzi na zasadnicze pytanie, którego nie zdążyłem ci jeszcze zadać?
  - To czemu go nie zadasz?
  - Jesteś *pominiatczikiem* czy nie?
  - Pozwól, że sparafrazuję tego pajaca McCarthy'ego: „Teraz czy w ogóle?”. Teraz nie, kiedyś tak. Czy odpowiedziałem jednoznacznie?
  - Może i jednoznacznie, ale dość mętnie.
  - Zdezerterowałem. Przeszedłem do obozu wroga.
  - Na naszą stronę.
  - Oczywiście. Byłem nielegalniakiem, który chciał się tutaj legalnie zagnieździć.
  - Kiedy?
  - W pięćdziesiątym szóstym. Przyjechałem w czterdziestym dziewiątym, kiedy nikt nikogo dokładnie nie sprawdzał. W połowie lat pięćdziesiątych przejrzałem na oczy i zerwałem więzy z Moskwą. To, co słyszałem o poczynaniach towarzysza Stalina, wystarczyło, żeby zburzyć resztki młodzieńczych złudzeń co do promiennej przyszłości komunistycznego świata. Natomiast po kryzysie kubańskim dołączyłem do tych, którzy nareszcie zrozumieli, że CIA popełnia szaleństwo za szaleństwem, że jest beznadziejnie słaba i rządzona przez idiotów. To właśnie wtedy Jim Angleton i ja założyliśmy Dyrektoriat. Bryson w zamyśleniu pokręcił głową.
  - Dezerterując, śpioch z GRU naraziłby się na przykre konsekwencje. Moskwa byłaby bardzo zawiedziona, zagroziłaby odwetem, wysłałaby za tobą ludzi. Tymczasem ty twierdzisz, że przez kilkadziesiąt lat udało ci się zachować fałszywą tożsamość. Trudno w to uwierzyć.
  - To całkiem zrozumiałe. Ale czy myślisz, że wysłałem do Iwana list z rezygnacją? „Aha, tak przy okazji: nie przesyłajcie mi już pieniędzy, bo przechodzę na stronę wroga”? Nie, nie, odpowiednio się zabezpieczyłem. Mój prowadzący był zachłannym i trochę nieostrożnym sukinsynem. Lubił dostatnie życie i żeby zdobyć na nie środki, zbyt często podbierał szmal ze służbowych funduszków.
  - Innymi słowy, defraudował.

- Otóż to. W tamtych czasach groził za to gułag albo kula w łeb na więziennym podwórzu Łubianki. Udając, że wiem znacznie więcej, niż wiedziałem, zmusiłem go do skreślenia mnie z listy agentów. Ja znikam, on spokojnie żyje dalej i wszyscy są zadowoleni.

- W takim razie opowieści Harry'ego Dunne'a nie są wyssane z palca.

- Nie, nie w stu procentach. Dunne stworzył kłamstwo doskonałe, zmyślny pastisz złożony z prawd, półprawd i jawnych łgarstw.

- Na przykład jakich?

- Co ci powiedział?

Nickowi mocniej zabiło serce. Krążąca we krwi adrenalina powoli neutralizowała działanie środków odurzających, którymi go naszpikowano.

- Że Dyrektoriat powstał na początku lat sześćdziesiątych, że założyła go grupka fanatyków z GRU, genialnych strategów, tak zwanych Szachmatistów, którzy wzorowali się na Truście, klasycznej operacji szpiegowskiej z lat dwudziestych. Że jest to najbardziej cyniczny przekręt dwudziestego wieku, że zasięgiem i rozmachem bije Trust na głowę, że jego celem jest spenetrowanie przeciwnika na jego własnym terenie. Że na jego czele stoi wąski krąg dyrektorów, tak zwane Konsorcjum, że tym spoza kręgu wmówiono, iż pracują w supertajnej amerykańskiej agencji wywiadowczej. Żeby nie doszło do wpadki, żeby żaden z nich nie zdradził innemu, nad czym aktualnie pracuje, podzieliliście Dyrektoriat na dziesiątki niezależnie działających wydziałów i komórek... Waller uśmiechnął się i zamknął oczy.

- Że gdyby nie rozpad Związku Radzieckiego - kontynuował Nick - nigdy byśmy się o rym nie dowiedzieli. Dzięki ogólnemu zamieszananiu i dezorganizacji kupiono od Rosjan kilka dokumentów zawierających nazwiska informatorów oraz kryptonimy operacji, których nie mogło przeprowadzić ani KGB, ani GRU. Pokojarzono i poskładano fakty, resztę potwierdzili rosyjscy azyłanci, agenci średniego szczebla.

Waller uśmiechnął się jeszcze szerzej. Otworzył oczy.

- Prawie mnie przekonałeś, Nick. Niestety, Harry Dunne minął się z powołaniem. Powinien pisać powieści sensacyjne, ma niesamowitą wyobraźnię. To fantazja, ale jakże sugestywna fantazja.

- Tak? W którym miejscu? Waller niecierpliwie westchnął.

- Od czego by tu zacząć...

- Może tak od prawdy? - wybuchł Bryson, nie mogąc dłużej znieść tych wykrętów i matactw. - Jeśli w ogóle ją jeszcze pamiętasz! Na przykład od moich rodziców!

- Dlaczego od twoich rodziców?

- Rozmawiałem z Felicją Munroe, Ted! Przekłęci fanatycy! Zamordowaliście ich! Żeby im trafił pod opiekę Pete'a Munroe, a potem do Dyrektoriatu!

- I po to mielibyśmy mordować ci ojca i matkę? Daj spokój.

- Zaprzeczasz, że Pete Munroe był rodowitym Rosjaninem, tak samo jak ty? Dunne opowiedział mi o tym „wypadku”, a Felicja niemal to potwierdziła.

- Konkretnie co ci powiedziała?

- Że zamordował ich „wujek” Pete, że miał potem wyrzuty sumienia.

- Nick, Felicja to biedna, dziecienniała staruszka. Skąd wiesz, co miała na myśli?

- O nie, nie pójdzie ci tak łatwo. Pete mówił przez sen po rosyjsku i tak naprawdę nazywał się Piotr Aksjonow. Dunne to sprawdził.

- Owszem, to prawda.

- Chryste!

- Tak, Pete urodził się w Rosji. Sam go zwerbowałem. Był fanatycznym antykomunistą. Jego rodzina zniknęła w czystkach lat trzydziestych. Ale na litość boską, Pete nie zabił twoich rodziców!

- W takim razie kto?

- Jezu Chryste, nikt ich nie zabił! Posłuchaj. - Waller spojrzał na krąg światła omywającego stolik. - Są rzeczy, o których ze względu na tajemnicę służbową nigdy ci nie mówiłem. Rzeczy, o których dla swego własnego dobra nie powinieneś być wiedzieć, choć

jestem pewien, że wielu z nich po prostu się domyśliłeś. Dyrektoriat był i jest ponadnarodową organizacją założoną przez małe grono najświatlejszych agentów wywiadu amerykańskiego i brytyjskiego oraz przez kilku wysokich funkcjonariuszy wywiadu rosyjskiego, którzy zbiegli na Zachód i których wiarygodność nie podlega dyskusji. Do tej ostatniej grupy należy niejaki Ted Waller, twój uniżony sługa.

- Kiedy?

- Kiedy go założyliśmy? W sześćdziesiątym drugim, zaraz po klęsce w Zatoce Świń. Poprzysięgliśmy sobie, że już nigdy więcej nie damy się tak pohańbić. Nieskromnie powiem, że głównym inicjatorem przedsięwzięcia byłem ja, lecz wkrótce dołączył do mnie James Jesus Angleton z CIA, mój serdeczny przyjaciel i najzagorzalszy poplecznik. Tak samo jak ja James uważał, że CIA rządzą amatorzy i dyletanci, tak zwana stara gwardia, banda uprzywilejowanych absolwentów najlepszych amerykańskich uniwersytetów, ludzie, którzy być może są patriotami, lecz przede wszystkim śmiechu godnymi arogantami, całkowicie przekonani o słuszności swoich bezsensownych poczynań. Klika z Wall Street, stadko płochliwych mięczaków, którzy oddali Wschodnią Europę Stalinowi tylko dlatego, że zawiodły ich nerwy. Prawnicza elita, której zabrakło jaj, żeby załatwić sprawy tak, jak powinno się je załatwiać. Ludzie, którzy nie rozumieli Moskwy tak dobrze jak ja. Pamiętasz, jak zaraz po Zatoce Świń na Zachód uciekł Anatolij Goli-cyn, oficer KGB? Podczas serii rozmów z Angletonem uświadomił mi, że CIA jest do cna spenetrowana, skorumpowana i naszpikowana rosyjskimi agentami, nie wspominając już o agencjach brytyjskich, gdzie królował słynny Kim Philby i jemu podobni. Angleton uznał, że czara się przelała. Nie tylko wyposażył Dyrektoriat w tajny fundusz założycielski i uruchomił tajne kanały finansowe, ale i zatwierdził jego rozczłonkowaną strukturę organizacyjną. Pomógł mi opracować zdecentralizowaną strategię działania, ustalić podział na niezależne wydziały i komórki, stworzyć niezawodny system zabezpieczeń. Zawsze podkreślał, że o naszym istnieniu mogą wiedzieć jedynie głowy państw, którym służymy, nikt poza tym. Tylko dzięki temu zdołaliśmy uniknąć spenetrowania od wewnątrz i od zewnątrz, dezinformacji i polityki, której niewolnikami stały się agencje wywiadowcze po obu stronach żelaznej kurtyny.

- Mam uwierzyć, że Harry Dunne był aż tak źle poinformowany? Że dał się aż tak zwieść?

- Ależ skąd, wprost przeciwnie. Harry miał swoją misję. Stworzył legendę. *Argumentum ad logicam*, błyskotliwą, bardzo wiarygodną karykaturę, poprzetykaną okruszkami prawdy. Zmyślony ogród z prawdziwymi ropuchami.

- Po co?

- Żeby cię na nas nasłać, żebyś spróbował nas zniszczyć.

- Ale po co?

Rozdrażniony Waller ciężko westchnął, lecz zanim zdążył otworzyć usta, Bryson spytał:

- Będziesz tu siedział i uparcie zaprzeczał, że twoi ludzie chcieli mnie zabić? I że to ty wydałeś im rozkaz? Waller ze smutkiem pokręcił głową.

- Mógłbym oszukać innych, ale nie ciebie, Nicky. Jesteś na to za inteligentny.

- Na parkingu w Waszyngtonie, kiedy poszedłem na K Street sprawdzić, czy jeszcze tam jesteście. Ty za tym stałeś.

- Tak, wynajęliśmy kogoś. W dzisiejszych czasach trudno o dobrego specjalistę, dlatego nie zdziwiłem się, że bez wysiłku dałeś mu radę.

Myślał, że go tym kupi, ale nie, nic z tego. Nick spojrział na niego wściekle i syknął:

- Kazałeś mnie zabić, bo bałeś się, że wyjawię światu prawdę!

- Nie, niezupełnie. Zaniepokoiło nas twoje zachowanie. Wszystko wskazywało na to, że przeszedłeś na drugą stronę, że zwąchałeś się z CIA i zwróciłeś się przeciwko dawnym chlebodawcom. Któż zgłębi tajemnice ludzkiego serca? Byłeś rozgoryczony wcześniejszym przejściem na emeryturę? Dunne cię przekabacił? Nie mieliśmy pojęcia i musieliśmy się zabezpieczyć. Nawet uwzględniając skomplikowany podział Dyrektoriatu na niezależnie działające komórki, wiedziałeś bardzo dużo. O wiele za dużo. Tak, to ja wydałem ten rozkaz.

- Chryste!

- Mimo to cały czas byłem sceptyczny. Znam cię lepiej niż ktokolwiek inny i nie wierzyłem w te wszystkie donosy i analizy. Chciałem je przynajmniej zweryfikować, dlatego wysłałem za tobą jedną z naszych najlepszych agentek. Miała cię śledzić i ubezpieczać na okręcie Calacanis, sprawdzić, jak to z tobą naprawdę jest. Osobiście ją wybrałem.

- Layla.

Waller skinął głową.

- Przydzieliłeś mi pijawkę?

- Otóż to.

- Gówno prawda! - krzyknął Bryson. - W Brukseli próbowała mnie zabić! Zełga czy nie? Nick uważnie go obserwował, lecz Waller miał nieprzeniknioną twarz.

- Nie zaprzeczam - odparł. - Działała na własną rękę, wbrew moim rozkazom, ale musisz uwzględnić chronologię zdarzeń.

- To żalosne, Ted. W tej historyjce jest pełno dziur, a ty miotasz się jak szczur, żeby je załatać.

- Nick, proszę, najpierw mnie wysłuchaj. Uratowałem ci życie, należy mi się przynajmniej tyle. Layla miała cię obserwować, to należało do jej obowiązków. Obserwować z założeniem, że jesteś niewinny, i szukać dowodów ewentualnej zdrady. Dlatego kiedy stwierdziła, że Calacanis coś szykuje, natychmiast cię ostrzegła.

- A w Brukseli?

- Działała odruchowo, czego bardzo później żałowała. Miała cię chronić. Ciebie, Dyrektoriat i naszą misję. Kiedy się dowiedziała, że idziesz na spotkanie z Richardem Lanchesterem, że chcesz nas wydać, próbowała ci to wyperswadować, a kiedy odmówiłeś, po prostu wpadła w panikę i wzięła sprawy w swoje ręce. Doszła do wniosku, że nie zdąży się ze mną skontaktować, że nie ma na to czasu, i zaatakowała. Zła decyzja, całkowicie błędna i nieszczęśliwa. Cóż, nikt nie jest doskonały. Jak już wspominałem, Layla należy do najlepszych agentek, jakie udało nam się zwerbować z Tel Awiwu, i jest przy tym bardzo piękna. To rzadka kombinacja. Trudno dostrzec w niej wady. Tak przy okazji, miewa się świetnie. Dziękuję, że zapytałeś.

- Uściślijmy coś - odparł Nick, nie zwracając uwagi na sarkazm w jego głosie. - Twierdzisz, że nie kazałeś jej mnie zlikwidować?

- Jak już mówiłem, miała cię tylko obserwować, osłaniać i składać mi meldunki. Tyle. Ale już w Santiago de Compostela stało się oczywiste, że poluje na ciebie ktoś inny. Calacanis nie żył, jego ludzie wylecieli w powietrze; zważywszy szybkość i gwałtowność tych wydarzeń, było mało prawdopodobne, żeby to oni na ciebie czyhali. Doszedłem do wniosku, że ktoś próbuje się tobą posłużyć, zrobić z ciebie narzędzie, nie wiedziałem tylko kto.

- Ted, ja tych ludzi widziałem, niektórych rozpoznałem! Choćby tego blondyna z Chartumu. Czy tych dwóch z Cividale, braci Sangiovannich, którzy pracowali dla mnie podczas operacji „Yector”. To byli agenci Dyrektoriatu!

- Nie, Nick. Zamachowcy z Santiago de Compostela byli wolnymi strzelcami, którzy sprzedają się tym, kto najwięcej zapłaci, niekoniecznie nam. Wynajęto ich tylko dlatego, że znali twoją twarz. Najpewniej wmówiono im, że zdradziłeś, że w każdej chwili możesz zdradzić ich. Instynkt przetrwania to najsilniejsza pobudka.

- Wyznaczono dwa miliony dolarów za moją głowę.

- Owszem. Ganiałeś po całym świecie, wykorzystując legendy i stare przykrywki z Dyrektoriatu. Mógłbym cię skasować w kilka chwil. Myślisz, że w naszej bazie danych nie ma nazwiska John T. Coleridge?

- W takim razie kto ich wynajął?

- Jest wiele możliwości. Zacząłeś się rozglądać, rozpytywać. U dawnego agenta KGB sprawdzałeś moją tożsamość. Twoim zdaniem ci parszywi najemnicy milczą jak grób? Nie sprzedają informacji?

- Nie powiesz chyba, że to CIA. Harry Dunne nie jest idiotą. Nie wysyłałby nikogo na

brudną robotę, każąc go jednocześnie zabić.

- Zgoda. Ale załóżmy, że jego ludzie byli na „Hiszpańskiej Armadzie”, że nadzorowali sytuację. Kiedy okręt wyleciał w powietrze, mogli dojść do wniosku, że działasz przeciwko nim. Podjęto decyzję i...

- Niby kto mógł ją podjąć? Tej operacji oficjalnie nie było, Dunne nie wprowadził do komputerów żadnych danych. Zarejestrowano tylko moje nazwisko, „Jonas Barret”.

- Może znaleźli jakieś rachunki, zestawienia kosztów...

- Wszystkie zostały utajnione i zaszyfrowane.

- Dobrze wiesz, że CIA jest jak dziurawy przetak. Jest i zawsze była. Dlatego istniejemy.

- Richard Lanchester zgodził się ze mną spotkać, gdy tylko podałem twoje prawdziwe nazwisko. Wiedział o Dyrektoriacie: wiedział dokładnie to samo co Harry Dunne. Chcesz powiedzieć, że też kłamał?

- Lanchester jest człowiekiem błyskotliwym, lecz próżnym, a ludzi próżnych łatwo oszukać. Dunne mógł go podejść, jak podszedł ciebie.

- Chciał, żebym zbadał tę sprawę dogłębniej.

- Naturalnie. Na jego miejscu postąpiłbyś tak samo. Pewnie bardzo się bał.

Od natłoku myśli Bryson dostał zawrotu głowy. Tyle niewiadomych. Tyle niejasności i wątpliwości.

- Prospero, Jan Yansina, wypytywał mnie, czy Elena o czymś wiedziała. O co mu chodziło?

- Myślę, że kiedy się zastanawialiśmy, czy nie przeszedłeś na stronę przeciwnika, podejrzenia padły również na nią. Przypuszczam, że Yansina chciał sprawdzić, czy Elena nie jest przypadkiem twoją współniczką. Konsekwentnie utrzymywałem, że oskarżono cię fałszywie, no i miałem rację.

- A te wszystkie operacje, które opracowałeś i nadzorowałeś? Sri Lanka, Peru, Libia, Irak. Dunne twierdził, że ich celem było szkodenie interesom amerykańskim za granicą. Były tak dobrze zakamuflowane, że nawet agenci, którzy brali w nich bezpośredni udział, nie zdawali sobie sprawy, kto tak naprawdę nimi kieruje i po co.

- Bzdura.

- A Tunezja? Chcesz powiedzieć, że Abu nie był wtyka CIA, jednym z jej najcenniejszych nabytków?

- Nicky, nie jestem wszechwiedzący.

- Wygląda na to, że cała ta skomplikowana operacja, ten pozorowany zamach stanu, miała na celu zdemaskowanie i usunięcie najważniejszego agenta CIA w Tunezji, zlikwidowanie bezpośredniego dostępu do sieci islamskich terrorystów w tym regionie Morza Śródziemnego. Celowo pokrzyżowaliście im plany!

- Absurd.

- A Komory osiemdziesiąt dwa? Wysłałeś nas, żebyśmy skasowali najemników przygotowujących się do zamachu stanu, tymczasem Dunne twierdzi, że byli to agenci CIA, którzy próbowali uwolnić brytyjskich i amerykańskich zakładników. Który z was mówi prawdę?

- Zajrzyj do akt. Zakładników uwolniono później, po naszej operacji. Sprawdź w aktach, jeśli tylko zdołasz je znaleźć. I zerknij na kolejność wydarzeń. To nie byli agenci CIA. To byli ludzie wynajęci przez tamtejszych nacjonalistów. Odrób pracę domową, chłopcze.

- Cholera jasna, przecież ja tam byłem! I tam, i na pokładzie „Hiszpańskiej Armady”, z planami najnowszej amerykańskiej rakiety przeciwpancernej w charakterze przynęty. Calacanis natychmiast znalazł kupca: był nim twój człowiek! Yance Gifford, czy jak się tam naprawdę nazywa. Sam Calacanis potwierdził, że ci z Waszyngtonu coraz więcej od niego kupują.

- Już nie stacjonujemy w Waszyngtonie, przecież wiesz. Musieliśmy się przenieść, zostaliśmy zinfiltrowani.

- W takim razie dlaczego Gifford tak bardzo chciał kupić te plany? Do swojej prywatnej kolekcji?

- Nicky...

- I dlaczego przyleciał na „Armadę” w towarzystwie Jeana-Marca Bertranda, człowieka Jacques'a Arnaulda? Nadal twierdzisz, że nie kupowaliście broni?

- Nick, Gifford wypełniał swoje zadanie.

- Konkretnie jakie? Calacanis mówił, że facet szastał pieniędzmi na lewo i prawo.

- W tym świecie, o czym wiesz lepiej niż ktokolwiek inny, nie ogląda się towaru bez kupowania. Tych, którzy to robią, nie dopuszcza się do ludy.

- Aha, rozumiem. W tym samym celu Prospero, Jan Yansina, wyprał pięć miliardów dolarów w Genewie, tak?

- Kto ci to powiedział? Dunne?

Nick milczał i z walącym sercem patrzył na swego starego mistrza. Zaczęło boleć go w boku; środki znieczulające powoli przestawały działać.

- Powiedział ci to gdzieś na uboczu, prawda? Nie w biurze. W biurze nie chciał rozmawiać, bo bał się podsłuchu, tak? Bryson bez słowa zacisnął zęby. Waller uśmiechnął się kpiąco.

- Zastępca dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej nie ma prawa sprawdzić, czy w jego własnym gabinecie nie zainstalowano urządzeń podsłuchowych?

- Niektóre pluskwy są pokryte specjalnym plastikiem. Bez zrywania tynków ich się nie wykryje.

- On grał, Nick - prychnął Waller. - Odegrał przed tobą piękne przedstawienie. Musi być świetnym aktorem, bo przekonał cię, że sprzysięgły się przeciwko niemu czarne moce, wszystkie siły zła, czyli cała CIA, w której, nawiasem mówiąc, jest człowiekiem numer dwa. - Waller pokręcił głową. - O naiwności...

- Pokazałem mu legitymację jednego z agentów, który próbował mnie zabić pod Chantilly.

- Niech no zgodnę: kazał ją sprawdzić i okazało się, że jest fałszywa.

- Nieprawda.

- Może nie zdołał dotrzeć do jego danych personalnych. Stwierdził, że facet był agentem od brudnej roboty, i w tym miejscu ślad się urwał.

- To całkiem prawdopodobne, tacy ludzie oficjalnie nie istnieją. Dunne otwarcie przyznał, że Dyrektoriat wodzi ich za nos, że CIA ich nie rozgryzie.

- Aaaa... I jeszcze bardziej mu zaufałeś, prawda? Jemu osobiście, tak?

- Chcesz powiedzieć, że wysłał mnie z misją przeciwko wam i jednocześnie kazał mnie zabić? To czysty obłąd!

- Kierowanie skomplikowaną operacją wywiadowczą polega na ciągłych zmianach założeń. Chcesz znać moje zdanie? Kiedy stwierdził, że przeżyłeś, zdał sobie sprawę, że można cię przeprogramować, skierować na inny trop. No, ale pora zapiąć pasy i ustawić oparcie fotela w pozycji pionowej, jak powiadają stewardesy. Zaraz będziemy na miejscu... Zdawało się, że Waller mówi z wielkiej odległości, i Nick nie zrozumiał, o co mu chodzi. Wszystko zaczęło się powoli rozmywać, oddalać, wreszcie zniknęło, a gdy ponownie otworzył oczy, stwierdził, że jest w jakimś białym pomieszczeniu. Leżał na łóżku, mocno otulony grubym prześcieradłem, a pod sufitem płonęło oślepiające światło. Zaschło mu w gardle, usta miał suche i spierzchnięte.

Na tle lejącego się z góry światła zobaczył dwie ciemne sylwetki. Waller? Waller i ktoś jeszcze. Ktoś znacznie drobniejszy, szczuplejszy i niższy, pewnie pielęgniarka.

- Już się budzi. - Tak, to Waller; poznał go po tym soczystym barytonie. - Się masz, Nicky? Bryson odchrząknął i spróbował przełknąć ślinę.

- Pewnie chce mu się pić. - Głos jakiejś kobiety, cichy i jakby znajomy. - Dać mu wody? Niemożliwe. Nick szybko zamrugał, zmrużył oczy, spróbował skupić wzrok. Twarz Wallera i twarz...

Serce waliło mu jak po długim biegu. Pewien, że to tylko złudzenie, jeszcze mocniej zmrużył oczy. Nie. Chryste, przecież to...

- Elena? - spytał. - To ty?



# Część 4

## Rozdział 25

Nicholas - powiedziała, podchodząc bliżej. Nareszcie zdołał skupić wzrok. Tak, to była Elena, wciąż oszałamiająco piękna, choć nieco odmieniona: miała szczuplejszą, bardziej pociągłą twarz, dzięki czemu powiększyły jej się oczy. Ostrożna, może nawet przestraszona, mówiła trzeźwo i rzeczowo.

- Tyle lat... Zestarzałeś się. Bryson kiwnął głową.

- Dzięki - wychrypiał.

Ktoś podał mu plastikowy kubek z wodą: pielęgniarka. Wypił i poprosił o jeszcze. Pielęgniarka ponownie napełniła kubek, a on łapczywie wypił wszystko do dna.

Elena przysiadła na brzegu łóżka.

- Musimy porozmawiać - powiedziała z nagłym zdecydowaniem w głosie.

- Tak - odrzekł. Palilo go w gardle, z trudem mówił. - Jest... Jest tyle spraw, nie wiem, od czego zacząć.

- Mamy bardzo mało czasu. - Ten głos. Był taki oschły, taki surowy. Nie ma czasu. Nie ma czasu? Jak to? Od pięciu lat nie miał nic oprócz czasu, czasu na myślenie i zadreczanie się.

- Musisz powiedzieć nam wszystko, czego się dowiedziałeś. Prometeusz. Jak się do nich dostać? Jak złamać kody, szyfry?

Zdumiony wytrzeszczył oczy. Czy na pewno dobrze usłyszał? Pytała go o kody, szyfry i o jakiegoś Prometeusza... Pojawiła się w jego życiu po pięciu latach nieobecności i chciała rozmawiać o kryptografii?

- Gdzie byłeś? - wykrztusił. - Dlaczego ode mnie uciekłeś?

- Nicholas - odparła niecierpliwie - powiedziałaś Tedowi, że masz chip z telefonu Jacques'a Arnalda. Gdzie on jest?

- Powiedziałem Tedowi, że... Kiedy?

- W samolocie - odrzekł Waller. - Nie pamiętasz? Mówiłeś, że masz dyskietkę, chip czy coś w tym rodzaju. Ukradłeś go albo skopiowałeś w gabinecie Arnalda; dokładnie nie wiem, bo tego nie powiedziałaś. I nie, nie wstrzyknęliśmy ci żadnego świństwa na prawdomówność, choć przyznaję, że chwilami majaczyłeś.

- Gdzie ja jestem?

- We Dordogne we Francji. W gmachu Dyrektoriatu. Igła, która sterczy ci z ramienia, to kroplówka. Nawodnienie, antybiotyki i tak dalej.

- W gmachu Dyrektoriatu...

- W naszej kwaterze głównej. Musieliśmy się przenieść, żeby utrzymać zdolność operacyjną. W Waszyngtonie byliśmy spaleni. Przeprowadziliśmy się do Francji, żeby móc dalej działać.

- Czego ode mnie chcecie?

- Tego, co masz, i to natychmiast - odrzekła Elena. - Jeśli nie pomyliliśmy się w obliczeniach, zostało nam tylko kilka dni, może nawet kilka godzin. Potem...

- Co potem?

- Potem do akcji wkroczy Prometeusz i będzie za późno - odparł Waller.

- Prometeusz? Kto to jest?

- Nie kto, a co. Sęk w tym, że nie wiemy, a twój chip może nam pomóc.

- Chcę wiedzieć, co się stało! - ryknął Bryson. Gwałtownie zamilkł i boleśnie wykrzywił twarz. Omal nie pękło mu gardło. - Z tobą, Eleno! Dokąd uciekłeś? Dlaczego odeszłaś!

Po jej zaciśniętych zębach poznał, że się uparła, że nie chce zmieniać tematu.

- Nick, o sprawach osobistych porozmawiamy innym razem. Mamy bardzo mało czasu...

- Kim dla ciebie byłem? Nasze małżeństwo, nasze wspólne życie... Co to dla ciebie znaczyło? Jeśli to już zamierzchnia przeszłość, jesteś mi winna przynajmniej jedno wyjaśnienie: co się stało? Dlaczego musiałaś odejść?

- Nie, Nick...

- Bukareszt! Wiem, że to miało coś wspólnego z Bukaresztem! Zadrżała jej dolna warga, do oczu napłynęły łzy.

- Prawda? - spytał łagodniej. - Jeśli się czegoś domyślałaś, wiedz, że zrobiłem to dla ciebie.

- Nick - powtórzyła z rozpaczą w głosie. - Proszę cię. Próbuję wziąć się w garść, a ty mi tego nie ułatwiasz.

- Jak myślisz, co się stało w Bukareszcie? Co ci wmówili? Jakich kłamstw...

- Kłamstw? - wybuchła. - Jak śmiesz! To ty mnie okłamałeś! Patrzyłeś mi prosto w oczy i kłamałeś!

- Przepraszam - mruknął Waller. - Chyba zostawię was samych. - Wyszli, on i pielęgniarz. Nicka bolała głowa. W gardle paliło go tak mocno, jakby miał tam krwawiącą ranę, mimo to nie przestał mówić. Chciał z nią porozmawiać. Musiał z nią porozmawiać. Musiał poznać prawdę.

- Tak, okłamałem cię. To był największy błąd, jaki kiedykolwiek popełniłem. Spytałaś mnie o ten weekend w Barcelonie i skłamałem. Wiedziałaś, że kłamię, prawda? Wiedziałaś.

Kiwnęła głową. Po jej policzku spłynęła łza.

- Skoro tak, musiałaś też wiedzieć, dlaczego skłamałem! Musiałaś wiedzieć, że pojechałem do Bukaresztu, ponieważ cię kochałem.

- Nie wiedziałam! - krzyknęła, podnosząc wzrok.

Pragnął jej. Boże, jak bardzo jej pragnął. Pragnął intymności, która ich kiedyś łączyła, pragnął objąć ją i przytulić, jednocześnie miał ochotę chwycić ją za kołnierz i mocno potrząsnąć, żeby wreszcie poznać prawdę.

- Ale teraz już chyba wiesz!

- Sama nie wiem, co wiem! Zrozum, bałam się o siebie, o rodziców, czułam się urażona i tak straszliwie zdradzona, że musiałam odejść. Wiem, że potrafisz każdego odnaleźć, dlatego musiałam zniknąć bez śladu.

- Waller wiedział, gdzie jesteś? Cały czas?

Spojrzała na sufit. Poszedł za jej wzrokiem i dostrzegł maleńką czerwoną kropkę: obiektyw ukrytej kamery; nie ulegało wątpliwości, że są pod stałą obserwacją, ostatecznie byli w kwaterze głównej Dyrektoriatu. Tylko co to oznaczało? Że Waller podgląda ich i podsłuchuje? Nawet jeśli tak, to co z tego?

Elena zwieriała i rozwierała pięści.

- To była kilka dni po twoim wyjeździe do... Barcelony. Podczas „żniw” - tak nazywamy przetwarzanie danych z terenu - natrafiłam na informację, że jeden z naszych agentów zjawił się w Bukareszcie, tymczasem my nikogo tam nie wysyłaliśmy.

- Chryste...

- Zrobiłam swoje. Przeanalizowałam dane i okazało się, że to ty. Byłam... Byłam zdruzgotana, bo wiedziałam, że miałaś lecieć do Barcelony. Wiedziałam też, że to nie przykrywka: rzadko kiedy wyjeżdżałaś na weekend, a jeśli już, nigdy tego przede mną nie ukrywałaś. Znasz mnie, wiesz, że zawsze reaguję bardzo emocjonalnie. Poszłam do Teda, wszystko mu powiedziałam i zażądałam szczerzej odpowiedzi. Od razu spostrzegł, że ma przed sobą zrozpaczoną żonę, zazdrosną żonę, mimo to nie próbował cię kryć. Ulżyło mi i jednocześnie nie ulżyło. Gdyby próbował cię osłaniać, wpadłabym w złość, w straszliwą złość, ale ponieważ rozmawiał ze mną szczerze, ponieważ nie próbował mnie okłamywać, zrozumiałam, że ta wiadomość całkowicie go zaskoczyła, co jeszcze bardziej mnie zaniepokoiło. Nawet on, nawet Ted Waller nie wiedział, że jesteś w Bukareszcie.

Kręcąc głową, Nick zasłonił sobie oczy. Boże, cały czas go obserwowano! A był taki ostrożny, tyle razy sprawdzał, czy nikt go nie śledzi. Jak to możliwe? I co to wszystko znaczy?

- Sprawdzał mnie? Czy kazał sprawdzić tobie?

- Kazał mi to zbadać, ale jestem pewna, że sam też się tym zajął. Z satelity ściągnęłam twoje zdjęcie w Bukareszcie i fakt, że tam jesteś, stał się jeszcze bardziej konkretny,

jeszcze straszniejszy. Wkrótce potem nawiązaliśmy kontakt z naszym agentem o pseudonimie Tytan. On też to potwierdził i dodał garść szczegółów, które zupełnie mnie dobiły. Doniósł, że spotkałeś się potajemnie z Radu Draganem, szefem grypy „kominarzy” z Securitate.

- O Boże -jęknął Bryson. - Pomyślałaś... Pomyślałaś, że coś knuję, że robię coś złego. Coś, co chcę zachować w tajemnicy. I przed tobą, i przed Wallerem.

- Tak. Od Teda wiedziałam, że spotkałeś się z Draganem bez wiedzy Dyrektoriatu. Uznałam, że wszedłeś z nim w jakiś układ, w układ, którego się wstydzisz, który chcesz ukryć. Ale dałam ci szansę, pamiętasz? Któregoś dnia spytałam cię prosto z mostu...

- Nigdy przedtem nie pytałaś mnie o to, co robię, kiedy nie ma mnie w domu. Nigdy.

- Na pewno wyczułeś, jakie było to dla mnie ważne, mimo to wciąż kłamałeś! Bezczelnie kłamałeś!

- Eleno, kochanie, próbowałem cię chronić! Nie chciałem cię denerwować. Wiedziałem, że nie pozwoliłabyś mi wyjechać, a gdybym powiedział ci po fakcie, zamartwiłabyś się na śmierć. Nie zniosłabyś tego!

Pokręciła głową.

- Teraz już wiem, ale Tytan doniósł nam, że dogadałeś się z Draganem, że powiedziałeś mu, gdzie mieszkają moi rodzice...

- To kłamstwo!

- Ale wtedy o tym nie wiedziałam!

- Jak mogłaś pomyśleć, że mogłem ich sprzedać? Jak mogłaś?

- Bo mnie okłamałeś! - krzyknęła. - Dlaczego miałam ci wierzyć? Okłamałeś mnie! Okłamałeś!

- Boże, coś ty musiała o mnie pomyśleć...

- Poszłam do Teda i poprosiłam, żeby wywiózł mnie z kraju, żeby mnie gdzieś ukrył. Gdzieś, gdziekolwiek, w jakimś bezpiecznym miejscu, gdzie tamci nie mogliby mnie znaleźć. Mnie i moich rodziców. Mimo wielkich kosztów operacji Ted uznał, że tak będzie najlepiej. Twoja zdrada zraniła mnie do szpiku kości, ale przede wszystkim chciałam chronić ojca i matkę. Waller przeniósł mnie tu, do Francji. Rodziców też.

- Uwierzył, że zdradziłem?

- Wiedział tylko, że jego też okłamałeś. Że zrobiłeś coś na własną rękę.

- Chryste, przecież nigdy o tym ze mną nie rozmawiał!

- Dziwisz się? Ted lubi trzymać karty przy sobie. Poza tym prosiłam go, żeby nic ci nie mówił, żeby cię nie niepokoił.

- I w dalszym ciągu nie wiesz, po co tam pojechałem? - krzyknął Nick. - Nie wiesz? Tak, dogadałem się z „kominarzami”, ale tylko po to, żeby chronić twego ojca i matkę! Zagroziłem im, powiedziałem, że jeśli tkną ich choćby palcem, wymorduję całą rodzinę Dragana! To była dla mnie sprawa osobista, rozumiesz? Inaczej nie mogłem. Wiedziałem, że poskutkuje tylko groźba w stylu sycylijskim.

Elena otarła łzy.

- Bardzo to przeżyłam - wyszlochała. - Przez te wszystkie lata zastanawiałam się, nieustannie myślałam... Ojciec umarł dwa lata temu, mama w zeszłym roku. Po jego śmierci straciła wolę życia... Boże, Nicholas. Myślałam, że jesteś potworem!

Objął ją, chociaż ledwo zdołał usiąść. Łkając, padła mu w ramiona. Dotknęła zabandażowanej rany, podrażniła nerw. Ból omal nie rozsadził mu czaszki, mimo to przytulił ją mocno i czule poklepał po ramieniu. Była taka drobna, taka krucha. Spojrzała na niego pięknymi, zaczerwienionymi od płaczu oczami.

- Co ja zrobiłam - jęknęła. - Co ja o tobie myślałam, za kogo cię miałam...

- A ja? Dlaczego ci nie zaufałem? Ale posłuchaj, tu nie chodzi tylko o zwykłe nieporozumienie. Ten agent, ten Tytan, celowo wprowadził was w błąd. Dlaczego? Po co?

- Pewnie nasłali go Prometejanie. Wiedzieli, że chcemy ich namierzyć, i kiedy dostrzegli szansę, natychmiast ją wykorzystali. Zatruli studnię, zasiali ziarno niepewności w naszych szeregach, napuścili żonę na męża. Ślali meldunki, żeby nas zwieść, oszukać, sprowadzić

nas na fałszywy trop.

- Prometeusz, Prometejanie... Waller też o tym wspominał. Ale chyba musicie coś o nich wiedzieć. Coś, cokolwiek. O co im chodzi? Co chcą zrobić? Jakie mają cele?

Elena pogładziła go po twarzy.

- Boże, jak ja za tobą tęskniłam... - Ucisnęła mu rękę, powoli wstała i zaczęła krążyć po pokoju. Jak kiedyś, jak dawniej. Ilekroć miała do rozwiązania ważny problem, rozwiązywała go, chodząc, jakby rytmiczne, monotonne ruchy pomagały jej myśleć.

- Prometeusz - zaczęła. - Pierwszy raz zetknęliśmy się z tą nazwą rok temu. To organizacja. Międzynarodowa organizacja, niewykluczone, że jakiś kartel czy konsorcjum skupiające wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe i kontrahentów z przemysłu obronnego. Mają swoje wtyki we wszystkich rządach świata.

Bryson kiwnął głową.

- Fabryki broni Jacques'a Arnaulda, wojskowi kontrahenci generała Tsai i wielkie holdingi przemysłowe Prisznikowa. To konsorcjum na skalę światową.

Przystanęła i przeszła go wzrokiem.

- Tak, Arnauld, Tsai i Prisznikow. Oni są najważniejsi, ale współdziała z nimi wielu innych.

- W jaki sposób?

- Zawierają spółki, łączą się ze sobą, konsolidują. Ten proces nabiera tempa.

- W sektorze obronnym też?

- Tak, ale przede wszystkim w telekomunikacji i w przemyśle komputerowym. Tu chodzi o coś więcej niż o budowę korporacyjnego imperium. Od pięciu miesięcy szerzy się epidemia zamachów terrorystycznych. W Waszyngtonie, w Nowym Jorku, w Genewie, w Lilie...

- Prisznikow i Arnauld wiedzieli o Lilie - powiedział nagle Nick. - Podśledzałem ich na kilka dni przed katastrofą „Droga stanie otworem”, tak mówili. „Poruszenie będzie tak wielkie, że droga stanie otworem”.

- Droga stanie otworem... - powtórzyła w zamyśleniu Elena. - Przemysłowcy, właściciele fabryk zbrojeniowych sieją chaos, żeby zwiększyć wartość swoich akcji... - Pokręciła głową. - Nie, to nie pasuje. Najlepszym sposobem na zwiększenie popytu na broń jest wojna, a nie sporadyczne ataki terrorystyczne. Jedna z teorii wyjaśniających genezę drugiej wojny światowej mówi, że międzynarodowe kartele handlarzy bronią celowo poparły młode nazistowskie Niemcy, doskonale wiedząc, że prędzej czy później dojdzie do globalnego konfliktu zbrojnego.

- To były inne czasy.

- Pomyśl tylko. Główni gracze, ci w Rosji, w Chinach i we Francji -a nie zapominaj, że są jeszcze inni - mogliby bez trudu podjudzić swoje narody, napuścić je na siebie, uderzyć w bębny, ogłosić potrzebę wzrostu wydatków na zbrojenia. Gdyby chodziło im o pieniądze, o akcje, właśnie tak by to zrobili.

- Istnieje wiele sposobów na podwyższenie „gotowości obronnej”.

- Ale skoro już mają władzę, dlaczego jej nie wykorzystują? Nie, tu nie chodzi o kolejny wyścig zbrojeń, nic na to nie wskazuje. To są sporadyczne zamachy, akty terroryzmu, anonimowe, zupełnie bezsensowne i coraz częstsze. Pytanie tylko, kto za nimi stoi i jaki ma cel.

- Terroryzm jest formą wojny - myślał na głos Bryson. - Wojny prowadzonej innymi środkami. Wojny psychologicznej, która ma pozbawić ludzi morale.

- W każdej wojnie walczą co najmniej dwie strony.

- Tak, terroryści i ci, którzy próbują się z nimi rozprawić. Pokręciła głową.

- Nie, nie pasuje. Ci, którzy próbują się z nimi rozprawić: to zbyt mgliste.

- Terroryzm jest jak teatr, a terrorysta jak aktor występujący przed publicznością.

- Nie chodzi mu o sam akt zniszczenia, tylko o reklamę, o propagandę.

- Właśnie.

- Propaganda czy reklama zwraca uwagę na sprawę, o którą walczy terrorysta, na

skupionych wokół niej ludzi, tymczasem do ostatnich zamachów nikt się nie przyznał. Musimy przejrzeć gazety, pozbierać informacje, sprawdzić, co te wydarzenia łączy. Przychodzi ci coś do głowy?

- Tylko to, że można im było zapobiec. Dokładnie wszystkim. Elena ponownie przystanęła i spojrzała na niego z ciekawym uśmiechem na twarzy.

- Skąd wiesz?

- Z gazet, z radia i z telewizji. Po każdym zamachu ukazywał się komentarz jakiegoś wysokiego, najczęściej anonimowego urzędnika, który twierdził, że gdyby ten czy tamtej kraj dysponował odpowiednimi środkami inwigilacji i nadzoru, tragedii udałoby się zapobiec.

- Środki inwigilacji i nadzoru... - powtórzyła w zadumie Elena.

- Traktat. Międzynarodowy traktat o powszechnej kontroli i bezpieczeństwie, który niedawno ratyfikowała większość krajów świata.

- W jego ramach ma powstać coś w rodzaju międzynarodowej agencji strzegącej ładu i porządku, tak? Takie super-FBI?

- Właśnie.

- Wymagałoby to zainwestowania miliardów dolarów w nowy sprzęt satelitarny i policyjny. Łakomy kęs dla przedsiębiorstw z branży zbrojeniowej i elektronicznej... Dla ludzi takich jak Arnould, Prisznirow i Tsai. Może o to chodzi? Międzynarodowy traktat jako przykrywką dla masowych zbrojeń. Żebyśmy wszyscy mogli skutecznie stawić czoło terroryzmowi, nowej groźbie dla światowego pokoju, która gnębi nas od zakończenia zimnej wojny. Traktat... Podpisały go wszystkie państwa członkowskie Rady Bezpieczeństwa ONZ, tak?

- Z wyjątkiem jednego: Wielkiej Brytanii. Ale i ona podpisze, to tylko kwestia dni. Namówi ją lord Miles Parmore.

- Tak, tak, słyszałam. To... Jak to się mówi? Chwalipięta, tak? Ale potrafi dobrze przekonywać, namawiać i organizować stronników. Mistrzów propagandy nie wolno lekceważyć. Patrz: Reichstag trzydzieści trzy.

Bryson pokręcił głową.

- Moim zdaniem Prometejanie działają inaczej. Lord Parmore jest niesamowicie skuteczny, ale podejrzewam, że nie należy do geniuszy. Założę się, że ktoś nim kieruje. Zacytować ci naszego nieustraszonego wodza? „Patrz na sznurki, a zobaczysz dłonie lalkarza”.

- Chcesz powiedzieć, że ktoś manipuluje debatą parlamentarną w Londynie?

- Na sto procent.

- Ale kto? Gdybyśmy się tego dowiedzieli...

- Pojadę tam, pogadam z Parmore'em i spróbuję coś z niego wyciągnąć.

- Wytrzymasz? Jesteś osłabiony...

- Jeśli wyjmiesz ze mnie te przekłete rurki, na pewno sobie poradzę. Zagryzła wargi.

- Nicholas, w normalnych okolicznościach zachowałabym się jak na-dopiekuńcza żona i nalegałabym, żebyś został w łóżku, ale... czas ucieka.

- Polecę. Chcę lecieć. Załatw mi tylko samolot.

- Zaraz zadzwonię. Przygotuj ą nasz odrzutowiec i jeśli tylko Ted nie będzie go potrzebował, za sześć, siedem godzin będziesz już w drodze.

- Dobra. Jest tu gdzieś lotnisko?

- Tak, niedaleko. - Gwałtownie przystanęła. - Cassidy. Teraz wszystko pasuje.

- Cassidy? Senator Cassidy?

- Tak.

- Ten, który zrezygnował z mandatu, kiedy prasa doniosła, że... że co? Że jego żonę aresztowano za posiadanie narkotyków?

- Tak, ale sprawa jest trochę bardziej skomplikowana. Przed kilkunastu laty jego żona uzależniła się od środków przeciwbólowych. Kiedy

ich zabrakło, kupiła heroinę od tajniaka i wpadła. Senator Cassidy dzięki znajomościom zdołał zatuszować sprawę i wysłał ją na leczenie.

- Co to ma wspólnego z traktatem?

- Po pierwsze, senator był jego głównym przeciwnikiem. Uważał, że tego rodzaju traktat kładzie kres wszelkiej prywatności, zwłaszcza teraz, w erze powszechnej komputeryzacji. Przestrzegał przed tym od dawna i najgłośniej ze wszystkich waszyngtońskich polityków. Wielu komentatorów dostrzegło ironię w tym, że senatora mającego obsesję na punkcie prywatności pozbawiła urzędu jego własna przeszłość. Szydźli, że wyszło szydło z worka, że skoro tak bardzo protestował przeciwko traktatowi, na pewno miał coś do ukrycia.

- Może coś w tym jest.

- Nie o to chodzi. Rzecz w tym, że Cassidy jest dziewiątym członkiem Kongresu, który w ciągu kilku ostatnich miesięcy albo zrezygnował z mandatu, albo ogłosił, że nie zamierza ubiegać się o ponowny wybór.

- Trudno dzisiaj być politykiem i tyle.

- Na pewno, ale znasz mnie: wyszkolono mnie do wynajdywania reguł tam, gdzie inni nie potrafią ich znaleźć. Zauważyłam, że z tych dziewięciu, pięciu zrezygnowało po jakimś skandalu, w niesławie. I właśnie tych pięciu otwarcie występowało przeciwko traktatowi. To nie jest zbieg okoliczności. Stwierdzi to każdy, nie tylko ekspert od kryptografii czy od kryptosystemów asymetrycznych. Doszło do przecieku. Informacje tajne i prywatne stały się informacjami jawnymi i publicznymi. W pierwszym przypadku wyleczona choroba umysłowa, w drugim długotrwałe leczenie, w trzecim wypożyczanie kaset pornograficznych, w czwartym czek za aborcję...

- Zwolennicy traktatu ostro pogrywają.

- Nie tylko. Mają dostęp do najtajniejszych, najbardziej prywatnych informacji.

- Ktoś z FBI?

- Przecież wiesz, że od czasów J. Edgara Hoovera FBI nie gromadzi tego rodzaju danych! Może kiedy prowadzą dogłębne śledztwo, może wtedy, ale ot tak sobie? Nie.

- W takim razie kto?

- Zaczęłam kopać, sprawdzać, czy nie kryje się za tym jakiś „lalkarz”. Co tych pięciu miało ze sobą wspólnego? Zebrałam ich biografie, z Internetu wygrzebałam wszystkie dostępne informacje finansowe na ich temat; jest ich sporo, pod warunkiem że ma się numer ubezpieczenia społecznego, a ten łatwo zdobyć. I odkryłam ciekawą rzecz. Dwóch z nich miało obciążenie hipoteczne w First Washington Mutual Bancorp. A zaraz potem znalazłam wspólne ogniwo: wszyscy byli klientami First Washington.

- Wynikałoby z tego, że albo bank współuczestniczył w szantażu, albo ktoś dobrał się do archiwów.

- Właśnie. Archiwa, czeki, przekazy... Gdy już je mają, mogą zdobyć kopie polis na ubezpieczenie zdrowotne, a nawet karty przebiegu leczenia.

- Harry Dunne - powiedział nagle Bryson.

- Zastępca dyrektora CIA, kolejny Prometejanin.

- Dunne?

- Tak myślimy - odrzekła pospiesznie. - Do rzeczy. Co Dunne?

- To on wyciągnął mnie z college'u, wyrwał z cichego, spokojnego życia i praktycznie zmusił mnie do przeprowadzenia śledztwa w sprawie Dyrektoriatu. W tym czasie byłaś już na tropie Prometeusza i Dunne chciał sprawdzić, co o nich wiesz, pewnie po to, żeby cię zneutralizować. Ponieważ za traktatem stoi CIA, na pewno dążą do ustanowienia jak najściślejszego nadzoru na całym świecie, do powszechnej i całkowitej inwigilacji.

- Tak, to możliwe. Z wielu powodów, choćby z tego, że po zakończeniu zimnej wojny CIA musi jakoś przeżyć. Owszem, wpadłam na trop Prometeusza, ale jak do tej pory nie udało mi się ich rozgryźć. Od pewnego czasu komputery Dyrektoriatu przechwytyują ich sygnały. Udało mi się nawet zidentyfikować kilku członków, na przykład Arnaulda, Prisznikowa, Tsai i Dunne'a. Nagrywamy ich rozmowy, oczywiście zaszyfrowane, ale chociaż odkryliśmy w tym szyfrze szereg prawidłowości, wciąż nie wiemy, o czym rozmawiają. To

swego rodzaju hologram: do odczytania sygnału potrzebne są dwa niezależne obszary danych. Zmagam się z tym od dawna, ale jak dotąd bez sukcesu. Dlatego jeśli masz jakiś... Bryson usiadł. Czuł się trochę silniejszy; nogi mu ścierpły i musiał je rozruszać.

- Możesz podać mi telefon? Leży na stoliku.

- Nicholas, tu nie ma pola. Jesteśmy pod ziemią, sygnał...

- Podaj mi telefon. - Gdy mu go podała, Nick otworzył go i z pojemnika na baterię wyjął maleńki, podłużny przedmiot. - Może to ci pomoże.

- To... chip. Silikonowy chip?

- Kopia procesora szyfrującego. Z telefonu Jacques'a Arnaulda.

## Rozdział 26

Weszli do podziemnego przejścia prowadzącego ze szpitala do drugiego skrzydła kwatery. Podłogi były z wypolerowanego na błysk

kamienia, ściany białe, a niski sufit wyłożono dźwiękochłonnymi płytami. Nie zaglądało tu słońce, nie było ani jednego okna - Francja? Równie dobrze mogli być w Japonii.

- Ten obiekt powstał mniej więcej dziesięć lat temu jako europejska kwatera Dyrektoriatu - mówiła Elena. - Pracuję tu, odkąd... odkąd wyjechałam ze Stanów. - Chciała chyba powiedzieć: „odkąd cię zostawiłam”. - Kiedy okazało się, że ci z Prometeusza nas zinfiltrowali, na polecenie Wallera całe waszyngtońskie biuro przeniosło się tutaj. Jak sam się przekonasz, z zewnątrz prawie nic nie widać. Ot, małe, dość luksusowo wyposażone laboratorium badawcze wbudowane w zbocze góry.

- Dordogne? - spytał Nick. - Wierzę ci na słowo. - Nogi miał już sprawne, kłopot sprawiała mu tylko mocno obandażowana rana i przeszywający ból, który odczuwał przy każdym kroku.

- Pójdziemy na spacer i sam zobaczysz, że jesteśmy we Francji. I tak musimy zaczekać, aż przetworzą dane z chipa.

Stanęli przed lśniącymi, stalowymi drzwiami. Elena wprowadziła kod, przytknęła kciuk do czytnika i drzwi się otworzyły.

Chłodne, suche powietrze, nisko podwieszony sufit, rzędy komputerów, serwerów i monitorów. Weszli do środka.

- Naszym zdaniem to najpotężniejsze centrum informatyczne na świecie - powiedziała Elena. - Mamy tu komputery Cray o nieprawdopodobnej mocy obliczeniowej, zdolne wykonać kwadryliony operacji na sekundę. Mamy sieć węzłowych IBM-ek, komputery pracujące w wielotorowym systemem operacyjnym SGI Onyx Reality Engine System. Mamy nośniki i urządzenia o pojemności stu dwudziestu gigabajtów pamięci masowej, serwer taśmowy o pojemności dwudziestu terabajtów...

- Zaczynam się w tym gubić, kochanie.

Elena nie mogła ukryć podekscytowania. Ona, dziewczyna, która wyższej matematyki uczyła się na zwykłych, czarnych tablicach i prymitywnych komputerach z lat siedemdziesiątych, czuła się tu jak w świecie z bajki. Zawsze taka była, odkąd tylko pamiętał: pochłonięta pracą, zauroczona wszechmocną technologią.

- Nie zapomnij o stu dwudziestu kilometrach światłowodu - dodał Chris Edgecomb, wysoki, szczupły, zielonooki Gujańczyk o brązowej cerze. - Jezu, człowieku, ilekroć cię widzę, jesteś coraz bardziej poharatany! - Objął Nicka i mocno go uściskał. - A jednak! Ściągnęli cię z powrotem.

Bryson drgnął, skrzywił się z bólu, mimo to odpowiedział uściskiem na uścisk. Lubił Chrisa. Nie widział go od pięciu lat i ucieszył się ze spotkania.

- Niełatwo się mnie pozbyć.



- Żona też pewnie zadowolona, co?  
- „Zadowolona” to za mało powiedziane - odrzekła Elena.  
- Święty Krzysztof dobrze się tobą opiekuje, zawsze i wszędzie. Oczywiście nie spytam cię, co przez ten czas porabiałeś, ale cieszę się, że jesteś z nami. Pomagam Elenie przy tych cholernych szyfrach, ale kiepsko nam idzie. Mocna rzecz ten prometejski kod. A mamy tu zabawki, że hej: szybkie łącze z Internetem do rozproszonego przetwarzania danych, bezpośredni dostęp do satelity telekomunikacyjnego pracującego w paśmie K i Ka. Gigantyczna pojemność, geosynchroniczna orbita, łączność jak na światłowodach, brachu.

Elena wetknęła chip do komputerowego czytnika.

- To jest Digital Alpha - wyjaśniła. - Przechowujemy tu wyniki pięciomiesięcznej pracy: zaszyfrowane rozmowy między Prometejanami. Przechwyciliśmy je za pomocą podsłuchu, klasycznego i satelitarnego, ale dotąd nie zdołaliśmy ich ani przesłuchać, ani tym bardziej zrozumieć. Wszystko przez ten nieszczęsny kod. Jeśli wykradłes Arnouldowi algorytmiczny klucz, „czysty” identyfikator zapisu, nareszcie go złamiemy.

- Jak długo to potrwa? - spytał Bryson.

- Może godzinę, może kilka godzin, a może znacznie krócej. To zależy od wielu czynników, ale przede wszystkim od rodzaju samego identyfikatora. Ten chip jest jak klucz, ale są dwa rodzaje kluczy: klucz uniwersalny, który otwiera drzwi w całym budynku, i zwykły, który pasuje tylko do jednego zamka. Zobaczymy. Tak czy inaczej, mam nadzieję, że nam pomoże.

- Jeśli na coś trafię, dam wam znać - powiedział Chris. - Teraz idźcie do Wallera. Chce was widzieć.

Przestronny, pozbawiony okien gabinet Wallera był urządzonej identycznie jak gabinet w gmachu przy K Street. Na podłodze leżały siedemnastowieczne kurdyjskie dywany, na ścianach wisiały stare angielskie obrazy przedstawiające wierne, rasowe psy miętoszące w pysku dzikie ptactwo.

Ted siedział za tym samym biurkiem z francuskiego dębu.

- Dobrze, że jesteście - zaczął. - Mam dla was ciekawą informację. Eleno, przedstawiam ci jedną z naszych najbardziej utalentowanych i budzących największy postrach agentek, która zaszczyciła nas wizytą.

Stojący przed biurkiem fotel powoli się obrócił. Siedziała w nim Layla.

- A tak - powiedziała lodowato Elena, wyciągając do niej rękę. - Dużo o tobie słyszałam.

- A ja o tobie - odrzekła Layla takim samym tonem głosu. Nawet nie wstała. - Witaj, Nick. Bryson skinął jej głową.

- O ile pamiętam, kiedy widzieliśmy się ostatni raz, próbowałaś mnie zabić.

- Ach, to... - westchnęła Layla z lekkim rumieńcem na twarzy. - Nie bierz tego do siebie.

- Ależ skąd.

- Tak czy inaczej, pomyślałam, że zainteresuje cię wiadomość, że nasz wspólny przyjaciel Jacques Arnould związa interes - powiedziała Libanka, patrząc na nich czystym, śmiałym wzrokiem.

- Jak to? - spytał Bryson.

- Po prostu. Likwiduje swoje aktywa. I to w panice, w popłochu, jakby się czegoś bał. Nie wycofuje się z interesów, nie zmienia branży. Nie, on ucieka. Handlarz śmiercią odchodzi na emeryturę.

- Przecież to nie ma sensu! - odparł Nick. - Nie widzę w tym żadnej logiki, a ty?

Na ustach Layli zagościło coś na kształt uśmiechu.

- Właśnie dlatego zatrudniamy analityków, prawda, Eleno? Żeby dostrzegli logikę w ciągu danych, które zebraliśmy my, ciężko pracujący agenci.

Elena w milczeniu wydeła usta, szybko zamrugła i skupiła wzrok.

- Kto ci to powiedział?

- Jeden z jego największych rywali, człowiek równie godny szacunku i równie moralny, jak Arnould. Alain Poirier, na pewno o nim słyszałaś. Można by powiedzieć, że łączy ich

„braterstwo broni”, mimo to Poirier nienawidzi Arnaulda, jak Kain nienawidził Abła.

- A więc Poirier powiedział ci, że jego największy rywal związa interes, tak?

- Mniej więcej - odrzekła Layla. - W każdym razie tak to brzmi po angielsku. Język algorytmów jest na pewno o wiele ciekawszy. Jestem przekonana, że twoich metod zwykły śmiertelnik nie zgłębi.

Waller słuchał i obserwował je jak kibic tenisistki na kortach Wim-bledonu.

- Są bardzo proste - odparła Elena. - U ich podstawy leży konkretny aksjomat: najpierw sprawdź źródło. Na przykład wierzysz, że Poirier jest wrogiem Arnaulda. To naturalne założenie, gdyż i jednemu, i drugiemu od dawna na tym zależy. Robią wszystko, żeby świat widział w nich zagorzałych rywali. I szczerze mówiąc, trochę z tym przesadzają.

- To znaczy? - rzuciła chłodno Layla.

- Gdybyś poszperała dokładniej, na pewno odkryłabyś, że Arnould i Poirier są współnikami, współwłaścicielami szeregu pozornie samodzielnych i bardzo rozproszonych przedsiębiorstw. Ta rywalizacja to klasyczna podpucha, i tyle.

Layla zmrugała oczy.

- Twierdzisz, że moje informacje są bezużyteczne?

- Ależ skąd - odrzekła Elena. - To, że cię podeszli, jest niezwykle cenną wiadomością. Widać z tego, że Arnould chce nas zmylić. Musimy zwrócić uwagę nie na samo kłamstwo, lecz na fakt, że w ogóle próbowano nas okłamać.

Layla milczała chwilę, po czym wymamrotała:

- Tak, chyba masz rację.

- Jeśli Arnould chce nas zmylić - wtrącił Bryson - oznacza to, że należy do spisku, który, jak każdy spisek, nie może wyjść na jaw. Próbuje nas dezorientować, chce, żebyśmy opuścili gardę. Coś się wydarzy, i to już wkrótce. Musimy wzmóc czujność. Chryste, naszymi przeciwnikami są ludzie, którzy zdobyli potężną władzę i dostęp do niewyobrażalnej wiedzy. Oby nas zlekceważyli.

Layla ze smutkiem pokręciła głową.

- I pewnie zlekceważą. Boję się tylko, że mają ku temu podstawy.

Waller poleciał do Paryża na ważne spotkanie, dlatego Bryson i Elena musieli zaczekać. Żeby zabić czas, poszli na długi spacer w dół zbocza i przebiwszy się przez rozmarynowe żywopłoty, dotarli nad brzeg Dordogne.

Gdy labiryntem podziemnych tuneli wyszli na dwór, Nick natychmiast stwierdził, że rzeczywiście są we Francji. Główne wejście do kwatery głównej mieściło się w starej, kamiennej willi wbudowanej w zbocze góry. Postronni obserwatorzy i przechodnie widzieli tylko sam dom, wystarczająco duży, by pomieścić biura i laboratoria amerykańskiego instytutu naukowego, hojnie wspieranego przez rząd i prowadzącego kompletnie bezużyteczne badania - stąd ten ruch, te wszystkie samochody i ludzie, te samoloty na pobliskim lotnisku. Nikt z nich nie wiedział, jak potężny i rozległy jest to obiekt, jak głęboko ukryty pod milionami ton wydrążonej skały.

Bryson szedł ostrożniej niż zwykle, przenosząc ciężar ciała na lewą nogę i od czasu do czasu krzywiąc się z bólu. Skalistym zboczem dotarli do starej drogi wydeptanej przez pielgrzymów. Biegła dnem pięknej doliny, między plantacjami orzecha włoskiego otulającymi brzegi Dordogne, prastarego szlaku wodnego wiodącego przez Souillac aż do Bordeaux. Były to plantacje wieśniaków z krwi i kości, soli tej ziemi, surowych stróżów francuskiego krajobrazu, choć z biegiem lat niektóre z tych prostych, kamiennych domków przeszły w ręce Anglików zbyt ubogich, żeby pozwolić sobie na coroczne wakacje w Prowansji czy Toskanii. Nieco wyżej, na zboczach góry, gnieździły się stare wytwórnie win, produkujące pyszne *vin dupays*, a hen, w oddali, na północ od Cohors, na tle okrywającej wzgórza zieleni widać było kilka średniowiecznych miasteczek z małymi restauracjami: w niedziele ciągnęły do nich tłumnie chłopskie rodziny, by delektować się niewyszukanymi, lecz pożywnymi daniami *cuisine du ter-roir*. Trzymając się za ręce, Bryson i Elena szli przez las, w którym pod korzeniami sędziwych drzew rosły słynne francuskie trufle. Konkretnie gdzie rosły? Tego nie wiedzieli nawet właściciele tych ziem - tajemnicę

posiedli tylko nieliczni i przekazywali ją sobie z pokolenia na pokolenie.

- To Ted wpadł na pomysł, żeby nas tu przenieść - mówiła Elena. - Teraz już chyba rozumiesz dlaczego. Uwielbia jeść, a tutaj ma pod dostatkiem i serów, i oleju z orzecha włoskiego, i trufli. Ale zrobił to także ze względów praktycznych. Nie rzucamy się tu w oczy, mamy dobrą przykrywkę, lotnisko pod bokiem i autostrady we wszystkich kierunkach: na pomoc do Paryża, na wschód do Szwajcarii i do Włoch, na południe nad Morze Śródziemne, na zachód do Bordeaux i nad Atlantyk. Moim rodzicom bardzo się tu podobało. - Ściszyła głos i ze smutkiem dodała: - Tęsknili za ojczyzną, ale dobrze, że ostatnie lata życia spędzili właśnie tutaj. - Wskazała kilka kamiennych domków w oddali. - Mieszkaliśmy tam, widzisz?

- Razem?

- Tak. Gotowałam im, sprzątałam...

- Ja straciłem, ale przynajmniej oni zyskali. To dobrze. Uśmiechnęła się i ścisnęła go za rękę.

- Wiesz, w tym starym powiedzeniu jest dużo prawdy. *Mai rurut, mai dragut.*

- Tak, rozłąka sprzyja miłości. A to drugie? Często je powtarzałaś. *Celor ce duć mai mult dorul, le parę mai dulce odorul.* Rozłąka miłość podsyca, lecz bycie razem ją wzmacnia, tak?

- Nicholas, było mi ciężko. Naprawdę ciężko.

- Mnie też.

- Musiałam przebudować swoje życie, ale zawsze towarzyszyły mi ból i poczucie straty. Tobie też?

- Było mi chyba jeszcze trudniej niż tobie, bo cały czas dręczyła mnie niepewność. Bo nie wiedziałem, dlaczego zniknęłaś, dokąd odeszłaś, co myślałaś.

- *Och, iubito! Te ador!* Oboje byliśmy ofiarami. Ofiarami, zakładnikami świata nieufności i podejrzeń.

- Mówili, że zostałam mi przydzielona, że miałam mnie obserwować.

- Przydzielona? Zakochałam się w tobie, w dodatku zupełnym przypadkiem. Jak mam ci to udowodnić? Kochałam cię, Nicholas. Nadal cię kocham.

Opowiedział jej o kłamstwach Dunne'a o młodym chłopaku wybranym ze względu na niezwykle zdolności językowe i sportowe, podstępnie zwerbowanym i omamionym, o dziecku, któremu zamordowano rodziców.

- Przebiegli są - westchnęła Elena - bardzo przebiegli. Nasza organizacja jest głęboko zakonspirowana i bardzo rozczłonkowana, dlatego, wbrew pozorom, łatwo jest podrzucić nam wiarygodne kłamstwo. Żebyś nie mógł sprawdzić tego, co próbowali ci wmówić, zrobili z ciebie wroga, zdrajcę, który chce nas zniszczyć.

- Wiedziałaś o Wallerze?

- O Wallerze?

- O jego... - Szukał odpowiednich słów. - O jego pochodzeniu. Kiwnęła głową.

- O Rosji. Tak, powiedział mi. Ale dopiero niedawno. Pewnie zamierzał ściągnąć cię z powrotem i wiedział, że się spotkamy. Zadzwoił telefon.

- Tak? - Pojaśniała jej twarz. - Dziękuję, Chris. - Schowała aparat do kieszeni. - Chyba coś mamy.

Chris Edgecomb podał jej kilka grubych teczek z czerwonymi obwódkami.

- Był kod, nie ma kodu. Kiedy wreszcie pękł, to na całego. Żeby to wydrukować, omal nie spaliliśmy pięciu drukarek laserowych. Spowalniał nas tylko program transkrybujący sztuczną inteligencję, ponieważ zamiana słowa mówionego na pisane wymaga olbrzymiej mocy obliczeniowej i mnóstwa czasu. To dopiero początek. Próbowaliśmy wyeliminować materiał mniej istotny, ale postanowiłem zaczekać na ciebie. Sama zdecydujesz, co jest ważne, a co nie.

- Dzięki, Chris.

Centrum komputerowe sąsiadowało z salą konferencyjną. Weszli tam i Elena położyła teczkę na długim stole.

- Przyślę wam dzbanek kawy - powiedział Edgcomb. - Na pewno się przyda. Podzielili wydruki i zaczęli je przeglądać. Z największą uwagą czytali transkrypcje rozmów telefonicznych między szefami, rozmów długich, krótkich i rozwlekłych narad konferencyjnych. Ponieważ toczyły się na „czystej” linii, uczestniczący w nich członkowie Prometeusza mówili swobodnie. Wszyscy z wyjątkiem tych przebiegłych, ostrożniejszych, zwłaszcza Arnaulda i Prisznikowa. Ci używali języka zakodowanego i pełnego aluzji, które rozumieli jedynie wtajemniczeni. Tu do akcji wkroczyła Elena, tu najbardziej przydała się jej znajomość schematów lingwistycznych i umiejętność wychwytywania przemilczeń. Ona selekcjonowała wydruki, Bryson zaś, znając głównych graczy i szczegóły prowadzonych przez nich operacji, czytał je ponownie, wyławiając to, co mogło ująć uwagę Eleny.

- Nareszcie coś - powiedział kilkanaście minut później. - To już nie domniemania. Choćby tutaj: Prisznikow wspomina o zamachu w Genewie na trzy tygodnie przed wybuchem epidemii wąglika.

- Ale to nie oni tam rządzą- odrzekła Elena. - Mają jakiegoś szefa... Nie, dwóch szefów, najprawdopodobniej Amerykanów.

- Kogo?

- Nie padło dotąd żadne nazwisko. Wspominają tylko o Zachodnim Wybrzeżu, a więc jeden z nich może mieszkać w Kalifornii albo gdzieś nad Pacyfikiem.

- A w Londynie? Tam też ktoś mają?

- Chyba nie...

Do sali wszedł Chris, radośnie wymachując kilkoma kartkami pełnymi długich kolumn liczb.

- Wiadomość z ostatniej chwili - powiedział, nie ukrywając podniecenia. - Schemat transferów pieniężnych z First Washington Mutual Bancorp. Wielce interesujące. Proszę.

- To bank tych kongresmanów, tak? - spytał Bryson. - Ten, który podejrzewałaś o przekazywanie tajnych informacji o przeciwnikach traktatu?

- Tak - odrzekła Elena. - To transfery holdingowe... Edgecomb skinął głową.

- Te regularne cykle... Tak, to jest chyba to.

- Co? - spytał Bryson.

- Widzisz ten kod? To kod dostępu właściciela, nasz ślad.

- Nie rozumiem.

- Wygląda na to, że First Washington Mutual Bancorp jest przez kogoś kontrolowany. Przez jakąś anonimową, starannie zakamuflowaną instytucję.

- Dasz radę sprawdzić, przez kogo? Elena w zadumie skinęła głową.

- Chris, ta powtarzająca się liczba to numer konta w ABA, w Stowarzyszeniu Banków Amerykańskich, tak? Myślisz, że dałoby się pójść tym tropem i zbadać, czy...

- Wyprzedziłem cię - przerwał jej z dumą Chris. - To numer konta Meredith Watermana.

- Boże święty... Meredith Waterman, jeden z najstarszych, najbardziej szacownych banków inwestycyjnych na Wall Street. Morgan Stanley i Brown Brothers Harriman to przy nim nowicjusze. Nic z tego nie rozumiem. Dlaczego mieliby szantażować senatorów i kongresmanów przeciwnych międzynarodowemu traktatowi o powszechnej kontroli i bezpieczeństwie? Po co? W jakim celu?

- To prywatny bank - zauważył Bryson.

- No i co z tego?

- To, że może być fasadą, przykrywką dla innej instytucji czy dla grupy ludzi takiej jak choćby Prometeusz. Gdybyśmy zdobyli listę byłych i obecnych współników, członków zarządu, a najlepiej głównych właścicieli...

- To nie takie trudne - wtrącił Edgecomb. - Banki prywatne podlegają nadzorowi SEC, Komisji Papierów Wartościowych, i FDIC, Federalnej Korporacji Ubezpieczeniowej Wkładów Bankowych. Muszą składać im sprawozdania, dostarczać sterty dokumentów, a te łatwo odkopać.

- Wystarczy kilka nazwisk i namierzemy prawdziwych szefów Prometeusza.

Chris wyszedł.

Bryson zmarszczył czoło.

- Wspólnikiem Mereditha Watermana był Richard Lanchester.

- Co?

- Zanim odszedł z Wall Street i zajął się działalnością publiczną, był wielkim, wpływowym inwestorem, pupilkim Mereditha Watermana. W ten sposób dorobił się fortuny.

- Lanchester? Przecież mówiłeś, że okazał ci dużo życzliwości, że chciał pomóc.

- Owszem, chętnie mnie wysłuchał i był szczerze zaniepokojony. Ale chyba tylko wysłuchał, bo dotąd nic w tej sprawie nie zrobił.

- Chciał, żebyś zdobył więcej dowodów.

- Tak samo jak Harry Dunne.

- Myślisz, że Lanchester też do nich należy?

- Tego bym nie wykluczył.

Elena wróciła do lektury wydruków i nagle poderwała głowę.

- Posłuchaj tego. „Do przekazania władzy dojdzie czterdzieści osiem godzin po tym, gdy Brytyjczycy podpiszą traktat”.

- Kto to powiedział?

- Nie wiem. Ktoś z Waszyngtonu w rozmowie z Prisznikowem.

- Da się go zidentyfikować po głosie?

- Możliwe. Musiałabym wysłuchać oryginalnego nagrania.

- Czterdzieści osiem godzin... Przekazanie władzy... Kto ma ją przekazać? Komu? Jakiejś instytucji? Grupie ludzi? Chryste, muszę natychmiast lecieć do Londynu. Kiedy będzie samolot?

Elena spojrzała na zegarek.

- Za trzy godziny i dwadzieścia minut.

- Za późno. Może samochodem...

- Nie zdążysz. Jedźmy na lotnisko, powołajmy się na Wallera i każmy im przyspieszyć odlot.

- To samo powiedział niedawno Dmitrij Lubow.

- Kto?

- Zastępcza Prisznikowa. „Osprzet już jest, machina ruszyła. Teraz kolej na przekazanie władzy! Wszystko wyjdzie na jaw”. Twierdził, że to kwestia dni.

- Mają jakiś termin. Boże, Nick, lepiej nie traćmy czasu. Gdy wstała, światło przygasło na chwilę i zamrugało.

- Co to?

- Macie tu generator?

- Tak, oczywiście, na pewno.

- Właśnie się włączył.

- Włącza się tylko w przypadku jakiejś awarii, a przecież nic takiego...

- Uciekaj! - krzyknął nagle Bryson. - Szybko!

- Co?

- Biegnij! Szybciej! Podłączyli coś do sieci. Gdzie najbliższe wyjście? Elena wyciągnęła rękę.

- Tam.

- Jezu Chryste, biegiem! Zaraz zamkną się drzwi, utkniemy w pułapce! Wypadł na korytarz. Elena chwyciła ze stołu kilka dyskietek i ruszyła za nim.

- Którędy? - krzyknął.

- Prosto przed siebie!

Pobiegła przodem, on tuż za nią i kilka sekund później stanęli przed stalowymi drzwiami z napisem „Wyjście ewakuacyjne”. Nad klamką sterczała długa, czerwona dźwignia - Nick naparł na nią i drzwi otworzyły się na zewnątrz, włączając alarmowy dzwonek. Noc, powiew chłodnego, rześkiego powietrza. Kilkadziesiąt centymetrów przed nimi była wysoka, stalowa krata: krata, która właśnie się zamykała!

- Skacz! - krzyknął Bryson, dając nura w zwięzający się prześwit. Odwrócił się, chwycił ją za rękę i w ostatniej chwili przyciągnął do siebie.

Stali na stromym zboczu, tuż obok kamiennej willi. Wyjście przesłaniał gęsty żywopłot.

Pobiegli przed siebie w dół, byle dalej od willi.

- Jest tu gdzieś jakiś samochód?

- Na parkingu stoi terenówka... Jest! Tam!

Dwadzieścia metrów dalej w promieniach księżyca błyszczał mały, pudełkowaty land rover defender 90 z napędem na cztery koła. Bryson wskoczył za kierownicę i poszukał kluczyka. W stacyjce go nie było. Jezu, gdzie ten przeklęty kluczyk? Do ciężkiej cholery, w tak ustronnym miejscu powinni zostawiać go w samochodzie!

Elena trzasnęła drzwiami.

- Pod matą. Jest pod matą.

Nick pomacał pod nogami, znalazł kluczyk, wetknął go do stacyjki i przekręcił. Ryknął silnik.

- Boże, co się dzieje? - krzyknęła Elena, gdy stromą drogą pomknęli w dół zbocza.

Zanim zdążył odpowiedzieć, załało ich oślepiająco białe światło. Ziemia zadrżała, zadygotała, górą wstrząsnął stłumiony grzmot. Sekundę później rozległ się drugi wybuch, potężny, przerażająco głośny i wszechogarniający. Nick gwałtownie skręcił i przebijając się przez zarośla, poczuł na plecach uderzenie fali gorąca, jakby tuż za nimi płonęło gigantyczne ognisko.

Elena przytrzymała się poręczy i spojrzała za siebie.

- Jezu święty, Nick! - krzyknęła. - Nasza kwatery... Spójrz! Boże, spójrz!

Ale Bryson się nie odwrócił - nie miał odwagi. Musieli jechać, nie było czasu do stracenia.

Szybciej. Szybciej! Wcisnął pedał gazu, myśląc tylko o jednym: jesteś bezpieczna.

Jesteś bezpieczna. Żyjesz i jesteś ze mną.

Na razie.

Boże. Na razie.

## Rozdział 27

Przylecieli do Londynu o dziesiątej wieczorem, za późno, żeby zrobić X to, co zrobić chcieli. Noc spędzili w hotelu przy Russell Square, po raz pierwszy od pięciu lat w jednym łóżku. W pewnym sensie byli sobie obcy, jednak ku swej radości i podnieceniu szybko odkryli, że nie jest to obcość cielesna. Kochali się pierwszy raz od kilku lat, namiętnie, gwałtownie, niemal rozpaczliwie. A potem zasnęli, mocno przytuleni, wyczerpani zarówno miłością, jak i olbrzymim stresem, który ich tam przywiódł. Rano powrócili myślą do koszmarnych przeżyć w Dordogne. Odtwarzali szczegóły, próbowali doszukać się w nich sensu.

- Zamawiając samolot, korzystałaś z czystej linii? Powoli pokręciła głową. Miała mocno ściągniętą twarz.

- Nie, na lotnisku nie ma szyfrujących telefonów. Ale nasze centrum telekomunikacyjne zawsze uchodziło za bezpieczne. Jeżeli dzwoniłszy na przykład do Paryża czy Monachium, korzystaliśmy z czystych linii tylko po to, żeby nie wsypać rozmówcy.

- Ale jeśli jest to rozmowa na odległość ponad stu sześćdziesięciu kilometrów, sygnał przekazywany jest zwykle z linii naziemnych do generatorów mikrofalowych, a z generatorów można przechwycić go drogą satelitarną, tak?

- Tak. Satelita nie namierzy sygnału przesyłanego kablem. Można to zrobić, zakładając zwykły podsłuch, ale trzeba wiedzieć, na którą linię.

- Ci z Prometeusza musieli znać rozkład kwatery głównej - myślał głośno Bryson. - Mimo środków ostrożności podjętych przez Wallera lotnisko było pod stałą obserwacją. Tak, na

pewno... A telefony na lotnisku można łatwo podsłuchać.

- Waller... Dzięki Bogu, że wyjechał. Musimy się z nim skontaktować.

- Chryste. Pewnie już wie. Ale Chris...

- Boże, Chris! - Elena zasłoniła sobie oczy. - I Layla.

- I dziesiątki innych. Ja ich nie znałem, ale ty zdążyłaś się z nimi zaprzyjaźnić.

Bez słowa kiwnęła głową i opuściła rękę. W oczach miała łzy.

- Dobrali się do sieci elektrycznej i podłożyli ładunki. I w kwaterze, i pod nią. Plastik. Tak, na pewno plastik. Przekupili kogoś. Bez pomocy z wewnątrz nic by z tego nie wyszło. Dyrektoriat był o krok od zdekonspirowania Prometejan, dlatego musieli was zneutralizować. Najpierw wysłali mnie, niewykluczone, że wraz z wieloma innymi, a kiedy plan spalił na panewce, postanowili zaatakować otwarcie. - Zacisnął powieki. - Bez względu na to, co knują, jest to dla nich koszmarnie ważne.

Dlatego nawiązanie bezpośredniego kontaktu z lordem Milesem Parmore'em, głównym zwolennikiem traktatu, nie wchodziło teraz w rachubę: zamiast dostarczyć informacji, wzmogłoby tylko czujność przeciwnika; ludzie tacy jak on byli dobrze strzeżeni, wyczuleni na podstęp i wszelki kamuflaż. Co więcej, instynkt podszeptował Brysonowi, że Parmore nie ma z tym nic wspólnego. Był jedynie pionkiem, osobą publiczną, pilnie obserwowaną, dlatego niezdołną do zakulisowych gier. Nie, to nie on pociągał za sznurki. „Lalkarzem” musiał być ktoś inny, ktoś z jego najbliższego otoczenia, ktoś bezpośrednio z nim związany. Związany, ale jak? W jaki sposób?

Spiskowcy z Prometeusza byli zbyt przebiegli i dokładani, żeby powiązań tych nie zataić. Dokumenty, akta, teczki, zapisy - dane zostały albo zmienione, albo całkowicie wymazane, tak że nawet wnikliwe śledztwo nie ujawniłoby sprawców, tych, którzy pociągają za sznurki skaczących po scenie marionetek. Zdradzić ich mogło jedynie to, czego już nie było: brakujące dane, wymazane w ewidentny sposób. Tylko jak je odnaleźć? Przypominało to szukanie igły w stogu siana.

Nick wpadł na pomysł, żeby pogrzebać w przeszłości. Z doświadczenia wiedział, że prawdy należy szukać właśnie tam, w starych księgach i kronikach, w zapiskach, do których rzadko kto zagląda, które trudno zmienić.

Teoria i tylko teoria zaprowadziła ich tego dnia do British Library w St. Pancras, gmachu z lśniącej w porannym słońcu, ręcznie wytwarzanej cegły z Leicester. Przeszli przez plac, minęli wielki brązowy posąg Newtona autorstwa sir Eduardo Paolozziego i znaleźli się w przestronnym holu. Idąc, Nick uważnie obserwował twarze napotykanych ludzi, szukając wśród nich kogoś, kogo mógłby znać. Musiał założyć, że czujki Prometejan wiedzą już o jego przyjeździe do Londynu, choć dotąd nie dostrzegł nikogo podejrzanego. Szerokimi, trawertynowymi schodami weszli do głównej czytelnicy - dziesiątki dębowych stołów, na każdym stole lampa - skręcili w prawo, otworzyli dyskretnie ukryte drzwi i znaleźli się w ciasnym, lecz przytulnym gabinecie, który zarezerwowali telefonicznie przed wyjściem z domu. Dwa wygodne fotele, dwa biurka o wyłożonych zieloną skórą blatach - przypominało to trochę stary angielski klub.

W ciągu godziny zgromadzili większość niezbędnych materiałów, czyli sprawozdań, protokołów i stenogramów z obrad Parlamentu. Wielu z tych ciężkich, opastych, oprawionych w czarne okładki tomów nie otwierano od lat i kiedy przewracało się kartki, bił z nich lekki zapach kurzu i stęchlizny. Przeglądali je pod ściśle określonym kątem: czy kiedykolwiek przedtem członkowie parlamentu dyskutowali o zagrożeniach społecznych, swobodach obywatelskich i o potrzebie powszechnego nadzoru społecznego? Wynotowywali fakty, niejasne wzmianki, nazwiska, nazwy miejscowości. Liczyło się wszystko, ważny był nawet najmniejszy ślad.

Elena pierwsza wypowiedziała na głos nazwisko Vere'a. Rupert. Uosobienie politycznego umiarkowania, człowiek cichy, nie rzucający się w oczy, lecz również - co jednoznacznie wynikało z lektury - wytrawny gracz i mistrz parlamentarnych procedur. Czy to możliwe? Czy warto zaufać intuicji?

Rupert Vere, członek Parlamentu z okręgu Chelsea, był brytyjskim ministrem spraw

zagranicznych.

Bryson przeszedł jego zawilą karierę za pośrednictwem miejscowych gazet, które poświęcając mniej miejsca wydarzeniom wagi państwowej i międzynarodowej, zajmowały się głównie sensacyjkami i przypadkowymi szczegółami. Lektura dziesiątek artykułów i artykułików, przekładanie setek kruchych, poźółkłych ze starości kartek, było zajęciem żmudnym i otepiającym. Wiele razy ogarniało go rozdrażnienie, wiele razy dochodził do wniosku, że czystym szaleństwem jest szukać klucza do spisku tam, gdzie mógł go znaleźć dosłownie każdy: w powszechnie dostępnych archiwach.

Mimo to wytrwał. Oboje wytrwali. Elena porównała ich pracę do tej, którą wykonywała dla Dyrektoriatu: w ciągłym elektronicznym szumie, w natłoku tysięcy bezużytecznych informacji mógł się kryć poszukiwany sygnał - cały problem w tym, jak go wychwycić.

Rupert Vere był absolwentem Brasenose College w Oksfordzie; choć ukończył studia z pierwszą lokatą, miał reputację leniucha, co mogło być tylko sprytną przykrywką. Felietonista z „Guardiana” odnotował, że Vere miał również wielki dar nawiązywania i utrzymywania przyjaźni, „dlatego jego wpływy - jak twierdził - sięgają daleko poza krąg przypisanej mu władzy”. Powoli, stopniowo, z mgły faktów *zaczai* się wyłaniać konkretny obraz: inicjując debaty polityczne, wabiąc przyjaciół i sojuszników, minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii od lat prowadził zakulisową grę, która miała na celu utworzenie drogi dla traktatu. Sam wychylał się bardzo rzadko, a jego powiązania z głównymi agitatorami były dobrze zakamuflowane.

Jego uwagę przykuła pozornie nieistotna notatka. Na poźółkłych kartkach „Evening Standard” z roku 1965 znalazł sprawozdanie z wyścigów wioślarskich w Pangbourne na Tamizie, w których brały udział najlepsze zespoły ze szkół średnich w całym kraju, zwięzłą, trochę niezręczną i zupełnie niewinną relację wydrukowaną małą, pięćcipółpunktową czcionką. Rupert Vere, wtedy uczeń szóstej klasy, startował w załodze Marlborough.

Podczas wyścigów wioślarskich w Pangbourne wyróżniły się osady dwójek i czwórek. Najlepszy czas dnia uzyskała osada osiemnastolatków z Sir William Borlase School (10 min 28 s), lecz równie dobrym wynikiem (10 min 35 s) mogą się poszczycić Mathews i Loake z silnej grupy szesnastolatków z St George's College, których zażarcie ścigała osada z Westminsteru. W kategorii czternastolatków równych sobie nie miały dwójki z Hereford Cathedral School (12 min 11 s i 13 min 22 s). Zasługujące na uznanie wyniki odnotowano również w jedynekach szesnastolatków. Rupert Vere (11 min 50 s) uzyskał trzynastosekundową przewagę nad drugim z kolei Milesem Parmore'em (obaj z Marlborough), podczas gdy David Houghton (13 min 5 s) wyprzedził rywali niemal o pół minuty. Rokujący duże nadzieje Parrish z St George's College (1? min 6 s) i Kellman z Dragon School (12 min 10 s) uplasowali się odpowiednio na czwartym i piątym miejscu. Zawodnicy młodsi ścigali się w Pangbourne na dystansie 1500 m. Zwycięzca w kategorii trzynastolatków, Dawson z Marlborough (8 min 51 s), zajął również zaszczytne drugie miejsce w wyścigu czternastolatków i ostatecznie ukończył zawody na piątym miejscu, tuż za Goodeyem. Przeczytał notatkę jeszcze raz i wkrótce znalazł dwie inne, bardzo podobne do tej pierwszej. Vere wiosłował dla Marlborough w osadzie ósemek. Z kim? Z Milesem Parmore'em.

Tak. Minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, członek Parlamentu z Chelsea, gorący zwolennik Międzynarodowego Traktatu o Powszechnej Kontroli i Bezpieczeństwie, był kolegą z osady i starym przyjacielem lorda Milesa Parmore'a.

Czyżby znaleźli właściwego człowieka?

Nowy Pałac Westminsterski - lepiej znany jako gmach brytyjskiego Parlamentu - to instytucja do cna angielska choćby tylko dlatego, że jest mieszaniną prastarej i nowoczesnej architektury. Królewski pałac stał w tym miejscu już od czasów Kanuta Wielkiego, lecz to Edward Wyznawca i jedenastowieczny władca Wilhelm Zdobywca ziścili odwieczne marzenie o królewskim splendorze i szczodropliwości. Historyczna ciągłość, równie namacalna, jak Magna Charta, była tu widoczna niemal na każdym kroku



-podobnie jak jej brak. Gdy w połowie dziewiętnastego wieku pałac odbudowano, jego kształt architektoniczny został uznany za szczytowe osiągnięcie stylu neogotyckiego, dzieło genialnych architektów, którzy płynnie połączyli elementy starożytne z nowoczesnymi, za wspaniałą wizję, która ożyła ponownie podczas drugiej wojny światowej, gdy hitlerowskie bombowce zniszczyły gmach Izby Gmin. Starannie odrestaurowany, choć w nieco bardziej stonowanym i późniejszym gotyku, był repliką repliki.

Gmachy brytyjskiego Parlamentu stoją dziś przy Parliament Square, jednym z najruchliwszych placów w Londynie, mimo to zachowały swoją dumę i wyniosłość. W „nowym pałacu” roi się od ludzi. Jest w nim niemal tysiąc dwieście pomieszczeń i trzy tysiące dwieście metrów różnych przejść. Te części gmachu, z których korzystają członkowie Parlamentu, oraz te, które regularnie odwiedzają turyści, są doprawdy imponujące, ale jest tam również wiele innych sal, wnętrz, których choćby ze względów bezpieczeństwa nie udostępnia się zwykłym śmiertelnikom. Jednakże plany tych wnętrz można znaleźć w archiwach. Bryson poświęcił bite dwie godziny na ich zbadanie, a gdy skończył, ciąg prostokątnych kształtów ułożył się w jego głowie w szczegółowy schemat, w superdokładny plan rozkładu sal, pomieszczeń i korytarzy. Wiedział teraz, gdzie jest Peers' Library, Prince's Chamber i Speaker's Residence, gdzie kwateruje Sergeant-at-Arms, wiedział, jaka odległość dzieli te pomieszczenia i jak długo musiałby iść z holu Izby Gmin do pierwszego z ministerialnych gabinetów. Przed epoką centralnego ogrzewania ściany zewnętrzne izolowano od wewnętrznych warstwą powietrza, pozostawiając między nimi wolną, najczęściej niewykorzystywaną przestrzeń. Zakładano również, że gmach tej wielkości będzie nieustannie odnawiany i remontowany i żeby widok uwalanych wapnem robotników nie gryzł się z widokiem wspaniałych, bogatych wnętrz, zaprojektowano dla nich specjalne korytarze i przejścia. Zarówno funkcjonowanie rządu, jak i płynne funkcjonowanie najwyższego ciała ustawodawczego wymagało wielu sekretnych sal, przejść i przesmyków.

Tymczasem Elena ślęczała nad szczegółami z życia Ruperta Vere'a. W trakcie lektury jej uwagę zwróciła króciutka wzmianka w jednej z gazet: jako szesnastolatek Vere wygrał konkurs krzyżówkowy „Sunday Timesa”. Był graczem, co do niego pasowało, tyle tylko że gra, w którą grał, bynajmniej nie należała do trywialnych.

O piątej rano przed gmachami Parlamentu pojawił się mężczyzna w znoszonej skórzanej kurtce i w ciemnych plastikowych okularach - wyglądał na turystę, który spacerując, próbuje zwalczyć monstrualnego kaca. Przystanął przed czarnym pomnikiem Cromwella naprzeciwko St. Stephen's Entrance i przeczytał starannie wykaligrafowany napis: „Pakunki formatu A4 i większe, wyłączając kwaty, wnosi się wejściem Rod's Garden Entrance”. Turysta minął Peer's Entrance i odnotowawszy jego położenie względem innych wejść, przeszedł pod rozłożystymi kasztanowcami, dyskretnie zerkając na kamery systemu bezpieczeństwa rozlokowane na wysokich, zakapturzonych słupach. Wiedział, że stołeczna policja ma ich w mieście trzysta, że służą głównie do nadzorowania ruchu ulicznego, że każda ma swój numer i że wprowadziwszy ten numer do komputera, upoważniona do tego osoba może obejrzeć dowolny fragment londyńskiej ulicy, powiększyć wyraźny, kolorowy obraz, a nawet obrócić kamerę w lewo czy w prawo. Za ich pośrednictwem policja była w stanie namierzyć uciekających samochodem przestępców i śledzić przechodniów bez ich wiedzy. Za duże ryzyko - turysta uznał, że nie powinien przebywać tam zbyt długo.

Przyjrzał się czterokondygnacyjnej galerii, porównując jej wygląd ze szczegółami archiwalnych planów, przekształcając abstrakcyjne dane metryczne w konkretne spostrzeżenia, błyskawicznie i bez wysiłku je zapamiętując. Była to jedna z pierwszych i chyba najcenniejszych nauk Wallera: „W terenie liczy się tylko mapa, którą masz w głowie”.

Zegarowa wieża św. Stefana na pomocnym krańcu gmachu miała dziewięćdziesiąt sześć metrów wysokości. Wieża Wiktorii na krańcu południowym była nieco szersza, lecz

niemal równie wysoka. Na widocznym między nimi dachu jeżyły się rusztowania - trwał niekończący się remont elewacji - a sześć metrów od wieży Wiktorii biegły schody. Turysta ruszył niespiesznie w kierunku Tamizy. Na rzece kotwiczyło kilka łodzi, turystycznych statków pasażerskich i kutrów remontowych. Na burcie jednego z nich widniał napis: SERWIS OLEJOWO-PALIWOWY. Odnotował to w pamięci.

Plan został ułożony, harmonogram ustalony. Nick wrócił do hotelu, przebrał się, po czym jeszcze raz omówił wszystko z Eleną. Chociaż długo nad tym dyskutowali, wciąż dręczyła go niepewność. W planie było sporo luk, które musieli wypełnić zaimprovizowanymi na miejscu pomysłami, a im więcej nieprzewidzianych zdarzeń, tym większe prawdopodobieństwo fiaska. Ale teraz nie mieli już wyboru.

Elegancki dwurzędowy garnitur w jodełkę, okrągłe okulary w rogowej oprawie - Bryson, a według przepustki Nigel Hilbreth, wszedł schodami do sali obrad Izby Gmin i zajął miejsce na galerii. Miał znudzoną twarz, misternie rozdzielone przedziałkiem płowe włosy i starannie przystrzyżone wąsy. Wyglądał jak typowy urzędnik państwowy średniego szczebla, nawet pachniał jak oni - zadbał o to, skrapiając się wodą kolońską Penhaligon's Blenheim, którą kupił przy Wellington Street. Zapach - to Waller zwrócił jego uwagę na ten rzadko omawiany i uwzględniany aspekt kamuflażu. Ilekroć Nick wyjeżdżał z misją do Azji Wschodniej czy do krajów arabskich, na kilka tygodni przedtem zawsze powstrzymywał się od jedzenia mięsa i produktów mlecznych, gdyż Azjaci, których dieta składała się głównie z ryb i soi, twierdzili, że Europejczycy mają charakterystyczny „mięsny” zapach. Zmiana zapachu ciała była z pozoru rzeczą mało ważną, jednak Bryson wiedział, że tego rodzaju błahostki często pozwalają odróżnić swego od obcego.

„Nigel Hilbreth” postawił na podłodze małą, czarną walizeczkę i spokojnie obserwował przebieg obrad. Poniżej, na długich ławach obitych zieloną skórą, siedzieli członkowie Parlamentu, z rzadko wśród nich spotykaną uwagą przeglądając dokumenty w świetle małych lamp zwisających z sufitu na przydługich kablach. Było to niezgrabne rozwiązanie problemu, którego inaczej rozwiązać się po prostu nie dało. Urzędujący ministrowie zasiadali na ławach po prawej stronie, przedstawiciele opozycji po lewej, a wzdłuż ścian ciągnął się rząd stromych galerii z ciemnobrązowego, misternie rzeźbionego drewna.

Bryson przyszedł w połowie nadzwyczajnej, pilnie zwołanej sesji, lecz dobrze znał temat obrad. Nad tym obradowały lub właśnie skończyły obradować niemal wszystkie rządy świata: międzynarodowy traktat o powszechnej kontroli i bezpieczeństwie. Jednakże w tym przypadku bezpośrednim powodem pośpiesznych narad był straszliwy zamach u Harrodsa: w godzinach największego ruchu banda radykalnych odszczepieńców z Sinn Fein zdetonowała tam bombę odłamkową, która zabiła i raniła setki osób. Czyżby i tę zbrodnię zainicjowali i potajemnie sfinansowali Prometejanie?

Po raz pierwszy widział Ruperta Vere'a na żywo. Pięćdziesięciosześcioletni minister spraw zagranicznych robił wrażenie dużo starszego, jednak łatwo było spostrzec, że jego oczy, małe i ruchliwe, widzą wszystko. Bryson zerknął na zegarek. Kolejny rekwizyt: gruby, stary czasomierz od McCallistera i Syna.

Przed pół godziną znudzony Nigel Hilbreth przywołał posłańca i poprosił go o przekazanie ministrowi spraw zagranicznych niezbyt pilnego rządowego dokumentu. Vere miał go lada chwila otrzymać i Nick chciał zobaczyć jego minę. W kopercie tkwiła pojedyncza kartka papieru z tekstem ułożonym przez Elenę na wzór hasła z angielskiej krzyżówki:

„Przewidujący nie przewidział, że skończy w maści. Trudne? Do zobaczenia w pańskim gabinecie podczas przerwy”.

Odpowiedzi na tę zagadkę Vere zlekceważyć nie mógł, przynajmniej taką mieli nadzieję. Kopertę dostarczono mu w trakcie przemówienia posła z opozycji, który rozwodził się nad zagrożeniami dla swobód obywatelskich wynikającymi z ratyfikacji traktatu. Vere otworzył ją, przeczytał list, podniósł głowę i spojrzał prosto na Brysona. Miał spiętą, choć nieprzeniknioną twarz. Z trudem zachowując zimną krew i obojętną, znudzoną minę, Nick dopiero po dłuższej chwili zdał sobie sprawę, że minister nie patrzy na niego, tylko w dal, przed siebie, na wszystkich i na nikogo w szczególności. Gdyby się czymś zdradził,

musiałby natychmiast przerwać misję: tak nakazywały założenia operacyjne. Nie ulegało wątpliwości, że Prometejanie znają jego rysopis, lecz istniał cień szansy, że nie wiedzą o Elenie, że są przekonani, iż zginęła w eksplozji, która zniszczyła kwaterę Dyrektoriatu w Dordogne.

Dlatego ustalili, że to właśnie ona nawiąże z nim kontakt. Już zaraz, za dziesięć minut. Od tego, co zdarzy się potem, zależało dosłownie wszystko.

Ministrowie brytyjskiego gabinetu urzędują w Whitehall, lecz minister spraw zagranicznych, jako tytułarny zwierzchnik Foreign Office i Com-monwealth Office, ma swoją siedzibę przy King Charles Street. Jednakże ze względu na konieczność częstych i długich rozmów z członkami Parlamentu, Vere miał również gabinet tu, pod szerokim, łagodnie opadającym dachem Pałacu Westminsterskiego, ledwie pięć minut drogi od sali obrad Izby Gmin. Pomieszczenie to było znakomitym miejscem do omawiania spraw pilnych, delikatnych i wymagających spokojnej, zacisznej atmosfery.

Czy Vere zgodzi się przyjąć Elenę, czy zaskoczy ich nagłą, zupełnie nieprzewidzianą reakcją? Nick założył, że minister będzie zaciekawiony, zaintrygowany, że zaraz po ogłoszeniu przerwy wróci do gabinetu. Ale mógł też spanikować lub z takich czy innych powodów pójść gdzie indziej, dlatego Bryson postanowił go śledzić. Wiedząc już, jak wygląda, bez trudu odszukał go w tłumie parlamentarzystów i w bezpiecznej odległości szedł za nim schodami i kruzgankami, mijając po drodze popiersia dawnych premierów. Gdy Vere skręcił w korytarz prowadzący do gabinetu, Nick przystanął: gdyby poszedł dalej, zwróciłby na siebie uwagę.

Osobistą sekretarką Ruperta Vere'a była Belinda Headlam, tęgawa kobieta w wieku sześćdziesięciu kilku lat, o siwych, upiętych w kok włosach.

- Ta pani mówi, że jest umówiona - szepnęła, gdy minister wkroczył do poczekalni. - Twierdzi, że wysłała do pana jakiś... list?

Vere spojrzał na siedzącą na sofie Elenę. Dobrze zadbała o swój wygląd: granatowy zakiet, mały, acz dobrze widoczny dekolt, upięte z tyłu lśniące włosy, błyszczące usta - wyglądała oszałamiająco, jednocześnie bardzo profesjonalnie.

- Tak, owszem. - Uniósł brwi, uśmiechnął się drapieżnie i podszedł bliżej. - Chyba się nie znamy, ale muszę przyznać, że mnie pani zaintrygowała. To znaczy pani list.

Zaprosił ją do małego, ciemnego, lecz ze smakiem urządzonego gabinetu, usiadł za biurkiem, wskazał jej skórzany fotel i przez chwilę przekładał jakieś dokumenty czy listy. Elena czuła, że próbuje ją ocenić, rozgryźć, traktuje ją nie jak przeciwniczkę, lecz jak potencjalną zdobycz.

- Widzę, że pani też lubi krzyżówki - powiedział w końcu. - „Przewidujący nie przewidział, że skończy w maści”. „Prometeusz”, prawda? „Prometeusz” to po grecku „przewidujący”. Krople jego krwi spadły na maść, którą Medea dała Jazonowi, dzięki czemu jego ciało stało się odporne na ogień, ostrza i groty. - Przeszył ją wzrokiem. - Czemu zawdzięczam tę miłą wizytę, panno...

- Goldoni. - Wciąż mówiła z obcym akcentem, dlatego nie mogła podawać się za Angielkę czy Amerykankę. Sondowała go wzrokiem. Zamiast udać, że nie rozumie, o co chodzi, wypowiedział to słowo bez cienia niepokoju, strachu czy choćby lekkiego zdenerwowania. Jeśli grał, musiał być znakomitym aktorem, co wcale by jej nie zdziwiło: nie zaszedłby tak daleko bez umiejętności zakładania coraz to nowych masek.

- Czy ten gabinet jest czysty? - Spojrzał na nią nic nie rozumiejącym wzrokiem, mimo to konsekwentnie parła naprzód. - Wie pan, kto mnie przysłał. Proszę wybaczyć, że nie nawiązaliśmy kontaktu w umówiony sposób, ale właśnie dlatego przysłałam. To bardzo pilna sprawa. Dotychczasowe środki łączności zostały prawdopodobnie zdekonspirowane.

- Słucham? - rzucił wyniośle.

- Nie może pan używać dotychczasowych szyfrów - mówiła, uważnie obserwując jego twarz. - To bardzo ważne, zwłaszcza że już wkrótce Prometeusz ma wkroczyć do akcji. Skontaktuję się z panem, gdy sytuacja wróci do normy.

Tolerancyjny uśmiech zniknął, Vere spoważniał. Odchrząknął, wstał i rzekł:

- To jakiś głupi dowcip. Wybacz pani, ale...

- Nie! - przerwała mu natarczywym szeptem. - Zdekonspirowano wszystkie kryptosystemy. Nie można na nich polegać! Zmieniam kody i szyfry. Musi pan poczekać na dalsze polecenia.

Po zawodowym czarze nie było już śladu.

- Proszę stąd natychmiast wyjść! - warknął głośno z hardą twarzą. Czyżby w jego głosie zabrzmiała nutka paniki? Czyżby rozdrażnieniem kamuflował strach? - Uprzedzam, że zawiadomię policję. Jeśli jeszcze raz przekroczy pani próg tych sal, popełni pani wielki błąd.

Chciał wcisnąć guzik interkomu, lecz zanim zdążył to zrobić, otworzyły się drzwi i do gabinetu wszedł szczupły mężczyzna w tweedowym garniturze. Elena rozpoznała jego twarz z materiałów, które ostatnio przeglądali: był to wiceminister Simon Dawson, wieloletni współpracownik Vere'a, najstarszy członek jego sztabu.

- Rupes - powiedział, leniwie przeciągając sylaby. - Przepraszam, ale przypadkowo się podsłuchałem. Czy ta pani sprawia ci jakiś kłopot? - Ze swymi rudawymi włosami i policzkami zaróżowionymi niczym dojrzewające jabłko niepokojąco przypominał czterdziestokilkuletniego ucznia.

Vere'owi wyraźnie ulżyło.

- Szczerze mówiąc, tak - odrzekł. - Przyszła tu i plecie o jakimś Prometeuszu, o kryptach, szyfrach i kodach. „Już wkrótce Prometeusz ma wkroczyć do akcji”. Czysty obłąd! Trzeba zgłosić to w MI-5. Ta kobieta stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa publicznego.

Elena cofnęła się o kilka kroków i spoglądała to na ministra, to na jego zastępcę. Coś tu nie grało. Dawson zamknął za sobą drzwi. To nie miało sensu.

Chyba że...

Dawson wyjął z kieszeni płaski browning z tłumikiem.

- Chryste, Simon, po co ten pistolet? - spytał Vere. - To zupełnie niekonieczne. Jestem pewien, że ta kobieta ma dość rozsądku, żeby wyjść stąd dobrowolnie. - Na jego twarzy widać było zaskoczenie, konsternację i strach.

Długie palce Dawsona spoczęły z wprawą na osłonie spustu. Elena rozejrzała się rozpaczliwie, wypatrując czegoś, czym mogłaby odwrócić jego uwagę, szukając drogi ucieczki.

Dawson popatrzył jej prosto w oczy, a ona wytrzymała jego spojrzenie dumnie, odważnie, niemal wyzywająco, jakby chciała sprowokować go do strzału. Nagle pociągnął za spust. Sparaliżowana przerażeniem, widziała, jak pistolet podskakuje mu w dłoni. Cmoknął tłumik, na mocno wykrochmalonej, białej koszuli Vere'a wykwitła szkarłatna plama i minister runął na wschodni dywan.

Morderca spojrział na Elenę z lekkim, lodowatym uśmiechem na ustach.

- Co za nieszczęście - powiedział. - Że też musiałem przerwać tak wybitną, tak błyskotliwą karierę. Ale nie dała mi pani wyboru. Za dużo mi pani powiedziała. To bardzo inteligentny człowiek, szybko by sobie wszystko pokojarzył, a przecież nie mogłem do tego dopuścić. To chyba zrozumiałe, prawda? - Podeszedł bliżej, jeszcze bliżej, stanął tak blisko, że czuła na twarzy jego wilgotny oddech. - Rupes był leniwy, ale nie głupi. Gawędziła z nim pani o Prometeuszu? Ciekawe po co? I dlaczego? Zresztą nieważne. Lepiej porozmawiajmy o pani, dobrze?

Boże, Simon Dawson! Natrafiła na to nazwisko w notatce o wyścigach wioślarskich w Pangbourne. Młodszy kolega szkolny Vere'a, jego podopieczny i protegowany...

Błąd.

To nie Vere manipulował Dawsonem, to Dawson manipulował Ve-re'em!

Rupert Vere za bardzo rzucał się w oczy, dlatego powinni byli wykluczyć go spośród podejrzanych tak samo jak wykluczyli Milesa Parmore'a. Za sznurki pociągał stojący w cieniu Dawson, umiejętnie sterując swym przedsiębiorczym, znanym w świecie szefem.

- On o niczym nie wiedział... - szepnęła ni to do siebie, ni do niego.

- Rupes? Nie musiał, bezgranicznie mi ufał. Nikt nie dorównywał mu czarem, a my

potrzebowaliśmy czarującego popychadła. Potrzebowaliśmy, czas przeszły. Bo już go raczej nie potrzebujemy, prawda?

Elena zrobiła krok do tyłu.

- Podpisaliście traktat...

- Właśnie, dziesięć minut temu. Ale do rzeczy. Kim pani jest? Rupes nie zdążył nas sobie przedstawić. - Browning wciąż spoczywał w jego prawej dłoni. Dawson wyjął z butonierki płaskie, metalowe pudełeczko wielkości kalkulatora. - Zobaczmy, co powie nam sieć... - wymamrotał, podnosząc pudełeczko i celując nim w Elenę. Na ciekłokrystalicznym ekranie ukazała się jej twarz. Twarz drgnęła, zamigotała, rozmyła się we mgłę setek innych twarzy i nagle znieruchomiała: komputer dopasował do niej odpowiednik z bazy danych.

- Elena Petrescu - przeczytał Dawson. - Urodzona w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym w Bukareszcie. Jedyne dziecko Simony i Andreja Petrescu, słynnego rumuńskiego kryptografa. Aaaa... Bardzo intrygujące. Ewakuowana z Bukaresztu tuż przed zamachem stanu w osiemdziesiątym dziewiątym przez... Nicholasa Brysona. - Podniósł wzrok. - Jest pani jego żoną. Już rozumiem. Pracujecie w Dyrektoracie, oboje. Rozstaliście się na pięć lat... Kilka miesięcy przed rozstaniem kupiła pani... Zobaczmy... Tak, trzy zestawy owulacyjne. Próbowiła pani zająć w ciążę. Hmm, chyba nic z tego nie wyszło, prawda? Regularne sesje psychoterapeutyczne... Ciekawe. Nie radziła sobie pani z nieudanym małżeństwem czy z tym, że jest pani politycznym uchodźcą i agentką Dyrektoriatu?

Mówił cicho i spokojnie, co zupełnie nie pasowało do sytuacji. Chociaż nie odłożył pistoletu, zupełnie nie zwracał nań uwagi. Było w tym coś tak złowieszczonego, że Elena zdrząła.

- Znamy wasze plany - powiedziała.

- Nie szkodzi - odparł obojętnie.

- Chyba jednak szkodzi. Boicie się MI-5. Gdyby było inaczej, nie zabiłbyś Vere'a.

- CIA, MI-6, MI-5 i pozostałe agencje wywiadowcze zostały zneutralizowane. Z Dyrektoriatem trwało to trochę dłużej - może dlatego, że macie paranoidalnie złożoną strukturę organizacyjną - chociaż z drugiej strony to zabawne, bo dzięki tej samej konspiracyjności, która umożliwiła wam przetrwanie, zdołaliśmy wyeliminować was z gry. To dziwne, że dopiero teraz uświadomiliście sobie, że wasz czas minął, że nie jesteście już nikomu potrzebni. Strasznie długo to trwało. Narodowa Agencja Bezpieczeństwa jest kompletnie sparaliżowana: e-mailami, rozmowami, które próbuje podsłuchiwać, informacjami z Internetu. Boże święty, toż to relikwiny zimnej wojny! Jej szefowie nie wiedzą nawet, że Związek Radziecki już nie istnieje! Pomyśleć tylko, że kiedyś NSA była perłą amerykańskiego wywiadu, największą i najlepszą agencją w świecie! A CIA? Ludzie, którzy przypadkowo zbombardowali chińską ambasadę w Belgradzie, którzy nie mieli pojęcia, że Indie mają bombę atomową! Co za ignorancja! Im mniej się o nich mówi, tym lepiej. Agencje wywiadowcze należą już do przeszłości. Nic dziwnego, że tak żarliwie występowaliście przeciwko Prometeuszowi: jesteście jak dinozaury na próżno walczące z ewolucją. Ale w tym tygodniu cały świat dowie się, że ponieśliście całkowitą klęskę. Nad lądami i oceanami zapanuje nowy ład, a ludziom będzie się żyło bezpiecznie jak nigdy dotąd. - Spojrzał na pistolet. - Cóż, dobro większości wymaga ofiar. Już widzę te nagłówki w „Telegraph”: MINISTER SPRAW ZAGRANICZNYCH ZAMORDOWANY W SAMOBÓJCZYM ZAMACHU NIEZRÓWNOWAŻONEJ PSYCHICZNIE INTRUZKI. A „Sun” napisze że: ZABIŁA MINISTRA I POPEŁNIŁA SAMOBÓJSTWO. Do tego kilka pikantnych szczegółów z życia intymnego świętej pamięci ministra, ślady prochu na pani dłoniach...

Odkręcił tłumik, szybko i zwinnie jak puma zrobił dwa długie kroki, chwycił Elenę za nadgarstek, zacisnął jej palce na uchwycie browninga, błyskawicznie wykręcił rękę i przytknął lufę do jej skroni. Elena wierzgała, gwałtownie się szarpała, robiła wszystko, żeby pokrzyżować mu plany. Przeraził krzykiem, poczuła w sobie nową, potężną siłę, wolę przeżycia, która wzmacniała mięśnie, dodając im sprężystości i wytrzymałości. Wiła

się jak wąż, młóciła na oślepie rękami, gdy wtem dobiegł ją czyjś głos.

Głos Brysona.

- Dawson, co ty, do licha, robisz? To jedna z naszych!

Otworzyła się szafa i do gabinetu wszedł Nick, który w przebraniu urzędnika Whitehall - peruka, wąsy, okulary - prawie zupełnie nie przypominał Brysona, którego dotychczas znała. Garnitur miał zakurzony i najeżony drzazgami, co oznaczało, że dostał się tu, pełzając ciasnymi, mrocznymi przejściami.

- Przysłał ją sam Jacques Arnauld!

- Co... Kim ty, do diabła, jesteś? - wykrztusił niepewnie Dawson. Odwracając się, na chwilę rozluźnił uchwyt. Elena błyskawicznie odskoczyła w bok, wyszarpnęła mu browninga i rzuciła go Nickowi.

Ten chwycił broń w locie i ujawszy ją obiema rękami, wycelował w wiceministra.

- Ani kroku - ostrzegł - albo znajdą cię obok Vere'a. Dawson zastygł bez ruchu. Łypnął spode łba na Brysona i przeniósł wzrok na Elenę.

Nie opuszczając pistoletu, Nick podszedł trochę bliżej.

- Mamy do ciebie kilka pytań. Dobrze by było, gdybyś odpowiedział na nie szczerze i wyczerpująco.

Dawson z niesmakiem pokręcił głową i zaczął się powoli cofać.

- Myślisz, że mnie zastraszyacie? Nic z tego, popełniacie żaloszny błąd. Planowaliśmy tę akcję od ponad dziesięciu lat. Prometeusz to coś więcej niż jeden człowiek czy nawet cały naród...

- Stój! - krzyknął Bryson. Dawson był coraz bliżej Eleny.

- Możesz mnie zabić - mówił - ale to niczego nie zmieni ani nawet nie opóźni. Z pistoletu, który trzymasz, zastrzelono mojego starego przyjaciela: jeśli jesteś głupi na tyle, żeby zabić z niego i mnie, policja będzie cię ścigać za podwójne morderstwo. Uczciwie cię ostrzegam, że gabinet jest na podsłuchu i że kiedy tylko odkryłem, co knuje twoja przyjaciółka, zadzwoniłem na Grosvenor Square po oddział Alfa. Na pewno o nich słyszałeś.

Bryson milczał.

- Zaraz tu będą. Myślę, że wchodzi już do budynku. Ty przeklęty sukinsynu! - Z tymi słowami skoczył ku Elenie, chwycił ją za szyję i wbił kciuki w gardło. Jej przeraźliwy krzyk gwałtownie przeszedł w zdławiony charkot.

Nick pociągnął za spust. Rozległ się ogłuszający huk i na czole Dawsona, tuż pod linią włosów, wykwitła owalna plamka czerwieni. Wiceminister upadł na podłogę z dziwnie stężałą twarzą.

- Szybko! - rzucił Bryson. - Obszukaj go. Zabierz palmtop, portfel i całą resztę.

Elena przykucnęła, krzywiąc się z odrazy, obszukała zwłoki, a potem weszła do szafy, w której Nick zdemontował tylną ściankę.

Jako wieloletnia sekretarka ministra spraw zagranicznych Ruperta Vere'a, Belinda Headlam dobrze znała wagę i znaczenie dyskrecji. Wiedziała, że minister prowadzi w gabinecie bardzo delikatne rozmowy, podejrzewała również, że wykorzystuje ten przybytek do innych, znacznie intymniej szych celów. Nie dawniej niż przed rokiem musiała przerwać mu spotkanie z młodą urzędniczką z ministerstwa rolnictwa: otrzymawszy pilną wiadomość od premiera, weszła do gabinetu i natychmiast stwierdziła, że panienska ma rozczochrane włosy i że dziwnie się czerwieni. Przez kilka dni Vere był dla niej szorstki i niemły, jakby czymś go uraziła czy sprawiła mu przykrość, ale wkrótce wszystko wróciło do normy. Wiedziała, że mężczyźni mają swoje słabości. Cóż, ostatecznie wszyscy je mieli.

Minister Vere był wybitnym politykiem, jednym z najbardziej rzutkich i uzdolnionych członków gabinetu - tak pisali o nim na pierwszej stronie „Expressu” - dlatego była zaszczycona, że wybrał ją na swoją osobistą sekretarkę. Jednakże tym razem coś tu wyraźnie nie grało. Krążyła po sekretariacie, załamując ręce i umierając z niepokoju, wreszcie doszła do wniosku, że nie może dłużej zwlekać. Na żądanie ministra ściany

gabinetu wyłożono dźwiękochłonnymi płytami, lecz ten hałas, ten przytłumiony huk do złudzenia przypominał odgłos wystrzału. Czy to w ogóle możliwe? A jeśli tak? Jeśli ktoś tam strzelał? Jeśli minister jest ranny i potrzebuje pomocy? Owszem, był z nim Simon Dawson, ale nigdy dotąd tak długo nie rozmawiali. No i ta wyzywająco ubrana kobieta od listu. Było w niej coś dziwnego. Minister patrzył na nią bardzo łapczywym wzrokiem, jednak ona nie wyglądała na taką, co to odwiedza mężczyzn w wiadomym celu.

Tak, coś tu nie grało, i to zdecydowanie.

Belinda usiadła, wstała, podeszła do drzwi i głośno zapukała. Odczekała pięć sekund, zapukała ponownie i przekręciła klamkę.

- Bardzo pana przepraszam, ale...

Urwała i przeraźliwie krzyknęła.

Widok był tak wstrząsający, że upłynęła niemal minuta, zanim doszła do siebie i zawiadomiła ochronę.

Sierżant Robby Sullivan z wydziału stołecznej policji odpowiedzialnego za bezpieczeństwo Pałacu Westminsterskiego bardzo dbał o sylwetkę - codziennie rano zawzięcie biegał, i to bitą godzinę - dlatego krzywo patrzył na kolegów, którym z biegiem lat zaokrągliły się brzuchy: można by sądzić, że z rozmysłem lekceważyli służbę. Robby pracował w pałacu od siedmiu lat. Do jego obowiązków należało usuwanie intruzów, dbanie o ład i porządek. Chociaż jak dotąd nie przydarzyło mu się nic nadzwyczajnego - ot, ledwie kilka drobnych incydentów - wieloletnie zagrożenie ze strony Irlandzkiej Armii Republikańskiej nauczyło go czujności i szybkiego reagowania w sytuacjach, które tego wymagały.

Jednakże na to, co zobaczył w gabinecie ministra spraw zagranicznych, przygotowany nie był. Natychmiast zawiadomił Scotland Yard, poprosił ich o posiłki, następnie wraz ze swym zastępcą, rudowłosym konstabłem Brykiem Belsonem, zabezpieczył gabinet i u stóp wszystkich schodów postawił policjanta. Z tego, co mówiła pani Headlam, wynikało, że w gmachu Parlamentu wciąż grasuje zabójca, a raczej zabójczyni, sęk tylko w tym, że nie wiedzieli, w jaki sposób zdołała wyjść z gabinetu, nie przechodząc przez sekretariat. Tak czy inaczej, Robby postanowił, że morderczyni daleko nie uciekną - nie na jego służbie. Dobrze znał procedurę postępowania, regularnie zaliczał szkolenia, symulacje i ćwiczenia. Ale tym razem wszystko działało się naprawdę. Przypominała mu o tym krząca we krwi adrenalina.

Powietrze w długim, ciemnym, raz wysokim, raz niskim korytarzu było martwe, stęchłe i nieruchome. Bryson i Elena poruszali się szybko, lecz cicho, to na czworakach, to niezdarnie pochyleni, to zupełnie wyprostowani. Nick niósł walizeczkę: trochę mu przeszkadzała, jednak mogła im się bardzo przydać. Mrok rozpraszały jedynie promienie światła wpadające przez szpary w deskach, połączonych na czopy belkach i w niebezpiecznie trzeszczącej podłodze. Przechodzili między gabinetami, biurami, holami i składzikami, słysząc głosy raz cichsze i bardziej stłumione, innym razem głośniejsze i wyraźniejsze. W pewnym momencie Bryson usłyszał coś, co go zmroziło. Przystanął. Oczy zdążyły już przywyknąć do mroku - widział, że Elena też przystaje i patrzy na niego, nie wiedząc, co robić. Przytknął palec do ust i zajrzał przez szparę.

Zobaczył wojskowe buty amerykańskich marines, żołnierzy piechoty morskiej: przybył oddział Alfa, ich komitet powitalny. Zwykle stacjonowali przy Grosvenor Square i wraz z innymi żołnierzami strzegli gmachu ambasady i samego ambasadora. To, że weszli na teren brytyjskiego parlamentu, było bardzo niepokojące: ten świetnie wyszkolony oddział wkraczał do akcji jedynie na tajny, zaszyfrowany rozkaz najwyższych amerykańskich władz. Wyglądało na to, że bez względu na straszliwe plany Prometeusza - Dawson bredził coś o nowej generacji rządowego szpiegostwa - grupa do zadań specjalnych przybyła tu za wiedzą lub - co gorsza - bez wiedzy głównego lokatora Białego Domu.

Obłąd! Czysty obłąd! Prometejanom nie chodziło o zwykłe biurokratyczne zmiany czy rządowe przesunięcia. Oni prowadzili walkę, oficjalnie usankcjonowaną walkę o władzę, jakiej nikt sobie nie wyobrażał. Tylko od kogo chcieli ją przejąć? I jakim sposobem? Tuż

przed nimi w ścianę wbudowano coś, co przypominało metalową klatkę: ujście szybu wentylacyjnego. Przesunął palcami po siatce i wymacał zawiasy. Osłonięte filtrem powietrza drzwiczki były zamknięte. Nick wyjął z walizeczki długi, płaski śrubokręt, poluzował zawiasy, zdjął filtr i po chwili weszli do ciasnej, wyłożonej stalową blachą sztolni, gęsto ozebrowanej, opadającej stromo w dół i wibrującej od regularnych podmuchów powietrza.

- Prowadzi do Chancellor's Gate, a stamtąd do wieży Wiktorii. -Gdy to powiedział, w szybie zadudniło metaliczne echo. - Musimy dobrze nasłuchiwać.

Wiedział, że oddział Alfa nie jest liczny na tyle, żeby dokładnie przeczesać cały kompleks pałacowy: dwa olbrzymie gmachy, tysiąc dwieście pomieszczeń, ponad sto klatek schodowych i ponad trzy tysiące metrów korytarzy. Na pewno pomagali im inni, równie niebezpieczni agenci w cywilu, a ci mogli być dosłownie wszędzie. W głowie miał mętlik, mapy mieszały mu się z planami, plany z mapami - musiał to wszystko jakoś uprościć, uporządkować. Instynkt. Tak. Jeśli chcieli przeżyć, musiał zaufać instynktowi i doświadczeniu, które ten instynkt ukształtowało. Nie pozostawało mu nic innego.

Był pewien, że tamci zaczną od gabinetu Vere'a, że sprawdziwszy, któredy mogli zbiec, ułożą plan pościgu: ustalą trasy, porobią założenia, opracują warianty. Najoczywistsza droga ucieczki? Okno, lecz za oknem nie było ani liny, ani sprzętu alpinistycznego, którym mogliby się posłużyć. Sekretarka Vere'a przysięgnie, że z gabinetu nikt nie wychodził, jednak jaką mieli gwarancję, że cały czas siedziała za biurkiem, że ani na chwilę nie spuściła oczu z drzwi?

Tak więc ścigający musieli uwzględnić i to, że Elena wyszła na korytarz przez sekretariat, jednak czuł, że skupią uwagę na samym gabinecie i wkrótce odkryją - albo już odkryli - że tylna ścianka szafy jest poluzowana. Jeśli tak, najpewniej szli już za nimi i miał tylko nadzieję, że nie znając planów gmachu, pogubią się w labiryncie ciemnych przejść i ukrytych przełazów.

Niestety. Gdy tylko wyszli z szybu, usłyszał wyraźny odgłos kroków. Dochodził nie z zewnątrz, nie zza ściany, lecz z wewnątrz, z mrocznej sztolni. Tak, na pewno: ktoś za nimi szedł.

Elena chwyciła go za rękę, przytknęła usta do jego ucha i szepnęła:

- Słyszysz?

Bez słowa kiwnął głową.

Gorączkowo myślał. W kieszeni miał pistolet Dawsona, w walizeczce kilka innych narzędzi, które, choć mniej skuteczne, mogły mu się przydać w walce wręcz. Walka wręcz? Bzdura. Wiedział, że do żadnej walki nie dojdzie. Gdyby tamci ich zauważyli, natychmiast zaczęliby strzelać, nie tracąc czasu na zakładanie tłumików.

Jego uwagę przykuła kolejna szpara między belkami. Sączyło się przez nią ostre jarzeniowe światło. Jakiś składzik czy magazyn. Przetarte, zielone linoleum, dalej półki, na półkach puszki, butelki, proszki, szczotki... Pomacał po ścianie i natrafił palcami na krawędź sklejki, tylnej ścianki pakamery, z której można było wejść do składziku. Podważył ją śrubokrętem i poluzował - ścianka zatrzęszczała i ustąpiła. Zagracona pakamera, mała i ciasna. Światło wpadało przez szparę między drzwiami i podłogą.

Po cichu, powoli wszedł do środka. Wtem: głośny brzęk, metaliczny klekot. Chryste. Elena potrąciła wiadro z drewnianą szczotką. Zamarli. Nick podniósł rękę, dając jej znak, żeby ani drgnęła. Czekali. Nasłuchiwali. Serce waliło mu jak młotem.

Czas włókł się w nieskończoność. Minuta, dwie minuty. Wciąż cisza. Nick ostrożnie otworzył drzwi. W składziku nie było nikogo. Tylko to światło. Sprzątaczką? Wyszła, ale mogła w każdej chwili wrócić.

Podbiegli do drzwi. Były lekko uchylone. Bryson wystawił głowę, rozejrzył się po mrocznym korytarzu i szepnął:

- Zostań, zawołam cię.

Zrobił kilka kroków, minął stare wiadro z mokrym mopem i nagle sięgnął po zatkniętą za pasek broń. Ktoś ku niemu szedł.



Nie, to tylko stara sprzątaczką z wózkiem. Z ulgą opuścił rękę i ruszył w jej stronę, zastanawiając się, co powie, gdy ktoś go zagadnie. Był urzędnikiem. Oczywiście, cóż z tego, że w zakurzonej garniturze? Sprzątaczką. Ona też mogła mu pomóc.

- Przepraszam - zaczął, otrzepując ramiona.

- Zgubiłeś się, kochanieńki? - Miała dobrotliwą, pomarszczoną twarz i rzadkie, białe jak mleko włosy. Szczerze jej współczuł. Poruszała się niezdarne, z dużym wysiłkiem, była już za stara, żeby tak ciężko pracować. Mimo to oczy miała żywe i czujne.

Zgubił się? Oczywiście, pytanie było jak najbardziej na miejscu. Zgubił się, zablądził i przypadkowo wszedł do korytarza dla personelu technicznego. A może wieść o podwójnym morderstwie i o zbiegu - lub zbiegach - grasującym w gmachu Parlamentu dotarła aż tutaj? Nick gorączkowo myślał.

- Jestem ze Scotland Yardu - powiedział z akcentem typowego przedstawiciela niższej klasy średniej. - Szukamy kogoś. Może już pani słyszała?

- Eeee tam - odparła ze znużeniem staruszka. - To nie moja sprawa. Mam swoją robotę. - Postawiła wózek przy ścianie. - Mało to plotek tu krąży? - Otarła czoło czerwoną, mocno wypłowiałą chustką i podeszła bliżej. - Ale czy mogłabym o coś zapytać?

- Tak? - rzucił ostrożnie Bryson.

Staruszka otaksowała go zdumionym spojrzeniem i szepnęła:

- Jak to możliwe? Dlaczego ty jeszcze żyjesz? - Z tymi słowami wyjęła spod fartucha wielki, błyszczący błękitną stalą pistolet, wycelowała i pociągnęła za spust.

Nick błyskawicznie podniósł keplarową walizeczkę, zatoczył ręką ostry hak i ze wszystkich sił uderzył starą w przedramię. Pistolet zaklekotał na podłodze.

Z przeraźliwym krzykiem wiedźma przykucnęła, wykrzywiła usta, wyciągnęła przed siebie ręce z zakrzywionymi niczym szpony palcami, skoczyła na Brysona i powaliła go w chwili, gdy sięgał po browning. Stęknął z bólu. Chryste, to ci dopiero czarownica! - pomyślał, osłaniając twarz, żeby nie wydrapała mu oczu. Nagle zdał sobie sprawę, że jest znacznie młodsza, o wiele silniejsza, niż przypuszczał, że bardziej przypomina dziką bestię niż normalną kobietę. Dźgnęła go kciukiem w oko, wbiła mu kolano w krocze - na wpół oślepiony ryknął z bólu i zebraawszy wszystkie siły, przygniótł ją do podłogi. Miał zakrwawioną powiekę, mimo to wciąż widział, a to, co zobaczył, przyprawiło go o spazm strachu: wiedźma ścisnęła w rękę błyszczący sztylet o długim, wąskim ostrzu pokrytym czymś mokrym i lśniącem. Alkaloid. Toksyczny alkaloid. Najmniejsze drażnienie mogło doprowadzić do natychmiastowego paraliżu i śmierci przez uduszenie.

Ostrze świsnęło o kilka milimetrów od jego twarzy, tak że poczuł gorzki zapach trucizny. Odchylił głowę, lecz w tym samym momencie oszalała kobieta zaatakowała ponownie: stał musnęła koszulę, odcinając jeden z guzików. Nie mogąc sięgnąć po pistolet, wyteżył siły i w chwili gdy zabójczy sztylet zafurkotał w powietrzu, z szybkością szarżującej kobry wyrzucił przed siebie lewą rękę. Był to manewr pozornie sprzeczny i z instynktem, i z tym, co nakazywał zdrowy rozsądek, gdyż zamiast się bronić, szedł na spotkanie śmierci, lecz pozory często mylą: chwycił ją za nadgarstek, mocno zacisnął palce i ostrze znieruchomiło.

Zaskoczył ją, lecz tylko na ułamek sekundy. W normalnych okolicznościach górowałby nad nią siłą i zwinnością, ale nie zdążył jeszcze dojść do siebie po Shenzhen. Po prostu nie było na to czasu i dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo jest osłabiony. Poza tym już dawno nie walczył z tak zręczną i dobrze wyszkoloną przeciwniczką. Nie zabierając uzbrojonej w drżące ostrze ręki, wzięła zamach nogą i stalowym czubkiem buta ponownie kopnęła go w genitalia. Jęknął, omal nie zwymiotował z bólu.

Pchnął ją, przygwoździł do podłogi, zrywając jej z głowy perukę, odsłaniając czarne włosy i lateksową maskę na twarzy.

Zwarli się, szczepili ze sobą. Kobieta przeraźliwie krzyknęła i dziko wytrzeszczyła oczy. Była niesłychanie silna, miała wprawne, znakomicie skoordynowane ruchy. Próbowwała kopnąć go drugą nogą, lecz Nick ścisnął jej kolana swymi kolanami. W rękę wciąż trzymała śmiercionośny sztylet, on wciąż trzymał ją za nadgarstek - musiał zachować maksymalną ostrożność, gdyż mogło go zabić najmniejsze draśnięcie. Wiła się pod nim, rzucała, mimo to po kilku ciągnących się w nieskończoność sekundach zdołał odepchnąć jej rękę i skierować lepkie ostrze w stronę jej szyi. Kobieta zadrżała, wyteżyła siły, lecz na próżno: był od niej brutalniejszy, bardziej zdeterminowany. Czubek zatrutego sztyletu zbliżał się do gardła. Trzy centymetry, dwa, jeszcze tylko centymetr... Przerazona wiedźma zatrzepotała lateksowymi powiekami, wybałuszyła ślepią i w tym samym momencie ostrze delikatnie musnęło jej skórę.

Efekt był natychmiastowy. Stężały jej wargi, z ust pociekła ślina. Nagle zwiotczała i zaczęła rzucać się dziko na podłogę, bezdźwięcznie dysząc jak wyjęta z wody ryba. A potem, gdy ogarnął ją paraliż, powoli przestała oddychać i wreszcie znieruchomiała. W spazmatycznej agonii drgały jej tylko ręce.

Bryson odebrał jej sztylet. Wraz ze skórzaną pochwą, którą znalazł pod fartuchem, schował go do butonierki, głęboko odetchnął i ostrożnie dotknął zakrwawionej powieki. Usłyszał zdławiony krzyk i ze składziku wybiegła Elena. Ogarnięta paniką, przyklękła, ujęła w dłonie jego twarz i szepnęła:

- Boże! Twoje oko. Co to było? Jakaś trucizna?

- Alkaloid.

- Mogła cię zabić!

- Była silna i bardzo, bardzo dobra.

- Alfa?

- Prawie na pewno Prometeusz. W Alfie służą marines i ci z Fok. Nie. Moim zdaniem pochodziła z Bułgarii, może z byłej NRD, w każdym razie ze Wschodu.

- Stałam tam z założonymi rękami i czekałam. Boże, jak ja siebie nienawidzę!

- Mogła cię zranić albo wykorzystać jako zakładniczkę. Cieszę się, że nie wyszłaś.

- Och, Nick, jestem do niczego, nie masz ze mnie żadnego pożytku. Nie znam się na broni, nie umiem walczyć, nic nie umiem! *Draga mea*, musimy uciekać. Oni chcą nas zabić!

Bryson z trudem przełknął ślinę.

- Powinnyśmy się rozdzielić...

- Nie!

- Eleno, oni wiedzą już, że jest nas dwoje. Są świetnie wyszkoleni, wszędzie ich pełno. Zamordowano ministra spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii i rząd postawi na nogi wszystkie siły. Ruszą za nami nie tylko ci z Alfą i Prometeusza, ale i...

- W tym budynku są setki ludzi, w tłumie będzie bezpieczniej.

- Tłum sprzyja zabójcy, nie ofierze, zwłaszcza jeśli zabójca zna jej rysopis. Tych ludzi nie powstrzyma ani rozważa, ani roztropność, ani...

- Nie! Przepraszam cię, Nick, ale sama nie dam rady. Mogę ci pomóc na wiele sposobów, ale... Proszę! Błagam!

Nie, nie mógł jej zostawić w takim stanie - była zbyt przerażona.

- Dobra, ale będziemy musieli iść korytarzami, przejściami dla personelu technicznego. Szyby wentylacyjne i przesmyki między ścianami są zbyt niebezpieczne, pełno w nich agentów i żołnierzy. Jeśli chcemy mieć jakąkolwiek szansę, musimy dotrzeć do wschodniej części gmachu.

Stanąwszy przy oknie, ostrożnie wyjrzał na dwór. Było gorzej, niż myślał. Naliczył sześciu mężczyzn w polowych mundurach: żołnierzy z oddziału Alfa. Dwóch krążyło po podwórzu, dwóch sprawdzało wyjścia, dwóch szło po dachu z lornetkami przy oczach.

Spojrzął na Elenę.

- To przesądza sprawę - powiedział. - Musimy wyjść na korytarz i poszukać windy

towarowej.

- Pojedziemy na parter? Pokręcił głową.

- Na parterze roi się od policji i od innych. Nie, wysiadzimy na pierwszym albo na drugim piętrze i poszukamy wyjścia.

Szybko podszedł do drzwi i przytknął do nich ucho. Nic, cisza. Do korytarza nie zwabiły nikogo nawet odgłosy walki z wiedźmą. Najwyraźniej rzadko tu zaglądano. Co nie zmieniało faktu, że właśnie tu czyhała na niego - lub na nich - podstawiona przez Prometejan zabójczyni. Wysłął z tego dwa wnioski: że gdzieś niedaleko musi być wyjście z gmachu i że w pobliżu na pewno czekają na nich inni. Musieli opuścić tę część budynku. Im szybciej, tym lepiej.

Uchylił drzwi i wyjrzał. Nikogo. Dał znak Elenie. Puścili się pędem w lewo i gdy dotarli do zakrętu, Bryson dostrzegł windę towarową. Przyspieszył. Elena biegła tuż za nim. Winda była stara, z małąkimi, romboidalnymi szybkami w harmonijkowych drzwiach. To dobrze: jej uruchomienie nie wymagało klucza, gdyż pochodziła z czasów, kiedy nie stosowano jeszcze tego rodzaju środków bezpieczeństwa. Nick wcisnął guzik i oświetlona kabina zjechała na dół. Była pusta. Rozsunął drzwi i wsiedli. Dokąd teraz? Na drugie piętro.

Zamknął oczy, odtwarzając w pamięci plan gmachu. Wsiądą w korytarzu dla personelu technicznego, chociaż nie wiedział dokładnie gdzie. Z labiryntu przejść i przesmyków zdołał zapamiętać jedynie te najgłówniejsze, w dodatku nie wszystkie.

Kiedy winda się zatrzymała, zlustrował teren, otworzył drzwi i wysiedli. Skręciwszy w prawo, zobaczyli stare, zielone drzwi z dźwignią na wysokości pasa. Nick naparł na nią, mocno pchnął i znaleźli się w długim, słabo oświetlonym korytarzu. Marmurowa podłoga, po jednej i drugiej stronie mahoniowe drzwi - nie był to sektor dostępny dla zwiedzających, nie były to też gabinety członków parlamentu, bo zamiast błyszczących tabliczek z nazwiskami i tytułami na drzwiach wisiały jedynie mosiężne numery. Najwyraźniej pracowali tu urzędnicy z komisji parlamentarnych, sekretarze, sekretarki, rewidenci i kierownicy wydziałów. Kilkoro z nich przechodziło niespiesznie korytarzem, jednak żaden nawet na nich nie spojrzał. Zachowywali się spokojnie, naturalnie i nic nie wskazywało na to, że są tajnymi agentami. Zawierzyć instynktowi: Bryson nie miał innego wyjścia.

Wyteżył pamięć. Tak, żeby dotrzeć do wschodniej części gmachu, musieli skręcić w prawo... Stuk, stuk, stuk - w korytarzu zabrzmiało echo. Postukując obcasami, szła ku nim elegancko ubrana kobieta i Nick odruchowo otaksował ją spojrzeniem. Kobieta popatrzyła na nich ciekawie i poszła dalej. Nagle uświadomił sobie, że jak na szacownego urzędnika, za którego próbował uchodzić, musi wyglądać dość upiornie: po walce z wiedźmą miał zakrwawione, niewykluczone, że podbite oko, porwaną marynarkę i zmierzwione włosy. Zupełnie do tego miejsca nie pasowali, ani on, ani Elena, oboje zwracali na siebie uwagę, czego od samego początku pragnęli uniknąć. Ale nie, nie było czasu na szukanie toalety, mycie się i czesanie, musieli liczyć na szybkość działania i szczęście. Sęk w tym, że Nick w szczęście nie wierzył, gdyż ilekroć się na nie zdawał, zawsze go opuszczało.

Udając zamyślonego, spuścił głowę, wziął Elenę za rękę i energicznym krokiem ruszył przed siebie. Niektóre drzwi były otwarte i stały za nimi grupki cicho rozmawiających ludzi. Gdyby przypadkowo spojrzeli w ich stronę, nie zobaczyliby przynajmniej jego zakrwawionej twarzy.

Ale coś tu nie grało. Nagle ogarnął go irracjonalny lęk, nagle poczuł, że jeżą mu się włosy na karku. Te odgłosy... Były dziwne, nienaturalne. Telefony dzwoniły na zmianę, raz po jednej stronie korytarza, raz po drugiej. Nie potrafił sobie wytłumaczyć, dlaczego to go niepokoi. Gra wyobraźni? Zauważył też, że ludzie, których mijali, natychmiast milkną. Czyżby rzeczywiście zaczynał popadać w paranoję? Pracował jako agent przez piętnaście lat, dobrze wiedział, że najcenniejszą bronią jest instynkt, dlatego nigdy nie lekceważył odczuć, które inni mogliby uznać za produkt ogarniętego obsesją umysłu.

Byli obserwowani.

Ale skoro tak, dlaczego nic się nie działo?

Przyspieszył kroku. Nieważne, że rzucali się w oczy. Groziło im niebezpieczeństwo.

Mniej więcej siedemdziesiąt pięć metrów przed nimi było małe okno z witrażem, jednym z tych, jakie widuje się zwykle w średniowiecznych katedrach. Wiedział, że wychodzi na Tamizę.

- Prosto przed siebie, potem w lewo - wymruczał. W odpowiedzi Elena ścisnęła go za rękę. Kilkanaście sekund później korytarz się skończył i skręcili.

- Spójrz - szepnęła Elena. - Sala obrad. Pewnie pusta. Może tam?

- Świetny pomysł.

Szli za nimi? Nie, na razie chyba nie. Tak czy inaczej, nie chciał tego sprawdzać. Po prawej stronie były hakowate, masywne, dębowe drzwi z matową szybą, na której widniał napis: „Komisja dwunasta”. Gdyby szybko tam weszli, mogliby ich zgubić albo przynajmniej na chwilę zdezorientować. Klamka ustąpiła, drzwi się otworzyły. Dwa wielkie, kryształowe żyrandole. Półmrok. Nikogo. Byli w amfiteatrze z kilkunastoma rzędami obitych skórą i mosiądzem foteli, piętrzących się nad półokrągłą podłogą wyłożoną kolorową, ręcznie malowaną terakotą. Na podłodze stał długi, drewniany, obity zieloną skórą stół, a za stołem dwie wysokie, drewniane ławy dla członków komisji. Światło wpadało do sali dwoma wielkimi, strzelistymi oknami naprzeciwko drzwi - zdobiące ich środek prostokątne witraże pochłaniały promienie słońca odbijające się od Tamizy. Amfiteatr przytłaczał swoją powagą i wspaniałością nawet wówczas, gdy nie odbywały się tu żadne narady. Sufit był pięknie sklepiony, a wysokie na dziewięć metrów ściany wyłożono ciemną boazerią i ciemnoczerwoną tapetą w gotyckie wzory. Na ścianach wisiało kilkanaście posepnych dziewiętnastowiecznych płócien przedstawiających sceny bitewne, pierwszych angielskich królów, którzy z mieczem w ręku dowodzili rycerzami, tłum poddanych w Westminster Abbey wokół okrytej angielską flagą trumny. Gryzły się z tym wszystkim nieliczne, lecz bardzo widoczne elementy dwudziestowiecznej nowoczesności: zwisające z sufitu mikrofony i telewizyjny monitor oznakowany napisem „Izba Gmin”.

- Tu się chyba nie ukryjemy - powiedziała cicho Elena. - Przynajmniej nie na długo. Myślisz o... oknach?

Bryson kiwnął głową i postawił walizeczkę.

- Jesteśmy na drugim piętrze.

- Wysoko.

- Ryzykowne, ale mogło być gorzej.

- Nick, jeśli nie ma innego wyboru, na pewno skoczę, ale gdybyś...

Jakiś hałas w korytarzu, głośny trzask. Drzwi otworzyły się gwałtownie, w tym samym momencie Bryson runął na podłogę, pociągając za sobą Elenę. Do sali weszło dwóch mężczyzn, za nimi jeszcze dwóch. Nick natychmiast spostrzegł, że mają na sobie granatowe mundury stołecznej policji.

Wiedział też, że tamci ich zauważyli.

- Stać! Policja!

Funkcjonariusze londyńskiej policji nie nosili broni, natomiast ci celowali do nich z pistoletów.

- Ani kroku!

Elena przeraźliwie krzyknęła.

Bryson błyskawicznie wyjął browning, lecz go nie odbezpieczył. Czterech policjantów, cztery pistolety. Kryjąc się za drewnianymi fotelami, mógłby stawić im czoło, ale...

Czy na pewno byli policjantami? Robili wrażenie rezolutnych, mieli surowe, zawzięte twarze. Ale dotąd nie otworzyli ognia! Zabójcy z Prometeusza nie wahaliby się ani chwili.

- Tam są, sukinsyny! Mordercy!

- Rzuć broń! - krzyknął dowodzący nimi sierżant. - Natychmiast! Stąd nie uciekniecie!

I rzeczywiście, utknęli w potrzasku. Policjanci rozdzielili się. Podchodzili coraz bliżej i bliżej, próbując ich otoczyć.

- Rzuć to! - krzyknął sierżant. - Rzuć to, bydlaku! Łapy do góry i wstań! Ale już!  
Zrozpaczona Elena popatrzyła na Nicka. Co robić? Wstać i dobrowolnie oddać się w ręce ludzi, których nie znał? Którzy mogli być zamachowcami z Prometeusza?  
A jeżeli byli prawdziwymi policjantami? Jeśli tak, nie mógł do nich strzelać. Chcieli pojmać mordercę, dwoje morderców, którzy zabili angielskiego ministra spraw zagranicznych. Wiedział, że ich aresztują, zabiorą na posterunek, że będą ich w nieskończoność przesłuchiwać - nie mieli na to czasu!  
Nie, nie mogli się poddać, lecz obrona czy próba ucieczki byłaby czystym szaleństwem! Samobójstwem!  
Wziął głęboki oddech, zamknął na chwilę oczy i wstał.  
- Dobra - powiedział. - Dobra. Macie nas.

## Rozdział 28

Sierżant, mężczyzna wysoki, szczupły i dobrze zbudowany, miał na piersi identyfikator z napisem „Sullivan”.

- Rzuć broń, podnieś ręce i nic wam się nie stanie - powiedział stanowczo. - Jest nas czterech, was tylko dwoje, ale chyba sam już do tego doszedłeś.

Bryson wciąż ścisnął w rękę browninga, chociaż w nikogo nie celował. Czy na pewno są tymi, za których się podają? Ot, i pytanie.

- Zgoda - odparł - ale najpierw pokaż mi swoją odznakę.

- Ty kutasie pieprzony! - ryknął jeden z policjantów. - Odznaka? To jest moja odznaka! - Potrząsnął pistoletem. - Chcesz ją sobie obejrzeć?

- Dobrze - przerwał mu Sullivan. - Kiedy założę ci kajdanki, będziesz mógł ją sobie oglądać do usranej śmierci.

- Nie - odrzekł Bryson. Podniósł browning nieco wyżej, jednak w dalszym ciągu celował w ścianę. - Kiedy sprawdzę, kim jesteście, chętnie będę z wami współpracował. W tym gmachu roi się od uzbrojonych najemników i zamachowców, którzy prawo mają za nic. Przekonam się, że do nich nie należycie, i natychmiast rzucę broń.

- Zdejmę skurwysyna - warknął policjant stojący najbliżej Sullivana.

- Tylko na mój rozkaz, konstablu - odparł sierżant. Spojrzał na Brysona. - Pokażę ci odznakę, ale ostrzegam: zabiłeś ministra spraw zagranicznych i pewnie myślisz, że z nami też sobie poradzisz. Uważaj, sukinsynu. Jeśli jakimś cudem uda ci się pociągnąć za spust, będzie to ostatnia rzecz, którą zrobisz w tym życiu. Dlatego żadnych sztuczek, słyszysz?

- Głośno i wyraźnie. Wyjmij ją powoli lewą ręką i połóż na dłoni. Jasne?

- Jasne - odrzekł Sullivan, wypełniając polecenie.

- Dobrze. A teraz rzuć jaw moją stronę. Tylko ostrożnie, delikatnie, bez żadnych gwałtownych ruchów. Mogę się przestraszyć i wystrzelić w samoobronie.

Płynny ruch nadgarstka i u stóp Brysona wylądował skórzany portfel. Schylając się, Nick zauważył, że jeden z policjantów, ten, któremu najbardziej świerzybiały ręce, próbuje zająć go od lewej strony. Odwrócił się na pięcie i wycelował mu w twarz.

- Ani kroku, idioto. Nie żartowałem. Jeśli naprawdę uważasz, że z zimną krwią zamordowałem waszego ministra, myślisz, że nie zamorduję ciebie? Policjant znieruchomiał i cofnął się o kilka kroków, jednak ani na chwilę nie przestał w niego mierzyć.

- Teraz w porządku. - Nick powoli ukląkł i trzymając tamtych na muszce, szybko podniósł portfel z podłogi, otworzył go i zerknął na srebrną odznakę stołecznej policji. Pod plastikową osłonką po lewej stronie tkwiła legitymacja sierżanta Roberta Sullivana, zalaminowana, opatrzona numerem seryjnym, numerem identyfikacyjnym, rangą i

własnoręcznym podpisem. Robiła wrażenie autentycznej, chociaż fachowcy z Prometeusza mogli bez trudu ją podrobić. Nazwisko zgadzało się z nazwiskiem na piersi sierżanta, a numer identyfikacyjny z numerem wyszytym na epolecie granatowego swetra. Sullivan należał do Stołecznej Jednostki Specjalnej, co oznaczało, że on i jego ludzie mają prawo do noszenia broni. Oczywiście całkiem możliwe było, że tamci po prostu zadbali o wszystkie szczegóły. Praktycznie rzecz biorąc, Nick mógł jedynie stwierdzić, że sierżant ma legitymację i że na pierwszy rzut oka jest to legitymacja prawdziwa. Było mało prawdopodobne, żeby w tak krótkim czasie zabójcy z Prometeusza nie popełnili jakiegos błędu, czy to w przebraniu, czy w dokumentacji, mimo to żadnego jeszcze nie dostrzegł.

Instykt podszeptował mu, że Sullivan i jego koledzy pod nikogo się nie podszywają. Wywnioskował to na podstawie ich wyglądu, sposobu zachowania, a przede wszystkim tego, że nie otworzyli ognia. Mogli go bez trudu zabić, jednak nie zabili. Dlatego po namyśle rzucił broń i podniósł ręce do góry. Elena poszła w jego ślady.

- Dobra, teraz powoli i spokojnie - rozkazał Sullivan. - Ręce na ścianę.

Podeszli do ściany i oparli się o nią szeroko rozłożonymi rękami. Bryson uważnie obserwował policjantów, próbując wychwycić każdy podejrzany ruch. Opuścili broń - dobry znak. Dwóch podeszło bliżej, skuło ich kajdankami i szybko obszukało. Trzeci podniósł z podłogi browning.

- Nazywam się Sullivan i jestem sierżantem stołecznej policji. Aresztuję was w związku z zabójstwem ministra spraw zagranicznych Ruperta Vere'a i wiceministra Simona Dawsona. - Sullivan pstryknął przełącznikiem krótkofalówki, podał swoje zamiary i wezwał posiłki.

- Rozumiem, że musicie nas przesłuchać i tak dalej - odparł Nick -lecz analiza balistyczna potwierdzi, że Vere'a zastrzelił Dawson.

- Wiceminister zastrzelił ministra? Mało prawdopodobne.

- Dawson był agentem międzynarodowego syndykatu, tajnej organizacji, której zależało, żeby Wielka Brytania podpisała międzynarodowy traktat o powszechnej kontroli i bezpieczeństwie. Był zbyt ostrożny, żeby zostawiać za sobą widoczne ślady, ale ślady te na pewno gdzieś są. Sfałszowane rejestry rozmów telefonicznych, ludzie, których przyjmował w gmachu Parlamentu, a których nazwiska nie figurują w księdze gości...

Łukowate drzwi otworzyły się z trzaskiem i do audytorium wpadło dwóch krępych, potężnie umięśnionych mężczyzn z pistoletami maszynowymi w ręku.

- Jednostka specjalna ministerstwa obrony narodowej - zawołał chrapliwie wyższy z nich, szatyn o króciutko ostrzyżonych włosach i zimnych, niebieskich oczach.

Sullivan odwrócił się w ich stronę.

- Nie uprzedzono nas, że bierzecie w tym udział - odrzekł, nie ukrywając zdziwienia.

- A nas, że wy tu będziecie. Przejmujemy sprawę.

- To nie będzie konieczne. - Sierżant mówił cicho, spokojnie, lecz zdecydowanie. - Panujemy nad sytuacją.

Skuty Bryson odwrócił głowę i poczuł, że włosy stają mu dęba. Pistolety! Pistolety były czeskie! Angielskie jednostki specjalne nigdy takich nie używały!

- Nie! - krzyknął. - Chryste, oni nie są z ministerstwa! Zaskoczony Sullivan spojrzał na szatyna.

- Mówicie, że jesteście z jednostki specjalnej ministerstwa obrony narodowej?

- Tak - warknął tamten. - Przejmujemy aresztantów.

- Padnij! - wrzasnął Nick. - Oni was zabiją!

Elena rzuciła się z krzykiem za rząd drewnianych foteli, tuż za nią na podłodze wylądował Bryson.

Za późno. Ledwo zdążył zamknąć usta, gdy w sali rozległ się ogłuszający huk: szatyn i jego kumpel otworzyli ogień do policjantów. Strzelali długimi seriami, co najmniej przez kilka sekund, szatkowali ich jak rzeszoto. Zbłąkane pociski odbijały się od podłogi, dziurawiły boazerię. Zaskoczeni ludzie Sullivana byli łatwym celem. Dwóch z nich sięgnęło do kabury po broń - na próżno. Próbując uciec spod gradu kul, chwiali się,

skręcali, podrygiwali w śmiertelnym tańcu, by wreszcie runąć bezwładnie między fotele.

- Boże! - krzyczała Elena. - Boże! Boże!

Przerażony i pełen odrazy Bryson patrzył na nich, nie mogąc nic zrobić.

W powietrzu rozszedł się smród kordytu i gorzki zapach krwi. Krótkowłosa szatyn zerknął na zegarek.

Nick wiedział, co się stało i dlaczego. Ci z Prometeusza nie chcieli ryzykować. Gdyby trafił z Elena na policję, podczas przesłuchania mógłby powiedzieć coś, co opóźniłoby realizację ich planu. Nie, woleli przesłuchać ich sami. Przesłuchać, a potem zabić. Tylko dlatego jeszcze ich nie zastrzelili.

Ten wyższy mówił dźwięcznym barytonem. Anglik? Nie, chyba nie. Raczej Holender.

- Czekaj nas kilka godzin wspólnej zabawy. Jak sami się przekonacie, chemia poczyniła ostatnio wielkie postępy...

Bryson próbował dyskretnie zdjąć kajdanki, lecz bez kluczyka, bez czegoś, co mogłoby kluczyk zastąpić, nie miał żadnych szans. Poszatkwani kulami policjanci leżeli półtora, dwa metry dalej i nie zdołałby się do nich podczołgać bez zwracania na siebie uwagi. Wiedział, że jeśli nic nie zrobi, tamci wstrzykną im jakieś świństwo, że najpewniej przedawkują, a przedawkowanie mogło doprowadzić do nieodwracalnych zmian w mózgu i w systemie nerwowym.

Nie, mała poprawka. Przedawkowanie oznaczało śmierć.

Robby Sullivan poczuł silne uderzenie w brzuch i runął na podłogę jak szmaciana kukła. Chryste, koń go kopnął czy co? Koszula była przesiąknięta krwią, nie mógł złapać oddechu. Kula musiała przebić płuco, bo miał wrażenie, że się powoli topi. Oddychał płytko i z wysiłkiem. I cały czas próbował zrozumieć, co się właściwie stało. Kobieta i mężczyzna, których przed chwilą aresztowali, nie odnieśli żadnych ran, natomiast jego wierni, starzy kumple, niemal wszyscy żonaci i dzieciaci, leżeli bez życia między fotelami. Owszem, podczas szkolenia uczono ich, jak postępować w takich przypadkach, ale nigdy by nie przypuszczał, że może do tego dojść. Służba w ochronie pałacu była dotąd bardzo spokojna, a to, co zaszło, po prostu nie mieściło się w głowie! Mnie też trafili, pomyślał ze smutkiem. Długo nie pociągnę. W dalszym ciągu nic z tego nie rozumiał: czy tych dwóch z automatami chciało odbić im aresztantów? W takim razie dlaczego ten w kajdankach próbował go ostrzec? Patrzył tępo w sufit, czując, że z każdą chwilą słabnie. Widział jak przez mgłę i zastanawiał się, kiedy straci przytomność.

Nie zdążył dobyć broni, ale na miłość boską, kto mógł przypuszczać, że żołnierze z jednostki specjalnej ministerstwa obrony zaczną do nich strzelać? Oczywiście nie byli z ministerstwa. Nie, zdecydowanie nie. Przyszli po cywilnemu, no i ta czeska broń... Ten w kajdankach miał rację. Wynikałoby z tego, że mówił prawdę, że to nie on zabił ministra... Nie potrafił tego pojąć, ale rozumiał jedno: aresztant poddał się dobrowolnie. Prawdopodobnie był niewinny, a ci dwaj z automatami byli wyrachowanymi mordercami. Czuł, że umiera, i prosił Boga, żeby dał mu ostatnią szansę: szansę naprawienia błędu. Powoli, jak we śnie, pomacał wokoło ręką.

- Na pewno wiesz, że poszukują cię międzynarodowymi listami gończymi - rzekł beznamiętnie Holender.

Elena szlochała, zakrywając sobie twarz skutymi rękami.

- Nie -jęknęła cicho. - Proszę, błagam...

Jego kumpel, sądząc po złamanym nosie, były bokser, podszedł bliżej. W jednej ręce trzymał pistolet, w drugiej strzykawkę.

- Zabójstwo członka brytyjskiego gabinetu to poważne przestępstwo, to zbrodnia. Ale my chcemy z tobą tylko porozmawiać. Ciekawi nas, dlaczego tak się uparłeś, dlaczego przysporzyłeś nam tylu kłopotów.

Bryson usłyszał cichutki szelest. Kątem oka zerknął w lewo i zobaczył, że Sulliyana powoli wyciąga rękę, że...

Szybko odwrócił wzrok i spojrzał na Holendra. Chryste, żeby tylko niczego nie zauważył.

- Na pewno wiesz, że Dyrektoriat już nie istnieje - kontynuował tamten. - Nie masz

zadnego wsparcia, nie masz nic. Zostałeś sam, walczysz z wiatrakami.

Mów coś! Zajmij go! Niech tego nie widzi!

- Sam? - odparł z gniewnym błyskiem w oczach. - O nie. Zanim wysadziliście w powietrze naszą kwaterę, zdążyliśmy rozesłać wiadomość. Namierzaliśmy twoich zleceniodawców, wasz spisek szlag trafił.

Sullivan muskał malcami lufę pistoletu. Jeszcze dwa centymetry, jeszcze tylko centymetr!

- Nie chcemy dalszego rozlewu krwi - odparł Holender, jakby w ogóle go nie usłyszał. - Chcemy tylko szczerze porozmawiać, nic więcej.

Cichutki, ledwo słyszalny zgrzyt metalu o kamienną posadzkę. Odwróć jego uwagę! Zagadaj go, do cholery!

- O co wam chodzi? - krzyknął. - Co jest warte aż tylu ofiar? Te wszystkie zamachy, te bomby! Zestrzeliliście samolot pasażerski z niewinnymi kobietami i dziećmi na pokładzie!

Pytani: co jest warte?

- Dobro ogółu. Cóż znaczy kilka ofiar w porównaniu z bezpieczeństwem miliardów, z pokoleniami... - Holender urwał i nasłuchując, podejrzliwie przekrzywił głowę. - Tomas!

W tej samej sekundzie jeden po drugim rozbrzmiały dwa ogłuszające wystrzały. Sullivan zdążył! Zdołał podnieść pistolet i zebrawszy resztki sił, pokonawszy szok związany z gwałtownym upływem krwi, dwa razy pociągnął za spust. Zaskoczony i rozwścieczony Holender znieruchomiał w pół obrotu - z jego głowy trysnęła fontanna krwi. Ten niższy runął na podłogę w spazmatycznych drgawkach: pocisk musiał przebić zarówno arterię szyjną, jak i kręgosłup.

Przeżrana Elena przetoczyła się w bok. Nie wiedziała, kto strzelał, nie rozumiała, co się dzieje. Odczekała chwilę, podniosła głowę, jednak tym razem nie krzyknęła. Przeżyła zbyt wielki wstrząs, była zbyt oszołomiona widokiem krwi. Z wytrzeszczonymi, zapłakanymi oczami modliła się cicho, zaciskając skute ręce.

Sullivan głośno rzeził. Oberwał w brzuch, i to paskudnie. Nick wiedział, że zostało mu ledwie kilka minut życia.

- Nie wiem... Nie wiem, kim jesteście - wyszeptał cicho policjant. -Ale chyba zaszła jakaś...

- Nie jesteśmy mordercami! - zawołała Elena drżącym głosem. -Boże, uratował pan nam życie.

Rozległ się metaliczny brzęk: sierżant rzucił im kluczyk.

Szybciej! Tamci zaraz tu będą! Ile zostało nam czasu? Dwie minuty? Minuta? Może tylko kilka sekund? Bryson chwycił kluczyk, rozkuł Elenę, potem siebie.

Coś zatrzeszczało: ożyła krótkofalówka jednego z policjantów.

- Jezu Chryste, co tam się dzieje?

- Uciekajcie - szepnął Sullivan. - Uciekajcie... Bryson podbiegł do okna.

- Nie możemy go tak zostawić! - zaprotestowała Elena. - Nie po tym, co dla nas zrobił.

- Wołają go przez radio, a on nie odpowiada. Zaraz po niego przyjdą. - Nick szarpnął uchwytem stalowej zasuwy. - Znajdą go, zawiozą do szpitala... - Tylko, że jest już za późno, pomyślał. - Chodź tu. Szybko!

Elena podbiegła do okna i pomogła mu otworzyć zasuwę. Bryson zerknął przez ramię. Sullivan leżał bezwładnie na podłodze. Już się nie ruszał. Prawdziwy bohater. Niewielu takich chodzi po świecie. Przekłęte okno. Szarpnął jeszcze raz. Nie otwierano go od lat, może nawet od dziesięcioleci. Jeszcze raz i jeszcze raz. Nareszcie. Do sali wpadł podmuch zimnego powietrza.

Wschodnia ściana Pałacu Westminsterskiego, ta od strony Tamizy, miała prawie dwieście siedemdziesiąt metrów długości. Biegł wzdłuż niej długi na dwieście dziesięć metrów taras z krzesłami i stolikami, przy których członkowie parlamentu mogli wypić popołudniową herbatę, natomiast wzdłuż tarasu wybudowano kamienny murek z niskim żelaznym płotem. Dalej była już tylko rzeka.

Przeżrana Elena spojrzała w dół, przeniosła wzrok na Nicka i ku jego zdziwieniu powiedziała:



- Ja pierwsza. Będę udawała, że skaczę z najwyższej trampoliny w Bukareszcie.

- Pamiętaj o głowie i szyi. Najlepiej zwiń się w kłębek. I dobrze się odbij.

Elena bez słowa zagryzła wargi.

- Widzę ją - dodał. - Twoją łódź.

- Przynajmniej jedno mi się udało - odrzekła ze słabym uśmiechem. - Poszłam do wypożyczalni i powiedziałam, że mój szef, bogaty i ekscentryczny członek parlamentu, postanowił zaimponować swojej nowej przyjaciółce: chce zabrać ją na przejażdżkę z nabrzeża parlamentarnego do Kopuły Milenijnej najszybszą motorówką, jaką tylko mają. Sęk w tym, że ich łódzie cumują przy molo i musiałam wcisnąć kierownikowi sporą łapówkę, żeby podstawił którąś dokładnie naprzeciwko pałacu. Teraz już wiesz, na co poszły wszystkie pieniądze.

- Świetnie się spisałaś - pochwalił ją Nick.

Przywiązana do żelaznego płotu motorówka kołysała się na wodzie sześć, siedem metrów w lewo i piętnaście metrów w dół. Bryson ostrożnie wyszedł na parapet i zlustrował okolicę. Nikogo. Ani na dachu, ani na tarasie. Tamci spodziewali się pewnie wszystkiego, tylko nie tego, że uciekną przez okno. Dobrze wyszkoleni ludzie to cenny nabytek: rozmieszczano ich starannie, w newralgicznych punktach, tam, gdzie byli najbardziej potrzebni.

Elena stanęła na parapecie i wzięła głęboki oddech. Lewą ręką ścisnęła go za ramię, a potem skoczyła. Skoczyła, zwinęła się w kłębek i z głośnym pluskiem wpadła do wody. Nick odczekał, aż wypłynie i pokaże mu uniesiony kciuk, po czym poszedł w jej ślady.

Woda była zimna i mętna. Kiedy walcząc z silnym prądem, wypłynął na powierzchnię, Elena, świetna pływaczka, wdrapywała się już do łodzi i zanim tam dopłynął, uruchomiła silnik. Podciągnął się, wskoczył do kokpitu i kilka sekund później pomknęli przed siebie, oddalając się od gmachów parlamentu i od zabójców z Prometeusza.

Hotel przy Russell Square. Bryson poszedł na zakupy ze sporządzoną przez Elenę listą i wrócił ze sprzętem, którego potrzebowała: najszybszym i najpotężniejszym laptopem, jaki tylko mógł znaleźć - port na podczerwień, szybki modem - i z odpowiednim okablowaniem. Elena podłączyła komputer do gniazdka telefonicznego i weszła do Internetu.

- Mam ochotę na małego drinka - powiedziała.

Stanął przy barku i nalał dwie szklaneczki szkockiej.

- Ściągasz coś?

Wypiła łyk whisky i kiwnęła głową.

- Shareware. Dawson to spryciarz. Dostęp do tego małego cacka jest zabezpieczony hasłem. Jeżeli go nie złamiemy, nic z tego nie będzie.

- A w portfelu? Znalazłaś coś?

- Karty kredytowe, trochę pieniędzy, jakieś papiery. Nic przydatnego, sprawdziłam. - Spojrzała na ekran komputera. - Może teraz... - Wprowadziła hasło do palmtopa i rozbłysły jej oczy. - Weszliśmy!

Bryson uniósł szklankę jak do toastu.

- Jesteś niesamowita.

- Po prostu kocham swoją pracę. To ty jesteś niesamowity. Nigdy w życiu nie spotkałam takiego mężczyzny.

- Pewnie niewielu ich znałaś.

- Tyłu, ilu trzeba - odrzekła z uśmiechem. - Może nawet więcej. Ale żaden z nich nie był tak odważny, tak... uparty jak ty. Kiedy odeszłam, nie poddałeś się, nie zrezygnowałeś.

- Nie wiem, sam nie wiem... Może kiedy byłem w najgłębszym dołku, kiedy dzień w dzień chlałem... - Trącił szklanką jej szklankę. - Może wtedy postawiłem na tobie kreskę. Byłem zły. Urażony, zdezorientowany i zły. I wciąż dręczyła mnie ta niepewność...

- Jaka?

- Nie wiedziałem, dlaczego odeszłaś. Musiałem się tego dowiedzieć. Za wszelką cenę. Nawet gdyby prawda miała mnie zabić.

- Nie spytałeś Wallera?
  - Po co? Gdyby coś wiedział, gdyby chciał mi coś powiedzieć, na pewno by to zrobił.
- Zamyślona, a może zmartwiona, wzięła pióro świetlne i przesunęła nim po ekranie palmtopa.
- Często się zastanawiałam, czy... O rany!
  - Co?
  - Ten wpis. „Zadzwoń do H. Dunne'a”.
  - Harry Dunne. Chryste. Jest numer telefonu?
  - Nie. Tylko to: „Zadzwoń do H. Dunne'a”.
  - Kiedy to napisał?
  - Trzy dni temu!
  - Co takiego? Boże... Oczywiście. No, oczywiście! Dunne żyje i ci, którzy o tym wiedzą, mogą się z nim skontaktować. Jest tam książka adresowa albo telefoniczna?
  - Jest wszystko, to olbrzymia baza danych... - Ponownie przesunęła piórem po ekranie. - Cholera.
  - Co?
  - Brak dostępu, trzeba znać hasło. Do książki adresowej i do jakichś „Transferów”.
  - Niech to szlag.
  - To dobrze i źle.
  - Co w tym dobrego?
  - Hasłem zabezpiecza się najcenniejsze dane, a więc musi tam być coś ciekawego. Który pokój skusi włamywacza: zamknięty czy otwarty?
  - Zależy, jak na to patrzeć.
  - Problem w tym, że mamy ograniczone możliwości. To bardzo szybki komputer, ale nie ma nawet ułamka mocy obliczeniowej sprzętu, którym dysponowaliśmy w Dordogne, Hmm, pięćdziesięciosześcibitowy standard szyfrowania danych... Dzięki Bogu, że nie wyższy. Sto dwadzieścia osiem bitów rozłożyłoby nas na łopatki.
  - Dasz radę go złamać?
  - Kiedyś na pewno.
  - Kiedyś?
  - Z tym sprzętem potrwałoby to kilka godzin, kilka dni, może nawet kilka tygodni, i to tylko dlatego, że znam ten system na wylot.
  - Obłąd. Nie mamy tyle czasu. Elena długo milczała.
  - Wiem - powiedziała w końcu. - To miliardy kombinacji, ale mogłabym poimprowizować. Namierzyć w Internecie kilku hackerów i każdemu zlecić część pracy. Tak jak w tym starym powiedzeniu: nieskończona liczba małp stukających na maszynie do pisania stworzy w końcu dzieło Szekspira.
  - Wątpię.
  - Będę szczerą: nie mam zbyt wielkiej nadziei. Kiedy trzy godziny później wrócił z hinduskim jedzeniem na wynos, Elena była smutna i przybita.
  - Nic? - spytał.
- Pokręciła głową. Paliła. Ostatni raz widział ją z papierosem zaraz po ucieczce z Rumunii. Wyjąwszy z komputera jedną z dyskietek, które zabrała z Dordogne, zgasiła papierosa, wyszła do łazienki i wróciła z mokrą myjką na czole. Opadła na fotel i jęknęła:
- Od myślenia rozboleła mnie głowa.
  - Zrób sobie przerwę. - Postawił torby, stanął za nią i zaczął masować jej kark.
  - Cudownie... - wymamrotała. - Musimy skontaktować się z Wallerem.
  - Mógłbym przekazać mu wiadomość kanałem awaryjnym, ale nie wiem, czy tamci nas nie namierzają. Nie wiem nawet, czy by ją dostał.
  - Warto spróbować.
  - Tak, ale tylko pod warunkiem, że nie narazimy się na niebezpieczeństwo. Waller by to zrozumiał.
  - Bezpieczeństwo przede wszystkim. Tak...

- Co?
  - Nic. Niebezpieczeństwo, bezpieczeństwo, zabezpieczenie. Myślę o tym przeklętym algorytmie.
  - Aha.
  - I o Dawsonie. O tym, w jaki sposób zajęty i bardzo ostrożny człowiek zapamiętywał te wszystkie hasła. Hasła, nie hasło. Ktoś taki jak on musiał mieć ich dużo.
  - No i?
  - Pewnie zrobił listę.
  - Z doświadczenia wiem, że najsłabszym ogniwem systemu zabezpieczeń komputerowych w biurze jest sekretarka. Nie może zapamiętać hasła, więc zapisuje je na karteczce, a karteczkę przykleja taśmą do dna szuflady.
  - Dawson na pewno był przebieglejszy. Mimo to... Hasło jest straszliwie skomplikowane. Składa się z długich ciągów liczbowych, których nie sposób zapamiętać. Dlatego musiał je gdzieś... Podaj mi palmtop, możesz?
- Pstryknęła włącznikiem, przesunęła piórem po ekranie i po raz pierwszy od kilku godzin na jej ustach zagościł uśmiech.
- Jest lista. Pod tajemniczym nagłówkiem „Tesseract”.
  - Jeśli dobrze pamiętam szkolną łacinę, to liczba mnoga od *tessera*, „hasło”. Zasztyfrowana?
  - Tak, ale to dziecinnie prosty algorytm, zabezpieczenie ogólne, takie z hasłem. To tak, jakbyś wychodząc z domu, zamknął frontowe drzwi i zostawił otwarty garaż. Spróbuję złamać je programami, które ściągnęłam z Internetu. Kaszka z mleczkiem.
- Odzyskawszy dawną energię i entuzjazm, usiadła do komputera i już dziesięć minut później obwieściła, że złamała kod. Mogli teraz przejrzeć dane, które Dawson tak bardzo chciał ukryć.
- Boże, Nick. W pliku „Transfery” jest spis przekazów pieniężnych na rachunki w dziesiątkach londyńskich banków. Spójrz tylko na te kwoty. Pięćdziesiąt tysięcy funtów... Sto tysięcy... Trzysta tysięcy!
  - Są tam nazwiska odbiorców?
  - I to jakie! Można by ułożyć z nich książkę, „Kto jest kim w brytyjskim Parlamencie”. Członkowie Izby Gmin, przedstawiciele wszystkich partii politycznych. Laburzyści, liberalni demokraci, konserwatyści, nawet ulsterscy unioniści. Nazwiska, daty odbioru, kwoty, nawet godziny i miejsca spotkań... Kompletna dokumentacja.
  - Przekupstwo i szantaż - odrzekł Bryson, z trudem opanowując podniecenie. - Dwie podstawowe metody osiągnięcia nielegalnych wpływów politycznych. Wiesz, jak Rosjanie szantażowali zachodnich specjalistów? Płacili im symboliczne wynagrodzenie za konsultacje. Pozornie wszystko było zgodne z prawem, ale przelewając pieniądze na ich rachunek bankowy, zdobywali niepodważalny dowód współpracy. Dlatego Dawson nie tylko płacił członkom Parlamentu, ale i przechowywał dane, które jednoznacznie to potwierdzały. Gdyby któryś zechciał się wycofać, pan minister miał na niego haka. Tym sposobem zdobywał władzę. Tym sposobem wywierał nacisk na Ruperta Vere'a, lorda Parmore'a i prawdopodobnie na wielu innych wpływowych posłów. Był tajnym płatnikiem. Kto nie smaruje, ten nie jedzie, a jeśli chce się sterować przebiegiem tak ważnej, tak przełomowej debaty jak debata nad ratyfikacją międzynarodowego traktatu o powszechnej kontroli i bezpieczeństwie, trzeba smarować często i obficie. Trzeba szantażować, przekupywać skorumpowanych polityków, kupować głosy tych, którzy chcą je sprzedać...
  - Z listy widać, że chętnych nie brakowało.
  - Myślę, że w niektórych przypadkach nie chodziło tylko o zwykły szantaż. Jestem przekonany, że gdybyśmy przejrzyli brytyjską prasę z ostatniego roku, znaleźlibyśmy wiele artykułów o aferach bardzo podobnych do tych, jakie miały miejsce w naszym Kongresie. Artykułów napisanych na podstawie anonimowych przecieków, najtajniejszych, najbardziej prywatnych informacji, odsłaniających najskrytsze ludzkie

słabości. Założę się, że wielu zagorzałych przeciwników traktatu po prostu zmuszono do rezygnacji ze stanowiska, że ustąpili tak samo, jak ustąpił senator Cassidy w Stanach. Pozostałych ostrzeżono, skompromitowano, a potem dano im marchewkę: okazały datki na „kampanię polityczną”.

- Wyprane pieniądze. Nie do wytropienia.

- Czy dałoby się ustalić źródło tych funduszy?

Elena włożyła do komputera jedną z dyskietek z Drogne.

- W dokumentacji Dawsona są nawet kody bankowe. Nazw nie ma, same kody.

- Porównujesz je z tymi, które dał ci Chris?

Elena spochmurniała. Chris Edgecomb, eksplozja w Drogne, koszmarne wspomnienia. Nie odpowiedziała. Wbiła wzrok w ekran, w długie kolumny szybko zmieniających się liczb.

- Jest, pasuje.

- Niech zgadnę: Meredith Waterman.

- Zgadza się. Są właścicielami... First Washington Mutual Bancorp, banku, w którym fortuny dorobił się Richard Lanchester. Bryson głośno wciągnął powietrze.

- Stary, szacowny bank inwestycyjny i pośrednik w przekazywaniu nielegalnych funduszy do Waszyngtonu i Londynu.

- Niewykluczone, że do innych stolic też. Do Paryża, Moskwy, do Berlina...

- Tak, na pewno. Wynika z tego, że Meredith Waterman ma w kieszeni amerykański Kongres i brytyjski Parlament.

- Mówiłeś, że Lanchester zbił tam potężny majątek.

- Tak, ale w gazetach piszą, że przed wyjazdem do Waszyngtonu zerwał z nimi wszystkie więzy, formalne i finansowe.

- W dzieciństwie nauczono mnie, żeby nigdy nie wierzyć w to, co wypisuje oficjalna rumuńska prasa.

- Z przykrością przyznaję, że coś w tym jest. Uważasz, że Lanchester wciąż ma tam wpływy, że wykorzystuje bank do przekazywania gigantycznych łapówek, tak?

- To bank prywatny. Z tego, co wiem, ma bardzo niewielu współwłaścicieli, dziesięciu, najwyżej dwunastu. Myślisz, że Lanchester wciąż jest jednym z nich?

- Nie, to niemożliwe. Kiedy zaczął pracować dla rządu, musiał zrezygnować ze wszystkich udziałów i złożyć je w „ślepych” funduszu powierniczym. Praca w Białym Domu wymaga pełnej jawności finansowej.

- Nie, Nicholas. Praca w Białym Domu wymaga złożenia oświadczenia finansowego w FBI, a nie oświadczenia publicznego. Czy Lanchester stawał przed komisją senacką? Nie. Pomyśl tylko: może właśnie dlatego nie chce zostać sekretarzem stanu! Może wcale nie robi tego ze skromności? Może nie chce, żeby go prześwietlano? Żeby zwracano na niego uwagę? Może ma coś do ukrycia?

- Masz rację. Szef Narodowej Rady Bezpieczeństwa to nie to samo co sekretarz stanu. Nie musi przechodzić przez krzyżowy ogień pytań, mimo to wysocy urzędnicy Białego Domu są dokładnie prześwietlani. Śledzi się ich każdy krok, bada się wszelkie nieprawidłowości finansowe.

Elena niecierpliwie pokręciła głową. Jako matematyczka lubiła abstrakcyjne pojęcia i właśnie ukuła teorię, w której on uparcie doszukiwał się dziur.

- Pomyśl tylko. Od kilku miesięcy uważnie obserwuję przebieg debat nad międzynarodowym traktatem o powszechnej kontroli i bezpieczeństwie. Jesteśmy agentami Dyrektoriatu i powinniśmy być tym zainteresowani, prawda?

- Owszem.

- Kiedy traktat zostanie ratyfikowany, powstanie nowa, międzynarodowa organizacja o potężnej władzy i globalnym zasięgu. Kto zostanie jej szefem? Gdybyś uważnie czytał prasę, wiedziałbyś, że od kilku tygodni w artykułach na temat traktatu przewijają nazwiska potencjalnych kandydatów na dyrektora. Na pierwszy rzut oka są to tylko niewinne wzmianki, zwykle spekulacje, ale zawsze towarzyszy im to samo określenie: „car”. Nowy

car. Ilekroć to czytam, dostają dreszczy. Wiesz, kim rosyjscy carowie byli dla Rumunów.

- I tym nowym carem miałyby zostać Lanchester.

- Jego nazwisko pojawia się najczęściej, pewnie... Jak to się mówi? „Na rybkę”? Wypuszczają próbny balon, i tyle.

- Przecież to nie ma sensu. Lanchester zawsze występował przeciwko traktatowi. Był jednym z nielicznych urzędników Białego Domu, którzy grzmieli na cały świat, że tego rodzaju międzynarodowa agencja, organizacja o globalnym zasięgu może zostać wykorzystana do złych celów, że naruszy fundamentalne wolności osobiste...

- Skąd wiesz, czy jest przeciwko traktatowi? Tylko z przecieków, prawda? Prawda. Ale przecieki do prasy są najczęściej kontrolowane, ponieważ ci, którzy dostarczają informacji gazetom, mają ukryte motywy, ponieważ kształtują w ten sposób swój publiczny wizerunek. Może Lanchester tylko się kamufluje? Może chce, żeby mianowano go na to stanowisko? A kiedy już dostanie nominację, niechętnie ją przyjmie.

- Chryste. Może rzeczywiście coś knuje. Może z jakiegoś powodu...

- Powodem może być to, że należy do spisku Prometeusza, że jako wpływowy członek tej organizacji nie może wzbudzać jakichkolwiek podejrzeń na forum publicznym. Pamiętasz grę w trzy karty? Ja błyskawicznie je przekładam i przesuwam po stoliku, a ty próbujesz zgadnąć, gdzie jest ta, którą wybrałeś. Jeśli mam zwinne palce, zawsze ze mną przegrasz, ponieważ obserwujesz karty, a nie to, co z nimi robię. Ludzie śledzą jedynie przebieg gry pozorów, debaty, dyskusje, zmagania o nowe prawa, tymczasem prawdziwa walka toczy się w cieniu, za kulisami. To walka o władzę i pieniądze. Walka między najbogatszymi, najbardziej wpływowymi ludźmi tego świata, którzy chcą stać się dziesięć razy bogatsi i bardziej wpływowi.

Bryson pokręcił głową. To, co mówiła, było logiczne, miało sens, jednak doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego, człowiek, który w Białym Domu czuł się jak złota rybka w kryształowym akwarium, nie mógł, po prostu nie mógł zawiązać spisku na tak olbrzymią skalę. Za bardzo by ryzykował, za wiele miałby do stracenia. Nie, to niemożliwe. Poza tym była jeszcze kwestia motywu. Żądza władzy i pieniądza jest stara jak świat, ale zakładać, że Lanchester robi to tylko po to, żeby sięgnąć po kolejny urząd, choćby stukrotnie bardziej lukratywny niż te, które dotychczas sprawował? Śmieszne. Nonsensowne.

Z drugiej strony, coś podszeptywało mu, że to właśnie on jest kluczem do Prometeusza, ważnym ogniwem spisku.

- Musimy się tam dostać - wyszeptał.

- Gdzie? Do tego banku? Zamyślony kiwnął głową.

- Lecimy do Nowego Jorku?

- Tak.

- Ale po co?

- Po prawdę. Trzeba sprawdzić, co łączy Lanchestera z Meredith Watermanem. I z Prometeuszem.

- Ale jeśli Meredith Waterman jest w to zamieszany, jeśli rzeczywiście pośredniczy w przesyłaniu gigantycznych łapówek, nie masz z nimi szans. Strażnicy, potrójne zabezpieczenia szafek na akta, chronione hasłami komputery, zaszyfrowane pliki...

- Właśnie dlatego chcę, żebyś poszła tam ze mną.

- Nick, to szaleństwo! Bryson zagryzł dolną wargę.

- Muszę to przemyśleć. Parafrazując twoją metaforę, jeśli drzwi do pokoju są zamknięte, spróbuj wejść oknem.

- To znaczy jak?

- Stary, szacowny bankier ni tego, ni z owego zaczyna pracować brudnymi pieniędzmi. Po co? Dlaczego? Co nim kierowało? Nie, Eleno. Odpowiedzi na te pytania poszukamy nie tam, gdzie myślisz. Masz rację, bank jest dobrze strzeżony, a bieżąca dokumentacja zamknięta, ukryta i zabezpieczona. Dlatego musimy się cofnąć w czasie do okresu, kiedy Meredith Waterman był słynnym, prestiżowym bankiem inwestycyjnym. Musimy zbadać jego pełną

chwały przeszłość.

- Nie rozumiem.

- Posłuchaj. Właścicielami Meredith Watermana była kiedyś grupka stetryczalnych przyków, którzy podejmowali decyzje przy stołach konferencyjnych w kształcie trumny, pod okiem przodków, którzy patrzyli na nich ze starych, posepnych malowideł. Kiedy i dlaczego zaczęli przelewać pieniądze na łapówki? Konkretnie który z nich zrobił to pierwszy? Co nim kierowało?

Elena wzruszyła ramionami.

- Ale gdzie tej przeszłości szukać?

- W archiwach. Staromodny bank z poczuciem dziejowej misji zbiera każdy papierek, każdy rachunek, żeby potomni mogli poznać jego historię. Tym facetom bardzo na tym zależało, bo uważali, że gromadząc archiwa, zapewnią sobie nieśmiertelność. Jest mało prawdopodobne, żeby nowi właściciele Meredith Watermana pozbyli się tej dokumentacji. Zapewne uznali, że jest zupełnie nieszkodliwa, gdyż pochodzi z okresu poprzedzającego ich potajemne machinacje. I właśnie to jest naszym oknem. Archiwum, miejsce praktycznie nie strzeżone... - Wskazał komputer. - Da się przez to zarezerwować bilety?

- Oczywiście. Do Nowego Jorku, tak?

- Tak.

- Na jutro?

- Na dzisiaj. Jeśli znajdziesz dwa wolne miejsca, natychmiast je bierz. Razem, osobno, wszystko jedno. Musimy dotrzeć tam jak najszybciej.

Do siedziby starego, słynnego banku inwestycyjnego przy Wall Street, pomyślał. Banku niegdyś szacownego, który jest dzisiaj ważnym ogniwem spisku Prometeusza.

## Rozdział 29

Trzypiętrowy gmach banku stał przy Maiden Lane na południowym Manhattanie, w cieniu wieżowców World Trade Center, ledwie kilka ulic od Wall Street. W przeciwieństwie do pseudorenesansowego gmachu nowojorskiego Banku Rezerw Federalnych, w którego podziemiach spoczywały narodowe zasoby złota, nie rzucał się w oczy, choć była z niego wytworna duma i elegancja. Ten dziewiętnastowieczny, neoklasycystyczny budynek o mansardowym dachu i fasadzie z cegły i piaskowca zdawał się przynależać do innej epoki i zupełnie innego miejsca - bardziej pasowałby do Paryża z czasów Napoleona, kiedy Francuzi śnili o światowym imperium.

Otoczony nowoczesnymi drapaczami chmur dzielnicy finansowej emanował spokojną pewnością siebie dawnych, arystokratycznych właścicieli. Jako najstarszy prywatny bank w Stanach Zjednoczonych słynął z nieposzlakowanej reputacji i obracał pieniędzmi najstarszymi ze starych: jego klientami były najbogatsze amerykańskie rodziny, pokolenia milionerów i miliardów. Z jego nazwą kojarzyła się legendarna, wyłożona mahoniową boazerią sala narad wspólników i światowy zasięg działalności. Artykuły i notatki biograficzne w „Fortune”, w „Forbes” i w „Wall Street Journal” często podkreślały jego wyrafinowaną ekskluzywność, to, że należy do czternastu magnatów, których przodkowie stawiali pierwsze domy na Manhattanie, że jest ostatnim z wielkich prywatnych banków inwestycyjnych.

Na przygotowania poświęcili kilka godzin. Elena pojechała do biblioteki i za pośrednictwem Internetu zebrała wszystkie dostępne informacje. Było ich bardzo niewiele, gdyż jako instytucja prywatna Meredith Waterman nie musiał ujawniać tajników swoich operacji finansowych. Informacji o wspólnikach znalazła dużo więcej, chociaż były to głównie noty biograficzne. Richard Lanchester nie figurował na liście współwłaścicieli;

zrezygnował z udziałów wkrótce po tym, gdy został prezydenckim doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego, i od tamtej pory nie utrzymywał z bankiem żadnych kontaktów.

A powiązania towarzyskie? A szkolne przyjaźnie? A więzy rodzinne? Elena szukała i szukała, lecz na próżno. Wyglądało na to, że kręgi towarzyskie Lanchestera nie przecinają się z kręgami, w których obracają się jego dawni koledzy. Z żadnym z nich nie chodził do szkoły, z żadnym nie studiował. Jeśli coś ich łączyło, były to więzy starannie zakamuflowane.

Tymczasem Bryson zbierał informacje w sposób, który najbardziej lubił: na piechotę, uchem, okiem i przez telefon. Kilka godzin krążył po okolicy podając się za konserwatora sieci telefonicznej, za sprzedawcę programów komputerowych, za przedsiębiorcę poszukującego lokalu do wynajęcia - wpadł też do sąsiedniego budynku, żeby pogadać chwilę z pracującym tam informatykiem - i do czwartej zebrał sporo wiadomości na temat rozkładu pomieszczeń w Meredith Waterman, jego systemu komputerowego, a nawet starych zasobów archiwalnych.

Na zakończenie, tuż przed spotkaniem z Elena, udając zaciekawionego turystę, przeszedł przed głównym wejściem do gmachu. Szerokie, granitowe schody, owalny, wykładany marmurem hol, pośrodku holu wielka, wspaniale oświetlona brązowa rzeźba na postumencie. Rzeźba. Skądś tę postać znał. Z mitologii? Na pewno już ją gdzieś widział. I nagle przypomniało mu się lodowisko w Rockefeller Center.

Tak. Była powiększonym duplikatem słynnej pozłacanej rzeźby z Rockefeller Center.

Rzeźby Prometeusza.

Byli gotowi już o piątej, jednak z informacji zebranych przez Nicka wynikało, że mogą spróbować dopiero po północy, a więc najwcześniej za siedem godzin.

Siedem godzin: tak długo i tak krótko zarazem. Czas uciekał, nie mogli go tracić. Musieli dotrzeć do innych, choćby do Harry'ego Dunne'a. Nigdzie nie mogli go znaleźć. Dowiedzieli się jedynie, że zastępca dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej jest „na urlopie”, że wyjechał z nieokreślonych „powodów rodzinnych”; krążyły plotki, że „powody rodzinne” to w agencji „powody zdrowotne”, że Dunne jest po prostu ciężko chory.

Elena dzwoniła, szukała w Internecie, ale przypominało to wędrówkę ślepcą we mgle.

- Spróbowałam na bezczelnego i zatelefonowałam do niego do domu. Odebrała gosposia, ale powiedziała tylko, że Dunne jest bardzo chory i że nie wie, dokąd wyjechał.

- Bzdura. Na pewno wie.

- Też tak myślę, ale najwyraźniej dobrze ją przeszkolono, bo natychmiast odłożyła słuchawkę. Ślepy trop.

- Daję głowę, że można do niego dotrzeć. Oczywiście pod warunkiem, że dobrze zinterpretowaliśmy zapis w palmtopie Dawsona.

- Sprawdzalam dziesięć razy: numeru Dunne'a tam nie ma. Ani za-szyfrowanego, ani żadnego innego.

- A w Internecie? Może pogrzebać w rejestrach medycznych?

- Łatwo powiedzieć. Próbowałam. Znamy jego nazwisko i numer ubezpieczenia społecznego: przeszukałam, co się dało, i nic. Postanowiłam pójść na całego i zadzwoniłam do CIA do kadr. Przedstawiłam się jako sekretarka z Białego Domu, powiedziałam, że prezydent chce przesłać Dunne'owi kwiaty, i poprosiłam o adres.

- Świetny pomysł.

- Niestety, nie wypalił. Powiedzieli, że nie znają adresu, że nic nie wiedzą. Może gdzieś wyjechał? Do rodziny, do jakiegoś wujka, ciotki czy bratanka?

Do ciotki... Nick drgnął.

- Czekaj, czekaj. Mam pomysł

- Tak? Jaki?

- Moja ciocia, ciocia Felicja. Mieszka w domu starców, pamiętasz? Kierowniczką domu - ma na imię Shirley - zna numer telefonu Dunne'a. Dzwoni do niego, ilekroć ktoś odwiedzi

czy spyta o Felicję.

- Co? Niby dlaczego miałyby interesować go Felicja Munroe? Kiedy odwiedziliśmy ją ostatnim razem, była w bardzo złym stanie psychicznym.

- Niestety. Ale z jakichś powodów ludzie Dunne'a uważnie ją obserwują, a przynajmniej obserwowali. Może się boją, że Felicja coś komuś powie? Może ma to związek z tym, że Pete był członkiem Dyrektoriatu?

- Pete Munroe należał do Dyrektoriatu?

- Boże, mam ci tyle do powiedzenia... Ale nic to, pogadamy po drodze.

- Po drodze dokąd?

- Do kliniki przedłużonej opieki pielęgniarstwiej Rosamundy Cleary. Przejedziemy się do Dutches i złożymy nieoczekiwaną wizytę cioci Felicji.

- Kiedy?

- Teraz.

Na miejsce dotarli kilka minut po szóstej. Było chłodno, pachniało kwiatami, świeżo skoszoną trawą i końcem długiego, upalnego dnia.

Elena weszła pierwsza i spytała o kierowniczkę. Akurat tędy przejeżdżała - zatrzymała się u przyjaciół w mieście - a ponieważ słyszała, że mieści się tu cudowny dom opieki dla ludzi w podeszłym wieku, postanowiła na chwilę wpaść i sprawdzić, czy klinika Rosamundy Cleary nie odpowiadałby wymaganiom jej schorowanego ojca. Tak, był już wieczór, trochę późno, ale czy nie pracowała tu przypadkiem kobieta imieniem Shirley? Jedna z jej przyjaciółek wspominała o Shirley...

Kilka minut po niej do recepcji wszedł Bryson i spytał o Felicję Munroe. Ponieważ zaabsorbowana rozmową Shirley nie miała dla nikogo czasu, istniało prawdopodobieństwo, że nie zadzwoni do Dunne'a, a przynajmniej nie od razu. Ułatwiłoby mu to zadanie, lecz z drugiej strony nie widział nic złego w tym, żeby Dunne'a zmylić, żeby nabrał przekonania, iż Nick jest całkowicie pochłonięty swoją przeszłością. Może ci z Prometeusza nabrałby przekonania, że idzie fałszywym tropem, że nie stanowi bezpośredniego zagrożenia?

Niech myślą, że zdręczam się wspomnieniami, że próbuję dociec, kim naprawdę jestem. Niech myślą, że popadłem w obsesję.

Bo i popadłem.

W obsesję na punkcie prawdy.

Modlił się, żeby Felicja miała choćby krótki przeblysk świadomości.

Gdy wszedł, siedziała samotnie przy małym, okrągłym mahoniowym stole w eleganckiej jadalni; przy sąsiednich stołach, pojedynczo lub parami, siedziało kilkunastu pensjonariuszy. Podniosła wzrok i jakby zobaczyła kogoś, z kim rozmawiała przed pięcioma minutami. Nie okazała najmniejszego zdziwienia. Bryson omal się nie załamał.

- George! - zaświergotała, odsłaniając w uśmiechu sztuczne zęby, na których widniały ślady czerwonej szminki. - Naprawdę nie wiem, co o tym myśleć. Przecież ty nie żyjesz! Nie powinieneś tu przychodzić, kochanie - dodała, strofując go jak małe dziecko.

Nick uśmiechnął się, cmoknął ją w policzek i usiadł naprzeciwko. Wciąż brała go za jego ojca.

- Przyłapałaś mnie - odrzekł, udając zawstydzonego. - Ale powiedz mi, jak umarłem?

Felicja przebiegle zmrużyła oczy.

- Wykluczone. Dobrze wiesz, jak umarłem. Lepiej do tego nie wracajmy. Pete ma wyrzuty sumienia. Po co go zdręczać. - Nabrała na widelec trochę ziemniaczanego puree.

- Dlaczego ma wyrzuty sumienia?

- Wolałby, żeby spotkało to jego, nie was. Ciągłe się zdręcza. Dlaczego George i Nina musieli umrzeć? Dlaczego musieli umrzeć?

- No właśnie, dlaczego?

- Dobrze wiesz, nie muszę ci mówić.

- Aleja nie wiem. Opowiesz, ciociu?

Zaskoczony Nick aż drgnął. Elena. Objęła Felicję, przytuliła, usiadła obok i ujęła w dłonie



jej kościste, pokryte starczymi plamami ręce.

Czy staruszka ją poznała? Nie, to niemożliwe. Widziały się tylko raz, w dodatku przed wieloma laty. Mimo to Felicja odprężyła się przy niej i uspokoiła. Dziwne. Chciał pochwycić jej spojrzenie, spytać, co się stało, lecz Elena nie zwracała na niego uwagi.

- Naprawdę nie powinien tu przychodzić - powtórzyła Felicja, zerkając na niego kątem oka. - Przecież on nie żyje.

- Tak, wiem - odrzekła łagodnie Elena. - Ale powiedz mi, ciociu, jak do tego doszło. Na pewno ci ulży, zobaczysz. Zakłopotana Felicja zmarszczyła czoło.

- Ja też mam wyrzuty sumienia. To moja wina. Pete bardzo żałuje, że oni umarli, chętnie by się z nimi zamienił. Był najlepszym przyjacielem George'a, wiesz?

- Tak. Nie chcesz o tym mówić? O tym, jak zginęli? To dla ciebie zbyt bolesne?

- Dziś mam urodziny...

- Tak? Wszystkiego najlepszego! Dużo szczęścia!

- Szczęścia? Wcale nie jestem szczęśliwa. Jestem smutna. To była straszna noc.

- Dlaczego?

- Taka piękna, taka śnieżna noc! Czekałam na nich z kolacją, wszystko stygło, ale mnie zupełnie na tym nie zależało. Powiedziałam Pete'owi, nie, niech jadą powoli, co z tego, że jedzenie wystygnie, ale on się uparł. Szybciej, George, mówił, szybciej! Nie chciał zepsuć mi urodzin. George na to, że ich chrysler ledwo dyszy, że to wrak, że ma słabe hamulce, że droga jest oblodzona. Nina była zdenerwowana: chciała, żeby zjechali na pobocze i przeczekali zawieję, ale Pete nalegał i ciągle ich pospieszał. Szybciej! Szybciej! - Zwilgotniały jej oczy. Spojrzała na Elenę i zrozpaczona szepnęła: - Samochód wpadł w poślizg i zginęli. Boże. Pete przeleżał w szpitalu ponad miesiąc i cały ten czas powtarzał tylko dwa zdania: „To ja powinienem być zginąć, nie oni! To ja powinienem być umrzeć!” - Bolesne wspomnienia skonfundowanego umysłu kobiety, dla której przeszłość mieszała się z teraźniejszością. Jej policzki spłynęły łzami. - Byli przyjaciółmi, najlepszymi przyjaciółmi... Elena ścisnęła ją za ręce.

- To był wypadek, ciociu - powiedziała łagodnie i kojąco. - Wypadek. Wszyscy o tym wiedzą.

Z trudem powstrzymując łzy, Bryson objął staruszkę i mocno przytulił. Była drobna i krucha jak ptak.

- Już dobrze - szepnął. - Już wszystko dobrze.

Wracali do Nowego Jorku.

- Ulżyło ci.

Siedzący za kierownicą wynajętego buicka Nick skinął głową.

- Chyba musiałem to usłyszeć. Mimo okoliczności. I stanu jej umysłu.

- W sposobie jej myślenie jest łatwo zauważalna prawidłowość. Pamięć odległą ma bardzo dobrą. Ten rodzaj pamięci zwykle pozostaje nietknięty. Może nie wiedzieć, gdzie jest, gdzie przed chwilą była, ale doskonale pamięta szczegóły nocy poślubnej.

- Tak. Moim zdaniem Dunne założył, że się z nią skontaktuje, chcąc potwierdzić te wszystkie kłamstwa, którymi mnie karmił. Liczył na to, że Felicja zapomni, że jej stan ulegnie pogorszeniu, bo wówczas nie mogłaby podważyć jego wersji wydarzeń.

- A ona właśnie to zrobiła.

- Tak, ale tylko dzięki twojej cierpliwości, wytrwałości i łagodności. Zawierzyła ci. Wątpię, czy któryś z ludzi Dunne'a zdobyłby jej zaufanie. Dzięki Bogu, że cię mam. Kto by pomyślał, że tak łagodna, tak dobrotliwa istota może prowadzić podwójną grę godną świetnie wyszkolonej agentki operacyjnej.

- Chodzi ci o ten numer? - spytała z uśmiechem Elena.

- Jakim cudem tak szybko go zdobyłaś?

- Po pierwsze, zastanowiłam się, gdzie bym go zapisała, gdybym, będąc na miejscu Shirley, musiała szybko zadzwonić do Dunne'a. Po drugie, założyłam, że skoro Dunne odgrywał przed nią rolę zatroskanego krewnego, nie mógł jednocześnie nalegać na zachowanie ścisłej tajemnicy.

- No i gdzie był? W notatniku?

- Ciepło. Na liście „najważniejszych numerów” w lewym górnym rogu bibularza. Zauważyłam go, jak tylko usiadłam, dlatego „przypadkiem” położyłam torebkę na krześle obok biurka. Przypomniałam sobie o tym, gdy wyszłyśmy na korytarz: szybko wróciłam, chwyciłam torebkę i wysypałam jej zawartość na biurko i podłogę. Zbierając rzeczy, zerknęłam na numer. Proste.

- A gdyby go tam nie było?

- Miałam jeszcze plan B: zostawiłabym torebkę na dłużej i wróciłabym po nią, kiedy Shirley zrobiłaby sobie przerwę na papierosa. Ona dużo pali.

- Był też plan C?

- Tak: ty.

Zapominając o napięciu ostatnich dni, czego tak bardzo potrzebował, roześmiał się szczerze, beztrosko i z wielką ulgą.

- Przeceniasz mnie.

- Chyba nie. Ale teraz moja kolej. Znając numer telefonu, łatwo jest *znaleźć* adres: wszystko dzięki Internetowi. Nie będę musiała nawet robić tego sama. Wyślę numer e-mailem do jednego z setek serwisów pocztowych i najdalej za pół godziny dostanę od nich adres. Wraz z rachunkiem naturalnie.

- Kierunkowy osiem-jeden-cztery? Gdzie to jest?

- Obok numeru Shirley napisała „PA”. To chyba Pensylwania.

- Pensylwania? Co on by tam robił?

- Może stamtąd pochodzi? Rodzinne strony.

- Mówi z akcentem New Jersey.

- W takim razie może ma tam krewnych? Znajdę adres. Przynajmniej to będzie łatwe.

O pierwszej w nocy w gmachu Meredith Watermana czuwał tylko najniezbędniejszy personel: kilku ochroniarzy i technik komputerowy na dyżurze.

Ponura strażniczka za ladą przy bocznym wejściu dla pracowników czytała akurat romans Harlequina i była bardzo niezadowolona, że ktoś jej przeszkadza.

- Nie ma pana na liście - mruknęła, przytrzymując kartkę palcem z długim jak szpon paznokciem. Krótkowłosa mężczyzna w okularach i w koszuli z napisem „Serwis Komputerowy McCaffreya” obojętnie wzruszył ramionami.

- Ekstra - odparł. - Wróć do New Jersey i powiem, że nie chcieliście mnie wpuścić. Mnie tam wisi, i tak mi zapłaca.

Odwrócił się, gorączkowo myśląc, co teraz, gdy wtem strażniczka jakby nieco złagodniała.

- Jaki jest cel...

- Już mówiłem. Jesteście jednym z naszych klientów. Kiedy skończycie pracę, archiwizujemy wasze dane. Wy robicie to u siebie, my u siebie. Podwójne zabezpieczenie, tak na wszelki wypadek. Stwierdziliśmy, że w pakietach, które od was ściągamy, są błędy. Wy stępuj ą rzadko, ale występują, a skoro już występują, muszą sprawdzić wasz router, jasne?

Strażniczka westchnęła, podniosła słuchawkę telefonu i wystukała numer.

- Charlie, czy mamy umowę z... - Zerknęła na koszulę Brysona. -Z „Serwisem Komputerowym McCaffreya”? Chwilę słuchała.

- Facet mówi, że w pakietach są błędy i że musi sprawdzić jakiś router... Dobra, dzięki. - Odłożyła słuchawkę z szyderczym uśmiechem na ustach. - Mieliście nas uprzedzić - warknęła. - Winda jest na końcu korytarza, po prawej stronie. Poziom B.

Znalazszy się w suterenie, popędził do drzwi serwisowych, które namierzył w trakcie przygotowań do akcji. Czekala za nimi Elena: miała na sobie koszulę z takim samym napisem i trzymała aluminiową podkładkę z notatnikiem. Archiwum mieściło się w wielkiej podziemnej sali o niskim, wyłożonym dźwiękochłonnymi płytkami suficie, na którym buczały dziesiątki jarzeniówek. Stały tam niezliczone rzędy metalowych półek, a na półkach niezliczone ilości identycznych wysokich, szarych pudeł. Ustawiono je chronologicznie, poczynając od roku tysiąc osiemset sześćdziesiątego, kiedy to Elias

Meredith, naonczas irlandzki handlarz tekstyliami, założył bank - na tej półce stało ledwie kilka pudeł - i kończąc na roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym, kiedy to archiwum zamknięto; półka z roku osiemdziesiątego dziewiątego była całkowicie wypełniona. Każdy rok podzielono na przeróżne kategorie: dane personalne klientów, dane personalne pracowników, stenogramy narad wspólników, uchwały, poprawki do regulaminu i statutu i tak dalej. Każda kategoria miała swój kolor, każda teczka była oznaczona etykietą i kodem kreskowym.

Wiedzieli, że mają bardzo mało czasu, że mogą zostać tam najwyżej godzinę, gdyż później jego przedłużająca się nieobecność mogła wzbudzić podejrzenia strażników. Postanowili, że on będzie przeglądał akta, natomiast Elena siądzie do komputera i przejrzy zapisy elektroniczne. Archiwa skatalogowano za pomocą systemu zarządzającego bazą danych, nowoczesnego, lecz nie zabezpieczonego hasłem. To logiczne: system miał ułatwiać pracę urzędnikom, umożliwiać szybki dostęp do zasobów i nie było powodów, żeby dostęp ten utrudniać.

Praca była ciężka i żmudna, tym bardziej że nie mieli pojęcia, czego dokładnie szukają. Zapisów operacji finansowych? Jeśli tak, to których klientów? Kopii transferów pieniężnych na zagraniczne konta? Ale jak odróżnić półlegalny przelew, którego celem było zmylenie urzędu podatkowego czy ekszony, od takiego, który dawał początek długiemu łańcuchowi dalszych przelewów, by w końcu trafić do kieszeni tego czy innego senatora? Elena szukała ich w komputerze za pomocą słów kluczowych i parametrów hasłowych, mimo to niczego nie znalazła.

Stwierdzili za to, że w aktach są potężne luki. Po roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym nie było żadnych zaświadczeń o dochodach z płac i wynagrodzeń. Wyglądało na to, że celowo je usunięto. Elena ponownie przejrzała bazę danych i okazało się, że w archiwum nie ma ani jednego dokumentu, który miałby jakikolwiek związek z zarobkami ówczesnych wspólników Mereditha Watermana.

Zdenerwowany i coraz bardziej spięty Bryson postanowił zawęzić obszar poszukiwań tylko do jednego człowieka, do Richarda Lanchestera, i sięgnął po jego akta. To, czego się z nich dowiedział, potwierdziło mit o słynnym czarodzieju z Wall Street.

Lanchester przyszedł do Mereditha Watermana zaraz po ukończeniu Harvardu i już kilka lat później wypłynął jako agresywny makler przynoszący bankowi olbrzymie dochody. Wkrótce został kierownikiem wydziału i poszerzył swoją działalność o inwestycje i spekulacje walutowe: w porównaniu z dochodami, jakie wówczas osiągał, jego dochody maklerskie były żebraćzą pensją. Po dziesięciu latach pracy był najlepiej zarabiającym urzędnikiem w historii Mereditha Watermana.

Stał się maszynką do robienia pieniędzy: robił świetne interesy, na których zbijali fortunę i on, i jego bankowi wspólnicy. Specjalizował się w zawieraniu ryzykownych, acz lukratywnych kontraktów finansowych i -jak wynikało z dokumentów - do mistrzostwa opanował trudną sztukę przewidywania indeksów i kursów giełdowych, na które stawiał miliardy dolarów. Po prostu uprawiał hazard, hazard na gigantyczną skalę w kasynie światowych rynków kapitałowych. Stawiał i wygrywał i jak na prawdziwego hazardzistę przystało, wierzył zapewne, że nigdy nie opuści go szczęście.

Niestety, pod koniec tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego pierwszy i ostatni raz miał pecha. Tak, w osiemdziesiątym piątym wszystko się zmieniło. Siedząc na zimnej betonowej podłodze, zafascynowany Bryson otworzył ciekawą teczkę z protokołem wewnętrznej kontroli finansowej, z opisem katastrofy tak spektakularnej i druzgoczącej, że aż niewiarygodnej.

Lanchester postawił olbrzymie pieniądze na wskaźnik giełdowy eurodolara i z dnia na dzień Meredith Waterman stracił trzy miliardy dolarów. Trzy miliardy dolarów! Tak wielka kwota wielokrotnie przekraczała możliwości finansowe banku.

Meredith Waterman był niewypłacalny. Przetrwał wiele kryzysów, w tym wielki kryzys z lat dwadzieścia dziewięć-trzydzieści trzy i nagle, na skutek jednego nieudanego zakładu Richarda Lanchestera, ten najstarszy prywatny bank w Ameryce stanął na progu

bankructwa.

- Boże... - szepnęła Elena, przeglądając protokół. - Ale... ale nigdzie o tym nie pisano! Nikt o tym nie wie!

Zdumiony Nick powoli pokręcił głową.

- Nigdzie. W żadnej gazecie, absolutnie nigdzie.

- Jak to możliwe?

Nick zerknął na zegarek. Siedzieli tam prawie dwie godziny, kusili los.

Nagle spojrzął na nią rozszerzonymi z podniecenia oczami.

- Chyba już rozumiem, dlaczego nie mogliśmy znaleźć zaświadczeń o dochodach wspólników po osiemdziesiątym piątym.

- Dlaczego?

- Ponieważ zdarzył się cud: ktoś ich wykupił.

- Jak to?

Bryson wstał i zdjął z półki pudło z niewinnym napisem „Udziały wspólników”. Widział je przedtem, ale doszedł do wniosku, że przy tej ilości innych materiałów nie warto tam zaglądać. W środku spoczywała tylko jedna cienka teczka z ledwie czternastoma trzykartkowymi dokumentami.

W nagłówku każdego z nich widniał identyczny napis: „Udziały wspólników”. Z mocno bijącym sercem przebiegł wzrokiem dokument leżący na wierzchu i chociaż domyślał się, co zawiera, przeżył szok.

- Nicholas? Co to jest?

- Posłuchaj: „Niżej podpisany wspólnik banku Meredith Waterman zgadza się sprzedać wszystkie prawa, tytuły, udziały i aktywa oraz przenieść na rzecz nabywcy wszelkie wynikające z tego zobowiązania finansowe...”.

- Co ty czytasz? Nick, co to za dokument?

- W listopadzie 1985 wszyscy wspólnicy Meredith Watermana podpisali akt sprzedaży udziałów w banku. - Zaschło mu w ustach. - Każdy z nich był bezpośrednio i osobiście odpowiedzialny za trzymiliardowy dług Lanchestera. Nie mieli wyboru, przyparto ich do muru. Musieli sprzedać.

- Ale... Nie rozumiem. Co sprzedać? Przecież nic im nie zostało.

- Nazwę. Pustą skorupę banku.

- I co za to dostali?

- Nabywca zapłacił czternaście milionów dolarów, po milionie na głowę. Mieli wielkie szczęście, że w ogóle cokolwiek dostali, bo wraz z nazwą banku nabywca przejął trzymiliardowy dług Lanchestera. Ale mógł sobie na to pozwolić. Według jednego z paragrafów umowy każdy wspólnik musiał podpisać zobowiązanie do zachowania tajemnicy pod groźbą zwrotu całej kwoty, której płatność rozłożono na pięć lat.

- Niesamowite. Niesamowite... - Elena zmarszczyła czoło. - Czy dobrze zrozumiałam? Mówisz, że w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym Meredith Waterman został potajemnie sprzedany jednemu nabywcy? I że nikt o tym nie wiedział?

- Otóż to.

- Ale komu? Kto był na tyle szalony, żeby pakować się w taki interes?

- Ktoś, kto chciał zostać anonimowym właścicielem starego, szacownego banku inwestycyjnego. Banku, za którego pośrednictwem mógłby dokonywać gigantycznych i nielegalnych przelewów...

- Ale kto? Kto to jest?

Bryson uśmiechnął się blado i pokręcił głową.

- Miliarder nazwiskiem Gregson Manning.

- Gregson Manning? Ten z Systematiku?

- Ten, którego ścigamy. Nasz Prometeusz.

Wtem... Cichy szelest, szuranie butami po betonowej podłodze. Nick poderwał wzrok znad rozłożonych na stoliku papierów i ujrzał wysokiego, potężnie zbudowanego mężczyznę w granatowym mundurze strażnika, który patrzył na nich z nieukrywaną wrogością w

oczach.

- A wy co? Mielicie naprawiać komputery. Co wy tu, do diabła, robicie?

## Rozdział 30

Główny serwer stał na drugim końcu wielkiej sali, a na stoliku, tuż przed nimi, leżało czternaście dokumentów, rozłożonych niczym biały wachlarz.

- Dlaczego tak późno? - spytał zdeglustowany Bryson. - Dzwonię do was od pół godziny!

Strażnik świdrował ich podejrzliwym spojrzeniem. Zaskrzeczała krótkofalówka.

- Jak to? Nic mi nie mówili.

Elena wstała i niecierpliwie machnęła podkładką.

- Bez umowy serwisowej tracimy tylko czas! Mielicie zostawiać ją zawsze w tym samym miejscu! Przerzucamy tę makulaturę jak idioci. Gdzie ta przeklęta umowa? - Dźgnęła go palcem w pierś. - Wie pan, ile danych szlag trafi?

Bryson omal nie rozdziawił ust. Zaimponowała mu, i to bardzo.

- Musieliście wyłączyć system - mruknął, powoli wstając.

- Nie mam pojęcia, o czym pani mówi - zaprotestował strażnik, stając twarzą do niej. - Jakich danych? Jaki...

Z szybkością szarżującej kobry Nick wyrzucił przed siebie obie ręce: lewą chwycił go od tyłu za gardło, a kantem prawej grzmotnął w nerw barkowy u podstawy szyi. Strażnik stracił przytomność i gwałtownie zwiotczał. Bryson łagodnie ułożył go na podłodze, zawłókł między półki i oparł o ścianę. Mieli go z głowy na godzinę, może nawet na dłużej. Wyszli drzwiami służbowymi, wskoczyli do wynajętego samochodu, który czekał kilkadziesiąt metrów dalej, i w milczeniu przejechali kilka ulic. Oboje byli w stanie szoku, oboje lecieli z nóg. Nic nie mogli na to poradzić. Ostatnio prawie w ogóle nie sypiali i gdyby nie kawa i adrenalina, już dawno padliby ze zmęczenia.

Trzecia dwadzieścia nad ranem. Ulice były ciemne i opustoszałe. Gdy dotarli w okolice South Street Seaport, Nick skręcił w boczną uliczkę i zaparkował przy krawężniku.

- Nieprawdopodobne - szepnął. - Jeden z najbogatszych ludzi w kraju i na świecie, najbardziej szanowany amerykański polityk, „ostatni sprawiedliwy z Waszyngtonu” czy jak go tam nazwali... Lanchester i Man-ning: tajna spółka zawarta przed laty. Nigdy nie pokazywali się razem, ich nazwisk nigdy nie wymieniano w tym samym zdaniu. Pozornie nic ich nie łączyło.

- A pozory są bardzo ważne.

- Najważniejsze, i to z wielu względów. Jestem przekonany, że Man-ning chciał wykorzystać nieposzlakowaną reputację Meredith Waterma-na. Tak, chodziło mu tylko o reputację, o nic więcej. Będąc właścicielem starego, szacownego banku, mógł bez przeszkód przekupywać przywódców politycznych całego świata. Pewność, solidność, niezawodność i ponadstuletnia tradycja: lepszego kamuflażu nie mógł sobie wymarzyć. Pieniądze płynęły szerokim strumieniem: łapówki dla członków angielskiego Parlamentu, dla naszych senatorów, dla posłów rosyjskiej Dumy, dla członków francuskiego Zgromadzenia Narodowego, wszędzie, gdzie tylko chciał. Poza tym mógł skupować udziały innych banków i firm, nie ujawniając swego nazwiska. Jak choćby ten waszyngtoński bank, w którym pieniądze trzyma większość amerykańskich kongresmanów. Właśnie tak to załatwiał, łapówkami i szantażem, groźbą ujawnienia najintymniejszych faktów z ich życia...

- No i oczywiście za pośrednictwem Białego Domu - wtrąciła Elena.

- Naturalnie. Ma tam Lanchestera i może wywierać duży wpływ na naszą politykę zagraniczną. Dlatego tak bardzo uważali, żeby wiadomość o wykupieniu Mereditha

Watermana nie trafiła do prasy. Lanchester musiał zachować nieposzlakowaną reputację. Gdyby wyszło na jaw, że własnoręcznie doprowadził do bankructwa najstarszy prywatny bank w Stanach, byłby skończony. A tak udało mu się podtrzymać mit o czarodzieju, o finansowym geniuszu z Wall Street. O błyskotliwym, lecz etycznym bankierze, który wzbogacił się do tego stopnia, że był nieprzekupny, i który zrezygnował z intratnej posady, żeby pracować dla kraju. Dla „dobra publicznego”. Mieć takiego człowieka w Białym Domu, u boku prezydenta Stanów Zjednoczonych. Czyż mogło spotkać nas coś lepszego?

- Ciekawe, czy to Manning go tam wysłał. Może był to jeden z warunków wykupienia banku?

- Interesująca hipoteza, ale nie zapominaj, że Lanchester znał Malcolma Davisa, zanim ten postanowił wystartować w wyborach.

- Lanchester stał wtedy na uboczu, ale był jednym z jego głównych sojuszników, prawda? Popierał go, a potem został szefem jego kampanii wyborczej. Za pieniądze kupisz wszystko, nawet przyjaźń, zwłaszcza przyjaźń polityków.

- Słusznie. Jestem przekonany, że Manning maczał palce i w tym. Że przekazywał mu pieniądze z Systematixu, od pracowników, od przyjaciół, Bóg wie, od kogo jeszcze. I tak Richard Lanchester, któremu groziła życiowa klęska i upadek z najwyższych szczebli spektakularnej kariery finansowej, przedzierzgnął się nagle w jednego z czołowych aktorów światowej sceny politycznej, rozbłysnął na firmamencie niczym supernowa.

- Wszystko dzięki Manningowi... Mamy do niego dojście? Bryson pokręcił głową.

- Ale znasz Lanchestera, spotkał się z tobą w Genewie. Może cię przyjmie?

- Nie, teraz już nie. Wie o mnie wszystko. Wie, że chcę ich zdemaskować. Nie zechce się ze mną zobaczyć.

- Chyba że wyłożysz kawę na ławę i otwarcie tego zażadasz.

- Ale po co? W jakim celu? Nie, spotkanie z Lanchesterem nie miałoby sensu. Moim zdaniem powinniśmy pogadać z Dunne'em.

- Z Dunne'em?

- Znam go. On wie, że ja wiem, i na pewno zechce się ze mną zobaczyć. Nie oprze się pokusie.

- Nie jestem tego pewna. Zależy, w jakim będzie stanie.

- Jak to?

- Ten numer telefonu od Shirley... Sprawdziłam. Należy do małej, prywatnej i bardzo ekskluzywnej kliniki we Franklin w Pensylwanii. Do hospicjum. Może Dunne się ukrywa, ale ukrywając się, umiera.

Ponieważ we Franklin nie było lotniska, zdecydowali pojechać tam samochodem, jednak przed podróżą musieli trochę odpocząć. Rozpaczliwie potrzebowali choćby kilku godzin snu: zmęczenie zabijało czujność, a Bryson był pewien, że czeka ich jeszcze mnóstwo pracy.

Jednak czterogodzinna drzemka wykończyła go bardziej niż brak snu. Obudził się półprzytomny - wynajęli pokój w skromnym, anonimowym motelu pół godziny jazdy od centrum Nowego Jorku - słysząc miarowe postukiwanie klawiszy.

Podłączony do gniazdka telefonicznego laptop i Elena. Już po prysznicu, robiła wrażenie wyspanej i wypoczętej. Usłyszała, że się poruszył, lecz nie odwróciła głowy.

- Systematix jest najbardziej imponującym przykładem niepoohamowanego globalnego kapitalizmu albo najbardziej przerażającym przedsiębiorstwem, jakie kiedykolwiek istniało. *Zależy*, jak na to patrzeć.

Nick usiadł.

- Zanim popatrzę, muszę napić się kawy.

Elena wskazała papierowy kubek na stoliku nocnym.

- Pewnie już wystygła, przepraszam.

- Dzięki, może być zimna. Spałaś? Pokręciła głową.

- Wstałam godzinę temu. Myślałam.

- I co wymyśliłaś? Odwróciła się.

- Jeśli wiedza to potęga, Systematix jest najpotężniejszą firmą w świecie. „Wiedza nade wszystko”. To ich motto i jedyna zasada organizacyjna, która jednoczy zrzeszone w Systematiksie przedsiębiorstwa.

Nick wypił łyk kawy. Rzeczywiście ostygła.

- Myślałem, że robią w programach komputerowych, że są głównym rywalem Microsoftu.  
- Programy komputerowe i komputery to tylko niewielki ułamek ich działalności. Są bardzo wszechstronni. Wiemy już, że przejęli Meredith Watermana i First Washington Mutual Bancorp. Podejrzewam, że kontrolują również banki angielskie, w których pieniądze trzyma większość członków brytyjskiego Parlamentu.

- Podejrzewasz? Na jakiej podstawie? Zważywszy środki, jakie Manning przedsięwziął, żeby ukryć swoje powiązania z Meredithem Watermanem, niełatwo będzie mu to udowodnić.

- Kancelarie prawnicze: oto moja podstawa. Kancelarie prawnicze i biura konsultingowe, za których pośrednictwem działa i które sownie opłaca. Wszystkie, czy to w Londynie, czy w Buenos Aires, czy w Rzymie, są ściśle powiązane z określonymi bankami. Wystarczy tylko skojarzyć fakty.

- Imponujący tok rozumowania.

- Za pośrednictwem Systematixu Manning wykupił olbrzymie udziały w wielkich przedsiębiorstwach zbrojeniowych, a ostatnio wprowadził na orbitę flotyllę satelitów telekomunikacyjnych. A teraz posłuchaj: Systematix jest również właścicielem dwóch największych amerykańskich agencji gromadzących informacje dla banków kredytowych.

- Agencji...?

- Bank kredytowy: pomyśl tylko, ile o tobie wie. Dużo, bardzo dużo. Dysponuje setkami najintymniejszych informacji o kliencie. Mało tego. Systematix jest właścicielem kilku towarzystw ubezpieczeniowych i firm, które opracowują dla nich bazy danych. Jest właścicielem firm opracowujących bazy danych dla niemal wszystkich instytucji medycznych w kraju.

- Boże święty.

- Jak już mówiłam, jedynym elementem, który łączy te wszystkie przedsiębiorstwa, jest informacja. To, co firmy te wiedzą. Informacje, do których mają dostęp. Ubezpieczenia na życie i zdrowie, archiwa opieki medycznej, banki kredytowe: dzięki swoim aktywom Systematix ma wgląd w najbardziej prywatne, najintymniejsze dane prawie dziewięćdziesięciu procent obywateli Stanów Zjednoczonych.

- A są jeszcze inni.

- Hm?

- Manning jest tylko jednym z członków Prometeusza. Nie zapominaj o Prisznikowie, który założył podobną sieć przedsiębiorstw w Rosji. O Arnauldzie we Francji, o generale Tsai w Chinach. Kto wie, jaką ilością prywatnych informacji dysponują.

- To przerażające, koszmarnie. Zwłaszcza dla kogoś takiego jak ja, dla kogoś, kto dorastał w państwie totalitarnym, mając na karku Securitate i donoszących na wszystkich sąsiadów. Bryson wstał i założył ręce. Stężyły mu mięśnie, czuł się dziwnie, nieswojo, jakby mknął przed siebie nieskończenie długim tunelem.

- W Waszyngtonie zdobyli informacje, których nikt nie miał prawa zdobyć, i opublikowali je w prasie. Mogą zrobić to samo, gdziekolwiek zechcą, w dowolnym kraju świata. Tak, Systematix to informacja, ale Prometeusz... Prometeusz to władza.

Głos Eleny dobiegał z daleka, jak zza ściany.

- Tak, ale jaka? Nad czym? Nad kim?

Machina ruszyła. Teraz kolej na przejęcie władzy! Wszystko wyjdzie na jaw!

- Nie wiem - odrzekł. - I zanim się tego dowiemy, może być za późno.

Kilka minut po dwunastej zaparkowali na półkolistym podjeździe przed wielkim gregoriańskim gmachem z czerwonej cegły, który musiał być kiedyś prywatnym domem. Na niskim ceglany murku widniał dyskretny napis z mosiężnych liter: FRANKLIN HOUSE. Elena została w samochodzie.

Nick - miał na sobie biały kitel, który kupił po drodze w hurtowni sprzętu medycznego - przedstawił się jako lekarz z Pittsburgha, specjalista od terapii przeciwbólowej, wezwany na konsultację przez rodzinę jednego z pacjentów hospicjum. Zawierzył zasadzie, że personel szpitali oraz innych placówek medycznych jest zwykle bardzo łatwowierny, i się nie zawiódł: nikt nie poprosił go o dokumenty. Z zawodową obojętnością przyprawioną odpowiednią dawką zatroskania wyznał recepcjonistce, że rodzina umierającego skontaktowała się z nim za pośrednictwem kolegi, prosząc o przyjazd i konsultację, następnie z pełnym rozbawieniem i zawstydzeniem pokazał jej różową karteczkę z numerem telefonu.

- Niestety, moja sekretarka nie zapisała jego nazwiska - dodał - a faks zostawiłem w biurze. Bardzo przepraszam. Czy wie pani, kto to może być?

Recepcjonistka zajrzała do skoroszytu.

- Oczywiście, panie doktorze. To John McDonald. Leży w pokoju trzysta dwadzieścia dwa.

Harry Dunne wyglądał jak trup. Miał jeszcze bardziej zapadnięte policzki, wytrzeszczone oczy, nienaturalnie zbrązowiałą, pokrytą plamami skórę i był prawie zupełnie łysy. Z nosa sterczała mu rurka z tlenem, z przedramienia igła kroplówki, a pierś miał oblepioną czujnikami podłączonymi do monitorów nadzorujących pracę serca i częstotliwość oddechu. Na zielonym ekranie jednego z nich widać było wystrzępioną sinusoida. Głośno popiskiwał kardiograf.

Na stoliku nocnym stał telefon i faks, lecz oba aparaty milczały.

Kiedy Nick wszedł do pokoju, Dunne otworzył oczy. Był lekko oszołomiony, lecz czujny, i kilka sekund później uśmiechnął się do niego makabrycznym uśmiechem nieboszczyka.

- Przyszedłeś mnie zabić, Bryson? - spytał szyderczo. - Pęknięcie ze śmiechu. Nie widzisz, że zdycham? Że jestem jak żywy trup? Jak CIA?

- Niełatwo cię znaleźć.

- Bo nie chcę, żeby mnie znaleziono. Nie mam żadnych krewnych, którzy odwiedziliby mnie na łożu śmierci, a wiem, co się dzieje w Langley, kiedy ktoś zachoruje: otwierają jego sejf, grzebią w papierach i wyrzucają go na zbity pysk. Jak w dawnym Związku Radzieckim. Premier wyjeżdża do Jałty na urlop, wraca i widzi, że jego rzeczy stoją w pancernych pudłach przed kremlowskim murem. - Roześmiał się gardłowo i chrapliwie. - Musiałem się zabezpieczyć, no nie?

- Ile ci dają? - Pytanie było niegrzeczne, nietaktowne, nawet bezczelne; Nick chciał go sprowokować. Dunne długo milczał.

- Półtora miesiąca temu wykryli u mnie złośliwego raka płuc z przerzutami. Naświetlali mnie, szpikowali chemią, i gównem. Mam przerzuty na kości, żołądek, nawet na ręce i stopy. Wiesz, że kazali mi przestać palić? Myślałem, że umrę ze śmiechu. Może każą mi jeszcze przejść na dietę błonnikową?

- Nieźle mnie wystawiłeś - powiedział Bryson, nie ukrywając gniewu. - Te wszystkie wyrafinowane kłamstwa o mojej przeszłości, o Dyrektoracie, o tym, jak to się zaczęło i jak się miało skończyć... Chciałeś zrobić ze mnie narzędzie? Miałem odwalić za ciebie brudną robotę? Wrócić do Dyrektoriatu i sprawdzić, co wiemy... - Urwał. Co wiemy? „My”? Znowu myślę o sobie w liczbie mnogiej? Znowu utożsamiam się z czymś, co już nie istnieje? - O Prometeuszu? Dlaczego akurat Dyrektoriat? Dlatego, że byliśmy jedyną agencją wywiadowczą na świecie, która mogła wam zagrozić, tak?

- I niby co o nas wiedzieliście? Nic. - Uśmiechnął się ponuro i rozkaszał. - Jestem jak ten pieprzony Mojżesz. Nie dla mnie ziemia obiecana. Wskażę tylko drogę innym, to wszystko.

- Ziemia obiecana? Czyja? Gregsona Manninga?

- Daj sobie spokój, Bryson. - Dunne wykrzywił usta w posępnym uśmiechu i zamknął oczy.

Nick spojrzął na woreczek z przezroczystym płynem na stojaku kroplówki. Ketamina. Środek przeciwbólowy, który miał także inne zastosowania. W większych dawkach



wywoływał euforię, a nawet delirium; zarówno Dyrektoriat, jak i CIA używali go kiedyś jako serum prawdy. Podszedł bliżej i przekręcił korek, zwiększając przepływ cieczy.

- Co ty, do cholery, robisz? - mruknął Dunne. - Nie wyłączaj. Morfina już nie skutkuje, musieli dać mi coś silniejszego.

Ketamina zadziałała momentalnie. Dunne'owi poczerwieniały policzki, czoło zalał pot.

- Ty naprawdę nic nie rozumiesz, co?

- Czego nie rozumiem?

- Wiesz, co się stało z tym dzieckiem?

- Z którym dzieckiem?

- Manninga.

Manning. Elena ściągnęła z Internetu jego biografię.

- Uprowadzono mu córkę, tak?

- Uprowadzono? - wybełkotał Dunne, mocno przeciągając sylaby. - To ledwie połowa prawdy. Facet był rozwiedziony i miał ośmioletnią córkę, poza którą świata nie widział. Przyjechał do Nowego Jorku, na wielkie przyjęcie dobroczynne. Manhattan, sława, zaszczyty... Ariel została w hotelu z opiekunką... Wrócił wieczorem. Opiekunka zamordowana, córki nie ma.

- Chryste.

- Paru drobnych spryciarzy, chcieli zarobić... - Gwałtownie zakaszłał. - Manning zapłacił okup i nic. Zawieźli ją do domku na jakimś zadupiu w Pensylwanii... - Zamknął oczy.

Nick czekał. Czyżby przesadził z ketaminą? Wstał, zmniejszył przepływ płynu i w tej samej chwili Dunne zatrzepotał powiekami.

- Facet jest miliarderem, właścicielem imperium... Poszedł do FBI i zaproponował pomoc. Mamy satelity, ale zgodnie z aktem wykonawczym numer dwanaście-trzydzieści trzy nie możemy z nich korzystać.

Przestał bełkotać, skupił wzrok.

- Te dupki z Departamentu Sprawiedliwości nie zgodzili się na założenie podsłuchu telefonów komórkowych. No bo jak to? Prywatność przestępców też podlega ochronie. Chronili ich, chronili i przesrali sprawę. Przekłęci biurokraci. A tymczasem mała, ośmioletnia dziewczynka, pochowana żywcem w trumnie metr pod ziemią, dusiła się powoli z braku powietrza.

- Boże... Koszmar.

- Wtedy Manning przejrzał na oczy.

- I co zobaczył?

Dunne powoli pokręcił głową. Na jego ustach zagościł dziwny uśmiezek.

Bryson wstał.

- Gdzie jest Lanchester? Mówią, że wyjechał na urlop na północny wschód. Bzdura, nie o tej porze roku. Gdzie on jest?

- Tam, gdzie wszyscy członkowie Prometeusza, z wyjątkiem unizonego sługi. A jak myślisz? W Lakeside.

- W Lakeside?

- W domu Manninga, nad jeziorem na przedmieściach Seattle. - Mówił coraz ciszej, ponownie zamknął oczy. - Idź już. Marnie się czuję.

- O co wam chodzi? Do czego zmierzacie?

- Brachu, to jest jak pociąg towarowy - wychrypiał Dunne i zamilkł na dobrą minutę. - Nie powstrzymasz nas, już za późno. Możesz spokojnie zejść z torów.

Zza zakrętu na końcu korytarza wyszedł jakiś mężczyzna, szczupły, ciemnoskóry pielęgniarz. Nick chyba skądś go znał. Tylko skąd?

Szybko wstał i wyszedł z pokoju - instynkt podszeptował mu, że zaraz mogą być kłopoty. Szedł szybko, jak wiecznie spóźniony lekarz.

Idąc, dyskretnie spojrzął przez ramię. Pielęgniarz zniknął w separacie Dunne'a. Znam go, na pewno skądś go znam. Na miłość boską, kto to, u licha, jest?

Skręcił do jadalni. Automaty z batonikami, laminowane blaty stołów - zamyślony

znieruchomiał. Gdzie go spotkał? Podczas której operacji? W jakim kraju? A może znał go z życia cywilnego, na przykład z college^?

Kilka minut później wystawił głowę za drzwi. Pusto. Ruszył w stronę separatki, chcąc jeszcze raz zerknąć na pielęgniara.

Otwarte drzwi. W pokoju nie było nikogo oprócz śpiącego Dunne'a.

Nie.

Dobiegł go ciągły pisk kardiografu. Wystrzępiona sinusoida zniknęła: jej miejsce zajęła prosta, zielona linia. Serce przestało bić. Dunne nie żył.

Nick wpadł do pokoju i spojrzał na kroplówkę. Zawór był maksymalnie otwarty, woreczek prawie pusty.

Pielęgniara. To ten ciemnoskóry pielęgniara!

Cały czas go obserwowali. Murzyn nie był wcale pielęgniarem: był mordercą.

Zabił Dunne'a.

Za to, że się przed nim wygadał?

Bryson wybiegł z hospicjum.

- Mamy zamiar wizyjny.

W atrium stały rzędy monitorów przekazujących wyraźne, stale zmieniające się obrazy z satelitów telekomunikacyjnych. Atrium mieściło się w pasażu handlowym w Sunnyvale w Kalifornii, tuż nad ośrodkiem dietetycznym, który stanowił znakomity kamuflaż dla jego prawdziwej działalności.

Młody technik wskazał monitor dwadzieścia trzy A. Jego przełożony, trzydziestokilkuletni mężczyzna w lekkich słuchawkach na uszach, podszedł bliżej, mrużąc oczy.

- Tu. - Technik postukał palcem w ekran. - Zielony buick. Ten sam numer rejestracyjny. Za kierownicą mężczyzna, obok niego kobieta.

- A twarze? Zeskanowałeś?

- Tak jest. To oni.

- Dokąd jadą?

- Na południe.

Ten w słuchawkach skinął głową.

- Dzwon po tych z dwudziestki siódemki.

Nick zacisnął ręce na kierownicy.

Musieli dotrzeć do Seattle, i to jak najszybciej. Najbliższe lotnisko i samolot, liniowy lub wynajęty. Tak, a potem do Lakeside, do domu Gregsona Manninga.

Zbierali się tam wszyscy członkowie Prometeusza. Po co?

Wszystko jedno, najważniejsze, że się w ogóle zbierali. Musiał tam dotrzeć. Szybko. Jak najszybciej.

- Ten pielęgniara... - zaczął i gwałtownie urwał.

Przed oczyma przewinęły mu się obrazy z Rock Creek Park. Betonowy bunkier i głośnie łomotanie do drzwi. Szofer Dunne'a, który chce się widzieć z szefem. Szczupły, zwinny, dobrze umięśniony Murzyn. Solomon. Strzela, ma okrutne, niemal sadystyczne oczy. Pada na podłogę. Martwy. Z przestrelonej piersi bucha krew. Lufa dymiącej czterdziestki piątki w rękę Dunne'a.

Aż go zemdlilo.

- To był szofer Dunne'a - powiedział. - Nasłali go ci z Prometeusza.

- Jak to? Przecież mówiłeś, że on nie żyje, że Dunne go zabił!

- Chryste, bo tak myślałem! Mają tych wszystkich specjalistów od efektów specjalnych. Baterie, małe ładunki wybuchowe w ubraniu, torebki z krwią, setki przeróżnych sztuczek! Wahałem się i Dunne musiał zrobić coś dramatycznego, żeby mnie przekonać...

Co to? Słyszysz?

Przekrzywiła głowę.

- Nie.

Odległe, mocno stłumione łump-łump-łump głównego wirnika. Lotnisko? Jakaś fabryka?

Nie.

- Śmigłowiec - powiedział. - Bardzo cicha maszyna. Musi być dokładnie nad nami. Masz jakieś lusterko?

- Mam.

- Opuść szybę, wystaw je na zewnątrz i sprawdź. Tylko dyskretnie.

- Myślisz, że nas śledzą?

- Słyszę go od kilku minut. Odgłos ani nie cichnie, ani nie robi się głośniejszy. Kilka minut to co najmniej kilkanaście kilometrów. Elena otworzyła puderniczkę i ostrożnie wysunęła rękę za okno.

- Masz rację, coś tam jest... Tak, to śmigłowiec.

- Sukinsyny - mruknął Bryson.

Tablica, na tablicy napis, że za niecałe dwa kilometry będą mijali bar szybkiej obsługi, sklep i toalety. Nick przyspieszył, zjechał na prawy pas i za starym, zdezelowanym el dorado skręcił na parking. Karoseria samochodu była przeżarta rdzą, maska obwiązana sznurem, rura wydechowa niemal wlokła się po ziemi. Wysiadł z niego brudny, kaprawy, długowłosa mężczyzna w podartych dżinsach, czarnym berecie, czarnym podkoszulku z napisem „Grateful Dead” i w zielonej wojskowej kurtce. Ćpun, pomyślał Bryson. Nawalony ćpun.

- Co ty robisz? - spytała Elena.

- Małą zmyłkę. - Otworzył schowek na mapy i wyjął jakieś dokumenty. - Chodź. Zabierz torebkę i co tam jeszcze masz. Zdezorientowana Elena wysiadła.

- Widzisz tego ćpuna?

- Widzę.

- Zapamiętaj jego twarz.

- Nie da się jej zapomnieć.

- Kiedy wyjdzie, stój tu i czekaj.

Wszedł do baru i stwierdził, że kierowcy nie ma ani w kolejce po jedzenie, ani przy stoliku. Kupuje papierosy z automatu albo jest w kiblu, pomyślał. Przy automatach go nie było, był za to w ubikacji - poznał go po znoszonych czarnych adidasach wystających spod drzwi jednej z kabin. Facet podciągnął spodnie, wyszedł i stanął przy umywalce. Miłe zaskoczenie: nie wyglądał na takiego, co to lubi czystość.

- Hej - powiedział Bryson, patrząc w lustro. - Zrobisz coś dla mnie? Ćpun zerknął na niego podejrzliwie, przez kilka sekund bez słowa namydlął ręce, potem spuścił wzrok i z wrogością w głosie spytał:

- Co?

- Może dziwnie to zabrzmie, ale nie sprawdziłbyś, czy na parkingu nie ma mojej żony? Chyba mnie śledzi.

- Nic z tego, stary, spieszę się. - Potrząsnął rękami i rozejrzał się w poszukiwaniu papierowych ręczników.

- Posłuchaj, strasznie mi na tym zależy. Nie prosiłbym cię, gdyby było inaczej. Chętnie ci zapłacę. - Wyjął z kieszeni zwitek banknotów i odliczył dwie dwudziestki. Tylko nie przesadz, bo zaczniesz coś podejrzewać. - Wystarczy, że wyjrzysz. Wyjrzyj, wróć tu i powiedz, czy ona tam jest.

- Cholera jasna. Nie ma ręczników. Nie znoszę tych pieprzonych suszarek. - Ponownie strząsnął wodę z rąk i schował pieniądze do kieszeni. - Ale ostrzegam, jak wytniesz mi jakiś numer, nogi ci z dupy powyrywam.

- Żadnych numerów, to czysta sprawa.

- Jak wygląda?

- Moja żona? Brunetka, trzydzieści parę lat, czerwona bluzka, jasno-brązowa spódnica. Ładna laska. Trudno jej nie zauważyć.

- A co będzie z forszą, jak jej tam nie ma?

- Jak to co? Będzie twoja, stary, twoja. Człowieku, dużo bym dał, żeby ta zdzira poszła stąd w cholere. - Myślał chwilę. - Jak wrócisz, dołożę ci jeszcze cztery dychy.

- Jezu, co ty, facet, knujesz? - mruknął ćpun, kręcąc głową.

Przeszedł przez salę z automatami i wyjrzał na dwór. Elena stała na parkingu. Z założonymi rękami i z wściekłym wyrazem twarzy rozglądała się na wszystkie strony.

Ćpun wrócił do toalety.

- Widziałem ją. Wkurzona jest jak diabli.

- Niech to szlag - wysyczał Nick, podając mu obiecane czterdzieści dolarów. - A to suka. Muszę ją zgubić. - Ponownie wyjął zwitek banknotów, odliczył dwadzieścia setek i rozłożył je w rękę niczym wachlarz. - Łazi za mną i łązi. Koszmar.

Ćpun pożerał wzrokiem banknoty.

- Co teraz? - spytał nieufnie. - Nie pójdę na żadną lewiznę. Mam dość kłopotów.

- Jasne, że nie. Źle mnie zrozumiałeś...

Do toalety wszedł jakiś mężczyzna. Obrzucił ich czujnym spojrzeniem i stanął przed pisuarem. Zaczekali, aż wyjdzie.

- To stare el dorado to twoja bryka?

- Bo co?

- Sprzedasz? Daję dwa tysiące.

- Odpada. Włożyłem w nią dwa i pół patola, ma nowe amortyzatory.

- Trzy tysiące. - Nick wyjął z kieszeni kluczyki do buicka. - Pojedziesz moim.

- Trefny jest?

- A skąd.

Zauważył znak firmowy Herza na breloczku.

- Chwila, to wóz z wypożyczalni.

- No, jasne. Aż takim idiotą nie jestem. Daję ci go, żebyś mógł spokojnie dojechać tam, gdzie jedziesz. Wszystko opłacone. Zostaw go byle gdzie, reszta to moja sprawa.

Ćpun długo myślał.

- Nie chcę, żebyś przyłaził do mnie z pretensjami. Uprzedzam, ten rzęch ma na liczniku ponad dwieście osiemdziesiąt tysięcy.

- Spoko. Nie znamy się. Nie wiem nawet, jak ci na imię. Widzimy się pierwszy i ostatni raz. Zależy mi tylko na jednym: chcę uciec tej babie.

- I warto wybulić na to aż trzy i pół patola?

- Warto, warto - mruknął Bryson z udawanym rozdrażnieniem.

- Mam tam trochę rzeczy.

- To je zabierz.

Ćpun wyszedł na parking, wyjął z bagażnika płócienną torbę i wypchał ją ubraniami, butelkami, gazetami i książkami. Na wierzch wrzucił walkmana i pęknięte słuchawki, po czym wrócił do toalety.

- Dołożę stówę za twój beret i kurtkę - zaproponował Nick, oddając mu swój kosztowny niebieski blezer. - Bierz. Wyszedłeś na tym lepiej niż ja. Za ten wrak dostałbyś najwyżej tysiąc baksów.

- To dobry wóz - mruknął posepnie ćpun. Nick dał mu jeszcze sto dolarów.

- Zaczekaj, aż odjadę, dobra? Ćpun wzruszył ramionami.

- Nie ma sprawy.

Bryson wziął kluczyki i uściśnął mu rękę.

Ćpun stał przy oknie, patrząc, jak stare el dorado powoli wytacza się z parkingu. Ku jego wielkiemu zdumieniu samochód nagle przystanął, a wówczas na fotel pasażera wskoczyła piękna brunetka w czerwonej bluzce: żona frajera, który przed chwilą wcisnął mu trzy i pół tysiąca dolców.

Ćpun z niedowierzaniem pokręcił głową. Świry, pomyślał, podmiejskie świry. Takich nigdy nie zrozumiesz. Oblęd.

Śmigłowiec Bell 300 zawisł dokładnie nad parkingiem.

- Mamy kontakt wzrokowy - powiedział do mikrofonu mężczyzna siedzący na fotelu pasażera z lornetką przy oczach. Obserwował kierowcę wsiadającego do zielonego buicka.

- Zrozumiałem. Przechodzimy na łączność satelitarną. Podaj mi jego numer.

Obserwator wyregulował ostrość i przekazał numer rejestracyjny wozu.

- Chryste, jak on jedzie! Pewnie strzelił sobie kielicha. Nic dziwnego, że tak długo tam siedział.

- A kobieta? Widzisz kobietę?

- Nie, wsiadł sam. Myślisz, że zostawił ją w knajpie?

Ćpun - teraz miał na sobie czarny podkoszulek z napisem „Grateful Dead” i elegancki francuski blezer - nie wierzył własnemu szczęściu. Najpierw dostaje trzy i pół tysiąca zielonych za wóz, którego przed rokiem nie mógł opchnąć za pięć stów. Potem facet daje mu opłaconego buicka z wypożyczalni, brykę bez limitu czasowego. Sprzedał beret, śmierdzącą kurtkę, przyfilował jakąś stukniętą laskę na parkingu i w kilka minut zarobił więcej niż przez cały miesiąc. Szurnięty dupek. Płaci trzy i pół tysiąca, żeby uciec od żony, a potem hyc i zabiera ją do wozu. Jego sprawa, kij mu w oko.

Radio na ful, ponad sto czterdzieści na liczniku, wtem... Ciężarówka. Olbrzymia, osiemnastokołowa, taka z przyczepą. Zrównała się z nim, potem go wyprzedziła, a jeszcze potem zajechała mu drogę.

Co jest? Ćpun szarpnął kierownicą i skręcił na pobocze.

- Kurwa mać! - Wyskoczył z samochodu i grożąc pięścią kierowcy, ruszył w jego stronę. - Ty kutasie pieprzony! Nogi ci z dupy powyrywam!

Z szoferki wysiadł krótko ostrzyżony, dobrze umięśniony mężczyzna w wieku trzydziestu pięciu, czterdziestu lat. Obszedł samochód, zajrzał do środka i zastukał kłykciami w klapę bagażnika.

- Otwórz - rozkazał.

- Ty faszysto pierdolony! - wrzasnął rozwścieczony Ćpun. - Co ty, kurwa, sobie... - Urwał, czując na czole ucisk chłodnej lufy płaskiego, srebrzystego pistoletu. - O kurwa...

- Otwieraj bagażnik.

Ćpun podszedł do drzwi i trzęsącymi się rękami wymacał dźwignię na podłodze.

- Wiedziałem, że zrobił mnie w wała, wiedziałem.

Krótko ostrzyżony mężczyzna zajrzał do bagażnika, otworzył tylne drzwi, dźgnął lufą płócienną torbę, wpakował w nią dwie kule, a potem, tak na wszelki wypadek, przestrzelił oparcia wszystkich foteli.

Przeżony ćpun obserwował to wszystko bez słowa.

Mężczyzna zadał mu kilka pytań i schował pistolet.

- Idź do fryzjera - mruknął, wracając do ciężarówki. -1 znajdź sobie jakąś robotę.

- Co się, do cholery, stało? - warknął kontroler w centrum dowodzenia w Sunnyvale, w Kalifornii.

- Nie wiem, nie jestem pewien... - odrzekł z wahaniem technik.

- Tam, na tylnym siedzeniu. Co to jest? Daj zbliżenie.

- Jakiś tobołek...

- Płócienna torba. Skąd się tam wzięła?

- Nie wiem. Przedtem jej nie było.

- Puść taśmę z sektora „S” dwadzieścia trzy-dziewięć-dziewięć-cztery. Czas: czternasta jedenaście. - Kontroler spojrział na ekran sąsiedniego monitora. Parking, restauracja. Z restauracji wyszedł brudny obdartus z wielką torbą w ręku. Ruszył prosto do zielonego buicka.

- Ten sam obiekt. To podmianka.

- Przewiń. Skąd wziął tę torbę?

Ekran zamigotał. Ponownie długowłosy ćpun. Pakował do torby jakieś śmieci z bagażnika starego, zdezelowanego el dorado.

- Cholera jasna... Dobra. Wytnij to, wklej i puść na satelitę. Szybko. Może zdążymy ich namierzyć.

- Już. Łączę.

Trzydzieści sekund później zabrzmiał cichy gong i na ekranie monitora przekazującego obraz z satelity ukazało się zdezelowane el dorado.

- Zbliżenie - warknął kontroler.

- Za kierownicą mężczyzna, obok niego kobieta - zameldował technik. - Mamy potwierdzenie. Obiekt namierzony.

Samochód pędził autostradą, zostawiając za sobą kłęby czarnego, oleistego dymu.

Nic z tego, wciąż tu są. Wciąż siedzą nam na karku.

Wielka drewniana tablica po lewej stronie szosy i ułożone z gałązek litery: „Kemping Chippewah”. Wąski przesmyk między drzewami i zryta koleinami droga prowadząca w głąb lasu.

Bryson wyteżył wzrok. Na wiszącej pod tablicą deseczce widniał wymalowany farbą napis: NIECZYNNY.

Dochodzący z góry hałas przybierał na sile: śmigłowiec schodził niżej, zajmował pozycję.

Nick gwałtownie skręcił w lewo. Aby do lasu. Aby do lasu.

- Co ty robisz? - krzyknęła Elena.

- Drzewa nas osłonią. Może ich zgubimy.

- Przecież zgubiliśmy ich na parkingu.

- Tylko na chwilę.

- Chcą sprawdzić, dokąd jedziemy?

- Boję się, że mają inne plany.

Monotonne dudnienie silnika powiedziało mu, że pilot nie dał się zwieść, że śmigłowiec wciąż leci tuż za nimi. Wcisnął pedał gazu. Wyboista droga, polana, wąska przecinka - nieprzystosowany do ciężkiego terenu samochód rzeził, zgrzytał i pojękiwał, zawadzając podwoziem o kamienie. Karoserię smagały gałęzie drzew.

Śmigłowiec wyprzedził ich, zniżył lot i nawrócił. Trzydzieści metrów dalej była polana: Nick kopnął pedał hamulca i wóz gwałtownie zarzucił, obijając się o pnie drzew po obu stronach ścieżki. Elena bezwiednie krzyknęła i zaparła się rękami o deskę rozdzielczą.

- Nie dam rady zawrócić, za mało miejsca!

Gdy el dorado wjechało na trawiastą polanę, na której stało kilka drewnianych domków, śmigłowiec opadł jeszcze niżej i zawisł ledwie sześć metrów nad ziemią. Zawisł i pochylił pysk.

- Strzelaj!

- Nic z tego, jest opancerzony. Zresztą za daleko.

Zerknął w tamtą stronę, wypatrując lufy działka lub karabinu maszynowego, lecz zamiast lufy zobaczył zasobnik z niekierowanymi pociskami raketowymi. Omal nie wpadł na jeden z domków: szarpnął kierownicą, skręcił i w tym samym momencie samochodem wstrząsnął potężny wybuch.

Domek zniknął w kuli ognia. Chryste, strzelali pociskami zapalającymi!

- Celują w nas! - krzyknęła Elena. - Chcą nas zabić!

Maksymalnie skoncentrowany Nick spojrział w lewo. Śmigłowiec ponownie opuszczał pysk. Bryson gwałtownie skręcił w prawo i wcisnął pedał gazu. Spod kół trysnęły grudy ziemi.

Kolejny wybuch i w powietrze wyleciał domek, który przed sekundą minęli.

Skup się! Nie patrz tam! Myśl!

Musisz stąd uciec! Ale jak? Którędy? W las, aby dalej od polany! Tam nas nie dopadną!

Stąd nie ma ucieczki! Te przeklęte rakiety znajdą nas w największym gąszczu!

Jezu Chryste! Kolejny pocisk niemal otarł się o maskę samochodu i rozniósł na strzępy pień wielkiego dębu po lewej stronie. Płonące poszycie, buchające ogniem domki - wokoło szalał pożar!

- Boże świąty! - Czy to on krzyczał? Bezsilny i oszalały z przerażenia nie wiedział, co robić.

I wtedy za ścianą ognia zobaczył most. Rozchwierutany drewniany most i krótką ścieżkę prowadzącą do szerokiej, mulistej rzeki. Bez chwili namysłu wcisnął pedał gazu i popędzili w tamtą stronę.

- Co ty robisz? - zapiszczała Elena. - Nie wytrzyma! Zawali się!

Kilka metrów przed nimi wytrysnął gejzer ognia, piachu i ziemi. Pochłonęły ich

plomienie. Przednia szyba poszarzała, szerniała, lecz w tej samej chwili maska samochodu wychynęła po drugiej stronie rozszalałego piekła i wpadli na most, który zakolysał się niebezpiecznie trzy metry nad powierzchnią wody.

- Nie! - krzyknęła Elena. - Nie wytrzyma!

- Szybko, opuść szybę! - rzucił Bryson, opuszczając szybę po stronie kierowcy. - I nabierz powietrza!

- Co?

Silnik śmigłowca dudnił tak blisko, że samochód wpadł w lekkie wibracje.

Nick dodał gazu. Wóz roztrzaskał drewnianą barierkę i runął do rzeki.

- Nie! Nicholas!

Mieli wrażenie, że oglądają film puszczonego w zwolnionym tempie, że czas zgęstniał i przestał płynąć. Samochód spadał przodem w dół. Bryson krzychał, przytrzymując się kierownicy i deski rozdzielczej. Elena obejmowała go, krzyząc jeszcze głośniej.

Ogłuszający huk, potężny plusk i cisza. Tuż zanim wóz pogrążył się w mętnej wodzie, Nick usłyszał silny wybuch. Odwrócił głowę. Na rzece płonęły szczątki mostu.

Otoczył ich mroczny, posępny świat. Przez otwarte okna błyskawicznie wlewała się brązowa woda, widoczność spadła niemal do zera. Wstrzymując oddech, Bryson rozpiął pasy bezpieczeństwa, uwolnił z nich Elenę i przecisnął się przez okno. Poruszali się powoli, jak baletmistrz i baletnica na mętnej, mulistej scenie. Trzymając się za ręce, sunęli tuż pod powierzchnią, wraz z prądem wody, do chwili, gdy zabrakło im powietrza. Wyłynęli wśród wodorostów i kęp bagiennej trawy.

- Schowaj głowę - wysapał Bryson. Otaczał ich las tataraku. Śmigłowiec wciąż tam był. Niewidoczny zza trzciny, wciąż krążył nad szczątkami mostu. Nick dał znak i ponownie zanurkowali.

Instynkt przetrwania jest potężnym źródłem energii: zmuszał ich do wysiłku, do intensywniejszych ruchów rąk i nóg, pozwalał wytrzymać pod wodą dłużej niż zwykle. Kiedy wyłynęli na powierzchnię, dudnienie helikopterowego silnika było nieco cichsze, dochodziło z większej odległości. Nick spojrzał w niebo. Maszyna nabrała wysokości.

Dobrze. Szukają nas. Nie wiedzą, czy uciekliśmy, czy utknęliśmy w samochodzie...

- Jeszcze raz.

Nabrali powietrza i zniknęli pod wodą. Wkrótce nabrali wprawy: nurkowali, wypływali na powierzchnię, nurkowali, wypływali za osłoną trzciny, by ponownie zanurkować i dać się ponieść prądowi rzeki.

Pół godziny później śmigłowiec zniknął. Na brzegu też nie było nikogo. Zabójcy stracili cel z oczu. Pewnie mieli nadzieję, że w samochodzie siedzi topielec i topielica.

W końcu dotarli na płyciznę, gdzie mogli stanąć i odpocząć. Elena strząsnęła wodę z włosów i głośno sapiąc, kilka razy odkaslnęła. Twarze mieli uwalane mułem. Nick nie wytrzymał i parsknął śmiechem, bardziej z ulgi niż z rozbawienia.

- A więc tak wyglądało twoje życie - mruknęła jak analityczka przemawiająca do agenta operacyjnego. - Nie zazdroścę.

- To jeszcze nic - odparł z lekkim uśmiechem. - Prawdziwego życia można *zaznać* tylko w Amsterdamie, nurkując w tamtejszych kanałach. Trzy metry głębokości. Pierwszy metr to śmierdząca woda. Drugi, warstwa mułu, śmieci i nieczystości. Trzeci, warstwa starych, przedziewiałych rowerów. Kiedy się o nie otrzesz, boli jak jasna cholera. Jeśli w ogóle wypłyniesz, cuchniesz potem co najmniej przez tydzień. To tutaj to odświeżająca kąpiel w pięknej, czystej rzece.

Ociekając wodą, wyszli na brzeg. Trzciny szumiały na zimnym wietrze. Elena dostała dreszczy. Nick objął ją i przytulił. Tak było ciepłej.

Kilkaset metrów dalej znaleźli bar. Przemoczeni i zziębnięci usiedli przy ladzie, pijąc gorącą kawę, cicho rozmawiając i nie zwracając uwagi ani na barmana, ani na przypatrujących się im gości. Przy ścianie stał telewizor; akurat szedł jakiś serial. Barman pstryknął pilotem i zmienił kanał na CNN.

Na ekranie ukazała się patrycjuszowska twarz Richarda Lanchestera przemawiającego w

amerykańskim Kongresie.

- ...który według dobrze poinformowanych źródeł - mówił komentator - otrzyma nominację na stanowisko dyrektora nowej międzynarodowej agencji do spraw kontroli i bezpieczeństwa. Pierwsze reakcje Waszyngtonu są niezwykle przychylne. Z Lanchesterem, który spędza urlop na pomocnym zachodzie kraju, nie udało nam się skontaktować.

Elena zeszytniała.

- Zaczyna się - szepnęła. - Już niczego nie ukrywają. Boże święty, co oni robią? O co w tym wszystkim chodzi?

Dwie godziny później wynajęli samolot do Seattle.

Podczas lotu nie spali, ani on, ani ona. Naradzali się, układali plan działania i tulili się do siebie, nie mając odwagi wypowiedzieć na głos słów umierającego Dunne'a: że jest już za późno.

## Rozdział 31

Apartament w Four Seasons Olympic Hotel - uznali, że z dużego, ruchliwego hotelu, usytuowanego przy międzystanówce numer pięć, łatwiej będzie uciec -przypominał wojskowe centrum dowodzenia: wszędzie wałały się mapy, kable i wydruki, wszędzie stał sprzęt komputerowy i modemy.

Napięcie było tak duże, że niemal namacalne. Wiedzieli już, skąd biegnie główny nerw gigantycznej organizacji o nazwie Prometeusz i kto jest jej mózgiem. Wiedzieli też, że tego wieczoru na przedmieściach Seattle odbędzie się spotkanie o niewyobrażalnych konsekwencjach dla całego świata. Harry Dunne nie zmyślał - zdołali to sprawdzić. W wypożyczalniach limuzyn nie było wolnych samochodów - w mieście odbywała się „wielka impreza” i wszystkie zarezerwowano. Większość właścicieli zachowywała dyskrecję, ale jeden z nich nie mógł się oprzeć pokusie i wyjawił nazwisko gospodarza „imprezy”: Gregson Manning. Niemal przez cały dzień na lotnisku Seattle-Tacoma lądowały samoloty specjalne, niemal przez cały dzień na płycie czekał sznur samochodów i silna eskorta. Mimo to nie ujawniono żadnych nazwisk: listę gości objęto ścisłą tajemnicą. Równie ścisła tajemnica otaczała życie i karierę Gregsona Manninga. Wyglądało na to, że niezbyt rozgarniętym i żadnym sensacji dziennikarzom podano kilka wysterylizowanych wersji jego życiorysu, które ci skrzętnie opublikowali, by je następnie przerabiać i w nieskończoność powielać. Tak więc pisano o nim dużo i mało zarazem.

Zebrawali też informacje o słynnym domu Manninga i tu uśmiechnęło się do nich szczęście. Stał nad brzegiem jeziora w Lakeside pod Seattle. Budowa tej „cyfrowej fortecy”, tego „inteligentnego domu”, trwała wiele lat, a o tym, jak wygląda w środku, krążyło wiele plotek. Spekulowały na ten temat niemal wszystkie gazety i odnieśli wrażenie, że o ile początkowo Manning w ogóle nie dopuszczał do siebie dziennikarzy, o tyle później próbował nimi sterować. Trzeba przyznać, że robił to z powodzeniem. Opisy jego posiadłości zapierały dech w piersi - publikowano je „rzutami” w takich czasopismach jak „Architectural Digest” czy „House & Garden”, a także w „New York Times Magazine” i w „Wall Street Journal”.

Wielu artykułom towarzyszyły zdjęcia, kilku ogólne i bez wątpienia niekompletne plany architektoniczne, dzięki którym Bryson i Elena mogli zapoznać się z rozkładem i przeznaczeniem poszczególnych wnętrz. Ten futurystyczny gigant -jego budowa kosztowała ponoć sto milionów dolarów - wrzynał się w strome zbocze wzgórza tak głęboko, że niemal w nim ginał. Był tam kryty basen, kort tenisowy i supernowoczesna sala teatralna w stylu art deco. Były tam również sale konferencyjne, siłownia, sala gimnastyczna do ćwiczeń na batucie, kręgielnia, strzelnica, boisko do koszykówki i sala do minigolfa. Bryson nie omieszkał zauważyć, że rozległy trawnik przed domem sięga brzegu



jeziora i dwóch pomostów, przy których stał hangar na łodzie. Głęboko pod trawnikiem mieścił się żelbetonowy garaż.

Jednakże najbardziej zaintrygowało go to, że dom jest naszpikowany elektroniką, że wszystkie znajdujące się w nim urządzenia są podłączone do sieci kontrolowanej zarówno lokalnie, jak i zdalnie z siedziby Systematixu w Seattle. Zaprogramowano ją tak, żeby mogła spełniać wszystkie potrzeby nie tylko gospodarza, ale i jego gości. Każdy z nich otrzymywał przy wejściu elektroniczny identyfikator z indywidualnie zaprogramowanym chipem. Program uwzględniał jego gusta i guściki, zamiłowania i pasje, preferencje artystyczne i muzyczne, a nawet ulubioną temperaturę i oświetlenie. Chip wysyłał sygnały do setek czujników, tak że kiedy gość szedł przed dom, lampy przygasały bądź świeciły jaśniej, temperatura rosła bądź opadała, a z ukrytych głośników płynęła jego ulubiona muzyka. W ściany wbudowano oprawione w ramy ekrany, które - zależnie od jego gustu - wyświetlały jeden z dwudziestu milionów obrazów z biblioteki graficznej Manninga, tak więc gość widział jedynie swoje ulubione dzieła sztuki: rosyjskie ikony, Van Gogha, Picassa, Moneta, Kandinsky'ego czy Yermeeera; powiadano, że rozdzielczość monitorów jest tak duża, iż zdjęcia trudno odróżnić od oryginałów.

Natomiast bardzo niewiele pisano o zabezpieczeniach antywłamaniowych i o systemie monitoringu, który zastosowano w tym współczesnym, elektronicznym Xanadu. Z prasy dowiedzieli się jedynie, że zabezpieczeń jest oczywiście pełno, że wszędzie, nawet w wewnętrznych ścianach budynku, zamontowano ukryte kamery, że identyfikatory, które nosili zarówno goście, jak i personel, służą nie tylko do automatycznego doboru muzyki czy oświetlenia: dzięki nim pilnujący domu strażnicy wiedzieli, gdzie się kto znajduje, i potrafili namierzyć cel z dokładnością do piętnastu centymetrów. Pracę systemu nadzorowano z centrali Systematixu w Seattle. Krótko mówiąc, rezydencja Manninga była strzeżona lepiej niż Biały Dom. Nic dziwnego, pomyślał ponuro Bryson. Facet ma większą władzę niż prezydent Stanów Zjednoczonych.

- Gdybyśmy tylko mogli zdobyć te plany... - mruknął, gdy skończyli przeglądać sterty zdjęć i artykułów skopiowanych w bibliotece i ściągniętych z Internetu.

- Ale jak?

- Ponoć leżą w miejskim ratuszu, w siedmiu zamkniętych na klucz szufladach, ale mam mocne przeczucie, że gdzieś się „zawieruszyły”. Dokumenty ludzi takich jak Manning często się „gubią”. Niestety, architekt, który budował ten dom, mieszka w Scottsdale w Arizonie. Trudno. Będziemy musieli improwizować.

Elena spojrzała na niego z niepokojem w oczach.

- Nicholas, co ty chcesz zrobić?

- Muszę się tam dostać, to główna baza spiskowców. Ich plany może pokrzyżować tylko wiarygodny świadek, człowiek, który zobaczy to wszystko na własne oczy.

- Co znaczy „wszystko”?

- Ich, członków Prometeusza. Trzeba sprawdzić, kim oni są, ci, których jeszcze nie znamy. Zrobić zdjęcia, nagrać ich na wideo, pokazać światu ich twarze. To nasza jedyna szansa.

- Nick, przecież ten dom jest jak Fort Knox!

- I tak, i nie.

- Słusznie: w Lakeside jest dużo niebezpieczniej.

- Fakt, zwłaszcza bez wsparcia Dyrektoriatu. Jesteśmy zdani tylko na siebie.

- Przydałby się nam Waller.

- Ale jak go namierzyć?

- Jeśli żyje, na pewno zechce się z nami skontaktować.

- Wie jak. Nasze telefony wciąż działają, serwis telefoniczny wciąż przekazuje zakodowane meldunki komu trzeba. Ciągłe sprawdzam, ale jak dotąd się nie odezwał. Cały Waller. Jeśli chce, potrafi zniknąć bez najmniejszego śladu.

- Nick, wejść do domu Manninga w pojedynkę...

- Będzie trudno, ale z twoją pomocą i znajomością komputerów mamy szansę. W jednym z artykułów wyczytałem, że system zabezpieczeń w Lakeside jest monitorowany zarówno

lokalnie, jak i z Seattle.

- Co z tego? Siedziba Systematixu jest pewnie lepiej strzeżona niż ten przeklęty dom. Bryson kiwnął głową.

- Tak, dlatego trzeba poszukać gdzie indziej, na przykład... Jak myślisz, w jaki sposób połączyli domową sieć komputerową z siecią komputerową Systematixu?

- Najbezpieczniej, jak tylko mogli.

- To znaczy?

- Światłowodem. Zakopanym w ziemi kablem światłowodowym.

- Można by się do niego podłączyć?

Zaskoczona poderwała wzrok i na jej twarzy zagościł dziwny uśmiech.

- Wszyscy twierdzą, że to niemożliwe.

- A ty?

- Ja uważam, że to wykonalne.

- Tak?

- Tak. Parę lat temu technicy z Dyrektoriatu opracowali kilka zmyślnych sposobów.

- I tyje znasz?

- Naturalnie. Potrzebowałabym trochę sprzętu, ale można go kupić w dobrze zaopatrzonym sklepie komputerowym. Bryson cmoknął jaw policzek.

- Bomba. A więc sprzęt i obserwacja domu. Ale najpierw muszę zadzwonić do Kalifornii.

- Po co? Do kogo?

- Do firmy w Pało Alto, z którą współpracowałem jako agent Dyrektoriatu. Założył ją Wiktor Szewczenko, rosyjski emigrant, naukowiec i genialny specjalista od optyki. Miał kontrakt z Pentagonem, jednocześnie sprzedawał swoje produkty na lewo, na czarnym rynku. Rozpracowałem go podczas jednej z operacji, ale uznałem, że nie warto na niego donosić; mógł doprowadzić nas do zleceniodawców, ci byli ważniejsi. Tak czy inaczej, był mi bardzo wdzięczny i obiecał się zrewanżować. Teraz może. Potrzebuję pewnego urządzenia i jeśli zaraz do niego zadzwonię, wieczorem będziemy je mieli.

Godzinę przesiedział w państwowym lesie sąsiadującym z rezydencją Manninga, obserwując przez mocną lornetkę i dom, i całą posiadłość. Zajmowała pięć akrów. Po drugiej stronie, na działce o powierzchni półtora akra, stał dom o wiele mniejszy i skromniejszy.

Z tego, co zdołał zaobserwować, system bezpieczeństwa był niezwykle wyrafinowany. Po pierwsze, dwupółmetrowej wysokości siatka po-przetykana światłowodowymi czujnikami - ani przez taką przejść, ani ją przeciąć. Była wpuszczona głęboko w ziemię, co uniemożliwiało ewentualny podkop. Po drugie, pod trawą wzdłuż siatki zainstalowano system czujników naciskowych, wykrywających obecność intruza o określonej wadze: nacisk stopy na światłowód zniekształcał promień biegnącego kablem światła i włączał alarm. Po trzecie, na podtrzymujących siatkę słupach rozmieszczono liczne kamery. Nie, wiedział, że tędy się nie przedostanie.

Jednakże każdy system bezpieczeństwa ma słabe punkty.

Ot, choćby sąsiadujący z posesją las. Czy jezioro. Tak, Bryson uznał, że od strony jeziora mógłby się dostać do domu przez nikogo niezauważony. Wrócił do wynajętego dżipa ukrytego z dala od najbliższej drogi i wracając do miasta, minął małą, białą furgonetkę, która skręcała w stronę bramy do posiadłości Manninga. Na burcie furgonetki widniał napis: „Pyszne jedzenie”. Serwis gastronomiczny, pomyślał. Organizuj ą im przyjęcie. Zerknął na siedzących w szoferce ludzi.

Kolejna możliwość. Tak, czemu nie?

Miał masę sprawunków do załatwienia i bardzo mało czasu. Bez trudu znalazł duży sklep sportowy specjalizujący się w sprzęcie alpinistycznym - ostatecznie byli w stolicy pomocnego zachodu - który prowadził również sprzedaż artykułów myśliwskich, co bardzo ułatwiło mu zadanie. Akwalung kupił w sklepie kilka ulic dalej. W książce telefonicznej znalazł adres hurtowni sprzętu zabezpieczającego monterów linii telefonicznych, ludzi myjących okna w wysokościowcach i temu podobnych. Kupił tam

małą, cichą wyciągarke na akumulator - lekka, aluminiowa obudowa, samozwijająca się lina - sześćdziesiąt siedem i pół metra liny wzmocnionej cynkowaną stalą, chwytak opustowy i automatyczny hamulec odśrodkowy. Odwiedził również hurtownię części do dźwigów i wind oraz magazyn ze sprzętem z demobilu: tam jeden z pracowników polecił mu pobliską strzelnicę. Na strzelnicy kupił półautomatyczną czterdziestkę piątkę od młodego, gburowatego niechlujka, który w całej rozciągłości podzielał jego krytyczną opinię na temat głupich przepisów ograniczających prawo do posiadania broni palnej i wydłużających okres oczekiwania na jej zakup. Doprowadzały go do szału zwłaszcza teraz, bo właśnie wybierał się na przejażdżkę w góry i potrzebował dobrego gnata.

Drut dzwonek i baterie nabył w sklepie z artykułami elektrycznymi, po czym ruszył na poszukiwanie dobrze zaopatrzonej hurtowni z rekwizytami teatralnymi. Znalazł ją dużo szybciej, niż się spodziewał. Hollywood Theatrical Supply przy Norm Fairview miała na składzie szeroki asortyment rekwizytów scenicznych i filmowych; hollywoodzcy producenci często kręcili na pomocnym zachodzie i potrzebowali miejscowego dostawcy.

Do kompletnego wyposażenia brakowało mu tylko jednego: wyrafinowanego, objętego ścisłą tajemnicą sprzętu wojskowego Wiktora Szewczenki. Szewczenko, wynalazca wirtualnego oscylatora katodowego, początkowo nie chciał się z nim rozstać, lecz uległ, gdy Bryson przypomniał mu, że naruszenie przepisów prawa o bezpieczeństwie narodowym nie ulega przedawnieniu w Stanach przedawnieniu i gdy wysłał mu na konto pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

W hotelu czekała na niego Elena. Ona też zrobiła niezbędne zakupy i ściągnęła z Internetu geologiczno-topograficzną mapę państwowych terenów leśnych sąsiadujących z posiadłością Manninga.

- Nie prościej dostać się tam w przebraniu kelnera z serwisu gastronomicznego albo kwiaciarza? - spytała, gdy zdał jej sprawozdanie z wyprawy.

- Nie, chyba nie. Przemyślałem to i doszedłem do wniosku, że kwiaciarze wchodzą tam pod obstawą. Robią swoje i wychodzą, też pod obstawą. Nawet gdybym zdołał z nimi wejść, w co bardzo wątpię, nie dałbym rady się od nich odłączyć i zniknąć. Ochrona natychmiast wszczęłaby alarm.

- A kelnerzy? Zostają do końca...

- Tak, kelnerzy mogą mi się przydać, ale z tego, co wyczytałem, Manning ma świra na punkcie bezpieczeństwa, dlatego gwarantuję, że wszyscy pracownicy serwisu gastronomicznego są uprzednio dokładnie przesiewani i fotografowani, że ochroniarze Manninga mają ich odciski palców i wydają im przepustki dopiero tam, na miejscu, zaraz po przyjeździe. Nie, odpada. Wynajęłem łódź. Spróbuję dotrzeć tam od strony brzegu. To jedyny sposób.

- Od strony brzegu? Ale... co potem? Trawnik przed domem jest na pewno naszpikowany czujnikami.

- Bez wątpienia, ale z tego, co wiem, to najmniej strzeżone miejsce. Dobra. Dowiedziałaś się czegoś o światłowodzie łączącym dom z siedzibą Systematixu?

- Tak. Będę potrzebowała furgonetki.

Na przedmieściach Seattle był wielki hangar Departamentu Rolnictwa, w którym parkują pojazdy pracowników amerykańskiej służby leśnej. Na sąsiadującym z hangarem parkingu stało kilkanaście małych, zielonych ciężarówek z charakterystyczną jodełką na drzwiach. Strażnik rzadko tam zaglądał.

Pojechali do lasu za posiadłością Manninga. Elena miała na sobie zielone spodnie i koszulę z demobilu; oryginalnego munduru pracowniczki służby leśnej nie zdobyli - zabrakło im czasu.

Dochodziła piąta. Do akcji mieli wkroczyć już za cztery godziny.

Szli wzdłuż siatki, uważając na kamery i na ukryte pod trawą czujniki naciskowe. Szukali światłowodu, który musiał przebiegać przez niewielki kawałek państwowego lasu.

Elena wiedziała, że gdzieś tam jest, że po prostu musi być. Dom i siedzibę Systematixu dzieliła odległość niecałych pięciu kilometrów. Podczas budowy główny wykonawca

zwrócił się do Departamentu Rolnictwa o pozwolenie na przeciągnięcie siedmiu i pół metra światłowodu między domem i drogą publiczną. W pozwoleniu, które było pismem jawnym i ogólnie dostępnym, choćby w Internecie, wspomniano o czymś, co bardzo Elenę zaintrygowało: o tak zwanym wzmacniaku optycznym, urządzeniu korygującym, wzmacniającym i przesyłającym osłabiony sygnał do właściwego odbiorcy.

Do wzmacniaka można się podłączyć, pod warunkiem że się wie jak. Większość nie wiedziała - w przeciwieństwie do Eleny.

Musieli tylko *znaleźć* ten przeklęty światłowód.

Kilka minut później Elena wyjęła telefon i zadzwoniła do wykonawcy, którego pieczęć widniała na podaniu o pozwolenie.

- Czy pan Manzanelli? Mam na imię Nadia i dzwonię z głównego urzędu geologicznego. Pobieramy próbki gleby do badań na zakwaszenie i chcielibyśmy się upewnić, czy nie uszkodzimy przypadkiem jakichś kabli...

Gdy powiedziała mu, w której części lasu prowadzą wiercenia, Manzanelli wypalił:

- Jezu Chryste! Zapomnieliście już, jaką awanturę zrobiliście nam za to, że chcieliśmy przekopać kawałek tego przeklętego lasu?

- Przepraszam, jestem runowa...

- Manning był gotów wyłożyć pół miliona dolarów na nowe sadzonki i całą resztę, ale nie, ci durnie ze służby leśnej nie chcieli się na to zgodzić! I co? I musieliśmy ciągnąć kabel po ziemi, wzdłuż płotu!

- Bardzo mi przykro. Jestem pewna, że nasz nowy kierownik chętnie spełniłby prośbę pana Manninga...

- Podatek majątkowy: ma pani pojęcie, ile on tego płaci?

- Ale teraz nie uszkodzimy mu przynajmniej kabla. Kiedy będzie pan z nim rozmawiał, proszę mu przekazać, że wszyscy pracownicy głównego urzędu geologicznego są bardzo wdzięczni za to, co zrobił dla naszego kraju.

Wyłączyła telefon i spojrzała na Brysona.

- Dobre wieści. Zyskaliśmy ponad trzy godziny czasu.

Kilka minut po piątej zadzwonił do niego dyspozytor z lotniczego biura transportowego Pacific Air Freight. Na Seattle-Tacoma czekała przesyłka, ale był pewien problem: mogli ją dostarczyć dopiero nazajutrz rano.

- Żartuje pan? - ryknął do słuchawki Bryson. - Muszę mieć ją w laboratorium dzisiaj wieczorem, inaczej szlag trafi kontrakt warty pięćdziesiąt milionów dolarów!

- Bardzo mi przykro, ale naprawdę nic na to nie poradzimy. Jeśli moglibyśmy jakoś...

Kilka minut przed szóstą wjechał wynajętą ciężarówką do hali składowej Pacific Air Freight i za pomocą podnośnika obsługiwanej przez trzech skruszonych pracowników firmy załadował na skrzynię urządzenie ważące tysiąc trzysta sześćdziesiąt dwa kilogramy. Godzinę później wjechał w gęsty las sąsiadujący z rezydencją Manninga, zaparkował ciężarówkę sto metrów od furgonetki z jodełką na drzwiach - tyłem do płotu i w bezpiecznej odległości od strzegących płot kamer - następnie otworzył klapę i ustawił maszynę w taki sposób, by znalazła się dokładnie na linii prostej łączącej dom z ciężarówką. Drzewa i zarośla nie przeszkadzały, wprost przeciwnie: zapewniały doskonałą osłonę.

Potem wziął wypchany plecak, cofnął się czterysta metrów w stronę głównej drogi, następnie idąc wzdłuż granic posiadłości Manninga, co sześćdziesiąt metrów rzucał za płot mały krążek z zamontowanym pod nim detonatorem aktywowanym drogą radiową. Krążki były tak małe, że ochroniarze nie powinni nic zauważyć. Gdyby któryś siedział akurat przed ekranem monitora podłączonego do systemu kamer - co było raczej mało prawdopodobne, bo te przydawały się dopiero wtedy, gdy ktoś naruszył zewnętrzną strefę bezpieczeństwa, uruchamiając alarm - zobaczyłby jedynie rozmazaną kreskę, coś, co przypominało upuszczoną przez ptaka szyszkę albo przelatującego owada, krótko mówiąc nic, na co warto by spojrzeć po raz wtóry.

Tymczasem siedząca w furgonetce Elena po raz ostatni sprawdziła sprzęt. Chociaż laptop

był już podłączony do wzmacniacza - kabel biegł pod furgonetką, pod warstwą ziemi i liści - na razie tylko nasłuchiwała, czujnie obserwowała to, co działo się w sieci. Przywiozła ze sobą mnóstwo programów, zarówno ogólnie dostępnych, jak i napisanych specjalnie na tę okazję. Żeby zbadać strukturę systemu i wykryć ewentualne zabezpieczenia, najpierw dyskretnie go przeszukała, następnie załadowała do laptopa skrypt, krótki program, którego uruchomienie zalałoby system olbrzymią liczbą danych i doprowadziło do przeciążenia, do maksymalnego przepełnienia buforu. Potem zmapowała sieć, żeby sprawdzić, jak wygląda jej podstawowa struktura i jak duży panuje w niej ruch.

W ciągu ledwie kilku sekund „rozgryzła małego”, jak powiadają hakerzy. Chociaż nie była hakerką, już dawno temu poznała metody ich pracy, tak samo jak dobry agent operacyjny zapoznaje się z metodami pracy włamywacza czy kasiarza.

Oplącało się: sieć należała do niej.

Niewiele ponadczterometrową aluminiową łódź napędzał czterdziestokonny zewnętrzny silnik marki Evinrude. Płynęła szybko, kołysząc się łagodnie na drobnych falach, a warkot silnika ginął w wiejącym od lądu wietrze. Ujrawszy w oddali rząd jaskrawopomarańczowych boi wzdłuż granicy wód terytorialnych Manninga, Bryson zmniejszył prędkość, a potem odciął dopływ paliwa. Silnik kaszlnął i zgasł. Teoretycznie mógłby boje strawersować, jednak musiał założyć, że i one są podłączone do systemu bezpieczeństwa.

Nawet z tej odległości od brzegu widział zalany światłem dom, pozornie niski i przytulony do stromego zbocza; jego większa część znajdowała się pod ziemią, dlatego robił wrażenie dużo skromniejszego niż w rzeczywistości. Rzucił kotwicę, pamiętając, że łódź może mu się przydać podczas ucieczki - jeśli tylko zdoła stamtąd uciec. Wielokrotnie zapewniał Elenę, że tak, że opracował znakomity plan ewakuacyjny, tymczasem nie opracował żadnego i czuł, że Elena o tym wie. Wiedział, że albo wygra i przeżyje, albo przegra i go zabiją. Innych możliwości nie było.

Szybko złożył sprzęt. Chociaż nie mógł się za bardzo obciążać, musiał być przygotowany na różnego rodzaju przeszkody i niespodzianki, których po prostu nie mógł przewidzieć, a to pociągało za sobą konieczność zabrania dodatkowych narzędzi; byłoby głupio, gdyby zawalił tylko dlatego, że zapomniał zestawu wytrychów. Kamizelkę miał wypchaną bronią, starannie złożonym ubraniem i wieloma innymi przedmiotami starannie zabezpieczonymi wodoszczelną folią.

Włączył krótkofalówkę, wcisnął guzik urządzenia szyfrującego i wywołał Elenę.

- Jak idzie?

- Dobrze. - Mówiła głośno, wyraźnie i zdecydowanie. - Oczy już otwarte.

Oznaczało to, że podłączyła się do wewnętrznego systemu kamer telewizyjnych.

- I widzą?

- Hmm... I tak, i nie.

- Czego nie widzą?

- Pomieszczeń prywatnych. Są monitorowane lokalnie. - To z kolei oznaczało, że kamery w pomieszczeniach, do których goście nie mieli wstępu, są sterowane nie z kwatery głównej Systematixsu, tylko z miejscowego centrum komputerowego. A jednak: Manning chciał zachować choćby pozory prywatności.

- Pech.

- Niestety, ale są i dobre wiadomości. Znalazłam taśmy. - Taśmy, nagrania monitorujące z poprzedniego dnia: mogła puścić je na ekrany jako aktualne.

- Świetnie, ale zaczekaj na koniec fazy numer jeden. Idę popływać. Będę w kontakcie.

Lekki, czarny kombinezon nie był wodoszczelny, dlatego Nick miał też na sobie tak zwane „pianki”. Pocił się jak mysz, lecz wiedział, że kąpiel go ochłodzi. Założył kompensator, rodzaj nadmuchiwanego kołnierza podłączonego do zbiornika z powietrzem, sprawdził wszystkie klamry, poprawił pas obciążeniowy, osłonił oczy silikonową maską, zagryzł ustnik, ukląkł na burcie, pochylił się i runął do wody głową naprzód.

Nadmuchiwany kołnierz utrzymywał go na powierzchni. Rozejrzał się, zerknął na brzeg i

wcisnąwszy wentyl, zaczął powoli opadać w głąb zimnego, krystalicznie czystego jeziora. Im niżej, tym woda była bardziej mulista. Na chwilą zawisł w toni, żeby wyrównać ciśnienie i „przedmuchać” uszy. Na głębokości osiemnastu metrów widoczność spadła do pięciu, sześciu metrów. Niedobrze: wiedział, że będzie musiał płynąć ostrożnie, bardzo powoli. Lekki, prawie zupełnie nieważki, ruszył w kierunku brzegu.

Płynąc, cały czas nasłuchiwał, lecz zamiast basowego jęku sonaru słyszał tylko ciszę. Z jednej strony podnosiło go to na duchu, z drugiej denerwowało: tamci musieli, po prostu musieli zainstalować pod wodą jakieś zabezpieczenie. Tylko jakie? I gdzie?

I wtedy ją zobaczył.

Tam, trzy metry dalej. Kołysała się w półmroku niczym morski drapieżnik. Sieć.

Sieć, lecz sieć niezwykła, podwodna bariera najeżona czujnikami. Wpleciony w nią kabel łączył setki niewielkich paneli tworzących setki stref alarmowych połączonych światłowodami z centrum monitoringu w domu Manninga lub w siedzibie Systematixu. Miał przed sobą wyrafinowany system wykrywający, jeden z tych, jakich używano do ochrony wojskowych obiektów podwodnych.

Zakotwiczona w dnie jeziora sieć utrzymywała się w pionie dzięki unoszącym się na powierzchni bojom. Oczywiście nie mógł ani przez nią przepłynąć, ani jej przeciąć, gdyż natychmiast uruchomiłby alarm. Wypuścił z kołnierza jeszcze więcej powietrza, stanął na dnie i uważnie ją zbadał. Zakładał podobną w Sri Lance i wiedział, że często zawodzi. Bywało, że pod wpływem nieustannego ruchu wody przecierała się albo pękała, że utykały w niej kraby i ryby. Nie, zdecydowanie nie był to system najdoskonalszy z doskonałych.

Jednakże nie mógł ryzykować. Tego wyjątkowego i przełomowego wieczoru ochroniarze Manninga na pewno byli w stanie podwyższonej gotowości bojowej i zareagowaliby na każdy, nawet fałszywy alarm.

Stwierdził, że oddycha szybko i płytko. To strach. Miał wrażenie, że nie jest w stanie wypełnić płuc powietrzem, i ogarnęła go panika. Z trudem zachowując spokój, zamknął oczy i odczekał, aż wróci mu normalny oddech.

I nagle uzmysłowił sobie, że sieć założono dla ochrony przed podwodnymi obiektami pływającymi, nie przed nurkami czy płetwonurkami.

Ukląkł i uważnie obejrzał kotwiczące ją obciążniki. Dno było miękkie i pokryte warstwą szlamu. Zaczął w nim kopać, najpierw samymi palcami, potem dłońmi. Momentalnie otoczyły go kłęby mułu, widoczność spadła niemal do zera. Szybko i bez większego wysiłku wyrył w dnie podłużne zagłębienie, legł na brzuchu i wijąc się jak wąż, wpełznął pod sieć. Ta drgnęła i zakołysała się niebezpiecznie. Nie, to tylko woda, to tylko ruch wody. W jeziorze były silne prądy, niemożliwe, żeby system alarmowy tego nie uwzględniał.

Już. Był po drugiej stronie, na wodach terytorialnych Manninga. Wyteżył słuch. Sonar wciąż milczał.

Udało się? A jeśli nie?

Jeśli nie, zaraz się o tym przekonam. Spekulowanie nie miało sensu, nie teraz. Płynął przed siebie szybko i wprawnie, aż dotarł do słupów pomostu, śliskich od porastających je alg. Popłynął jeszcze dalej, wreszcie wyczuł pod stopami dno. Od powierzchni dzieliło go ledwie sześćdziesiąt centymetrów wody. Stanął, zrobił kilka kroków do przodu i powoli wynurzył głowę. Był pod pomostem. Ściągnął maskę, rozejrzał się i stwierdziwszy, że nikogo w pobliżu nie ma, zdjął nadmuchiwany kołnierz, akwalung i pas, po czym ukrył to wszystko za jednym z szerokich, poziomych wsporników. Miał nadzieję, że sprzęt przyda mu się podczas ucieczki.

Pod warunkiem, że będę miał szczęście.

Potem chwycił się krawędzi pomostu i ostrożnie się podciągnął.

Hangar. Przesłaniał widok na dom. To dobrze, bo jeżeli on nie widział domu, ci z domu nie widzieli jego. Trawnik. Przy brzegu był ciemny, a przy domu rozjaśniało go światło padające z wysokich, łukowatych okien. Nick usiadł, zdjął kamizelkę, ściągnął „pianki”, założył kamizelkę bezpośrednio na czarny, obcisły kombinezon, rozpakował zafoliowane

narzędzia i powtykał je w odpowiednie szlufki. Następnie doczołgał się do hangaru i wstał. Hangar był ciemny i chyba pusty. Chyba czy na pewno? Na wszelki wypadek wyjął z kieszeni czterdziestkę piątkę i ruszył w stronę trawnika.

Na razie nieźle, całkiem nieźle. Bzdura. Wiedział, że to dopiero początek, że im bliżej domu, tym zabezpieczeń będzie więcej. Musiał zachować czujność, wzmożoną czujność. Założył czarną kominiarkę, przytknął do oka obiektyw noktowizora... Natychmiast zobaczył zielonkawe promienie detektorów ruchu.

Krzyżowały się, obejmowały zasięgiem cały trawnik. Detektory były podłączone do kamer na podczerwień: wystarczyło musnąć palcem któryś z promieni i natychmiast włączał się alarm.

Tylko dlaczego biegły mniej więcej metr nad ziemią? Żeby nie wpadły na nie jakieś zwierzęta? Na przykład...

Psy?

Możliwe. Nawet bardzo prawdopodobne. Do tej pory żadnych nie widział, lecz nigdy nie wiadomo. Założył na głowę opaskę, do opaski przymocował noktowizor. Musiał mieć wolne ręce, i to koniecznie. Bez wolnych rąk nie zdołałby przepełznąć przez trawnik.

Gdy położył się na ziemi, by wczougać się pod pierwszy promień, usłyszał coś, co ścieło mu krew w żyłach.

Ciche skamlenie, a potem zduszony warkot. Poderwał głowę: biegło ku niemu kilka psów. Biegły coraz szybciej i nie były to zwykłe domowe psiaki, ale doberman, spiczastogłowy, specjalnie tresowane i śmiertelnie niebezpieczne.

Stężały mu mięśnie. Chryste.

Psy truchtały na sztywnych nogach niczym rasowe konie. I gardłowo poszczekiwały, obnażając białe kły. Dzielili ich odległość dwudziestu, dwudziestu pięciu metrów, lecz doberman wyraźnie przyspieszały kroku. Nick wyszarpnął ze szlufki mały pistolet pneumatyczny, wycelował i z wałącym jak młot sercem cztery razy pociągnął za spust. Pistolet kaszlnął, wypluwając cztery dziesięciocentymetrowej długości loftki. Pierwsza chybiła, trzy pozostałe trafiły. Wszystko odbyło się w zupełnej ciszy: dwa doberman niemal natychmiast padły na ziemię, trzeci, ten największy, przebiegł niepewnie jeszcze kilka kroków, po czym zachwiał się i jak podcięty runął na trawę. Każda loftka zawierała dziesięć centymetrów sześciennych niezwykle silnego i skutecznego środka obezwładniającego, oddziałującego zarówno na system nerwowy, jak i mięśniowy.

Zlany potem Nick dygotał jak w febrze. Niedobrze. Chociaż był przygotowany na atak psów i człowieka, doberman omal go nie zaskoczyły. Sięgnął po broń w ostatniej chwili, jeszcze kilka sekunda i dopadłyby go, rozszarpałyby mu gardło i brzuch. Przywarł do wilgotnej trawy. Czekał. Mogły nadbiec inne psy. Poszczekiwanie tych, które już spały, mogło zwrócić uwagę strażników. Tak, to prawdopodobne. Z drugiej strony, nawet świetnie wytresowane psy często wzniewały fałszywe alarmy. Poszczekiwały sobie i umilkły: pewnie zwietrzyły jakiegoś ptaka czy wiewiórkę.

Trzydzieści sekund. Czterdzieści pięć sekund. Dzięki czarnemu kombinezonowi i kominiarce wtapiał się w mrok. Nie, innych psów chyba nie było, zresztą nie mógł sobie pozwolić na dłuższą zwłokę. Zgodnie z wymogami stanowego prawa budowlanego w trawnik wbudowano zakratowane ujścia szybów wentylacyjnych prowadzących do mieszczącego się pod nim garażu. W jednym z artykułów wspomniano, że inspektor budowlany stoczył z wykonawcą małą bitwę. Poszło właśnie o usytuowanie garażu, który nazywano niezmiennie „Jaskinią”, ponieważ wjeżdżało się doń stromą rampą wydrążoną w skale po drugiej stronie domu. Pod naciskiem opinii publicznej Manning uległ i zgodził się na budowę dodatkowych szybów wentylacyjnych z ujściem na frontowym trawniku.

Pełzną pod zielonkawymi promieniami, Bryson skręcił w lewo. Nic, ciągle nic. Trzy metry, cztery. Trawiaste zbocze pięło się łagodnie w stronę domu. Nagle... jest. Stalowa krata. Myślał, że jest przykręcona, lecz po kilku silnych szarpnięciach z oporem ustąpiła.

Kwadratowy otwór, czterdzieści pięć na sześćdziesiąt centymetrów. Ciasno, lecz powinno wystarczyć. Pytanie tylko, jak głęboko będzie musiał schodzić. Wewnętrzne ścianki?

Gładki beton, żadnych klamer czy choćby występów. Szkoda i... nie szkodzi. Ponaddwudziestoletnia służba nauczyła go jednego: zawsze bądź przygotowany na najgorsze, tylko to zagwarantuje ci sukces. Z ulgą stwierdził, że kołnierz szybu jest stalowy. Zawsze to coś.

Ostrożnie zajrzał w głąb. Nic, żadnych promieni. Zdjął noktowizor. Zaczynał go uwierać. Sięgnął po krótkofalówkę.

- Wchodzę - szepnął. - Włącz efekty specjalne fazy numer jeden.

## Rozdział 32

O niemiały strażnik wybałuszył oczy. - John, możesz na to spojrzeć?

W ściany pomieszczenia, w którym czuwali, wbudowano idealnie płaskie ekrany plazmowe, podłączone do zewnętrznych kamer.

Drugi strażnik obrócił się z fotelem i omal nie podskoczył. Tak, nie było najmniejszych wątpliwości. Przy zachodnim ogrodzeniu wybuchł pożar. Kamery numer szesnaście i siedemnaście przekazywały obraz szalejącego w lesie ognia i obłoków gęstego dymu.

- Cholera jasna! Krzaki i zarośla! Jakiś durny obozowicz rzucił na poszycie papierosa! Kurwa mać, pali się jak diabli!

- Co robimy? Nigdy dotąd nie było tu pożaru.

- A jak myślisz, dupku? Wszystko po kolei. Najpierw zadzwoń po straż, a potem zawiadom Manninga.

Skończywszy rozmawiać z Brysonem, Elena wcisnęła guzik w obudowie bezprzewodowego przekaźnika. Przekaznik wyemitował sygnał detonujący krążki, małe generatory dymu, które Nick wrzucił za płot posiadłości, i uruchamiający cztery miotacze ognia. Z ukrytych pod liśćmi generatorów momentalnie buchnęły kłęby gęstego, siwego i czarnego dymu, a z dysz miotaczy na wysokość prawie dwóch i pół metra wytrysnęły potężne słupy ognia. Specjalnie zaprogramowane urządzenia włączały się po kolei, jedno po drugim, symulując efekt szybko rozprzestrzeniającego się pożaru. Zarówno miotaczy, jak i generatorów dymu często używano w teatrze i na planie filmowym, podczas rejestracji scen rozgrywających się w płonącym lesie. Był to sprzęt całkowicie bezpieczny. Bryson nie miał zamiaru palić starych drzew i bujnych krzewów. Po co? Nie widział takiej potrzeby.

- Departament straży pożarnej w Seattle, słucham.

- Halo? Tu ochrona domu Gregsona Manninga w Lakeside. Przyjeżdżajcie. W lesie za ogrodzeniem wybuchł wielki pożar..

- Dziękuję za meldunek, ale nasi ludzie są już w drodze.

- Jak to?

- Już nas powiadomiono.

- Tak?

- Tak, proszę pana. Zadzwoił do nas sąsiad pana Manninga. Sytuacja jest bardzo poważna. Radzimy natychmiast opuścić dom.

- Wykluczone! Pan Manning wydaje dzisiaj uroczyste przyjęcie, ma gości z całego świata...

- Tym bardziej radzimy, żeby ci ważni goście opuścili dom - warknął dyspozytor. - I to natychmiast!

Pracując na pełnych obrotach, Bryson przymocował wyciągarkę do stalowego kołnierza szybu. Podwójny haczyk samozatrząskowy na końcu liny spiął z karabińczykiem, a ten z wszytą w kamizelkę uprzężą.

Wyciągarka była zaopatrzona w chwytak opustowy z hamulcem odśrodkowym, rodzajem krzywki, która - zależnie od nacisku ręki opuszczającego się w otchłań człowieka -



regulowała prędkość odwijania się ukrytej w wyciągarce liny.

Wszedł do szybu, pochylił głowę, nasunął kratę na otwór i silnym szarpnięciem wbił ją między stalowy kołnierz i termoplastyczną obudowę wyciągarki. Potem ruszył w głąb czarnego, na pierwszy rzut oka nieskończenie długiego szybu. Po chwili dobiegło go przytłumione zawrozczenie strażackich syren; zareagowali dużo szybciej, niż myślał. Sunąc w dół, uświadomił sobie, że właśnie wkracza w obszar najsilniejszego nadzoru, wiedział jednak, że fałszywy pożar lasu odwróci uwagę ochrony i skupi ją na zagrożeniu bardziej bezpośrednim niż ewentualne naruszenie zewnętrznej czy wewnętrznej strefy bezpieczeństwa. Gdyby niechcący uruchomił jakiś alarm, tamci przypisałiby to strażakom, od których za chwilę zaroi się przed domem, a zdezorientowanie i kontrolowana panika to doskonały kamuflaż dla wszelkiego rodzaju infiltracji. Generatory dymu rozmieścił w sporej odległości od furgonetki, w której czuwała Elena, więc było mało prawdopodobne, że wykryją jej obecność. Mimo to musiała mieć się na baczności. Wiedział, że w razie czego żona na pewno sobie poradzi.

Wiedział też, że liny stale ubywa i coraz bardziej dziwiła go zdumiewająca głębokość szybu. W końcu poczuł silne szarpnięcie i znieruchomiał. Spojrzał w dół. Do dna pozostało półtora, najwyżej dwa metry. Rozpiął karabińczyk, rozluźnił dłonie i skoczył. Ugięte nogi zamortyzowały siłę upadku. Linę zostawił. Na wszelki wypadek.

Kapitan Matthew Kimball z departamentu straży pożarnej w Seattle, Afro-Amerykanin imponującego wzrostu i postury, stanął w rozkroku przed szefem ochrony Gregsona Manninga, krępy, nieco niższym od niego Charlesem Ramseyem.

- Nic tu się nie pali - powiedział. - Ani się nie paliło.

- Moi ludzie twierdzą, że się paliło - odparł hardo tamten. - Dwóch z nich widziało pożar na ekranach monitorów...

- Na własne oczy też?

- Nie, ale...

- A inni? Też gapili się w monitory?

- Kamery nie kłamią.

- W takim razie kto skłamał? - mruknął kapitan, odwracając się do podkomendnych.

Ramsey zmrużył oczy i spojrzał na stojącego obok zastępcę.

- Każ przeliczyć wszystkich strażaków - warknął. - Coś mi tu nie gra.

Nick znalazł się w przestronnym garażu o betonowej podłodze wy-szlifowanej i wypolerowanej do tego stopnia, że lśniła jak włoski marmur. Parkowało w nim ponad pięćdziesiąt pojazdów, antyków i wyjątkowo cennych okazów kolekcjonerskich: duesenbergów, rolls-royce'ów, bentleyów i porsche. Nie ulegało wątpliwości, że należą do Manninga. Na drugim końcu garażu była winda. Włączył krótkofalówkę.

- Wszystko w porządku?

Głos Eleny był cichy, lecz słyszalny.

- Tak. Przed chwilą odjechał ostatni wóz. Dym rozwiął się na długo przed ich przybyciem, a ogień nie pozostawił po sobie żadnych śladów.

- Tak jak zakładaliśmy. Dobra. Kiedy trochę się uspokoi, puść taśmę. - Nie mogła tego zrobić, dopóki po podwórzu kręcili się ludzie, gdyż czuwający przy monitorach ochroniarze natychmiast zwęszyliby podstęp. - Gdy wejdziesz do domu, będziemy musieli pozostawać w ścisłym kontakcie radiowym. Przeprowadzisz mnie przez pole minowe.

W tej samej chwili kątem oka dostrzegł jakiś ruch po lewej stronie, w cieniu między rzędami samochodów. Odwrócił się i ujrzał strażnika z wycelowanym pistoletem w rękę.

- Hej, ty tam!

Nick błyskawicznie skoczył w bok i rzucił się na podłogę. Huknął wystrzał i przez garaż przetoczyło się gromkie echo. Pocisk uderzył w beton kilkanaście centymetrów od jego głowy. Uderzył, zrykoszetował i na podłogę upadła z brzękiem mosiężna łuska. Bryson wyszarpnął zza paska czterdziestkę piątkę, wymierzył i pociągnął za spust. Strażnik próbował zejść z linii ognia, lecz oberwał w pierś. Szarpnął się, ryknął z bólu, lecz w tym samym momencie Nick wypalił ponownie i w garażu zaległa cisza.

Bryson podbiegł bliżej. Martwy mężczyzna miał otwarte oczy i spazmatycznie wykrzywioną twarz. Z kłapy jego kurtki sterczała przekrzywiona przepustka. Nick uważnie ją obejrzał. Tak, dom był podzielony na kilka stref. Wejścia do każdej z nich na pewno strzegły skanery i czujniki zbliżeniowe podobne do tych, jakie spotyka się w supermarketach przy automatycznie otwierających się drzwiach. Przepustkę noszono w widocznym miejscu, na przykład w klapie marynarki. Była skanowana, komputer identyfikował jej właściciela, sprawdzał kod dostępu do tej czy innej strefy, odnotowywał datę i godzinę wejścia i jeśli wszystko się zgadzało, otwierał upoważnionym drzwi. Tak więc system pilnie śledził ruchy każdego pracownika i obecnego w domu gościa.

Jednakże Bryson czuł, że sprawa jest bardziej skomplikowana, że kradzież przepustki nie wystarczy. Manning na pewno zastosował zabezpieczenia awaryjne, dodatkowe, choćby biometryczne - wzorce odcisków palców i dłoni czy cyfrowe odwzorowanie obrazu siatkówki oka - albo kody liczbowe znane tylko wchodzącemu. Tak więc przepustka martwego strażnika mogła mu się na nic nie przydać. Wkrótce miał się o tym przekonać.

Winda: jedyna droga na górne piętra domu. Ruszył biegiem w tamtą stronę. Musiał działać szybko, bardzo szybko, gdyż tam, gdzie był jeden strażnik, zwykle było ich co najmniej kilku. Wystarczy, żeby ten, którego zabił, nie odpowiedział na rutynowy kontakt radiowy, i centrala natychmiast ogłosi alarm. Wtedy będzie po wszystkim.

Drzwi windy. Gładka, galwanizowana stal i mała klawiatura wmontowana w ścianę. Wcisnął guzik. Nic. Spróbował jeszcze raz. Ponownie nic. Chała. Żeby ściągnąć windę, trzeba było wprowadzić odpowiedni kod liczbowy. Bez kodu mógł to sobie odpuścić. Przypięta do kombinezону przepustka martwego strażnika też nie poskutkowała.

Spojrzał na ścianę. Ukryte kamery? Był stuprocentowo pewien, że muszą tam być, lecz Elena je oszukała, wpuszczając do systemu taśmy z poprzedniego dnia. Gdyby tego nie zrobiła albo gdyby z takiego czy innego powodu podstęp nie wypalił, natychmiast by go powiadomiła. Była jego uszami i oczami, musiał całkowicie na niej polegać. I polegał. Jak zawsze.

Mógł otworzyć drzwi łomem, lecz popełniłby błąd. Współczesne windy, nawet prymitywne, są naszpikowane elektroniką jak większość dzisiejszych urządzeń. Wyłamanie drzwi naruszy rygiel i unieruchomi kabinę, która nie drgnie z miejsca, dopóki drzwi pozostaną otwarte - tego rodzaju zabezpieczenie stosowano we wszystkich windach już od dwudziestu pięciu lat - i natychmiast zainteresują się nim ochroniarze. Chociaż do tego czasu zdążyłby zapewne wejść do domu, nie chciał, żeby wszczęli alarm, gdyż wówczas tajna akcja przestanie być tajną akcją.

Między innymi właśnie dlatego zabrał ze sobą specjalne narzędzie zwane kluczem ryglującym; konserwatorzy wind używali go do awaryjnego otwierania drzwi. Piętnastocentymetrowej długości i niewiele ponadcentymetrowej szerokości klucz był płaski, zrobiony z nierdzewnej stali i miał na końcu zawias. Nick wsunął go pod ościeżnicę w górnej części drzwi i przesunął w prawo. W ościeżnicy - zależnie od rodzaju windy miała siedem i pół lub piętnaście centymetrów szerokości - wmontowano mechanizm blokujący. Zaopatrzona w zawias część klucza przesuwiała się wzdłuż futryny, dopóki nie napotkała przeszkody, wystającej krzywki rygla, a wówczas przesunęła ją w prawo i drzwi się otworzyły.

Z czarnego, pustego szybu powiało chłodem. Kabina stała gdzieś wyżej. Bryson pstryknął włącznik małej halogenowej latarki i przesunął światłem po ścianach wyłożonych stalową blachą. Pech. To nie była klasyczna winda bębnowo-wciągarkowa ani trakcyjna, z linami, kablami i przeciwwagami. Oznaczało to, że nie zdoła się po nich wspiąć z tej prostej przyczyny, że ich po prostu nie było. Kabinę podnoszono i opuszczano hydraulicznie, wzdłuż szerokiej, śliskiej od smaru szyny, po której nie weszłaby na górę najzwinniejsza małpa. Oczekiwał najgorszego i nie zawiódł się.

Elena zlokalizowała nagrania monitoringu wewnętrznego i zewnętrznego. Przechowywano je w komputerowej bazie danych w siedzibie Systematixu i bez trudu do nich dotarła. Były to nagrania z ostatnich dziesięciu dni, opatrzone datą i podzielone na sektory. Wystarczyło wybrać te z poprzedniego dnia, zmienić datę na dzisiejszą, puścić je na monitory i zamiast

aktualnego obrazu przekazywanego przez kamery systemu bezpieczeństwa, czuwający w centrali ochroniarze oglądali obraz sprzed dwudziestu czterech godzin. Naturalnie, mogła w ten sposób oszukać jedynie kamery zewnętrzne i te, które strzegły pomieszczeń o małym natężeniu ruchu. W sumie było ich osiemnaście.

W tylnej kieszeni kamizelki miał lekkie przyssawki magnetyczne, jakich używają konserwatorzy mostów, wielkich cystern, kadłubów okrętowych i morskich platform wiertniczych. Założywszy je na ręce i buty, zaczął się wspinać po stalowej ścianie szybu. Sunął w górę bardzo powoli, krok po kroku, ostrożnie przemieszczając stopy i dłonie. Żeby zejść do garażu, musiał pokonać szyb wentylacyjny długości prawie osiemdziesięciu metrów. Ponieważ dom stał na lekkim wzniesieniu, czekała go wspinaczka znacznie dłuższa i żmudniejsza. Był pewien, że kabina windy miją po drodze co najmniej jedno lub dwa piętra, lecz jego interesowało piętro najwyższe, to, na którym odbywało się przyjęcie.

Po jakimś czasie w świetle latarki ujrzał napis na drzwiach: poziom trzeci. Zdawał sobie sprawę, że w każdej chwili ktoś może wprowadzić kod, wcisnąć przycisk i ściągnąć windę na dół. Wówczas musiałby wcisnąć się szybko w czterdziestopięciocentymetrowej szerokości szparę między ścianą szybu i ścianą kabiny - gdyby nie zdążył, winda by go zmiażdżyła. Dlatego wspinając się, nieustannie nasłuchiwał warkotu uruchamianego silnika.

Ledwie trzy metry dzieliły go od poziomu pierwszego, na którym stała kabina. Niestety, zgodnie z oczekiwaniami, blokowala drzwi. Wprawnie przekładając ręce i nogi, dotarł do niej, odwrócił się, jedną po drugiej przytknął przyssawki do bocznej ściany i zawisł nad czarną, bezdenną otchłanią. Spojrzał w dół. Błąd: przepaść miała ponad osiemdziesiąt metrów głębokości. Gdyby coś poszło nie tak, gdyby magnetyczne przyssawki odmówiły posłuszeństwa, runąłby w dół i roztrzaskał się o beton. Nie cierpiał na lęk wysokości, mimo to zadrzał z przerażenia. Nie, tylko nie teraz. Nie pora na strach: kabina mogła w każdej chwili ruszyć. Wciśnięty między stalowe ściany zaczął niezdarne piąć się w górę.

Stój, myślał. Stój, cholero. Niechaj nikt cię teraz nie ściągnie...

Stanąwszy na wierzchu kabiny, odpoczął chwilę, zdjął przyssawki, schował je do kieszeni, wyjął klucz ryglujący, wetknął go pod ościeżnicę i przesunął w lewo.

Drzwi się otworzyły.

A jeśli ktoś tam jest?

Miał nadzieję, że nie, choć był przygotowany i na to.

Przez szeroką szparę między ościeżnicą i stropem kabiny widział elegancko umeblowany korytarz. Spojrzał w lewo, potem w prawo. Nikogo. Chwycił się stalowego wspornika i precyzyjnie się przez szparę. Skoczył i wylądował na marmurowej podłodze.

Natychmiast zapłonęły lekko przyćmione światła - włączyła je zapewne elektroniczna przepustka, którą zabrał strażnikowi w garażu.

Był w domu.

Dwaj strażnicy pełniący służbę w sztabie ochrony po raz enty tego dnia sprawdzali szczelność systemu bezpieczeństwa i sprawność działania poszczególnych kamer.

- Jedyńka?

- Czysto.

- Dwójka?

- Czysto.

- Trójka?

- Czyś... Tak, czysto.

- Co jest?

- Nic, nic. Myślałem, że ktoś przeszedł za oknem, ale to tylko deszcz.

- Czwórka?

- Zaczekaj. Jezu Chryste, spójrz tylko, jak leje. Tak samo jak wczoraj. Pieprzona pogoda.

Mogę na chwilę wyjść?

- Wyjść? Teraz?

- Zaleję mi mustanga, nie zaciągnąłem dachu.

- Parkujesz na dworze?

- Trochę się spóźniłem - wyznał zażenowany strażnik. - Stoję za domem, woda zniszczy mi skórę.

Zirytowany Charles Ramsey ciężko westchnął.

- Następnym razem... No dobra, idź. Tylko szybko wracaj.

Zlany potem z wysiłku i napięcia zerwał się na równe nogi, podszedł do drzwi i ostrożnie zajrzał w otchłań szybu. Na jego dnie czyhała śmierć. To dziwne, ale dopiero teraz w pełni zdał sobie z tego sprawę.

Ruch był prawie niedostrzegalny, ot, migotliwe załamanie światła w kącie oka. Odwrócił się na pięcie i tuż przed sobą ujrzał szarżującego ochroniarza. Gdy runął na niego całym ciężarem ciała, tamten wypuścił potężny cios, który Nick zablokował, następnie chwycił strażnika za ramię i jednocześnie kopnął go w kolano stalowym czubkiem buta. Ochroniarz jęknął, zwiotczał, lecz błyskawicznie odzyskał równowagę i sięgnął do kabury po broń.

Błąd: powinien był wyjąć pistolet dużo wcześniej. Obaj popełnili błąd, bo on też tego nie zrobił. Strażnik zerknął w dół, na oporny zatrask kabury: Nick natychmiast to wykorzystał i ze wszystkich sił kopnął go w krocze. Wyjąc z bólu, ochroniarz zatoczył się w stronę otwartego szybu windy, mimo to zdołał wyszarpnąć pistolet, wymierzyć i trzasnąć skrzydełkiem bezpiecznika. Bryson skoczył w lewo, a gdy zdezorientowany napastnik lekko przesunął rękę, Nick skoczył w prawo i wysokim kopnięciem wytrącił mu broń. Pistolet zaklekotał na marmurowej posadzce.

- Ty skurwysynu! - wrzasnął strażnik.

Z szeroko rozłożonymi rękami cofnął się o krok, żeby podnieść spluwę, i z pełnym zdumienia rozdrażnieniem stwierdził, że nie ma pod nim podłogi, że nie ma pod nim nic, co powstrzymałoby upadek. Gdy głowa zaczęła opadać w dół, gdy poderwało mu nogi, wyraz zdumienia na jego twarzy ustąpił miejsca przerażeniu. Chcąc się czegoś przytrzymać, zamachał rękami, dziko wierzgnął, wydał z siebie potworny ryk, któremu odpowiedziało metaliczne echo z głębi szybu. Runął w dół i zniknął Nickowi z oczu. Słychać było tylko przeciągły, szybko cichnący krzyk, dochodzący z coraz większej odległości, zwierzęce wycie, które gwałtownie umilkło, gdy ochroniarz roztrzaskał się o beton.

Jasnowłosey strażnik wyszedł z domu drzwiami dla obsługi i zdumiony rozejrzał się wokoło. Jeszcze przed chwilą lało jak z cebra, tak samo jak poprzedniego dnia, a tu masz: ciepły wieczór, czyste niebo, piękna pogoda.

Ani śladu deszczu.

Ani jednej kałuży, ani jednego mokrego liścia na ziemi.

Przed dziesięcioma minutami groził im biblijny potop i co? Wszystko zdążyło wyschnąć?

- O żesz ty... - Włączył krótkofalówkę i wywołał Ramsey'a. Szef ochrony zareagował zgodnie z oczekiwaniami. Obrzucił go stekiem wyzwisk, potem wziął się w garść i zaczął wydawać rozkazy.

- Naruszyli wewnętrzną strefę bezpieczeństwa - warknął do słuchawki - weszli do systemu. Ci z Systematiks'u już o tym wiedzą. Musimy sprawdzić światłowód.

Twarz ociekała mu potem, swędziało go całe ciało. Wziął kilka głębokich oddechów, podszedł do szybu, odblokował rygiel i zamknął drzwi.

Musiał teraz ustalić swoje położenie, zdecydować, w którą stronę iść. Najpierw do sztabu ochrony, to najważniejsze. Gdy tam dotrze, pozna rozkład wszystkich pomieszczeń domu. Sztab ochrony był również okiem i uchem nieprzyjaciela: musiał go oślepić i pozbawić słuchu.

Wcisnął przycisk krótkofalówki i szepnął:

- Jestem na pierwszym poziomie.

- Dzięki Bogu...

Nie mógł się nie uśmiechnąć. Nigdy dotąd z kimś takim nie pracował. Zamiast zimnego, obojętnego głosu profesjonalisty słyszał głos ciepły i szczerze zatroskany.

- Sztab ochrony. Którędy?

- Jeśli stoisz twarzą do windy, idź w lewo. Jest tam długi korytarz...

- Jest.

Wskazywała mu drogę na podstawie taśm wideo, nie na podstawie planów architektonicznych domu.

- Skręć w lewo, powtarzam, w lewo. Na końcu korytarza ponownie w lewo. Będzie tam coś w rodzaju dużej galerii... Tak, to chyba najkrótsza droga.

- Zrozumiałem. Jak tam oczy?

- Przesłonięte.

- Bomba, dzięki.

Pobiegł w lewo. Był pewien, że sufit i wszystkie ściany są poprzety-kane kilometrami światłowodów podłączonych do miniaturowych kamer, których obiektywy ukryto w ledwo widocznych albo zupełnie niewidocznych otworkach. W przeciwieństwie do kamer tradycyjnych nie można ich było oślepić ani farbą, ani taśmą klejącą. Gdyby nie Elena i nagrania z poprzedniego dnia, wykryłyby jego obecność już dawno temu, a tak mógł przemykać korytarzem jak niewidzialny duch. Przepustka strażnika z garażu była na razie zupełnie bezużyteczna. Nie wpuściła go do windy, choć zapaliła światło, i wyglądało na to, że służy jedynie do ustalania pozycji właściciela. Odpiął ją i rzucił pod ścianę. Niech pomyślą, że ktoś ją zgubił.

Elena właśnie odkładała krótkofalówkę, gdy dobiegł ją trzask gałęzi za ścianą furgonetki. Za gładko nam szło, pomyślała. To pewnie leśnicy. Zaczną zadawać pytania, będę musiała ostro główkować...

Otworzyła tylne drzwi i przeraźliwie krzyknęła, gdy ktoś przytknął jej do czoła lufę pistoletu.

- Wyłaż! - wrzasnął mężczyzna w granatowej kurtce.

- Jestem z urzędu geologicznego! - zaprotestowała.

- I podłączyłaś się do naszego kabla? Wątpię. Łapy do góry i żadnych, kurwa, sztuczek! Mamy do ciebie kilka pytań.

Dotarł do długiego, prostokątnego pomieszczenia, które Elena nazwała galerią. Była to nader osobliwa sala, której ściany ozdobiono złożonymi ramami rodem z Luwru, ale te ramy ziały pustką, a raczej srebrzystą szarością idealnie płaskich ekranów. Gdy przechodził tamtędy ktoś z elektroniczną przepustką, wyświetlały zdjęcia jego ulubionych portretów czy krajobrazów.

Już miał pójść dalej, gdy wtem dostrzegł rząd maleńkich, czarnych kropeczek biegnących pionowo wzdłuż jednej z ram. Znieruchomiał. Tak, było ich mnóstwo, nie tylko tu, dalej też: przecinały ścianę mniej więcej co półtora metra. Wyglądały jak ornament, jak część wystroju wnętrza, ale psuły nieco wygląd pięknej renesansowej tapety. Pierwsza znajdowała się na wysokości czterdziestu pięciu centymetrów nad posadzką, ostatnia prawie dwa metry nad nią. Wiedział, co to takiego, lecz na wszelki wypadek przytknął do oka wziernik noktowizora.

Zobaczył rzędy cieniutkich, zielonkawych niteczek. Niewidzialne promienie lasera łączące czujniki zamontowane na przeciwległych ścianach: gdyby przeciął je ktoś bez odpowiedniej przepustki, natychmiast włączyłby się alarm. Pierwszy biegł niecałe pół metra nad podłogą ze względu na domowe zwierzęta, psy lub koty.

Musiał się położyć na podłodze i przepełznąć pod najniższym, co wcale nie było łatwe. Założył opaskę, do opaski przypiął noktowizor i na plecach wczołgał się pod pierwszy promień. Cały czas patrzył w górę, żeby go przypadkiem nie musnąć. Kombinezon był gładki i śliski, umożliwiał szybkie, płynne ruchy. Chociaż kamery zostały cyfrowo oślepione, pozostałe zabezpieczenia wciąż działały i najmniejszy błąd mógł go kosztować życie. Jednakże największym zagrożeniem byli ludzie, strażnicy, na których natknął się już dwukrotnie.

Trzeci promień, czwarty, piąty... Dotąd wszystko szło dobrze.

Już. Nareszcie. Wciąż leżąc na plecach, spojrzął za siebie, by sprawdzić, czy żadnego nie przeoczył, po czym ostrożnie wstał. Sztab ochrony powinien być niedaleko. Elena. Musiał wywołać Elenę.

- Przeszedłem - szepnął do mikrofonu. - Którędy teraz? Nie odpowiedziała, więc powtórzył pytanie nieco głośniejszym głosem. Nic. Tylko trzaski w eterze.

- Elena? Odezwij się. Cisza.

- Elena, którą mam iść? Wciąż cisza.

- Cholera jasna...

Jezu Chryste. Jakaś awaria? Wywołał ją jeszcze raz, lecz na próżno. Zagłuszali ich? Niemożliwe. Przecież musieli się jakoś komunikować. Zakłócając jedną częstotliwość nadawania i odbioru, zakłóciliby wszystkie.

W takim razie gdzie jest Elena?

Spróbował jeszcze raz i jeszcze raz. Nic z tego.

Elena milczała.

Czyżby... Nie, tej możliwości nie brał pod uwagę.

Przeszedł go zimny dreszcz.

Mimo to nie mógł dłużej zwlekać, nie mógł tracić czasu na spekulacje. Musiał iść dalej. Dalej.

Kuchnię odnalazł bez żadnych wskazówek - namierzył ją po apetycznym zapachu gorących przystawek. Na przeciwnym końcu korytarza otworzyły się drzwi i wyszedł nimi kelner w czarnych spodniach i białej koszuli; niósł dużą, pustą srebrną tacę.

Bryson cofnął się do galerii. Za ostatnim rzędem laserowych promieni było wystarczająco dużo miejsca, żeby się przebrać. Szybko zdjął kamizelkę i kombinezon. Z kamizelki wyjął foliową torbę, z torby *czarne* spodnie, białą koszulę i czarne buty na gumowych podeszwach. Chwilę później był już gotowy.

Ostrożnie wystawił głowę i zerknął w stronę kuchennych drzwi. Dochodziło zza nich pobrząkiwanie garnków i gwar rozmów. Cofnął się, zaczekał, aż drzwi się otworzą, i po cichu wyjrzał z ukrycia. Korytarzem szedł dumnie kelner, którego widział przed pięcioma minutami. Tym razem na tacy niósł przystawki.

Idąc szybko i bezszelestnie, Nick dopędził go już po kilku krokach. Wiedział, że kelner będzie łatwym celem, ale nie mógł ryzykować, nie mógł sobie pozwolić na najmniejszy hałas, dlatego znalazłszy się metr od niego, jedną ręką błyskawicznie zatkał mu usta, drugą zaś chwycił tacę. Kelner próbował krzyczeć, lecz Bryson trzymał mocno: pociągnął go na podłogę, ostrożnie odstawił tacę, wprawnie ucisnął biegnący pod szczęką nerw i mężczyzna stracił przytomność.

Zaciągnął go do przedsionka galerii i posadził pod ścianą. Ręce na brzuchu, nisko spuszczone głowa - wyglądało to tak, jakby kelner ni z tego, ni z owego postanowił uciąć sobie drzemkę. Z powrotem do korytarza, po tacę. Szybciej! W każdej chwili mógł nadejść któryś z jego kolegów. Pomieszczenie kontrolne ochrony musiało być gdzieś blisko, tylko gdzie?

Drzwi. Otworzyły się automatycznie. Za drzwiami szeroki korytarz. Nie: ten prowadził do głównej jadalni, a tego wieczoru z niej nie korzystano. Zawrócił w stronę kuchni, minął skrzyżowanie z przedsionkiem galerii i za kolejnymi drzwiami - te również otworzyły się automatycznie - zobaczył wejście do głównej sali bankietowej i odchodzący w prawo korytarz. Tam? Może. Skręcił i pięćdziesiąt kroków dalej ujrzał drzwi z napisem: OCHRONA. NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY.

Zatrzymał się, wziął głęboki oddech i zapukał.

Cisza. Zauważył mały przycisk w futrynie. Wcisnął go raz i odruchowo napiął mięśnie.

Pięć sekund, dziesięć... Już miał ponownie wcisnąć guzik, gdy wtem odezwał się wbudowany w ścianę głośnik.

- Tak?

- Kelner - odparł śpiewnie Nick. - Przyniosłem kolację. Chwila milczenia i podejrzliwe:

- Niczego nie zamawialiśmy.

- Nie to nie, nie ma sprawy. Pan Manning kazał nam panów dobrze nakarmić, ale powiem mu, że nie jesteście głodni.

Drzwi się otworzyły i w progu stanął krępy mężczyzna w granatowej kurtce. Miał brązowo-pomarańczowe włosy - pewnie źle dobrał farbę - i biały identyfikator z nazwiskiem Ramsey na piersi.

- Dobra, daj pan - powiedział, wyciągając ręce.

- Przepraszam, ale muszę zabrać tacę z powrotem. Mamy sporo gości. Zostawię półmiski i znikam.

Bryson zrobił krok do przodu. Ramsey odprężył się nieco i wpuścił go do środka.

Pomieszczenie było okrągłe i przypominało kabinę sterowniczą futurystycznego statku kosmicznego. Zamiast topornych monitorów w ścianę wbudowano kilkanaście wielkich paneli wyświetlających obrazy przekazywane przez kamery rozmieszczone zarówno w domu, jak i na podwórzu. Oprócz Ramseya czuwał tam tylko jeden strażnik.

- Proszę. Wędzona pierś kaczuski, kawior, gougere, wędzony łosoś, polędwiczka... Gdzie postawić? Tyle tu sprzętu...

- Wszystko jedno - mruknął Ramsey, spoglądając na jeden z paneli.

Nick ostrożnie postawił tacę na konsolce, niecierpliwym ruchem podrapał się w kostkę lewej nogi, z kabury na łydce wyszarpnął pneumatyczny pistolet, wymierzył i pociągnął za spust. Rozległy się dwa ciche kasznięcia i ochroniarze runęli na podłogę, jeden z loftką w szyi, drugi w piersi. Czekali ich kilka godzin przymusowego snu.

Bryson podbiegł do głównej konsoly. Wyświetlane na panelach obrazy można było powiększać, zmniejszać i przesuwac. Jego interesowały te z sali bankietowej.

Z sali, w której trwało przyjęcie dla najwyższych rangą członków Prometeusza. Dla ludzi, którzy szykowali się do przejęcia władzy...

Właśnie: nad czym?

I kim ci ludzie byli?

Popatrzył na klawiaturę, przesunął mysz i szybko odkrył, że może w ten sposób dowolnie zmieniać kąty ustawienia kamer, a nawet robić zbliżenia.

Sala bankietowa. Była olbrzymia, wysoka na kilka pięter. Otaczały ją galerie z widokiem na piękne atrium. Przy elegancko zastawionych stolikach - białe obrusy, kwiaty, kryształ, wino - siedziało kilkudziesięciu, nie, ponad stu ludzi! Twarze, znajome twarze...

Na końcu atrium stała wielka, lśniąca brązem rzeźba przedstawiająca Joannę d'Arc na koniu, która z nagim mieczem w dłoni prowadziła rodaków do boju. Dziewica Orleańska i święta krucjata Manninga: dziwne to, lecz bardzo symboliczne.

Na drugim końcu sali stał Gregson Manning, zaciskając kurczowo ręce na pulpicie smukłego, skromnego podium. Nawet z wyciszonym dźwiękiem widać było, że przemawia żarliwie i z pasją. Najbardziej niesamowite wrażenie wywierały jednak wbudowane w ścianę kilkanaście metrów za nim dwadzieścia cztery gigantyczne ekrany, z których każdy przedstawiał jego twarz. Było w tym coś z megalomanii Hitlera czy Mussoliniego.

Ruch myszą. Kamera pokazała zasłuchanych gości i zaszokowany Nick zdrętwiał.

Nie wszystkich znał, lecz niektórych z tych ludzi rozpoznano by w każdym zakątku cywilizowanego świata.

Dyrektor FBI.

Przewodniczący Izby Reprezentantów.

Szef Połączonych Sztabów.

Kilkunastu znanych senatorów.

Sekretarz generalny ONZ, cichy Ghańczyk powszechnie podziwiany za kulturę osobistą, takt i zdolności dyplomatyczne.

Szef brytyjskiego MI-6.

Dyrektor Międzynarodowego Funduszu Monetarnego.

Demokratycznie wybrany prezydent Nigerii.

Ministrowie obrony narodowej i szefowie agencji wywiadowczych z kilku krajów trzeciego świata, z Argentyny i z Turcji.

Nick wytrzeszczył oczy i rozdziawił usta.

Dyrektorzy i właściciele wielkich korporacji przemysłowych. Jednych rozpoznał natychmiast, innych na pewno skądś znał, choć nie bardzo wiedział skąd. Mężczyźni w garniturach i czarnych krawatach, kobiety w wytwornych toaletach: wszyscy wpatrzeni w Manninga i głęboko zasłuchani.

Jacques Arnauld.

Anatolij Prisznikow.

I... Richard Lanchester.

- Boże święty...

Przekreślił potencjometr i z głośników popłynął aksamitny głos Gregsona Manninga.

- ...rewolucję w dziedzinie kontroli i bezpieczeństwa na skalę światową. Miło mi również ogłosić, że opracowane przez Systematix oprogramowanie identyfikacyjne zostanie wykorzystane we wszystkich miejscach publicznych. Dzięki zainstalowanemu już sprzętowi będziemy mogli porównać twarz dowolnego osobnika z tłumem z milionami obrazów cyfrowych zarejestrowanych w międzynarodowej, podkreślam, międzynarodowej bazie danych. Jest to możliwe tylko dlatego, że my, przedstawiciele czterdziestu siedmiu krajów świata - a wkrótce, o czym jestem przekonany, będzie nas znacznie więcej - postanowiliśmy nawiązać ścisłą współpracę. To nasza i tylko nasza zasługa!

Podniósł ręce, jakby chciał ich pobłogosławić.

- A co z pojazdami? - spytał z obcym akcentem ciemnoskóry mężczyzna w kolorowej afrykańskiej szacie.

- Dziękuję za przypomnienie, panie Obutu - odrzekł Manning. - Dzięki najnowszym technologiom, które zastosowaliśmy w naszej sieci, możemy nie tylko natychmiast rozpoznawać pojazdy, ale i śledzić je w dowolnym zakątku miasta, kraju i świata. Możemy zarejestrować ich obraz, przechować go w archiwum i w dowolnym momencie odtworzyć. Jak państwo widzą, nie tylko tę sieć rozszerzamy, ale i ją zagęszczamy.

Kolejnego pytania Nick nie dosłyszał.

Manning rozciągnął usta w szerokim uśmiechu.

- Mój stary przyjaciel Rupert Smith-Davies z MI-6 na pewno zgodzi się ze mną, gdy powiem, że czasy, kiedy to Narodowa Agencja Bezpieczeństwa i wywiad brytyjski musiały się zmagać z prawnymi ograniczeniami, na szczęście mamy już za sobą. Czyż to nie absurdałne, że Anglicy mogli obserwować i podsłuchiwać Amerykanów, nie mając prawa śledzić poczynań swych własnych rodaków? I odwrotnie! Jestem przekonany, że gdyby był z nami Harry Dunne, nasz koordynator z CIA, wstałby teraz i uraczyłby nas jedną ze swych niezrównanych, acz dość nieprzyzwoitych dykteryjek.

Zebrani wybuchnęli gromkim śmiechem.

Kolejne pytanie zadała jakaś Rosjanka.

- Kiedy wejdą w życie akty wykonawcze Międzynarodowej Agencji Bezpieczeństwa?

Manning spojrział na zegarek.

- W chwili, gdy w życie wejdzie traktat, a więc mniej więcej za trzynaście godzin. Jej dyrektorem będzie nasz znakomity kolega Richard Lanchester, nowy car nowego świata. A wówczas, drodzy przyjaciele, będziemy świadkami narodzin Nowego Ładu, ładu, który z taką dumą tworzył iśmy. Obywatele świata przestaną być bezsilnymi zakładnikami narkotykowych karteli, przemytników, terrorystów i gwałcicieli. Pedofilom, kidnaperom i wytwórcom pornografii dziecięcej, których chroni „prawo” do prywatności, odpowiedzą ciosem na cios!

Ogłuszający aplauz.

- Nareszcie przestanie dręczyć nas strach, że w każdej chwili może dojść do kolejnego zamachu bombowego, takiego jak choćby w Oklahoma City czy w nowojorskich gmachach World Trade Center, strach, że jakiś szaleniec zestrzeli kolejny samolot z kobietami i dziećmi na pokładzie. FBI nie będzie już musiało błagać sędziów o pozwolenie na założenie podsłuchu w telefonach porywaczy, terrorystów i handlarzy narkotyków.

Na pewno znajdą się i tacy, którzy będą protestowali, którzy będą twierdzili, że ograniczamy ich wolność osobistą. Ludziom tym powiemy tylko tyle: ci, którzy nie łamią prawa, nie mają się czego bać!

Ktoś otworzył drzwi do pomieszczenia kontrolnego, lecz Bryson tego nie słyszał. Usłyszał tylko znajomy głos.

- Nicky.

Błyskawicznie się odwrócił.

- Ted! Co ty tu, do diabła, robisz?

- Równie dobrze mogę zapytać o to ciebie. Najgorsze jest zawsze to, czego się nie spodziewamy, he?

Czarny smoking, czarny krawat - Nick zmarszczył czoło. Ted Waller był gościem. Gościem



Gregsona Manninga.

## Rozdział 33

- Jesteś jednym z nich - szepnął. - Jesteś... jesteś po ich stronie.
- Boże, Nick, już dawno wyrosliśmy z krótkich spodenek. To nie szkolny mecz, nie ma tu ani Rekinów, ani Odrzutowców!
- Tu sukinsynu!
- Pamiętasz, co ci mówiłem o konieczności bezustannej modyfikacji taktyki i strategii działania? O umiejętnym doborze sojuszników? I przeciwników? Nareszcie będziesz mógł o tym zapomnieć.
- Co ty robisz? Przecież... przecież to była twoja wojna! Przecież to ty nas w nią wciągnąłeś! Przez tyle lat...
- Dyrektoriat już nie istnieje. Byłeś tam, widziałeś...
- To też był jakiś przekręt?! - krzyknął Bryson.
- Nicky, Nicky... Prometeusz jest naszą największą szansą...
- Szansą?
- Poza tym, czym różniły się nasze cele od ich celów? Dyrektoriat był marzeniem, cudownym marzeniem, które przez kilkanaście lat próbowaliśmy ziszczyć, wbrew wszystkim i wszystkiemu. Pragnęliśmy międzynarodowej stabilizacji, chcieliśmy uchronić świat przed szaleńcami i terrorystami. Pamiętasz? Ofiara przetrwa tylko wówczas, gdy stanie się drapieżnikiem.
- Nie przeszedłeś na ich stronę w ostatniej chwili. Knuliś to od lat!
- Nie knuliem, raczej brałem pod uwagę taką możliwość. Ba! Nawet ją popierałem. W pewnym sensie.
- W pewnym sensie? Zaraz, chwileczkę! Te pieniądze... Pieniądze, które zginęły z naszego konta! Miliard dolarów! Chryste... Ale przecież nigdy ci na tym nie zależało, forszę miałeś gdzieś... Już rozumiem: pomogłeś im założyć Prometeusza, tak?
- Stworzyłem fundusz założycielski, chyba tak to nazywają. Szesnaście lat temu Greg miał małe kłopoty z firmą, a Prometeusz potrzebował natychmiastowego zastrzyku gotówki. Można powiedzieć, że zostałem głównym udziałowcem nowego przedsięwzięcia.
- Nick poczuł się tak, jakby ktoś kopnął go w podbrzusze.
- Przecież to nie ma sensu. Skoro Prometeusz był naszym wrogiem...
- Ewolucja drogą doboru naturalnego, mój drogi: przetrwa tylko najsilniejszy. Nigdy nie obstawiałeś dwóch rywalizujących ze sobą zawodników? Dwóch najlepszych koni na wyścigach? Plan awaryjny, Nick, plan zapasowy: tylko to zapewni ci zwycięstwo. Komunizm upadł i Dyrektoriat stracił rację bytu. Rozejrzałem się, przeanalizowałem wszystkie opcje i doszedłem do wniosku, że tradycyjne metody szpiegowskie prędzej czy później odejdą do lamusa. Że przyszłość należy albo do nas, albo do nich, do Prometeusza. Któryś koń musiał wygrać.
- Dlatego schowałeś moralność do kieszeni i poparłeś zwycięzcę, wygodnie zapominając, do czego naprawdę dąży, tak?
- Manning jest jednym z najbłyskotliwszych ludzi, jakich znam. Uznałem, że warto się nad jego pomysłem zastanowić. Zaczekać, aż się wykluje, i sprawdzić, co z tego wyniknie.
- Asekurowałeś się!
- Polityka, mój drogi, polityka. To był najrozsądniejszy wybór. Zawsze ci powtarzałem, że szpiegostwo nie jest sportem grupowym, prawda? Wiem, że w końcu to zrozumiesz i stwierdzisz, że w moim rozumowaniu jest sporo sensu.
- Gdzie jest Elena? - warknął Bryson.
- To bardzo bystra dziewczyna, ale najwyraźniej nie wzięła pod uwagę, że ktoś może ją tam znaleźć.

- Gdzie ona jest?

- Gdzieś tu, w domu. Zapewniono mnie, że zostanie potraktowana godnie i z szacunkiem, na jaki w pełni zasługuje. Nick, czy naprawdę muszę mówić prosto z mostu? Pytać cię, nie owijając niczego w bawelnę? Dobrze. Przyłączysz się do nas? Potrafisz dostrzec drogę do przyszłości?

Bryson powoli uniósł pistolet. Serce tłukło mu się w piersi jak ptak w klatce. Niech cię szlag, Ted. Dlaczego mnie do tego zmuszasz? Dlaczego?!

Waller nawet nie drgnął.

- Rozumiem - rzekł. - Już odpowiedziałeś. Tak myślałem. Niestety.

Trzasnęły drzwi i do pomieszczenia kontrolnego wpadła armia ochroniarzy Manninga. Dwunastu na jednego: marne szansę. Nick odwrócił się, zobaczył, że ukrytymi w ścianie drzwiami wbiegają następni, i w tej samej chwili ktoś chwycił go od tyłu za ramię. Na karku poczuł ucisk zimnej stali, na skroni też, a gdy spojrzął za siebie, Teda Wallera już nie było.

- Łapy do góry! Bez głupich sztuczek i gwałtownych ruchów! I nie próbuj wyrwać nam broni, nawet o tym nie myśl. Jesteś inteligentny i wiesz, że inteligentna spluwa na nic ci się nie przyda.

Elektroniczne pistolety. Zaprojektowane i wyprodukowane przez Colta, Sandię i przez kilka europejskich firm... Za jednym pociągnięciem spustu wypluwały trzy pociski.

- Łapy! Szybciej!

Nick kiwnął głową i podniósł ręce do góry. Nie miał już ani wyboru, ani nadziei, że zdoła uratować Elenę. Zdarzało się, że bandyta zabijał policjanta z jego własnej broni, dlatego na żądanie władz federalnych skonstruowano pistolet, który skutecznie temu zapobiegał. W jego spust wmontowano czujnik reagujący na odcisk palca właściciela. Gdy spust zwalniał ktoś inny, broń odmawiała posłuszeństwa.

Korytarz, lufa przy skroni, dźgnięcie lufą w plecy: obszukano go i odebrano mu czterdziestkę piątkę; jeden z ochroniarzy z szyderczo-triumfalną miną wetknął ją sobie za pas. Pozostały mu jedynie ręce, nogi, instynkt i doświadczenie, lecz z tyłoma dobrze uzbrojonymi ludźmi nie miał najmniejszych szans.

Dlaczego jeszcze go nie zabili? Na co czekali?

Wepchnięto go do jakiejś sali, dużej i prostokątnej, podobnej do galerii obrazów, w której zostawił śpiącego kelnera. Światło było przyćmione, mimo to dostrzegł książki, rzędy oprawionych w brązową skórę książek na prawie sześciometrowej wysokości półkach z mahoniu. Wielka, piękna biblioteka podobna do tych, jakie widuje się w starych angielskich dworach. Parkiet był lśniący i artystycznie sfatygowany.

Znieruchomiał. Patrzył na książki, czując, że zaraz coś się wydarzy.

I nagle biblioteka zniknęła, a mahoniowe półki poszarzały. To była iluzja! Elektroniczny miraż! Tak samo jak portrety w galerii! Zrobił krok do przodu, by dotknąć gładkiej, srebrzystej ściany, gdy wtem ściana rozbłysła setkami ruchomych obrazów!

Przerażony wybałuszył oczy. To był on! Wszędzie, na wszystkich ścianach, tych z przodu, z tyłu i z boku! On, na filmie i na zdjęciach, w tysiącu różnych sytuacjach!

On i Elena podczas spaceru na plaży. On i Elena kochający się w łóżku. On pod prysznicem. On przed pisuarem.

Elena i on na konnej przejażdżce.

On i Layla uciekający korytarzami „Hiszpańskiej Armady” przed ochroniarzami Calacanis.

On i Layla w opustoszałej katedrze w Santiago de Campostela. On w gabinecie Jacques'a Arnauda. On i Lanchester. On i Tarnopolski.

On i Harry Dunne.

Tysiące scen, w zbliżeniach i z oddali. Scen z naj intymniej szych chwil jego życia, z najtajniejszych operacji wywiadowczych. Nie pominięto ani jednego ważnego momentu z ostatnich dziesięciu lat. Obrazy drgały, migotały, zmieniały się jak w potwornym kalejdoskopie.

Był tam nawet film pokazujący, jak schodzi do garażu, jak wspina się szybem windy! Film sprzed ledwie kilkunastu minut!

Widzieli wszystko. Absolutnie wszystko!

Zakręciło mu się w głowie, świat zawirował. Oszukany, zgwałcony i splugawiony opadł na kolana i zwymiotował. Wymiotował długo i spazmatycznie, omal nie wyrwało mu trzewi.

Wrobili go. Wiedzieli, że nadchodzi, i cały czas go obserwowali.

Wtem usłyszał spokojny, kojący głos.

- Jak pan zapewne pamięta, Prometeusz wykradł bogom ogień i podarował go ludziom.

Podniósł głowę. W marmurowej niszy na końcu sali stał Gregson Manning.

- Prometeusz... Powiadają, że jest pan fenomenalnym lingwistą, więc na pewno zna pan etymologiczne pochodzenie tego słowa. Znaczy tyle, co „Przewidujący”, „Dalekowzroczny”. To bardzo odpowiednia nazwa, przynajmniej dla nas. Według tradycji antycznej Prometeusz skierował barbarzyńców na drogę ku cywilizacji. Dzikus zaczął poznawać języki, stworzył filozofię, matematykę i stał się człowiekiem. Na tym właśnie polegał dar ognia: był darem iluminacji i wiedzy. Wyławiał z mroku to, co niewidoczne. Dając śmiertelnikom ogień i zapoznając ich z jego niewyobrażalną mocą, Prometeusz świadomie i dobrowolnie popełnił zbrodnię. Tak, dopuścił się najcięższej zdrady! Zdrady, która groziła tym, że ludzie staną się równi bogom! Jednakże zdradzając, stworzył cywilizację. Naszym zadaniem jest dopilnować, żeby już nigdy nic jej nie zagroziło.

Nick wstał i podszedł kilka kroków bliżej.

- Jak? - spytał. - Organizując drugie Stasi? Na światową skalę?

- Stasi? - powtórzył ze smutkiem Manning. - Żeby nikt nikomu nie mógł zaufać i wszyscy na wszystkich donosili? O nie.

Trzeci krok, czwarty...

- Słusznie. Stasi to epoka żelaza, co? Wy macie superkomputery i zminiaturyzowane soczewki światłowodowe. Wy jesteście w stanie zobaczyć wszystko i wszystkich. Kupiłeś ich, wciągnąłeś w koszmar. Traktat o powszechnej kontroli i bezpieczeństwie to tylko przykrywka dla systemu totalnego nadzoru, przy którym Wielki Brat to dobrotliwy wujaszek.

- Panie Bryson, kiedy dzieci raczkują, opowiadamy im o świętym Mikołaju, prawda? „On wszystko widzi, on wszystko wie, więc lepiej bądź grzeczny”. Zgodzi się pan z tym czy nie, nasze zasady etyczne zawsze zależą od tego, co wiemy o sobie i o innych. Od wszechwidzącego oka. Od jasności i przejrzystości postępowania. Gdy wszystko jest jasne, widoczne i przejrzyste, nie ma przestępstw i zbrodni. Terroryzm odchodzi w zapomnienie. Gwałty, zabójstwa i molestowanie seksualne dzieci też. Ludobójstwo? Wojny? Już ich nie ma. Nie ma też strachu, który paraliżuje każdą kobietę, mężczyznę i dziecko, lęku przed wyjściem z domu czy spacerem przez miasto, przed życiem, o jakim marzymy, życiem zwyczajnym i wolnym od trwogi!

- A kto nas będzie obserwował?

- Komputer. Równoległy system komputerowy o globalnym zasięgu. System wyposażony w ewolucyjne algorytmy i sieci neuronowe. To przełom, panie Bryson, prawdziwy przełom.

- A w sali tronowej tego systemu zasiądzie despotyczny podglądacz Gregson Manning, któremu pokłony bić będą miliardy małych komputerowych podglądaczy, tak?

Manning uśmiechnął się lekko.

- We wschodniej Nigerii mieszka lud Igbo. Słyszał pan o Igbo? Wokół nich szerzy się zbrodnia i korupcja, tymczasem oni tych pojęć nie znają. Wie pan dlaczego? Ponieważ od stuleci cenią sobie coś, co nazywają klarownością życia. Uważają, że człowiek szczery i uczciwy nie ma nic do ukrycia. Rozmowy, handel wymienny, praca, odpoczynek: wszystko to odbywa się na oczach mieszkańców wioski. Mierzi ich skrytość, a nawet samotność. Idea całkowitej przejrzystości życia jest rozwinięta do tego stopnia, że jeśli zakiełkuje między nimi choćby najmniejsze ziarenko nieufności, mogą odprawić ciekawy rytuał zwany *igbandu*, kiedy to podejrzliwy sąsiad pije krew podejrzliwego sąsiada. Idealistyczne to, acz dość prymitywne. Dzięki naszej sieci osiągniemy te same rezultaty bez rozlewu krwi.

- To zupełnie inna kultura! - krzyknął Bryson, podchodząc kilka kroków bliżej. - To nie ma nic wspólnego z nami!

- Na pewno czytał pan, że w ciągu ostatniego dziesięciolecia współczynnik przestępczości w

wielkich miastach Stanów Zjednoczonych nieznacznie spadł. Jak pan myśli, dlaczego?

- Skąd mam, do cholery, wiedzieć? - warknął Nick. - Ale pan ma na pewno jakąś teorię.

- Nie, ja wiem. Teorie snuli nasi dzielni socjologowie, lecz żadna tego nie wyjaśniła.

- Chce pan powiedzieć, że... Manning skinął głową.

- Przeprowadziliśmy studium pilotażowe naszych możliwości. Przed wieloma laty, kiedy nie dysponowaliśmy jeszcze najnowszym sprzętem, ale cóż, *per aspera ad astra*, prawda?

Fragment ściany po jego lewej stronie zbiegał i nagle wyświetlił się na nim plan Manhattanu. Aleje i ulice były upstrzone małymi niebieskimi kropkami.

- Te kropczki to ukryte kamery - wyjaśnił Manning. - Wszystko zaczyna się od anonimowego telefonu na policję. Nagle, nie wiadomo jak i dlaczego, rośnie liczba skutecznych interwencji, nagle, po raz pierwszy od dziesięcioleci, zbrodnia przestaje się opłacać. Policja chwali się skutecznością działania, kryminolodzy mówią o cykliczności wojen między narkotykowymi gangami, tylko nikt nie wspomina o kamerach, które te wojny rejestrują. O całunie bezpieczeństwa, którym otuliliśmy miasto. O tym, że zaułki, w których kiedyś pienią się zbrodnia, można by dzisiaj przenieść do muzeum osobliwości. Nikt nie wspomina o naszym projekcie, ponieważ nikt nie chce o tym wspominać. Rozumie pan już, co jesteśmy w stanie zrobić dla ludzkości? Dla biednych przedstawicieli *Homo sapiens*? Najpierw musieli przeżyć tysiąclecia łupieżczych wypraw plemiennych, a ledwie nadeszło Oświecenie, zagroziła im rewolucja przemysłowa. Wraz z uprzemysłowieniem i urbanizacją nadeszły nie znane dotąd problemy socjalne, a wraz z nimi fala przestępstw na niespotykaną dotąd skalę. Dwie wojny światowe, koszmar ludobójstwa. A kiedy żołnierze zwinęli sztandary i wrócili do koszar, zaczęły wybuchać wojny w miastach. Wojny, bitwy i potyczki uliczne. Czy to jest życie? Czy to jest godna śmierć? Członkowie naszej organizacji pochodzą z różnych krajów świata i reprezentują różne poglądy, lecz łączy ich jedno: rozumieją, że najważniejsze jest poczucie bezpieczeństwa.

Bryson był coraz bliżej Manninga.

- Na tym polega pańska koncepcja wolności, tak? - Niech mówi. Niech mówi. Muszę go zagadać.

- Prawdziwa wolność to wyzwolenie, uwolnienie. Pragniemy stworzyć świat, w którym każdy obywatel będzie mógł żyć życiem wolnym od strachu przed sadystycznym mężem maltretującym żonę, przed narkomanem, który uprowadza samochód wraz z przerażonym kierowcą, przed tysiącem innych śmiertelnych zagrożeń. To jest właśnie prawdziwa wolność, panie Bryson. Wolność, która zmusza nas do najlepszych zachowań, jak wówczas, gdy ktoś nas obserwuje.

Jeszcze dwa, jeszcze trzy kroki. Powoli. Obojętnie. Mów. Mów!

- Czyli koniec z prywatnością, tak? - Od niszki dzieliła go odległość trzech, czterech i pół metra. Zerknął na zegarek.

- Problem z prywatnością polega na tym, że mamy jej za dużo. To luksus, na który nas nie stać. Systematix zbudował potężny system kontroli i bezpieczeństwa. Krążące wokół ziemi satelity, miliony wideokamer, wkrótce zaczniemy wszczepiać ludziom mikrochipy...

- Tylko że żaden chip nie przywróci życia pańskiej córce - przerwał mu cicho Nick.

Manning zbladł. Ściany pociemniały, w sali zapadł posępny mrok.

- To moja sprawa.

- Fakt - przyznał Nick i nagle rzucił się przed siebie z wyciągniętymi rękami. Chciał chwycić go za szyję, zmiażdżyć mu gardło potężnym uściskiem, gdy wtem zdał sobie sprawę, że szybkuje w pustkę, w nicość! Runął na posadzkę, grzmotnął podbródkiem w marmur, otepiał bólem odwrócił głowę, szukając Manninga, i wówczas zobaczył rzędy laserowych diod w ścianie niszy. Chryste. To był trójwymiarowy hologram, hologram o wprost doskonałej rozdzielczości. Lasery budowały obraz w powietrzu, na mikroskopijnych cząsteczkach powietrza, to był tylko...

Miraż. Fantom. Złudzenie.

Ktoś zaklaskał w dłonie, głośno i leniwie. Nick spojrział w lewo, w stronę odległych drzwi, którymi niedawno wepchnięto go do sali. Szedł ku niemu Manning w otoczeniu kilkunastu

ochroniarzy uzbrojonych w inteligentne pistolety.

- Cóż, pański wybór - powiedział z lekkim uśmiechem na ustach. - Panowie, róbcie swoje. Szarpał się, próbował walczyć, lecz ochroniarze przytrzymali go i unieruchomili.

Manning przystanął w progu i rzekł:

- Większość pańskich kolegów ginie śmiercią żalną i tajemniczą. Niewidzialny zabójca, kula w tył głowy i po wszystkim. Jeden z tysięcy wypadków przy pracy. Dlatego nikt się zbytnio nie zdziwi, że podczas absurdałnej próby zamachu na czołowych polityków i przemysłowców z całego świata zginęło dwoje agentów, mężczyzna i kobieta. Powody zamachu nie zostaną wyjaśnione, ponieważ ludzie tacy jak wy żyją w mroku tajemnicy i w mroku tajemnicy umierają. A teraz wybacz pan, ale muszę wracać do gości. - Wyszedł.

Szarpiąc się z ochroniarzami, Nick zdołał spojrzeć na zegarek. Już! To cholerstwo powinno już zadziałać! Ciężarówka. Czyżby znaleźli ciężarówkę?

Na plecach, na czole i na potylicy czuł ucisk luf. W kaburze stojącego metr dalej ochroniarza dostrzegł rękojeść swego pistoletu.

I nagle... zgasło światło. Sala pogrążyła się w całkowitej ciemności i z ciemności tej dobiegła seria cichych kliknięć, a potem szelest samoczynnie otwierających się drzwi.

Nareszcie.

Skoczył do przodu, z kabury ochroniarza wyszarpnął czterdziestkę piątkę, zacisnął palce na rękojeści, lecz w tej samej chwili tamci powalili go na podłogę.

- Jeden ruch i po tobie! - wrzasnął któryś.

- Śmiało, strzelajcie! - krzyknął Bryson.

Wymierzili, pociągnęli za spust i...

Nic.

Cisza. Pistolety odmówiły posłuszeństwa. Ich elektroniczny mózg umarł, uległ spaleniowi wraz z milionami elektronicznych obwodów w domu Manninga.

Nick wystrzelił w powietrze. Buchnął paniczny krzyk i ochroniarze, cała dwunastka, cofnęli się w stronę drzwi, zdając sobie sprawę, że sytuacja się odwróciła, że on ma sprawną broń, a ich rozbrojono.

Oddawszy kilka strzałów na postrach, Nick przebiegł przez salę i wyslizgnął się na korytarz.

Musiał uciec, musiał odnaleźć Elenę! Tylko gdzie jej szukać?

Ściagało go kilku strażników - wypalił w ich stronę, wiedząc, że powinien oszczędzać amunicję. Był prawie pewien, że w komorze tkwi jeszcze jeden nabój, że kolejny jest w magazynku, lecz zamiast przystanąć i sprawdzić, wołał biec. Tak, najważniejsze były teraz nogi. Pędził długimi korytarzami, przemykał galeriami, których ściany, niegdyś ozdobione wspaniałymi płótnami i tapetami, były teraz srebrzy sto szare jak zakurzone skrzydła martwej ćmy. Wszystkie drzwi były lekko uchylone.

Urządzenie Rosjanina zadziałało zgodnie z oczekiwaniami. Wirtualny oscylator katodowy wynaleźli sowieccy naukowcy w latach osiemdziesiątych. Zamierzali zneutralizować nim amerykańską broń nuklearną. Broń ta była dużo bardziej skomplikowana od rosyjskiej, lecz dzięki oscylatorowi przewaga technologiczna nie miała już znaczenia i obróciła się przeciwko samym Amerykanom. Tak więc jeśli chodzi o broń elektroniczną, Rosjanie zdecydowanie nad nimi górowali. Wirtualny oscylator katodowy wysyłał w przestrzeń potężny impuls elektromagnetyczny. Trwało to ledwie ułamek sekundy, lecz wystarczyło, by spalić wszystkie obwody scalone i zniszczyć gniazda mikroprocesorów w zasięgu prawie dwóch kilometrów od źródła emisji. Urządzenia elektroniczne, od zabawek poczynając, na komputerach najnowszej generacji kończąc, natychmiast przestawały działać. Krążyły pogłoski, że tego rodzaju bronią terroryści doprowadzili do kilkunastu katastrof samolotowych.

Samochody i ciężarówki nie chciały ruszyć, inteligentna broń odmawiała posłuszeństwa - dom Manninga był martwy.

Nie tylko to.

W obwodach scalonych wybuchły tysiące maleńkich pożarów, w setkach miejsc buchał gęsty dym i płonął szybko rozprzestrzeniający się ogień. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym KGB użyło oscylatora do podpalenia ambasady amerykańskiej w Moskwie.

Czyż krzyk. Z sali bankietowej? Elena?!

Otworzył drzwi i wbiegł na galerię z widokiem na wielkie atrium. W dole szalał pożar, płomienie lizały ściany, wszędzie kłębił się dym. Ogarnięci paniką goście pędzili do wyjść, krzyczeli, przeraźliwie wrzeszczeli, próbowali otworzyć drzwi, lecz czy to z winy przepalonych obwodów, czy ze względu na środki bezpieczeństwa żadne nie chciały się otworzyć.

Waller. Był tam?

A Elena?

- Elena! - krzyknął.

Nie odpowiedziała.

Albo jej tam nie było, albo go nie słyszała.

- Elenaaaa!

Wciąż nic.

Poczuł dotyk zimnej stali i usłyszał cichutki szept, kilka arabskich słów. Siedemnastoipółcentymetrowej długości ostrze ze stali wysokowęglowej musnęło delikatną skórę szyi. Wojskowy bagnet, ostrzejszy niż nowiutka brzytwa. Ostrze sunęło powoli w bok, chłodne i aksamitnie bolesne. Ból atakował z lekkim opóźnieniem, lecz gdy nadchodził, ciało wiło się w agonii przerażenia.

I ten szept:

- Kłamstwo ma krótkie nogi, Bryson. Abu.

- Powinienem być wykończyć cię w Tunezji, ale teraz na pewno nie zmarnuję okazji...

Sparaliżowany strachem Nick zeszywniał. W żyłach miał więcej adrenaliny niż krwi.

- Abu, posłuchaj... - Chciał odwrócić jego uwagę na sekundę, choćby tylko na ułamek sekundy. Zaciśnął palce na uchwycie czterdziestki piątki, uniósł rękę, pociągnął za spust...

I usłyszał jedynie metaliczne kliknięcie. Magazynek był pusty.

Błyskawicznym ruchem nadgarstka Abu wytrącił mu broń. Bezużyteczny pistolet zaklekotał na podłodze.

Czas. Bryson stracił cenny czas, zareagował za późno. W chwili gdy ostrze rozcięło mu skórę na szyi, chwycił Araba za nadgarstek i wykręcił mu rękę, jednocześnie kopiąc go w kolano. Abu głucho stęknął i w tym samym momencie Bryson szybko przykląkł, ciągnąc go za nadgarstek w dół.

Nóż wylądował tuż u jego stóp.

Nick schylił się, lecz Arab był szybszy. Ujął go jak sztylet, wziął zamach i zatopił ostrze w lewym ramieniu Brysona.

Nick opadł na kolana. Przeszył go potworny ból. Wstał, wyprowadził silny cios na głowę, lecz Abu bez trudu go odparował. Ściskając w ręku zakrwawiony nóż, poruszał się lekko, zwinnie, na ugiętych nogach, jakby tańczył. Bryson zatoczył się, ponownie kopnął go w kolano, lecz Arab odskoczył w bok, chwycił go za nogę, szarpnął i powalił.

Chryste, potrafił przewidzieć każdy jego ruch! Gdy Nick wyciągnął przed siebie rękę, Abu grzmotnął go łokciem w głowę tak mocno, że Bryson padł jak długi, czując, że ma w ustach pełno krwi, że chyba stracił kilka zębów. Osłabiony raną, był dużo powolniejszy od przeciwnika, reagował z koszmarnym opóźnieniem. Jęknął, wyrzucił przed siebie prawą rękę, chwycił Araba za kostkę u nogi i pomagając sobie zgięciem łokcia, mocno przekręcił.

Abu zawył z bólu i nagle dźgnął go nożem w pierś. Mierzył w serce, lecz Nick zrobił unik i ostrze utknęło między żebrami.

Znowu ten ból, ten gorący, oślepiający ból. Bryson spojrzał w dół, chwycił za rękojeść, szarpnął, z trudem wyrwał nóż z rozharatanego boku i z głuchym stęknieniem cisnął go za balustradę. Sztylet poszybował nad płonącym atrium i zniknął w kłębach dymu.

Nie mieli już broni, ani on, ani Abu, lecz Nick wciąż leżał na podłodze, krwawił, był bardzo osłabiony, tymczasem zwinny, dobrze umięśniony Arab przypominał szykującego się do ataku pytona. Spokojny, odprężony, ruchy miał płynne, błyskawiczne i gdy Bryson przetoczył się niezdarnie na bok, kopnął go mocno w brzuch. Boże, nie mogę oddychać! Omal nie stracił przytomności, mimo to, dziko wymachując rękami, powoli wstał.

Ta obojętna, nieprzenikniona twarz... Wyprowadził cios, lecz Arab chwycił go za nadgarstek i

wykręcił mu rękę. Nick zaatakował go kolanem, lecz ten znowu go uprzedził: zablokował cios udem, dźgnął go w brzuch, powalił na plecy i zaczął podskakiwać na nim jak na batucie. Ważył sporo i Nick czuł, a nawet słyszał, że pękają mu żebra.

Abu obrócił go twarzą do podłogi. Jedną ręką owinął mu szyję, łokciem drugiej naparł na kark, ukląkł na prawe kolano, żeby nie stracić równowagi, po czym ciągnąc do tyłu, zaczął go wprawnie dusić. Ilekroć Nick próbował się wyszarpnąć, Arab spychał mu głowę w dół i jeszcze mocniej zaciskał dźwignię. Bryson słabł z sekundy na sekundę, czuł, że lada chwila straci przytomność. Brakowało mu powietrza, przed oczyma miał szkarłatne i czarne plamy. Chciał ulec, zapaść się w kojący niebyt, lecz wiedział, że na dnie nicości czyha śmierć. Przerażliwie krzyknął, zebrał resztki sił, wyrzucił ręce do tyłu i wbił czubki palców w oczy Araba.

Abu odruchowo poluźnił uchwyt, a wówczas Nick odchylił się lekko, wziął zamach, grzmotnął go pięścią w splot nerwów pod prawym ramieniem i czując, że Arabowi flaczeje ręka, chwycił go za jądra i mocno szarpnął. Dźwignia pękła.

Bryson wstał, pochylił się i całym ciężarem ciała pchnął napastnika na balustradę galerii. Był tak wycieńczony, że z trudem powłóczył nogami. Kierował nim tylko instynkt, gdyż niedotleniony mózg zapomniał o rękach, które poruszały się teraz same, mimo to, pałając wściekłością i żądzą zemsty, zdołał przygnieść Araba do poręczy i wypchnąć za nią jego głowę i barki. Spięli się ze sobą, szcepili. Abu miał bezwładną rękę, a paraliż na razie nie ustępował - i dzięki Bogu. Bryson pchał, napierał, pomagał sobie kolanami, udami, lecz Arab zamknął jego nogi w kleszczach swoich nóg i nie puszczał. Nick był osłabiony, lecz zdeterminowany: Abu stracił władzę w ręce i mieli teraz mniej więcej równe szansę. Chwycił go za szyję i pchnął w dół, lecz Arab wyprostował się niczym giętka sprężyna. Nick pchnął go ponownie i tym razem przytrzymał ze wszystkich sił. Abu zgiał lewą rękę i uderzył go pięścią w brzuch raz, drugi i trzeci. Nie pomogło. Bryson ścisnął go za gardło, miażdżył mu krtań, próbował ucisnąć splot nerwów i wywołać paraliż, lecz na próżno. Coraz bardziej słabł, a promieniujący z rany ból przyprawiał go o mdłości. Drżały mu ręce. Nadludzkiem wysiłkiem zebrał resztki sił niczym narzędzie gniewu i zemsty, jeszcze raz spróbował zacisnąć palce na szyi Araba, lecz... nie zdołał.

Abu ryknął. Z zaczerwienioną, upiornie wykrzywioną twarzą i z posiniałymi ustami, plując śliną i krwią, zaczął się powoli prostować, gdy wtem...

Coś przeraźliwie huknęło. Arab rozrzucił nogi, stracił równowagę i z kulą w prawym ramieniu runął w dół.

Spadając, wił się jak wąż i gwałtownie wierzgał, by wreszcie upaść z mlaskiem na rzeźbę Joanny d'Arc i nadzieć się plecami na jej nagi miecz. Gdy brązowe ostrze wyszło mu z brzucha, Abu zawył, piskliwie, nieludzko. Potem głośno zacharczał, ochryple zagulgotał i umilkł.

Oszołomiony Nick odwrócił głowę. Dwa metry za nim stała Elena z wycelowanym pistoletem w rękę. Patrzyła na broń jak na dziwny, obcy przedmiot. Miała przerażone, mocno wytrzeszczone oczy.

Bryson chwiejnie wstał, zrobił trzy kroki i padł jej w ramiona.

- Uciekłaś - wydyszał.

- Drzwi się otworzyły.

- A ten pistolet...

- Inteligentne pistolety tu nie działają, ale można wyjąć z nich naboje.

- Trzeba się stąd wydostać, musimy uciekać...

- Wiem. - Objęła go ostrożnie, podtrzymała i przez kłębiący się w korytarzu dym ruszyli w kierunku wyjścia.

## Epilog

## TRAGICZNA ŚMIERĆ POLITYKÓW, PROMINENTÓW I PRZEMYSŁOWCÓW PONURE ŻNIWO TAJEMNICZEGO POŻARU W STANIE WASZYNGTON

Wadliwe okablowanie?

SEATTLE, stan Waszyngton. Wielka konferencja na temat nowej światowej polityki gospodarczej, zorganizowana w futurystycznej, całkowicie skomputeryzowanej rezydencji założyciela i głównego właściciela Systematixu Gregsona Manninga, zakończyła się tragicznym pożarem, w którym życie straciło kilkudziesięciu powszechnie znanych polityków i prominentnych przemysłowców z całego świata. Ogień doszczętnie strawił dom warty sto milionów dolarów.

Na porannym spotkaniu z dziennikarzami rzecznik prasowy departamentu straży pożarnej w Seattle stwierdził, że prawdopodobną przyczyną pożaru było spięcie w którymś z tysięcy obwodów wbudowanych w ściany domu gospodarza konferencji. Rzecznik uważa również, że to błędnie zaprogramowane procesory wydały polecenie zamknięcia wszystkich drzwi, uniemożliwiając gościom ucieczkę z sali bankietowej, w której odbywała się uroczysta narada.

Przypuszcza się, że pożar pochłonął ponad sto ofiar. Jest wśród nich przewodniczący Izby Reprezentantów...

### MANNING PRZESŁUCHIWANY

WASZYNGTON (AP). Założyciel i właściciel Systematixu Gregson Manning, w którego domu spłonęło żywcem ponad stu polityków i biznesmenów z całego świata, został dzisiaj aresztowany. Według anonimowych przedstawicieli prokuratury generalnej postawiono mu bliżej niesprecyzowane zarzuty naruszenie bezpieczeństwa narodowego, nie mające nic wspólnego z nocną tragedią. Departament Sprawiedliwości utrzymuje, że śledztwo przeciwko Manningowi toczyło się już od kilku tygodni.

Chociaż zamknięte posiedzenia sądu federalnego należą do rzadkości, nie są czymś niezwykłym. W sprawach dotyczących bezpieczeństwa narodowego, gdy zachodzi konieczność ujawnienia tajemnicy państwowej, prokurator generalny ma prawo posiedzenie utajnić...

„Wall Street Journal”, strona 1

## SAMOBÓJSTWO PREZYDENCKIEGO DORADCY DO SPRAW BEZPIECZEŃSTWA NARODOWEGO

Wczoraj po południu Richard Lanchester, powszechnie szanowany doradca prezydencki i przewodniczący Narodowej Rady Bezpieczeństwa, odebrał sobie życie. Miał 61 lat.

Przypuszczalnym powodem tego tragicznego kroku było załamanie psychiczne po śmierci kilkunastu bliskich przyjaciół, którzy zginęli w pożarze domu Gregsona Manninga, założyciela i właściciela Systematixu, oraz 102 prominentnych polityków i przemysłowców, którzy brali udział w zorganizowanej tam konferencji. Richard Lanchester cierpiał również na głęboką depresję z powodu nieudanego małżeństwa...

## Rok później

Kupowanie porannych gazet należało do rytuału - do jej rytuału. Nie dlatego, że lubiła czytać prasę. Czytanie prasy było nawykiem Nicholasa: wciąż odczuwał potrzebę utrzymywania kontaktu ze światem, od którego uciekli. Nie pochwaliała tego, gdyż nie po to uciekali od gwałtu, przemocy i kłamstw, żeby teraz o tym czytać.

Mimo to lubiła rozpoczynać nowy dzień od wyprawy po gazety. Wstawała wcześnie, kąpała się w morzu - ich bungalow stał na niskim, piaszczystym wzgórzu z widokiem na najpiękniejszą, najbardziej złocistą i najodludniejszą



plażę w świecie - potem wskakiwała na konia i odwiedzała maleńkie skupisko walących się chat, uchodzące tu za wioskę. Wraz z zapasem artykułów spożywczych, które przywożono samolotem z pobliskiej, nieco większej wyspy, właścicielka sklepu zawsze otrzymywała cienki plik amerykańskich gazet i zawsze odkładała je dla uroczej kobiety, która mówiła dziwną, śpiewną angielszczyzną i jeździła konno.

Kupiwszy gazety, Elena galopowała opustoszałą plażą do domu. Gdy wracała, Nicholas siedział już zazwyczaj w własnoręcznie zbudowanym kamiennym patio, pijąc kawę i czytając wczorajszą prasę. Po śniadaniu szli popływać. Tak mijał dzień za dniem. Żyło się im jak w raj.

Nawet kiedy jedyny lekarz na wyspie zbadał jej krew i ostatecznie potwierdził to, co czuła od kilkunastu dni, nie zaprzestała konnych przejażdżek, choć trzeba przyznać, że jeździła trochę ostrożniej. Była w ciąży. Uradowani nowiną, rozmawiali tylko o jednym: o narodzinach syna czy córki, o tym, jak zmieni się ich życie. I kochali się, z każdym dniem coraz bardziej.

O pieniądze nie musieli się troszczyć. Rząd wypłacił im pokaźną odprawę, która po rozważnym zainwestowaniu z powodzeniem wystarczała im na życie. Rzadko kiedy rozmawiali o tym, co ich tam sprowadziło, dlaczego musieli uciec i zamieszkać na wyspie pod przybranymi nazwiskami. Zawarli niepisane porozumienie: ten straszliwie bolesny epizod należy do przeszłości. Im mniej się o nim mówi, tym lepiej.

Mały krążek DVD - baza danych systemu komputerowego Manninga - który Elena nagrała tamtej koszmarnej nocy, zapewnił im całkowite bezpieczeństwo. Nie chcieli nikogo szantażować. Tajemnice, które zawierał, były po prostu zbyt sensacyjne, żeby ktokolwiek chciał je wygrzebywać i rozgłaszać. Gdyby świat dowiedział się, że groził mu bezkrawny zamach zorganizowany przez grupę spiskowców, którzy wierzyli, że wszelaki rząd jest przeżytkiem i którzy mimo to omal nie stworzyli potwora o władzy przewyższającej tę, jaką miał w Związku Radzieckim Stalin czy w Trzeciej Rzeszy Hitler, mogłoby dojść do globalnej destabilizacji politycznej o niewyobrażalnych konsekwencjach.

Większość spiskowców spłonęła żywcem w pożarze domu Gregsona Manninga. Jednakże ludzie ci mieli współpracowników i popleczników, dlatego dokonano licznych aresztowań i zawarto wiele dyskretnych układów. Manning, oskarżony o bliżej nie sprecyzowane naruszenie artykułu 1435. Aktu Bezpieczeństwa Narodowego i o szpiegostwo przemysłowe, odbywał ponoć karę w więzieniu federalnym w Karolinie Pomocnej. Krążyły pogłoski, że osadzono go w specjalnej celi i pozbawiono wszelkich kontaktów ze światem zewnętrznym. Najbardziej wpływowi amerykańscy senatorowie zażądali ponownego głosowania w sprawie ratyfikacji międzynarodowego traktatu o powszechnej kontroli i bezpieczeństwie, twierdząc, że to pierwsze odbywało się w zbyt dużym pośpiechu; niektórzy obwiniali Ri-charda Lanchestera o podstępną manipulację proceduralną. Bez poparcia Stanów Zjednoczonych dalsze rokowania nie miały szans i traktat nie wszedł w życie. Prawdę pogrzebano.

Sporządzili szesnaście kopii krążka. Jedną z nich zabezpieczyli kodem znanym jedynie prezydentowi Stanów Zjednoczonych i przesłali kurierem do Białego Domu. Drugą otrzymał prokurator generalny Stanów Zjednoczonych. Pozostałe trafiły do Londynu, Moskwy, Pekinu, Berlina, do Paryża i wielu innych stolic. Gdyby głowy państw nie wiedziały, co im groziło, zabójczy wirus mógłby odżyć.

Sobie zostawili trzy kopie. Jedną Nick powierzył adwokatowi, któremu bezgranicznie ufał, drugą złożył w bankowym sejfie, trzecią ukryli na wyspie. Traktowali je jak polisę ubezpieczeniową na życie. Mieli nadzieję, że nigdy nie będą musieli jej realizować.

Tego ranka, mniej więcej godzinę po powrocie z codziennej wyprawy do wioski, Elena wyszła na brzeg cudownie ciepłego morza i wspięła się na wydmy. Nick był pogrążony w lekturze. Gazeta, którą czytał, łopotała na wietrze niczym żagiel.

- Smak prawdziwej wolności poznasz dopiero wtedy, gdy rzucisz ten paskudny nałóg.

- Nałóg? Przecież ja nie palę.

- Czytanie tych bzdur jest równie szkodliwe.

- I równie trudno z tym skończyć. Ale załóżmy, że przestanę czytać. Stracisz pretekst do codziennych wypraw do wioski.

- Wymyślę coś - odrzekła, chichocząc. - Będę jeździła po mleko. Albo po jajka.  
- Jezus, Maria... - Nick pochylił się nad gazetą.  
- Co się stało?  
- Szesnasta strona, dział gospodarczy...  
- Ale co?  
- Króciutka wzmianka, oświadczenie rzecznika prasowego Systematiks-u.  
- Przecież Manning siedzi!  
- Siedzi. Firmą kierują tymczasowi zastępcy. Narodowa Agencja Bezpieczeństwa zamówiła u nich kilka niskoorbitalnych satelitów obserwacyjnych...  
- Próbują to ukryć, ale nie są zbyt subtelni... Gdzie ty pędzisz?  
Bryson wstał i pobiegł w stronę bungalowu. Elena poszła za nim. Po niesionych przez wiatr odgłosach poznała, że włączył telewizor. Kolejny nawyk, którego nie mógł się wyzbyć: zamontował na dachu talerz anteny satelitarnej, żeby móc oglądać dziennik, chociaż przyrzekł, że będzie się ograniczał.  
Włączył CNN, ale zamiast wiadomości pokazywali akurat reportaż o modzie.  
- Ted Waller nie zginął w pożarze - powiedział sfrustrowany, gdy weszła. - Przeglądałem protokoły z sekcji zwłok i zeznania lekarzy sądowych: zidentyfikowano wszystkie ofiary i Wallera wśród nich nie było.  
- Przecież wiem. Wiemy o tym od roku. Co cię napadło?  
- Nic, tylko czuję, że maczał w tym palce. Nie mam pojęcia, jak zniknął i dokąd wyjechał, ale na pewno ma z tym coś wspólnego.  
- Zawsze powtarzam, że trzeba ufać instynktowi. - Ten głos. Dochodził z... telewizora.  
Elena przeraźliwie krzyknęła. Bryson odwrócił się i zdębiał. Ekran wypełniała twarz Teda Wallera.  
- Co to? - wykrztusiła Elena. - Skąd... Jak...?  
- Nazwijmy to specjalnym przekazem „na żywo” - odparł Waller.  
- Obiecaliście zostawić nas w spokoju! - zagrział Nick. - Nie wiem, jakim cudem podłączyłeś się pod satelitę, ale naruszasz naszą prywatność! - Chwycił pilota, zaczął gorączkowo zmieniać kanały, lecz twarz nie zniknęła.  
- Bardzo żałuję, że nie zdążyliśmy się pożegnać - powiedział Ted, patrząc na nich z flegmatycznym spokojem. - Mam nadzieję, że nie chowacie do mnie urazy.  
Bryson zaniemówił. Spojrzał w lewo, w prawo, zadarł głowę, spojrzał na sufit: pluskwy i mikrokamery mogły być dosłownie wszędzie, niewidoczne, niewykrywalne...  
- Skontaktuję się z tobą, kiedy nadejdzie pora, Nicky. Teraz jest chyba za wcześnie. - Waller popatrzył w dal, jakby chciał coś dodać, i na jego ustach zagościł leciutki uśmiech. - Cóż, zatem do zobaczenia.  
- Wątpię - odparł zjadliwie Bryson, opadając na fotel. - Mamy od cholery dowodów, których nie zawahamy się ujawnić. Waller zmarszczył brwi.  
- Pamiętaj, Ted: najgorsze jest zawsze to, czego sienie spodziewamy. Twarz Wallera zniknęła. Nadawano jakiś program rozrywkowy.  
Tamci wypuścili próbny cios, on ten cios odparował. Był rozjuszony, rozwścieczony, a jednocześnie - po tylu latach tej cudownej gry - dziwnie poruszony i podniecony. Elena chyba to zauważyła, jednak nie powiedziała ani słowa. Tak samo jak przedtem jeździła na poranne przejażdżki, tak samo jak przedtem dużo czasu spędzali na dworze, na skrzęcej się w słońcu plaży i na drewnianym tarasie porośniętym tropikalnymi pnączami i ocienionym młodymi palmami kołyszącymi się na łagodnym wietrze.  
Nick ostatecznie zerwał z przeszłością i wraz z żoną przygotowywał się na przyjęcie nowego życia, które już wkrótce miało zapukać do ich drzwi. Blizny zbiegały w słońcu i czasami - kiedy w powietrzu unosił się zapach migdałów, cytryny i morskiej soli - tępy ból starych ran pierzchał niczym ulotne wspomnienie. Tak, bywały takie chwile, że prawie zapominał o świecie, od którego uciekli.  
Prawie.

**Książka pobrana ze strony**  
**<http://www.ksiazki4u.prv.pl>**  
**lub**  
**[www.wszystko-co-najlepsze.prv.pl](http://www.wszystko-co-najlepsze.prv.pl)**